

Współautorka powieści Roberta Ludluma

LYNDS

GAYLE

A large, detailed illustration of a human eye with long, dark eyelashes. The eye is looking towards the right. The iris is a mix of red and blue, and the pupil is dark. The background of the eye is a textured red. The entire cover has a dark, almost black, border at the top and bottom, with a jagged, torn-paper effect.

UKŁADANKA

GAYLE LYNDS

Mistrzyni global conspiracy thrillers, kontynuatorka tradycji Roberta Ludluma, wybrana przez mistrza na współautorkę kilku powieści z serii *Z tajnych archiwów Roberta Ludluma*

Gayle Linds, dziennikarka i reporterka, zadebiutowała powieścią **Maskarada**. Krytycy nie wierzyli, że ten thriller napisała kobieta. Książka stała się sensacją. Godna największych mistrzów powieści szpiegowskiej intryga sprawiła, że autorkę nazwano „Ludludem w spódnicy”. Podobieństwo stylu jest tak uderzające, że Robert Ludlum wybrał Gayle Linds na współautorkę swoich powieści z cyklu **Z tajnych archiwów Roberta Ludluma**, m.in. **Program Hades** i **The Paris Option**.

UKŁADANKA

Nowy Jork. Stary mężczyzna wysyła dwie przesyłki.
Praga. Młody chłopak wykraja dokumenty pewnej firmy.
Monako. Piękna Amerykanka zdobywa tajne akta policji.
Londyn. Słynna pianistka jest świadkiem morderstwa.
Wraz z byłym agentem CIA zbiera fragmenty układanki,
z których wyłania się przerażająca wizja spisku
wymierzonego w Amerykę...

Błyskotliwy conspiracy thriller. Zmowa, korupcja, zbrodnia
i samotna bohaterka o dramatycznej przeszłości
i niebezpiecznej przyszłości. „Los Angeles Times”

Międzynarodowy spisek, CIA, Biały Dom
i niewidzialny prześladowca w rewelacyjnej tamigłówce intrygi,
napięcia i suspense. „The New York Times”

Linds to prawdziwa mistrzyni! Akcja pędzi, nie zwalnając
na zakrętach wielopozlamowej intrygi. „Kirkus Reviews”

Cena det. zł 39,80


FENACJA



GAYLE

Lynds

UKŁADANKA

Przekład JAGODA SOCHOŃ



Tytuł oryginalny: Mosaic

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO- FONIOK

ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna

KATARZYNA MAKARUK

Ilustracja na okładce

FRANCO ACCORNF.RO/via THOMAS SCHLÜCK. GmbH

Opracowanie graficzne okładki

STUDIO GRAFICZNA WYDAWNICTWA AMBER

Skład

WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl>

<http://www.wydawnictwoamber.pl>

Copyright © 1998 by Gayle Hallenbeck Lynds. All rights reserved.

For the Polish edition Copyright © 2000 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-241-1124-7

WYDAWNICTWO AMBER Sp, z o.o.

00-108 Warszawa,

ul. Zielna 39.

tel. 620 40 13. 620 81 62

Warszawa 2000.

Wydanie I

Druk:

Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

Ponowna oprawa:

2003, Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

*Mojej córce Julii Stone,
mądrej, pięknej
i tak drogiej mojemu sercu*

*Warto jest żyć odważnie. Odwaga jest ceną,
jaką życie każe sobie płacić
za gwarancję spokoju.*

Amelia Earhart

Prolog

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

Nadszedł czas, żeby przypomnieć sobie wszystko i opowiedzieć innym, co się naprawdę wydarzyło...

PONIEDZIAŁEK, 30 PAŹDZIERNIKA OKRĘG WESTCHESTER W STANIE NOWY JORK

Była druga po południu. Za oknem świeciło słońce. Stary człowiek czuł się bardzo osłabiony po zastrzyku, który miał go otumanić i unieruchomić. Nienawidził ich wszystkich razem i każdego z osobna, bez wyjątku. Nie mógł się pogodzić zwłaszcza z tym, że lekarze, ludzie z dyplomami, zobowiązani przysięgą, żeby nieść pomoc, zamiast leczyć, robili takie rzeczy. Ale miał pewien plan. Zamierzał przechytrzyć ich i wydostać się z tego przekłętego więzienia. Czuł, że musi to zrobić jak najszybciej.

Jego nadzieją był młody sanitariusz. Był chciwy, a starzec z doświadczenia wiedział, jak bardzo pomocna może się okazać ta cecha.

- Jest prawdziwy - szepnął sanitariusz i popchnął wózek ze starym człowiekiem korytarzem w kierunku bladego październikowego słońca.

- Oczywiście, że jest prawdziwy - mruknął pod nosem stary. - Nie zawracalbym sobie głowy fałszywymi.

- Co pan mówi? - Chłopak pochylił się nad nim.

- Nic, nic.

Sanitariusz wyprowadził wózek na zewnątrz. Znaleźli się w czymś w rodzaju parku. Miał on stłumić poczucie winy u tych, którzy mieli dość pieniędzy, żeby pozbyć się swoich najbliższych - starych i niepotrzebnych - i wysłać ich w to

miejsce zapomniane przez Boga i ludzi. Latem na równych grządkach po obu stronach ścieżek wijących się wokół domu opieki jaskrawo kwitły petunie i bratki. Ale teraz, pod koniec października, grządki były puste, czekały już na pierwszy śnieg. Właścicielami tego domu i starannie utrzymanego terenu wraz z otaczającymi go lasami byli synowie starego człowieka. Kupili tę posiadłość z myślą o stworzeniu doskonale strzeżonego więzienia, które miało zapewnić izolację starca od rodziny i reszty świata.

Sanitariusz zatrzymał się pod wysokim klonem. Większość liści już opadła. Gałęzie nad głowami wyglądały jak szkielet dachu. Z pagórka, na którym stali, rozciągał się widok na cały teren.

Stary człowiek odetchnął chłodnym, rześkim powietrzem, niemal odzyskując przytomność umysłu. Potrząsnął głową. Jeśli szybko się stąd nie wydostanie, już nigdy nie odzyska jasności umysłu i nigdy nie będzie sobą. Spojrzał na sanitariusza, kanciastego chłopaka o mocnej szczęce i szczerym spojrzeniu. Miał kilkudniowy zarost, ale w dzisiejszych czasach chyba nie uznawano tego za przejaw zaniedbania. Wczoraj chłopak strugał chojraka, ale dziś już interesowało go tylko, co zrobić, żeby dostać następny diament.

- Co zrobiłeś z tym? - zapytał stary.

- To, co mi pan poradził. Poszedłem do banku w Armonk i wynająłem skrytkę depozytową. Zostawiłem tam diament. Nie będę go na razie sprzedawał. Poczekam pół roku, kiedy będę się wybierał na wakacje.

Stary uważnie spojrzał na młodzieńca.

- Sprzedaj go jak najdalej stąd, w jakimś dużym mieście, gdzie nikt cię nie zna. I jak tylko go sprzedasz, wyjedź. Posłuchaj mnie. Nie chcesz chyba tłumaczyć policji, skąd masz ten kamień. - Dużo bardziej niż policji chłopak powinien bać się czegoś innego, ale starzec nie zamierzał mu tego mówić.

- Kiedy dostanę następny diament?

Starzec uśmiechnął się. Chciwość była jego sprzymierzeńcem.

- Jak tylko to wyślesz. - Rozejrzał się dokoła i spod grubego płaszcza narzuconego na szpitalny szlafrok wyciągnął dwa pakunki. Złożone arkusze papieru były owinięte szarym papierem i zaklejone taśmą. Dał chłopakowi szczegółowe wskazówki, co należy zrobić z paczkami.

Jedna zaadresowana była do filharmonii w Londynie, druga do Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley, w Wirginii.

Poza kilkoma diamentami, które udało mu się przemyścić do tego piekielnego więzienia, i niewielką ilością bursztynu nie miał nic. Papier i coś do pisania musiał wykradać z pokoju do prac ręcznych. W ciągu minionego roku spisał wszystko, co udało mu się przypomnieć, i pisał nadal.

Chłopak wziął paczki i schował je pod krótką białą marynarkę.

Za pół godziny kończę pracę. Pojadę do Armonk i wyślę to.

- To wystarczy. - Starzec zmrużył oczy. - Bądź ostrożny. Jeśli spiszesz się dobrze, dostaniesz więcej diamentów. Mam jeszcze kilka zadań dla ciebie. To dopiero początek.

- Więcej diamentów? - Sanitariusz rozejrzył się dokoła, jakby nagle coś go zaniepokoiło. - Gdzie pan je trzyma? - Staral się, żeby zabrzmiało to niewinnie, jakby martwił się o staruszka. - Może powinniśmy znaleźć lepsze miejsce. Jakąś bezpieczniejszą kryjówkę.

Starzec zachichotał. Wysłano go tu, żeby umarł, ale on przechytrył jeszcze ich wszystkich. Jest mądrzejszy, niż mogłoby się wydawać. Śmiał się coraz głośniej, zanosił się od śmiechu. Cały się trząsał. Musiał wytrzeć oczy, bo aż zaszczyły łzami. Chłopak próbował go uciszyć, ale stary człowiek tylko machnął ręką. I wciąż się śmiał. Wyobrażał sobie, co się będzie działo, kiedy jego przesyłki dotrą do adresatów w Langley i w Londynie.

Nie wiedział tylko, że między gałęziami rozłożystego drzewa, pod którym stali, było urządzenie podsłuchowe. Zapis za godzinę zostanie odsłuchany.

PRAGA

Była północ. Mroźny wiatr znad czarnych wód Wełtawy przenikał przez ciężki płaszcz Jiříego i przejmował mężczyznę zimnym dreszczem. Dygocząc, Jiří pospiesznie szedł przez most Karola w kierunku wieżyczek, spadzistych dachów i pięknych kamienic starówki. Marzył o przytulnym wnętrzu jakiejś zadymionej piwiarni.

Miał lekkiego pietra.

Ludzie, z którymi był zmuszony czasem robić interesy, kazali mu czekać tu z grubą kopertą pełną skradzionych fotografii i kopii dokumentów pod pachą. Zdążył się przekonać, że jeśli człowiek raz zgodzi się przyjąć od nich pieniądze i skorzysta z ich ochrony, nie ma odwrotu. Wybrał pseudonim „Jiří”.

Musiał zrobić, co mu kazano.

Oglądając się nerwowo przez ramię, minął pospiesznie dwie ostatnie figury świętych i szedł dalej, na ulicę Karlova. W świetle księżyca barokowe i gotyckie budowle rzucały długie, posępne cienie. Nozdrza drażnił zapach palącego się węgla. Strach ścisnął żołądek.

W końcu z wąskiej uliczki, którą mijał, dobiegł go cichy dźwięk jakiejś ludowej melodii. Z bijącym sercem przystanął i oparł się o średniowieczną kamienną ścianę budynku. Wyciągnął paczkę marlboro. Pochylił się i udawał, że chce przypalić papierosa. Trzęsły mu się ręce.

Ktoś odezwał się do niego po czesku.

- Pan pozwoli.

Z pograżonej w ciemności uliczki wyłonił się akordeonista, ubrany w gruby, kraciasty płaszcz. Grajek miał czapkę z daszkiem zsuniętą nisko na oczy. W rękę trzymał zapalniczkę.

Jiří drżącą ręką poprawił w ustach papierosa. Obok przejechał jakiś samochód. Skoda. Światło reflektorów omiotło wąską, boczną uliczkę, ale twarz grajka pozostała w cieniu. Mężczyzna odczekał, aż samochód znikł za rogiem. Wtedy zapalił zapalniczkę. Pojawił się płomień, niski i wąty. Jiří zaciągnął się.

- Dziękuję. - Rozluźnił ramię, pod którym trzymał kopertę.

- Drobnostka. Dobranoc.

Jiří cofnął się, ale akordeonista udał, że potyka się o niego. Przepraszył za niezdarność i błyskawicznie kopertę, którą Jiří miał pod pachą, zamienił na identyczną, wyjętą spod akordeonu.

Grajek rozejrzał się i roześmiał, udając pijanego.

- *Živjo*. - Sto lat. Jiří poczuł dreszcze.

- Mam nadzieję, że to wszystko, czego trzeba - wyszeptał.

- Jeśli nie, zgłosimy się. - Słowa grajka zabrzmiały jak pogrożka. Akordeonista podniósł do góry głowę, przycisnął do piersi instrument i odszedł, grając i śpiewając wesoło: „Czeska laseczka i złote piweczko...”.

Jiří szybkim krokiem ruszył w przeciwnym kierunku, kryjąc się w największym cieniu. Teraz martwił się, co będzie jutro, czy szef firmy, w której pracował, poważny przedsiębiorca, odkryje kradzież. Zastanawiał się, czy kiedy kraść i kopiował dokumenty, nie zostawił przypadkiem jakiegoś śladu...

Omam nie zemdleł, kiedy go olśniło. Chodziło im o jego szefa. Po to potrzebne były dokumenty i zdjęcia. Jego szef. Jiří w uśmiechu odsłonił żółte zęby. Czuł się jak zwierzę, które za wszelką cenę chce się wyrwać z klatki. Wszystko wskazywało na to, że się nie myli. Nie było innej możliwości, chcieli dorwać szefa.

Oczywiście miał rację...

MONAKO

Kiedy się dowiedział, że kobieta wynajęła apartament w słynnym „Hôtel de Paris”, i ma zamiar zostać w tym przybytku luksusu przez trzy tygodnie, Jean-Claude wiedział, że w końcu będzie ją miał.

Chciał tego od chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Siedziała przy stoliku z widokiem na wodę w nocnym klubie u Jimmy'ego. Była *très belle. Magnifique*. Piła szampana - czterdzieści dolarów za kieliszek - i stawiała to samo ludziom przy sąsiednich stolikach, odrzucając przy tym do tyłu długie złote

włosy. Jej skóra o kolorze miodu opalizowała w świetle lampy stojącej na stole. Kiedy się śmiała, czerwone usta układały się w szeroki łuk i ukazywały dwa rządki małych białych ząbków. A śmiała się często.

- Szampan to narodowy trunek Monako! - zawołała po francusku z amerykańskim akcentem, kiedy dostrzegła go na drugim końcu sali. Uśmiechnęła się wyzywająco. - Nich się pan ze mną napije!

Usiadł przy jej stoliku.

Opowiedziała mu o pierwszym mężu, kolekcjonerze obrazów Jacksona Pollocka i Jaspera Johnsa, i o drugim, właścicielu pól naftowych w Luizjanie. Była rozwiedziona i, jak twierdziła, miała trzydzieści lat. Ciało jednak miała doskonałe - miękkie krągłości, gdzie trzeba, i zniewalające biodra. Obserwował, jak tańczyła z różnymi gogusiami. Po każdym tańcu jednak wracała do stolika, przy którym siedział. Do niego.

Był komisarzem policji. Jego seksualnego apetytu nie potrafiła do tej pory zaspokoić żadna kobieta. Ale cóż, żył w Monako, gdzie wszyscy są piękni i bogaci, gdzie zjeżdżają się zarówno sławni, jak i nikomu nieznanymi. Łączy ich jeden cel - uchronić fortuny przed podatkami i równocześnie móc się nimi chwalić przed sobą nawzajem, jak pawie licytujące się, który ma piękniejszy ogon. Tutaj zbytkiem była *la rigueur*, a *l'amour*, nie tylko tolerowano, ale powietrze było nią wprost przesycone. Oczywiście miał zamiar być ostrożny, ale też nie chciał sobie niczego odmawiać. *C'est la vie*. Był mężczyzną, który nie zapomina o swoich potrzebach. Miał szczególną słabość do Amerykanek i ich zuchwałości, braku hamulców, zwłaszcza gdy były bogate, a przy okazji piękne.

Myślał o niej cały tydzień.

W końcu zdecydował się jej poszukać. Znalazł ją w innym barze. Kiedy go zobaczyła, zachowała się, jakby byli starymi dobrymi przyjaciółmi, którzy spotkali się po długiej rozłące. Pili. Słuchali muzyki. Miała na sobie diamenty i bardzo krótką sukienkę od kogoś ze słynnych projektantów. Tak krótką, że odsłaniała niemal całe uda. Umówili się na następny wieczór na jedenastą.

To trwało cztery noce. Napięcie między nimi rosło, aż zebrało się tyle energii, że przypominali wulkan przed erupcją. Zrobiło się niebezpiecznie, tak jak lubił.

Dziś wieczorem spotkali się u Jimmy'ego. Miała na sobie połyskujący biały kombinezon. Jean-Claude czuł pulsowanie w kroczu.

Kiedy tylko muzyka zaczęła grać, wskoczyła na scenę. Instrumenty podawały rytm, a jej biodra poruszały się w przód i w tył. Krągłe piersi podskakiwały i przeżyły się pod cieniutką tkaniną obcisłego kombinezonu. Podniosła ręce nad głowę, zamknęła oczy i tańczyła w zapamiętaniu.

Stał przy barze i oddychał głęboko. Włożył palec za kołnierzyk i przejechał nim wokół szyi. Przyglądał węż, przesunął pasek w spodniach, nie odrywając

od niej wzroku. Potrzebował tego elementu gry, elektryzującego widoku zdobycy na celowniku. Patrzył, jak zwilża usta, jak otwiera oczy, które nieomylnie znajdują jego wzrok, mimo tłoku w klubie pełnym ludzi obwieszonych klejnami, i wiedział, że wkrótce ją posiadzie. Kapela przestała grać. Wrócił do stolika.

- Podobało ci się, jak tańczyę, *mon ami*? - Stała przy nim.

Jego twarz znajdowała się na wysokości brzucha kobiety. Wciągnął zapach jej potu zmieszanego z perfumami. Pod językiem poczuł jej smak. Nagle wstał.

- Idziemy.

Przechyliła głowę.

- My?

- *Oui*. - Wziął ją pod ramię i wyprowadził na zewnątrz, w mglistą śródziemnomorską noc.

- Ja poprowadzę. - Wyciągnął z jej torebki kluczyki, posadził ją na siedzeniu pasażera, a sam usiadł za kierownicą ferrari. Wyjechał z parkingu przed nocnym klubem, zostawiając za sobą karawanę bentleyów, rolls-royce'ów i mercedesów.

Usłyszał jej śmiech, głośny i bezwstydnym.

Czuł gorąco narastającego podniecenia. Poszli od razu do jej pokoju. Kiedy tylko przestąpili próg luksusowego apartamentu, uniosła twarz. Objął ją.

Odsunęła się tanecznym, rozkołysanym krokiem. Minę miała nadąsaną.

- Ty Francuziku...

- Nie jestem Francuzem. Jestem... No, chodź tu, Stacey. Już czas.

- Och, Jean-Claude... - Sięgnęła do zamka błyskawicznego u góry wydekoltowanego kombinezonu. - Nie chcesz najpierw zobaczyć, co dostaniesz?

Zatrzymał się zafascynowany, a ona rozpięła zamek i uwolniła swoje miodowe ciało: jaśniało i błagało, żeby je całować, gryźć i... Zaskoczyło go, że ma wygolone łono.

Poczuł, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Zalała go fala pożądania. Amerykanki zazwyczaj nie goliły tego miejsca, robiły to Europejki. Ta kombinacja amerykańskiej swobody i europejskiej mody zachwycała go.

Zrobił krok w jej kierunku. Wyszła z kombinezonu i rzuciła w niego ubranie.

Złapał je.

- Stacey!

Zbliżyła się, ocierając się o niego miodową skórą. Jego ręce dotykały tej gorącej skóry, usta chciały wchłonąć ciało. Był jak oszalały z pożądania.

Rozpięła mu spodnie i wzięła do ręki pulsujący członek. Jęknął z rozkoszy.

Pogłaskała go.

- Chcesz mnie, Jean-Claude? - szepnęła.

Chwyił ją za biodra, podnosząc tak, żeby mógł w nią wejść. Kiedy skończy i odpocznie, zrobi to jeszcze raz. I jeszcze raz. Będzie ją pieprzył, aż wymaże jej z pamięci wszystkich, którzy robili to przed nim. Aż zacznie ją boleć. Ale będzie jej tak dobrze, że będzie błagała o więcej. Będzie ją pieprzył tak noc w noc, aż wypieprzy z niej tę kowbojską bestroską, aż stanie się uległa i wtedy będzie mógł ją zostawić. Na zawsze.

Musi ją mieć. Teraz.

Pozwoliła, by jego członek wszedł między jej rozgrzane, wilgotne uda, i ścisnęła go, doprowadzając do ekstazy.

- Nie, Jean-Claude. Jeszcze nie. Mam pewne wymagania...

Kiedy różowe i cytrynowe pasma świtu powoli wypływały na niebo nad chłodną Riviera, komisarz policji na chwiejnych nogach wyszedł z hotelu. Był wyczerpany, ale i podekscytowany. Musi teraz wrócić do domu, wziąć prysznic i przebrać się do pracy.

Na górze, wciąż w łóżku, „Stacey” wystukała wielocyfrowy numer telefonu w Georgetown w Waszyngtonie. Tam była północ.

- Wszystkim się zajęłam - odezwała się do swojego szefa po drugiej stronie Atlantyku. - Zachowywał się dokładnie tak, jak się spodziewałam. Przyniesie mi dziś akta policyjne i wszystkie dokumenty. Myśli, że inaczej nie zobaczymy się dziś wieczorem. A bardzo chce mnie dziś zobaczyć, i jutro, i...

Męski głos z drugiej strony linii był chłodny i nieznoszący sprzeciwu. Przerwał jej. Wyczuła, że sprawa jest pilna.

- Zmusz go, żeby wprowadził te zmiany jak najszybciej. Dokumenty muszą być dziś po południu w Berlinie. Upewnij się, że facet zrozumiał, że będzie żył pod warunkiem, że będzie milczał. Potem leć do Londynu. Wszystko już załatwione. Tym razem idzie o kradzież. Najważniejsze, żebyś...

Gdy szef podawał jej szczegóły, zdjęła blond perukę. Wyjrzały spod niej krótkie czarne włosy. Przebiegła po nich palcami skupiona już na nowym zadaniu - kradzieży w Londynie.

Część pierwsza

Julia Austrian

1.

19.58, PIĄTEK, 3 LISTOPADA
LONDYN

Julia Austrian była niewidoma. Nie oślepla w wyniku tragicznego wypadku ani urazu okołoporodowego. Stało się to tak, jakby ręka Boga - a może raczej szatana - dotknęła jej oczu, kiedy spała, i odebrała im moc. Jej ślepotą nie miała żadnych przyczyn somatycznych. Problem leżał w psychice. Przerażała ją publiczność.

Nigdy nie pogodziła się z tym, że nie widzi. W pamięci przechowywała obrazy, które rozpamiętywała jak sny. Marzyła, żeby znowu móc widzieć. Ludziom kłamała. Mówiła, że ślepotą paniście nawet pomaga. Rodzinie wmawiała, że jest wręcz zadowolona, że nie widzi, bo to pozwala jej się skupić wyłącznie na karierze. Trzem mężczyznom, których kochała, mówiła, że seks sprawia jej więcej przyjemności, bo jest teraz bardziej zmysłowy.

W jej kłamstwach było trochę prawdy.

Dużo podróżowała po Stanach, Europie i Azji. Jej matka była jej menedżerem i jej oczami. Razem jeździły po świecie, który kręcił się wokół muzyki: od wielkich sal koncertowych do kameralnych, od wspaniałych rokokowych pałaców do drewnianych scen pod gołym niebem na prowincji. Krytycy zachwycali się siłą uderzenia Julii, pięknym tonem, doskonałą techniką i temperamentem - tą nieuchwytną właściwością, która każdą nutę nasyciła uczuciem. Jej bogata rodzina krzywiła się wprawdzie, że gra na fortepianie to co najmniej dziwne zajęcie, ale melomani uwielbiali ją. Była to jedna z dziwnych rzeczy w jej życiu: Julia karmiła duszę swojej publiczności, a publiczność w zamian karmiła jej duszę. Ale to z ich powodu straciła wzrok.

Chroniła ją matka, Marguerite Austrian. Julia była jedynaczką i między matką i córką zawiązała się niezwykle silna więź, możliwa między dwiema

dorosłymi osobami, które łączą więzy krwi. Poza tym łączyła je miłość i wzajemne zrozumienie, a także niezwykle silne poczucie niepewności, które miało źródło w rodzinnej tragedii. Julia była wdzięczna matce za wszystko, co Marguerite dla niej zrobiła. Było jej wstyd, że matka zrezygnowała z wygodnego życia, żeby pomóc córce.

Przecież mogła zatrudnić ludzi, którzy by się nią zajęli i pokierowali jej karierą. Pieniądze nie stanowiły problemu i Julia nie żałowała ich, gdy były potrzebne. Marguerite jednak rozwiązała wszelkie wątpliwości córki i z czasem Julia rozumiała, że życie w ciągłej podróży, praca i możliwość zastępowania córce wzroku było tym, czego chciała matka.

Muzyka była dla niej wszystkim. Dzięki ojcu, który pierwszy zauważył talent córki i posłał ją do Juilliard, i dzięki matce, która nie tylko umożliwiła Julii zrobienie kariery, ale jeszcze potrafiła zadbać o przyjemności - o ćwiczenia, koncerty, mężczyzn, podróże, czas dla siebie, treningi dla zachowania wagi i jogging, dzięki czemu mogła grać z taką siłą jak mężczyzna. Przez lata jej wiara we własne siły rosła. Teraz miała wrażenie, że nic strasznego nie może jej spotkać, że ze wszystkim da sobie radę.

Dziś, w piątkowy wieczór gra w Royal Albert Hall w Londynie. Koncert będzie transmitowany na żywo przez BBC.

W powietrzu czuć było podniecenie i zapach drogich perfum. Nie mogła się doczekać, żeby zacząć grać. Gdzieś na granicy świadomości zarejestrowała, że szepty za kulisami nagle ucichły. Publiczność na widowni wydawała stłumione pomruki, niecierpliwa jak dopiero co ujarzmione dzikie zwierzę. Julia czekała. Skupiła się na muzyce, która pulsowała jej w głowie. Palce aż rwały się do klawiatury.

Uśmiechnęła się. Już czas.

- Teraz, kochanie. - Głos matki był aksamitny, z typowym nowojorskim akcentem.

Julia puściła ramię Marguerite i zrobiła krok do przodu. Zawsze przed koncertem uczyła się drogi do fortepianu, żeby móc iść sama, bez białej laski, ciemnych okularów albo czyjegós ramienia. Przez lata wykształciła w sobie doskonałe wycucie kierunku. Nie było to nic niezwykłego. Ślepotą pozwala dostrzec to, co postrzegają inne zmysły.

Zatopiona w nutach, pochłonięta skomplikowanymi tematami etiud, które miała grać, nie zauważyła, że jej wewnętrzne zmysły były w tej chwili uśpione. Prowadzona potrzebą dotknięcia ukochanego steinwaya szła pewnym krokiem.

Niespodziewanie potknęła się.

Była zaskoczona, że nie wyczuła tego czegoś na drodze, że się potknęła i runęła jak długa. Leżała za kulisami zupełnie zdezorientowana. Poczuła promieniujący ból biodra i dłoni. Z trudem łąpała powietrze.

Słyszała kroki spieszące w jej stronę.

- Julia! - Matka był już przy niej i pomagała jej wstać. - Kto postawił tu ten stółek? Wszyscy wiedzieli, że tu ma nic nie stać. Zabierzcie to! Julia! Nic ci nie jest?

Z pomocą matki wstała. Czowała strach. Przeraziło ją nie to, że upadła, ale to, że straciła to szczególne wyczuwanie przedmiotów. Do tej pory miała wrażenie, że wyczuwa twarzą, niemal „widzi”, przedmioty dookoła - nisko pochyłoną gałąź przed sobą, coś na krześle, na którym ma usiąść, stółek na drodze. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Kiedy się żyje w ciemnościach, niewiele trzeba, by stracić orientację. Człowiek tonie w morzu czerni. Wystarczy stracić równowagę, a mieszają się kierunki i w głowie powstaje chaos.

Wyczulone zmysły w takiej chwili zawodzą. Podjęcie decyzji, w którą stronę ruszyć, staje się niemożliwe.

Musi się pozbierać.

Serce biło jej jak młotem, zamarła i skupiła się na tym, co czuło jej ciało. Bolały ją nadgarstki. Musiała upaść na ręce z większą siłą, niż się spodziewała. Znowu poczuła strach.

Ręce.

Nie może uszkodzić palców, dłoni ani nadgarstków. To byłby koniec jej gry. Nagle odzyskała czucie.

- Coś ci się stało! - Szept matki zabrzmiał jak krzyk.

Nie czuła ostrego bólu.

- Nic nie złamałam. - Była już spokojniejsza. Głośno, żeby uspokoić ludzi z obsługi, których ściszone, pełne niepokoju głosy słyszała dokoła, powiedziała: - Nic się nie stało. Dziękuję. Naprawdę. Wszystko jest w porządku.

Piekło ją wewnątrz dłoni, ale chciała zagrać niezależnie od wszystkiego. Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć plan koncertów na najbliższe dni.

- Co mamy w planie na jutro? - wyszeptwała.

- Lecimy do Wiednia. W ciągu najbliższych dwóch dni nie ma żadnego koncertu. Dlaczego pytasz? Chodzi o ręce, tak? Bardzo cię boli? - Głos matki był pełen troski.

- Dłonie trochę bolą. - Tym razem miała szczęście. - Po dzisiejszym koncercie chciałabym kilka dni odpocząć.

- Może powinnymy wezwać lekarza? Zrobić prześwietlenie?

- To nic poważnego, mam. Masz może aspirynę? - To zapobiegnie zapaleniu i opuchliznie.

Matka poszła poszukać tabletek, a Julię znowu ogarnął strach. Żaden niewidomy nie potrafi nieomylnie wyczuwać przedmiotów, ale jej zmysły, jak sądziła, były wyćwiczone w stopniu bliskim doskonałości. Przed chwilą po prostu pozwoliła muzyce, która ją wypełniała, doprowadzić do tego stanu

roztargnienia. Na początku, kiedy straciła wzrok, bez przerwy wpadała na ściany, drzwi, słupy na ulicy. To, co dla widzącego człowieka nie było żadnym problemem, dla niej mogło zakończyć się katastrofą. Mogła wpaść w otwartą studzienkę kanalizacyjną i złamać sobie kark. Mogła zrobić o jeden krok za daleko na balkonie i wylądować osiemdziesiąt pięter niżej.

Takie niebezpieczeństwa grożą niewidomemu zawsze, i to nie tylko jego ciało, ale także równowadze psychicznej. Julia bała się potwornie. Starła się zepchnąć strach gdzieś głębiej, ale był tuż za nią, jak jakiś ogromny złowrogi cień. Czekał tylko na odpowiedni moment, żeby nią zawładnąć, tak żeby już nigdy nie była w stanie grać.

Po twarzy zaczęły jej spływać stróżki potu. Oddech miała szybki, urywany. Wokół panowała pełna oczekiwania i niepokoju cisza. Julia wiedziała, że nie może dopuścić do siebie przerażenia, nie może poddać się rezygnacji, którą czuła u tych, których nie widziała.

Ktoś nieumyślnie postawił na jej drodze stół. Nic więcej się nie stało.

- Możesz grać? - Obok pojawiła się jej agentka Marsha Barr. Była mocno zaniepokojona.

- Nie sądzę. - Wróciła matka. Podała Julii dwie tabletki aspiryny i szklanek wody.

- Oczywiście, że mogę. - Julia podjęła już decyzję. Połknęła tabletki i popiła je wodą.

- Julio!

- Naprawdę nic mi nie jest. - Nie może zawieść swojej widowni.

- Jak ręce? - zapytała matka.

- Trochę bołą. - Julia uśmiechnęła się krzywo. - Ale amputacja nie będzie konieczna.

Szepty wokół nagle ucichły, a po chwili dał się słyszeć stłumiony śmiech ulgi.

Marsha Barr poklepała Julię po ramieniu.

- Widzę, że wszystko w porządku. - Odsunęła się. - Pójdę przeprosić publiczność za opóźnienie.

- Masz rację, że amputacja to przesada. Pomyśl, jak byśmy musiały się gimnastykować, żeby dotrzeć do końca tournée - powiedziała matka, kiedy Marsha się oddaliła. Roześmiała się, ale Julia wyczuła w jej głosie niepokój.

Oprócz zdolności wyczuwania przedmiotów na drodze Julia zwykle słyszała i czuła ruch. Jest to możliwe dzięki proprioreceptorom - malutkim organom sensorycznym, które znajdują się w mięśniach, ścięgnach i w innych tkankach podskórnych. Widzący zazwyczaj nawet nie zdają sobie sprawy z ich istnienia. Julia nauczyła się wyczuwać ruch powietrza wywołany przez poruszające się przedmioty. Słyszała najcichsze kroki na dywanie, dźwięki wydawane przez pracujące stawy albo żołądek. Czuła ciepło, kiedy zbliżała się do niej żywa istota.

Dzisiejszego wieczoru jednak jej wyczucie zawiodło do tego stopnia, że wpadła na stół. Na moment straciła swoje umiejętności. I przeraziła się, że tak jak kiedyś straciła wzrok, teraz mogła stracić ten zmysł...

Spróbowała się skoncentrować i naraz poczuła znajomy ruch powietrza. Serce aż podskoczyło jej z radości, bo tajemnicza umiejętność, której nie rozumiała, pojawiła się znowu, wróciła. Poczowała, że matka wyciąga do niej dłoń.

Z radością wyciągnęła swoje.

Słowa Marguerite wyrażały nagane, ale w głosie słyhać było ulgę.

- Julio! Za każdym razem, kiedy robisz coś takiego, przerażasz mnie.

Julia uśmiechnęła się.

- To tylko moje proprioreceptory.

Czekała niecierpliwie, aż matka ujmie jej ręce i obejrzy palce, dłonie i nadgarstki.

- Zdaje się, że to nic poważnego, ale mimo wszystko, lepiej, żeby zobaczył to lekarz.

Innymi słowy, matka potwierdziła jej diagnozę. Teraz Julia chciała się skupić, wycofać w głąb siebie i znowu przygotować się do grania. Musi się wyciszyć, oderwać od tego, co się wydarzyło, skoncentrować.

Odezwała się beztrząsco:

- Nie ma złamania, pani doktor. To pani diagnoza. Jeśli rano nie będzie poprawy, będzie mogła pani wezwać kogoś ze swoich kolegów po fachu.

- Co za wspaniałomyślność.

- Staram się nie utrudniać. - W kolejnym wybuchu radości nadstawiła policzek do pocałunku.

- Do diabła, Julio! Przestajesz w końcu to robić? - Matka właśnie się nachylała, żeby ją pocałować.

Julia wyczuła to swoim szóstym zmysłem.

- Mamo, jesteś kochana. - Roześmiała się.

- Wiem, córeczko. - Matka z czułością pocałowała nadstawiony policzek. - Ty też jesteś kochana.

- Jestem gotowa, żeby grać. Zaprowadź mnie w miejsce, skąd ruszyłam, żebym mogła od nowa odliczyć kroki.

- Jesteś pewna?

- A nie ma już tam stołka? - zapytała Julia.

- Nie ma.

- W takim razie jestem pewna. Na sto procent. Cała naprzód jeszcze raz.

Julia szła pewnym krokiem, mimo że dookoła panowała całkowita ciemność. Długa suknia od Versacego owijała się jej wokół nóg. Znowu poczuła, że etiudy

Lisza wypełniają ją swym pięknem, krew krążyła niemal w rytmie muzyki. A zmysły zasnęły.

Kiedy weszła na scenę, poczuła, że znalazła się w blasku światła, że ma przed sobą morze ludzi. Zerwała się burza oklasków. Dziesięć kroków dalej czekał na nią jej fortepian, steinway. Zabierała go na każdy koncert. Kiedy tylko przyjeżdżała, fortepian ustawiano na scenie i strojono zgodnie z jej wskazówkami. Sprawdziła go dziś po południu i stwierdziła, że jest doskonale nastrojony, pełen życia i pięknych sonorowych dźwięków. Sama radość grać na takim instrumencie.

Jeszcze osiem kroków. Dziś Julia podaruje swoim słuchaczom coś bardzo europejskiego - *Etiudy Transcendentalne* Liszta. Każda z nich jest inna pod względem technicznym i stylistycznym, a wszystkie razem stanowią wielkie romantyczne dzieło. Pierwsza etiuda, *Preludium*, już pulsowała w krwiobiegu Julii, już wzywała do rozpoczęcia tego niezwykłego dzieła.

Jeszcze sześć kroków. Od chwili, kiedy straciła wzrok, minęło już dziesięć lat. Stało się to, gdy jako osiemnastoletnia dziewczyna debiutowała w Carnegie. Uderzyła ją teraz myśl, że tych dziesięć lat minęło tak szybko. Świat Julii nie zmienił się od tamtej chwili, jak można by podejrzewać, nie stał się wcale żałosny i beznadziejnie smutny. Wprost przeciwnie, jaśniał równie mocno, chociaż inaczej - teraz były to zapachy, kształty, smaki, dotyk, a nade wszystko dźwięki... Muzyka.

Jeszcze cztery kroki. Poczuła, że cierpnie jej skóra, serce zaczyna walić.

Dwa kroki. Już prawie. Fortepian stoi obok.

Jeszcze krok. Głęboko wciągnęła powietrze. Jest muzyką, i tylko to ma znaczenie.

I wtedy w nieprzeniknionej czerni zobaczyła migoczące sreberko światła. Poraziło ją jak grom z jasnego nieba. Omal nie upadła. Światło? Znowu to dziwne złudzenie? Dwa dni temu w Warszawie miała wrażenie, że widzi jakieś nikłe światło na chwilę przed tym, nim zaczęła grać. Ale tamto światło było jak myśl, przemknęło tak szybko, że potem tłumaczyła sobie, że tylko się jej zdawało.

Jednak teraz światło nie zniknęło. Poczuła, że oczy robią się jej ciepłe. Ma w to uwierzyć? Gardło ścisnęło jej się tak, że aż bolało. Zakiełkowała w niej nadzieja...

Tak, to prawda. Zamrugła oczami. Zimna, mroczna jaskinia, w której żyła tak długo, zaczęła się powoli rozpyływać. Serce z podniecenia biło coraz mocniej.

To światło było piękne. Jaśniało delikatne jak skóra nowo narodzonego dziecka. Oszołomiona Julia stała nieruchomo jak zakłeta.

Światło stawało się coraz intensywniejsze. Jej oczy zdawały się wracać do życia. Świat zaczął nabierać cudownego blasku. Przedmioty odnalazły swoje kształty. Julia była zachwycona...

Widziała!

Z pewnością, która aż zakłuła w serce, natychmiast zwróciła wzrok na Steinwaya. Piękno instrumentu oszołomiło ją - jedyne w swoim rodzaju połączenie białych i czarnych klawiszy, otwarte pudło w kształcie harfy przypominające skrzynię ze skarbem. Publiczność siedziała w ciszy pełnej napięcia, Julia zaś usiadła i przeciągnęła dłonią po klawiaturze. Długo czekała na tę chwilę. Zawsze na nią czekała.

Upojona szczęściem zatopiła się w kontemplacji piękna instrumentu, który stał się jej życiem.

Minęła dłuższa chwila. Julia wiedziała, że trzeba zacząć grać, ale...

Była stęskniona widoku wszystkiego wokół. Spojrzała w bok, za kulisy. Pracownicy techniczni czekali zaciekawieni, niepewni, czym spowodowana jest ta zwłoka. A ona patrzyła zachwycona na ich postaci i twarze. Dosłownie pożerała wzrokiem każdy szczegół. Cieszyła się wyblakłym kolorem kombinezonów, który jak podpowiadała jej pamięć, był po prostu zielenią. Ale w tej chwili na ciemnej, pozbawionej kolorów scenie ta sprana zieleń wydała się jej najjaszawszym, najpiękniejszym kolorem, jaki widziała w życiu.

Widziała. Tylko czy naprawdę? Czy mogła temu zaufać?

Odwróciła się do widowni, do tego stworzenia, które kochała i którego zarazem się bała. Błysnęło diamentami i złotem. Dostrzegła jedwab i satynę, gładko ogolonych mężczyzn w eleganckich garniturach i kobiety za duże pieniądze „zrobione na bóstwa”. Onieśmielona rozkoszowała się świadomością, że ich uważne spojrzenia skoncentrowane są na niej. Ci wszyscy ludzie przyszli tu po to, żeby słuchać, jak gra.

Publiczność zaczęła się niecierpliwić. To trwa zbyt długo. Julia roześmiała się w duchu. Oni wszyscy myślą, że ich nie widzi. Skąd mieliby wiedzieć...

Chciała patrzeć dalej, nie przestawać patrzeć... żeby udowodnić sobie, że znowu widzi... Chciała odkrywać szczegół po szczególe ten wspaniały świat, który jak się jej zdawało, straciła na zawsze...

Przywołała się do porządku. Później będzie dość czasu na to wszystko, za czym tak tęskniła. Przecież już widzi.

Wypełniona do ostatniego miejsca widownia czekała na nią. W uniesieniu podniosła dłonie i zatrzymała je na chwilę tuż nad klawiaturą, czując niezwykłość tego momentu. Zaczęła grać, a muzyka napełniła życiem wszystko dookoła.

Tego wieczoru Julię Austrian przepełniało poczucie tryumfu i szczęście. Ra-
dość z tego, że odzyskała wzrok, dała jej siłę, która jak potężna rzeka wdarła się w etiudy Liszta. Dla Julii muzyka znaczyła wiele różnych rzeczy, ale dzisiejszego wieczoru dała jej możliwość potwierdzenia, że oto jej marzenia się spełniły.

Palce pianistki to uderzały w klawisze jak młoty, to znów muskały klawiaturę niczym skrzydła motyla. Nuty tańczyły, unosiły się, krzyczały z bólu, płakały i wybuchały śmiechem. Dźwięki raz kręciły piruety, raz ślizgały się. Kiedy Julia dotarła do *Mazepy*, czwartej etiudy, która kreśli portret kozaka pędzącego na dzikim rumaku, gdzie gra wymaga wyjątkowo ciężkiej pracy rąk, ramion i nadgarstków, zapomniała o przeszłości i przyszłości, o widzeniu i ślepotcie, o bólu i o samotności.

Zlana potem uciekła w ulotny świat, w którym zatarciu uległy granice między nią i muzyką. Julia stała się wszystkim: uczuciami, wielką poezją i mitami. Przestało się dla niej liczyć, czy dobrze zagra koncert.

Jej gra żyła już własnym życiem. Mięśnie, które tak wytrwale trenowała, siła fizyczna, którą wypracowała, latami podnosząc ciężary, wszystko to pozwoliło jej zagrać na poziomie godnym największych wirtuozów. Kiedy dotarła do ostatniej części *Snowscape*, gdzieś z głębi świadomości dotarło do niej, że właśnie zagrała koncert zapierający dech w piersi.

Musiała się jednak teraz skupić, by - z całą swą wrażliwością i delikatnością - oddać harmonię między melodią i akompaniamentem tremolando. Całe serce włożyła w tę najwspanialszą etiudę Liszta, w ten obraz rozdzierającej pustki. Miała wrażenie, że wokół zaczynają wirować płatki śniegu, które powoli zasypują cały świat, ludzi, zwierzęta, domy, ulice. A wiatr wzdycha i jęczy.

Kiedy grała ostatnie nuty, muzyka unosiła się w powietrzu niemal namacalnie. Wszechobecna.

Koniec.

Publiczność zerwała się z owacjami.

Nie przestawała klaskać. Wszyscy krzyczeli jak oszaleli.

Julia ukloniła się i wyszła, ale wywołano ją z powrotem. Potem zagrała kolejny bis. I jeszcze raz, i znowu. Wreszcie stanęła na scenie. Pokornie spuściła głowę przed burzliwie oklaskującą ją publicznością i w tej chwili prawie zapomniała, że odzyskała wzrok.

2.

22.32, PIĄTEK

- Julio! Co za koncert! - Nie poznała, do kogo należy ten głos mówiący po angielsku.

- *Viva! Viva Julia Austrian!* - Teraz odezwał się ktoś po hiszpańsku.

W uniesieniu Julia zeszła ze sceny Royal Albert Hall. Zewsząd słyszała gratulacje i słowa uznania. Słuchacze byli zachwyceni. Ona też. I to nie tylko ze względu na wyjątkowo udany koncert. Zachłystywała się ze szczęścia, że odzyskała wzrok.

Widzi! Ale czy to trwała zmiana? Skąd ma mieć pewność?

Nie może mieć żadnej pewności. Wzrok może zniknąć tak, jak wtedy w Warszawie.

Na razie nikomu o tym nie powie. Przez te wszystkie lata od chwili, kiedy obudziła się niewidoma, a matka powiedziała jej, że tej nocy w wypadku samochodowym zginął jej ojciec, obie kobiety żyły pogrążone w żałobie. Mimo to Marguerite nie poddawała się. Przeprowadziła tysiące rozmów, niestrudzenie prowadziła córkę po lekarzach, próbując znaleźć przyczynę jej nagłej ślepoty. Kolejni okuliści poddawali Julię niekończącym się badaniom - oftalmoskopii, badaniu ciśnienia krwi w oku, badaniu lampą szczelinową, badaniu pola widzenia, angiografii fluoresceinowej. Julia zdążyła zaprzyjaźnić się z urządzeniami diagnostycznymi, takimi jak tomograf komputerowy, rezonator magnetyczny i ultrasonograf. Ale żaden lekarz nie stwierdził śladu problemu o podłożu fizjologicznym.

Kiedy wuj Creighton Redmond zasugerował wizytę u jednego z czołowych światowych psychiatrów, Julia odmówiła, a Marguerite była przerażona samą sugestią, że u podstaw kalectwa córki może leżeć problem emocjonalny.

Jednak z biegiem czasu i matkę, i córkę ogarnęła desperacja, a pomysł wuja Creightona okazał się ostatnią deską ratunku. Psychiatra nazywał się Walter Dupuy i cieszył się sławą nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i w Europie, gdzie w Paryżu właśnie otworzył klinikę. Cena za wizytę uwzględniała jego światową sławę, ale rodzina Austrian mogła sobie na to pozwolić. Julia udała się zatem do niego. Doktor Dupuy cierpliwie zadawał pytania i słuchał odpowiedzi, a na zakończenie postawił diagnozę: ślepotą Julii jest spowodowana zaburzeniem określanym mianem zastąpienia. Lekarz dodał, że takie jest też oficjalne stanowisko Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Julia zawsze denerwowała się, jak zostanie przyjęta przez publiczność. Chwilami przerażały ją wybuchy entuzjazmu ze strony słuchaczy. W dzień jej debiutu morze twarzy pełnych oczekiwania, zniecierpliwionych i wymagających, wywołało w dziewczynie burzę emocji, strach. Napięcie nerwowe, trema objawiająca się nawet wymiotami przed występem nie są rzadkością wśród artystów, ale według doktora Dupuya niepokój Julii posunął się dalej.

Tamtego wieczoru na koncercie Julię przeraziła ogromna liczba wpatrzonych w nią twarzy i ich nagły, nieoczekiwany aplauz. Wiedząc - i bojąc się tego - że już do końca życia będzie musiała oglądać wielogłowego ryczącego potwora, straciła wzrok.

Matka i córka zareagowały na tę diagnozę zaskoczeniem i niedowierzaniem, więc doktor Dupuy przeczytał im odnośny fragment z *Wykazu diagnostyki i statystyki zaburzeń umysłowych*: „...objaw tego rodzaju stanowi symboliczne rozwiązanie nieuświadomionego konfliktu psychologicznego, powodując zmniejszenie lęku i jednocześnie pozwalając utrzymać sam konflikt w sferze nieświadomości.... Symptom jest wywołany bez udziału świadomości...”.

Julia „zamieniła” swój strach przed publicznością w ślepotę. Poszła spać i obudziła się z „rozwiązanym” problemem. Nie zrobiła tego świadomie i nie zaszła w niej żadna inna zmiana; tylko wzrok ucierpiał. Była tą samą osobą, jej talent i inteligencja nie poniosły żadnego uszczerbku, tak samo jak jej sprawność fizyczna. Tylko wzrok.

Doktor Dupuy rozumiał wątpliwości matki i córki. Wysłał je do swoich kolegów po fachu, jednego w Wiedniu, drugiego w Los Angeles. Obaj przebadali Julię i mimo że pewnie bardzo im zależało, by podważyć diagnozę Dupuya, potwierdzili ją. Od tej pory Julia przed wiele lat często odwiedzała doktora Dupuya, brała udział w sesjach terapeutycznych, zwłaszcza przed recitalami i koncertami. Ale w końcu po latach rozmów i przyjmowania tabletek uspokajających doszła do wniosku, że da szansę, żeby czas sam uleczył rany. Doktor twierdził, że skoro jej ślepota nie ma podłoża fizjologicznego, samorzutny powrót wzroku jest możliwy.

Po tym wszystkim nie mogła teraz dać matce fałszywej nadziei. Trzymała więc swoją radość w tajemnicy, ciesząc się każdym nowym widokiem i czekając, aż będzie miała pewność, że to trwała zmiana.

Z uśmiechem i, jak zwykle, z przyciemnionymi okularami na nosie przywitała wielbicieli, którzy stłoczyli się w jej garderobie. W powietrzu unosił się zapach dobrych perfum i cygar, słychać było podniecone głosy. Kiedy rozmawiała z ludźmi, jej oczy potajemnie upajały się kolorami, fakturą, kształtami.

Widziała twarze. Ruch.

Zwykle cmoknięcie w nadstawiony policzek.

Uśmiech zrozumienia.

Przez ponad dziesięć lat nie widziała nic i teraz wspaniałość wszystkiego, na czym spoczął jej wzrok, była jak cud.

Nagle poczuła przeszywający ból. Przypomniało się jej, jak łatwo wzrok znikł w Warszawie.

Wystarczy mrugnięcie okiem. To może się przecież powtórzyć.

Julia pozwoliła, by matka wyprowadziła ją z sali pełnej podekscytowanych wielbicieli i zaprowadziła na tradycyjne przyjęcie po koncercie. Wielu wykonawców nie znosi tych przyjęć, ale to ważna część życia międzynarodowej

sceny muzycznej. To czas, kiedy miłośnicy muzyki mogą spotkać się z artystami, a orędownicy sztuki mogą wyszukać sponsorów na następne koncerty. Julia z czasem polubiła te imprezy, a w cudowny sposób odzyskany wzrok sprawił, że dzisiejsza była zupełnie wyjątkowa.

Wszystkie te osobistości - śmietanka towarzyska świata przemysłu i sztuki - przyszły tu, żeby ją powitać...

Odezwiała się jakaś kobieta pachnąca perfumami White Diamonds.

- Co za interpretacja! Sprzedała pani duszę diabłu? Nawet jeśli tak, to warto było!

- Pani Austrian, czy wie pani, jaka jest różnica między toyotą a skrzypcami? - zapytał jakiś jowialny adwokat z Kentu.

Kiedy Julia przyznała, że nie wie, adwokat roześmiał się serdecznie.

- Toyotę można nastroić!

Julia roześmiała się i zobaczyła, że matka podchodzi do kuriera, który pojawił się w drzwiach z przesyłką wielkości małego zeszytu zapakowaną w szary papier. Marguerite szła z podniesioną głową, była w szampańskim humorze. Na ramieniu miała torbę od Louisa Vuittona. Potwierdziła odbiór przesyłki i wrzuciła paczkę do obszernej torby. Kiedy kurier się oddalił, Marguerite przyłączyła się do jakiejś grupki rozmawiających.

Julia milczała, nie mogąc oderwać oczu od twarzy idącej w jej stronę matki. Odzyskany wzrok ukrywała za ciemnymi okularami. Jakaś grupka ludzi przesunęła się i zaskoczona Julia zobaczyła, jak bardzo matka się zmieniła. Kiedyś była niezwykle elegancką, wojowniczą kobietą o mocno zarysowanej szczęce i wystających kościach policzkowych o ładnej linii. Miała jasne, ale nieugięte spojrzenie. Teraz to, co kiedyś wydawało się w tej twarzy chłodne, złagodniało i stało się delikatniejsze. Z żelazną siłą charakteru wymieszały się dobroć i troska. Matka postarzała się, ale z wiekiem jej twarz wyszlachetniała. Stała się piękniejsza. Subtelniejsza. Bardziej ludzka.

Gdzieś w głębi duszy Julia uśmiechnęła się z radości.

- Dziwne - powiedziała Marguerite. - Właśnie dostałam przesyłkę prawdopodobnie od mojego ojca. - Poklepała torbę na ramieniu i uśmiechnęła się. Z czasem oddaliła się od rodziny i wyzwoliła spod jej kontroli, ale wciąż czuła się silnie związana z ojcem, który przebywał teraz w domu opieki. - Nie ma na niej nazwiska ani adresu zwrotnego, ale pieczętka pocztowa wskazuje, że paczkę nadano w Armonk. Adres napisano drżącą ręką, więc mógł to być dziadek. Otworzymy ją, kiedy wrócimy do hotelu. Może dziadek czuje się lepiej. Zamilkła na chwilę. Obwiniła się, że zajęta opieką nad Julią nie zauważyła, jak ojciec traci siły i z krzepkiego mężczyzny zamienia się w starca. - Dobrze się bawisz, kochanie?

Julia zachichotała, nie mogąc ukryć radości. Cudownie było rozmawiać z matką i ją widzieć.

- Świetnie.

- To dobrze. - Marguerite zmrużyła oczy. - A jak ręce?

Julia uniosła dłonie.

- Na swoim miejscu. Donoszę posłusznie, że czują się dobrze. Ból minął. Ćwiczenia na klawiaturze pomogły.

Marguerite uśmiechnęła się. To właśnie miała nadzieję usłyszeć. Sama nie grała, ale wiedziała wystarczająco dużo, żeby nie mieć wątpliwości, że nie ma pianisty, który zagrałby dwanaście etud Liszta i nie czuł silnego bólu, gdyby choć najmniejsze ścięgno było osłabione. A złamana kość albo zbity mięsień nie pozwoliłyby na dokończenie koncertu. Etiudy był bolesnym sprawdzianem.

Marguerite złapała się na tym, że przygląda się córce z nostalgią. Kiedy myślała o minionych latach, miała wrażenie, że minęły niepostrzeżenie, bez uniesień. Lubiała swoje życie, ale czegoś jej brakowało. Gdyby mogło się spełnić jedno jej życzenie, chciałaby, żeby wrócił Jonathan. Tak bardzo żałowała, że nie mógł usłyszeć, jak ich córka dziś grała. Często czuła, że go jej brak, wciąż miała wrażenie, że widzi go w kącie sypialni i cierpiała sama w pustym łóżku. Tęskniła za ich niekończącymi się rozmowami, które były teraz dla niej rajem utraconym. Jej życie nie byłoby puste, gdyby nie brakowało w nim tego, co sprawia, że wszystko - zarówno rzeczy wielkie, jak i drobiazgi - cieszy. Jonathana.

Rodzina Marguerite mieszkała w Nowym Jorku. Redmondowie. Liczna katolicka rodzina pochodząca z Irlandii była pełna ciepła, choć chwilami swarliwa, miała dużo do powiedzenia na każdy temat, a swoje wielkie bogactwo i władzę wykorzystywała z chłodną nonszalancją. Dawno temu Marguerite oddaliła się od niej i teraz całym jej życiem było jedyne dziecko, Julia. Była jednak gotowa usunąć się w cień, gdyby Julia spotkała mężczyznę, którego mogłaby kochać. Marguerite życzyła córce takiego spełnienia i szczęścia, jakiego sama zaznała z Jonathanem. Każdy człowiek na to zasługuje.

Kiedy teraz przyglądała się córce - jej długim brązowym włosom z pasemkami złota, niebieskim oczom, które Julia odziedziczyła po niej, szczupłej twarzy, na której smutek odcisnął znacznie mocniejsze piętno, niż powinien - zastanawiała się nad przyszłością i modliła się, żeby Julia potrafiła pokonać tę złą moc, która odebrała jej wzrok.

Uśmiechnęła się.

- Podziwiałam wdzięk, z jakim dziś upadłaś. To było chyba najbardziej uroczym z potknięć.

- Dziękuję. To kwestia praktyki.

Marguerite roześmiała się głośno, ciesząc się z humoru córki.

Stały obok siebie, przez chwilę chronione murem prywatności, podczas gdy uroczystość wokół toczyła się dalej. Julia próbowała zapamiętać matkę - delikatne zmarszczki, pełne gracji skinienie głową, masa gęstych ciemnych włosów

upiętych z tyłu. Matka - jej latarnia morska. Poczwała, jak lodowaty dreszcz przebiega jej po plecach...

Wystarczy mrugnięcie okiem. Wzrok może zniknąć tak samo nagle, jak się pojawił, i matka na powrót rozplynie się w ciemności.

Przystojny Włoch w drogim wieczorowym garniturze pochylił się nisko nad dłonią Julii. Miał świecące, czekoladowo-brązowe oczy i - sądząc po wyszukanej biżuterii - był bardzo bogaty.

Patrzył na nią z tym rodzajem niezobowiązującego pożądanego, które w najlepszym razie mogło wydać się czarujące, a w najgorszym sprawić, że kobieta nagle czuła potrzebę znalezienia się pod prysznicem ze szczotką ryżową i dużym kawałkiem mydła.

Na szczęście był dobrze wychowany, a ona miała nad nim tę przewagę, że go widziała. Widziała, jak ją taksuje. Rozbierał ją wzrokiem i nie mógł wiedzieć, że ona to widzi. Najwyraźniej podobało mu się to, co zobaczył,

- Zachwycające, *signorina!* - wykrzyknął z entuzjazmem. - Nawet Toscanini chciałby mieć panią u siebie na scenie. - To miał być komplement: gdyby wielki maestro Arturo Toscanini miał możliwość słyszeć jej występ, z pewnością zaprosiłby ją do udziału w jednym ze swoich programów. Jej niedoszły zdobywca był tego pewien. Toscanini zasłynął jako perfekcjonista bezlitośnie wykorzystujący swoich wykonawców i zmarł, twierdząc, że nie usłyszał w życiu nawet pięciu minut prawdziwej muzyki.

- *Grazie* - odpowiedziała uprzejmie. - Pan mi pochlebia. - Odwróciła się, żeby odejść.

- Ależ, *signorina...* - Ruszył za nią, ujął za ramię i odwrócił jej twarz w swoją stronę. Pachniał wodą kolońską sygnowaną nazwiskiem któregoś z projektantów mody. - Może zechce pani wypić ze mną kieliszek wina. Albo jakiegoś dobrego koniaku. *Delizioso*. Słyszałem o pani wielkim sukcesie w Warszawie. Może moglibyśmy porozmawiać. Jest pani tak piękną kobietą. I tak utalentowaną. *Sensazionale!*

Zesztywniała. Cały wieczór rozkoszowała się wszystkim, co miało związek z muzyką i ze wzrokiem. Przeszłość i przyszłość prawie nie istniały. Ale teraz, kiedy ten przystojny nieznajomy zaczął jej prawić komplementy, nie miała siły wyrwać się spod władzy jego żarłocznego spojrzenia. Jego dłoń niemal paliła jej skórę na nagim ramieniu. Miała uczucie, jakby spadała z niej suknia. I wszystko przez to, że widziała, jak na nią patrzy, i rozumiała, o co mu chodzi.

Gdyby była niewidoma, prawdopodobnie nie podziałałby na nią w ten sposób. Ale to, co zobaczyła, zdradziło jej jego zamiary, jego pożądanie. Poczwała ucisk w żołądku.

Mężczyzna przypomniał jej...

Evana... jej chłopaka w Juilliard - skrzypka o krzepkim ciele i niespożytej energii. Łączył w sobie magnetyczną siłę wielkiego talentu i ogromną radość życia. Evan kochał ją, a ona lgnęła do niego. Pławiła się w jego uczuciu. Prowadzili niekończące się dyskusje o muzyce i o przyszłości. Rozmawiali o koncertach. I o jego dłoniach na jej ciele.

Próbowała o tym nie myśleć... ale teraz, właśnie teraz czuła jego miękkie palce pod sukienką. Budziły w niej płomień samą tylko pieszczotą. Evan.

Wciągnęła głęboko powietrze. Kochała go. Zawsze, kiedy rodzice wyjeżdżali, ukradkiem, żeby nie zauważyła pokojówka, wprowadzała go do sypialni. Przypominał się jej chłód pościeli i gorąco jego ciała.

Ich namiętność...

Poczuła, że serce zabiło jej mocniej.

Nie chciała o nim myśleć. Kiedy straciła wzrok, odprawiła go...

Bo litość nie zostawia miejsca ani na miłość, ani na szacunek. Nie mogłaby znieść jego litości.

Evan znalazł sobie inną miłość i poślubił ją. Wyprowadził się z nią do Chicago i był podobno bardzo szczęśliwy. Tak przynajmniej twierdziła ich wspólna znajoma, śmiejąc się przy tym złośliwie.

Poszukała więc innego mężczyzny - o dobrej, wrażliwej duszy - który jak się okazało, zakochała się w jej muzyce, a nie w niej. Potem pojawił się jeszcze jeden mężczyzna, który uparł się, że zrobi z niej zjawisko na skalę kraju, gwiazdę stale obecną w telewizji, na plakatach, podkoszulkach i w filmach. Piękna Niewidoma Pianistka.

Azją skręcało na myśl o takiej przyszłości, więc pozbyła się go. W jej życiu nie było miejsca dla mężczyzn.

Stanowczym ruchem zdjęła dłoń Włocha ze swojego nagiego ramienia.

- *Signore*, pan szuka innej kobiety. Nie mnie.

Ciemne wygłodniałe oczy hipnotyzowały ją. Oblesnie oblizal usta, nie próbując już nawet zachować pozorów.

- Nie ma drugiej takiej jak ty, Julio. Mogę ci mówić po imieniu? Żadna inna kobieta nie jest tak czarująca, tak pociągająca i słodka...

Odwróciła się od niego.

- Proszę zrobić zdjęcie. Będzie mnie pan miał na zawsze.

Podeszła do grupki znajomych muzyków, wymazując z pamięci obraz zaskoczonej twarzy Włocha. Należał do mężczyzn, którzy zawsze dostają to, czego chcą.

Ale Julia nie będzie jedną z jego zdobyczy. Uśmiechnęła się z ulgą. I wtedy przypomniała sobie.

Wystarczy mrugnięcie okiem. Gdyby nie wzrok, pewnie dałaby się zwieść urokowi tego fircyka. Przestała się uśmiechać.

Nadszedł czas. Do tej pory powstrzymywała się od zerkania w szyby i lustra, ale musi to w końcu zrobić. Zwłaszcza teraz. Po spotkaniu z Włochem. Poczula, że przeszłość nagle ją dogoniła.

Na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Musi sprawdzić, jak wygląda.

Jest coś dziwnego w wyglądzie twarzy - nie w kształcie kości i mięśni, który odziedziczyliśmy niezależnie od naszej woli, ale w sposobie, w jaki czas i doświadczenie wyrzeźbiły rysy naszej twarzy. Dla ludzi widzących to coś naturalnego; spoglądają codziennie w lustro, nie zdając sobie sprawy z własnego szczęścia. Wizerunek własnej twarzy towarzyszy im ciągle, równie powszedni jak bicie serca.

Tymczasem twarz Julii mogła okazać się obca. Czy po tylu latach będzie wyglądać jak ona? Czy siebie pozna?

Julia była sama w łazience. Podbiegła do lustra w złotej ramie. Serce trzepotało jej w piersi. Zdjęła ciemne okulary, zbliżyła twarz do lustra i spojrzała.

Nie poczuła zaskoczenia. Miała ładną cerę, ogromne owalne niebieskie oczy. Dotknęła ust. Były pełne i wypukłe. Prosty i szczupły nos podkreślał doskonałą symetrię jej twarzy - tego kiedyś nie zauważała. Włosy miała złotobrazowe, gęste i błyszczące, szczególnie na wysokości ramion, w miejscu, gdzie się zawijały. Stała przed lustrem zaskoczona. Ta twarz mogłaby należeć do kogoś, kto właśnie skończył sesję zdjęciową na okładkę do „Cosmopolitan”. Wielkie oczy, zgrabny nos, pełne, zmysłowe usta, wystające kości policzkowe. Przez chwilę zdawało się jej, że ta piękna kobieta nie może być nią.

W wieku osiemnastu lat, kiedy straciła wzrok, była jeszcze nieukończona, niczym dopiero zagruntowane płótno, które czeka na malarza. Teraz miała dwadzieścia osiem lat i była jak ukończony obraz Leonarda da Vinci, mądra i tajemnicza. To nadało charakter jej kościom policzkowym, wysokiemu czołu, rozchylającym się wargom i spoglądającym ciekawie oczom.

Zdziwiła ją ta twarz. Zobaczyła w niej więcej bólu, niż - jak się jej zdawało - czuła. Tak jakby twarz kryła sekrety, o których sama Julia nie wiedziała. Nagle przebiegł ją zimny dreszcz. Obudziły się w niej jakieś wspomnienia, z którymi wiązał się dziwny, intensywny zapach; nie potrafiła go nazwać, mimo że był znajomy. Wzdrygnęła się. Jeszcze raz przyjrzała się sobie. Nagle poczuła lęk. Przed czym?

00.01, SOBOTA

Przyjęcie dobiegło końca i matka wyprowadziła Julię w bezchmurną, mroźną londyńską noc. Szły do czarnej taksówki, która miała je zawieźć do hotelu w

dzielnicy Belgravia. Julia zadarła do góry głowę i spojrzała w niebo, zaaferowana odzyskanym dopiero wzrokiem. Czarne sklepienie nad jej głową migotało drobinami gwiazdek. Upajała ją ta wspaniałość. Spojrzała na ulicę, pełną świateł samochodów i ruchu. Światła sprawiały, że cienie jak elfy przeskakiwały między drzewami, zaroślami i przechodniami.

Zapatrzona w piękno tej tak ważnej dla niej nocy przyrzekła sobie w duchu, że zawsze będzie pamiętać o kruchości ludzkiego życia. Będzie się zatrzymywać, żeby podziwiać zachody i wschody słońca, uśmiechnięte twarze, wszystko to, czego tak długo jej brakowało. Serce wypełniała jej wdzięczność.

Kiedy znalazły się przy taksówce, Julia poczuła, że to nie w porządku. Od czterech godzin widziała, więc mogła przypuszczać, że to nie tylko łut szczęścia, przypadek, chwilowe omamy. Musi powiedzieć o tym matce.

- Mamo...

- Uwaga na próg. - Taksówkarz otworzył szeroko tylne drzwi i dłonią dotknął czapki.

Julia rozsiadła się wygodnie wdychając zapach skórzanego obicia, za nią wsiadła matka. Kierowca usiadł za kierownicą i zamknął szybę oddzielającą przednie siedzenia od tylnych. Były same.

- Mamo, pozwól mi na siebie popatrzeć.

Marguerite Austrian nie zrozumiała znaczenia tych słów.

Odwróciła się do córki z półuśmiechem.

- Znowu dałaś niezwykle koncert. To było nadzwyczajne, Julio. Mam wrażenie, że coś się zmieniło, prawda? Wybacz mi. Jestem stara i głupia. Zdradz mi swoją tajemnicę.

- Jesteś piekielnie stara i głupia. - Julia uśmiechnęła się szeroko. - Ja widzę.

- Słucham? - Widoczna w półmroku twarz matki zdradzała zakłopotanie. - Co to znaczy?

- To, że widzę. - Julia roześmiała się. - Pierwszy raz to się zdarzyło w Warszawie, kiedy grałam sonatę Bartoka. I powtórzyło się dziś, zanim zaczęłam grać etudy. Nie wiem, skąd się wzięło. Ale to o tym mówił doktor, prawda? Że któregoś dnia wzrok nagle może powrócić. Tak samo nagle, jak znikł. Za pierwszym razem, w Warszawie, to trwało tylko chwilę. Dziś jest inaczej. Wciąż widzę!

Marguerite była zbита z tropu. Wzrok córki był jedynym prezentem, jakiego nie mogła jej zrobić za żadne pieniądze. Taksówka przez chwilę czekała na możliwość włączenia się do ruchu, po czym zjechała na ulicę. Tymczasem uczucia malujące się na twarzy Marguerite zmieniały się jak w kalejdoskopie - zaskoczenie, niedowierzanie, troska. W cuda przestała wierzyć już dawno temu, a jednak...

- Jesteś pewna? - głos jej drżał. - Trudno w to uwierzyć...

Julia podniosła ciemne okulary.

- Masz na sobie srebrną suknię i kolczyki ze szmaragdami, które dostałaś od dziadka. Szminka wprawdzie się starła, ale reszta makijażu wciąż wygląda świetnie. Prosto od Chanel. Zaraz. Pozwól mi sprawdzić, która godzina.

Marguerite próbowała zrozumieć to, co widzi, tymczasem Julia ujęła ją za przegub i spojrzała na zegarek.

- Nie pamiętam tego zegarka. - Był od Cartiera.

Głos Marguerite brzmiał, jakby dobiegał z zaświatów.

- Mam go od jakichś pięciu, sześciu lat. Nie mogłaś go widzieć. - Kosmyk włosów wymknął się z koka i spadł jej na twarz.

- Już po północy. Jestem zmęczona, a ty? - Julia ujęła pasemko włosów matki i poprawiła jej fryzurę. Wykonała ten gest powoli. Sparaliżowała ją myśl, że teraz może zrobić dla matki coś tak zwyczajnego, jak poprawienie fryzury.

Marguerite otworzyła szeroko oczy. Powoli zaczynała wierzyć.

- Mój Boże, dziecko. Nie mogę uwierzyć, że to prawda! - Ujęła twarz Julii w ciepłe dłonie. Jej oczy jaśniały szczęściem.

- To wspaniałe, prawda? - szepnęła Julia.

- Nie płacz, kochanie, bo ja też będę płakać.

Objęły się mocno i uściśniły, tymczasem taksówka jechała powoli Pimlico. W końcu puściły się, rozsiadły wygodnie i tylko się do siebie uśmiechały połączone wspólną tajemnicą.

Po policzku Marguerite spłynęła łza. Za chwilę druga.

Julia była wzruszona. Głośno przelknęła ślinę. Ujęła dłoń matki i uściśniła ją.

- Widziałaś cały wieczór? - Matka znalazła w torbie chusteczkę. Wytarła łzy. Roześmiała się. Nie mogę uwierzyć, że od kilku godzin widzisz. Wyobrażam sobie, jak się czujesz!

- Nie chciałam ci nic mówić, dopóki nie miałam pewności, że to nie minie.

- Oczywiście, że nie minie. - Matka chwyciła ją za ramię i spojrzała jej stanowczo w oczy.

Julia miała wrażenie, że patrzy w swoje własne oczy, tak samo błękitne jak drogie kamienie. Oczy matki zdradzały tę samą wolę walki wszystkiemu na przekór... A teraz znać w nich było jeszcze szczęście ze spełnienia długo wyczekiwanego i, zdawałoby się, niemożliwego marzenia.

Julia widzi!

- Wiesz, że to absurdalne, że przez tyle lat nie widziałaś - powiedziała stanowczo matka. - Jesteś zupełnie zdrowa, w pełni sprawna.

Julia zauważyła jakieś poruszenie w pobliżu ich taksówki. Samochód zatrzymał się na światłach przy hotelu na Belgravia.

Zanim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje, strzał z pistoletu roztrzaskał zamek w drzwiach od strony Marguerite. Kula przeleciała przez wnętrze taksówki i wyleciała od strony Julii, zostawiając dziurę w drzwiach. Zapach rozżanego metalu wypełnił wnętrze samochodu. Otworzyły się drzwi.

Kobiety w taksówce zamarły w bezruchu. Serce Julii waliło jak młotem. Chwyliła kurczowo ramię Marguerite i przyciągnęła ją do siebie. Lufa pistoletu skierowana była teraz w kobiety. Napastnik był szczupły, ubrany na czarno, twarz skrywała mu czarna kominiarka. Przesunął pistolet z kobiet na taksówkarsza i z powrotem, dając znak, żeby nikt się nie ruszał. Oczy kierowcy zaszyły łzami z przerażenia.

Człowiek z pistoletem skinął głową na znak aprobaty, złapał torbę Marguerite, jedną ręką otworzył ją, zajrzał do środka i rzucił torbę na ulicę. Wypadła stamtąd płaska szara koperta, którą matka Julii odebrała w teatrze. Napastnik ściągnął z palców Marguerite pierścionki, zerwał jej z nadgarstka zegarek, podniósł paczkę i wrzucił wszystko do torby.

Wyciągnął rękę w stronę jej kolczyków ze szmaragdami.

Marguerite poruszyła się.

- Nie! - Na policzki wystąpił jej rumieniec gniewu. - Tylko nie moje kolczyki!

Oczy Julii ukryte za ciemnymi okularami rejestrowały to wszystko w niemym przerażeniu.

- Mamo! Daj mu je!

- Niech mu pani wszystko odda - wydukał kierowca.

Ale na twarzy Marguerite malował się wyraz zacięcia, który Julia zapamiętała z dzieciństwa. Matka za nic w świecie nie odda tych kolczyków, bezcennego dla niej prezentu ślubnego od teścia, Daniela Austriana.

Bandyta chwycił za kolczyk w lewym uchu.

- Powiedziałam, nie! - Marguerite złapała złodzieja za przegub. Julia wyciągnęła rękę, żeby powstrzymać matkę.

- Mamo! Zrób, co ci każe!

Człowiek z pistoletem odepchnął Julię. Ból promieniście rozszedł się po ramieniu zaskoczonej pianistki.

Zupełnie niespodziewanie Marguerite - z twarzą wykrzywioną nienawiścią - sięgnęła do twarzy bandyty. Człowiek z pistoletem odepchnął ją gwałtownie, ale w rękę Marguerite została kominiarka z dzianiny.

Julia zamarła. Pod czarną maską kryła się twarz kobiety. Uderzająco piękna twarz z łukowatymi brwiami, bez śladu makijażu, żeby oczy i usta widoczne przez dziurki w kominiarce nie zdradziły, że to kobieta. Miała krótkie, czarne włosy i czarne oczy, które zmrużyła, jakby zastanawiając się, co zrobić. Błyskawicznie podjęła decyzję...

Wycelowała w pierś Marguerite i strzeliła.

3.

Ciszę londyńskiej nocy rozdarł krzyk Julii.

- Mamo!

Złodziejka w czerni płynnym ruchem odwróciła się w stronę kierowcy i strzeliła mu prosto w czoło. Wnętrze samochodu, sufit, siedzenia, Julię, zabójcę i ofiary obryzgała krew. Było jej tyle, że zalała wszystko, łącznie ze światłem na górze, i pokryła wnętrze taksówki przyprawiającym o mdłości różowoczerwonym nalotem.

Ogarnięta szałem Julia rzuciła się w stronę napastniczki. Zacisnęła ręce na szyi kobiety: czuła, że nie panuje nad sobą, że jest w stanie zabić.

Ale napastniczka była szybka i niezwykle silna. Pistoletem uderzyła Julię w szczękę. Julia poczuła ogłuszający ból. Rozsadzał jej czaszkę. Osunęła się oszłamiona. Była jak sparaliżowana. Przerażona patrzyła, jak strumień krwi wypływający z piersi matki zamienia srebro jej sukni w potworny szkarłat. Kierowca leżał na przednim siedzeniu z odstrzelonym tyłem czaszki. Nie mógł żyć.

- Mamo! - błagała Julia. - Wytrzymaj!

Napastniczka rzuciła torebkę Julii na ulicę, chwyciła jej prawą dłoń i ścisnęła z palca pierścionek z aleksandrytem, prezent od dziadka z okazji debiutu. Połyskujący zielenią kamień błysnął w półmroku taksówki jak spłoszony robaczek świętojański.

Oczy Julii śledziły pierścionek.

Nagle złapał ją atak nudności. Zamrugowała, próbując go opanować. Musi zapamiętać twarz tego potwora - wyskubane brwi, zapadnięte policzki, krótkie smoliste włosy, chłodne spojrzenie...

Znow zrobiło się jej niedobrze. Zaczepnęła głęboko powietrza. Próbowwała zapanować nad nudnościami.

Niespodziewanie ze wszystkich stron zaczęło ją zalewać zimne, czarne jak atrament morze, wymazując najmniejszy ślad światła. Gdzieś z głębi świadomości dotarł do niej dziwny mdły zapach. Ten sam zapach czuła, stojąc przed lustrem w łazience i patrząc na swoją twarz...

Krzyk uwiązał jej w gardle. Wiedziała, co się dzieje. Zacisnęła pięści, ze wszystkich sił próbując to powstrzymać.

Wystarczy mrugnięcie okiem. Nie widzi. Światło - życie - znikło.

Wszystko to stało się w ciągu kilku sekund. Matce udało się złapać powietrze. Próbowwała coś powiedzieć, ale tylko się zakrztusiła. Znowu haust powietrza.

- Mamo!

Kiedy w mroku rozległ się odgłos oddalających się kroków napastniczki, Julia poczuła, że odzyskała możliwość ruchu. Znalazła rękaw płaszcza matki. A potem jej twarz. Jej gładką skórę...

Gorąca, lepka ciecz.

Rozgorączkowanymi palcami dotykała policzków, ust, brody i szyi matki. Krew wypływała z jej ust i płynęła po szyi na pierś. Krztusiła się własną krwią.

- Mamusiu! Nie! - Przyciągnęła ją do siebie i tuliła jak dziecko. - Ratunku! Niech nam ktoś pomoże! Niech ktoś wezwie karetkę! Pomocy!

Coś w gardle matki gulgotało, jakby w środku było uwięzione jakieś zwierzątko. Odgłosy walki matki o oddech, dźwięk i drgania rezonowały w ciele Julii.

Matka nie może umrzeć. To niemożliwe. Nie dopuszczała nawet takiej myśli.

Po tym, jak w cudowny sposób Julia odzyskała wzrok i po tylu latach mogła znowu zobaczyć twarz Marguerite, cieszyć się zmianami, jakie w niej zaszły, delektować się wreszcie pełnią jej miłości, myśleć o lepszej przyszłości i widzieć, jak oczy matki promienieją, bo ich długa bolesna walka zakończyła się zwycięstwem...

Teraz, po tym wszystkim, matka miałaby umrzeć?

- Nie - jęknęła, chowając twarz w zlepionych krwią włosach matki. - Nie. - Podniosła głowę i znowu zawołała o pomoc.

Matka traciła siły. Julia kołysała ją na kolanach...

Przypomniało się jej, że kiedy była dzieckiem, matka przytulała ją zawiniętą w koc tak mocno, że czuła bicie jej serca. Przykładała ucho do piersi matki i słuchała, jak Marguerite jej czyta. Słyszała, jak rytm i melodia słów powstają dzięki pracy strun głosowych matki, słyszała, jak płyną wraz z krwią i wydostają się przez skórę.

Przypomniało się jej, jak jadły lody z bitą śmietaną i owocami; pamiętała radość, z jaką w sklepach na Piątej Alei robiły świąteczne zakupy przed Bożym Narodzeniem, i dreszcz, jaki ją przeszedł, kiedy wbiegły kiedyś razem pod wodę spryskującą trawniki w kostiumach kąpielowych, rozgrzane popołudniowym słońcem Connecticut. Matka uwielbiała ubrania szyte na miarę, drogą biżuterię i cynie, bo ich płatki mogły pomieścić więcej kolorów niż jakichkolwiek innych kwiatów.

Pomyślała też o ojcu, którego matka kochała miłością silniejszą niż śmierć. Słyszała, jak kiedyś Marguerite powiedziała przyjaciółce: „Dlaczego miałabym ponownie wychodzić za mąż? Kochałam Jonathana bardziej, niż mogłabym pokochać jakiegokolwiek innego człowieka na świecie. Dlaczego miałabym się

zadowolę czymś mniejszym, skoro miałam tak wiele?”

Myślała... jak razem z ojcem co tydzień wybierali się na spacer po Central Parku, jak jeździli na łyżwach na ślizgawce przy Rockefeller Center, jak pojechali na wakacje na Sea Islands. Pamiętała, z jaką cierpliwością pomagał jej w odrabianiu lekcji. Ojciec wprost przepadał za ciasteczkami z kawałkami czekolady, uwielbiał grać w tenisa i kochał swoją rodzinę. Szczupły optymista z natury, był muzykiem amatorem i kochał muzykę tak samo jak ona. W każdą prawie sobotę zabierał ją do Metropolitan Opera. To on ją zachęcił, żeby zdawała do Juilliard. Jego śmierć była dla niej strasznym ciosem.

Jeśli ktoś jest przyzwyczajony do przewidywalności i bezpieczeństwa, jedna nieoczekiwana katastrofa wystarczy, żeby zatrzęść całym jego światem. A dwie katastrofy potrafią wszystko zniszczyć i nic nie zostawić. W życiu Julii utrata wzroku i śmierć ojca, które wydarzyły się tej samej nocy, poczyniły takie właśnie spustoszenie. Przeszłość została sprowadzona do albumów ze zdjęciami, których ona nie mogła zobaczyć. Teraźniejszość stała się mrocznym tunelem. A przyszłość każdy wysiłek stawiała pod znakiem zapytania. Ale mimo potworności i osamotnienia razem z matką odbudowały swoje życie. Wspólnym wysiłkiem.

Julia usłyszała, że na skrzyżowanie wjeżdża jakiś samochód. Do tej pory na ulicy panowała cisza. W taksówce słyszała tylko odgłosy walki matki o życie. Marguerite łapczywie i nieregularnie łykała powietrze. Jej ciało drżało z bólu w desperackiej walce o oddech.

- Kocham cię, mamó. Proszę, wytrzymaj. Pomoc już jedzie. Jeszcze trochę, naprawdę niedługo.

Nagle Julia poczuła ręce matki na swoich oczach, jak gdyby matka wiedziała, że Julia znowu nie widzi.

- Nie martw się. - Julia z trudem tłumila łzy. - Widzę cię - skłamała. - Wszystko będzie dobrze. Zabiorę cię do szpitala. Widzę, wszystko w porządku. Teraz chodzi o ciebie. Ty się musisz trzymać, mamó.

Krzyknęła znowu w mrok. Wołała o pomoc.

W duchu przeklinała swoją ślepotę. Gdyby widziała, mogłaby pobiec do jakiegoś domu po pomoc albo na jakąś ruchliwą ulicę, mogłaby znaleźć budkę telefoniczną, uruchomić alarm przeciwpożarowy... zrobić cokolwiek, coś więcej, niż tylko błagać i krzyczeć na wyludnionej ulicy, licząc na to, że ktoś jej błagania usłyszy.

Matka drgnęła. Jej dłonie zsunęły się z twarzy Julii.

Oszalała z rozpaczy Julia zaczęła głaskać matkę po splątanych włosach. Całowała jej czoło. Znowu wołała o pomoc. Od krzyku bolało ją gardło, a każda sekunda ciągnęła się w nieskończoność.

W końcu zdarzył się cud. Dobiegły ją czyjeś głosy. Jakieś krzyki.

- Idźcie pomoc, mammo! Już niedługo!

Poczuła przyływ nadziei. Zabierze matkę do szpitala. Lekarze na pewno ją uratują. Z pewnością znajdzie się jakiś specjalista o sprawnych rękach, doświadczony w ratowaniu życia w podobnych wypadkach.

Krzyknęła, słysząc nadbiegające kroki.

- Pospieszcie się! Szybciej!

Marguerite ścisnęła jej rękę. Przez pełne zamętu morze bólu próbowała wypłynąć na powierzchnię, skąd wzywała ją córka. Dłoń córki była silna. Marguerite czuła jej napięte mięśnie. Pomyślała o Jonathanie, o tym, że jeśli umrze, chciałaby go odnaleźć jak najszybciej. Urodziła się w rodzinie katolickiej, ale nie miała pewności, czy istnieje niebo. I martwiła się o Julię. O to, że córka będzie musiała stawić czoło jeszcze jednej katastrofie. W noc, kiedy Jonathan zginął w wypadku samochodowym, Julia straciła wzrok. Dwie tragedie naraz. Matka wiedziała, że Julia znowu straciła wzrok. Trudno było nie zgadnąć, patrząc na jej ręce szukające po omacku, zastępujące oczy.

Kolejny atak bólu. Marguerite nie mogła już jasno myśleć. Coś w środku gwałtownie szarpnęło i rozpadło się jak uderzony siekierą pień drzewa...

Serce Julii pękało z żalu. Dotknęła spoconego policzka matki, czuła zbliżający się spazm. Potem usłyszała tylko cichy złowieszczy wydech.

Przesunęła palce do ust matki i poczuła erupcję krwi. Gorąca, kleista ciecz była na wszystkim, czego dotykała. Zapach krwi trudno z czymkolwiek pomylić - metaliczny, przypominający nieco woń ziemi, potężny zapach narodzin i... śmierci. Matka miała poważny krwotok.

- Szybciej! - Julia krzyczała gorączkowo do nadbiegających ludzi. - Szybciej!

Uścisk matki osłabł i dłoń osunęła się. Marguerite otoczyła nieprzenikniona ciemność. To dziwne, ale przestała czuć ból. W przeblýsku świadomości zrozumiała, że jej życie się skończyło. Była zła. Tyle spraw zostało niezalatwionych. Chciała jeszcze raz powiedzieć Julii, że ją kocha. Próbowała poruszyć ustami, ale...

Nie udało się jej wydobyć głosu. Tylko krew powoli sączyła się z ust. Ciało matki bezwładnie osunęło się na Julię.

Julia ledwie złapała oddech. Sięgnęła ręką w stronę krwawiącego serca matki. Nie czuła jego bicia, najmniejszego drgnienia. Nie mogła w to uwierzyć.

- Mammo, odezwił się. - Łkała. - Mammo! Proszę, odezwił się. Mamusiu!

Odpowiedziała jej cisza.

Julia ucałowała zakrwawione czoło matki. Płakała, próbowała przyglądać splecione włosy Marguerite. Chciał je poprawić, żeby matka była piękna, kiedy

przyjedzie pomoc. Wiedziała, że to głupie, ale nic nie mogła poradzić. Kiedy to robiła, zdawało się jej, że widzi twarz matki, łagodną i pełną miłości. Zdawało się jej, że słyszy jej śmiech.

Przez chwilę wydawało się jej, że właśnie poprawia Marguerite fryzurę w drodze na następny koncert. Teraz, kiedy odzyskała wzrok, miały tyle planów...

Bo przecież mama żyje...

Z trudem przełknęła ślinę. To nieprawda. Wszyscy już umarli.

Coś w niej pękło. Drżąc, przytuliła mocno policzek do miękkich włosów matki.

- Nie zapominaj, że cię kocham.

Wystarczy mrugnięcie okiem. Znowu jest niewidoma.

Matka nie żyje.

Nigdy więcej nie zobaczy swojej matki.

4.

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

Mylisz, że uda ci się uciec. Ale ja wiem, gdzie jesteś. Będę cię śledził, tak jak Austrian z Redmondem śledzili starego Maasa. Tylu pieniędzy nie spodziewali się w najśmielszych snach. Mimo że Maas miał inne plany i przez cały czas oglądał się za siebie, i tak go dopadli.

Stworzyły cię skarby Maasa, a zniszczą moje wspomnienia.

WCZEŚNIEJ - 12.14, PIĄTEK

GDZIEŚ NAD WSCHODNIM WYBRZEŻEM

Płonąca pomarańczowa kula słońca wisiała nad Górami Adirondacks, a odrzutowiec leciał w kierunku międzynarodowego lotniska im. Kennedy'ego. Dobiegło końca pięć dni nieustannej kampanii przedwyborczej. Powieki kandydata na fotel prezydenta były ciężkie, a ciało z wyczerpania drżało, ale kiedy tylko telefon zawibrował, mężczyzna zbudził się i wyciągnął aparat z wewnętrznej kieszeni marynarki. Towarzystwo mu przyjazne buczenie silników odrzutowca.

Nazywał się Creighton Redmond i niedawno zrezygnował ze stanowiska członka Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. A teraz niecierpliwie czekał

na pewną wiadomość. Miał nadzieję, że telefon dotyczy właśnie tej sprawy i że wieści będą dobre.

Redmond miał za sobą lata zaprawy w okopach amerykańskiego prawnictwa. Wielokrotnie wygrywał z najlepszymi, najbardziej wykształconymi i przebiegłymi prawnikami na świecie. I zdarzało mu się to wystarczająco często, żeby nie musiał obawiać się o swoją reputację. Zdobyte doświadczenie - kontakty, zwycięstwa, doskonała opinia, rzadkie, ale konieczne akty przemocy - teraz procentowało. Redmond brał właśnie udział w walce życia. Wybory odbędą się już za cztery dni i chociaż jego notowania nie były najlepsze, miał pewien plan...

Wysłuchał sprawozdania syna. Dzięki Bogu brzmiało pocieszająco.

- A dwie przesyłki starego? - Dom spokojnej starości znajdował się pod czujnym nadzorem, ale pomysłowy starzec przechrzył wszystkich i fragmenty jego dzienników zostały wysłane. To niedopuszczalne.

Z dalekiego Langley Vinice Redmond odpowiedział:

- Przesyłki mamy na oku. Dziś przechwycimy obie, zanim zdążą komuś zaszkodzić.

Komputeryzacja systemu pocztowego okazała się bronią obosieczną. Z jednej strony ułatwiała śledzenie poczty, a z drugiej uniemożliwiała przechwycenie przesyłki bez wzbudzenia podejrzeń. Dlatego przesyłki zostaną przechwycone już po dostarczeniu adresatom w Londynie i w Langley. Oczywiście zawsze istnieje jakieś ryzyko, ale paczki były pod kontrolą.

- A sanitariusz starego?

- Wszystko zgodnie z planem. Policja próbuje powiązać jego śmierć z handlem narkotykami. Znalaziono przy nim kilka działek. - W słuchawce dał się słyszeć szyderczy śmiech. System działał sprawnie. Gdy tylko szef ochrony domu starców wysłuchał nagrania rozmowy starego z sanitariuszem, wysłano dwóch ludzi, którzy mieli powstrzymać chłopaka przed nadaniem przesyłek. Ale spóźnili się. Paczki zostały już wysłane. Należało jednak zatrzeć ślady. - Zostawiliśmy je w pobliżu ciała. Szeryf jest zachwycony, że udało mu się wytropić przestępstwo na tak godnym potępienia i szkodliwym społecznie tle. Będzie miał się czym pochwalić. W tym roku startuje w wyborach.

Creighton Redmond poczuł się uspokojony. Kiwnął głową i ziewnął. Krótka drzemka dodała mu sił. Do wyborów zostały zaledwie cztery dni. Wszystkiemu, co mówił i robił, towarzyszyło poczucie braku czasu.

- A co z aktami policyjnymi, które dziewczyna zdobyła w Monako?

- Dziś rano dostał je nasz współpracownik w Londynie. Skontaktował się już z dziennikarzem z „Sunday Times”. Pamiętasz, to ten alkoholik, na którego się zdecydowaliśmy. - Dziennikarz był w podbramkowej sytuacji; groziło mu, że straci pracę z powodu picia.

- Uszczęśliwiliśmy pismaka?

- Można tak powiedzieć. Gotów był paść na kolana i całować nas po rękach. Temat jest tak gorący, że jeszcze przez co najmniej pół roku nikt faceta nie ruszy.

- A twój człowiek w Firmie? Ten, któremu przez pomyłkę wpadły w ręce materiały od Jiříego? Jesteś pewien, że został odsunięty od sprawy? Nie możemy sobie pozwolić na ujawnienie informacji przed czasem!

Głos w dalekiej Wirginii nagle przybrał stanowczy ton.

- Sam kontroluję Keeline'a. O to nie musisz się martwić. A jeśli chodzi o naszą artystkę z Berlina, daliśmy jej do zrozumienia, co ją czeka, gdyby przyszło jej do głowy przekazać informacje w niepowołane ręce.

- No dobrze. - Creighton Redmond kiwnął głową. - Pracuje dla nas wystarczająco długo, żeby to rozumieć.

Obaj mężczyźni, ojciec i syn, mieli władzę i umieli logicznie myśleć. Dawniej zdarzało się, że dochodziło między nimi do spięć, walczyli ze sobą. Dziś jednak śmiali się razem, bo łączyła ich wspólna wizja wspaniałej przyszłości. Świat myślał, że przegrali. Ale świat się mylił.

13.14, PIĄTEK WASZYNGTON

W nowoczesnym biurowcu stojącym na obrzeżach stolicy trzydziestu młodych kandydatów z uwagą słuchało instrukcji pracownika CIA, który prowadził nabór. Budynek uprzednio dokładnie przeszukano, żeby wyeliminować możliwość podsłuchu, i zabezpieczono go przed elektronicznymi intruzami.

Młodzi ludzie, którzy się tu znaleźli, albo sami zgłosili się do Firmy, albo zostali ściągnięci przez „łowców” - wytropieni w pracy czy na uniwersytecie - byłych agentów lub wykładowców, którzy podali im numer telefonu osoby prowadzącej rekrutację.

Pierwsze sito stanowił szesnastostronicowy kwestionariusz. Dochodziła do tego analiza wszelkich możliwych materiałów dotyczących kandydatów. Analitycy w Firmie przez kilka miesięcy sprawdzali wszystkie informacje i wystawiali ocenę. Brali pod uwagę znaki ostrzegawcze, takie jak kolizje z prawem czy problemy finansowe, tropili ślady współpracy z obcym wywiadem.

Dziś kandydaci spędzili rano na pisaniu męczącego trzygodzinnego testu na inteligencję. A w tej chwili odbywały się rozmowy kwalifikacyjne.

Sam Keeline, kierownik ekspertów, z rosnącą irytacją przyglądał się przez lustro weneckie absolwentom uniwersytetów, którzy marzyli o pełnym przygodzie życiu agenta wywiadu. Ich wyobrażenia nie miały nic wspólnego z rzeczywistością.

- Czy miałby pan coś przeciwko zamieszkaniu w kraju, gdzie pora deszczowa trwa kilka miesięcy? Albo gdzie panuje długa, mroźna zima? - Kandydat powinien umieć przystosować się do każdego warunków.

- Czy ma pan kłopoty z zasypianiem? - Dla ludzi cierpiących na bezsenność praca szpiega może wiązać się ze zbyt dużym stresem.

- Proszę opisać swoich rodziców. - Wiadomo, że rozpieszczone dzieci wyrastają na dorosłych, którzy nie znoszą, gdy ktoś im wydaje polecenia, więc nienawidzą szefów. Albo mają tendencję do nieustannego zmieniania pracy.

Odpowiedzi na pytania rzeczywiście interesujące rekrutujących doszukiwano się między wierszami. Czy kandydat jest sumienny? Jak szybko potrafi myśleć? Szpiegostwo jest jak wojna - to długotrwałe okresy nudy co jakiś czas przerywane potwornościami. Czy ten człowiek będzie umiał sobie z tym poradzić, ba, rozwijać się w podobnych okolicznościach?

Keeline przechadzał się korytarzem, obserwując i przysłuchując się. Lata minęły od czasu, kiedy z tym skończył. Teraz jego zadanie polegało na myśleniu, a nie na wykonywaniu zadań. Ma tytuł doktora. A jednak... musi przyznać, że wciąż czuje dziwny dreszcz, kiedy wspomina pierwsze lata pracy w Firmie. Sam był wtedy czynnym agentem, szpiegiem.

To jednak, co widział tu teraz wyprowadzało go z równowagi. Pomyślał nawet, że chętnie by stąd uciekł, choćby do szpitala.

Wszedł do świetlicy dla pracowników, wsunął do maszyny dwa dolary i wyjął kanapkę z tuńczykiem, zanim trafiła na tacę. Zerwał opakowanie i wbił zęby w kanapkę.

- Zastanawiasz się, czy szczęście cię opuściło, co? - To był głos Pinka.

Sam odwrócił się

- Ty sukinkocie. Nie słyszałem, jak otwierasz drzwi.

- Taka praca. Dlatego wy, jajogłowi, nazywacie nas czasem duchami. - Chester „Pink” Pinkerton, stał w drzwiach, uśmiechając się szeroko.

- Co, u diabła, tu robisz? Tyko mi nie mów, że szukasz pracy!

Pink pokręcił dużą głową. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną - metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i sto dziesięć kilo żywej wagi. Kiepskie warunki jak na tajnego agenta - łatwo go zapamiętać, trudniej mu wtopić się w tłum. Ale miał też pewną pożądaną cechę - łatwość nawiązywania kontaktów, dzięki której szybko zjednywał sobie przyjaciół wśród urzędników, sekretarek i szefów, a oni mimochodem wyjawiali mu sekrety, zapominając, że to tajemnice. Samotnik z powieści Roberta Ludluma nie był jedynym rodzajem szpiega, jakiego potrzebowała Firma.

- Redmond powiedział, że cię tu przeniósł, żebyś mógł dowodzić wylęgarnią. Pomyślałem, że zabawnie będzie sprawdzić, czy trzy dni wystarczyły, żeby cię wyprowadzić z równowagi.

Sam był urzędnikiem Dyrekcji Wywiadu zajmującym się sprawami Rosji i Eurazji, Pink zaś pełnił służbę jako czynny agent zagraniczny podlegający

Wydziałowi Operacyjnemu i w tej chwili czekał na kolejne zlecenie. Krążyła plotka, że Pink zrobił coś na własną rękę i możliwe, że więcej nie zostanie skierowany na akcję.

Powodem, dla którego Sam Keeline się tu znalazł, była sprzeczka z przełożonym, która miała miejsce trzy dni temu. Przełożony kazał Samowi zmienić - czy też, jak to ujął, „dostosować” - ostatni raport Sama zgodnie ze swoimi wskazówkami. Raport dotyczył pewnego bossa pornobiznesu w Pradze, który prowadził interesy z mafią w Europie Wschodniej. Najbardziej bulwersujące zdjęcia i dokumenty zostały dostarczone Firmie przez jednego z tajnych agentów, który pracował dla owego bossa. Przez agenta o pseudonimie „Jiří”.

Sama zainteresowało szczególnie jedno zdjęcie. Przedstawiało najpoważniejszego kandydata na fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych, Douglasa Powersa, wchodzącego do limuzyny w towarzystwie pornobossów i jednej z jego prostytutek. Zdjęcie przedstawiało jeszcze grupkę przyglądających się temu dzieci. W ręce CIA wpadł także rejestr, w którym obok dat, cen i imion prostitutek figurowało nazwisko kandydata. Ale przełożony Sama postanowił nie dołączać ani zdjęcia, ani rejestru do raportu. Jego ojciec, Creighton Redmond, również kandydował na stanowisko prezydenta i szef stwierdził, że mogłoby to wyglądać, jakby syn specjalnie ujawniał informacje, które mają pomóc ojcu wygrać wybory.

Sama najbardziej martwiło, co będzie, jeśli Doug Powers, główny kandydat na prezydenta, zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem zostanie wybrany. Wykorzystanie kompromitujących dokumentów w przyszłości będzie miało bardzo poważne konsekwencje. Z drugiej zaś strony Sam miał dziwne przeczucie, że materiał został sfabrykowany, i swoimi wątpliwościami nie omieszkał podzielić się z przełożonym.

Sam czuł, że poszkapił sprawę. Nie dość, że jego raport został „dostosowany”, to jeszcze materiały, które powinny być poddane szczegółowej analizie, trafiły do szuflady.

Podobne historie zdarzały się już kilkakrotnie i zawsze bardzo niepokoiły Sama. Dyrekcja Wywiadu była podstawowym źródłem informacji dla prezydenta, Kongresu i setek urzędników rządowych. Jeśli analizy Firmy okazałyby się niesłuszne, cały kraj mógł na tym ucierpieć.

Niewiele myśląc, Sam podzielił się swoimi wątpliwościami z przełożonym Vince'em Redmondem, piastującym stanowisko zastępcy dyrektora wywiadu. Redmond wkurzył się i wysłał Sama tutaj, powierzając mu kierownictwo nad tym, co w Firmie pieszczołiwie nazywano „Tygodniem w Czyściciu”.

Sam przeszedł przez świetlicę, nie spuszczając wzroku z przyjaciela. Keeline miał około metra osiemdziesięciu wzrostu i mocno umięśnione ciało - jeden z pozytywnych efektów ofiarnej służby jako weekendowy żołnierz na siłowni.

Poza tym Sam czasami przyznawał, że dobra kondycja to pozostałość z czasów, kiedy pracował jako agent w terenie. Kiedy trzeba szwendać się po ciemnych uliczkach i melinach w terenie, warto być przygotowanym na trudne sytuacje.

- Gówno prawda. Co tu robisz naprawdę? - burknął Sam.

Pink wziął kubek kawy - jak zwykle prawie białej od śmietanki i pewnie aż gęstej od cukru.

Napił się, a Sam przyglądał mu się uważnie.

- No dobra, masz rację - powiedział Pink. - Na dowód tego, jak bardzo cię szanuję, powiem ci prawdę. Mam cię przekonać, żebyś wrócił do Langley i był grzeczny. Redmond się zastanowił. Powiedział, że jeszcze nie czas na działanie. Nic nie chce ci obiecywać, ale jeśli będziesz grzeczny, będziesz wykonywał polecenia i nie wypuścisz się na samotne poszukiwania świętego Graala, spróbuje zatrzymać twoje miejsce przy biurku. Chociaż Bóg mi świadkiem, nie wiem, dlaczego ci tak na nim zależy.

- „Spróbuje zatrzymać” moje miejsce przy biurku?

Pink wzruszył ramionami, a jego wielki tors zafalował.

- Tak to wygląda, Sam. Żadnych obietnic. Redmond ustępuje na centymetr, a od ciebie oczekuje, że ustąpisz na półtora. To się nazywa właściwy stosunek między pracownikiem i pracodawcą.

Sam rzucił mu piorunujące spojrzenie.

- Na Boga, to kwestia zasad.

- Cóż... - Pink podrapał się po głowie. - Ponieważ nie znam sprawy, nie mogę się wypowiadać. Ale mam przeczucie, że w każdym sporze z szefem to on będzie górą. Taka już jest przypadłość szefów. Ale widzisz, że gość chce, żebyś wrócił. Świadczy o tym choćby fakt, że mnie tu wysłał. Osobiście uznałbym to za duży komplement, bo robi to tylko dlatego, że jesteś jedną z jego gwiazd. Nie bądź takim twardzielem, Sam. Daj spokój biednemu facetowi.

Sam jeszcze raz zastanowił się nad tym, co zaszło między nim i Vincem Redmondem.

- Nie, tutaj chodzi o coś innego. - Powiedział lodowatym tonem.

Pink zrobił minę zaskoczonego człowieka. Każda zmarszczka na jego szerokiej, przystojnej twarzy przyjęła wyraz zdziwienia.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Sam pochylił się i jego włosy w kolorze piasku opadły mu na oczy. Wycelował palec wskazujący w pierś Pinka.

- Redmond wie, że nigdy nie zgodzę się pracować na stałe w tym przekleństwie przedszkolu. Więc dlaczego mnie tu przysłał? Na pewno nie zrobił tego z powodu jednej sprzeczki. On chciał, żebym poznał smak niełaski. A teraz myśli, że zrobię to, czego zawsze ode mnie oczekiwał: przestanę się interesować pewnymi sprawami, zadawać pytania i stanę się grzecznym lizusem. Na wypadek, gdybym nie zrozumiał lekcji, przysłał ciebie.

- To brzmi rozsądnie. Nie rozumiem tylko, dlaczego robisz z tego problem. Sam ugryzł spory kęs kanapki i oddalił się kilka kroków.

- Nie w porządku jest to, że skurwiel sam mi tego po prostu nie powiedział. Po trzynastu latach harówki dla Firmy, mieszkania w domu, w którym nigdy nie ma jedzenia ani mebli, bo nie mam czasu o to zadbać, weekendów grania w kosza albo baseball z obcymi ludźmi, na wypadek gdyby chciał się do mnie zbliżyć jakiś obcy agent... on szantażem próbuje mnie zmusić, żebym robił to, co jest podobno dobre dla mnie i dla Firmy.

Sam pomyślał również - ale tego nie powiedział - że Redmond nie znosi wylewać ludzi z pracy. Wkurzony były pracownik mógł się okazać zbyt rozmowny. Dlatego praca w tej wylegarni stanowiła doskonale rozwiązanie. Sam automatycznie został wyłączony z kręgu najlepiej poinformowanych, ale za to dostał wyższą pensję i nadzieję, że zesłanie nie będzie trwało wiecznie.

- No cóż, Sam, pewnie bym ci nawet współczuł, gdybym nie wiedział o tych twoich panienkach. Zawsze ci ich zazdrościłem. Pociesz się nimi - zażartował Pink. Nigdy nie odważył się wspomnieć o dziewczynie Sama ze Wschodniego Berlina. Nikt o niej nigdy nie mówił. Po tym, jak została zamordowana, Sam wycofał się ze służby czynnej i zaczął pracować jako analityk w Langley. A szkoda. Był świetnym agentem.

- To nie ma nic do rzeczy...

- To prawda. Próbuję w ten sposób skłonić cię, żebyś był ze mną szczery. - Pink uśmiechnął się do Sama jednym z tych prostodusznych, szerokich uśmiechów, które ukazywały dwa rzędy białych zębów i rozbrajały ludzi - niezależnie od narodowości - do tego stopnia, że ujawniali swoje tajemnice. Oczywiście pomagały im w tym zwitki zielonych banknotów. - Mogę ci powiedzieć tylko jedno, stary, bo wiem, że twoje szare komórki pracują tak sprawnie, jak zawsze. Wierzę, że masz rację co do Redmonda. Sam na to nie wpadłem, żałuję. Cóż, myślenie to twoja specjalność. Tak przynajmniej można sądzić, patrząc na te wszystkie dyplomy w twoim biurze. Mimo wszystko, uważam, że powinieneś przyjąć ofertę Redmonda.

Sam zamrugnął oczami. Westchnął.

- Może tak zrobię.

Pink uśmiechnął się, nie ukrywając zadowolenia.

- Powiedział, że czeka na ciebie w poniedziałek rano. Ale możesz mu zrobić miłą niespodziankę. Pewnie już cię mdli na widok tych nieopierzonych kurczaków. Jedź tam, Sam. Syn marnotrawny niespodziewanie pojawia się w domu. Redmond przyjmie cię, jeśli nie z otwartymi ramionami, to przynajmniej słowami, że już najwyższy czas. Lepszy rydz niż nic. A tutaj ja cię zastąpię.

Sam wepchnął ostatni kęs kanapki do ust.

- Jasne. Właściwie czemu nie.
- Twój entuzjazm jest jak balsam na moje biedne serce.

W końcu Sam się uśmiechnął. Podszedł do drzwi rozbawiony. Vince Redmond doskonale wiedział, jak go podejść.

- Ech, Pink powiedział Sam - jesteś taki sam jak ja. Za długo pracujemy dla Firmy, żeby teraz szukać innej roboty. Wprawdzie nie ma powodu do radości, ale niech tam. Firma to mój dom. Mogę zrzedzić i narzekać, ale nic tego nie zmieni. I masz rację, Vince Redmond to wie. I umie to wykorzystać. Dostanie to, czego chce, poddaję się. Przynajmniej do następnego razu.

LANGLEY, WIRGINIA

Wesoło pogwizdując, Sam wędrował korytarzami rozległego kompleksu budynków - głównej siedziby CIA, która znajdowała się zaledwie trzynaście kilometrów od Białego Domu. Zatrzymał się w kantynie, żeby kupić paczkę M&M'ów, którą od razu otworzył. Ucieszył się, bo najbardziej lubił niebieskie, a w paczce było ich wyjątkowo dużo.

Sam szedł do swojego gabinetu, po drodze zajadając cukierki. Dogonił chłopaka rozwozącego pocztę, wziął plik listów zaadresowanych do siebie i pogwizdując melodię hymnu amerykańskiego - wydała mu się najodpowiedniejsza na tę okazję - poszedł dalej. Zajrzał do poczty. Zwykła korespondencja, jakieś broszury, branżowe czasopisma, uniwersyteckie opracowania dotyczące Rosji i Europy Wschodniej.

Była jeszcze niewielka paczuszka.

Zapakowana w szary papier i zaklejona taśmą. Ciekawość Sama rosła, im dłużej się jej przyglądał. Koślawe literki na kopercie zostały napisane drżącą ręką. Nie było adresu zwrotnego, ale pieczętka pocztowa świadczyła o tym, że przesyłkę nadano w Armonk w stanie Nowy Jork. Na przesyłce widniał adres:

DOKTOR SAMUEL KEELINE
CENTRALNA AGENCJA
WYWIADOWCZA LANGLEY, WIRGINIA

Żadnego kodu pocztowego. Sam zauważył, że „Langley, Wirginia” zostało przekreślone, a innym długopisem i innym charakterem pisma dopisano: „Waszyngton, DC 20505”. Bez wątplenia był to przejaw dobrej woli jakiegoś urzędnika pocztowego.

Znaczyło to, że przesyłka prawdopodobnie szła dość długo, może przez chwilę gdzieś się zagubiła, bo niewielkie skrzyżowanie dróg, znane jako Langley,

podlegało poczcie w Waszyngtonie. Musiała najpierw trafić do pobliskiego McLean, a ponieważ urząd pocztowy w McLean był zbyt mały, żeby zajmować się pocztą CIA, przesyłka została przekazana do Waszyngtonu. Tam wszystkie przesyłki zaadresowane do CIA prześwietlano promieniami rentgena. Potem przewożono je ciężarówką do specjalnego działu pocztowego, gdzie ponownie ją prześwietlono, tym razem pod nadzorem pracownika CIA.

Sam rozerwał szary papier i do jego dłoni wpadł twardy, żółty kamyk. Zdziwiony zmarszczył brwi. Podniósł kamyk i przyjrzał się mu pod światło. Na korytarzu świeciły jarzeniówki. Kamyk był przejrzysty i opalizował ciepłym, złotym światłem, był tak gładki, że aż błyszczał. Sam zważył go w dłoni.

Doszedł do wniosku, że musi to być bursztyn, i serce zaczęło mu bić mocniej. Zaczął czytać list:

Drogi doktorze Keeline

Nie zna mnie pan, ale na pewno zechce mnie pan poznać. Jest coś ważnego, co nas łączy. Chodzi o Bursztynową Komnatę. Przypuszczam, że wciąż pana interesuje, gdzie się znajduje...

Serce Sama zaczęło bić jeszcze mocniej. Z podniecenia zaschło mu w gardle. Legendarna Bursztynowa Komnata! Już dawno pogodził się z myślą, że na zawsze znikła z jego życia. Komnata była wyjątkowym, bezcennym dziełem sztuki - połyskującym pokojem wyłożonym taką ilością tego rzadkiego kamienia, że wartość samego surowca była trudna do oszacowania. Zaginęła ponad pół wieku temu i od tej pory stała się przedmiotem zainteresowania wielu państw, a także źródłem legend krążących po Rosji i Europie Wschodniej o „kławie Bursztynowej Komnaty”.

Sam dotarł w końcu do swojego gabinetu i otworzył drzwi. Chciał natychmiast przeczytać resztę listu i przejrzeć pozostałe papiery...

- Jezu, Keeline, otworzyłeś to!

Podłoga jego małego gabinetu pokryta była stosami papierów, książek, starych gazet, czasopism, kaset magnetofonowych, fotografii i rolkami satelitarnych zdjęć powierzchni Ziemi. Wszystko to przypominało Wodospad Wiktorii, ale Samowi odpowiadał taki twórczy nieporządek. Wiedział, co gdzie leży i gdzie czego szukać.

Teraz jednak w środku tego pozornego bałaganu siedział Dick Urbansky, pięćdziesięcioletni asystent Vince'a Redmonda.

- Ja to wezmę. - Urbansky przechylił się nad biurkiem i zabrał Samowi przesyłkę. - Cholera, czekałem na to. Co ty tu robisz? Miałeś być na Tygodniu Czyśćca. Boże, Keeline, znowu zaczynasz. Pamiętaj, że ja nie mam z tym nic wspólnego, jasne?

- Zaczekaj. - W Samie się zagotowało. - Co robisz w moim gabinecie? Od kiedy to Redmond wysyła ludzi do przechwytywania mojej poczty?
- Nie całej poczty. Chodzi tylko o tę przesyłkę.
- Dlaczego?
- Skąd mam wiedzieć? - Urbansky wstał i ruszył w stronę drzwi. Drobnny człowieczek z wielkim nosem i wiecznie skwaszoną miną. - Muszę to dostarczyć Redmondowi.
- Nic z tego. Idę z tobą.

5.

Sam był wściekły. Energicznym krokiem szedł korytarzem obok Dicka Urbansky'ego, który pod ręką trzymał paczkę. Tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi woli Sam spokojnie oddał Urbansky'emu kawałek bursztynu i nie wyrwał mu z ręki listu, żeby przeczytać go do końca. O tej sprawie chciał wiedzieć wszystko, chciał znać każde, nawet najbardziej nieprawdopodobne przypuszczenie, każdą plotkę czy pogłoskę. Ten list mógł zawierać jakieś fakty. Na myśl o tym Sam jęknął w duchu. Musi dostać tę przesyłkę z powrotem.

Mijali analityków, agentów, naukowców, pracowników technicznych i sekretarki. Keeline ani na moment nie przestał myśleć o Bursztynowej Komnacie. Przed oczami migotały mu bursztynowe panele, piękne jak z snu. W domu miał starą książkę, którą dostał od dziadka. Znajdowało się w niej kolorowe zdjęcie Bursztynowej Komnaty, jedyne, jakie się zachowało. W Komnacie płonęło przeszło sto świec, a ich blask odbijał się w miodowych taflach bursztynu, w lustkach, złoceniach i mozaikach.

Dziadek mówił, że w promieniach zachodzącego słońca ten niezwykle pokój świecił tajemniczym blaskiem. Sam całe życie marzył, żeby to zobaczyć.

Przez blisko dwa wieki Bursztynowa Komnata ozdabiała pałac carycy Katarzyny pod Petersburgiem. Wiele osób uznawało ją za ósmy cud świata. Ale podczas drugiej wojny światowej, w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, wywieźli ją stamtąd naziści. Rozmontowali ją i przetransportowali za linię frontu, do zamku w Królewcu, gdzie zaledwie cztery lata później, w zamęcie ostatnich dni wojny, znikła. Dotychczas bez śladu.

Historię Bursztynowej Komnaty opowiedział Samowi dziadek, który jako dziecko spędzał wakacje w pałacu Katarzyny, zamienionym teraz w muzeum. Barwne opowieści starego człowieka o czasach, kiedy ważne osobistości z całego

świata zjeżdżały tam specjalnie po to, żeby zobaczyć bezcenną komnatę, rozbudziły wyobraźnię chłopca. Podobnie jak historia jej tajemniczego zaginięcia. Przewiezienie komnaty musiało być nie lada wyczynem, bo pięciometrowej wysokości panele ważyły razem około sześciu ton.

Potrzebne były ogromne ciężarówki.

Sam potrząsnął głową i przywołał się do porządku. Liczy się terazniejszość. Przez większą część dorosłego życia zajmował się badaniami historii Bursztynowej Komnaty, kilkakrotnie podejmował nawet poważne próby jej odnalezienia. Kierowała nim obsesyjna potrzeba poznania prawdy. Przypuszczał, że Bursztynowa Komnata wciąż istnieje. A jeśli tak, to dzieło takiej miary powinno być powszechnie dostępne, żeby cały świat mógł je podziwiać. Niestety, nigdy nawet nie czuł, że jest bliski jej odnalezienia. Tymczasem teraz pojawiła się szansa. I wszystko wskazuje na to, że znowu nic z tego nie będzie.

Przed drzwiami gabinetu Vince'a Redmonda Sam wyprzedził spoconego Dicka Urbansky'ego i wszedł pierwszy. Okna przestronnego biura wychodziły na stalowo-błękitne wody Potomacu. Nagie drzewa, brązowa ziemia, zwiędła trawa - typowy krajobraz wietrznej Wirginii - były wyblakłe i sprawiały smutne wrażenie.

W gabinecie atmosfera rzadko bywała inna. Na biurku Redmonda panował idealny porządek. Dokumenty i teczki leżały posegregowane tematycznie. Na nieskazitelnie białych ścianach zdjęcia w czarnych ramkach wisiały zawsze idealnie równo. W powietrzu unosił się delikatny zapach drogich cygar, rozciągając aurę bogactwa i władzy. Ta sama aura otaczała Redmonda.

- Przyniosłem przesyłkę, sir - powiedział Urbansky, stając w drzwiach.

- Dlatego pozwoliłem sobie tu przyjść. - Sam spojrzał spokojnie na szefa. - Przesyłka jest zaadresowana do mnie.

Obaj mężczyźni, którzy wtargnęli do gabinetu, stali na wprost biurka, ale Vince Redmond patrzył tylko na Sama. Uniósł ze zdumienia brwi, ale błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą.

- Widzę, że Pinkerton zdążył z panem pomówić, panie Keeline. Cieszę się, że zdecydował się pan do nas wrócić. - Te przyjazne słowa zostały wypowiedziane tonem, który przypominał Samowi, że jego powrót do Langley został okupiony zgodą na każdy rozkaz.

Redmond zdjął okulary do czytania i uśmiechnął się.

- Zapomnieliśmy o przeszłości. Zaczynamy z czystym kontem, tak?

- Chciałbym, żeby tak było, sir - Sam odpowiedział szczerze. Nie minęła mu złość z powodu konfiskaty jego poczty. Wciąż chciał wiedzieć, co zawiera przesyłka. Musi jednak postępować dyplomatycznie.

Postarał się, żeby w jego głosie nie było znać wściekłości.

- Przyszedłem tu w sprawie przesyłki, która przyszła na moje nazwisko.

Wzrok Redmonda przesunął się na Urbansky'ego.

- Czy to jest ta paczka? Proszę mi ją podać.

Redmond był przystojny: miał ostre rysy twarzy i wysportowane ciało. Podobnie jak jego poprzednik Robert Gates, Redmond został zastępcą dyrektora wywiadu jako bardzo młody człowiek, w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat. Miał bladobłękitne oczy i gładką skórę, jak gdyby przed chwilą skończył się golić. Szyty na miarę garnitur był zapewne zbyt drogi jak na rządową pensję, ale Redmond pochodził z bogatej rodziny. Gdyby tylko Sam o tym zapomniał, wystarczyło jedno spojrzenie na ściany gabinetu - wszędzie wisiały zdjęcia Redmonda w towarzystwie byłych prezydentów i innych wysoko postawionych osób. Na fotografii wiszącej dokładnie za biurkiem ojciec Redmonda i były prezydent Bush stali razem na stopniach jakiegoś drewnianego budynku w rustykalnym stylu; w tle majaczyła chyba Long Island.

Wyrafinowana prostota budynku miała przypominać o skromnych początkach rodziny Redmondów, natomiast mężczyźni stojący na stopniach świadczyli o jej obecnej pozycji.

Urbansky z niepewną miną wręczył szefowi paczkę.

W Firmie niedomówienia i tajemnice nikogo nie dziwiły, a umiejętność nieokazywania uczuć była w cenie. Vince Redmond patrzył spokojnie na paczuszkę przed sobą. Dłonie mu nie zdrząły, gdy ją brał, a na policzkach nie pojawił się rumieniec. Ale Sam czuł, że przełożony w środku aż się gotuje.

Mimo to, kiedy Redmond podniósł wzrok na Sama, jego twarz pozostała niewzruszona. Jak skała.

- Widzę, że paczka została otwarta. A przecież prosiłem, panie Urbansky, żeby nikt jej nie dotykał. To sprawa wagi państwowej, ściśle tajna. Nic pana nie usprawiedliwia.

Urbansky przelknął ślinę.

- Przepraszam, sir, ale to nie ja otworzyłem przesyłkę. Keeline to zrobił. Czekałem w jego gabinecie na pocztę, ale on ją odebrał, zanim chłopak dotarł do jego biura. Powiedział pan, że Keeline jest na Tygodniu Czyśćca. Skąd miałem wiedzieć...

Nie skończył, bo Redmond znowu przeniósł wzrok na Sama. Wyblakłe, świdrujące oczy wpatrywały się w Keeline'a z uporem.

- Proszę o wyjaśnienie.

- Pink zastąpił mnie na Tygodniu Czyśćca, żeby móc jak najszybciej wrócić do pracy. Chciałbym wiedzieć, dlaczego kazał pan przechwycić moją pocztę.

Redmond zignorował pytanie.

- Ile pan zdążył przeczytać?
- Kilka początkowych zdań. Wystarczająco dużo, żeby zorientować się, że jestem adresatem i...

Redmond odrobinę się rozluźnił.

- Proszę o tym zapomnieć. Słyszał pan, że to informacja ściśle tajna. Nawet mnie nie wolno tego czytać. Przesyłka ma trafić bezpośrednio do dyrektora. - Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej dowodził całym amerykańskim wywiadem. - Mam pana słowo, że nie przeczytał pan nic więcej? - Jego oczy przewiercały Sama na wylot, tak że zaczął czuć się winny, że w ogóle chciał przeczytać więcej.

- Już powiedziałem - mruknął Sam, z trudem powstrzymując wściekłość.

Redmond spojrział na Urbansky'ego pytająco. Ten gorliwie kiwnął łusą głową, gotów zrobić wszystko, żeby tylko uniknąć gniewu szefa.

- Nie mógł przeczytać więcej niż parę zdań, zanim mu ją zabrałem.
- W porządku. Niech będzie. Chcę, żebyście obaj zapomnieli o tym wydarzeniu. O tym, że miała miejsce ta rozmowa. Zrozumiano? To dobrze. Żegnam panów.

Urbansky z westchnieniem ulgi zniknął za drzwiami. Zachowywał się jak dobrze wyszkolony pies.

Sam zamknął za nim drzwi i usiadł przed biurkiem Redmonda.

- Musimy porozmawiać.

Na barkach Redmonda, zastępcy dyrektora wywiadu, spoczywała odpowiedzialna praca. Musiał przeglądać, oceniać i podsumowywać masę surowych informacji ze wszystkich możliwych publicznych i tajnych źródeł. Na tej podstawie przygotowywał raport codzienny oraz raport o pracy wywiadu, skrót informacji dla prezydenta i długoterminowe analizy dotyczące najważniejszych wydarzeń. Redmond został przesunięty z Wydziału Operacyjnego i to wysokie stanowisko zajmował zaledwie od roku, ale zdążył się już dać poznać jako człowiek kompetentny, bo raporty dostarczał na czas i bez utyskiwań.

Sam nie miał mu nic do zarzucenia, jeśli chodzi o sprawność i szybkość pracy. Chodziło mu o jej jakość. Redmond był bardzo sprytny. Doskonale wiedział, że obracające się bez zgrzytów kółka w każdej biurokratycznej maszynie sprawiają wrażenie, że wszystko funkcjonuje bez zarzutu, mimo że jakość efektu końcowego daleka jest od ideału. Redmond dostarczał raporty i prognozy na czas, bez opóźnień, jak gdyby za każdy miał dostać złoty medal na Mistrzostwach Świata. Rezultat był taki, że jego samego i jego podwładnych uznawano za zdyscyplinowanych, karnych urzędników państwowych, na których można polegać, co przecież jest rzadkością. A jeśli nawet ich ekspertyzy okazywały się mylne czy niezbyt dokładne, to cóż, wracały na biurka, żeby je dopracować. Zawsze na czas.

Sam nigdy nie miał kłopotów z żadnym z poprzedników Redmonda. Wszyscy wysoko go cenili. Bez trudu awansował i często dawano mu wolną rękę, żeby mógł działać zgodnie z instynktem. Dlatego teraz był szefem wywiadu na Rosję i Eurazję. Dlatego pracował dłużej i ciężiej niż większość. I dlatego kobiety w jego życiu były ważne, ale żadna nie zagrzała w nim dłużej miejsca.

Odkąd Vince Redmond został jego przełożonym wszystko się zmieniło. De-wiza Redmonda brzmiała: „przekształcać i zarządzać”. Wszędzie zyskiwał przyjaciół i zwolenników - od naczelnego dyrektora począwszy - podczas gdy Sam zaczął wszędzie napotykać przeszkody.

Praca przestała mu przynosić tyle satysfakcji i radości co dawniej. Mimo to, mimo że dyszał z wściekłości, musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Nie chciał odejść z Firmy.

Musi zachować się dyplomatycznie.

- Ta przesyłka ma trafić do samego szefa?

- Zgadza się - odpowiedział Redmond spokojnym tonem. I nagle zmienił taktykę. Poweselał. - Dobrze widzieć pana z powrotem, panie Keeline. Mam nadzieję, że to koniec naszych nieporozumień. Łączy nas przecież wspólny cel, dobro Firmy i kraju. Stanowimy zespół i cieszę się, że pan wciąż do niego należy. Mam nadzieję, że mogę na pana liczyć. Bo pan może liczyć na mnie.

Sam musiał się mocno postarać, żeby nie wybuchnąć. Bardzo mu zależało na informacjach o Bursztynowej Komnacie, ale z takim trudem przyswojona lekcja, którą wyniósł z Tygodnia Czyśćca brzmiała: „Z Vince'em Redmondem nie wygrasz”.

Postarał więc zachować pozory spokoju i obojętności.

- Nie wie pan, o co chodzi z tą paczką? Kto jej naprawdę potrzebuje?

Ton głosu Redmonda wciąż był przyjazny.

- Miedzy nami mówiąc, myślę, że polecenie przyszło z Białego Domu. Pewnie chodzi o jakąś sztucznie rozdmuchaną aferę, o której nigdy więcej nie usłyszymy. Do diabła, chyba nie wątpi pan, że gdybym mógł, pozwoliłbym panu do tego zajrzeć.

Na pewno - pomyślał Sam. - Tak samo, jak trzy dni temu pozwoliłeś mi sprawdzić informację o kontaktach z prostytutkami głównego kandydata na prezydenta Douga Powersa.

- Ale dlaczego została zaadresowana na moje nazwisko? Dlaczego przyszła teraz? Czy mam coś wspólnego z tą sprawą?

Uśmiech Redmonda był tak szeroki, że aż wargi zrobiły się cieniutkie.

- Keeline, niechże pan da temu spokój. Ktoś wybrał pańskie nazwisko na chybił trafił i w tej chwili to już przestała być nasza sprawa. Nie wchodzi w drogę szefowi i niech pan nie oczekuje ode mnie, że zgłoszą się do Białego Domu z zestawem pytań, żeby zaspokoić pańską ciekawość. Przepraszam, ale zaraz

muszę wyjść. Szef czeka na tę przesyłkę, a obiecałem, że zaniosę mu ją osobiście. Niech pan wraca do pracy. - Podniósł się i wyszedł zza biurka. Poruszał się niezręcznie, choć nie bez pewnego wdzięku. Otworzył drzwi.

Sam wciąż nie ruszał się z miejsca. Kusilo go, żeby wyrwać paczkę z rąk szefa, ale przecież nie udałoby mu się z nią uciec. I miałby później takie kłopoty, że gdyby zaproponowano mu pracę w „wylegarni”, uznałby to za nagrodę.

- Tak. - Podniósł się z krzesła. - Trzeba się zabrać do pracy.

Ale kiedy wychodził z gabinetu szefa, pomyślał, że to mało prawdopodobne, żeby nadawca wybrał jego nazwisko na chybił trafił. To, że trafił celnie, na kogoś zainteresowanego losami Bursztynowej Komnaty było zbyt nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Ktoś, kto wysłał tę paczkę, musiał wiedzieć o jego poszukiwaniach. Wątpił, czy Redmond naprawdę wierzy w to, że jego nazwiskiem ktoś posłużył się przypadkiem. Poza tym ciekawe, że wygodna dla Redmonda sprzeczka z Keeline'em, zakończona zesłaniem na Tydzień Czyśćca, miała miejsce właśnie teraz, kiedy Redmond czekał na przesyłkę. Tylko że paczka została źle zaadresowana i dotarła z opóźnieniem, a Sam zjawił się w Langley wcześniej, niż się go spodziewano.

To wszystko mogło być zbiegiem okoliczności. Vince Redmond mógł działać w dobrej wierze i się mylić. Możliwe też, że wszystko, co powiedział o paczce, było prawdą. Keeline musiał to przeanalizować.

Wrócił do swojego gabinetu i wziął z biurka paczuszkę M&M'ów, zastanawiając się nad dziwnym obrotem sprawy. Usiadł, odsunął z blatu górę papierzyśk i wysypał cukierki. Ułożył je w grupkach, każdy kolor oddzielnie: czerwone, zielone, żółte, brązowe i niebieskie.

Przeciągnął się. Miał przed sobą węzeł gordyjski.

Najpierw zjadł wszystkie czerwone drażetki, potem zielone. Dawno nie układał pieniędzy. Zapomniał o tym rytuale. Wyjął portfel i ułożył banknoty w ustalonej kolejności - najpierw dwudziestodolarówki, potem banknoty dziesięciodolarowe, piątki i jednodolarówki na samej górze. Sprawdził, czy wszystkie leżą ciemnozieloną stroną do góry i czy wszystkie główki są po lewej stronie. Czasem układał jeszcze banknoty zgodnie z numerami serii, ale tym razem zaniechał tej zabawy. To zaczyna zakrawać na obsesję.

Niemniej samopoczucie znacznie mu się poprawiło.

Odłożył portfel i zjadł brązowe i żółte M&M'y. Wziął do ręki niebieskie cukierki, nogi położył na biurku i wygodnie rozsiadł się w fotelu. Wrzucał do ust drażetki w ulubionym kolorze, jedną po drugiej, i zatopił się w rozmyślaniach o Bursztynowej Komnacie.

Czy to możliwe, żeby się odnalazła? Jaki był prawdziwy powód, dla którego odebrano mu przesyłkę?

Spojrzał tęsknie na sportową kurtkę rzuconą na biurko, która teraz leżała obok butów. Najchętniej wziąłby parę dni urlopu i pojechał do tego miasteczka - Armonk - skąd pochodziła paczka. W każdym razie tam ją nadano.

Kto mógł ją wysłać?

Zaczął się zastanawiać nad stosunkiem Vince'a Redmonda do niego. Redmond nie chciał się go pozbywać, zgoda, ale na pewno nie za wszelką cenę. Nie będzie znosił w nieskończoność niesubordynacji Sama. Trudno powiedzieć, co Redmond zrobiłby, gdyby Keeline nie zastosował się do jego poleceń. Pewnie nie zniósłby tego najlepiej. Może Sama czekałoby coś jeszcze gorszego niż przeniesienie do „wylęgarni”. Redmond mógł go zwolnić.

Ale Sam zbyt mocno chciał się dowiedzieć, co się dzieje z Bursztynową Komnatą. Lata czekał na przełom w tej sprawie. Chciał, żeby komnata wróciła na swoje miejsce, żeby mogła cieszyć oczy ludzi z całego świata. Tak jak Mona Lisa, piramidy egipskie albo niezwykła rzeźba Michała Anioła przedstawiająca Dawida. Albo jak Wielki Kanion, który gdy raz się zobaczy, nie sposób go zapomnieć. Tak samo Bursztynowa Komnata powinna być dostępna dla każdego, dorosłego i dziecka, kto zechciałby podziwiać jej niepowtarzalne piękno. Sam uważał, że dzieła tego formatu są jak powietrze, bez którego człowiek nie może żyć, i dlatego powinny należeć do wszystkich ludzi.

Zacisnął usta.

Musi jakoś sobie poradzić z Redmondem, nie ryzykując utraty pracy.

Wrzucił do ust ostatniego niebieskiego M&M'a.

Już wiedział, co robi. Redmond żąda od niego posłuszeństwa, więc Sam zastosuje się do poleceń. Nie wspomni więcej o przesyłce i będzie udawał, że nigdy jej nie widział na oczy. Ale za to zabierze się do sprawy od drugiego końca - od Daniela Austriana. Ciekawe, co słyhać u byłego ambasadora.

W Sama wstąpił nowy duch. Zdjął nogi z biurka, pochylił się i podniósł telefon. Roześmiał się. Musi to sobie jasno powiedzieć - ma rzadką umiejętność obchodzenia problemów dokoła.

6.

20.05, PIĄTEK

OYSTER BAY, NOWY JORK

Kandydat na prezydenta Creighton Redmond z niecierpliwością czekał na telefon. Od rana brał udział w spotkaniach przedwyborczych - najpierw w Chicago, potem w Detroit, wreszcie w Seattle. Teraz siedział w domu potwornie

zmęczony, nerwy miał napięte jak postronki. Nie opuszczało go uczucie, że czas pędzi i wszystko wymyka się spod kontroli. Do wyborów zostały tylko cztery dni. Jednak mimo wyczerpania kandydat przejrzał papiery zalegające biurko, a potem zaczął spacerować w tę i z powrotem przed ogromnym kominkiem, w którym buzował ogień. W powietrzu unosił się zapach sosnowych polan.

Redmond powinien szybko podjąć pewne decyzje. Zwlekał, bo czekał na wiadomości z Londynu. Miał wiele do stracenia. Wszystko, nad czym pracował całe życie. Był człowiekiem o ogromnej wiedzy i wyjątkowej inteligencji, świetnie wykształconym realistą.

Czasem nie można uniknąć brutalnych posunięć.

Teraz tylko mały krok dzielił od chwili, gdy spełni się wszystko, o czym marzył. Nic nie może go powstrzymać.

Kiedy odezwał się telefon na prywatnej, bezpiecznej linii, natychmiast podniósł słuchawkę.

- Masz tę paczkę?

- Tak - odpowiedziała kobieta w Londynie. - Ale pojawił się pewien problem...

W miarę jak kobieta mówiła, w Redmondzie rosła wściekłość.

- Zabiłaś ją? Ty idiotko! Jak mogłaś to zrobić? - Poczul się straszliwie winny.

- Widziała moją twarz. Taksówkarz też - odpowiedziała spokojnie kobieta. Była profesjonalistką. - Mówił pan, że młodsza kobieta jest niewidoma, więc nie było potrzeby jej eliminować.

Przeżaszony Redmond gorączkowo rozważał możliwe konsekwencje wydarzenia. Marguerite nie żyje!

Zemsta nic nie da. Stało się. Zabójczyni pracowała dla niego od lat i nigdy go nie zawiodła. Zdobyła potrzebną informację w Monako, a teraz miała paczkę, którą zabrała Marguerite w Londynie. Wykonała swoją pracę. Czego chcesz więcej?

Nic nie wróci życia Marguerite. Nie da się cofnąć czasu.

Redmond wzruszył ramionami. Zgoda, to fatalny wypadek. Nie ma jednak sposobu, żeby coś zmienić. Marguerite zawsze przysparzała kłopotów i teraz musiała za to zapłacić.

- To się stało na Belgravia zgodnie z planem?

- Oczywiście.

- W porządku, spróbuję się upewnić, że nikt nie będzie w tej sprawie za bardzo węszył.

- Może pan to zrobić?

- Mam swoje sposoby. Jutro czekam na paczkę.

- Z przyjemnością ją dostarczę. - W głosie kobiety slychać było szacunek.

Odłożyła słuchawkę. Redmond siedział przez chwilę pogrążony w myślach. Nic nie zmieni faktu, że Marguerite nie żyje, i nie ma sensu tracić energii na poczucie winy i żal. Trzeba się tylko upewnić, czy ślady nie prowadzą do niego. Odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Było kilka minut po ósmej wieczorem, a więc w Londynie zaczęła się już sobota - tam minęła pierwsza w nocy. Jeśli szczęście mu dopisze, będą potrzebowali godziny albo mniej, żeby wszystko przygotować i wysłać faks. Wystukał numer telefonu do Langley.

1.05, SOBOTA
LONDYN

Policja spisała zeznania Julii Austrian i zabrała ją na posterunek. Julia nie mogła przestać płakać. Rzeka łez płynęła bez końca. Przed oczami wciąż miała zakrwawioną pierś matki i straszną śmiertelną ranę. Twarz Marguerite wykrzywiona w bólu, kiedy kula przeszła jej pierś, tkwiła w mózgu Julii, jakby została w nim wypalona. I te okropne odgłosy walki o oddech.

Co gorsza, sumienie nie dawało Julii spokoju, ścisnęło jej serce i gardło. Gdyby nie straciła wzroku, mogłaby znaleźć, jakąś budkę telefoniczną i zadzwonić po pomoc. Gdyby lekarz natychmiast interweniował, może teraz matka by żyła.

Julia broniła się przed takimi myślami, ale bezskutecznie.

2.10, SOBOTA
LONDYN

Dźwięk telefonu wyrwał Geoffreya Staffelda nadinspektora policji, z głębokiego snu. Była druga w nocy. Nie w pełni przytomny, ale przyzwyczajony do alarmów w środku nocy, mężczyzna odsunął się od żony i podniósł słuchawkę.

- Staffeld.

Leżał z zamkniętymi oczami i słuchał. Po trzydziestu latach pracy dla Scotland Yardu, wiedział, że nocne alarmy wymagają od niego tylko częściowej świadomości. Zwykle mógł potem z powrotem zasnąć.

Ale tym razem otworzył szeroko oczy.

- Słucham? Kim pan jest? Jeśli myśli pan, że...

Głos po drugiej stronie linii był spokojny i stanowczy, należał do człowieka posługującego się nienagannym, eleganckim wręcz językiem. Do Amerykanina. Chyba ze Wschodniego Wybrzeża.

- Powtarzam, ma pan poważne kłopoty, Staffeld. Pod drzwiami czeka na pana koperta, żeby mógł się pan przekonać, na ile poważne. Proszę spojrzeć na

to, co jest w środku, i jeśli zależy panu na reputacji, małżeństwie, dzieciach i pracy, proszę zadzwonić pod wskazany numer. Potem proszę zniszczyć zawartość. Z pewnością zrobi to pan z radością.

W słuchawce dał się słyszeć sygnał przerwane połączenia.

Staffeld usiadł na łóżku w lodowatej sypialni i odrzucił koldrę. Wściekły poszedł na bosaka. Żona mruknęła, że ściągnął z niej koldrę.

- Przepraszam, staruszko. - Ale nie wrócił. Był wściekły, pod wściekłością zaś czaił się lęk.

Otworzył drzwi wejściowe. Na wycieracze leżała duża szara koperta. Podniósł ją i rozdarł po drodze do swojego gabinetu. Wyjął ze środka pierwszą kartkę.

Poczerwieniał ze złości.

- Jasna cholera!

Wyrzucił całą zawartość koperty na biurko. Były tam przesłane faksem kopie dokumentów w języku angielskim, francuskim i czeskim, a także przekłete fotografie. Wszystko, co z takim trudem starał się ukryć. Wszystko, co mogło go zrujnować. Najdrobniejsze szczegóły jego najintymniejszego życia. Nikt - ani żona, ani nikt w Anglii, a już na pewno nikt ze Scotland Yardu - nie miał o tym bladego pojęcia. Monako! Praga! Aluzje dotyczące innych miejsc, które odwiedzał podczas oficjalnych wizyt w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Staffeld powoli opadł na fotel. Skóra tapicerki była lodowato zimna, ale nawet tego nie zauważył. Błądził niewidzącym wzrokiem po wykładanych boazerią ścianach i po ołowianych szybach willi, która została wzniesiona w czasach Walsingham, pierwszego wielkiego szpiega i oficera policji.

Nie ma wyjścia. Musi to powstrzymać, żeby się bronić. Do tej pory zawsze sobie radził, bynajmniej nie dlatego, że był miękki. Nadinspektorem Scotland Yardu nie został dlatego, że w sytuacji zagrożenia podwijał ogon pod siebie i salwował się ucieczką. Wszystko zależy od tego, kim jest człowiek, który przysłał tę kopertę, czego od niego chce i po co.

Podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer.

- Turkow, szykuj się. Kroci się paskudna historia...

Na nowym posterunku policji na Belgravia policjant ponownie przesłuchał Julię, a ona, zacinając się, powtórnie opowiedziała, co się wydarzyło w taksówce. Potem lekarz obejrzał jej szczękę, a pielęgniarka obmyła twarz, szyję i ręce z krwi. Julia nie miała w co się przebrać, więc siedziała w poplamionej krwią wieczorowej sukni i płaszczu.

Dostała jakiś zastrzyk i lekarz przypisał jej lek przeciwbólowy, a także coś na rozluźnienie mięśni. Powiedział, że szczęka będzie ją boleć, ale nie stwierdził żadnego trwałego uszkodzenia.

Słowa lekarza dudniły jej w głowie. Przecież nie szczęka jest najważniejsza. Co za kłamstwo: „Żadnego trwałego uszkodzenia”.

Zmartwiony, zły i zmarznięty nadinspektor Geoffrey Staffeld przyjechał na posterunek policji Belgravia. Miał się zająć sprawą podwójnego zabójstwa - londyńskiego taksówkarza i matki słynnej amerykańskiej pianistki.

Niewidoma pianistka przeżyła.

- Zapewne istnieją jakieś niezwykle istotne powody, dla których mnie o tym nie poinformowano? - zauważył kąśliwie oficer dyżurny, kiedy Staffeld wszedł. Nie starał się ukryć irytacji z powodu tego, że został pozbawiony udziału w sprawie.

Mamy światowej sławy amerykańską pianistkę i dwa morderstwa - odpowiedział spokojnym głosem Staffeld. - Razem z zastępcą komisarza doszliśmy do wniosku, że to coś więcej niż zwykły napad. Potrzebne jest przedstawienie na najwyższym szczeblu, nie sądzisz? Rób swoje, a niezwykle istotne powody zostaw mnie.

Staffeld był mocno zbudowanym energicznym mężczyzną przed sześćdziesiątką. Cieszył się świetną opinią i miał szerokie horyzonty. Poza tym obnosił się ze swoją miłością do dzieci.

Wrzucił do ust mentolową pastylkę, zamiast papierosa marki „Player”. Przeoczytał raport z napadu na Belgravia i uniósł wysoko brwi. Ktoś, kto go szantażował, mocno się zdziwił...

A swoją drogą, jak to możliwe, żeby niewidoma kobieta widziała zabójcę?

Wziął ze sobą pudełko chusteczek higienicznych i wszedł do pokoju dla poszkodowanych. Stały tam wygodne miękkie fotele i niski stolik. Był tu również sprzęt nagrywający, obsługiwany przez niezwracającą uwagi kobietę w cywilnym ubraniu.

Staffeld ledwie poznał Julię Austrian. Kobieta, którą miał przed sobą nie była tą samą śliczną, młodą pianistką, której występ widział kilka lat temu. Miała twarz nabrzmiałą od płaczu, oczy zapuchnięte i czerwone. Drżała. Splatała i rozplatała ręce, jak gdyby to miało jej pomóc zrozumieć, co się stało.

- Chcę panu opisać, jak wyglądała morderczyni. - To były jej pierwsze słowa. - Chcę, żebyście ją złapali. W tym kraju nie ma kary śmierci, prawda?

- Prawda. Uważamy, że jako metoda wychowawcza kara śmierci nie przynosi pożądanych skutków. Poza tym to barbarzyństwo.

- Wielka szkoda. - W głosie Julii słychać było nienawiść.

Staffeld często był świadkiem podobnych scen. Najłagodniejsi ludzie przestaczali się w żądnych krwi mścicieli, kiedy ktoś z ich bliskich został

zamordowany. W większości wypadków wściekłość i nienawiść z czasem mijały. Staffeld nie miał nic przeciwko temu, żeby mordercy gryźli ziemię, ale kochana stara Anglia chciała uchodzić za szlachetną i cywilizowaną. Nadinspektor zachował spokój.

- Mamy już pani opis, pani Austrian. Czy powiedziano pani, że sposób działania wskazuje na sprawców, którzy dokonali kilku podobnych napadów w ciągu ostatnich trzech miesięcy w Londynie?

- Tak. Wspomniano o tym. To dla mnie żadne pocieszenie.

- Rozumiem. Ale dzięki pani zeznaniu mamy kolejny fragment układanki. To z pewnością bardzo nam pomoże. Wiemy, że seryjnym złodziejem jest kobieta. Jesteśmy wdzięczni. Podała pani bardzo dokładny opis morderczyni, ale jak pani wyjaśni, że ją pani widziała? To znaczy wiem, że jest pani... niewidoma?

- Teraz jestem niewidoma. - Jej dłonie znowu się splotły i zamarły. - Z powrotem.

- Czy może mi to pani wyjaśnić?

- Cierpię na zaburzenie nazywane zastąpieniem. Mój psychiatra twierdzi, że to się zdarza ludziom z silnym konfliktem wewnętrznym bądź urazem psychicznym, z którym nie mogą sobie poradzić. W niektórych wypadkach może to prowadzić do głuchoty, paraliżu albo chronicznej migreny. U mnie objawia się ślepotą. Objaw staje się symbolicznym rozwiązaniem problemu psychicznego. Powoduje zmniejszenie napięcia i chroni człowieka przed prawdziwym konfliktem.

- W pani wypadku to był konflikt wewnętrzny czy uraz? - Staffeld zauważył, że kobieta jest zaskoczona tym pytaniem, jak gdyby sama pierwszy raz się nad tym zastanawiała. Zamyśliła się.

Pytanie rzeczywiście zaskoczyło Julię i natychmiast pomyślała o skradzionym pierścionku z aleksandrytem. Kamień był zielony, z żyłkami czerwieni, a z jednej strony otaczały go malutkie diamentyki i szafiry, ułożone na kształt kielichów dzwonek. Pierścionek był niezwykle, prawdziwe dzieło sztuki. Kochała go, bo był piękny, ale jeszcze bardziej dlatego, że kochała dziadka. Automatycznie przypomniał się jej tamten wieczór sprzed wielu lat, wieczór debiutanckiego koncertu, kiedy dziadek подарował jej ten pierścionek... Ogromna, hałaśliwa widowia... kakofonia radosnych okrzyków, które zdawały się wprawiać w drżenie sufit w Carnegie Hall. Wdzierały się na scenę, na której stała ona - niema i sparaliżowana strachem.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Psychiatra wytłumaczył mi, że to strach przed publicznością. W czasie mojego pierwszego koncertu publiczność oszalała. Ta masa krzyczących ludzi przeraziła mnie. Wyglądała jak dzika bestia, wielogłowy potwór, nad którym nie można zapanować. Wzrok straciłam w nocy po koncercie podczas snu.

- Chyba rozumiem. To pozwoliło pani nie oglądać publiczności. Następnym razem, dając koncert, mogła sobie pani poradzić z przerażeniem.

- Tak twierdzi mój psychiatra.

- Ale dziś w nocy wzrok niespodziewanie wrócił?

- Tak. Nie wiem dlaczego. Lekarz uprzedzał, że tak się może stać, ale po dziesięciu latach niewidzenia było to dla mnie ogromne zaskoczenie. I szybko przestałam widzieć z powrotem. - Jeszcze raz przed oczami stanęły jej sceny z taksówki. Morderczyni ściągająca jej z palca pierścionek z aleksandrytem i... Instynktownie przeniosłam się myślami w noc mojego koncertu debiutanckiego i przypomniałam sobie tamten przerażający tłum. - Znowu ogarnęło ją rozżalenie. Nie mogła znieść myśli, że w pewnym sensie to wszystko jej wina... Gdyby nie straciła wzroku, może udałoby się uratować matkę.

- Hmm... I teraz nie widzi pani? W ogóle? Starala się panować nad głosem.

- Nic nie widzę.

- Wielka szkoda. Mamy rysowników, którzy spróbują odtworzyć twarz morderczyni na podstawie pani opisu. - Prawdę mówiąc, całe szczęście, że nie widzi, pomyślał nadinspektor. Także dla niej. Gdyby była w stanie zidentyfikować mordercę, nietrudno zgadnąć, że ten, kto go szantażował, chciałby zamknąć jej usta na zawsze. Zaciśnął zęby. - Morderczyni nie odezwała się ani słowem, więc rozumiem, że nie słyszała pani jej głosu?

- To prawda. Ciemne okulary leżały na kolanach. Ścisnęła je w drobnych dłoniach. Przekrwione błękitne oczy patrzyły prosto przed siebie.

- Kobieta zabrała portmonetki i biżuterię pani i pani matki?

- Tak.

- Czy chce pani, żebym przeczytał listę skradzionych rzeczy, którą podyktowała pani wcześniej?

- Nie, nie mam nic do dodania.

- Czy przypomina sobie pani coś jeszcze, coś co mogłoby ułatwić nam poszukiwania? Jakiś zapach? Może perfumy?

- Nie było żadnego zapachu, a poczułabym go na pewno. Jestem w tym dobra. Człowiek o zdrowym zmyśle powonienia może odróżnić dziesięć tysięcy zapachów. Na przykład od pana czuję mentol. I albo pan jest palaczem, albo ktoś z pana bliskich. Zapach papierosów jest na pańskim ubraniu.

Staffeld uniósł brwi.

- To prawda. Jestem przeziębiony. Zanim tu przyszedłem, wziąłem mentolową pastylkę do ssania. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie zapaliłem papierosa. - Włożył do ust mentolową pastylkę. Wszystko idzie dobrze. Kobieta nie będzie potrafiła zidentyfikować mordercy ani za pomocą zmysłu wzroku, ani słuchu, ani węchu. - Sprawdźmy, czy wszystko zostało zapisane

w kolejności. Napastniczka strzeliła do pani matki, kiedy pani matka ściągnęła jej z twarzy kominiarkę?

Julia poczuła suchość w gardle. Zgarbiła się. Nadinspektor domyślił się, że kobieta znowu przeżywa chwilę morderstwa. Z szeroko otwartych niebieskich oczu popłynęły dwie strużki łez. Staffeld westchnął i włożył jej do ręki pudełko z chusteczkami. Pochyliła się i zaczęła szlochać, jak gdyby pękało jej serce.

Usiadł, próbując opanować irytację.

Kiedy w końcu wytarła nos, jej głos był cichy, ale zdecydowany.

- Nie mogę wciąż płakać. Muszę się pozbierać. - Zwróciła swoje niewidzące oczy w jego stronę. Wyglądały jak błękitne ogniki. Płonęły wewnętrznym płomieniem. Przełknęła ślinę. - O co pan pytał?

- Chodziło mi o kolejność wydarzeń...

- Tak. Po zabiciu matki, zastrzeliła kierowcę. Nie mnie. Dlaczego? Myśli pan, że mnie rozpoznała, wiedziała, że jestem niewidoma, więc niegroźna, bo nie będę mogła jej zidentyfikować?

Staffeld kiwnął głową. Mimo rozpaczki Julia Austrian potrafiła myśleć, i to myśleć logicznie. Zgodnie z tym, co Staffeld wiedział, jej rozumowanie było słuszne. Musiał więc umiejętnie powstrzymać ją od myślenia za dużo na ten temat.

- Tak przypuszczamy - skłamał. - Wygląda na to, że mamy do czynienia z przestępcą, który dobrze zna świat muzyki. W tej chwili badamy wszystkie ostatnie napady o podobnym przebiegu pod tym kątem. Być może ofiary zostały wybrane na podstawie informacji w gazetach albo kolorowych magazynach.

Jej twarz zmieniła wyraz. Przestała go słuchać.

- Jeśli morderczyni dowie się, że ją widziałam, będę w niebezpieczeństwie, prawda? - zapytała podniecona.

- Obawiam się, że tak. Dlatego musimy panią chronić.

- A co, jeśli nie będziecie?

- Jeśli nie będziemy? Nie rozumiem? - Staffeld był zaskoczony. Nie mogła się przecież domyślać?...

- Jeśli nie będziecie mnie chronić! - Jej niewidzące oczy rozbłysły. - Co, jeśli powiemy prasie, że wrócił mi wzrok i widziałam morderczynię? Powiemy całemu światu! Morderczyni dowie się, że ją widziałam i wciąż mogę ją zobaczyć. Że mogę ją zidentyfikować!

Staffeldowiomal nie wypadł długopis z ręki. I chociaż w wypadku Julii Austrian wyraz twarzy nie miał znaczenia, nadinspektor nie chciał, żeby kobieta zapisująca rozmowę coś zauważyła. Bo Julia mówiła o czymś, do czego nie mógł dopuścić. Fakt, że widziała morderczynię, nie miał w tej chwili znaczenia, bo Julia znów była niewidoma. Ale dokładny opis opublikowany w prasie mógłby sprawić, że ktoś ją rozpozna. A tego właśnie chciał uniknąć człowiek, który go

szantażował. Ten potwór wydałby wtedy wyrok śmierci na niewidomą pianistkę, a Staffeld musiałby stawić czoło zaistniałej sytuacji. Wówczas okazałoby się, jak daleko jest gotów pójść, żeby chronić fundamenty swojego życia.

Musi przekonać tę młodą kobietę, że najlepsze, co może zrobić, to milczeć. Tylko że ją tak opętał ten pomysł, że nie mogła o niczym innym myśleć i aż drżała na myśl o tym, jakby się to mogło zakończyć.

- Przyjdzie po mnie! Będzie musiała. A kiedy się pojawi, wy ją złapiecie! Warto zaryzykować. Jestem gotowa poświęcić wszystko, żebyście tylko złapali morderczynię mojej matki!

Zgodnie z tym, co Staffeldowi powiedziano, Julia Austrian miała być cichą, zamkniętą w sobie młodą kobietą, którą łatwo będzie przekonać. Tymczasem wyglądało na to, że można o niej powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest cicha albo że łatwo ją przekonać. Poza tym była odważna aż do granic zuchwałości.

- Nie mogę się na to zgodzić, pani Austrian. To byłby niewybaczalny błąd. Nikt oprócz pani nie widział zabójczyni. Gdyby coś się pani stało, nasze szanse na jej schwytanie zmniejszyłyby się drastycznie, nie wspominając o tym, jakby to osłabiło dowody oskarżenia. Ta kobieta zostałaby na wolności i mogłaby zabić dalej. To, że nie domyśla się, że pani ją widziała, daje nam ogromną przewagę. Będzie pewna siebie, będzie się czuła bezpieczna, więc w końcu popełni jakiś błąd. I wtedy ją złapiemy. Najlepiej jeśli nikomu nie powiemy, że dała nam pani opis morderczyni.

- A w jaki sposób zamierzacie ją złapać? - zapytała Julia ze złością.

- Droga pani, proszę nam zaufać. Blisko dwieście lat zajmujemy się rozwiązywaniem podobnych spraw. Będziemy szukać pani biżuterii w lombardach i u paserów. Zakładam, że jest pani w stanie rozpoznać niektóre przedmioty za pomocą dotyku?

- Tak. Mój pierścionek. I kolczyki mamy. Zostały zrobione na zamówienie i są unikatami.

- Dobrze. Tą drogą dotrzemy do przestępcy. Nasi ludzie chodzą po domach w pobliżu miejsca zbrodni. Zabójczyni musiała jakoś stamtąd uciec... Na piechotę, na rowerze, samochodem. Szukamy wszystkich, którzy byli w okolicy w tym czasie. To bardzo mały kraj i, może mi pani wierzyć, bardzo dobrze chroniony. W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych. Piekielnie trudno się stąd wydostać, zapewniam panią. Złapiemy tę kobietę, a wtedy pani pomoc będzie niezbędna.

Milczała, rozważając jego słowa, ale wciąż miała wątpliwości.

Nadinspektor zaś czuł, że jest bliski sukcesu. Teraz musi tylko trzymać kurs. Nadał szczerzy, zatroskany ton swojemu głosowi.

- Jeśli zdecydowalibyśmy się na taką pułapkę, jaką pani proponuje, musielibyśmy przeznaczyć na ten cel ogromne środki i zaangażować mnóstwo ludzi,

żeby pilnowali pani bezpieczeństwa. W takiej sytuacji nie będziemy mogli prowadzić równocześnie intensywnego śledztwa. W rezultacie może się zdarzyć rzecz niedopuszczalna, mianowicie przestępczyni nam się wymknie.

- Śledztwo prowadzone pana metodą zajmie wieczność, o ile w ogóle przyniesie jakiś rezultat.

- To metoda najpewniejsza. Chyba nie wątpi pani, że na złapaniu morderczyni pani matki zależy nam równie mocno, jak pani.

Jeszcze się zastanawiała. W końcu westchnęła ciężko.

- No dobrze. Może to rzeczywiście ma sens. Ale chcę wyznaczyć nagrodę za pomoc w schwytaniu tej kobiety. Myśli pan, że pół miliona dolarów wystarczy?

- To nawet za dużo. A pomysł jest doskonały. - Odetchnął z ulgą. Kamień spadł mu z serca.

Ale Julia nie zamierzała się łatwo poddać.

- Jeśli jej wkrótce nie złapiecie, wrócę tu i załatwię wszystko po swojemu. Sama załatwię sobie ochronę, jeśli to rzeczywiście taki problem dla pana. Mogę sobie na to pozwolić. Mogę kupić wszystko. Z wyjątkiem życia mojej matki.

7.

Na posterunku czekała na Julię pełna niepokoju Marsha Barr. Powietrze o tak późnej godzinie miało zapach stęchlizny, było wilgotne i Marszę ogarnęło uczucie klaustrofobii. W środowisku muzyków pani Barr była legendą. Słyszała z niezwyklej umiejętności organizowania tras koncertowych. Dzisiejszej nocy czekało ją smutne zadanie: musi poradzić sobie z osobistą tragedią jednej ze swoich podopiecznych. Rzecz jasna, czasem zdarzało się, że trzeba było odwoływać koncerty. Przyczyną mogła być choroba albo kiepska kondycja. Zdarzało się jej też odwoływać koncerty z powodu śmierci artysty albo bliskiej mu osoby.

Tym razem śmierć zabrała kogoś bliskiego również jej. Przez wiele lat pracowała z Marguerite Austrian, lubiła ją i szanowała. Marguerite umiała opiekować się córką, a równocześnie była mądrym menedżerem. Marsha podziwiała obie umiejętności, chociaż uważała, że Marguerite posunęła się za daleko, poświęcając swoje życie karierze córki.

Przestępowała z nogi na nogę. Westchnęła. Poczula ostry ból w piersi. Nie nawidziła leż i miała nadzieję, że uda jej się przetrwać tę noc bez uronienia

choćby jednej łyzy. Jutro, gdy tylko wstanie słońce, a ona usiądzie za biurkiem i zacznie pracować z telefonem w rękę, zaraz poczuje się lepiej.

- Pani Barr? Dziękuję, że zechciała pani przybyć. Nadinspektor policji Geoffrey Staffeld. - Julię przyprowadził postawny, energiczny mężczyzna.

Cześć, Marsha. - Julia była biała jak chusta i wyglądała, jakby płakała przez tydzień. Błękitna suknia od Versacego, płaszcz i buty poplamione były zaschniętą rdzawą krwią. Sprawiało to przerażające wrażenie. - Powiedziano ci o... mamie?...

Marsha przełknęła ślinę, z trudem powstrzymując łyzy.

- Tak mi przykro, Julio. Strasznie mi przykro.

Julia tylko kiwnęła głową. Nie miała swoich ciemnych okularów i jej oczy w czerwonych obwódkach zdawały się promieniować jakimś niezwykłym światłem. Znikła gdzieś jej zwykła energia. Marsha zauważyła za to coś nowego, coś, czego wcześniej nie było - determinację.

Nadinspektor zdjął powoli rękę Julii ze swojego ramienia i przekazał ją Marshy.

- Skontaktowaliśmy się z panem Creightonem, wujem pani Austrian. Zaburował lot do Nowego Jorku na jutro rano. Chce przerwać tournée. Zawiadomimy pana Creightona, gdy tylko będzie można zabrać ciało pani Austrian. Jeszcze raz dziękujemy za pomoc.

Marsha kiwnęła głową i spojrzała na Julię.

- Kochanie, pojedziemy do hotelu i weźmiemy twoje rzeczy. A potem pojedziemy do mnie. Nie możesz być dzisiaj sama.

Julia miała jednak inny pomysł.

- Dobrze, ale najpierw musimy jeszcze gdzieś wstąpić.

Nadinspektor wrócił do swojego gabinetu. Na ścianie obok metalowych regałów mieszczących archiwum wisiały w ramach fotografie przedstawiające Staffelda w towarzystwie królowej, kolejnych premierów - Thatcher, Majora i Blaira - kilku lordów majorów Londynu, komisarzy policji, rodziny i grup młodzieży. Staffeld był cenionym, mającym powody do dumy i lubianym oficerem policji.

Zamknął za sobą drzwi na klucz i w zaciszu gabinetu wystukał numer telefonu. Człowiek, który go szantażował zapewnił, że na wykazie rozmów ten numer będzie figurował jako numer na Bahamach. To elektroniczne oszukaństwo było jedyną pocieszającą rzeczą w tej sprawie. Polegało na tym, że ilekroć ktoś wykręcał odpowiedni numer, uruchamiał się program komputerowy, który mylił tropy i uniemożliwiał lokalizację rozmówców oraz podsłuch.

Kiedy z drugiej strony linii ktoś podniósł słuchawkę, nadinspektor odezwał się bez zbędnych wstępów.

- Julia Austrian widziała tę pańską kobietę. Zabójczynię.

Zaskoczenie, którego świadectwem była chwila ciszy, dało Staffeldowi sporo satysfakcji. Zwłaszcza, że miał jeszcze dobrą wiadomość.

Po chwili odezwał się znajomy głos. Należał do kogoś przyzwyczajonego, że zawsze udaje mu się dopiąć swego.

- Niemożliwe! Ona jest niewidoma!

- To pan tak twierdzi. Prawdę powiedziawszy, myli się pan. Ale mam jeszcze jedną wiadomość, tym razem dobrą: pani Austrian znowu straciła wzrok. - W skrócie zrelacjonował wydarzenia. - Jest w tej chwili na skraju załamania nerwowego - zakończył. - Bez przerwy płacze. Chce, żebyśmy zrobili wszystko, żeby złapać zabójcę. Matka musiała być jej bardzo bliska, i to morderstwo było wstrząsem. Jest zła i czuje się winna, że przeżyła. Przeznaczyła pół miliona dolarów nagrody za pomoc w schwytaniu morderczyni. Efekt będzie taki, że ściągną tu wszystkie okoliczne cwaniaczki, co tylko opóźni śledztwo. Poza tym miała pomysł, żeby zagrać rolę przynęty i zwabić tę kobietę w pułapkę. Ale w końcu udało mi się ją przekonać, że trzeba zachować w tajemnicy, że jest jedynym naocznym świadkiem.

Nie miał zamiaru mówić temu draniowi, że Austrian okazała się o wiele twardsza, niż się spodziewał. Z jednych ludzi tragedie robiły rozdygotane strzępy, a inni odnajdowali w sobie siłę, której istnienia nawet nie podejrzewali. Wygląda na to, że Julia Austrian należy do tej drugiej grupy. Czas pokaże. I ten przekłety szantażysta sam będzie miał okazję się przekonać.

- Dobrze - powiedział głos chłodno. - Zakładam, że upewnił się pan, że Austrian znajdzie się jutro na pokładzie *concorde'a*?

- Tak. Powiedziałem jej, że się z nią skontaktuję, kiedy będzie nam potrzebna.

- Nie będzie takiej potrzeby. - To brzmiało jak rozkaz.

Wolałby nie ingerować zbyt w prowadzone dochodzenie, ale jeśli nie uda mu się spowolnić jego biegu i zakończyć wszystkiego umorzeniem sprawy, będzie musiał to zrobić. Jego kompetencje pozwalały mu na to. Odwołałby ludzi przeszukujących sąsiedztwo, zaniechałby poszukiwań zaginionej biżuterii. Jeśli zajdzie potrzeba, dopilnuje, żeby zaginęły dokumenty. Albo nawet je zniszczy.

W głębi duszy marzył, żeby posłużyć się Turkowem i skrócić kark temu draniowi z Ameryki, ale rozsądek podpowiadał, żeby zachować spokój. Przynajmniej na początku może pójść na ugodę.

- Prawdę mówiąc, trudno mi sobie wyobrazić, żeby policja mogła jeszcze potrzebować pomocy Julii Austrian - zapewnił. - Ale muszę przyznać, że fakt odzyskania przez nią wzroku utrudnił mi zadanie. Nielatwo było ją przekonać...

Odpowiedź z drugiej strony linii była jak uderzenie biczem - dokładnie wymierzone i na tyle silne, że dosięgło celu mimo dzielących rozmówców tysiący kilometrów.

- Nie przeciągaj struny, Staffeld. Jeśli chcesz, żeby nikt się nie dowiedział o twoich brudnych sprawkach, stosuj się do poleceń. Pamiętaj, że robię ci przysługę.

Staffeld ręką otarł usta.

- Rozumiem. Więcej pan o mnie nie usłyszysz.

- Błędna odpowiedź, nadinspektorze. Zdecydowanie błędna. - W tym głosie słychać było okrucieństwo. Człowiekowi po drugiej stronie linii władza sprawiała znacznie większą przyjemność, niż powinna. - To nie koniec. Na razie może pan odpocząć, ale proszę się przygotować na wyjazd. W weekend leci pan do Nowego Jorku...

- Teraz niech pan mnie posłucha! Zgodziłem się na pańskie warunki tylko dlatego, że nie kolidowały z moją pracą. Ale powiedziałem już, że nie dam się wciągnąć w nic więcej! - W głosie Staffelda słychać było groźbę. Za dużo w życiu przeszedł, żeby teraz łatwo dać z siebie zrobić bezbronną ofiarę. - Zrozumiał pan? Proszę ostrożnie - powiedział pewnym siebie głosem.

- W zamian na sztyfowym koncie w Urugwaju zostanie zdeponowany milion dolarów. Pieniądze będą do pańskiej dyspozycji, kiedy nie będziemy już potrzebowali pańskich usług.

Staffeld miał ochotę gwizdnąć. Jest kij, ale jest i marchewka, pomyślał, uśmiechając się ponuro. Ileż to razy sam posługiwał się tą starą metodą? Zawsze się sprawdzała. Pieniądze znacznie poszerzają granice tolerancji okrucieństwa, zdrady i ryzyka.

Staffeldowi spodobała się ta obietnica, ale zachował spokój.

- Nie zrobię nic, co zaszkodziłoby mojej rodzinie i pracy. Nic.

Głos w słuchawce był władczy i stanowczy, nie zostawiając miejsca na żadną dyskusję.

- Nie, Staffeld. Pan nie rozumie. Udało się panu sprostac pierwszemu wymaganiu, przekonał pan Julię Austrian i wysłał ją do domu. Nie pozwoli pan, żeby zabójca został ujęty. Jestem zadowolony, bo to na razie wystarczy. Ale mamy jeszcze jedną sprawę do pana. Wskazówki otrzyma pan później. Proszę się do nich zastosować. I niech pan nie lekceważy moich słów ani nie będzie wścibski, bo nie tylko zostanie pan biedakiem, ale straci pan też życie. - Połączenie zostało przerwane.

Ponieważ Julii tak bardzo na tym zależało, Marsha Barr zawiozła ją do Royal Albert Hall. Strażnicy nie chcieli wpuścić kobiet do środka, zwłaszcza kiedy zauważyli zakrwawione ubranie Julii. Ta jednak przekonała ich, żeby poszli zobaczyć program minionego wieczoru; na jego okładce znajdowało się jej zdjęcie.

Musi dostać się do środka, bo zamierza odzyskać wzrok.

Dwaj mężczyźni znikli za drzwiami, a Julia i Marsha zostały na zewnątrz na mrozie. Julia czuła unoszący się w powietrzu zapach piżma i mającego spaść śniegu. Mróz szczypał ją w policzki i nos, aż bolało. Przez chwilę zastanawiała się, czy wciąż widać gwiazdy. Żałowała, że nie może ich zobaczyć. Żałowała, że nie zobaczy już matki...

Przed oczami z bolesną wyrazistością pojawiły się obrazy dzisiejszej nocy. W jej świecie zamkniętym na nowe obrazy jeszcze raz rozegrały się sceny potwornego morderstwa... twarz matki... walka o oddech... straszny ból... desperacka walka matki ze śmiercią... i niemoc Julii.

W oczach błysnęły jej łzy. Chciała zmusić umysł, żeby zajął się tylko najważniejszymi sprawami. Z trudem skoncentrowała się na przyszłości. Ma przed sobą określony cel. Kiedy Scotland Yard złapie morderczynię, ona musi ją rozpoznać. A jeśli angielska policja nie da rady, Julia weźmie sprawę w swoje ręce.

Do dziś Julia bardzo chciała widzieć. Teraz musi widzieć. Nie może nikomu powiedzieć, że była naocznym świadkiem morderstw. Przyrzekła to temu policjantowi.

- Nie rozumiem, co tu robimy. - Marsha szczykała zębami.

- Wybacz mi, Marsha. Wiem, że wydaje ci się, że to nie ma sensu. Ale pracujemy razem tyle lat i dlatego ośmieliłam się prosić cię o tę przysługę. Proszę, pomóż mi i nie pytaj, dlaczego to robię.

Marsha głośniej zaszczykała zębami.

- Skoro w ten sposób stawiasz sprawę, jak mogę odmówić? - powiedziała zrezygnowana.

Strażnicy wrócili i potwierdzili, że Julia jest tym, za kogo się podaje. Pozwolili kobietom wejść do środka. Marsha prowadziła Julię, trzymając ją za ramię tuż nad łokciem. Jak zwykle.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Po tym wszystkim, co dziś przeszedłaś?...

- Głos Marshy był pełen troski.

- To konieczne. Zaprowadź mnie tam, gdzie stałam z mamą za kulisami, zanim wyszłam na scenę.

- Nie jestem pewna, czy pamiętam dokładnie.

- Nie szkodzi. Spróbuj ustawić mnie jak najbliżej.

Kiedy znalazły się na miejscu, Julia usłyszała, że Marsha się cofa.

- Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc? - Głos Marshy odbił się echem w pustej sali.

- Będę się zachowywać tak, jakby za chwilę miał się zacząć koncert. Muszę się skoncentrować.

- Co tylko sobie życzysz.

Kiedy echo głosu Marshy ucichło, Julia zamknęła oczy i odrzuciła łaskę. Niemal od razu w jej głowie odezwały się pierwsze takty wspaniałych etiud Liszta. Muzyka zdawała się narastać. Poczekała na właściwy moment i ruszyła,

odliczając kroki. Wyobraziła sobie swój fortepian, ukochanego Steinwaya. Z pamięci przywołała szmer i odgłosy podniecenia widowni. Słyszała już *crescendo* pierwszego utworu. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości, a palce rwały się, by dotknąć klawiatury.

Osiem, siedem. Wyimaginowana widownia ucichła w oczekiwaniu.

Sześć, pięć. Wspaniały instrument czekał jak żywe stworzenie. Jakby oddychał.

Cztery, trzy. Przerazenie ścisnęło jej gardło.

Dwa... jeden. Nie widzi światła.

Opuściła ramiona. Do oczu napłynęły jej łzy. Nic, tylko ciemność. Nawet nie miękka i ciepła jak aksamit, tylko kamienna i zimna jak Antarktyda.

Nie będzie w stanie - po prostu nie będzie - żyć w ten sposób. Musi rozpoznać morderczynię matki.

Ledwie powstrzymała się od okrzyku rozpacz. Oszałała wyciągnęła przed siebie rękę, spodziewając się dotknąć fortepianu. Ale fortepianu tam nie było. Straciła równowagę i przechyliła się do przodu. Potknęła się. Z trudem udało się jej nie upaść. Dłonie rozpaczliwie czepiały się pustki w poszukiwaniu przyjaciela, podpory - fortepianu. Znowu, potykając się, zrobiła krok do przodu. Ale natknęła tylko chłodną pustkę. Łzy kapały na podłogę.

Nic, nic, nic.

Nie umie odnaleźć w sobie wzroku. Nie umie znaleźć fortepianu. Nie znajdzie zabójczyni...

- Julia, przestań! Upadniesz! - Marsha chwyciła ją w pasie.

Julia odepchnęła ją mocno.

- Zaprowadź mnie z powrotem za kulisy - zażądała. - Zrobię to jeszcze raz!

- Nie. Musisz iść ze mną do mojego mieszkania. Musisz się wyspać. Odpocząć. Spotkał cię straszliwy cios, straciłaś matkę. Jutro rano czeka cię długi lot do Nowego Jorku. Będzie tam na ciebie czekać prasa, gotowa pożreć cię żywcem, bo tobie udało się przeżyć. Proszę, Julio. Musisz zająć się sobą. To nie ma sensu!

Julia uspokoiła się. Nie udało się jej odzyskać wzroku, bo wyruszyła z innego miejsca. Zawsze, kiedy szła do fortepianu na koncercie, mogła w stu procentach polegać na swojej wewnętrznej orientacji. Trafiała bezbłędnie, bo szła, jakby sterowana pilotem automatycznym, który działał niezależnie od tego, czy o nim myślała, czy nie. Marsha pewnie nie znalazła miejsca, z którego matka ją wypuszczała, a zmysły Julii nie umiały naprawić tego błędu i odnaleźć Steinwaya. Kiedy wypełniała ją muzyka, niewiele miejsca zostawało na coś innego. Dlatego wieczorem przed koncertem wpadła na stołek. I dlatego nie była teraz w stanie znaleźć fortepianu.

Przetarła oczy i pokręciła głową.

- Zaprowadź mnie za kulisy. A potem jeszcze raz prowadź mnie całą drogę. W ten sposób odzyskam orientację. Proszę, Marsha. Jeśli tego nie zrobisz, będę dotąd się potykać, aż sama znajdę drogę.

Marsha się zawahała.

- Boję się, że zrobisz sobie coś złego, tak jak przed koncertem. Tym razem możesz coś sobie złamać. Palec. Albo kości dłoni. Jeśli nieszczęśliwie upadniesz, możesz na zawsze zostać kaleką i nigdy więcej nie zagrasz.

Julia przez chwilę myślała o tym, co powiedziała Marsha. Poczwała rosnący lęk. Oboje rodzice nie żyją, a ona nie ma nic poza muzyką. Ale nie wolno jej się bać.

- Nie upadnę. Tylko pokaż mi drogę.

Marsha ciężko westchnęła. Zaprowadziła Julię za kulisy, potem do fortepianu i z powrotem za kulisy.

Kiedy szły do instrumentu, nogi Julii zapamiętywały trasę. Czwała wszystkie nierówności na drewnianej podłodze. Słyszała, jak różne dźwięki wydają kroki - raz dźwięczne „stuk”, innym razem głucho, a najczęściej coś pomiędzy. Nasłuchiwała echa - odgłosy odbijały się od ściany, jakiegoś sprzętu, sceny. W pewnej chwili miała wrażenie, że dźwięki pochłania coś miękkiego - Julia zapamiętała, że na prawo jest gruba kurtyna. Jej ciało wyczuwało najmniejszą zmianę kierunku, każdą nierówność podłogi.

To odbieranie wrażeń nie przez wzrok, ale przez pozostałe zmysły można by porównać do pisania piórem kulkowym. Kiedy zbiorniczek jest pełen atramentu, pisanie przychodzi gładko. Jednak kiedy atramentu jest coraz mniej, trzeba coraz mocniej przyciskać, aż w końcu pozbawione atramentu pióro zaczyna skrobać papier. Człowiekowi zdaje się, że zmiana zachodzi nagle. Że atrament po prostu znika. Ale to nieprawda. Zbiorniczek nigdy nie robi się pusty nagle. Zmiana następuje stopniowo i można ją śledzić, jeśli jest się odpowiednio wyczulonym. Podobnie rzecz wygląda z chodzeniem. Może nam się zdawać, że płynnie pokonujemy jakąś trasę, a tymczasem droga zawsze pełna jest faktur. Tylko że ludzie widzący polegają niemal wyłącznie na swoim wzroku i nie zauważają innych sygnałów.

Po trzech próbach Julia znała drogę. Kiedy stanęła z powrotem w punkcie wyjścia, jeszcze raz przywołała etiudy Liszta. Przyszły do niej, jak podekscytowany przyjaciel, a ich siła i piękno zawładnęły niewidomą.

Marsha zostawiła ją i Julia zaczęła iść sama. Pograżona w muzyce, odliczyła kroki.

Jeszcze jeden. Zatrzymała się.

Łzy napłynęły jej do oczu. Wytarła je ze złością. Nie pojawił się nawet promyk światła.

Wyciągnęła przed siebie ręce. Poczwała chłodną, śliską powierzchnię fortepianu. Przynajmniej trafiła na miejsce. Ale co się stało z jej wzrokiem? Poczwała

ukłucie w sercu. Ten dobry duch, który zdarł z jej oczu czarną zasłonę w Warszawie i dziś wieczorem, teraz ją zawiódł. Nie rozumiała, dlaczego wzrok dwukrotnie jej powrócił. To, co „widziała” teraz, było tylko okrutną czernią. Otaczająca ją nieustannie noc była jak więzienie. Dusila się w nim.

Odezwała się zachrypniętym głosem:

- Zaprowadź mnie z powrotem, Marsha. - Próbowала jeszcze cztery razy, ale wzrok nie powrócił. Dławiąc łzy, przyznała w duchu: „Jest niewidoma. Niewidoma. Może już do końca życia”.

- Julio? - Głos Marsha był delikatny i pełen troski.

- Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Możemy już iść. - Skłamała. Jak oszalała próbowała rozwiązać zagadkę odzyskania wzroku. Coś tu nie gra... jakiś element nie pasuje...

Marsha położyła dłoń Julii na swoim ramieniu i poprowadziła ją przez scenę.

Po drodze Julia w myśli analizowała wszystkie wydarzenia wieczoru, szukając czegoś, co by ją zastanowiło. Przypomniła sobie pytania nadinspektora dotyczące jej kalectwa i jej wyjaśnienie. Powtórzyła to, co powiedział jej psychiatra; według niego był to wstrząs w czasie koncertu debiutanckiego, spowodowany żywiołową reakcją publiczności. Ale dziś wieczorem, kiedy odzyskała wzrok, przyglądała się publiczności i nie czuła żadnego strachu. Przypomniało się jej, że kiedy patrzyła na żywą reakcję widowni i na pełne oczekiwania twarze, nie czuła przerażenia. Wprost przeciwnie, czuła radość. I nie straciła wzroku, gdy patrzyła na ludzi.

Co więc było przyczyną?

Coś przyszło jej do głowy. Jeśli nie był to strach przed publicznością, może chodziło o śmierć matki. Wysiłała pamięć, żeby ustalić kolejność wydarzeń, które doprowadziły do utraty wzroku w taksówce...

W pewnej chwili jej wzrok spoczął na pierścionku z aleksandrytem, który złodziejka ściągała jej z palca.

Poczuła ten dziwny zapach.

Potem stanął jej przed oczami wieczór debiutu. I nagle, kiedy przypominała sobie tamten koncert, zaczęła tracić wzrok.

Jej matka wtedy wciąż żyła. A ona miała nadzieję, że matka przeżyje.

Przeraziła się. Pierścionek z aleksandrytem - ten, który dziadek jej dał na przyjęciu z okazji debiutu - musiał być katalizatorem. Kiedy go zobaczyła, pewnie przypomniła sobie prawdziwą przyczynę ślepoty. Nie była to śmierć matki. Ani strach przed publicznością. Jej psychiatra bardzo się mylił.

Kiedy wyszły z Marshą na zewnątrz w zimną londyńską noc, Julia przysięgła sobie, że nic jej nie powstrzyma. Podniosła do góry głowę, zamknęła oczy i obiecała sobie, że doprowadzi do tego, by morderczyni jej matki poniosła karę.

Niezależnie od wszystkiego, od tego, ile to będzie kosztowało, gdzie będzie musiała pojechać, co zrobić, jakim niebezpieczeństwem przyjdzie jej stawić czoło... Zrobi wszystko, żeby znaleźć kobietę, która bez mrugnienia okiem zamordowała jej matkę.

Pałaca nienawiść ścisnęła jej gardło. Mogłaby ją zabić.

Opanowała się. Musi pomyśleć. Ułożyć plan...

Żeby złapać morderczynię, musi widzieć. A żeby widzieć, musi wyleczyć się z zaburzenia nazywanego zastąpieniem. Jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, było znalezienie przyczyny, dla której nie była w stanie patrzeć na ten świat.

8.

8.30, SOBOTA

OYSTER BAY, NOWY JORK

Niebo było zimne, błękitne. Redmondowie tłumnie zjeżdżali do rodzinnej posiadłości, żeby poczekać tu na Julię Austrian i razem z nią oddać się żałobie. Przyjeżdżali w limuzynach, ogromnych samochodach osobowych i w wozach sportowych. Nie zwracali uwagi na grupki dziennikarzy, którzy gorliwie wpychali mikrofon w każde otwarte okno. Ponieważ przed wielką bramą z kutego żelaza zebrał się spory tłum przedstawicieli mediów i gapiów, drogę częściowo odgrodzono za pomocą metalowych pachołków i plastikowej taśmy. Lokalna policja oraz policja okręgu Nassau kierowała ruchem.

Dziennikarzy przybywało. Ekipy telewizyjne i radiowe rozładowywały swoje wozy i wyjmowały sprzęt. Wczorajszej nocy krajem wstrząsnęła wiadomość o zamordowaniu siostry kandydata na prezydenta, Creightona Redmonda. Gazety już miały gotowe wstępniaki i z niecierpliwością czekano na konferencję prasową, która miała odbyć się w południe. Dziennikarze mieli nadzieję, że nie obędzie się bez wielkich słów i łez, może nawet jedyne dziecko zamordowanej, niewidoma pianistka, zechce powiedzieć o swoim cierpieniu. Kto wie, może nawet zemdleje.

Z drogi, na której zbierali się dziennikarze, zabudowania były niewidoczne. Teren posiadłości wznosił się nad Oyster Bay na północnym brzegu Long Island, gdzie ceny gruntu były zawrotne. Tu zawsze można było liczyć na wiatr i słońce, a zatoka w tle nieustannie dostarczała nowych dekoracji. Na posiadłość Redmondów - dwa i pół hektara zieleni, składały się: willa w stylu śródziemnomorskim, dwa domy dla gości w tym samym stylu, domek dla dzieci o jedną

trzecią mniejszy od normalnego, klasycystyczna altanka, garaż na dwanaście samochodów, korty tenisowe, basen oraz lądowisko dla helikoptera.

Wszędzie panowała atmosfera bogactwa, spokoju i bezpieczeństwa. Posiadłość nosiła nazwę Arbor Knoll, Wzgórze Drzew, z powodu wysokich starych drzew, które rosły tu od przełomu wieków, kiedy to znany architekt Addison Mizner wybudował pięćdziesięciopokojową willę.

Wkrótce po zakończeniu drugiej wojny światowej zdobywca fortuny, głowa rodziny Redmondów Lyle, kupił tę wzniesioną z kamienia i marmuru willę. Zależało mu na blichtrze, katedralnych sklepieniach, ogromnych pokojach (pokój gościnny miał sto trzydzieści pięć metrów kwadratowych), masywnych kominkach, ogrodach kwiatowych, basenie przed domem... na wszystkim, co luksusowe, pełne przepychu, żeby poinformować świat o nowo zdobytym bogactwie.

W ciągu minionego półwiecza Arbor Knoll niewiele się zmieniło, od czasu do czasu tylko coś unowocześniano - zawsze ze smakiem i nie żałując pieniędzy. Majątek miał prywatną ochronę, ale w tej chwili dowództwo przejęły służby specjalne, które zaadaptowały na swoje potrzeby większy z dwóch domów gościnnych. Kiedy w rezydencji znajdował się kandydat na prezydenta, około trzydziestu agentów przeszukiwało lasek i zarośla otaczające majątek z trzech stron, a także plażę, która zamykała dostęp do posiadłości od strony morza. Tajni agenci w cywilnych ubraniach i z nadajnikami w uszach stali również w budkach przy bramie wejściowej.

Ten wspaniały dom stanowił żywe serce rodziny Redmondów. I mimo że kandydat na prezydenta Creighton Redmond dotychczas w sondażach nie wypadł najlepiej, znalazł sposób, aby tu, w Arbor Knoll, zabiło również serce Ameryki.

9.30, SOBOTA

Dziesięcioosobowy sztab wyborczy Creightona Redmonda oraz dwunastu krewnych płci męskiej - ludzi liczących się w wymiarze sprawiedliwości i biznesie - zebrało się w bibliotece willi. Z wyjątkiem żony i dzieci Redmond rzadko dopuszczał rodzinę do uczestnictwa w kampanii. Nie chciał dawać podstaw i tak nieuniknionym oskarżeniom o nepotyzm. Ale dziś, skoro większość rodziny już tu była, a wszyscy wykazali się lojalnością i ofiarnością w zbieraniu funduszy na kampanię, zaprosił zainteresowanych na spotkanie. Przyświecał mu jeszcze jeden ukryty cel.

Biblioteka urządzona była po męsku - boazeria z drewna orzechowego, meble obite ciemną skórą i ogromny kominek. Powietrze przesycone było

aromatem palących się polan. Światło poranka wpadało z góry przez wysoki rząd okien i odbijało się od oprawionych w skórę tomów, których od lat nie dotykał nikt. Atmosfera wyjątkowości i władzy wypełniała powietrze i upajała. Kiedy członkowie sztabu wyborczego oraz rodziny zajęli miejsca, wszyscy z rozkoszą zanurzali się w niej. Władza jest jak narkotyk.

- Mamy dodatkowe punkty! - Był to głos Maria Garcii, człowieka do spraw kontaktów z mediami, chudego i wysokiego bez charakteru, ale o jasnym umyśle. Mówił wprawdzie do wszystkich, ale patrzył na kandydata, czekając na aprobatę.

Najstarszy syn kandydata Vince Redmond napił się wódki z sokiem pomarańczowym i spojrzał na ojca. Trzydziestokilkuletni mężczyzna o ostrych rysach i czarnych włosach był młodszą wersją ojca. Brakowało mu tylko mądrości w spojrzeniu i pasemek srebra we włosach. Kochał ojca i czuł przed nim respekt, a energię i siłę do działania czerpał stąd, że miał nadzieję, iż pewnego dnia uda mu się prześcignąć ojca.

Fakt, że piastował urząd zastępcy szefa wywiadu, mógł zaszkodzić ojcu w kampanii. Vince ubrał się więc tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi - we flanelowe spodnie i ciepłą koszulę od Pendletona. Starał się stać w cieniu. George Bush, kiedy ubiegał się o prezydenturę, był dyrektorem CIA, co wywołało publiczną debatę, na temat tego, czy prezydentem może zostać były szpieg. Sztab wyborczy Busha skutecznie odparł wtedy wszystkie zarzuty, ale Creighton Redmond nie widział powodu, dla którego miałby ryzykować powtórkę takiej wersji wydarzeń. Jego syna rzeczywiście można by nazwać szpiegiem.

Dlatego też Vince rzadko publicznie zabierał głos. Tym razem jednak nie mógł się powstrzymać.

- Chce pan powiedzieć, że to dzięki śmierci Marguerite?

- Nie inaczej - odpowiedział Mario Garcia z drugiego końca biblioteki, unosząc w górę podkładkę pod dokumenty. - Morderstwo sprawiło, że zaczął działać dodatkowy element, „czynnik współczucia”. O zabójstwie informują wszystkie media. - Zwrócił się do kandydata, który siedział za potężnym biurkiem z orzecha. - Dwie godziny temu rozpoczęliśmy badania opinii publicznej. Wstępny wynik wskazuje, że pańskie notowania wzrosły do czterdziestu procent. Jeśli będziemy mieli szczęście, wyciśniemy kolejne pół punktu po konferencji prasowej. Takie morderstwo porusza czułą strunę w sercach wyborców. Zaczynają współczuć. Dobrze rozumieją te sprawy.

Creighton Redmond skrzywił się.

- Jej śmierć jest dla nas tragedią.

Ale kampania prezydencka to wojna i gdy tylko członkowie sztabu wyborczego Redmonda otrząsnęli się z pierwszego wstrząsu, jaki wywołała śmierć Marguerite, szybko zaczęli główkować, jak można by ją wykorzystać.

Na twarz kandydata wrócił wyraz spokoju i dobroduszości, który w wyborach budził zaufanie. Creighton Redmond był mężczyzną średniego wzrostu, przeciętnej budowy ciała, miał pięćdziesiąt kilka lat, szpakowate włosy i niespożytą energię, która zjednywała mu sympatię dużej części najmłodszego elektoratu. Miał na sobie ciemny klasyczny garnitur. Nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym do chwili, kiedy stawał przed publicznością. Wtedy charyzma przemieniła go w guru.

- Dzięki temu stał się pan bliższy wyborcom, panie sędzio - powiedział specjalista od spraw mediów. - Morderstwo pani Austrian to niezaprzeczalny cios i wszyscy zgodnie twierdzimy, że to potworne. Ale przynajmniej coś dobrego z tego wynikło.

- Rozumiem, Mario. Dziękuję. Świetnie się spisałeś. - Spojrzenie byłego sędziego było stanowcze, a zebrani w bibliotece ulegali jego niezachwianej pewności. Wypowiedź człowieka od spraw kontaktów z mediami została skwitowana w sposób najwłaściwszy z możliwych. Słowa kandydata były swego rodzaju komplementem, ale nie do końca. Creighton wykształcił w sobie trudną umiejętność równoczesnego wyrażania aprobaty i udzielania nagany - chwalił, ale dawał też do zrozumienia, że poprzeczkę postawiono wyżej. Był to komplement przeznaczony dla tych, którzy mieli talent, energię i intelekt i byli dobrzy na tyle, żeby wspiąć się na szczyt, ale wąpili w swoje możliwości.

- Tylko że ty potrzebujesz więcej, niż półtora punktu - odezwał się najmłodszy brat kandydata Brice. Głośno powiedział rzecz dla wszystkich oczywistą. W jego głosie brzmiała nutka ironii. Wszyscy dobrze wiedzieli, że uważa politykę i polityków za rzecz średnio interesującą.

Odezwał się drugi brat kandydata, David. Zignorował lekceważący ton Brice'a.

- To prawda. Potrzebujemy dużo więcej powiedział zmartwiony. - Douglas Powers wciąż ma piętnaście punktów przewagi. To znaczy pięćdziesiąt pięć procent głosów, a do wyborów zostały tylko trzy dni. Co możemy zrobić, żeby pozbawić go tej przewagi? Nie chcemy powtórki z dziewięćdziesiątego szóstego roku, nie chcemy Boba Dale'a!

- A cała fortuna wydana na komercyjne media? - zapytał jeden z siostrzeńców. - I darmowy czas antenowy? - Reklama należała do mediów komercyjnych, programy informacyjne zaś stanowiły darmowy czas antenowy.

Creighton Redmond skinął głową i zwrócił się do mężczyzny siedzącego po jego prawej stronie.

- Walt, odpowiesz na to pytanie?

- Stawiamy tylko na pewne konie - zaczął odpowiedzialny za strategię Walt Miller. Na jego czole i policzkach widoczne były ślady zmęczenia. Papieros, o którym zapomniał, dopalał się i za chwilę sparzy mu palce. - Obniżenie podatków.

Program zapobiegania rodzicielstwu nieletnich i walka z narkotykami. Ochrona prawa własności. Zwiększenie nakładów na brojenia i związany z tym wzrost naszej roli jako największej potęgi jądrowej. Te kwestie zostały postawione tak, żeby dotarły do większości Amerykanów. Pomijam tu nasz stały elektorat. I taka strategia się sprawdza. Ale państwowe media okazały się absolutnie bezstronne, a współpracę z komercyjnymi zaczęliśmy zbyt późno. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo wyprzedził nas sztab Powersa.

Spojrzał na Creightona Redmonda i zmusił się do uśmiechu. W odpowiedzi sędzia przymknął na moment oczy. Pozwolił kontynuować. Główny strateg zaciągnął się mocno papierosem, zgasił go, powoli wypuścił chmurę dymu i pochylił się. Uwaga wszystkich skupiona była na nim. W końcu głośno zostało powiedziane to, czego wszyscy się obawiali...

- Ludzie Douga Powersa przez cały rok kupowali czas reklamowy w lokalnych stacjach radiowych, omijając główne miasta, gdzie byśmy to zauważyli. Gdybyśmy o tym wiedzieli, też byśmy to zrobili. Cholera, nie tylko my byliśmy zaskoczeni. Państwowe media też się nie połapały. Teraz wiemy, że Powers miał swoje reklamy w telewizji i w radiu trzy, cztery razy w tygodniu. Za każdym razem docierał do stu dwudziestu pięciu milionów Amerykanów. Wyobraźcie to sobie! Ograniczyli się do kluczowych stanów i byli bezkonkurencyjni. Dobrze wydali dziesiątki milionów dolarów i swoimi reklamami zrobili Amerykanom pranie mózgu.

Zapadła głucha cisza.

- Szkoda, że my na to nie wpadliśmy - mruknął ktoś.
- Tak. Pranie mózgu komuś by się przydało - dodał ktoś inny.

Rozległ się złośliwy śmiech.

Zdziwiony i rozbawiony najmłodszy brat, Brice, dopiero teraz ocknął się z le-targu.

- Chce pan powiedzieć, że oni byli waszą jedyną konkurencją? Coś panu powiem, gdyby nie fortuna wydana na reklamę, nie byłibyście teraz na drugiej pozycji. Nikt w ogóle nie brałby was pod uwagę w tej grze!

- Nie mogę w to uwierzyć - burknął David. - Przede wszystkim skąd wiadomo, że badania opinii publicznej są miarodajne? Mogą zafałszowywać obraz.

- David był dyrektorem generalnym ogromnej sieci banków. Zbudował międzynarodową korporację od podstaw, zaczynając od niewielkiego banku w Nowym Jorku. W rezultacie wykształcił w sobie nawyk oceniania wszystkiego w kategoriach zysków i strat. Nawet śmierci. Cyferki były jego namiętnością.

Specjalista od spraw mediów przedstawił Davidowi krótki opis sposobu badań opinii publicznej. Na zakończenie powiedział:

- Zadajemy pytanie ośmiuset wyborcom w cały kraju. Wybieramy ich przypadkowo, ale proporcjonalnie do liczby wyborców w danym stanie. Wiem, że to

może wydawać się idiotyczne, że głosy ośmiuset osób mają odzwierciedlać opinię dwustu pięćdziesięciu milionów, ale to działa. Margines błędu wynosi trzy do czterech procent. Za każdym razem to się potwierdza.

Brice głośno wypuścił powietrze z płuc. Jego obojętność wobec polityki i depresję, na którą cierpiał chronicznie, chwilowo pokonał instynkt walki. Pierwszy raz w tym roku coś go poruszyło.

- Reklamy Powersa docierały do połowy mieszkańców kraju trzy razy w tygodniu bez żadnego odzewu z waszej strony. Nic dziwnego, że macie problem!

- A życie prywatne Powersa? - wtrącił się inny siostrzeniec. - Musi być jakiś haczyk w jego przeszłości. Nie można być biznesmenem na skalę światową, senatorem Stanów Zjednoczonych i nie ubrudzić sobie przy tym rąk. Romanse. Prostyutki. Przekupstwo. Nadużycia. Malwersacja.

Nic nie znaleźliśmy - odezwał się szef sztabu wyborczego Jack Hart. - Powers młodo się ożenił, szybko się rozwiódł. Z tego związku nie ma dzieci. Z byłą żoną utrzymuje przyjacielskie stosunki. Teraz ma typową amerykańską rodzinę: śliczna żona, dwoje dzieci, pies, kot i wóz kempingowy. Wzór cnót. - Hart był rówieśnikiem Creightona Redmonda i jego kolegą ze studiów prawniczych w Andover i na Harvardzie. Popijał mocną krwawą Mary i miał posępną minę. - Zresztą i tak wątpię, czy to zmieniłoby sytuację. Plotki o tym, że George Bush miał kochankę, w niczym mu nie przeszkodziły, a oskarżenie wniesione przez Paulę Jones podczas wyborów w dziewięćdziesiątym szóstym spłynęło po Clintonie jak woda po kaczce. Nixonowi afera Watergate nie przeszkodziła zostać wybranym na drugą kadencję, a sprawa z Iranem nie stanęła na drodze Bushowi. Prawdę rzekłszy, nie widzę nic, co mogłoby w tak krótkim czasie zdyskontować Douglasa Powersa. - Spojrzał na zegarek i z rezygnacją pokręcił głową. - Zostało mniej niż siedemdziesiąt dwie godziny.

W ogromnej bibliotece ucichły szepty. Zebranych mężczyzn ogarnęło poczucie nieuchronnej klęski.

Szef sztabu napił się krwawej Mary i ogłosił werdykt, który wszyscy już znali, ale bali się o tym głośno mówić.

- Przegramy.

W bibliotece zawrzało. Wszędzie słyhać było podniesione głosy i wzajemne oskarżenia. Robiło się coraz głośniejsze, narastała złość i rozczarowanie. Pokój zdawał się trząść od tego niespodziewanego wybuchu emocji, gdy nagle dał się słyszeć dziwny dźwięk. Był to cichy chichot, który przerodził się w głośny śmiech.

Zawiedzeni, źli, przygnębieni po kolei odwracali się, żeby spojrzeć, co na to kandydat. Tymczasem to właśnie z za jego biurka dobiegał śmiech.

Zanosząc się śmiechem, Creighton wstał, żeby widzieć wszystkich - sztab i rodzinę. Ci ludzie obdarzyli go zaufaniem. Wielu od miesięcy pracowało dla

niego po dwadzieścia cztery godziny na dobę, a teraz stanęli w obliczu klęski. Widział, że są zrozpaczeni. Dlatego pozwolił im dać upust złym emocjom, wysłuchał ich obaw. Lęk zawsze czai się w mroku, jeśli zaś wydobyć go na światło dzienne, stanie się łatwiejszy do zniesienia.

Teraz, kiedy wrzód został przecięty, Creighton musi ich przekonać, żeby odłożyli na bok żale, bo mają przed sobą ogromne zadanie, o którym jeszcze nie wiedzą. Ich inteligencja, energia i oddanie będą mu jeszcze potrzebne. Ma plan, który wyniesie go na najwyższe stanowisko w państwie. Będzie musiał zachować go w tajemnicy przed zebranymi i przed całym światem. Ale dzięki nim ten plan może się powieść.

Roześmiał się jeszcze głośniej.

- Popatrzcie na siebie! To nie koniec świata. Nie poddamy się łatwo. - Odchylił do tyłu głowę i roześmiał się jeszcze głośniej. Jego bracia, David i Brice, patrzyli na to przedstawienie zaskoczeni. Spoglądali na brata i widzieli ojca, jak odrzuca do tyłu głowę i zanosi się niepohamowanym śmiechem. Wprawdzie głowę ojca zdobiła gęstwina białych włosów, ale jego śmiech dźwięczał tą samą wzgardą wobec wszystkiego, co niesie życie.

Pięć Creightona Redmonda z hukiem wylądowała na biurku.

- Chyba się nie poddacie! Wiem, że nie. Spójrzcie na siebie, na te smutne twarze. Stać was na więcej...

Brice widział teraz za biurkiem starego Lyle'a Redmonda. To w tej bibliotece słuchali jego pouczeń. Stała mu przed oczami pełna zaciętości twarz i przypominał sobie słowa ojca o tym, że wszystko jest możliwe, jeśli tylko będzie się pracować nad osiągnięciem celu. A oni wszyscy - trzej bracia - pracowali.

Brice nie dał się unieść przemowie brata, ale słuchał i patrzył zdumiony i pełen podziwu, jak Creighton powołuje się na Olivera Wendella Holmesa i na Abrahama Lincolna, każąc zebranych brać z nich przykład wytrwałości w walce. Creighton zmarszczył brwi i założył ręce na plecach, po czym przemaszerował za biurkiem. Wszyscy z płonąącym wzrokiem słuchali, jak chwalił ich za perfekcję, z jaką organizowali zebrania przedwyborcze i cierpliwie zdobywali poparcie wśród kół politycznych. Moc jego słów podziała na zebranych.

Mimo że wielu sędziów Sądu Najwyższego rozważało tę możliwość, w dwudziestym wieku tylko jeden zrezygnował ze stanowiska, aby móc ubiegać się o prezydenturę. Był to sędzia Charles Evans Hughes. Przegrał z Woodrowem Wilsonem niewielką ilością głosów i było to w tysiąc dziewięćset szesnastym roku. Creighton Redmond nie zamierzał przegrać. Nie zrezygnował z dożywotniego stanowiska po to, żeby przegrać. Kraj potrzebował nowego przywódcy, który wprowadzi go w nowe tysiąclecie. I on chciał nim być.

Zakończył grzmiącym głosem:

Zapamiętajcie słowa Anwara Sadata: „Nie jesteś realistą, jeśli nie uwierzysz w cuda”. Cuda mają wiele wspólnego z wiarą, ale i z wytrwałością. Przeszliśmy razem długą drogę i wciąż mamy trzy dni, żeby odwrócić koło fortuny. Nikt z nas nie wie, co się w ciągu tych trzech dni wydarzy, a ja wierzę, że stanie się cud. Jeśli poddamy się teraz, nie damy losowi szansy. Dlatego nie wolno nam zejść z pola bitwy. Nie możemy pozwolić sobie na minutę zwątpienia. Pomyślcie tylko, co nasza wygrana znaczyłaby dla kraju i dla waszej przyszłości. - Przerwał, żeby otworzyć szeroko ramiona, jakby chciał ich wszystkich objąć. - Dla przyszłości nas wszystkich. Moglibyśmy wprowadzić w życie nasze idee i jeszcze na tym skorzystać. Niskie podatki. Otwarty rynek. Mniej liczny rząd. Przestrzeganie prawa, wierności konstytucji...

Zelektryzowani mężczyźni zaczęli klaskać i wznosić okrzyki. Ci, którzy siedzieli, zerwali się na nogi. Pamiętali, o co walczą w tych wyborach. Chodzi o nich... o nich wszystkich i o ich przyszłość. Wyprostowały się zgarbione plecy. Serca zaczęły bić mocniej. Creighton Redmond był ich prezydentem. Ten człowiek zaprowadzi ich do Białego Domu, a oni nie opuszczą go w bitwie, jaką przyjdzie mu stoczyć po drodze.

9.

Nastrój w bibliotece poprawił się, tak jak chciał Creighton. Skorzystał z okazji, żeby tchnąć w zebranych jeszcze więcej życia i optymizmu, posługując się obecną na miejscu ekipą specjalistów do spraw mediów. Przedstawiła ona zebrany plan końcowego uderzenia mocnej i, zdaniem wszystkich, efektywnej kampanii.

Szef do spraw reklamy przedstawił program jutrzejszej wizyty Creightona w Kalifornii. Została zorganizowana tak, aby wywołać jak największe zainteresowanie prasy i przy okazji ugłaskać wyborców w tym tak ważnym okręgu. Dziś wieczorem Creighton poleci samolotem na Zachód i wszystkie sobotnie wystąpienia będą miały charakter rodzinny, bo kandydatowi będzie towarzyszyć dwójka młodszych dzieci i kilkoro siostrzeńców i bratanków. Dzieci miały gromadzić się wokół podium na każdym przystanku. Kandydat na wiceprezydenta Arthur Friedman, podróżujący po stanach południowych, dołączy do Creightona w Los Angeles.

Aby zakończyć poranne zgromadzenie mocnym akcentem, Creighton poprosił szefa sztabu o przedstawienie planu przejścia władzy. Zebrani słuchali tego z uśmiechem błogości na twarzy. Rozmawiali o Białym Domu z wielką pewnością

siebie. Ich obawy i wątpliwości ulotniły się w obliczu jedynej prawdy: ten człowiek zasługuje na to, żeby wygrać. Jest najlepszy. A ponieważ on wybrał ich, oni również są najlepsi. Najbliższe dni to potwierdzą.

Brice Redmond stał opierając się o ścianę, i przyglądał się temu przedstawieniu. Chroniczną nudę, która była jego nieodłącznym towarzyszem zastąpiło podniecenie, a na twarzy pojawił się cień uśmiechu. Miał wypłowiałe rude włosy, bystre błękitne oczy i usta, które łatwo zamieniały się w prostą, cienką linię.

Nie przypominał żadnego ze swoich braci - typowych Irlandczyków z szybko siwiejącymi czarnymi włosami, brązowymi oczami, z twarzami o ostrych rysach i szerokich w ramionach. Był od nich piętnaście centymetrów wyższy, miał na sobie levisy, błękitną bawełnianą koszulę i szarą marynarkę w jodełkę. Dwaj pozostali bracia, Creighton i David, ubrani byli w drogie garnitury i jedwabne krawaty- strój odpowiedni na konferencję prasową, która odbędzie się w południe.

Wszystkim zebranych udzieliło się podniecenie, tylko on nie dał się ponieść tej fali. Brice cierpiał. Morderstwo jedynej siostry mocno nim wstrząsnęło. Był najmłodszy z rodzeństwa, miał czterdzieści kilka lat. Marguerite była od niego tylko dwa lata starsza. Swego czasu byli sobie bardzo bliscy. Jej śmierć dotknęła go tak mocno nie tylko dlatego, że kochał siostrę, ale również dlatego, że po raz pierwszy śmierć w ogóle stała się dla niego czymś więcej niż tylko teorią.

Z czwórki rodzeństwa on i Marguerite byli tymi niepokornymi, Creighton zaś i David poszli ścieżkami wyznaczonymi im przez ojca - Creighton studiował prawo, a David bankowość. W każdej rodzinie potrzebny jest prawnik i bankier, twierdził stary Lyle. Lekarzy można opłacić. Żaden lekarz się nie dorobi, jeśli będzie uczciwie wykonywał swoją pracę. Jeszcze gorzej miała się rzecz z nauczycielami, naukowcami, wykładowcami i wszelkiej maści artystami. Nic nie mogło zmienić zdania Lyle'a.

Ale Brice, wbrew woli ojca, poszedł własną drogą. Już dwadzieścia pięć lat temu zrozumiał, że przyszłość to komputery. Ojciec i bracia twierdzili wtedy, że oszalał. Zdegustowany wykorzystał swój niewielki kapitał, zebrał kilka wybitnych umysłów informatycznych i otworzył firmę zajmującą się pisaniem programów. Po dwóch latach stanął na nogi, a po pięciu zajął się również produkcją sprzętu.

Dzisiaj jego firma - Redmond Systems - konkurowała z Microsoftem i IBM, a pieniądze zarabiał znacznie więcej, niż był w stanie wydać. Niestety, gdzieś po drodze stracił energię. Jego firma nie potrzebowała już przedsiębiorczego wizjonera, jakim był, tylko menedżera. I to był powód jego depresji. Brakowało mu nowych wyzwań, które sprawiłyby, że warto by było rano wstać z łóżka.

- Biedna Marguerite. - Creighton ze smutkiem pokiwał głową. W towarzystwie Vince'a i Davida wychodził z biblioteki. - Straszna śmierć. To tragedia. Będzie nam jej brakowało. Idziesz, Brice?

Brice oderwał się od ściany.

- „Będzie nam jej brakowało”? „Straszna tragedia”? To wszystko? Wyjątkowy z ciebie twardziel, Creighton, wiesz? Nasza jedyna siostra zmarła? Na litość boską, przecież ją zamordowano.

- Nie wzywaj imienia Pana Boga swego nadaremnie - wtrącił David. - Nigdy nie wiadomo, czy biskup nie słyszy.

- Przykro mi, Brice - Creighton starał się nadać głosowi ton współczucia. - Straciłem kontakt z Marguerite, kiedy poświęciła się karierze biednej Julii, ale to chyba żadne usprawiedliwienie. Wyraziłem się niezręcznie. Zrzuciłem to na karb stresu przed wyborami. Ponieśliśmy wielką stratę. Śmierć Marguerite to prawdziwy cios. Będzie mi jej brakowało. Wszystkim nam będzie jej brakowało. Przecież wiesz. Ale tobie będzie pewnie najciężej. Nie zechcesz pewnie do nas dołączyć? Idziemy do baru.

- Wprost przeciwnie. Drink dobrze mi zrobi.

- Popieram. - David rozluźnił krawat.

Pogodzeni równie szybko, jak wcześniej się pokłócili, bracia znaleźli się przy drzwiach.

Creighton przyjrzał się Brice'owi uważnie.

- Schudłeś.

- Trochę. Najwyższa pora. - Schudł sporo, prawie piętnaście kilogramów. Stracił je razem z apetytem. Brice słyszał, że to może być jeden ze skutków depresji.

Creighton uśmiechnął się.

- Nudzisz się. Ja to rozumiem. Chodź z nami, porozmawiamy przy drinku. Synu, przyłączysz się do nas?

Vince stał obok i słuchał, ale jak zwykle się nie odzywał.

- Muszę sprawdzić, co słychać w biurze. Zrezygnuję z drinka. Spotkamy się, jak będziesz wyjeżdżał, tato.

Creighton kiwnął głową.

- Dobrze, zobaczymy się, jak będę wyjeżdżał.

Vince wyjął z ust cygaro i wrócił do biblioteki, gdzie na biurku stał telefon mrugając światełkami. Trzej bracia szli korytarzem ramię przy ramieniu, dwaj niżsi w garniturach Saville Row, a wyższy w dżinsach i wełnianej marynarce w jodelkę. Ze wszystkich trzech emanowała siła. Wszyscy nosili na sobie piętno przeznaczenia. To się czuło.

- Kiedy przyjedzie Julia? - zapytał David.

Creighton spojrzał na swojego rolexa.

- O dziewiątej dwadzieścia samolot ląduje na lotnisku Kennedy'ego. Dwóch moich ludzi zabierze ją z lotniska. Prosto z samolotu przywiozą ją tutaj, żeby

oszczędzić jej cyrku z dziennikarzami. - Prasa nie będzie miała do niej dostępu. Julia będzie ukryta za przyciemnianymi szybami jednej z rodzinnych limuzyn.

- Nic dziwnego, że tak lubisz służby specjalne - zaśmiał się David. - To ułatwia życie.

Ściany korytarza i mijanych pokoi zdobiły płótna warte miliony dolarów. We wnękach stały zabytkowe rzeźby i wazy. Wszędzie pełno było ciętych kwiatów - bukietki i ogromne wiązanki od licznych przyjaciół i sympatyków.

W holu i korytarzach hałasowały dzieci. Trzej mężczyźni minęli zgromadzonych w salonie dorosłych - rodzinę, bliskich przyjaciół oraz przedstawicieli tu-tejszej parafii wielebnego Jerome'a O'Connella, ojca Fechtmana, siostrę Mary Margaret i siostrę Mary Alice. Żona Creightona Alexis, otoczona wianuszkami kobiet, siedziała niedaleko wejścia na wysokiej sofie. Spryskane lakierem włosy Alexis wyglądały jak błyszczący hełm, wypiełgnowane dłonie otaczały filiżankę z kawą z dodatkiem jej ulubionego burbonu.

Alexis opowiadała o oficjalnych śniadaniach, o zbieraniu funduszków i odwiedzinach w szpitalach i szkołach. Wskazała na pantofle firmy Ferragamo.

- Te buty, drogie panie, zrobiły więcej kilometrów, niż mają na liczniku wasze samochody!

Trzej bracia poszli dalej, kierując się do zachodniego skrzydła budynku. Zeszli trzy stopnie i znaleźli się w barze, gdzie za wysoką mahoniową ladą stał ubrany w białą marynarkę kelner i ściereczką polerował i tak już błyszczące szklanki.

Ściany pomieszczenia, sufit i podłoga były z kamienia, który wyglądał na bardzo stary. Naprawdę budowniczowie willi podrasowali nieco kamień, dodając do mieszanki cementu i wapna dwuwęglanu sodu, w wyniku czego na ściankach powstały rysy i pęknięcia. Była to świetna robota i goście niemal czuli w powietrzu zapach angielskiego mchu i widzieli blask rycerskich zbroi.

Za okratowanymi oknami pod dębem stał jeden z agentów i bacznie obserwował teren. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne - takie, jak noszą piloci i zacięty wyraz twarzy.

David przyjrzał mu się uważnie, a Brice pomyślał, że mimo bogactwa i wpływów Redmondowie bali się tego, co wiąże się z faktem posiadania w rodzinie kandydata na prezydenta. Powietrze wokół Creightona zdawało się gorętsze, a królewski płaszcz z gronostajów okrywał jego przyszłość... i przyszłość rodziny. Tajni agenci pełnili rolę straży pałacowej. W imię bezpieczeństwa dbali o każdy szczegół, nawet o taki drobiazg jak żywność dostarczana do willi. Podczas kampanii na tydzień przed przybyciem Creightona do hotelu agenci zamykali

całe piętro. Niezależnie od tego, gdzie się znajdował, dzwoniło do niego z Gabinetu Ovalnego, podobnie jak do jego konkurenta, aby Biały Dom miał najświeższe informacje o bezpieczeństwie kandydatów.

Nawet ludzie stojący zupełnie z boku widzieli, jak bardzo Amerykanie cenią prezydencki fotel. Nie wystarczy być multimilionerem, żeby zostać prezydentem. Na to trzeba sobie zapracować. Nawet Brice musiał przyznać, że podziwiał, co udało się Creightonowi osiągnąć.

Wszyscy bracia zamówili krwawą Mary. Kiedy barman podał drinki, David poprosił, żeby zostawił ich samych. Chciał pomówić o interesach.

Drzwi za barmanem zamknęły się.

- Myślałem o pieniądzach, które zostawiła nam mama. Zamierzam przekonać Julię, żeby powierzyła nam udziały Marguerite. Marguerite nigdy nic z nimi nie zrobiła. Wystarczyła jej świadomość, że może je wykorzystać, kiedy będzie miała ochotę. Osobiście uważam to za szczyt głupoty. - Napił się drinka i spojrział na najmłodszego brata. - Nie zrozum mnie źle, Brice. Będzie mi jej brakowało, tak jak każdemu z nas. Wychowywaliśmy się razem. Byłeś jednak za młody, żeby zrozumieć, że Marguerite daleko do ideału.

- Mówisz tak, jakby któremuś z nas było blisko - odparł chłodno Brice. David nigdy się nie zmieni. Wydaje mu się, że wszystko się kręci wokół niego i pieniędzy.

- Julia nie powinna mieć nic przeciwko - pospiesznie stwierdził Creighton, starając się uprzedzić kolejną złośliwą uwagę Brice'a, który najwyraźniej otrząsnął się z trwającego miesiące stanu przygnębienia. - Interesuje ją wyłącznie fortepian. Musiała odziedziczyć to po Jonathanie. Stary Dan Austrian zaszczerpił w Jonathanie miłość do tej swojej kultury i dlatego biedny chłopak nie miał szans w interesach. Lepiej, żebyśmy my zarządzali jej pieniędzmi. Nie wypuszczę jej stąd, dopóki się na to nie zgodzi. Marguerite skrzywdziła ją, wyręczając ją we wszystkim. Teraz niebezpiecznie jest zostawić ją ze wszystkim samą. Julia jest jak małe dziecko: naiwna, z głową w chmurach. Prawdopodobnie popełniłaby jakieś głupstwo. Jest skłonna zaufać pierwszemu lepszemu oszustowi.

- No, Creighton, kolejna śmierć mogłaby ci już zaszkodzić - zażartował David. - Ludzie mogliby pomyśleć, że przyciągasz nieszczęścia. To nie jest cecha pożądana u prezydenta.

- Dzięki. - Creighton wznosił oczy do nieba. - Widzę, że za wszelką cenę chcesz mnie podnieść na duchu.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Creighton wiedział, że David ma rację. Chciał zatrzymać Julię jak najdłużej w Arbor Knoll, bo miał nadzieję, że w ten sposób uniknie problemów. Kolejne nieszczęście rzeczywiście mogłoby mu zaszkodzić, w przeciwieństwie do

śmierci Marguerite. Bracia spojrzeli na siebie i obaj się uśmiechnęli. Doskonale rozumieli sytuację.

David odstawił szklankę i powiedział twardo.

- Jeśli wygrasz, będziesz musiał jak najszybciej poprzeć ustawę o zmniejszeniu podatku od nieruchomości, żeby wyciągnąć rodzinę z kłopotów. Boże drogi, wyobraź sobie, ile zapłacimy, kiedy staruszek zejdzie!

Ustawa Clintona o nieruchomościach nie rozwiązała problemu. Każdy z nas będzie musiał zapłacić co najmniej osiemset milionów dolarów skarbowi państwa.

Creighton spochmurniał.

- Wiem. To jeden z pierwszych punktów na mojej liście spraw do załatwienia. Senator Beaver już pracuje nad projektem...

Brice'a nie interesowała ich rozmowa. Kiedy jednak Creighton zaczął mówić o ustawach, które zamierza podpisać, Brice zorientował się, że brat mówi tak, jakby wiedział - jakby miał pewność - że wygra te wybory. Creighton był świetnym taktykiem. Dowiedział tego w Sądzie Najwyższym i na polu bitwy w Wietnamie...

- Creighton?

Kandydat spojrział na niego karcąco.

- O co chodzi, Brice? Wciąż ci się coś nie podoba?

Brice poczuł na ciele gęsią skórę. Przeszedł go dreszcz, jak kiedyś, kiedy był dzieckiem i starsi bracia zamknęli go w jednej z setek szaf w ogromnym domu.

- Szef twojego sztabu powiedział, że to niemożliwe, żebyś wygrał te wybory. - Spojrział w ciemne oczy brata, szukając w nich odpowiedzi. - Tam, w bibliotece, to nie był tylko popis elokwencji, prawda? Masz pomysł, jak wygrać wybory. - Brice poczuł nagły przypływ dumy. - Ty sukinkocie! Jak chcesz to zrobić? Zdradź nam, do jasnej cholery!

Creighton roześmiał się.

- Są sprawy, o których lepiej nie wiedzieć, braciszku. Prawda, David?

- Mnie też nie powiedział mruknął David. - Trzyma swój plan w tajemnicy. Jeśli mu się to uda, będzie polityczną rewelacją stulecia. - Uśmiechnął się. - Założę się, że mu się uda.

Przez następne pół godziny rozmawiali w niezwykłym barze w tej wspaniałej willi, którą ich ojciec kupił ponad pół wieku temu. Creighton nie zdradził jak zamierza przeważać szalę na swoją stronę. Prawdę mówiąc, pozostał do tego stopnia tajemniczy, że nawet nie potwierdził, że w ogóle ma jakiś plan, mimo że gdy tylko na chwilę przestawał mówić, David próbował go do tego skłonić na różne sposoby.

Brice obserwował podchody braci i poczuł dziwny niepokój. Patrzył i zastanawiał się. Razem z Marguerite, ich jedyną siostrą, wychowali się w tym domu, bawili między tymi drzewami, pływali w zatoce. Teraz przywozili tu swoje dzieci

i wnuki. Tutaj zmarła ich matka po urodzeniu Brice'a. Tutaj próbowali przeciwstawić się ojcu, aż w końcu przyznali mu rację, dorosli i zgodnie z jego filozofią zaczęli pomnażać własne bogactwa.

Ojciec był centralną postacią ich dzieciństwa, osią, wokół której obracał się cały świat. Był bogiem i demonem, i to, czego ich nauczył, było tak samo ważne, jak cechy charakteru, które po nim odziedziczyli.

Może dlatego, że się znowu znalazł w tym domu, a może dlatego, że Creighton tak bardzo przypominał mu ojca, Brice'a dopadły wspomnienia z dzieciństwa. Poczul ukłucie lęku jak zawsze, kiedy myślał o Lyle'u. Było to uczucie irracjonalne i szybko się z niego otrząsnął.

Ojciec nie może mu już w niczym zagrozić. Pozbawili go władzy. Nie mieli innego wyjścia. Przecież ojciec kompletnie zwariował.

To działo się powoli, stopniowo. Zaczęło się od wysłania drzewek do Auschwitz. Potem Lyle sponsorował budowę Uniwersytetu Pokoju w pobliżu San José w Kostaryce i przeznaczał spore sumy na wspomaganie niedochodowych przedsięwzięć, takich jak Fundacja na Rzecz Pokoju Wieku Atomowego. Jednak dopiero Fundacja Redmonda na Rzecz Rozwiązywania Konfliktów skłoniła synów do działania. Lyle już miał podpisać dokument, w którym połowę swojej fortuny - jakieś dziesięć miliardów dolarów - przeznaczył na utworzenie fundacji, kiedy jeden z jego pracowników doniósł o tym Creightonowi. Byłaby to druga co do wielkości fundacja na świecie, plasowałaby się tuż za Fundacją Eli Lilly, której kapitał wynosi dwanaście miliardów dolarów. Równocześnie jednak to posunięcie ojca było zwiastunem tego, jak reszta spodziewanego spadku - ich pieniędzy - wkrótce zostanie roztrwoniona.

Swoim postępowaniem ojciec przeczył wszystkiemu, czego ich nauczył, w co wierzyli.

Nie zostawił synom wyboru, musieli zacząć działać. David znalazł lekarza, który naszprycował staruszkę jakimś narkotykiem i zawyrokował, że Lyle cierpi na Alzheimera. Creighton dopilnował, żeby sprawa trafiła w ręce zaprzyjaźnionego sędziego, który orzekł brak zdolności prawnej. Kiedy Marguerite przyjechała do domu, bracia przedstawili jej diagnozę lekarza, a staruszek, naszpikowany narkotykami, rzeczywiście sprawiał wrażenie człowieka nie w pełni władz umysłowych. Nawet ona musiała to przyznać. Brice zatroszczył się o kupno domu spokojnej starości w okręgu Westchester. Tam też ojca zamknięto.

Brice'em kierował instynkt przetrwania, to była walka o byt. Nie miał cienia wątpliwości, że to, co zrobili, było konieczne. Wszystko, czym był, w co wierzył, czemu poświęcił lata ciężkiej pracy, mógł stracić, gdyby pozwolił ojcu roztrwonić rodzinny majątek.

Ale teraz, kiedy słuchał rozmowy braci, poczul niepokój. Mimo że nikt nie musiał się już bać staruszka. Ani nawet wspomnień o nim.

10.

9.30, SOBOTA

OKRĘG WESTCHESTER, NOWY JORK

Lyle Redmond miał osiemdziesiąt pięć lat. Był osłabiony, zmęczony i wściekły jak diabli. Leżał na wąskim łóżku w domu opieki i wsłuchiwał się w rytm pracy swojego serca. Zdawało mu się, że słyszy, jak serce mówi do niego, tłumaczy się i usprawiedliwia. Słuchał tego w szary sobotni poranek, wiedząc, że znowu przegrał. Musi wymyślić nowy sposób, żeby powstrzymać swoich synów i zrealizować plan. Ale co potem? Czy to ma jakiś sens?

Jest tylko jeden warunek. Musi się wydostać z tego piekła.

Problem w tym, że poprzedni plan zawiódł, a do tej pory nie udało mu się wymyślić innego.

Zrozumiał to na początku tygodnia, kiedy szef ochrony John Reilly powiedział mu, że jego ulubiony sanitariusz był zamieszany w handel narkotykami i zginął.

- Był jakimś podrzędnym dilerem. Wdał się w bójkę na noże z jednym z klientów. Znalaziono go na ulicy pociętego na kawałki. Szkoda. Wiem, że go pan lubił.

Staruszek był wytrącony z równowagi i przerażony.

- Gówno prawda - zawył. - To wy zabiliście tego dzieciaka!

- To rojenia chorego umysłu, panie Redmond. - Reilly mówił spokojnym głosem. - Jest pan schorowanym starym człowiekiem i ma pan halucynacje. - Jego twarz przypominała niedopieczonego hamburgera z wąskimi, wyblakłymi oczami. Podobnie jak wszystkich wokół, także i jego zatrudniali synowie Lyle'a Redmonda.

Za karę jeden z lekarzy dał staremu zastrzyk z pentobarbitalu. Kiedy w jego żyłach krążyła trucizna, trzech ludzi z obsługi przewracało do góry nogami pokój. Mimo ociążałości spowodowanej przez zastrzyk, Lyle szybko zrozumiał, że dowiedzieli się iż wysłał chłopaka z dwiema przesyłkami - jedną do córki w Londynie, a drugą do pewnego wścibskiego agenta CIA w Langley.

Podzjejmowali ze ścian zdjęcia i poodrywali szary papier z tyłu. Pocięli meble. W powietrzu fruwała wata z koldry. Wypatroszyli szuflady, wyrzucili wszystko z szafy. I z szafki z lekarstwami. Ryli w jego rzeczach jak dziki. Niczego nie oszczędzili, wszystkiego musieli dotknąć, wszystko obejrzeć, porwać, zniszczyć albo pobrudzić.

Stary sam się dziwił, że tak go to przygnębia. Wciąż więc zależało mu na przedmiotach, nic niewartych, nic nieznaczących rzeczach. Rzeczywiście, chyba

jest już stary. Świadczy o tym choćby to, że czuł się winny z powodu śmierci dzieciaka. Poza tym bał się. Wiedział, czego z taką intensywnością szukają.

Kiedy znaleźli dzienniki i diamenty, jęknął. Od roku pracował nad realizacją swojego planu. Te dzienniki były jedynym sposobem, żeby wydostać się z tego podłego miejsca, a strata diamentów oznaczała utratę resztki władzy. Ukrył je razem z kawałkiem bursztynu za metalową kratką osłaniającą przewód wentylacyjny. Kiedy tamci cieszyli się z sukcesu, jego oczy zaszkliły się łzami i żal ścisnął mu gardło.

Nie ma już dla niego nadziei. Gdyby Bóg zechciał się nad nim zlitować, zesłałby mu śmierć.

Ale Bóg nie okazał litości. Stary człowiek wciąż żył z bolesną świadomością swojej bezsilności, przykuty do łóżka przez pentobarbital i błędy przeszłości jak Chrystus przybity do krzyża.

Minęło kilka dni lekarskiej obserwacji. Stary człowiek miał wrażenie, że dryfuje po morzu ścieków. W przebłyskach świadomości bełkotał o córce, o Marguerite. Kochał ją każdą cząstką siebie. Była jedynym jasnym promykiem w jego życiu i mimo że braciom udało się jej wmówić, że ojciec jest niespełna rozumu, zawsze, kiedy była w kraju, odwiedzała go. Godzinami potrafiła siedzieć przy jego łóżku, gdy on w tym czasie pogrążał się w wywołanym przez leki szaleństwie. Potem całymi dniami za nią tęsknił.

Do tej pory pewnie już dostała przesyłkę. Może właśnie w tej chwili walczy z braćmi, żeby go stąd wypuścili? Może facet z CIA właśnie czyta list? Może już jedzie, żeby go uwolnić.

Gdzie oni są? Dlaczego jeszcze ich nie ma?

Po trzech dniach lekarze zmienili mu zastrzyki na fenobarbital. Był to specyfik mniej szkodliwy, ale wciąż niebezpieczny. Przedawkowanie mogło spowodować trudności z oddychaniem prowadzące do śmierci. Wiedział, że synowie nie chcą jego śmierci, przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie dlatego, że mieli dla niego jakieś ciepłe uczucia. Nie miał złudzeń. Zgodnie ze sztuką prowadzenia interesów, której ich nauczył - a także zgodnie z amerykańskim systemem podatkowym - większą wartość miał dla nich żywy niż martwy. Kazali go więc szpikować lekami, ale nie na tyle, żeby go to mogło zabić.

Wczoraj lekarz znowu zmienił lek, tym razem na mniej niebezpieczny, na chlorpromazynę. Zaczęli od dwudziestu pięciu miligramów, godzinę później dostał kolejne dwadzieścia pięć. Były to nieduże dawki, bo większe mogłyby doprowadzić do zatrzymania akcji serca.

Niedługo zwiększą dawkę. Stary człowiek zmuszał swój umysł do tego, żeby się koncentrował, w momencie kiedy lekarz wydawał pielęgniarkom polecenia. Wiedział, jakie dawki i jakie leki dostaje. Dlatego udawał uległość. Obojętność

wynikającą z działania środków. To ich zmyliło i ten pieprzony doktor zmienił zdanie i zmniejszył dawkę chloropromazyny.

Teraz była sobota rano. W ciągu tego tygodnia, kiedy starzec był pod działaniem silnych środków psychotropowych ktoś odmalował, posprzątał i doprowadził do porządku jego pokój - białe ściany, wesoly rzucik na zasłonie, drewniane podłogi, chodniki, schludne nowe meble i ogromne okna pełne smutnej szarości chłodnego listopadowego nieba. Pachniało cytrynowym woskiem.

Naprzeciw łóżka, po obu jego stronach, zainstalowano również dwie małe kamery. Wywnioskował z tego więcej, niż chciał wiedzieć. Ponieważ nie zabrali go z tego domu, nie obawiali się, że zjawi się tu policja. A to znaczy, że przechwycili jego przesyłki. Może zabrali je sanitariuszowi, zanim zdążył je wysłać. Albo jakoś przekonali Marguerite i tego faceta z CIA, Sama Keeline'a, żeby przekazali im.

Niewielka nadzieja, która trzymała starca przy życiu, znikła. Przegrał. Był chory z wściekłości. Pogрузił się w tak głębokim smutku, że nie miał już ani siły, ani ochoty na działanie. Wprawdzie jeszcze oddychał, ale jego życie już się skończyło.

Biała szopa gęstych włosów tworzyła wokół jego woskowej twarzy ramę przypominającą lwia grzywę. Leżał na łóżku z kołdrą naciągniętą pod brodę. Kiedyś był dobrze zbudowanym mężczyzną, o silnych ramionach i szerokiej klatce piersiowej, to jednak należało do przeszłości. Ciało pod kołdrą było skurczone, jakby zostało zmniejszone do rozmiarów swojego cienia. Obok stało włączone radio, z którego dobiegał cichy, przyjemny pomruk. Zapadając w drzemkę, stary słyszał swoją ulubioną muzykę - Gershwina i standardy z lat trzydziestych i czterdziestych. Muzyka zabrała go w podróż w bezpieczne czasy, kiedy życie należało do niego.

Zaczęły się wiadomości i jak przez mgłę usłyszał: Marguerite Austrian. Stężał. Gdy spiker podawał informacje, w starego jakby grom strzelił.

Marguerite nie żyje. Została zastrzelona. W Londynie.

Z trudem oddychał. Czuł, że jego serce rozpada się na kawałeczki. Z oczu płynęły łzy. Stary zawył głosem tak przeraźliwym, że John Reilly i połowa jego ekipy wpadli do pokoju.

Dwie godziny później Lyle siedział w wózku inwalidzkim w holu. Chcieli zatrzymać go w pokoju, gdzie był odizolowany i pod obserwacją, ale on czuł się, jak otwarta rana. Zagroził, że wstrzyknie sobie śmiertelną dawkę którejś ich trutki. Powiedział, że popełni samobójstwo, że się powiesi. Człowieka w jego wieku nie mogli bez przerwy szprycować środkami odurzającymi, bo w końcu doprowadziłyby to do śmierci. A on wiedział, że mieli polecenie trzymać go przy życiu.

Strażnicy spojrzeli po sobie. John Reilly pozwolił wyprowadzić go, tak jak sobie zażyczył.

- Przyjedzie - stary chciał przekonać sam siebie. Patrzył na drzwi z podwójnymi szybami, które prowadziły na brukowany podjazd. Może któreś z jego wnucząt przyjedzie, żeby go pocieszyć, ale wątpił w to. Jego wnuki wierzyły w kłamstwa. Pomyślał jeszcze o Julii, córce Marguerite, i prawie się uśmiechnął. Odwiedzała go z matką.

W korytarzu stały fotele i sofy obite pluszem w kolorze pastelowej szarości i różu. Stary nie znosił jaskrawych kolorów.

- Cokolwiek pan rozkaże. - John Reilly wzruszył ramionami. Usiadł w fotelu obok i zaczął czytać „Playboya”. Od czasu do czasu podnosił wzrok na starego, żeby sprawdzić, czy żyje. Kiedy skończył czytać, oddalił się, najwyraźniej znudzony.

Stary człowiek próbował powstrzymać łzy spływające mu po twarzy. Buntował się przeciw myśli, że córka nie żyje. Ale w końcu musiał uwierzyć, że to prawda.

To jego wina. Próbował wplątać w swój plan Marguerite i dlatego teraz jego córeczka nie żyje.

W gardle urosła mu gula wielkości piłki baseballowej. Przez chwilę widział Marguerite jako małą dziewczynkę. Pociągała go za spodnie i podnosiła w górę rączki, żeby wziął ją na ręce. Zawsze tak ładnie pachniała. Dziecięcą zasypką. Uwielbiała objadać się spaghetti. Małymi paluszkami brała jedną nitkę i ze skupioną buzią wciągała ją do słodkich czerwonych usteczek. Nie mógł uwierzyć, że ta mała dziewczynka nie żyje.

I że to on ją zabił. Czuł rozdzierający żal.

Drżącą ręką wytarł oczy. Patrzył za okno na jednego z ochroniarzy, który robił swój zwykły obchód. Synowie postarali się o dobrą ochronę - nie po to, żeby nie dopuścić tu kogoś z zewnątrz, ale po to, żeby on nie mógł się stąd wydostać. Ta myśl doprowadziła go do wściekłości.

Złość była jego wiernym przyjacielem. Potrafiła go pocieszyć. Trochę się uspokoił. Poczul się jak dawniej. Wiedział, że będzie umiał przezwyciężyć swoją słabość. Nie mogło być inaczej, bo nawet przez chwilę nie wierzył, że Marguerite zginęła przypadkowo. Intuicja podpowiadała mu, kto za tym stoi.

Kiedy sfatygowana furgonetka marki Volkswagen pojawiła się na podjeździe, Lyle ruszył na swoim wózku w stronę automatycznie otwieranych drzwi. Naraz ze wszystkich stron otoczyli go ochroniarze. Udowodnili, że stary człowiek jest naprawdę ważny, muszą reagować na każdy jego ruch. John Reilly pojawił się zupełnie znikąd. Lyle go nie doceniał. Mimo że Reilly zniknął z horyzontu, nie przestawał go obserwować.

Reilly zatrzymał wózek Lyle'a toczący się w kierunku drzwi.

- Dokąd się pan wybiera, sir? - Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

- Do krawężnika, ośle. Zawieź mnie tam.

Szef ochrony spojrzął na zewnątrz przez szklane drzwi, popatrzył na pozbawione liści drzewa i krzewy. Na wprost stała budka strażnika. Zatrzymywano tam każdego, kto wchodził na teren posiadłości i wychodził stąd. Po podjeździe sunęła furgonetka. Na prawo, na parkingu, stały samochody obsługi. Dwaj inni mieszkańcy tego tak zwanego domu spokojnej starości byli na spacerze na swoich wózkach inwalidzkich. Towarzyszyli im opiekunowie. Poza kilkoma wróblami dziobiącymi brązową ziemię wszystko pozostawało w bezruchu jak zaczerowane.

- Dziesięć lat temu to ja byłbym twoim pracodawcą, Reilly - mruknął Lyle. - Umiałbym docenić twój talent i sownie bym cię wynagrodził. Jak to możliwe, że moi synowie trzymają cię w tej dziurze?

- Tu możesz na niego zaczekać. - Reilly zatrzymał wózek tuż przed drzwiami.

Lyle postanowił go udobruchać.

- Może być. Tak czy inaczej, przyjechał. Ale ostrzegam, że mam zamiar wybrać się z nim na spacer. Muszę stąd wyjść. To jedyny człowiek, który mnie odwieź. Wy wszyscy doprowadzacie mnie do wściekłości.

Furgonetka zatrzymała się przed budynkiem i otworzyły się drzwi od strony kierowcy. Na okrągły podjazd wyskoczył duchowny. Miał na sobie długi do ziemi habit z kapturem przewiązany cienkim sznurem w pasie. Kiedy energicznym krokiem szedł przez podjazd i potem wchodził po schodkach, brązowy materiał owijał mu się wokół nóg. Miał sześćdziesiąt kilka lat, był młodszy od Lyle'a o jakieś dwadzieścia. Miał pucułowate policzki i worki pod oczami. Z jego twarzy promieniowała dobroć i troska.

Kiedy duchowny zobaczył Lyle'a i uśmiechnął się, stary człowiek poczuł, że łagodnieje. Był katolikiem tak samo, jak jego rodzice, dzieci i wnuki, mimo że rzadko bywał na mszy i tylko w deklaracjach oddawał cześć Bogu. Od czasu, kiedy był ministrantem, nawet w myślach nie poświęcił Bogu więcej niż pięć minut, ale Kościół zawsze stanowił nieodłączną część jego życia. Nigdy się od niego nie odwrócił. Nie umiałby. Poza tym może kiedyś to się opłaci. Tylko idiota nie zabezpieczał się na wypadek istnienia Boga.

Kiedy spojrzął na znajomą twarz księdza i na jego energiczny krok, pomyślał, że niewielu ludziom mógłby zaufać tak, jak ojcu Michaelowi. Do oczu napłynęły mu łzy wdzięczności. Morderstwo Marguerite przygniotło go ciężarem smutku i goryczy. Przez chwilę z nadzieją myślał o śmierci, ale wyobraził sobie, co się będzie działo potem. Nie chciał skończyć w czarnej dziurze nicości albo, co bardziej prawdopodobne - był przecież katolikiem - w piekle. Nie spotkałby tam Marguerite ani swojej ukochanej żony Mary.

Drzwi domu spokojnej starości rozsunęły się i do środka wszedł duchowny.

- Przykro mi z powodu śmierci twojej córki. Przyjechałem, kiedy tylko się o tym dowiedziałem. Wiedziałaś, że przyjadę, prawda synu?
- Uradowany starzec odpowiedział:
- Zgadłeś, mój słodziutki. Wiedziałem.

11.

9.30, SOBOTA

MIĘDZYNARODOWE LOTNISKO IM. KENNEDY'EGO

Wentylacja w samolocie cicho szumiała, a powietrze miało delikatny zapach wilgoci, jakby filtrowano je zbyt często. Dzięki Bogu lot z Londynu trwał krótko. Julia - wyczerpana łzami - przez większą część lotu drzemała.

Kiedy samolot dotknął asfaltu lotniska Kennedy'ego, jej umysł zaczął się powoli uspokajać. Śmierć matki wciąż bolała dotkliwie, ale ból powoli tępał. Julia nie była wprawdzie zupełnie spokojna, ale było jej nieco łatwiej. Powoli musi zacząć myśleć o przyszłości, musi stawić czoło temu, co ją czeka w Arbor Knoll.

Ta świadomość otrzeźwiła ją w chwili, kiedy lśniący odrzutowiec zatrzymał się. Steward pochylił się, żeby ją poinformować, że się zatrzymali na pasie startowym i do drzwi samolotu podjeżdżają schody. Ona jest tym jedynym pasażerem, któremu wolno opuścić pokład, zanim samolot podkołuje do terminalu.

- Czeka na panią dwóch agentów. - Steward pomógł jej wstać. Głos mu drżał ze zdenerwowania, jakby Julia była co najmniej gangsterem albo mordercą.

Ale ona wiedziała, skąd się wzięli agenci. Zmusiła się do uśmiechu.

- To pewnie z powodu mojego wuja. Ubiega się o fotel prezydenta.

Zaprowadził ją do otwartych drzwi.

- Naprawdę?! Który to kandydat?

- Creighton Redmond.

Julia podeszła do schodów. Dzień był zimny. Delikatny promień słońca musnął jej twarz. Będzie musiała spotkać się ze swoją apodyktyczną rodziną. Ta nieprzyjemność nie zdarzała się często, odkąd zaczęła koncertować. Nie czekała na to spotkanie z utęsknieniem, ale władza, która wiązała się z faktem, że należy do rodziny Redmondów, mogła jej pomóc w poszukiwaniu morderczyni.

Kiedy tylko stanęła na ziemi, z prawej strony usłyszała głos mężczyzny.

- Proszę z nami, pani Austrian. Jestem pracownikiem służb specjalnych, nazywam się Firestone. Zawieziemy panią do Arbor Knoll. - Dotknął jej dłoni, a ona ujęła go pod ramię nad łokciem. Agenta poinstruowano, jak zachować się w towarzystwie niewidomej. Creighton pomyślał nawet o takim drobiazgu.

Kiedy wsiedli do limuzyny, wymienili z agentem kilka uprzejmych zdań. Obaj czekający na nią mężczyźni byli profesjonalistami. Była im wdzięczna za to, że czuwali nad jej bezpieczeństwem, i za tę uprzejmość.

Było wiele powodów, dla których cenila rodzinę Redmondów i cieszyła się, że jest jej członkiem. To w końcu jej rodzina, kochała ją. Matka nie utrzymywała bliskich stosunków z braćmi - w rodzinie obowiązywała zasada podporządkowania jednostki grupie. Z dzieciństwa Julia pamiętała sprzeczki między matką i braćmi. Ojciec Julii czuł się między nimi zagubiony. Pamiętała, jak mama z braćmi obchodzili się z daleka, pełni urażonej dumy i niechęci. W rezultacie Marguerite oddaliła się od rodziny - również od ojca - a bracia w odpowiedzi odwrócili się do niej plecami.

Teraz jednak było inaczej. Władzę w rodzinie przejął Creighton. Był dla niej dobry, ale jeśli Julia nie będzie się miała na baczności, utonie w niebezpiecznej gościnności Redmondów. Podda się ich władzy. Tymczasem to ona chciała wykorzystać Redmondów, a nie dać się wykorzystać sama. Jeśli się nie myli, jej kalectwo jest wynikiem jakiegoś urazu, który miał miejsce w noc jej debiutanczkiego koncertu. Może oni pomogą jej odgadnąć, co to było. Gdyby widziała, szanse złapania morderczynie matki wzrosłyby niepomierne. Znowu ogarnął ją żal z powodu ponownej utraty wzroku. Gdyby tylko mogła widzieć...

Limuzyna pędziła na północny wschód, w stronę Oyster Bay, a Julia walczyła z bólem. Na tylnym siedzeniu leżał telefon komórkowy. Julia zaczęła dzwonić. Była bogata, a pieniądze mogły rozwiązać wiele problemów.

11.00, SOBOTA

OKRĘG WESTCHESTER, NOWY JORK

Słońce wypłynęło na pochmurne niebo, migotliwe promienie usiłowały ogrzać chłodne powietrze. Ziemia wokół domu spokojnej starości była szara, trawa zbrązowiła, drzewa prawie nie miały już liści. Mnich wioził Lyle'a Redmonda jedną z alejek. Rozmawiali o Marguerite. Zakonnik starał się pocieszyć starego człowieka. Lyle mógł myśleć tylko o córce. Każdy wybój na drodze przypominał mu o jej strasznej śmierci... i o tym, że ponosił za nią odpowiedzialność.

Miał lzy w oczach i już zaczął kierować ojca na swoje ulubione miejsce pod starym klonem. Ale przyszło mu coś do głowy. W konarach drzewa mogły być

ukryte urządzenia podsłuchowe. Pewnie w ten sposób John Reilly dowiedział się o przesyłkach i o tym, że zapłacił sanitariuszowi za ich wysłanie.

- Zawieź mnie tam. Opanował drżenie głosu i wskazał inne miejsce, obok sadzawki. Nie rosły tam żadne drzewa, dom stał niżej i nie było go widać. Nie było tam nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. Woda pluskała, delikatnie uderzając o błotnisty brzeg.

Ojciec Michael zatrzymał wózek przy granitowym głazie. Samotna dzika kaczka pływała po gładkiej powierzchni sadzawki. Mnich zablokował koła wózka i usiadł na głazie twarzą do starego człowieka. Blisko czterdzieści lat służył Kościołowi i był znawcą natury ludzkiej. W pewnym sensie znał Lyle'a Redmonda lepiej, niż ten znał samego siebie. Gdyby to była inna owieczka z jego stada, w takiej chwili zaproponowałby wspólną modlitwę, ale Lyle mógłby go wyśmiać.

Stary westchnął.

- Myliłem się.

- Jestem dobrym słuchaczem - powiedział franciszkanin. - Może nadszedł czas, żebyś mi o wszystkim powiedział. - Mówił z lekkim niemieckim akcentem.

Lyle przyjrzał się uważnie dobrej twarzy ojca Michaela. Zobaczył okrągłe policzki, worki pod bladoniebieskimi oczami, mocny orli nos i zakola w posiwiałych włosach. W tej twarzy widać siłę, pomyślał Lyle. Miał wrażenie, że pod skórą znajduje się hartowana stal. Podobało mu się, że zakonnik nie jest jednym z tych idiotów, którzy starają się na siłę uszczęśliwić ludzi.

Pochylił się do przodu i odezwał się ściszym głosem.

- Mój wspólnik, Dan Austrian, dwadzieścia lat temu odszedł na emeryturę. Miał z pół miliarda dolarów. Zdecydował, że to mu wystarczy i że czas już zrobić coś dla społeczeństwa. Został hojnym filantropem i ambasadorem. - Zawahał się, czując zażenowanie. - Ale ja pomyślałem. „Pieprzyć to wszystko. Pieniądzy nigdy nie jest za dużo”. Więc wciąż pracowałem, aż byłem wart czterdzieści razy więcej niż gniazdko, które uwił sobie Dan. Tylko że pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że zaczynam czuć się nie najlepiej. Wie ojciec, stary silnik nie pracuje już tak dobrze jak nowy.

Franciszkanin rozumiał.

- Dolegliwości przychodzą z wiekiem.

Lyle pokiwał białą głową.

- Popatrzyłem na to wszystko i zacząłem się zastanawiać, co osiągnąłem przez sześćdziesiąt lat ciężkiej pracy. Odpowiedź składała się z trzech punktów: fortuna większa, niż król Midas mógł sobie wyobrazić, trzech synów, którzy mnie nienawidzili... - przerwał, przełknął ślinę i dokończył - ...i ogromne poczucie winy.

Ojciec Michael spojrział w wyblakłe oczy starca, próbując wyobrazić sobie człowieka, którym Lyle wtedy był. Do tej pory Lyle nie powiedział mu tyle o sobie.

- Dlatego próbowałeś założyć tę fundację?

- Tak. - Stary zamknął oczy. Może był to efekt roku spędzonego w tym domu powolnego umierania. A może chodziło o to potworne morderstwo Marguerite i jego udział w nim. Sam nie rozumiał dokładnie dlaczego, ale kiedy otworzył oczy, zaczął mówić. Były to słowa twarde, słowa skrywanej przed ludźmi prawdy. - Próbowałem kupić sobie spokój, tak jak to ludzie często robią, przez dobroczynność. Widziałem, że tak postępują wielcy tego świata, ludzie pokroju Teda Turnera czy Billa Gatesa, więc zdecydowałem, że też powinienem. Podarować coś dobrego ludzkości. Im więcej, tym lepiej. To w moim stylu. Podobnie jak Ted czy Bill, nigdy nie chciałem rozdać wszystkiego, jak myśleli moi synowie. Nie byłem na tyle głupi. Pomyślałem, że jeśli przeznaczę na fundację połowę tego, co mam, wystarczy, żeby zadośćuczynić ludziom za to, co im przez lata wyrwałem. Uznałem, że to nie będzie zbyt duży uszczerbek dla mojej fortuny.

- Bo pieniądze nadal by się pomnażały.

Lyle markotnie kiwnął głową.

- Wciąż byłbym nieprzyzwoicie bogaty, a mimo to skutecznie oczyściłbym się z win. Przy okazji dowiedziałem się o sobie czegoś, czego bym się nie spodziewał. Lubiłem pomagać ludziom. Zacząłem się rozglądać i nagle zobaczyłem tylu potrzebujących! Próbowałem założyć fundację jak najszybciej, żeby już mogła czynić dobro. Ale byłem tym tak pochłonięty, że zapomniałem o rzeczy najważniejszej na wojnie i w interesach. Nie zabezpieczyłem tyłów. - Uśmiechnął się szyderczo. - Moi chłopcy przestraszyli się, że stracą swój spadek. Zorganizowali *coup d'etat* i załatwili wszystko tak, że sąd uznał moją niepoczytalność. Bach. I poszły moje pieniądze. Domy. Samochody. Rodzina... - Głos mu się łąmał.

- Wysłali cię tu, żeby zapewnić sobie spokój.

Staruszek przez chwilę milczał.

- Tak. Wciąż się mnie boją.

Ojciec Michael przyglądał się mu i myślał o swojej przeszłości. Nie został mu dany dar łatwej wiary. Dziesięć lat temu, mimo ślubów zakonnych, przeszedł kryzys wiary, który omal go nie zniszczył. Jego serce drążył robak - obsesja zemsty, chęć zabicia człowieka. Ale dzięki łasce bożej, cierpliwości jego braci i bezustannym modlitwom znowu uwierzył, że Bóg istnieje i że jest dobrem. Lyle Redmond o tym nie wiedział, ale wiele ich łączyło.

W ten sposób raz jeszcze wstąpił na ścieżkę świętego Franciszka z Asyżu, dla którego nic nie liczyło się bardziej niż zbawienie dusz. Przecież Chrystus umarł na krzyżu z miłości do wszystkich, dobrych i złych. Ojciec Michael postanowił

szukać najgorszych i najbardziej krnąbrnych grzeszników. Z dobrocią Ruth i cierpliwością Hioba pracował, aby nawrócić grzeszników i rozwiązać wątpliwość, czy sam wart jest zbawienia. Lyle Redmond był kiedyś nikczemnym grzesznikiem, jednym z najgorszych, jakich franciszkanin spotkał na swej drodze. Dlatego też ojciec Michael stał się jego cierpliwym gościem.

Uśmiechając się, pochylił się w stronę starego.

- Dobrze jest usłyszeć takie wyznanie. Ale mam wrażenie, że nie mówisz mi tego bez powodu.

- Ma ojciec rację. - Wzrok Lyle'a był zaskakująco przytomny. - Porozmawiajmy o piekle. - Lyle był staroświeckim katolikiem, a ojciec Michael był staroświeckim zakonikiem. Z tego powodu Lyle postanowił przypomnieć mu proste słowa, które jak przez mgłę pamiętał z katechizmu. - „Życie jest słodkie, a śmierć gorzka”. Proszę mi przypomnieć, co się dzieje, kiedy człowiek umiera. - Musi być w tym jakiś sens.

Ojciec Michael przyglądał się staremu człowiekowi, wianuszkowi białych włosów, szerokiej kościstej twarzy pokrytej cienką jak papier skórą. Kiedy pierwszy raz wyszli na spacer, ciało staruszka zdawało się tonąć pod ciężkim płaszczem i kocem okrywającym kolana, ale teraz franciszkanin miał wrażenie, że kipi w nim energia. Dłonie leżały na kocu, to zaciskając się, to rozluźniając, jak gdyby budziły się z długiego snu. Niegdyś szerokie ramiona zdawały się odzyskiwać swój dawny kształt, a ciało jakby pulsowało.

Ojciec był zdumiony, ale nie zamierzał przepuścić takiej okazji.

- Dlaczego śmierć jest taka straszna? Dlatego, że dusza musi opuścić ciało. Kościół uczy, że ciało i dusza zostały stworzone dla siebie i są taką jednością, że ich oddzielenie wydaje się absurdem, rzeczą niemożliwą. Ciało wie, że gdy tylko opuści je dusza, obróci się w proch, dusza zaś, jeśli nie miała odwagi uciec się do łaski bożej i skorzystać ze sposobów, jakie Pan daje nam, żebyśmy mogli się zbawić... Cóż, taka dusza idzie do piekła.

Staruszek słuchał uważnie. Jedną z rzeczy, które najbardziej podobały mu się w Kościele katolickim było to, że dawał definitywne odpowiedzi. To jest czarne, a to białe. Żadnych wydumanych, typowych dla New Age niejasności.

Co się dzieje z duszą, która trafia do piekła? Jak to jest?

- U świętego Mateusza, rozdział dwudziesty piąty, wers czterdziesty pierwszy, Jezus mówi do potępionych: „Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom!”. - Ojciec Michael ściszył głos. Kochał walkę o zbawienie, bo cel był najczystszy z możliwych, a nagroda wieczna. - W swoich objawieniach święta Brygida mówi: „Gorąco ognia piekielnego jest tak ogromne, że cała ziemia jest spowita płomieniem, gorąco pożaru jest niczym w porównaniu z tym”. A u świętego Marka, rozdział dziewiąty, wers

czterdziesty trzeci, Jezus mówi: „Jeśli twoja ręka jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją lepiej jest dla ciebie ułomnym wejść do życia wiecznego, niż z dwiema rękami pójść do piekła, w ogień nieugaszony”.

Staruszek kiwnął głową. Pochylił się, twarz ujął w dłonie, jak gdyby myślał o czymś intensywnie.

- „Rozporządź domem twoim, bo umrzesz i nie będziesz żył”.

- Izajasz, rozdział trzydziesty ósmy, wers pierwszy - wymamrotał duchowny. - Pokora to jedyny sposób, żeby osiągnąć spokój, mój synu. Cierpisz, bo twojej duszy grozi wieczne potępienie.

Stary człowiek uniósł głowę.

- Powiedz mi, co mam zrobić, żeby się dostać do nieba.

- Naprawdę chcesz iść do nieba?

- Po prostu nie chcę trafić do piekła. - Stary człowiek odpowiedział szczerze. - To mnie przeraża. - Podniósł wzrok. - Nie spotkam tam ani Mary, ani Marguerite.

Franciszkanin z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Przypuszczam, że nawet Bóg uznałby to za krok we właściwym kierunku. Ale nie wiem, czy starczy ci odwagi, żeby spełnić jego wymagania, aby dostać się do krainy wiecznej szczęśliwości.

Staruszek wyprostował się i mnich znowu odniósł wrażenie, że ten mężczyzna jest w rzeczywistości silniejszy, niż chce, żeby się wydawało. Lyle odezwał się smutnym głosem.

- Miałem przeciwko sobie pieprzone rekiny z Wall Street, upierdliwych imperatorów z Białego Domu i najbardziej ograniczonych biurokratów w mieście Nowy Jork, a mimo to wygrywałem. Jeśli zdecyduję, że coś zrobię, lepiej niech mi ojciec wierzy. Niech to diabli, nie ma na mnie mocnych!

- Trzeba będzie przestać przeklinać.

Staruszek zamrugał oczami.

- Spróbuję. Co jeszcze?

- Żałować za grzechy. Szczerze się wypowiadać. Zadośćuczynić. Naprawić wszystkie szkody, jakie się da naprawić. I żyć tak, jakby za minutę miała przyjść śmierć, bo przed Stwórcą trzeba stanąć z czystą duszą. Nie wolno zostawić ani jednego grzechu nienaprawionego.

Staruszek był bardzo przejęty.

- Do diabła, prosi ojciec o cholernie dużo. - Zorientował się, że znowu przeklął. - Przepraszam.

Ojciec Michael cofnął się.

- To twoja decyzja. Chcesz posłuchać o niebie?

- Wciąż myślę o tym, czego się dowiedziałem o piekle. - Lyle patrzył zamyślony na teren wokół domu spokojnej starości. Dziś chłód nie przyprawiał jego kości o ból tak jak zwykle. Mężczyzna rozejrzał się dokoła. Nikogo w zasięgu

wzroku nie zauważył. Zaczął mu kielkować pewien pomysł. - Proszę mi pomóc. - Odepchnął się od fotela.

Zdziwiony ojciec Michael złapał go za ramię i podtrzymał.

- W zeszłym tygodniu, zanim zaczęli mi robić te pieprzone... przepraszam... zastrzyki, chodziłem zupełnie dobrze. Zobaczmy, jak sobie radzę teraz. - Ostrożnie zrobił krok. Czuł się osłabiony, ale wytrzymał. Po kilku krokach mógł powoli iść o własnych siłach. - Ojciec Michaelu, przejdźmy się trochę.

Z franciszkaninem przy boku Lyle szedł płaską ścieżką nad sadzawką. Jego kroki nabrały pewności.

- Rozumiem, że trzeba się wypowiadać, żałować za grzechy i postanowić poprawę. Ale jaką mam gwarancję, że nie trafię do piekła?

- To nie jest żadna transakcja. - Ojciec uśmiechnął się. - Wszchemogący nie robi z nami interesu ani nie daje gwarancji. Żaden... nawet papież nie może mieć pewności, czy odprawił wystarczającą pokutę, żeby uzyskać przebaczenie. Ale Bóg jest łaskawy i miłosierny i z miłością będzie sądził nasze serca. Trzeba Go o to prosić w modlitwie.

- Już nie pamiętam, jak to się robi - przyznał starzec. Przez chwilę wspominał to wspaniałe uczucie, kiedy mówiono o nim Wielki Lyle, Król Rynku Nie-ruchomości, Developer Stulecia. I ten Wielki Lyle miałby z pokorą schylić głowę i klepać litanie do jakiegoś Boga, którego nie widział i w którego przez ponad pół wieku nie wierzył?

- Żeby się modlić, najpierw musisz usunąć z myśli dwie przeszkody, grzech i troskę - powiedział ojciec Michael. - Potem musisz chcieć poświęcić czas. Do modlitwy trzeba cierpliwości. Modlitwa to dialog, ale musi być również prośbą o to, by Bóg ujawnił ci swoje plany. Jeśli te plany ci się spodobają, będziesz się weselić. Jeśli nie, znajdziesz pocieszenie.

Lyle spojrział na zakonnik. W jego słowach wyczuł coś dziwnego.

- Ojciec pewnie sam ma czasem chwile zwątpienia, prawda?

Okrągła twarz duchownego posmutniała.

- Tak. Był taki mroczny okres w moim życiu. Bardzo cierpiałem. W moim sercu zagościła nienawiść i utraciłem Boga. Bóg wciąż gdzieś był, ale myślałem, że nie będę potrafił go znaleźć. To prawda, że wielu z nas musi błądzić po to, by znaleźć własną drogę. - Uśmiechnął się, widząc wiewiórkę, która skakała po trawniku w kierunku oddalanej sosny. Brązowe futerko zwierzątka już zrobiło się gęste na zimę. W bladym słońcu błyszczowało, było piękne, jedwabiste. - Wszyscy jesteśmy stworzeniami bożymi, głosimy chwałę Jego imienia. I dla mnie jest to źródło ogromnej radości.

Ponieważ synowie zniweczyli jego plan ucieczki, Lyle próbował teraz innego sposobu. I sprawa stała się o tyle pilna, że została zamordowana Marguerite. Martwił go również Creighton. Creighton. Mógł zostać prezydentem. Lyle'owi nie wolno było do tego dopuścić.

Przyszłość wymykała mu się spod kontroli. Najwyższy czas wziąć sprawy w swoje ręce. Poza tym przerażające płomienie piekielne zdawały się być cholernie blisko.

Myślał o idącym obok franciszkaninie. Może on pomoże mu rozwiązać problemy. W przebiegłym umyśle starego zaczął kielkować pewien plan.

Ojciec Michael odwrócił się do niego. Ściągnął szpakowate brwi.

- Czy chciałbyś coś jeszcze ode mnie usłyszeć, synu? Może jesteś gotów odbyć spowiedź?

W tej chwili Lyle Redmond podjął decyzję.

- Jeszcze nie teraz, ojciec Michaelu. Ale wkrótce. Najpierw musimy zrobić coś jeszcze. Ojciec i ja. Wiem, że ojciec chce ocalić moją duszę i dlatego zamierzam powierzyć ojcu pewną tajemnicę. - Jego blada, pomarszczona twarz nabrała zdecydowanego wyrazu. - Chcę się wydostać z tego przeklętego więzienia. I ksiądz mi w tym pomoże.

12.

11.05, SOBOTA

OYSTER BAY, NOWY JORK

W osłoniętym przez laszek miejscu, niewidocznym z okien willi i pozostałych budynków w Arbor Knoll, stała drewniana chata, wybudowana przez Lyle'a Redmonda. Była to jego samotnia i symbol rodziny. Zanim Lyle wprowadził się do willi z żoną i dziećmi, kazał wybudować ten prosty, jednoizbowy drewniany domek. Przez wiele lat tu pracował i rozmyślał. Domek miał także pokazać rodzinie i światu, że Lyle jest dumny ze swoich korzeni i skromnych początków na Hell's Kitchen, w dzielnicy biedoty w Nowym Jorku. To na schodach tego domku Creighton ogłosił, że będzie kandydował na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Creighton szedł teraz w kierunku chaty i zamyślony spoglądał dokoła. Podśpiewywały zimujące tu ptaki, z daleka dobiegał stłumiony szum wody w zatoce. Dla Creightona najważniejszy był fakt, że w zasięgu wzroku nie było chmur deszczowych. Przez dwa ostatnie dni nad Północnym Wybrzeżem szalała burza, która sprawiła, że słone powietrze stało się mroźne i wietrzne, a morze wzburzone. Jednak w ten sobotni poranek niebo było czyste i słoneczne, miało kolor szarobłękitny.

To dobrze. Creighton szykował się do konferencji prasowej. Zamierzał zorganizować ją na zewnątrz, przed główną bramą posiadłości, gdzie większość

przedstawiciele mediów już czekała. Gdyby padał deszcz, konferencja musiałaby się przenieść do środka i dziennikarze mogliby dopaść Julię. Nie chciał to tego dopuścić. Szedł szybko, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy będzie mógł zająć się interesami. Miał poczucie szybko uciekającego czasu. Do wyborów zostały już tylko trzy dni.

Skinął głową agentowi, który zmaterializował się nagle w pobliżu. Mężczyzna wychodzący z lasu miał na ramieniu broń. Rozejrzał się wokół i z powrotem zniknął między drzewami. Kiedy Creighton dotarł do domku poczuł radość i dumę. To jego posiadłość! Minał żelazną furtkę gwarantującą że żadne dziecko nie pojawi się w jego królestwie. Zamknął ją na klucz i pospiesznie wszedł do środka.

W rodzinie krążyło wiele legend na temat tego budynku. Pamiętał, że kiedy był mały, jeden ze znajomych ojca porównywał Lyle'a do feudała, który znudzony bogactwem i odpowiedzialnością, zbudował sobie pustelnię, żeby między kolejnymi najezdami nabierać tu sił. Ten człowiek miał chyba rację. Lyle'a przychodził tu, gdy miał podjąć jakąś trudną decyzję dotyczącą interesów, żeby przeczytać w spokoju raporty z działalności firmy albo posiedzieć w samotności, patrząc na zachód słońca, pijąc brandy, paląc najlepsze kubańskie cygara i słuchając kojących odgłosów natury.

Prezydenci - od Eisenhowera do Clintona - odwiedzali Arbor Knoll i byli zapraszani na drinka i pogawędkę do drewnianego domku za lasem. Lyle zawsze robił sobie z nimi zdjęcie na schodkach, czasem zapraszał do pozowania także synów i wnuki. Zdarzało się, że zdjęcia trafiały potem do gazet albo do telewizji.

Również tutaj, w samotni - takie przynajmniej krążyły plotki - miewał schadzki z kobietami. Creighton nigdy nie miał na to żadnych dowodów, ale pamiętał, jak służba rozmawiała o tym, że starszy pan szedł do domku ubrany w elegancki garnitur i krawat i gdy po kilku godzinach wracał stamtąd, garnitur był pognieciony, a na kołnierzyku koszuli widniały ślady szminki. Ale w domku nie było łóżka, a na wąskiej kanapie trudno byłoby wyobrazić sobie miłosne igraszki. Poza tym nikt nigdy nie widział żadnej nieznanym kobiety na terenie posiadłości.

Creighton wszedł do środka. Vince już tu był. Siedział w ulubionym fotelu Lyle'a - obitym miękką kremową skórą, która z czasem pociemniała wytarta ciałem staruszka. Czytał magazyn „Forbes” i palił długiego camela light. Musieli omówić wiele spraw i wszystkie były niezmiernie ważne.

Gdy tylko zobaczył ojca, natychmiast odłożył magazyn na stolik obok.

- Co naprawdę sądzisz o śmierci Marguerite? - zapytał ojca.

Creighton zamknął za sobą drzwi. Jego spokojna, pewna siebie twarz o ostrych rysach przybrała wyraz nieszczerego smutku.

- To nieszczęśliwy wypadek, ale obawiam się, że nieunikniony. Marguerite zobaczyła naszą kobietę. Sam wiesz, jaka była Marguerite. Poruszyłaby piekło,

żeby ją odnaleźć. - Opadł na skórzany fotel stojący obok fotela syna. - Marguerite nie dała nam wyboru. Jej śmierć to jedno z najniezwyklejszych wydarzeń. Ale wyobraź sobie, do czego by doprowadziła, gdyby przeczytała list. Wszystkie pieniądze wróciłyby do dziadka, a on wszystko by przepuścił. Również to, co należy się tobie.

Vince przełożył nogi, a jego beżowe bawełniane spodnie modne się zmarszczyły. Zaciągnął się papierosem. Gdzieś w głębi duszy to morderstwo ucieszyło go. Nie ma to jak tragedia w rodzinie, a on czerpał perwersyjną przyjemność z przyglądania się, jak ludzie reagują na tragedię.

- Masz rację. Też tak myślę. Ale kiedy dziś rano otrzymałem wiadomość, przestraszyłem się...

- Przepraszam, nie mogłem zadzwonić sam. Twoja matka chciała zadzwonić do ciebie i do reszty dzieciaków. Nie mogłem robić wyjątków. - Mógł przejść do najważniejszej sprawy. - Gdzie jest przesyłka dziadka? Jesteś pewien, że Keeline nie przeczytał listu? To byłaby katastrofa.

Kiedy Creighton powiedział swojemu bratu Davidowi o bezczelnej próbie wysłania przez starego przesyłek, David wpadł w szal: „Od razu ci mówiłem, że powinniśmy zabić drania. Co to za różnica, że jest naszym ojcem. Musisz się z tym pogodzić, Creighton. On stanowi dla nas zagrożenie. Dom spokojnej starości nie gwarantuje nam bezpieczeństwa”. Creighton jednak powtórzył bratu to, co mówił, kiedy sąd uznał niepoczytalność Lyle'a: „Jeśli chcesz, żeby nie żył, sam to załatw. Ale będziesz musiał za nas wszystkich zapłacić podatek spadkowy”. David zbyt kochał pieniądze, żeby zrobić coś takiego, stało więc na tym, że Creighton zwiększył ochronę domu starców, a John Reilly i jego pracownicy zostali ostrzeżeni, że jeśli stary Lyle jeszcze raz zrobi coś takiego, wszyscy w najlepszym razie stracą pracę.

Vince wyjął zawiniętą w szary papier paczuszkę, którą zabrał Samowi Keeline'owi, i podał ją ojcu.

- Wszystko jest pod kontrolą. Keeline'owi za bardzo zależy na pracy, żeby robił problemy.

- Jesteś pewien? Czy to nie on był jednym z najlepszych agentów w Firmie?

- To już przeszłość. Odkąd jego dziewczyna została zamordowana we Wschodnim Berlinie, pracuje w dziale ekspertyz. Boi się większych wyzwań. Nie mamy się czym martwić. - Vince przerwał. - Czy Maya Stern ma ci dostarczyć przesyłkę, która trafiła do Marguerite?

- Tak. Umów się z nią, żeby przywiozła ją tutaj. - Creighton poluzował krawat i rozpiął kołnierzyk. Przy synu nie musiał udawać. - A ta historyjka, którą miałeś przekazać „Sunday Times” w Londynie?

- Ukaze się jutro rano. - Vince promieniał z zadowolenia. Lubił, kiedy dobrze naoliwiona machina biurokracji działała zgodnie z oczekiwaniami i cieszył go każdy plan wykonany na czas. - Ich reporter sprawdzał źródła za granicą i u

nas i już nastąpił przeciek. Myślę, że w tej chwili „Washington Post” i „Los Angeles Times” przyglądają się tym materiałom, a to znaczy, że media w kraju też już są na tropie. Różnica czasu powinna wystarczyć, żeby informacja pojawiła się w porannych wydaniach. Ameryka będzie przygotowana na bombę, którą szykuje Staffeld, jutro po południu. - Nadinspektor Scotland Yardu Staffeld miał być kamykiem, który spowoduje lawinę. Dzięki niemu plan zdobycia prezydentury się powiedzie. Creighton zachichotał.

- Jutro rozpęta się prawdziwe piekło. Będzie zabawnie.

- Telefony pewnie będą się urywały, ale twoi ludzie sobie poradzą. Twoja szkoła. Nie stchórzą. Będą milczeć jak grób, gdy padnie pytanie na temat Douga Powersa. W ten sposób wyjdiesz na wspaniałomyślnego przeciwnika. Wykażesz się klasą godną prezydenta. Kiedy zaś oficer policji o takim międzynarodowym autorytecie, jak ma Staffeld potwierdzi rewelacje dotyczące Powersa, wygrasz wybory, i to z dużą przewagą.

Podniecony Creighton spojrział w wychodzące na zachód okna. Wciągnął w nozdrza zapachy lasu otaczającego domek. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze chciał mieć na własność ten drewniany domek, bo był on tak ważny dla ojca. Wciąż unosił się tu duch Lyle'a. Domek miał około ośmiuset metrów kwadratowych powierzchni i blisko sześć metrów wysokości; był tak ogromny, jak stary i jego przerośnięte ambicje. Nic dziwnego, że ta chata stała się symbolem ich rodziny.

Creighton nic w nim nie zmienił. Stał tu ten sam kremowy fotel i kremowa kanapa z kompletem, proste biurko, a na nim bogato zdobione szlachetnymi kamieniami pudełko na cygara, drewniany kredens z błyszczącymi kieliszkami. I półkole skórzanych foteli - Creighton siedział tuż obok Vince'a. Mógł kazać Vince'owi przesiąść się, ale był dumny z siebie, że potrafi być wspaniałomyślny, że jest lepszy od swojego ojca. Ten fotel był zaledwie symbolem. Tylko jedna rzecz miała naprawdę znaczenie. Władza. To przypomniało mu o potencjalnym problemie - o Julii.

- Musimy zatrzymać tutaj Julię - powiedział do syna. - Już raz odzyskała na chwilę wzrok. Prawdopodobnie nie może zaszkodzić naszej dziewczynie, ale nie mam zamiaru ryzykować.

- Myślisz, że mogłaby odzyskać wzrok ponownie?

- Tak twierdzi doktor Dupuy. Dzwoniłem do niego do Paryża. Powiedział, że to może się zdarzać coraz częściej, aż odzyska wzrok na stałe. Tak nie musi się jednak stać, bo odzyskanie wzroku w Londynie mogło być tylko anomalią. Mimo to nie możemy ryzykować.

Vince kiwnął głową. Zgasił papierosa w popielniczce na biurku. Był najbardziej zaufanym powiernikiem ojca i jego doradcą. Rozumieli się doskonale. Kiedy ojciec zostanie prezydentem, syn awansuje na dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. Będzie najmłodszym człowiekiem na tym stanowisku.

Miał odpowiednią wiedzę i doświadczenie. Wszystkie testy kwalifikacyjne zda na piątkę.

Jako dyrektor wywiadu będzie miał dostęp do Gabinetu Owalnego nawet lepszy, niż Bill Casey przy Ronaldzie Reaganiu. Razem z ojcem - jako najwyżsi urzędnicy państwowi - będą mieć wpływ na każde wybory za granicą, na postęp technologiczny, na wszystko, co się dzieje na świecie. Będą się orientowali w wewnętrznych sprawach obcych rządów. I będą mogli reagować szybko w interesie kraju.

- Julia nie powinna się sprzeciwiać. Będzie szczęśliwa, że będzie mogła odpocząć. - Vince zrobił pauzę. Cały dzisiejszy ranek męczyło go pytanie, jak ważny jest dla swojego ojca. I tłumił gniew wywołany tym, co przeczytał w liście dziadka do Sama Keeline'a. Kiedy się odezwał ponownie, jego głos był pozbawiony emocji, a na przystojnej twarzy malował się spokój. - Nie wiedziałem, że mamy Bursztynową Komnatę. Gdzie ona jest?

Creighton spojrział uważnie na syna zasiadającego na tronie jego ojca. Vince mógł oszukać każdego, nawet swoją matkę, ale nie Creightona. Za bardzo byli do siebie podobni. W głosie Vince'a wyczytał złość i rozczarowanie.

- Więc przeczytałeś list dziadka - stwierdził spokojnie.

Vince nie wytrzymał.

- Oczywiście, że przeczytałem! Inaczej skąd bym wiedział o Bursztynowej Komnacie? Przecież ty nigdy mi o tym nie wspomniałeś!

Creighton pochylił się do przodu i postarał się nadać twarzy szczerzy wyraz. Panował nad każdym mięśniem, był pewien, że jego gesty i twarz wyrażają wyłącznie spokój i pewność siebie.

- Synu, plotki o tej komnacie słyszałem od czasu, kiedy byłem w twoim wieku. Nie wiem, co wyczytałeś w liście, ale mogę ci powiedzieć jedno. Nawet jeśli Bursztynowa Komnata istnieje, ja jej nie mam. Trudno mi też sobie wyobrazić, żeby ojcu udało się ją przede mną ukryć. Przed laty podsłuchałem rozmowę między ojcem a Danem Austrianiem. Ojciec nigdy by się do tego nie przyznał - sam wiesz, jakim potrafił być tajemniczym draniem - ale z tego, co zrozumiałem, tę komnatę może mieć Dan Austrian. To wszystko, co wiem. Nigdy więcej nie słyszałem o niej ani słowa.

- Więc dlaczego dziadek pisze w liście, że ją ma?

- Żeby kogoś sobą zainteresować. Chce się wydostać z domu opieki. Obaj o tym wiemy. Chce, żeby ktoś go stamtąd zabrał, i będzie obiecywał wszystko, zrobi wszystko, żeby się stamtąd wydostać. I żeby odzyskać kontrolę nad swoimi pieniędzmi.

Vince dał się przekonać. Powoli kiwnął głową.

- I żeby rozdać cały majątek każdemu, kto w nim wzbudzi litość. Będzie mówił wszystko, byle się stamtąd wydostać. - Creighton uśmiechnął się. Vince był dobrym synem i w większości spraw mógł mu ufać. - Mamy coś jeszcze do omówienia?

- Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Informuj mnie o wszystkim niezależnie od tego, gdzie jesteś. Będę robił to samo. Lecisz wieczorem do Kalifornii?
- Tak. Jutro mam tam spotkanie przedwyborcze. - Spojrzał na swojego rolexa. - Chodźmy. Julia powinna już być. Cieszę się, że będę mógł mieć na nią oko.

13.

Pociągała twarz Julii stężała z napięcia, kiedy luksusowa limuzyna zbliżyła się do Arbor Knoll. Jej pełne usta były spierzchnięte, a oczy piekły z wysiłku i przemożnego pragnienia, by widzieć. Zamknęła oczy i oparła czoło o chłodną szybę. Długie włosy opadły jej na twarz, założyła je za uszy. Przygotowywała się na spotkanie z rodziną Redmondów.

Od chwili przebudzenia w Londynie rozbrzmiewało jej w głowie *Requiem* Mozarta. Miała wrażenie, że uroczysta powaga utworu udzieliła się jej ciału. Z Juilliard pamiętała, że to *Requiem* grano w tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym roku na pogrzebie Chopina w Paryżu, gdzie zmarł przedwcześnie. Jej matka również zmarła przed czasem.

Ta muzyka podniosła ją na duchu, kiedy wysiadła z limuzyny, która zatrzymała się przed Arbor Knoll. Miała nadzieję, że tutaj dowie się, co było powodem urazu w noc jej debiutu. I odkryje przyczynę swojej ślepoty po to, żeby doprowadzić do ukarania morderczyni matki. Co chwila otrząsała się z chęci zabicia tej kobiety własnymi rękami.

Otoczyła ją pełna współczucia rodzina. Wyobrażała sobie, jak wyglądają - klan pięknych ludzi. Wszyscy tu byli - wujowie, ich żony, kuzyni. Stado pełnych energii i wigoru ludzi, których łączyły geny oraz poczucie zakorzenienia, posiadania swojego miejsca w świecie. Każdy z osobna potrafił być inteligentny i zabawny.

Niekiedy bywali tyranami i egoistami, a jeśli chcieli coś osiągnąć, stawali się brutalni i obojętni na cierpienie innych. Ale w sytuacji takiej jak ta górę brały pozytywne cechy - świadomość wspólnych celów i przeszłości, przekonanie, że jeśli zraniono jednego z nich, zraniono wszystkich.

Rodzina Redmondów zebrała się, bo jednego z nich - Julię - dotknęło nieszczęście.

- Naprawdę bardzo mi przykro - odezwał się jeden z kuzynów. - To ogromna strata.
- To straszne, Julio - powiedział inny.

Wprowadzili ją do środka pachnącej marmurem i starym drewnem willi. Z kuchni dolatywał zapach pieczonego ciasta. Po drodze raz po raz ktoś składał jej kondolencje. Czowała jeszcze zapach kwiatów. Wszędzie.

Dziękowała wszystkim i odpowiadała, że również jest jej przykro. Chcieli wiedzieć, jak to się stało. Kiedy opowiadała o napadzie i dwóch morderstwach, przy których była, ogarnęła ją złość. Bała się, że przestanie nad sobą panować, że puszcza jej nerwy. Oni również byli wściekli, rozumieli ją. To pomogło jej zachować spokój.

Przedstawił się jej proboszcz tutejszej parafii. Julia nie była katoliczką, ale jej matka owszem. Kiedy ksiądz opowiadał, jak wspaniałą kobietą była Marguerite, Julia poczuła, że coś ją dławi w gardle. Ksiądz zaproponował, żeby odwiedziła go, kiedy tylko zechce.

Żona Creightona zaproponowała jej spóźnione śniadanie.

- Jeszcze nie - powiedziała Julia. Nie mogłaby nic przelknąć. - Ale dziękuję. - Musi zacząć działać. - Alexis, pamiętasz noc mojego debiutu?

- Nigdy jej nie zapomnę, Kochanie - powiedziała łagodnym głosem Alexis. Wzięła Julię za rękę. - Dlaczego pytasz?

- Czy wydarzyło się wtedy coś niezwykłego? Coś, co mogło mnie bardzo przygnębić?

Alexis Redmond wciąż nie straciła południowego akcentu. Pochodziła z Georgii.

- Kochanie, to był wspaniały wieczór. Byłaś trochę zdenerwowana przed występem, a po koncercie publiczność oszalała, tak wspaniale zagrałaś... Pamiętam. Oczywiście pamiętam, że tej nocy miał miejsce ten straszny wypadek, w którym zginął twój ojciec. Do tego momentu to była wspaniała noc. - Zamilkła, zastanawiając się nad czymś. - Nie sądzisz, że nadszedł już czas, żebyś przestała się bać publiczności? Cena, jaką zapłaciłaś za jej przychyłność, jest wystarczająco wysoka...

Julia była rozczarowana. Podziękowała Alexis i podeszła do kuzynostwa. Dlaczego wszyscy uważają, że skoro nie ma fizycznych przyczyn, to wystarczy, żeby się zmusiła, a będzie widzieć? Odłożyła to dręczące pytanie na bok i zaczęła wypytywać kuzynów o wieczór debiutu. Pamiętali jej grę, a potem przyjęcie w Arbor Knoll, ale nic nowego nie potrafili dodać. Kilka osób było najwyraźniej skrępowanych jej pytaniem, bo była to przecież noc śmierci innej bliskiej jej osoby - ojca.

- Jeśli będę mógł ci w czymś pomóc, Julio, proszę, odezwij się. - Był to jej kuzyn Matt. Poznała ten głos i przypominała sobie energicznego, bezpośrednio młodego człowieka, który wcześniej posiwiiał. Był synem Davida, prawnikiem na Wall Street, a ostatnio ubiegał się o miejsce w senacie.

Ujął jej dłoń i uścisnął.

Powiedziała, że jest mu wdzięczna.

Z drugiej strony zbliżył się do niej wuj David.

- Wygląda na to, Julio, że Matt zostanie senatorem z Nowego Jorku. Będziemy więc mieli Creightona jako prezydenta i Matta jako senatora. Nieźle, jak na rodzinę, która dopiero zaczyna bawić się w politykę. - Roześmiał się. Rodzina od dłuższego czasu miała znaczny wpływ na politykę stanową i państwową, ale był to wpływ nieoficjalny.

- Myślałam, że martwicie się obecnym senatorem, konkurentem Matta. Jest bardzo popularny... - powiedziała Julia.

- Ale wypadł z wyścigu. - David uśmiechał się w dalszym ciągu. - Zdaje się, że otrzymał propozycję objęcia posady dyrektora generalnego w jednej z największych firm farmaceutycznych w San Diego. To się wiąże z wielomilionową pensją. Poza tym ma dostać w tym przedsiębiorstwie spory udział. Oczywiście jeśli zostanie wybrany na drugą kadencję, wszystko przepadnie. Ma teraz problem, bo nie może się zdecydować, a to przeszkadza mu w prowadzeniu sensownej kampanii. Matt wygra z nim bez trudu.

- Dzięki, tato. - Matt roześmiał się rozbawiony.

- To twoja sprawa, David? - zapytała Julia, chociaż знаła odpowiedź. Ta rodzina zawsze dostawała to, czego chciała. Same pieniądze nie oznaczają władzy. Trzeba jeszcze umieć je wykorzystać. - Masz znajomych, gdzie trzeba?

David nie krył satysfakcji.

- Niedawno przejęliśmy dług tej firmy farmaceutycznej na bardzo korzystnych dla niej zasadach. Nisko oprocentowany. Firma z radością zastosowała się do przedstawionej przeze mnie kandydatury na stanowisko dyrektora generalnego, zwłaszcza że senator ma odpowiednie kwalifikacje.

Julia jednak nie miała wątpliwości, że nawet gdyby senator nie miał „odpowiednich kwalifikacji”, David znalazłby sposób, żeby wyeliminować go z wyścigu o fotel senatora. Zawsze zaskakiwało ją z jaką bezczelnością Redmondowie wykorzystywali władzę. Dla nich był to interes jak każdy inny.

Dołączył do nich wuj Creighton. Jego głos był łagodny i poważny.

- Julio, na pewno jesteś zmęczona. Chodź do gabinetu. Tam będziesz miała spokój. Powinniśmy porozmawiać o przyszłości. David, chcesz do nas dołączyć? Brice już czeka.

Ujął dłoń Julii, położył ją na swoim ramieniu i poprowadził ją.

Kiedy przechodzili przez drzwi, Julia przystanęła. Poczula na skórze znajomy trójkąt słońca wpadającego do pomieszczenia z prawej strony. Dzięki temu zorientowała się, gdzie jest. Puściła ramię Creightona.

- Pozwól. - Nie mogła się oprzeć. Była jak kawałek żelaza przyciągany przez magnes. Podeszła do steinwaya. Może cud zdarzy się teraz...

Ale nie. Nadal otaczała ją bolesna ciemność. Była w niej zamknięta. Zdawało się, że ta czern jest wieczna. Przelknęła rozczarowanie i skoncentrowała się na

fortepianie. Poza nią nikt w rodzinie nie grał, ale gospodyni pilnowała, żeby instrument regularnie strojono. Jej kolano dotknęło krzeselka. Usiadła.

- Julio - odezwał się Creighton - jesteś pewna?

- Doceniam troskę. To bardzo miłe. - Wyczuła, że trzej wujowie wahają się i w końcu się zatrzymują. Wiedziała już, co zagra. Doskonały utwór. Opowie im o matce lepiej niż jakiegokolwiek słowa.

Uniosła dłonie nad klawiszami. Przedłużone dźwięki otwarcia nastrojowego nokturnu b-moll Chopina wypełniły pokój. Muzyka tchnęła spokojną siłą i łagodnością. Julia przeszła do środkowej części, na którą składały się kolorowe, polichromiczne nuty i przepyszna fraza. Ta część oddawała żywy czar jej matki. Zobaczyła postać Marguerite z wysoko podniesioną głową, błyszczącymi oczami - naturalną, bezpretensjonalną. Dlatego wszyscy w jej towarzystwie czuli się dobrze.

Julia grała dalej i podświadomie rejestrowała, że w salonie gromadzą się ludzie. Szeptali między sobą. I wtedy, pod koniec utworu, zobaczyła śmierć. Śmierć matki. Nuty wznosiły się z pasją, żalem, miłością i siłą. Były jak jej matka. Nokturn zmienił jej tragedię w historię o śmierci i narodzinach, o mrocznej i jasnej stronie ludzkiej natury, w wieczność ludzkiego doświadczenia. W życie.

Kiedy rozluźnione ręce spoczęły na kolanach, poczuła, jak spływa na nią nieziemski spokój.

W salonie panowała cisza. Julia znowu poczuła ciepły promień słońca.

- To było ładne, Julio - odezwał się Creighton. - Śliczne.

- Tak, wspaniale - dodał Brice.

Odwróciła się. Nagle zdała sobie sprawę, że w pokoju są ludzie. Zamrugła oczami zaskoczona. Skąd się tu wzięli?... Przypomniała sobie, że kiedy grała, miała niejasne uczucie, że ktoś wchodzi do salonu.

Poczuła strach, bo zorientowała się, że grając, nie zwracała uwagi na to, co rejestrowały jej zmysły. Nie wolno jej pozwolić sobie na luksus zatopienia się w muzyce. Musi odnaleźć zabójczynię matki, a to znaczy, że musi posługiwać się wszystkimi umiejętnościami, jakie ma. Bez chwili wytchnienia.

Uśmiechnęła się, kiedy rodzina dziękowała jej za ten niezapowiedziany występ. Zebrani wyszli zdziwieni, że wybrała moment żałoby, żeby urządzić koncert.

- Bardzo ładnie, Julio - powiedział David - ale teraz weź mnie pod rękę. Usiądźmy. Musimy porozmawiać.

Kiedy siedli w gabinecie, Brice zamknął drzwi. Pytali ją o ostatnie dni życia Marguerite, o występy, o Londyn. Odpowiadała ze spokojem, który dla niej samej był zaskoczeniem. Nawet Brice, który zawsze sprawiał wrażenie niezależnego i różnił się od braci, nawet on zdawał się nie rozumieć, że ten nokturn

miał uczcić pamięć jej matki. Język muzyki, którym posługiwała się Julia, był dla nich niezrozumiały. Równie dobrze mogłaby do nich mówić po grecku, serbsku albo marsjańsku. Ze smutkiem w głosie zapytała:

- Powiedźcie mi, co się zdarzyło w dzień mojego koncertu debiutanckiego.
- Słucham? - Creighton był zdziwiony.
- Nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem.
- Byliście tam wszyscy, prawda? - Nie dawała za wygraną. - O ósmej zaczął się koncert. Skończył się o dziesiątej. Co się działo później?

Creighton opanował się. Spokojnym głosem sędziego powiedział:

- Oczywiście, moja droga, byliśmy. No cóż, pamiętam, że bardzo dużo ludzi przyszło za kulisy, żeby ci pogratulować. Kiedy im wszystkim podziękowałaś, poszliśmy do samochodów, pamiętasz? Przyjechaliśmy tutaj i uczciliśmy to wydarzenie. Była późna kolacja. Szampan. Do tej pory nikt w rodzinie nie wiedział, że jesteś tak utalentowana...

- Dlatego, że wcześniej nie dałaś prawdziwego koncertu - poprawił go David.

Dlatego, że żaden z was nie pofatygował się na mniej galowy koncert - pomyślała Julia. Redmondowie byli ludźmi sukcesu. Teraz ją „lubili”, mimo że nie rozumieli tego, co robi, i nie widzieli żadnego pożytku z muzyki. Nie interesowało ich nawet, jakim człowiekiem jest Julia.

- Pamiętam, że Daniel Austrian dał ci wtedy prezent. Zwykle to robił przy podobnych okazjach. Chyba pierścionek. Jeden z pierścionków jego żony...

- Tak, z aleksandrytem - przytaknął David. - Dziś musi być wart ze sto tysięcy.

- ...Wieczór się przedłużał. Rano dowiedzieliśmy się o podwójnej tragedii, o tym, że straciłaś wzrok i o śmierci Jonathana w wypadku samochodowym.

Julia kiwnęła głową. Ogarnęła ją nagła potrzeba płaczu, ale opanowała się.

- Nie było żadnej kłótni tamtego wieczora?

- Kłótni? - W głosie Creightona słychać było zdziwienie. Przez chwilę się zastanawiał. Kiedy znowu się odezwał, mówił bardzo spokojnie i powoli. - Nie było żadnej kłótni. O ile pamiętam, wszyscy się świetnie bawili. Rozmawialiśmy. Jak zwykle były świetne trunki i doskonałe jedzenie.

W głosie najstarszego wuja pojawiło się coś dziwnego. Nauczyła się wychwytywać najmniejsze zmiany w głosie rozmówcy, najdrobniejsze wahania i pauzy, zwracała uwagę na dobór słów. Czasem słowa były prostą prawdą, czasem nie, i nie musiały być od razu rozmyślnym kłamstwem. Znowu boleśnie odczuła brak wzroku, bo może gdyby widziała, mogłaby z twarzy wuja wyczytać prawdę.

Przypomniał się jej włoski amant z Londynu, któremu mogłoby się udać ją uwieść, gdyby go nie widziała. Usłyszała, jak David bębni palcami po oparciu fotela.

- Pewnie myślisz o śmierci ojca, Julio. Pamiętasz, twój ojciec odwiózł Daniela do domu w Southampton i wracał do Arbor Knoll. Było około czwartej... piątej rano i wtedy to się stało. Potworne.

- Tak chyba właśnie było - szybko potwierdził Brice. - Nie draż tego. Przeżyłaś wystarczająco dużo ostatnio. Dlaczego zaprzątasz sobie tym główkę?

- Na pewno nie powinnaś jeszcze wracać do miasta - ciągnął spokojnym głosem Creighton. - Kazałem przywieźć tu twojego steinwaya, żebyś mogła ćwiczyć. Ochrona zajmuje większy domek dla gości, ty możesz zamieszkać w mniejszym. Wstawimy tam fortepian. Albo, jeśli wolisz, możesz mieszkać w którymś z apartamentów tu, w domu. Możesz się zatrzymać, gdzie ci się spodoba - dodał wielkopańskim tonem. - Nie przyjmujemy odmowy. Potrzebujesz teraz opieki, prawda, Davidzie? - Po głosie poznała, że się czarująco uśmiechnęła.

- Oczywiście - zgodził się David.

- Tu ci będzie najlepiej, Julio - dodał Brice. - Będziesz miała towarzystwo. Ludzi, którzy pomogą ci w codziennych sprawach.

Ale nie ma tu nikogo, kto mógłby jej pomóc przypomnieć sobie, co się wydarzyło w noc debiutu i co spowodowało jej ślepotą. Nikogo, kto w jakiś inny sposób pomógłby jej odzyskać wzrok - o ile taki sposób istniał. Przed oczami stanął jej obraz szczęśliwej twarzy matki, kiedy się dowiedziała, że córka widzi. Potem zobaczyła kobietę z pistoletem. Matka cofnęła się na siedzeniu. I te gejzery krwi. A potem rozdzierające serce odgłosy, kiedy Marguerite walczyła o powietrze i krztusiła się własną krwią.

Matka umierała w potwornym bólu i ze świadomością, że nie ma dla niej nadziei. A Julia nie mogła jej w żaden sposób pomóc, bo straciła wzrok. Musi odzyskać wzrok, żeby złapać morderczynię.

Pomyślała o mieszkaniu przy Park Avenue. Wyobraziła sobie pustkę i echo własnych kroków. Najpierw ojciec, teraz matka. Obydwoje nie żyją. Julia była jedynaczką, nie miała męża ani dzieci. Była samotna, miała tylko Redmondów. I Oriona Grapolisa. Orion był psychologiem, który mieszkał w tym samym domu. Zawsze, kiedy były z matką w mieście, odwiedzał je razem z żoną - wpadali na pogawędkę i na drinka. Bardzo go lubiła. Kiedyś opowiedział jej o swojej metodzie pracy, którą nazywał hipnozą naturalistyczną. Zastanawiał się wtedy, czy nie mógłby pomóc w leczeniu jej zaburzenia. Tylko że ona była najpierw pod opieką świetnego psychiatry, a potem w ogóle straciła wiarę w możliwość wyleczenia. Ale teraz?

Może powinna z nim pomówić. Im więcej o tym myślała, tym bardziej się jej ten pomysł podobał. Orion zawsze wspominał, że jego metoda może okazać się

pomocna. Także z tego powodu powinna jak najszybciej wrócić do domu.

Tak czy inaczej, nie zamierzała zostać w Arbor Knoll. Od śmierci ojca i od momentu utraty wzroku nigdy nie czuła się tu dobrze. Nie chciała, żeby wujowie o tym wiedzieli. Nie mogła im też powiedzieć, że była naocznym świadkiem morderstwa matki i teraz całą energię będzie chciała poświęcić na odzyskanie wzroku, żeby móc odnaleźć morderczynię.

Musiała się jednak jakoś wytłumaczyć.

- Muszę spróbować przyzwycząić się do samotności i swojego mieszkania. Muszę się nauczyć radzić sobie sama. Nie wspomniałam ci o tym, ale zmieniłam twoje polecenie, wuju. Fortepian dostarczą do naszego... do mojego mieszkania. - Bogactwo miało wiele dobrych stron. Jej wujowie mogli spełniać swoje życzenia, a ona mogła spełniać swoje. Sprawilo jej to satysfakcję.

W pokoju zalegała cisza.

- Zmieniłaś moje polecenie? - zapytał spokojnie Creighton, chociaż w środku kipiał ze złości. - Ciekawe. To niemądre, Julio. Musisz pozwolić nam pomóc sobie w podejmowaniu decyzji. Skontaktowałem się już z adwokatem i poprosiłem go, żeby odszukał testament. Sprawdzi autentyczność dokumentu, żebyś mogła przejąć spadek. Może nie zdajesz sobie sprawy, ale otrzymasz wszystko. Cały majątek Austrianów. Co do grosza. Plus pieniądze twojej matki oczywiście...

- A to pokaźna sumka, chociaż byłaby znacznie większa, gdyby Dan nie poszedł na emeryturę tak wcześnie - wtrącił David. Do tej pory nie mógł przejść do porządku nad nieodpowiedzialnością Daniela Austriana. - O ile się orientuję, to będzie trochę ponad pięćset milionów dolarów. Oczywiście po potrąceniu podatku...

- Dziękuję - powiedziała Julia. - Jestem wdzięczna, że chcecie mi pomóc, ale muszę radzić sobie z moim życiem sama. Zostanę tu jeszcze kilka godzin. Po południu wyjeżdżam. Oczywiście przyjadę na pogrzeb. Poprosiłam Scotland Yard, żeby zawiadomili mnie, nie was, kiedy wydadzą ciało mamy. - Przerwała na chwilę. - Poradzę sobie. Znam przecież okolice, w której mieszkam. A gdybym chciała wybrać się gdzieś dalej, zawsze mogą wziąć taksówkę. Istnieją różne sposoby, żeby żyć ze ślepotą samemu, a ja muszę się ich nauczyć i wszystko będzie dobrze. Oczywiście będę musiała sobie znaleźć menedżera. Żebym mogła wrócić do koncertowania. - Do tej pory nigdy nie miała żadnego menedżera, oprócz matki.

- Tak trzymaj, Julio - mruknął Brice. Doskonale rozumiał jej potrzebę powrotu do pracy.

Creightona zdziwiła ta manifestacja niezależności.

- Dla nas to wystarczająco bolesny cios, że straciliśmy Marguerite. Pomyśl o nas. - Przysunął bliżej krzesło, żeby się jej przyjrzeć. Nie patrzył na jej rysy,

delikatny nos i pełne usta. Szukał śladu, który by mu powiedział, co dzieje się w jej głowie. - Weź pod uwagę, co my czujemy. Chcemy mieć pewność, że nic ci nie będzie. Jeśli zostaniesz tutaj, będziemy wiedzieli, czy wszystko u ciebie w porządku. - I dodał łagodniejszym tonem: - Nie możesz być egoistką, Julio. Marguerite odeszła, a naszym obowiązkiem jest ci ją zastąpić.

- Chciałem ci zaproponować, żebyś przekazała mi kontrolę nad udziałami Marguerite w truście - włączył się David. - Będziesz miała jeden problem z głową. Marguerite i tak nigdy nic z tym nie zrobiła. Oczywiście chętnie będę również zarządzał twoim spadkiem.

- Pomyślę o tym - powiedziała cicho Julia. Poczwała, jak wokół jej piersi zaciska się obręcz. Ogarnęło ją znajome uczucie klaustrofobii, jak gdyby była kimś niematerialnym w materialnym świecie Redmondów. Zamierzała sama zająć się spadkiem i udziałami w truście, ale tę rewelację zostawiła sobie na później.

Creighton wciąż przyglądał się Julii. Kiedyś wydawała się pełna słodkiej, poruszającej niewinności. Teraz już tej niewinności nie dostrzegał. Jej miejsce zajęła determinacja. Siedziała wyprostowana jak zawsze, ale nie miała swoich ciemnych okularów i jej błękitne oczy zdawały się świecić wewnętrznym blaskiem. Dłonie luźno spoczywały na kolanach, w każdej chwili gotowe zacisnąć się w pięści. Pomyślał, że Julia może się okazać - podobnie jak jej matka - wiecznym utrapieniem. Może nawet większym niż matka.

- Czy dziadek Redmond czuje się na tyle dobrze, żeby przyjechać na pogrzeb? - zapytała Julia.

- Obawiam się, że nie - odpowiedział Creighton. - Prawdę mówiąc, jest z nim coraz gorzej. Zdaje się, że dotarło do niego, że twoja matka nie żyje, i to chyba wpłynęło na pogorszenie jego stanu.

Julia zmarszczyła brwi.

- Mamie zdawało się, że dziadek wysłał jej jakąś przesyłkę. Ale paczka została w torbie, więc morderca zabrał ją razem z całą resztą.

Creighton zeszytywniał. Zwrócił się do Julii tak, jak adwokat zwraca się do klienta.

- Mówisz, jakbyś nie była pewna, czy przesyłka pochodziła od dziadka.

- Mama przypuszczała, że to od niego. Powiedziała, że paczkę nadano w Armonk i że adres napisany był drżącą ręką. Ale nie było nazwiska nadawcy ani adresu zwrotnego. Była bardzo poruszona tym, że dziadek mógłby poczuć się na tyle dobrze, żeby do niej napisać.

Creighton odetchnął. Wiedział już, jaka będzie odpowiedź, ale mimo wszystko zadał pytanie.

- Więc twoja matka nie otworzyła paczki?

- Nie. - Julia zagryzła wargę. - Nie zdążyła.

To znaczy, że Julia nic nie wie. Ale Creighton nie przestawał się jej przyglądać. Zmieniła się. Coraz bardziej zależało mu na tym, żeby zatrzymać ją tutaj. Powiedział ciepłym głosem:

- Julio, zostań z nami przynajmniej do pogrzebu. To przecież tylko kilka dni. Skontaktuję się z twoim psychiatrą. Kiedyś ci pomógł. Jestem pewien, że pomoże ci również teraz. Najpierw się z nim zobacz, a potem zastanowimy się, co powinnaś dalej robić.

- Jadę do domu, Creighton. - Jej głos był stanowczy. To nie była odpowiedź, to było oświadczenie.

- Ale Julio... - zaczął.

- Nie. Doceniam twoją gościnność, ale nie. Wyjeżdżam po południu. - Twarz miała napiętą. Jej decyzja była nieodwracalna.

Creighton zamilkł kompletnie zaskoczony. Nie było czasu, żeby naszprycować ją narkotykami, tak jak to zrobili z ojcem. Dziewczyna zmieniła się nie do poznania i należy natychmiast znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Widziała twarz morderczyni, a jeśli kiedykolwiek w przyszłości odzyska wzrok...

W środku aż kipiał z wściekłości. Przed nim wybory, które musi wygrać, i naprawdę nie ma czasu na to, żeby teraz zajmować się rozpuszczoną dziewczuchą, która ma więcej uporu niż rozsądku. Zaczął analizować możliwe rozwiązania. Musi istnieć jakiś sposób, żeby zagwarantować, że dziewczyna nie wydostanie się spod kontroli i nie przeszkodzi w realizacji jego planów. Nagle zorientował się, że David i Brice patrzą na niego, jak gdyby czuli, że chodzi o coś więcej niż tylko o upartą siostrzenicę, która może sobie zaszkodzić, jeśli sama wróci do domu.

Wzruszył ramionami i spojrział na nich. Uśmiechnęli się i pokiwali głowami.

Co mógł zrobić?

Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Ma rozwiązanie. Plan był śmiały i wiązał się z pewnym ryzykiem, ale kiedy patrzył na siostrzenicę, wiedział, że nie ma wyboru.

Odezwał się, opanowany jak zwykle, głosem pełnym troski.

- Bardzo dobrze. Jeśli wolisz znaleźć się w domu, pomożemy ci. Oddaję do dyspozycji limuzynę z kierowcą. Poza tym weźmiemy dla ciebie asystentkę. Pomoże ci w drobiazgach, w pracy, przy ubraniach. Brice, zadzwonisz do tutejszej agencji?

- Z przyjemnością.

- Świetnie. Pomogę ci w okresie przejściowym, Julio. A kiedy nauczysz się radzić sobie sama, będziesz mogła ich odesłać.

Julia zawahała się. Pomyślała o ubraniach, których nie oznaczyła Braille'em, bo nie było takiej potrzeby. Pamiętała kolory i styl wielu ubrań, ale mogła

popęlnić jakąś gafę, na przykład włożyć nieodpowiednie buty. Poza tym była jeszcze kuchnia. Tu też nic nie było oznaczone. Nie będzie w stanie odróżnić puszek zielonego groszku od puszek zupy. Zatrudniała wprawdzie służbę - kucharkę, dwie pokojówki i kierowcę, który służył też jako kamerdyner - ale teraz wszyscy byli w Southampton. Pomagali tamtejszej służbie przygotować dom na zimę.

- Dziękuję, Creighton - powiedziała. - Kierowcę i samochód odeślę, jak tylko dotrę do domu, ale asystentka może mi się przydać. Zatrzymam ją na kilka dni i zobaczę, czy będzie mi odpowiadała.

14.

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

Pamiętam śmierć Maasa. Jego krew wyglądała jak czerwona farba na białej ścianie. Drżącymi rękami próbował zasłonić brzuch płaszczem, żeby zakryć dziury po kulach i krew, jak gdyby tym gestem próbował powiedzieć, że to wszystko jakaś pomyłka.

Rany postrzałowe brzucha są potwornie bolesne. Cierpiał. Ale ich to nie obchodziło. Myśleli wyłącznie o pieniądzach.

12.06, SOBOTA

OYSTER BAY, NOWY JORK

Creighton Redmond - kandydat na prezydenta w każdym calu - stał przed wysoką żelazną bramą prowadzącą do Arbor Knoll. Przed nim wznosiła się ściana najnowocześniejszego sprzętu dziennikarskiego. Na tle jego piersi błyszczały mikrofony. Magnetofony poszły w ruch. Co chwila słyhać było dźwięk migawek aparatów fotograficznych. Kandydat w poruszający sposób mówił o swojej pełnej cnót siostrze, Marguerite Austrian, i o jej okrutnej śmierci. W kącikach oczu błyszczały mu łzy, a głos się łamał.

Kamery rejestrowały to wszystko. Dziennikarze na znak szacunku nie przekrzykiwali się tak głośno jak zazwyczaj. Pytali o pogrzeb, o wyniki badań opinii publicznej, chcieli też wiedzieć, kiedy kandydat zamierza wznowić spotkania przedwyborcze, bo wybory przecież już za trzy dni. Chcieli, żeby Julia powiedziała kilka słów, ale ona wcześniej oznajmiła Creightonowi, że może stać u

jego boku, ale nic nie powie. Nie będzie udzielać żadnych wywiadów. Brał więc na siebie wszystkie pytania kierowane do niej, chroniąc ją, jak przystało na przyszłego prezydenta.

Po wszystkim Creighton udał się do willi boczną wąską bramką. Dom znajdował się poza zasięgiem wzroku stojących przed bramą dziennikarzy. Szli z nim: Julia, David, Brice i kilkanaścioro pozostałych członków rodziny. Za nimi kroczył sztab wyborczy. Jego członkowie rozmawiali o wystąpieniu Creightona. Kandydat słyszał, jak zgadzają się co do tego, że odwalił kawał dobrej roboty i to na pewno pomoże mu w zjednywaniu wyborców. Jego współpracownicy pracowali nad tym, żeby wyciągnąć maksimum korzyści z tragedii jutro podczas wiecu w Kalifornii.

Po drugiej stronie pagórka poza zasięgiem wzroku dziennikarzy czekał Vince. W bawełnianych spodniach i flanelowej koszuli palił swojego camela lighta. Creighton przyspieszył kroku, żeby do niego dołączyć. Vince rzucił na ziemię niedopałek i czubkiem buta wbił go w zwiędłą trawę. Poszli w kierunku północnym, minęli dom i znaleźli się na skarpie nad zatoką. Tu mogli porozmawiać, nie ryzykując, że ktoś ich podsłucha. Dwóch tajnych agentów idących z przeciwnych kierunków minęło się, wyprzedzając ich.

Kiedy tajniacy się oddalili, Creighton zaklął.

- Cholera! Zauważyłeś, jak Julia się zmieniła? Nie podoba mi się to!

Vince kiwnął głową.

- Myślałem, że się załamie. Szczególnie na konferencji prasowej.

- Też tak myślałem.

Zastanawiając się nad tym, o czym ta zmiana może świadczyć, Vince i Creighton poszli dalej, aż w końcu dotarli do Oyster Bay. Ogromna błękitno-zielona masa wody pomrukiwała, próbując uspokoić się po silnym sztormie, który szalał przez kilka ostatnich dni. Vince lubił to chłodne słone powietrze, lubił lodowaty dreszcz na skórze, lubił zwłaszcza zapowiedź zbliżającej się zimy, bo w głębi duszy wierzył, że jest silniejszy od potęgi natury czy też samego Boga. Ta wiara tkwiła w nim mocno i stanowiła podstawę jego siły, z którą inni musieli się liczyć i która przyniosła mu sukces.

Ojciec i syn skęcili w lewo, podążając linią wyznaczoną przez klif. Analizowali szczegółowo plan, który miał sprawić cud i pozwolić im pokonać Douglasa Powersa. Wszystko szło gładko, był tylko jeden problem - Julia. Creighton opowiedział Vince'owi, do jakiego fortelu musiał się uciec, kiedy Julia odmówiła pozostania w Arbor Knoll. Vince zaś zdał ojcu sprawozdanie ze swoich działań. Creighton pokiwał głową zadowolony.

W końcu Vince zauważył, że już za długo są poza domem.

- Musimy wracać.

- Myślisz, że Stern już tu jest?

Vince spojrział na zegarek.

- Może przyjechać w każdej chwili.

Polecił Mayi Stern przyjść o tej porze, bo dziennikarze są teraz zajęci przygotowaniem informacji, a agenci mają dużo roboty z lawiną liścików z wyrazami współczucia i kwiatami, które zewsząd spływały do Arbor Knoll po konferencji prasowej. Ochrona nie będzie miała czasu, żeby zająć się panną Stern w szczególny sposób. Sprawdzają standardowo, a ona ma doskonałą przepustkę.

Creighton był rozdrażniony.

- Czy koniecznie muszę się z nią spotkać?

Maya Stern, płatny zabójca, irytowała go. Niezależnie od tego, na jak krótkiej smyczy ją trzymał, jej podejście do zabijania nieodmiennie go drażniło. Ta kobieta, niewłaściwie potraktowana, mogła być jak ładunek wybuchowy. Radził sobie z nią tylko dlatego, że była mu całkowicie oddana. Przed laty nieświadomie wyświadczył jej ogromną przysługę. Do Sądu Najwyższego trafiła sprawa jej brata skazanego na śmierć za napad i morderstwo. Sąd Najwyższy miał zdecydować, czy sąd niższej instancji miał prawo odrzucić pewne wątpliwe dowody świadczące o tym, że w chwili popełnienia przestępstwa skazany nie mógł być na miejscu zbrodni. Zdania sędziów Sądu Najwyższego podzieliły się po równo, miała miejsce gorąca dyskusja. Głos Creightona zadecydował. Dzięki niemu sprawę skierowano ponownie do rozpatrzenia. Rozprawa odbyła się ponownie i brata Mayi uznano za niewinnego.

Wkrótce potem Maya Stern przyszła mu podziękować. Powiedziała, że jest niezmiernie wdzięczna za tę odważną i niełatwą decyzję. Powiedziała też, że zabija ludzi na zlecenie CIA i zaferowała mu swoje usługi. Zawsze mógł liczyć na jej lojalność. Creighton wtedy właśnie spostrzegł ogromne możliwości, jakie taka znajomość otwierała przed nim w świecie biznesu i polityki. Od tamtej pory, kiedykolwiek jej potrzebował, wykonywała jego polecenia bez zbędnych pytań.

- Tak będzie najlepiej - powiedział Vince trzeźwo.
- Mogłaby oddać przesyłkę tobie. Dlaczego chce się ze mną widzieć?
- Wiesz, jaki jest jej stosunek do ciebie. To prawie miłość, tato, i domyślam się, że coraz bardziej zyskujesz w jej oczach. Zrobiłeś na niej wrażenie, kiedy powiedziałeś, że masz sposób, żeby kontrolować dochodzenie w Londynie.

Creighton rozejrzał się na boki. Jego profil sprawiał bardziej drapieżnie wrażenie niż zwykle.

- Jest jak granat bez zawlecзки.
- Ale to twoja broń. To ty wybierasz cel. Ona cię uwielbia.

Creighton skrzywił się.

- Myślę, że jedyną osobą, na której kiedykolwiek jej zależało, był ten jej rąbnięty braciszek.

Vince pokiwał głową.

- To ma to swoje dobre strony, że się tu zjawi. Od razu przekażę jej nowe zadanie.

Creighton ciężko westchnął.

- Miejmy to za sobą jak najszybciej.

Musi stawić temu czoło. Potrzebuje tej Stern. Szczególnie teraz.

Kiedy świat przestała dzielić żelazna kurtyna i społeczeństwo amerykańskie zażądało zmniejszenia wydatków na obronę i wywiad, Firma dostosowała się do tych żądań i rozpoczął się powolny proces zmian. Minęły szalone lata osiemdziesiąte, kiedy dyrektor generalny CIA Bill Casey sam mógł rozpoczynać wojny i negocjować warunki pokoju w Nikaragui i Grenadzie. W Firmie pojawili się nowi ludzie i po dawnych czasach nie został ślad. Zniknęło również kilku szpiegów i szefów grup wywiadowczych o długim stażu pracy. Zrozumieli, że nie ma dla nich miejsca w nowych warunkach i że Firma nigdy już nie będzie taka sama.

Należała do nich Maya Stern. Słyszała w Firmie ze swojego talentu do zabijania. Miała teraz trzydzieści pięć lat, ale dzięki chirurgii plastycznej, sterydom i ćwiczeniom na siłowni zarówno pod względem urody, jak i siły dorównywała kobiecie piętnaście lat młodszej. Tylko że Firmie już na niej nie zależało. Program eliminacji niewygodnych ludzi, w którym brała udział, oficjalnie zakończył się w latach siedemdziesiątych, a potem działał jeszcze potajemnie w latach osiemdziesiątych. W latach dziewięćdziesiątych Firma zarzuciła go... w każdym razie tak powiedział jej szef.

Wiedziała, że to kłamstwo, ale szef oddelegował ją do regularnej służby wywiadowczej. Mimo że sprawdzała się w nowej pracy, była niezadowolona i wciąż rozdrażniona. Nie rozumiała, dlaczego tęskni za mokrą robotą. Dopiero później pogodziła się z tym, że potrzebę zabijania ma we krwi. Przed czterema laty złożyła rezygnację, nie przyznając się, że powodem jest rozczarowanie.

Jeszcze kiedy pracowała w Firmie, od czasu do czasu potajemnie oddawała przysługi Creightonowi, a za jego pośrednictwem również jego rodzinie. Teraz pracowała tylko dla niego. Creighton zatrudnił ją na stałe. To był najlepszy sposób, żeby ją kontrolować. Nie dawała wprawdzie najmniejszego powodu, żeby miał ją podejrzewać o to, że zechce kiedyś zrobić pożytek z tego, co o nim wiedziała. Ale on był mądrym człowiekiem i nie podejmował niepotrzebnego ryzyka. Płacił jej, a ona czuła się jak - potajemny, ale jednak - członek jego ekipy.

Dziś przyjechała do Arbor Knoll przebrana za kierownicę furgonetki pełnej kwiatów. Kwiaty, rzecz jasna, przysłali ludzie, którzy nigdy nie istnieli. Na głowie miała czapkę z daszkiem przesłaniającym jej twarz, ubrana była w biały

kombinezon, miejscami powypychany poduszkami z gąbki, żeby wyglądała na tęższą, niż była. Wyszła z samochodu przy budce strażnika przed bramą. Tajniacy przeszukali furgonetkę. Sprawdzili wszystko. Posłużyli się ręcznym urządzeniem do prześwietlania, żeby sprawdzić przesyłkę leżącą na siedzeniu pasażera. Zajrzeli nawet do leżącej na przesyłce kanapki z wołowiną, zawiniętą w firmowy papier ze sklepiku, gdzie ją kupiła. Dopiero wtedy pozwolili jej wjechać.

Jechała krętą drogą wyłożoną kamieniami. Prowadziła na tyły willi. Była tu kilka razy i знаła rozkład budynków. Serce zaczęło bić jej mocniej, kiedy zobaczyła Creightona Redmonda zbliżającego się drogą między niewielkim domkiem w wiejskim stylu a głównym domem. Był szczupły i elegancki, miał na sobie ciemny garnitur. Człowiek władzy, o niezachwianej wierze w siebie. Człowiek, którego należy szanować. Marynarkę miał rozpiętą. Za nim szedł jego syn ubrany w luźne spodnie, ciepłą koszulę i wysokie buty. Pracował w Firmie. Nie dorastał ojcu do pięt.

Poczuła, że ma spierzchnięte usta, ale postanowiła, że nie będzie ich teraz oblizywać. W jej oczach Creighton Redmond był niemal Bogiem.

Wyskoczyła z furgonetki, odsunęła boczne drzwi i zaczęła wystawiać kwiaty. Kiedy Creighton był już blisko, wróciła do samochodu, żeby przygotować jeszcze dwie inne rzeczy. W końcu podszedł do niej. Niespodziewanie jak duch pojawił się przy nich jeden z wszechobecnych tajniaków, ale Creighton ręką dał mu znak, żeby się oddalił.

- Więcej kwiatów? - zapytał wesoło.

Stał tak blisko, że Maya mogła widzieć jego gładko ogoloną twarz.

- Tak, sir. - Mówiła głosem niskim, niższym od jej naturalnego, bardziej męskim. - Przykro mi z powodu tej straty, sir. - To na wszelki wypadek, gdyby odchodzący tajniak mógł ich słyszeć.

Coś wzięła z wnętrza samochodu. Zasłonięta wystawionymi kwiatami, ciałem osłaniając to, co robiła, wyjęła paczkę, którą odebrała Marguerite Austrian. Teraz zawartość przesyłki znajdowała się w białej kopercie zaadresowanej do Canton w stanie Ohio. Kiedy agenci prześwietlili przesyłkę, widzieli tylko kartki papieru.

Creighton z uprzejmym uśmiechem rozejrzał się po pustym podwórku otoczonym niziutkim murkiem z cegły i ciemnozielonymi krzakami jałowca. Rodzina i sztab wyborczy byli w domu i jedli lunch, więc służba miała zajęcie. A tajniaków bardziej interesowało tropienie potencjalnych zagrożeń niż przyglądanie się temu, co on robi.

Pochylił się nad kwiatami, rozchylił marynarkę i włożył do środka paczuszkę.

- Bardzo ładne - powiedział głośno. Wyprostował się, zapiał marynarkę i zniżył głos. - Narobiłaś nam sporo kłopotów, zabijając Marguerite.

Powtórzyła to, co powiedziała wcześniej.

- Widziała moją twarz. Później by mnie rozpoznała.
- Mogliśmy wysłać cię za granicę i zapewnić ci ochronę. Mogłabyś przestać pracować.

- Ja muszę pracować. Nie moglibyście mi tego zrobić. - W oczach Stern nie widział poczucia winy. Nigdy nie dręczyły jej wyrzuty sumienia. Czyjeś nieszczeście było dla niej abstrakcją. Praca zaspokajała jej pragnienia, a uczucie, jakie ogarniało ją, kiedy widziała ból, było uniesieniem. Śmierć Marguerite Austrian jeszcze długo będzie stawać jej przed oczami, wywołując rozkosz przypominającą seksualną.

Creighton rozumiał, dlaczego nie mogła postąpić inaczej. To, że tak lubiła swoją pracę, było jednym z jej atutów. Kilka dni temu wykonała bardzo trudne i delikatne zadanie. Zdobyła i podmieniła akta na policji w Monako. Najpierw przestudiowała dane o pewnym komisarzu i dowiedziała się o jego słabości do kobiet. Potem ucharakteryzowała się i zachowywała się tak, żeby stać się wcieleniem jego fantazji seksualnych. W ciągu trzech tygodni zdobyła to, czego potrzebowali, a komisarza pozostawiła bez możliwości manewru. Gdyby ją wydał, wydałby wyrok na siebie, zrujnowałby swoją reputację i stracił pracę. Jeśli będzie milczał, nic mu nie grozi, a w nagrodę może liczyć na spotkania z nią.

- Mam dla ciebie kolejne zadanie. Bądź tu o czternastej czterdzieści pięć. Nadeszła pora, żeby głos zabrał Vince.

- Wszystko przygotowałem... - Opowiedział jej, czego od niej chcieli.

Był to śmiały plan i tylko Stern, ze względu na swe przygotowanie i talent aktorski oraz ze względu na to, co wiedziała o Julii, mogła go zrealizować.

Pod białym daszkiem czapki błysnęły oczy.

Gdzie będę mogła odebrać swoje nowe dokumenty? Vince powiedział jej, a Creighton obserwował ją zniecierpliwiony, zastanawiając się, dlaczego chciała go widzieć. Mimo że potrzebował jej i że była wobec niego uległa, czuł się nieswojo. I złościło go to uczucie. Kiedy Vince skończył, Creighton zapytał:

- Coś jeszcze? Nadeszła ta chwila.

Pochyliła głowę. Nagle poczuła się niezręcznie.

- Chciałam po prostu panu pogratulować. - Palcem wytarła pot z czoła na linii czapeczki. - Kiedy dowiedziałam się, że został pan kandydatem na prezydenta, postanowiłam wziąć udział w wyborach. We wtorek zamierzam oddać na pana swój głos.

Podniosła na niego oczy, w których Creighton zobaczył przywiązanie wiernego psa. Były to ogromne, ciemne, owalne węgielki, w których kryła się teraz niemal dziecięca naiwność. Żyła tylko dla siebie. Nie interesował jej nikt inny. Creighton nie płacił jej za to, żeby na niego głosowała. Nawet jej o ten głos nie prosił. W ogóle o tym nie pomyślał, bo polityka była jej obojętna. Ale jego nominacja na stanowisko kandydata na prezydenta w jakiś przedziwny sposób

przedostała się przez pancerz jej egoizmu. Zastanawiała się, co zrobić, żeby pokazać mu swoje oddanie. Pewnie całymi dniami przemyśliwała, jaki gest byłby najodpowiedniejszy, i zdecydowała się na to wyznanie, będące ponad wszelką wątpliwość wyrazem poddaństwa.

- Jestem wdzięczny - powiedział szczerze. A potem dodał coś, bo wiedział, że to właśnie chciała od niego usłyszeć. - Liczy się każdy głos. Ale przede wszystkim czuję się poruszony tym gestem.

Uśmiechnęła się i odwróciła. Właśnie takich słów oczekiwała. Wiedziała, że Creighton rozumie i akceptuje jej stosunek do niego. Wsiadła do samochodu, żeby zakończyć zadanie. Creighton tymczasem nie mógł się pozbyć wrażenia, że za nią kroczy zło.

Przez kilka następnych godzin w zastawionym kwiatami salonie słychać było rozmowy i śmiech. Julia uśmiechała się do wszystkich. Creighton miał pięcioro dzieci w wieku od dwunastu do trzydziestu siedmiu lat, David troje w wieku dwudziestu do trzydziestu lat, Brice czworo - dwoje w wieku dwudziestu kilku lat i dwoje nastolatków. Dzieci Brice'a mieszkają z żoną, z którą Brice się rozwiódł. Jak dotąd rodzina zapewniła Lyle'owi Redmondowi dwadzieścioro dwoje wnuków i prawnuków i nikogo dziś nie zabrakło.

Julia wzięła kanapkę ze stołu nakrytego do drugiego śniadania. Rozsądek kazał jej jeść, a z kanapką łatwiej sobie poradzi niż z czymś, co ktoś musiałby jej pomóc pokroić na kawałki. Kiedy siadała za stołem, poczuła zapach lilii. Ta woń kojarząca się z pogrzebem była wszędzie, gdziekolwiek się ruszyła.

Julia rozmawiała z kuzynostwem o ślubach, przyjęciach i dzieciach. Mówili też o karierach, które robili, domach, które kupili, rodzinnym majątku w Palm Beach i ranczu Redmondów w Montanie, o wyjazdach na narty do Austrii i o ucieczce od tego wszystkiego na Antyle, do Paryża lub na Majorkę. Mówili o dziełach sztuki, które kupili, i wyglądało na to, że kierują się raczej umiłowaniem piękną niż potrzebą mądrej inwestycji. Kilka razy ktoś wspomniał starego Lyle'a Redmonda, twierdząc, że podobno ostatnio jest z nim gorzej.

W końcu w pół do czwartej po południu rodzina wyszła na podjazd przed domem, gdzie czekała limuzyna. Przy tylnych drzwiach stał kierowca. Delikatne ciepło dnia już znikło i blade słońce wisiało nisko na zachodzie. Zaczęły się krótkie zimowe dni.

Julia opatulona w długi kaszmirowy płaszcz słyszała, jak ktoś pakuje jej walizki do bagażnika. Przez chwilę zastanawiała się, jakiego koloru jest jej płaszcz. Przypomniała sobie, jak kupowały go razem z matką u Saksa przy Piątej Alei. Na siódmym piętrze. Ten zapach i szelest nowych ubrań. Przypomniał jej się śmiech matki, która siedziała z Barrym Rosenbergiem i piła mrożoną herbatę, a Julia przymierzała pałta. Ten śmiech dźwięczał w jej uszach.

Nagle ogarnął ją żal. Znowu widziała - jak w błysku flesza - twarz umierającej matki... słyszała kroki morderczynie oddalające się i niknące w mroku nocy... czuła zapach krwi. Serce ścisnęło jej się z żalu, że znów straciła wzrok.

Musiała się bardzo postarać, żeby wrócić myślami na ziemię i pozwolić się zaprowadzić Creightonowi do limuzyny. Kiedy zbliżyli się do samochodu, Creighton powiedział:

- Julio, to jest Norma Kinsley. Brice zadzwonił do agencji i wysłaliśmy po nią kierowcę. To twoja nowa pomoc. Będzie gotować, pisać i pomoże ci przy ubieraniu. Myślę, że będziesz zadowolona. Jej walizka jest w bagażniku. Norma zostanie z tobą tak długo, dopóki będziesz jej potrzebowała.

Julia poczuła perfumy.

- Witaj, Normo. Co to za perfumy? Piękny zapach.

- To Magic Noire. - Kobieta miała niski miły głos. - Bardzo się cieszę, że będę dla pani pracować, pani Austrian.

Julia zapamiętała nazwę perfum.

- Proszę mi mówić po imieniu.

- Dziękuję. Jesteś gotowa do drogi, Julio? - Norma wzięła dłoń Julii.

Julia uśmiechnęła się.

- Jestem tylko niewidoma. Nie musisz mnie we wszystkim wyřęcać. Pozwól, że ci pokażę. - Sięgnęła do ramienia kobiety tuż nad łokciem. Zdziwiła się, napotyając mocne, twarde mięśnie. Norma sporo czasu musi spędzać na siłowni. - Idź pierwsza, a ja będę szła za tobą. Kiedy znajdziemy się przy drzwiczkach samochodu, połóż moją rękę na masce nad nimi. W ten sposób łatwo znajđę wejście, ocenią jego wielkość i znajđę siedzenie. Będę mogła wsiąść sama.

- Rozumiem. - Norma podeszła do samochodu i ostrożnie położyła dłoń Julii nad otwartymi drzwiczkami.

Julia otoczona nieprzeniknioną ciemnością usiadła na tylnym siedzeniu.

- Siądź przy mnie, dobrze? - Ta kobieta przypominała jej kota. Była gibka, poruszała się płynnie. I te twarde mięśnie prężące się pod skórą.

- Będziemy spędzać ze sobą dużo czasu, więc powinniśmy się poznać. Uprawiasz jakiś sport?

- Tak, kilka dyscyplin.

Julia musi zdecydować się, czy będzie mogła pracować z tą nieznaną. Słyszała, jak kobieta obchodzi samochód i wsiada z drugiej strony. Kierowca włączył silnik i kiedy zmarznięta rodzina zaczęła pośpiesznie wracać do ciepłego wnętrza domu, ogromna limuzyna ruszyła z górki.

Julia wciągnęła w nozdrza zapach perfum kobiety. Był zmysłowy.

- Powiedz mi, jak wyglądasz, żebym mogła sobie ciebie wyobrazić.

- Nie wiem, od czego zacząć...

Julia uśmiechnęła się. Niektórzy ludzie mieli trudności z opisaniem swojego wyglądu.

- Pomogę ci. Wiem, że jesteś ode mnie trochę wyższa. Masz gdzieś tak metr siedemdziesiąt dwa, jak sądzę. Jesteś wysportowana i szczupła, prawdopodobnie atrakcyjna. Szare myszki zwykle nie używają tak egzotycznych perfum. Masz twarz okrągłą, pociągłą czy w kształcie serca? Jakiego koloru masz oczy i włosy?

Maya Stern roześmiała się. Spojrzała na kierowcę i zauważyła, że szyba oddzielająca przednie siedzenia od tylnych jest zasunięta. Kierowca nie usłyszy opisu wyglądu „Normy”, niemającego nic wspólnego z rzeczywistością.

- Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu. Mam jasnobrązowe włosy i niebieskie oczy. Twarz okrągłą. Kiedyś byłam tancerką i trenowałam siedmiobój. Wciąż jestem fanatyczką ćwiczeń. Paznokcie mam jasnoczerwone. Teraz lepiej?

Julii spodobało się, że ma pomalowane paznokcie. To świadczyło o elegancji.

- Powiedz mi, gdzie pracowałeś do tej pory.

Maya Stern mówiła i spoglądała na szofera. Nawet jeśli słyszał kłamstwa o kolorze włosów, kształcie twarzy i zauważył, że wcale nie ma pomalowanych paznokci, nie dał tego po sobie poznać. Nie mogła powiedzieć, jak naprawdę wygląda, bo Julia mogłaby skojarzyć ją z morderczynią matki. Kiedy limuzyna wiozła ją do posiadłości Redmondów na Long Island, po drodze dla zabawy wymyśliła sobie życiorys. Nie było to trudne - miała dotąd więcej fałszywych tożsamości niż większość aktorów ról. I każdą z tych postaci stawiała się naprawdę, bo inaczej niepotrzebnie mogłaby skusić los.

Samochód wyjechał z tunelu łączącego Queens i centrum i znalazły się w mieście. Maya Stern uśmiechnęła się chłodno. Zadowolona, że tak dobrze jej idzie, przeciągnęła dłonią po krótkich czarnych włosach. Przyjrzała się niewidomej kobiecie. Czują żal. Nigdy jeszcze nie zabiła niewidomego. Zastanawiała się, czy czuje się wtedy coś innego. Ale dopóki Julia Austrian będzie ślepa, będzie żyła.

15.

10.00, SOBOTA

LANGLEY, WIRGINIA

Sam Keeline był podekscytowany. Musiał znaleźć Bursztynową Komnatę. Razem z Pinkiem Pinkertonem był teraz w sali gimnastycznej w piwnicy starego skrzydła głównej siedziby CIA. Ubrani w białe kimona i przepasani czarnymi

pasami rytmicznie powtarzali podstawowe figury karate - uderzenia pięścią, kopnięcia i blokady.

Sam próbował nie poddawać się sprzecznym uczuciom - z jednej strony podnieceni, z drugiej rozczarowaniu. W tej chwili wyobrażał sobie, że wróg otacza go z ośmiu stron, a on kopie, skacze i - utrzymując doskonałą równowagę - krawędzią dłoni wymierza śmiertelny cios.

Widział, jak wróg traci równowagę, pada do tyłu, skręca się z bólu i błaga o litość...

- Sam! Kogo próbujesz zabić? - Pink, który skończył *kata*, złożył ukłon wszechświatowi.

Byli sami. Gdyby to był dzień roboczy, musieliby walczyć o miejsce z tłumem ćwiczących w każdej wolnej chwili Tea Kwon Do. Sam zakończył swoje *kata* pozycją frontową. Również się skłonił. Nad ich głowami w rurach coś zabulgotało i trzasnęło.

Sam mruknął:

- Tak jakbyśmy ćwiczyli wewnątrz chorego żołądka. - Rury znowu się odezwały, a na podłogę spadły płaty beżowej farby.

Pink spojrział na przyjaciela, który nigdy nie był łatwy w pożyciu. Interesowały go wyłącznie dwie rzeczy - praca w wywiadzie oraz kobiety, koniecznie w liczbie mnogiej. Wystarczyło dostarczyć Samowi stos raportów do ekspertyzy, a był w siódmym niebie. Ale dziś było inaczej. Po pierwsze, wczoraj wieczorem Sam wziął wolne i zamiast do swojej nowej dziewczyny, poszedł z Pinkiem na piwo i po drugie wspominał o swojej starej fascynacji, Bursztynowej Komnacie, po czym - po trzecie - przystał na propozycję Pinka, żeby dziś rano poćwiczyć *kata*. Wszystko to świadczyło o tym, że w dziwnym umyśle Sama Keeline'a dzieje się coś dziwniejszego niż zwykle.

Sam zazwyczaj był zamkniętym w sobie draniem. Ale Pink nie był inny.

- Dziś rano też nie miałeś szczęścia? - zapytał Pink, kiedy szli pod prysznic.

- Niestety. Znalazłem jedynie informację, że były ambasador Daniel Austrian zmarł na atak serca w podeszłym wieku, a jego jedyne dziecko, Jonathan Austrian, był inwestorem i zginął w wypadku samochodowym. Historia umiera razem z ludźmi. Sprawdziłem uczelnie, na których studiowali, i wszystkie uniwersytety w Nowym Jorku i w obrębie Dystryktu Kolumbia. Zabrało mi to kupę czasu, ale nigdzie nie mają żadnej pracy żadnego z nich.

- A co z ich żonami? Dziećmi?

- Wdowa po Danielu zmarła przed wieloma laty, a wdowa po Jonathanie jest gdzieś na tournée z córką pianistką. To ich jedyne dziecko. Nazywa się Julia Austrian. Słyszałeś o niej?

Rozebrali się i weszli pod prysznic.

Pink nie musiał się długo zastanawiać.

- Nie. Koncerty fortepianowe to nie moja działka. Muzyka klasyczna jest potwornie nudna.

Piaskowe włosy Sama przylegały mu do głowy, a skóra błyszczała od potu. Milczał, jakby się nad czymś zastanawiał. Albo jakby chciał uniknąć dalszych pytań Pinka.

- Ale ty o niej słyszałeś, prawda? O tej Julii Austrian...

- Słyszałem jej interpretacje kilku utworów - przyznał. Prawdę mówiąc, miał w domu kilka płyt kompaktowych z jej wykonaniami. - Jest całkiem niezła. Właściwie bardzo dobra. Gra z niezwykłą siłą i konsekwencją. Trudno uwierzyć, że to wnuczka Króla Rynku Nieruchomości. Można by się spodziewać, że też zajmie się interesami. Albo że nie będzie robić nic, tylko prowadzić życie towarzyskie.

- Przeglądałeś materiały na jej temat?

- Nie, skąd. Ale jej interpretacje rzeczywiście zapadają w pamięć.

Kiedy brali prysznic, a potem ubierali się, Sam zastanawiał się, dlaczego to właśnie do niego została zaadresowana przesyłka z Armonk. Nie powiedział o tym Pinkowi. Pink przyglądał się, jak Sam latami poszukiwał Bursztynowej Komnaty. Keeline pomyślał, że powinien trochę ponarzekać na życie, żeby przyjaciół pomyślał, że to naturalne, że Sam wrócił do szalonych młodzieńczych fascynacji.

A miał na co się skarżyć. I pewnie najlepiej by było, żeby zapomniał o całej sprawie i nie przysparzał sobie kolejnych kłopotów. Pomyślał nawet, że dobrze by było, gdyby poszedł teraz na górę do swojego gabinetu, przeczytał raporty i trochę uprzętnął biurko. To poprawiłoby mu nastrój. Ale nie miał do tego serca.

Spojrzał na przyjaciela.

- Co powiesz na obiadek?

- Brzmi nieźle. - Pink poklepał się po umięśnionym, płaskim brzuchu. - Prawdę mówiąc, umieram z głodu.

McLEAN, VIRGINIA

Sam i Pink zatrzymali się we włoskiej restauracji w McLean, pobliskim miasteczku. Usiedli w ciemnym wnętrzu za barem i zamówili piwo i pizzę z pomidorami i anchois. W powietrzu unosił się zapach piwa, orzeszków i sobotniego, popołudniowego lenistwa. W ściszym telewizorze nadawano wiadomości na kanale CNN Headline News, na który przełączano odbiornik między jednym a drugim meczem futbolu.

- Myślisz, że uda nam się doczekać emerytury? - Pink wziął do ręki garść solonych orzeszków.

- Nie sądzisz, że jesteśmy trochę za młodzi, żeby rozmawiać o emeryturze?
- Sam wiedział, że Pink ostatnio martwi się pracą i jest rozżalony. Niedawno kierował nieudaną operacją w Brukseli i został odwołany na czas nieokreślony. Tymczasem praca agenta wywiadu to było wszystko, co interesowało Pinka.

- Może i tak. Ale nie daje mi spokoju pewien makler, który próbuje mnie namówić na zainwestowanie niewielkiego kapitału w obligacje i akcje. Wciąż mi powtarza mi, że jestem starszy, niż mi się wydaje. - Szeroka twarz Pinka nagle zrobiła się markotna. - Chryste, gdyby był lekarzem, pomyślałbym, że przygotowuje mnie na śmierć. Na to, że na przykład za dwa miesiące umrę, a moja biedna siostra i siostrzenice nie dostaną centa, bo jestem utracjuszem i nigdy na niczym nie zarobiłem więcej niż jeden przecinek dwa procenta. - Pink kochał rodzinę swojej siostry i miał wyrzuty sumienia, że tak mało czasu jej poświęca.

Sam zdobył się na uśmiech.

- Moim zdaniem nie wyglądasz, jakbyś stał nad grobem. Myślę, że masz jeszcze czas, żeby naprawić swe błędy.

Pink siedział pochylony nad piwem. Wyprostował się.

- Nigdy nie czułem się lepiej - przyznał. - Jestem całkiem zdrow. Chryste, emerytura. Państwowa emerytura. Ubezpieczenie społeczne. Jakaś farma na północy stanu Nowy Jork, gdzie zimą odmarzają ci jaja, a latem zżerają ci komary.

- Wolalbyś robotę na Saharze. Albo na Syberii.

- Żebyś wiedział.

- Miałbyś te same problemy z klimatem. Potworny upał. Albo trzaskający mróz.

Pink rzucił mu poirytowane spojrzenie.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Sam napił się piwa i spojrzał na przyjaciela. W jego oczach dostrzegł cień desperacji.

- Powinieneś wrócić do pracy w trenie. Postarać się o jakieś zlecenie.

Inaczej zwariujesz. Niedługo będziesz chodził do zoo i mówił o przeprowadzce do Crystal City tylko po to, żeby robić coś niezwykłego.

Pink kiwnął głową.

- To prawda. Czuję się, jakbym był zawieszony w próżni.

Sam zauważył, że przyjaciel rzeczywiście jest w fatalnym stanie. Pink już blisko pół roku był bez zlecenia i krążyły plotki, że podczas ostatniej akcji zrobił coś tak niezgodnego z regulaminem, że możliwe, że nigdy więcej nie dostanie następnego zlecenia. Sam obiecał sobie, że kiedy będzie miał chwilę wolną, zajrzy do akt. Może uda mu się jakoś pomóc przyjacielowi.

- Prawda - powiedział Sam. - Jesteś w zawieszony w próżni między piekłem i niebem. Katolicy nazywają taką próżnię czyszcem. Trafiają tam ci, którzy

nie zostali skazani na wieczne potępienie, ale nie trafili też do nieba.

- To właśnie ja. - Pink westchnął i napił się piwa. Potem zamarł ze wzrokiem utkwionym w ekranie telewizora nad barem.

Sam odwrócił się. Usłyszał głos dziennikarza CNN Wolfa Blitzera wypowiadającego nazwisko „Julia Austrian”.

Zeskoczył ze stołka, podbiegł za bar i podgłośnił. Blitzer komentował konferencję prasową z kandydatem na prezydenta Creightonem Redmondem, którego siostra została zastrzelona tuż po północy w Londynie. Córka zamordowanej, Julia Austrian, podobnie jak inni członkowie rodziny Redmondów, stała obok kandydata przed bramą prowadzącą do majątku rodziny nad Oyster Bay.

Sam patrzył, jak Creighton Redmond otwiera serce przed całą Ameryką, łączy się w żałobie z rodziną i dziękuje za wszystkie kartki z kondolencjami i kwiaty.

Kiedy na ekranie pojawiła się poszarzała twarz młodej kobiety, Sam przyjrzał się jej z uwagą. Miała czyste, intensywnie niebieskie oczy, których nie przesłaniały okulary. Była śliczna, szczupła; owinięta w długi płaszcz sprawiała wrażenie bezbronnej. Złotobrazowe włosy rozwiewał wiatr. Raczej dobrze znosiła to publiczne obnoszenie się z tragedią, ale jej piękna twarz zdawała się stężeć, jak gdyby trzymała się dzięki ogromnemu wysiłkowi. Jej klasyczna twarz mogłaby być ozdobą jakiegoś magazynu mody. Tylko usta miała pełne, prowokacyjne. Podniecające.

Dopiero po chwili dotarła do Sama oczywista rzecz. Ta kobieta była nie tylko wnuczką Daniela Austriana, ale należała również do rodziny Redmondów - była kuzynką Vince'a, człowieka, który skonfiskował list obiecujący Samowi informację o Bursztynowej Komnacie.

Jeszcze uważniej przyglądał się kobiecie na ekranie. Może słyszała, jak jej dziadek wspomina o Bursztynowej Komnacie. Być może - jako jedyny żyjący potomek Daniela Austriana- odziedziczyła wszystkie dokumenty po nim. Możliwe, że gdzieś w tej pięknej główce znajduje się informacja, której Sam tak potrzebował. Serce zaczęło mu szybciej bić z podniecenia. Ta kobieta jest osobą najbliższą informacji, którą znalazł w liście.

Pospiesznie dokończył posiłek. Pink złośliwie zażartował na temat szybkości z jaką znikło jedzenie, ale Sam nie poczuł się zawstydzony ani obrażony. Kiedy Sam zapłacił za obu, Pink zauważył:

- Przypuszczam, że to znaczy, że poważnie myślisz o tym, żeby zmarnować resztę weekendu na sprawdzenie Julii Austrian.

- Potraktuję to jak odpoczynek. W końcu to nie tak daleko. Jest przecież w kraju.

- No tak. I na pewno bardzo się ucieszy, że składasz jej wizytę. Nie słyszałeś, że należy szanować prawo do prywatności, zwłaszcza jeśli umarł ktoś bliski? Sam poczuł wyrzuty sumienia, ale ruszył do wyjścia.

- Będę bardzo subtelny i delikatny.

- Jasne. Nie wątpię. - Pink podreptał za nim. - Cóż, miałem nadzieję, że zjemy razem kolację. A jutro pogralibyśmy w kosza. Albo wybrali się do kina na jakiś film przygodowy... - Zatrzymał się na moment i przez ramię spojrzął na telewizor. - Hej! Ta Julia Austrian to niezła laseczka! - Spojrzął na Sama z ukosa. - Mam nadzieję, że nie kierują tobą hormony? Jesteś pewien, że chodzi ci o Bursztynową Komnatę, a nie o jeszcze jedną ładną buzię?

- Pink, myślisz tylko o jednym.

- Nie ja, palancie. To twoja specjalność. Nie robisz w ogóle przerw. Myślisz, że nie wiem, o co chodzi? Ja też pamiętam Irini Baum. Przestań udawać, że nic się nie stało. - Jego głos przybrał łagodniejszy ton. - Wiesz, że w końcu będziesz musiał pogodzić się z jej śmiercią. To nie twoja wina.

- Nie moja, jak cholera! - Sam wypadł z restauracji. Znowu poczuł żal i ból...

Śliczna Irini... Rude loki i roześmiana twarz, zapach jej ciała i oblewający buzię rumieniec, kiedy się kochali. Była delikatna, ale miała silny charakter, a on kochał ją tak rozpaczliwie.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku „nawrócił” ją przekonał, żeby zaczęła pracować dla CIA, przeciwko dotychczasowym pracodawcom - przerażającej wschodnioniemieckiej tajnej policji Stasi. Rok później, kiedy zaczął padać berliński mur, urzędnicy Stasi zamknęli się w swojej siedzibie we Wschodnim Berlinie, żeby zniszczyć dokumenty, które mogły im zaszkodzić... Dokumenty niezwykle cenne dla Zachodu. Komuniści wciąż byli u władzy w Związku Radzieckim i nikt wtedy nie przypuszczał, że cały sowiecki blok rozpadnie się w drobny mak w ciągu kilku miesięcy i że zimna wojna się skończy.

Irini była z nim w Berlinie Zachodnim, kiedy dotarła do nich informacja, że mur pęka. Postanowiła jechać do biura Stasi w Berlinie Wschodnim, żeby ocalić dokumenty - dla CIA... dla niego. Sam miał wieczorem bardzo ważne spotkanie na Ku'dammie z pewną grubą rybą z KGB gotową przejść na ich stronę. Kazał jej zaczekać. Mieli jechać razem. Myślał, że udało mu się ją przekonać.

Ale ona najwyraźniej zadecydowała, że powinna zrobić to sama. Albo nie chciała go w to wciągać: to był jej problem, jej działka.

Kiedy on poszedł na spotkanie, ona przedostała się przez granicę, wśliznęła się do fortecy Stasi na Normannenstrasse, wypchała dwie teczki dokumentami, wyszła i wpadła w ręce jakiejś ulicznej bandy. Właśnie zaczęły się zamieszki. Została wielokrotnie zgwałcona, oddano do niej sześć strzałów. Częściowo

spalone ciało znaleziono w pobliskiej uliczce. Dowiedział się o tym, bo tydzień później znalazł się świadek zajścia.

Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Nie mógł zapomnieć jej słodkiej twarzy, wciąż czuł ból i złość, że tyle wycierpiała. Nigdy nie pogodził się z jej śmiercią. Nigdy sobie nie wybaczył. I nigdy więcej się nie zakochał, bo czuł się, jakby to on ją zabił, jak gdyby strzelił jej prosto w serce.

Chłodne powietrze na zewnątrz restauracji podziałało jak otrzeźwiający policzek. Sam wrócił na ziemię. Pomyślał o swoim nieocenionym przyjacielu. To jasne, że Pink martwi się o swoją siostrę Valerie.

- Dlaczego nie odwiedzisz Valerie? - zasugerował Sam. - Uspokoisz sumienie, no i będziesz miał zajęcie. Nie będziesz się nudził cały weekend i działał na nerwy przyjaciółom.

- Wolalbym polecieć do Sudanu, Libanu albo do Syrii...

- Pink!

Pink wydał usta. Przesunął ryjek w lewo, potem w prawo. Bez entuzjazmu kiwnął głową. Roznosiła go energia, musiał działać.

- Dobra. Może to jest jakieś rozwiązanie.

- Zadzwońisz do Valerie? - Sam szedł w kierunku swojego wozu, dodge durango w kolorze burgunda.

- Człowieku, aleś się uparł. Tak. Zadzwońię.

ALEXANDRIA, WIRGINIA

Sam mieszkał w starej kamienicy z cegły w miasteczku Alexandria. Nie było tam żadnych luksusów w rodzaju basenu, sali gimnastycznej, portiera, jakie oferują nowoczesne bloki. Po prostu na inne mieszkanie nie byłoby go stać. Poza tym wolał mieszkać w miejscu, które miało swoją historię. Dlatego wynajął mieszkanie tu, przy King Street, niedaleko Starego Miasta. Zostawił samochód na parkingu za domem i wbiegł po schodkach, automatycznie licząc po rosyjsku - *odin, dwa, tri, czetyrye, piat', szest', siem'*. Siedem stopni jak siedem wzgórz Rzymu, albo siedem grzechów głównych.

Minął klatkę schodową i poszedł do windy. Spieszył się. Mimo że budynek był stary, winda była nowiutka. I bardzo szybka. Wjechał na ósme piętro i otworzył drzwi do mieszkania.

Jego mieszkanie wyglądało dokładnie tak, jak powiedział Pinkowi - mało mebli i żadnych zapasów. Znajomym Sama kojarzyło się raczej z przystankiem na drodze niż z domem, jak gdyby Sam nie tylko się nie zadomowił, ale też pogodził się z myślą, że nigdy tego nie zrobi. Mieszkał tu już prawie dziesięć lat z kobietami, które przychodziły i odchodziły, ale ani w nim, ani w jego życiu nie zostawiały śladu.

W salonie przy oknie stało biurko i nowy komputer z procesorem Pentium ostatniej generacji. Stosy książek, kolorowych magazynów i gazet leżały na biurku i dookoła niego. Pokój pachniał jakimś środkiem do czyszczenia. Kobieta, której płacił za sprzątanie była dziś rano. Kanapa i fotel były odkurzone, telewizor i sprzęt stereo lśniły, na łóżku leżała świeża pościel. Był bałaganiarzem, ale lubił czystość, o którą dbała ta wielkoduszna i cierpliwa kobieta.

Lata pracy w Wydziale Operacyjnym sprawiły, że pierwszą rzeczą, jaką robił po zamknięciu za sobą drzwi, było sprawdzenie czy w domu nie czai się żadne niebezpieczeństwo. Mądry szpieg ma większe szanse być żywym szpiegiem.

Sam obszedł cztery przestronne pokoje i poczuł się stosunkowo bezpiecznie. Usiadł za komputerem. Wyciągnął rękę, żeby włączyć sprzęt, i znowu dopadło go poczucie winy i straty. Te uczucia wciągały go jak wir. Starał się nie wracać myślami do przeszłości. Do niej. Ale Pink przypomniał mu o Irini i znowu obudziła się tęsknota, ból i żal z powodu utraconej radości i miłości. Cierpiał. Chciał cofnąć czas. Błagał o drugą szansę. Wiedział, że gdyby z nią poszedł, mógłby ją ocalić.

Złapał się za głowę, wbił palce w skórę. Bolało go serce. Brakowało mu jej.

W końcu wyprostował się, włączył komputer i modem i połączył się ze stroną główną biura w Langley. Usiadł wygodnie i obserwował monitor. Komputer poprosił o kod dostępu. Wystukał na klawiaturze kombinację cyfr i liter i po chwili był połączony z Langley.

Westchnął. Jego umysł zaczął pracować i poczuł się lepiej. Pomyślał, że nie ma nic lepszego niż szybki komputer z pojemnym twardym dyskiem. Informacje zgromadzone w Langley zajęłyby dziewięć ogromnych magazynów, z których każdy zawierałby około sześciu tysięcy dyskietek z ponad milionem megabajtów informacji. Czysty odlot.

Były i minusy takiego stanu rzeczy - niebezpieczeństwo nadużyć. Po aferze Watergate i innych skandalach związanych, ze szpiegostwem wewnętrznym, ustawa z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku zakazywała Langley zbierania i udostępniania materiałów dotyczących obywateli Stanów Zjednoczonych, z wyjątkiem wypadków szczególnych, takich jak terroryzm czy inne zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego. Ale ta ustawa nie zabraniała agencji korzystać z informacji dostępnych gdzie indziej.

Kiedy więc Sam dostał się do wykazu telefonów firmy telekomunikacyjnej, udało mu się odnaleźć adres i numer telefonu majątku państwa Redmond nad Oyster Bay oraz mieszkania Julii Austrian w Nowym Jorku, mimo że były to informacje zastrzeżone. Przejrzał także gazety, magazyny i strony z informacjami o pianistce. Czytał, ściągał na swój twardy dysk i drukował najnowsze wiadomości, recenzje i wywiady, dane dotyczące wykształcenia. Należała do

bardzo aktywnych pianistów, dawała około sześćdziesięciu koncertów rocznie. Wygrała konkurs Van Cliburna w wieku zaledwie dwudziestu lat i zdążyła już zagrać z orkiestrami z całego świata - od Nowego Jorku przez Tokio do Moskwy. Niezameżna, bezdzietna, prowadziła - o ile to można było stwierdzić - życie, które ludzie nazwaliby samotniczym. To mu się w niej spodobało.

Musiał jeszcze ustalić, gdzie ona teraz jest. Nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Miał pewien pomysł. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Postarał się, żeby jego głos brzmiał radośnie.

- Emilie! Świetnie, że cię zastałem. Co słyhać u mojej ulubionej byłej dziewczyny?

- Och, nie. - Słyhać było, że osoba po drugiej stronie linii wstrzymała oddech, oznaka, że go rozpoznała. - Sam? To ty. Nie wierzę. Co to ma być, głos z zaświatów?

Oparł się wygodnie. Miał niewielkie wyrzuty sumienia. W gruncie rzeczy to ona go rzuciła.

- Nie. Z Aleksandrii. Pamiętasz to miasteczko. Było lato, a ty trzymałaś bieliznę w lodówce.

- Tylko dlatego, że uparłeś się, żeby nie zakładać klimatyzacji. Idiota! Nikt ci nie powiedział, że lata są tu tak gorące i trudne do zniesienia, że agentów z Europy przysyła się do Aleksandrii, żeby przygotowali się do misji w tropikach?

- A więc to jest sekret majątek Wiktorii - powiedział z udanym zdziwieniem. - No, ładnie, ładnie. Stąd te wszystkie koroneczki i prześwitujący materiał.

- Sam, chcesz się umówić na randkę czy dzwonisz w interesie?

Zamrugał oczami. Zastanawiał się, co ma powiedzieć.

- Nawet gdybym dzwonił w interesie, to sądzisz, że bym się przyznał?

- Nie wiem. Może spróbujesz? - W jej głosie słyhać było rozbawienie.

Uśmiechnął się. Przypomniało mu się, jaką byli parą. Ona była nieznośna. Prawdę mówiąc, odetchnął, kiedy zabrała swój szlafrok, szczoteczkę do zębów, specjalny garnek ceramiczny do sufletów oraz majtki i wróciła do domu, do Georgetown. Za bardzo jej zależało. Bez przerwy mówiła o małżeństwie. Miał się ożenić z Irini, ale nie zrobi tego nigdy.

Wpadł na pomysł, jak ją rozbroić.

- Emilie, wyjdiesz za mnie?

- Boże, Sam. Nie żartuj sobie ze mnie! - Ale w jej głosie pojawiła się nuta tęsknoty.

- Postanowiłem rzucić pracę i pozwolić ci już do końca moich dni dbać o mnie. Wiem, jak kochasz swoją pracę w agencji. Drobne radości, kiedy klient się wścieka, sfrustrowani pracownicy, przesiadywanie po nocach w biurze i oczywiście księgowia, której jedyną ambicją jest cię oszukać. Pomyślałem, że

potrzebujesz dodatkowej motywacji, żebyś mogła pracować jeszcze więcej. Bo liczę, że zapewnisz nam życie na takiej stopie, o jakiej zawsze marzyłem...

- Sam! Przestań. Niech cię! Zamknij się w końcu! - Westchnęła, po czym zachichotała. - W porządku, ty paskudo. Mów, o co ci chodzi.

- Niewielka przysługa. Będę ci dozgonnie wdzięczny.

- Masz cholerną rację, będziesz.

Nie był pewien, czy podoba mu się jej ton, ale parł naprzód.

- O ile pamiętam, swego czasu zrobiłaś świetny interes, wysyłając pracowników tymczasowych do pracy dla republikanów i demokratów, a teraz jest właśnie okres przedwyborczy. Czy jacyś twoi ludzie pracują dla Creightona Redmonda?

- A jeśli tak?

- Jedno małe pytanie. Gdzie Julia Austrian będzie dziś wieczorem? W domu na Manhattanie? Czy zostaje w Oyster Bay? A może jedzie do pałacu Austrianów w Southampton? Ewentualnie wprowadza się do kogoś z licznej rodziny Redmondów?

Roześmiała się.

- Teraz Julia Austrian ci się podoba? Och, błagam. Chociaż, prawdę mówiąc, nie dziwię ci się. Jest piękną kobietą i z pewnością będzie w stanie zapewnić ci wysoką stopę życiową, o jakiej zawsze marzyłeś... jeśli o to ci chodzi.

- Emilie, do tej pory jesteś jedyną kobietą, którą prosiłem, żeby mnie poślubiła. - Zręcznie odbił piłeczkę

- A to pech. Spodziewam się jednak, że jeśli już zagiąłeś na nią parol, lepiej będzie, jeśli ci pomogę. Przynajmniej nie będziesz do mnie wydzwaniał, żeby mi robić nadzieję.

- Dziękuję, Emilie. Jesteś prawdziwym Samarytaninem. I to znacznie piękniejszym niż biblijny. Możesz mi wierzyć.

Czekając na telefon od Emilie, Sam wydrukował listę krewnych Julii Austrian, ich adresy i numery telefonów. Spakował niewielką torbę podróżną i odszukał pewną książkę, którą dawno temu dostał od dziadka. Książka została napisana po rosyjsku, a jej tytuł w tłumaczeniu brzmiałby: *Skarby, które prawdopodobnie skradziono z zamku w Królewcu*. Nie mógł się oprzeć, otworzył książkę i przerzucił kartki, podziwiając kolorowe fotografie zachwycającej biżuterii i dzieł sztuki zniszczonych lub ukradzionych pod koniec drugiej wojny światowej z Królewca.

Na jednej z pierwszy kart książki znajdowała się fotografia Bursztynowej Komnaty. Była zachwycająca. W dziesiątkach tysięcy kawałków bursztynu, większych i zupełnie malutkich, ułożonych w przepiękne mozaiki, połyskiwało

światło. Niezwykle pomieszczenie, piękne mimo że powstało po prostu z połączenia bursztynu i ludzkiej pomysłowości - natura i kultura w jednym. Według Sama to jeszcze zwiększało wartość komnaty.

Zadzwoił telefon i Sam złapał słuchawkę.

- W zamian oczekuję zaproszenia na kolację - zażądała Emilie.

- Czego tylko sobie życzysz. Możesz nawet wykorzystać moją lodówkę jako bielizniarkę.

- To więcej, niżbym chciała.

- Rozumiem. - No cóż. Rzeczywiście rozumiał. Zresztą teraz chciał zająć się wyłącznie swoim prywatnym dochodzeniem. - Czego się dowiedziałas?

- Twoja przyjaciółeczka jedzie do swojego mieszkania. Wraca do Dużego Miasta. Znasz adres? Nie mogłam go zdobyć. Jest zastrzeżony.

Serce Sama zabiło szybciej. Uzyskał informację, której potrzebował. Myślni był już poza domem.

- Dzięki, Emilie. Kolacja w każdej chwili.

- Sam...

Odłożył słuchawkę. Zebrał wszystko, co udało mu się znaleźć na temat Julii Austrian, i włożył karki do tekturowej teczki. Poszedł do sypialni i zamknął torbę podróżną. Miał dziwne przeczucie. Jeszcze raz wszystko przeanalizował. O Bursztynowej Komnacie nikt nie słyszał od kilkudziesięciu lat. Była już raczej mitem niż rzeczywistością. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego to on otrzymał przesyłkę z Armonk. Był tego pewien. Poczul dreszcz podniecenia.

Postanowił, że nie będzie liczyć na szczęście. Z szuflady wyciągnął fałszywe dokumenty, podszedł do szafy i założył na ramię pasek z futerałem na broń. Otworzył pudełko, w którym trzymał pistolet, browninga kaliber dziewięć milimetrów. Zważył go w rękę. Jeszcze chwilę się zastanawiał, po czym dał za wygraną. Załadował pistolet.

Znowu się zawahał. Czy postępuje wbrew rozkazom swojego szefa Vince'a Redmonda?

Niezupełnie. Będzie się trzymał z dala od Armonk.

Jeśli uda mu się odnaleźć Bursztynową Komnatę i zwrócić ją społeczeństwu, zostanie bohaterem. Vince Redmond będzie musiał mu wybaczyć tę drobną niesubordynację.

W tak optymistycznym nastroju Sam włożył dłuższą, skórzaną kurtkę - łatwo było pod nią ukryć broń - wziął zapas amunicji, torbę i teczkę z wydrukami. Droga do Nowego Jorku zajmie mu cztery do pięciu godzin, w zależności od ruchu. Najpierw musi jeszcze odwiedzić bank i pobrać pieniądze. Kiedy zamykał za sobą drzwi, zagwizdał. Tym razem melodię piosenki *New York, New York*.

16.

17.06, SOBOTA
NOWY JORK

Listopad w Nowym Jorku jest miesiącem nastrajającym optymistycznie. Sierpniowe upały się skończyły. Rok szkolny już trwa. Zbliżają się święta, podczas których całe miasto zostanie ozdobione drzewkami, czerwonymi szarfami i lampkami. Listopad to miesiąc oczekiwania. W rześkim powietrzu unosi się atmosfera przyjaźni i rodzinnego ciepła. Kiedy zapada zmierzch mieszkańcy pędzą do swoich domów albo przegrzanych mieszkań, do planów na sobotni wieczór.

Limuzyna powoli się sunęła przez miasto. Julia odezwała się:

- Jesteśmy już prawie na miejscu.

Była spokojniejsza. Norma okazała się interesującą osobą. Agencja, która ją przysłała znana była z tego, że szczegółowo sprawdza przeszłość rekomendowanych pracowników. Bardzo możliwe, że Norma zostanie na stałe.

Maya Stern w roli Normy przytaknęła.

- To pewnie następna przecznica.

Julia kiwnęła głową. Doskonale знаła trasę od tunelu do domu. Zamknęła oczy i przez uchylone okno wdychała zapach rozgrzanych silników. Słyszała kakofonię klaksonów dokoła. Kilka ulic dalej wyła syrena karetki pogotowia. Zewsząd dobiegały odgłosy rozmów, krzyki, śmiechy. Co chwila słyszała dźwięki muzyki z barów i restauracji, które wydostawały się, gdy ktoś otworzył drzwi. Wszystkie te głosy odbijały się echem od budynków. Wrzawa złapana w pułapkę cementowego kanionu wielkiej metropolii uciekała kilka przecznic dalej, żeby tam dać się złapać w kolejną pułapkę betonowego labiryntu.

Julia kochała Manhattan. Kiedy limuzyna zwolniła, poczuła się otoczona falami dźwiękowymi, które się ze sobą zderzały, splatały, wiły się wzburzone. Nieustanny pomruk życia, przypominający odgłosy wewnątrz ludzkiego ciała - krążenie krwi, powietrze w płucach, uderzenia serca. Prawdziwa symfonia życia...

Coś ścisnęło ją w gardle. Znowu przypomniła jej się śmierć matki - odgłosy potwornego bólu. Stała jej przed oczami twarz morderczyni. Czy będzie potrafiła z tym żyć? Ze świadomością, że nic wtedy nie zrobiła? Czy będzie umiała pogodzić się z tym, że już nigdy nie usłyszy głosu matki?

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Z trudem opanowała żal i wściekłość. Za chwilę znajdzie się w domu, gdzie każdy mebel, każdy zapach, każde pomieszczenie będą przypominały jej matkę. Wróciła do hałaśliwego życia miasta. Ono było pocieszeniem.

Limuzyna zwolniła i Julia z ulgą zaczęła myśleć o swoich planach na najbliższą przyszłość. Musi zadzwonić.

Mieszkanie Austrianów zajmowało dwa piętra jedenastopiętrowego budynku z marmurową fasadą przy Park Avenue, róg Siedemdziesiątej Drugiej. Budynek był ozdobiony błękitnymi markizami, a przy głównym wejściu stał portier w błękitnej liberii i białych rękawiczkach. Była to bogata dzielnica. Mieszkali tu między innymi hollywoodzki producent filmowy Doug Cramer, reżyserzy Alan i Hannah Pakuła, pisarz Bill Buckley z żoną Patrycją.

W mieszkaniu echo odbijało pustkę. Zatrzymując się co kilka kroków, Julia przemierzyła je całe. Dopiero w drugim pokoju zorientowała się, że idzie za nią Norma. Najpierw się zdziwiła. Kobieta poruszała się bezszelestnie i dopiero inne niż słuch zmysły Julii dostrzegły jej obecność. Potem uśmiechnęła się do siebie. Norma zachowywała się jak kotka zatroskana o swoje kocicęta. Będzie musiała z nią porozmawiać o tej nadgorliwości, wyjaśnić, że musi poczuć znajome zapachy, usłyszeć tykanie zegarów, pomrukiwanie kaloryferów i cichy dźwięk kroków na starych, wschodnich dywanach i głośniejszy, na parkiecie. Musi dotknąć mijanych mebli, zatrzymać się w drzwiach sali gimnastycznej, gdzie stał sprzęt firmy Nautilus i bieżnia.

W ogromnym salonie rozpoznała lampkę i wazę. Poglądziła rzeźbę Rodina stojącą u stóp spiralnych schodów. Kiedy jej palce dotykały rzeźby, wyobraźnia tworzyła obraz - gibkie, umięśnione ciało, silne dłonie i stopy. W wyobraźni krawędzie i obłóci nie były z brązu, ale z żywych mięśni i tkanek zastygłych w momencie doskonałego tańca. Zatrzymane w chwili pełni życia. Tak chciała zapamiętać swoją matkę.

Weszła po spiralnych schodach na górę. Na podłodze na piętrze leżał niewielki chodniczek przymocowany do parkietu. Umieszczono go tam specjalnie, żeby przypominał jej, gdzie się znajduje, żeby nie pomyliła się i nie spadła ze schodów.

Nie mogła się powstrzymać. Stała w drzwiach sypialni matki.

Chwyliła się framugi...

W swoim pozbawionym światła tunelu poczuła, że jest jej słabo. Była małą, zagubioną dziewczynką. Do oczu napłynęły jej łzy. Pozwoliła, by opadły ją wspomnienia. Usłyszała głos matki siedzącej za toaletką. Widziała, jak matka odgarnia długie ciemne włosy do tyłu i robi z nich elegancki kok. Patrzyła z czułością, jak się do niej uśmiecha. I poczuła ból przesywający serce.

- Orion, cześć. Mówi Julia Austrian... - Julia siedziała za biurkiem matki na dole, w gabinecie tuż przy holu. Na kolanach miała pudełko z chusteczkami higienicznymi, w głosie stanowczość. Norma znalazła dla niej numer telefonu, ale Julia sama go wybrała. Na telefonie oprócz cyfr znajdowały się oznaczenia Braille'em. Teraz zmysły Julii mówiły jej, że Norma wciąż stoi w drzwiach.

- Julio, moja droga, słyszałem o wszystkim. Jest mi... jest nam... ogromnie przykro. - Psycholog Orion Grapolis mieszkał na czwartym piętrze z żoną Eddą już pięć lat. Zawsze lubił Julię. - Biedna Marguerite. To prawdziwa tragedia. Morderstwo. Jak sobie radzisz?

- Dobrze. Dziękuję. Ale zdarzyło się coś jeszcze i dlatego potrzebuję twojej rady... pomocy. Mogłabym do was wpaść?

Orion milczał przez dłuższą chwilę. Kiedy się odezwał, w jego głosie slychać było szczery żal.

- Przykro mi, kochanie. Bardzo chciałbym porozmawiać z tobą w tak trudnej chwili. Ale tak się nieszczęśliwie składa, że za chwilę wyjeżdżamy na urlop. Prawdę mówiąc, samochód jest już w drodze. Edda kategorycznie zabroniła mi robić cokolwiek. Jedziemy do Palm Beach. - Miał głęboki, niski głos, donośny i aksamitny.

Julia była zrozpaczona. Za wszelką cenę musiała się dowiedzieć, co się wydarzyło w noc jej debiutu i co sprawiło, że straciła wzrok.

- Poczekaj chwilę, Orion, dobrze? - Podniosła głowę. - Norma, proszę, zostaw mnie samą i zamknij drzwi. - Zaskoczona Norma milczała przez chwilę, jak gdyby miała zamiar zaprotestować. - Poradzę sobie. Chcę być sama.

Drzwi się cichutko zamknęły i zapach perfum Magie Noire zaczął się ulatniać.

Julia zadała Orionowi pytanie.

- Czy można zahipnotyzować niewidomą osobę?

- Oczywiście, że tak. Dlaczego nie? Warunkiem jest umiejętność zrelaksowania się, nie trzeba nic więcej. No, oczywiście oprócz zaufania. Sądziłaś, że nie można cię poddać hipnozie, bo nie widzisz?

- Prawdę powiedziawszy, przypuszczałam, że może tak być. - Jej poprzedni psychiatra powiedział jej kiedyś, dawno temu, że hipnoza jest tylko dla widzących. Poza tym pamiętała sceny hipnozy ze starych filmów, kiedy przed oczami pacjenta na łańcuszku kołysał się złoty zegarek. W ciągu ostatnich siedmiu lat technika musiała pójść do przodu.

Głos Oriona nagle stał się zniecierpliwiony.

- Przepraszam cię. Muszę już iść. Edda woła mnie głosem nieznoszącym sprzeciwu. Wybacz, proszę, że nie mogę ci w tej chwili pomóc...

Musi go jakoś przekonać. Pod wpływem impulsu odwróciła się plecami do drzwi, na wypadek gdyby troska skłoniła Normę do podsłuchiwania. Pochyliła się, zasłoniła usta dłonią i powiedziała szeptem do słuchawki.

- W Londynie odzyskałam wzrok.

Po drugiej stronie linii dało się słyszeć głośne westchnienie.

- Naprawdę? Odzyskałaś wzrok? To cudowne. Tak się cieszę...

- Nie rozumiesz! Teraz znowu nie widzę! Ale muszę widzieć. To konieczne. Muszę. Proszę! Orion, błagam, pomóż mi się dowiedzieć, co spowodowało utratę wzroku, żebym mogła odzyskać wzrok na stałe!

Zapadła cisza. Niemal słyszała walkę, jaką Orion toczył ze sobą - z jednej strony była ciekawość i chęć pomocy przyjaciółce, a z drugiej żona, która domaga się, żeby wyjechał na zasłużony wypoczynek.

Wtedy Julia zdecydowała się powiedzieć coś, czego nie zamierzała mówić, a nawet przysięgła sobie, że nikomu o tym nie powie. Teraz jednak wiedziała, już, że sama nie da rady.

- Orion, chcę cię zatrudnić jako mojego terapeutę, nie możesz więc nikomu powtórzyć tego, co ci powiem. - Zanim zdążył zaprotestować, zaczęła mówić. - Widziałam zabójstwo mamy. Jestem jedynym naocznym świadkiem. Muszę odzyskać wzrok!

- Widziałas mordercę? - Z przerażenia mówił szeptem. - Kto o tym wie?

- Tylko Scotland Yard. I ty. Proszę. Czy istnieje możliwość, żebyś odłożył swój wyjazd o kilka godzin? Zapłacę każdą sumę...

- Julia. - Poczul się urażony. - Nie potrzebuję twoich milionów. Jeśli miałbym się zgodzić, to dlatego, że mnie potrzebujesz, a może mogę ci pomóc.

Zapadła cisza. Julia nie odezwała się, czując, że nie może zrobić już nic więcej.

- Nie wiem, czy to coś da, ale poświęcę ci ten wieczór. Sądząc po twoim głosie, rzeczywiście jesteś gotowa na współpracę i na zwycięstwo. Edda na pewno nie będzie zadowolona, że odkładam wyjazd do jutra. Może kiedy wrócimy z urlopu, zagrasz coś dla nas. Dla Eddy i dla mnie. Urządzimy sobie romantyczny wieczór. Edda zapali wszystkie świece i otworzymy butelkę pinot noir. Zgoda?

- Orion! Jak mam ci dziękować? Zaraz u was będę.

- Daj mi pięć minut. Najpierw muszę przekonać Eddę, żeby nie występować o rozwód.

17.

Julia pewnym krokiem przemierzyła gabinet matki i otworzyła drzwi. Zirykowało ją, że z jej prawej strony wyczuła obecność Normy, zapach jej perfum. Odwróciła się w jej stronę.

- Zamierzam się odświeżyć, Normo. A potem poproszę cię, żebyś mnie zaprowadziła na górę, do mieszkania mojego przyjaciela.
- Nie jesteś zmęczona? - Głos Mayi był pełen troski.
- Prawdę mówiąc, jestem.
- Więc powinnaś tu zostać. Możesz odpocząć. Jestem pewna, że zeszłej nocy prawie nie spałaś. Przygotuję coś do jedzenia. Przecież nie chcesz nigdzie wychodzić.

Przed oczami Julii znowu pojawił się obraz kotki. Nie chodziło tylko o giętkie, sprężyste ruchy. Widziała kotkę siedzącą na kamieniu i bacznie obserwującą kocięta bawiące się w trawie. Czujną.

Stwierdziła, że zaczyna ją irytować.

- Doceniam twoją troskę. Ale nie musisz chronić mnie przede mną samą. Oczekuję, że będziesz mi pomagała, jeśli cię o ta poproszę. To wszystko. - Zawahała się. Chyba dała się ponieść nerwom. Spostrzegła w swoim głosie złość. - Przepraszam. Jestem nie tylko zmęczona, ale też zdenerwowana. Mimo to zamierzam zobaczyć się z przyjacielem. Kiedy się umyję, będziesz mogła zaprowadzić mnie na górę.

Za jej plecami zadzwonił telefon. Odwróciła się, żeby go odebrać, ale Norma - chyba kotka - już była przy aparacie.

17.32, SOBOTA ROGATKA NEW JERSEY

Sam Keeline wjeżdżał właśnie do przemysłowego centrum New Jersey, gdzie rafinerie są tak samo nieodłącznym elementem krajobrazu jak chwasty, a fakt dużego zanieczyszczenia powietrza traktowany jest jako tak samo naturalny jak nadejście zimy. Szybko pokonał drogę z Waszyngtonu. Martwił się jednak, że do tej pory nie udało mu się złapać przez telefon Julii Austrian. Najpierw nikt nie podnosił słuchawki, a potem linia była zajęta.

W powietrzu unosił się zapach siarki. Aż go zakłuło w nozdrzach. Była noc i zbyt ciemno, żeby dostrzec smog w powietrzu, ale wiedział, że chmura zanieczyszczeń musi gdzieś tu być. Jechał pasem szybkiego ruchu i zastanawiał się, jak ma rozmawiać z Julią Austrian.

Miał mętlik głowy. Wcisnął klawisz wybierania ostatniego numeru w telefonie komórkowym i serce zabiło mu szybciej. Tym razem ktoś podniósł słuchawkę.

- Rezydencja Austrianów. - Kobięcy głos nie pasował do jego wyobrażenia o brzmieniu głosu Julii Austrian. Był pozbawiony wyrazu, jak gdyby krył się za nim ktoś bez osobowości albo ktoś, kto chciał swoją osobowość stłumić.

Zdecydował, że zaryzykuje. Jeśli poprosi „Julię Austrian”, a nie „Julię”, osoba, która podniosła słuchawkę, domyśli się, że nie jest znajomym słynnej pianistki, i może odmówić połączenia go z nią.

- Mogę mówić z Julią? - spytał. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. - Jestem starym znajomym Daniela Austriana, jej dziadka. - Nie była to w stu procentach prawda, ale też nie kompletne kłamstwo.

- Spóźnił się pan. Julia właśnie wychodzi...

W tle usłyszał kobiecy głos pytający, kto dzwoni.

- Proszę jej powiedzieć, że nie zajmę jej dużo czasu, ale sądzę, że jej dziadek chciałby, żebym się z nią zobaczył. - To było bezczelne kłamstwo. - Mogę przyjść o każdej porze dziś albo jutro. Dostosuję się. Chociaż wołałbym dzisiaj.

Kobieta niechętnie powtórzyła jego słowa. Odpowiedź była taka, na jaką czekał. Słyszał swoje serce tłukące się w piersi.

- Pani Austrian powiedziała, że może się z panem zobaczyć u siebie w domu dziś wieczorem o siódmej - rzekła kobieta. - Czy to panu odpowiada?

Przytaknął.

17.40, SOBOTA NOWY JORK

Julia nie była pewna, czy dobrze robi, idąc na spotkanie z Orionem Grapolisem. Była zdenerwowana i wydawało się jej, że postępuje nielojalnie. Miała przecież świetnego psychiatrę, który pracował z nią już trzy lata, cierpliwie starając się pomóc jej przezwyciężyć strach przed publicznością, żeby mogła widzieć. Ale wszystko wskazywało na to, że jego diagnoza była błędna. Coś innego, nie publiczność, było przyczyną jej kalectwa. Tłumaczyła sobie, że to nie jest kwestia lojalności. Chodziło o znalezienie kogoś, kto potrafiłby jej pomóc.

Szła za Normą korytarzem i mówiła, jak wyglądają miejsca, które właśnie mijaly. Opisywała rzeźbione gzymsy i drewniane części konstrukcji, gładki włoski marmur ułożony w czarno-białe prostokąty i delikatne witrażowe okna. Obrazy przychodziły automatycznie, nie musiała się nad nimi zastanawiać.

Kiedy weszły do windy, Norma zapytała:

- Jak ty to wszystko zapamiętujesz?

- Widzę obrazy w myślach. Są prawie jak fotografie. Podobnie zapamiętuję muzykę. Dosłownie widzę nuty tego, co słyszę, nawet jeśli nigdy nie widziałam zapisu nutowego.

- Masz niezwykłą pamięć.

Wyszły z windy na trzecim piętrze.

- Idziemy do mieszkania numer cztery A.

W myślach przywołała rozkład mieszkania - trzy sypialnie, cztery łazienki, salon, jadalnia, kuchnia i gabinet. Kiedy Orion i Edda Grapolis wprowadzili się, przebili dodatkowe drzwi prowadzące bezpośrednio z gabinetu na korytarz, żeby pacjenci mogli się czuć swobodnie i nie musieli przechodzić przez mieszkanie.

- Mam zadzwonić - zapytała Norma - czy wolisz to zrobić sama? - Zatrzymała się i po liczbie kroków Julia zorientowała się, że muszą być przed drzwiami mieszkania.

- Sześć metrów dalej są następne drzwi - powiedziała Julia. - Tuż przy oknie. Prowadzą do gabinetu, ale nie ma na nich żadnej tabliczki...

Norma poprowadziła ją w to miejsce i znowu się zatrzymała. Julia odnalazła drzwi i zapukała.

Drzwi otworzyły się natychmiast i zagrział głos Orionu Grapolisa.

- Julia! Dobrze cię widzieć. Wchodź, wchodź. Kogo tu z sobą przyprowadziłaś?

Julia była u terapeuty ostatni raz siedem lat temu. Czula, że ze zdenerwowania ściskają w dołku. Nagle, nie wiadomo dlaczego, ogarnęła ją chęć, żeby stąd uciec. Jednak zamiast uciekać, usiadła w ogromnym, wygodnym fotelu. Kiedy zarzuciła wizyty u swojego poprzedniego terapeuty, była przekonana, że żaden lekarz nie potrafi jej pomóc, skoro ona sama nie potrafi pomóc sobie. Teraz jednak musiała się spieszyć i postanowiła pójść na skróty. Dlatego zdecydowała się na metodę hipnozy Orionu Grapolisa. Może hipnoza będzie w stanie odegrać rolę katalizatora.

- Więc masz teraz asystentkę. - Odszedł, żeby zająć miejsce naprzeciw, jakieś trzy metry dalej, sądząc po głosie. - Norma, tak? Odniosłem wrażenie, że się o ciebie niepokoi.

Julia zaśmiała się.

- Musi przeczuwać, że przytrafi mi się tu coś strasznego. Chyba rzeczywiście chciała ze mną zostać, nie sądzisz? - Julii podobał się spokój i atmosfera profesjonalizmu unosząca się w tym pomieszczeniu. - Załóż się, że siedzi teraz na dole i obgryza paznokcie.

- Czy ona wie, że odzyskałaś wzrok w Londynie?

Julia pokręciła głową.

- Mówiłam ci prawdę, kiedy powiedziałam, że jesteś jedynym człowiekiem, oprócz Scotland Yardu, który wie, że byłam świadkiem morderstwa mamy.

- Musisz być bardzo smutna - powiedział Orion. - Pewnie też wściekła.

Zawahała się. A potem wybuchła.

- Gdybym nie straciła wtedy wzroku, może mogłabym jej pomóc. Może mama by nie umarła... - Poczula uścisk bólu w klatce piersiowej.

Orion przyjrzał się jej i ocenił stan jej uczuć.

- Czujesz się winna.

- Tak. - Głos miała udręczony. Dlaczego znowu straciłam wzrok? I dlaczego wcześniej go odzyskałam? Opowiedziała mu, jak po raz pierwszy na chwilę odzyskała wzrok w Warszawie i potem jak wrócił jej w Londynie i widziała aż do chwili, gdy zobaczyła pierścionek z aleksandrytem, który dostała od dziadka. - Możesz mi to wyjaśnić? Z pewnością nie był to cud ani żadna magiczna sztuczka...

Orion Grapolis miał posturę niedźwiedzia, gęste wąsy i wielkie serce. Umysł miał ostry jak brzytwa, co w połączeniu z wrodzoną dobrocią pozwalało mu rozumieć innych i sprawiało, że był doskonałym terapeutą. Odetchnął z ulgą, kiedy udało mu się przekonać Eddę, żeby opóźnili wyjazd na wakacje. Oczywiście później będzie musiał za to zapłacić. Za jakiś czas Edda będzie się naśmiewać, że znowu pracę postawił na pierwszym miejscu i że skusił go jakiś interesujący przypadek. Nikt nie rozumiał, że bardziej niż wyzwanie intelektualne kierowała nim potrzeba niesienia ludziom pomocy.

- Na twoje pytanie odpowiem pytaniem - powiedział. - Opowiedz mi, jak się czułaś przed śmiercią matki. Czy można powiedzieć, że wzrosła twoja pewność siebie, wiara we własne siły?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. To było udane tournée. Zanim przyjechały do Londynu zagrała czternaście koncertów w dwunastu miastach. Wszystkie były bardzo dobre, poza tym...

- To dziwne, że o to pytasz, bo pamiętam, że tuż przed występem w Londynie miałam wrażenie, że jestem teraz tak silna, że potrafię stawić czoło wszystkiemu. - Przerwała. - Teraz, kiedy się nad tym zastanowiłam, widzę, że to moje poczucie siły wzrastało stale przez kilka ostatnich lat. Podobnie czułam się w Warszawie.

Pokiwał głową.

- Wszystko się zgadza. A jak się czułaś na chwilę przed rozpoczęciem ostatniego koncertu?

Uśmiechnęła się.

- Cudownie. Byłam szczęśliwa. Wydawało mi się, że wszystko na świecie jest na swoim miejscu, ja też. Że robię w życiu dokładnie to, co powinnam. Czy to ma jakieś znaczenie?

- To wszystko tłumaczy, Julio. Prawdopodobnie dlatego wrócił ci wzrok przed koncertami w Warszawie i Londynie. Twoje poczucie własnej wartości było wysokie. Nie była to tylko akceptacja siebie, ale stan, kiedy twoje zdrowie psychiczne wzięło górę nad zaburzeniem osobowości. Mówiąc prościej, sama się wyleczyłaś.

Głęboko wciągnęła powietrze pod wrażeniem tego, co usłyszała.

- Czy tak się dzieje zawsze wraz z upływem czasu?
- Nie zawsze. Ale otaczała cię miłość matki, która dawała ci komfort psychiczny. Praca sprawiała ci satysfakcję, przestałaś walczyć ze swoim kalectwem. Zgadza się?

Pokiwała głową.

- Dokładnie tak! Pamiętam nawet, jak myślałam, że mimo że nie widzę, mój świat jest pełen obrazów, zapachów, faktur i muzyki! - Przerwała. - Dobrze, ale jakie znaczenie ma pierścionek od dziadka? Myślisz, że mam rację, to on spowodował, że znowu straciłam wzrok?

- Nie potrafię ci odpowiedzieć, ale może uda nam się to dziś odkryć.

Myślała, że Orion da jej jakąś gwarancję.

- Powiedz, co będziemy robić.

Rozparł się wygodnie w fotelu, gotów pracować tak długo, jak długo Julia zechce.

- W hipnozie naturalistycznej terapeuta jest tylko przewodnikiem w drodze do celu, do którego pacjent i tak kiedyś by doszedł. Hipnoza ma to przyspieszyć. Inni terapeuci zachęcają pacjenta, żeby najpierw poddał się im, a dopiero potem budował niezależność. Hipnoza naturalistyczna polega na współpracy terapeuty z pacjentem. Lubimy nazywać ją metodą nieinwazyjną. Zakłada dystans i szacunek. Ty i ja będziemy pracować razem. Jako partnerzy. - Przyjrzał się jej uważnie. W tym ogromnym fotelu wyglądała jak krasnoludek. Specjalnie kupił taki fotel, bo chciał, żeby pacjenci czuli się w nim bezpieczni, ukryci jak w łonie matki.

W głosie Julii słychać było napięcie.

- Myślę, że coś wydarzyło się podczas mojego koncertu debiutanckiego. I to sprawiło, że obudziłam się niewidoma. To niemożliwe, żeby chodziło tylko o publiczność. Nikt z rodziny nic nie zapamiętał. Muszę wiedzieć, co się wydarzyło. Chciałabym się tego dowiedzieć teraz. Powiedziałeś, że hipnoza naturalistyczna może mieć efekt natychmiastowy...

- To prawda - potwierdził. - Jeśli pacjent znajduje się bardzo blisko oczekiwanej przemiany, można poczynić ogromne postępy. Ponieważ dwukrotnie spontanicznie odzyskałaś wzrok, powiedziałbym, że jesteś w pełni przygotowana na postęp. Może nawet na ogromny postęp. Ale nie wiemy, jakiego rodzaju. Prawdę mówiąc, nie mamy pewności, czy cokolwiek wydarzy się dzisiaj. Nie wolno się do niczego zmuszać. Nawet jeśli to nie stanie się teraz, w końcu pokonasz następny etap.

- Rozumiem - powiedziała, ale jej pociągła twarz wyrażała zniecierpliwienie. Złotobrazowe włosy tworzyły wokół jej twarzy coś na kształt aureoli i przez moment miał wrażenie, że ma przed sobą aniołka podobnego do tych, jakie jego matka wieszala na choince dawno temu w Atenach.

- Zacznijmy. - Jego głos był łagodny. - Usiądź najwygodniej, jak możesz. Postaraj się zrelaksować. Wyobraź sobie, że nie ma na świecie nic ważniejszego niż relaks. Pozwól swojemu ciału zatopić się w fotelu i całkowicie odprężyć...

- Poczekaj. - Była zirytowana. - Myślałam, że będziesz mnie hipnotyzował. Że mnie wprowadzisz w trans. - Znowu przypomniał jej się film, w którym przed oczami pacjenta, i zarazem ofiary, huśtał się złoty zegarek. Skrzywiła się. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie miała najlepszego zdania o hipnozie. Nic dziwnego, że się na nią nie zdecydowała do tej pory. Nagle poczuła się nieswojo. Chyba jednak zrobiła błąd, przychodząc tutaj.

Uśmiechnął się w duchu.

- Ludzie często myślą, że hipnotyzer „usypia” pacjenta i wtedy poddaje go „sugestii”. Albo że każe pacjentowi patrzeć na migocący płomień świeczki, a potem wmawia mu, że powieki stają się coraz cięższe, ciało robi się bezwładne i w końcu biedny człowiek zapada w sen i zaczyna gdać jak kura. - Zachichotał. - Ale taka metoda nie jest konieczna. Może nawet przynieść szkodę. Hipnoza naturalistyczna opiera się na relaksie. W ten sposób pozostajesz świadoma i możesz ze mną współpracować, a ja nie odgrywam roli guru, który mówi ci, co masz myśleć albo robić.

Kiedy mięśnie jej twarzy rozluźniły się, zdała sobie sprawę, że boi się nie tylko tego, czego mogłaby się o sobie dowiedzieć, ale również samego faktu, że się tu znajduje.

- Uważam, że naturalistyczna hipnoza jest metodą dużo efektywniejszą - kontynuował - bo pracujemy na tym, co już w człowieku jest. Wszystko ma źródło w tobie. Cokolwiek to jest, zmuszam cię, żebyś to zauważyła i o tym powiedziała. Przede wszystkim jest w tobie chęć zmiany. Razem będziemy odkrywać fascynujący łąd, jakim jest Julia Austrian. Możesz się czuć bezpieczna, bo nie powiem nic i nie zrobię nic, co by ci się nie spodobało. Nic nie będę narzucać. Zaczniemy od kilku podstawowych ćwiczeń relaksacyjnych. Po prostu poddaj się im. To bardzo łatwe. Później sama będziesz je mogła wykonywać. Możemy zacząć?

Na parterze tego samego budynku Maya Stern próbowała zachować obojętny wyraz twarzy, mimo że aż kipiała z wściekłości. Wcale nie było łatwo panować nad Julią Austrian, tak jak jej to próbowano wmówić. Maya opierała zaciśnięte pięści o biurko. Patrzyła na aparat telefoniczny. Wystukala na nim numer linii, której sygnał przemierzył cały świat i w końcu trafił do telefonu komórkowego Creightona Redmonda.

Ale Redmond nie odbierał. Wiedziała, że nosi telefon w wewnętrznej kieszeni marynarki, na sercu, zawsze przełączony na tryb sygnału bez dźwięku, więc czuje wibracje i gdyby mógł z nią rozmawiać, odebrałby go.

Była coraz bardziej rozdrażniona. Zaczęła spacerować nerwowo po pokoju, patrząc na nagrody, dyplomy i statuetki, które miały świadczyć o talencie muzycznym Austrian. Z chęcią rzuciłaby nimi o podłogę. Jeszcze raz podniosła słuchawkę i wcisnęła funkcję automatycznego wybierania ostatniego numeru.

Orion Grapolis mówił, a Julia miała wrażenie, że unosi się na łagodnych falach jego głosu. Nagle zdała sobie sprawę, że instynktownie zawsze mu ufała, i to był jeszcze jeden powód, dla którego do niego przyszła.

Jego głos brzmiał zapraszająco.

- Rozluźnij się tak, jak to tylko możliwe. Masz do dyspozycji wygodny fotel i spokojny pokój. Skup się na wdechu, a potem na wydechu...

Mówił coraz cichszym i spokojniejszym głosem, pomagając jej się zrelaksować. Obserwował Julię uważnie i badał jej reakcje. Na pierwszym etapie celem terapeuty jest wydobycie zachowań podświadomych. Do głosu powinny dojść zmysły i świadomość. Chodzi o to, by poszerzyć zakres doświadczenia i otworzyć nowe drogi myślenia, odczuwania i zachowania. Kiedy to się uda - a zwykle się udawało, o ile pacjent współpracował - Orion sam będzie musiał przenieść się na inny poziom, gdzie człowiek udowadnia swoje możliwości. Dla Oriona to był bardzo ważny aspekt terapii.

- Teraz każda cząstka twego ciała, każdy mięsień jest rozgrzany i rozluźniony - mówił. - Ciesz się tym poczuciem spokoju i ciszy, które jest wewnątrz ciebie... - Znowu zwolnił tempo i jeszcze bardziej ściszył aksamitny głos. Prawie szeptał. - Ciesz się swoją siłą. Dzięki niej możesz teraz znaleźć swój środek ciężkości, który mieści się w splocie słonecznym... Poczuj to miejsce... Jest niezniszczalne... czyste... pierwotne... to centrum twojego ciała...

Nie przestając mówić, obserwował, jak jej oczy się zamykają, a ramiona opadają. Ten rodzaj hipnozy przypomina rozmowę. Zaraz poprosił ją, żeby spontanicznie zmieniła zachowanie. Ale ponieważ nikt nie jest w stanie zachowywać się spontanicznie i równocześnie wypełniać polecenia, hipnoza jest paradoksem sama w sobie.

Na początek poprosił ją, żeby zrobiła coś ze świadomą chęcią - żeby usiadła w wygodnej pozycji i odprężyła się. Kolejny krok to prośba o odruchowe - spontaniczne - zachowanie. Ale nie wiedział, kiedy ono nastąpi ani jak będzie wyglądało. Nie wiedział, czy w ogóle zadziała. Ta faza jest zawsze wielką niewiadomą, więc jak zawsze Orion musiał polegać na swoim doświadczeniu i na intuicji.

Jeśli się im poszczęści i okaże się, że Julia już do tego dojrzała, jego sugestie mogą w końcu doprowadzić do odpowiedzi na pytanie, co spowodowało jej ślepotę.

- Skoncentruj się na środku ciężkości swojego ciała. To źródło radości. Skupiona na wnętrzu swojego ciała zaczynasz dokładnie je przeszukiwać. Czego się obawiasz? - Przypuszczał, że powie, iż oczu. Ślepotą miała decydujący wpływ na znaczną część jej życia.

- Mojego palca! - Lewą dłonią złapała za palec serdeczny prawej.

- Zostań przy tym uczuciu.

- Na tym palcu nosiłam pierścionek, który dostałam do dziadka Austriana. Ten, który ukradła morderczyni. Czuję dokładnie miejsce, gdzie go nosiłam. - Rozluźniła rękę i rozmasowała palec.

Terapeuta obserwował grymas na jej twarzy.

- To, że poddajesz się temu uczuciu, jest aktem odwagi i uczciwości.

Zamilkła.

- Oczy mnie pieką. - Zamrugła oczami, wciąż masując serdeczny palec.

- Dobrze by było dowiedzieć się, co się stało. - Widział jak jej anielską twarz wykrzywia ból, który miał chyba źródło w najgłębszych czeluściach piekieł.

- Kiedy powiedziałeś „dobrze”, palec przestał mnie tak bardzo boleć.

- Dobrze, że mi o tym powiedziałaś. - Miał nadzieję, że powtarzając słowo „dobrze”, będzie się trzymał tropu tego, co chciało powiedzieć jej ciało.

- Teraz znowu mnie boli.

- Dobrze sobie radzisz.

- Za każdym razem, kiedy mówisz „dobrze”, ból palca się zmniejsza. - Drżała, kiedy mówiła, co czuje. Ale nie wspomniała o oczach.

Słuchał i powtarzał głośno jej słowa i uczucia. Wyszło na jaw, że pacjentka jest w pułapce jakiegoś głębokiego konfliktu - rozdierana przez silną chęć ucieczki, rezygnacji z jednej i równie silną chęć pozostania i stoczenia jakiejś ważnej wewnętrznej bitwy z drugiej strony.

Wciąż nie miał pojęcia, co to za walka, ale wcale nie musiał tego wiedzieć. Symptom chorobowy oznacza, że człowiek nie potrafi sobie sam poradzić z konfliktem. Jego zachowaniem rządzą wówczas odruchy. I Julia Austrian teraz odruchowo wyruszała na swoją wewnętrzną wojnę. Sparaliżowana ze strachu, chwiejąca się, na krawędzi wytrzymałości, opisywała swoje odczucia.

Nie mogła biec. Nie mogła stanąć twarzą w twarz z tym nieznanym potworem.

- Moje serce tego nie wytrzyma - z zaciśniętego gardła wy dostał się głos pełen cierpienia.

Terapeuta w końcu zrozumiał, co chce mu powiedzieć.

- Coś rani twoje serce.

Zagryzła dolną wargę.

- Tak.

Oddychał spokojnie, rytmicznie, starając się nie zdradzić podekscytowania, bo to mógł być decydujący moment. Zamierzał poprosić ją, żeby spontanicznie zmieniła zachowanie...

W twoim sercu jest spójnik „i” - powiedział.

Jeśli będzie wiedziała, że może stawić czoło temu, co ją tak męczy, „i” mimo to nie przestanie iść, może uda się jej zmienić wewnętrzny rozkaz, który ją paraliżuje. Zmiana może okazać się niewielka, ale podobnie jak niewielki otwór w tamie, może mieć ogromne konsekwencje.

- Co takiego? - Nagle się ożywiła. Nie mogła uwierzyć, że dobrze go słyszy. Jej ciało zeszywniało, jak gdyby oczekiwała na uderzenie.

Przyglądał się jej. Zamarła zawieszona pomiędzy przeszłością i teraźniejszością. Nie umie się uwolnić. Musi jej pomóc. Powtórzył łagodnie:

- W twoim sercu jest spójnik „i”.

Uniosła brwi.

- Co to znaczy?

- Twoje serce pompuje krew do całego ciała, a nie tylko do kilku części. Nie wybiera sobie stron: lewej komory, a nie prawej; prawej stopy, a nie lewej. Nie zastanawia się, czy iść dalej, czy mówić. Twoje serce wie wszystko.

Przerwał z nadzieją. Napięcie w twarzy Julii zdawało się ustępować. Czy ta niewielka sugestia zadziała? Czy dzięki niej Julia będzie mogła zmienić swoje nastawienie i zrozumieć, że jej uczucia są właściwe, a nawet dobre?

Milczała. Miała dziwna minę, jak gdyby wracała do domu po długiej, męczącej podróży. Nagle głęboko odetchnęła i kiwnęła głową. Kiedy się odezwała, była przestraszona.

- To, kim jestem, nie zależy tylko od jednej decyzji. - Uśmiechnęła się, jak gdyby zrzuciła jakiś ogromny ciężar. Potrafi iść dalej. Umie walczyć. Potrafi zrobić wszystko, co trzeba. Wszystkiemu stawi czoło.

Orion Grapolis promieniał. To była jedna z tych chwil, dla których warto żyć. Postęp wydawał się niewielki, ale to była pierwsza wyrwa w tamie. Naciskał, przyglądając się Julii.

- Oba stwierdzenia są słuszne. Chcesz się zmierzyć z tą zagadką, ale równocześnie chcesz uciec. Ten konflikt przysporzył ci wiele cierpienia. Ale mimo że boli, ten ból jest dobry, bo spełnia ważne zadanie. Jego brak może powodować problemy. Pomyśl o chorych na trąd. Tak łatwo się ranią, bo nie mają receptorów bólu. Twoje serce potrafi czuć ból, ale potrafi również czuć radość...

Zapewniał Julię i tłumaczył jej, że może pozwolić sobie na więcej zmian. Mowili się tak jakiś czas, aż w końcu poruszyło się w niej coś ogromnego. Na

początku mówiła, że chce się dowiedzieć, co spowodowało utratą wzroku, ale do tej pory nawet nie wspomniała nocy swojego debiutu.

Teraz - co niezwykle - czuła ten sam zapach co wcześniej. Poczula się wolna... Musi o tym powiedzieć.

Otworzyła usta i zaczęła opowiadać, choć nie wiedziała jeszcze, co to będzie. Miała wrażenie, że padła jakaś barykada. Zaczęła wspominać - koncert w Carnegie Hall, rodzinną uroczystość w Arbor Knoll, niespożytą energię ojca, pierścionek z aleksandrytem od dziadka, całą rodziną, która patrzyła i klaskała. Opisywała wszystko ze szczegółami, obrazowo, jak gdyby właśnie na to patrzyła: uroczystość, rozmowy, jedzenie, picie, rodzinne rytuały. Odtworzyła ten wieczór, jak gdyby to był jakiś film. Minęło towarzyszące jej do tej pory uczucie złości.

- Następną rzeczą, jaką pamiętam, to że się obudziłam i nie widziałam. Ale nie wiem, co to było, dlaczego nie chciałam znowu widzieć.

- Tak.

Siedział nieruchomo, mówił prawie szeptem. Julia siedziała naprzeciw niego milcząca. Promieniejąca. Orion był coraz bardziej poruszony. Jej ciało pozostawało nieruchome, tak jakby zostało przeniesione gdzie indziej. Wiele razy oglądał podobne reakcje. Właśnie coś w sobie uleczyła. W jego pracy było wiele tajemniczych rzeczy, których sam nie rozumiał, ale najbardziej cenił tajemnicę pierwszego dotknięcia prawdy. To były narodziny - stary, zmęczony człowiek umierał i na świecie się pojawiał nowy, który oddychając, zionął ogniem. Nie wiedział, co to za zmiana, ani dokąd mogła prowadzić, ale wiedział, że nastąpiła.

Julia była zatopiona w sobie. Czuła dziwny wewnętrzny spokój i pewność. Miała świadomość, że czegoś tu brakuje. Tak jakby próbowała odblokować nieużywaną od lat blokadę. I teraz ta blokada ustępuje...

Zaczerpnęła powietrza. Zdawało się jej, że jakaś zasłona spada z jej umysłu. Odżyła. Przeszedł ją dreszcz, bo nagle wszystko zaczęło nabierać sensu...

Jej ślepotą nie miała podłoża somatycznego.

Ale umysł zabraniał jej widzieć.

Najpierw winiła publiczność, potem wpadła na pomysł, żeby dowiedzieć się, co naprawdę wydarzyło się w noc jej debiutu.

Ale prawda jest taka... że nie musi wiedzieć, co spowodowało utratę wzroku...

Nie musi nic wiedzieć...

Nie musi...

Serce zaczęło bić jej mocniej, czuła ten dziwny zapach. Wielkie granitowe bloki pękały i przesuwwały się w jej wnętrzu. Poczula w oczach ciepło, wilgoć i ogarnęła ją jakaś gorzko-słodka radość, kiedy...

Wstrzymała oddech z nadzieją...

Promień jasnego światła pojawił się na horyzoncie, a jej powieki nagle zaczęły drgać.

Serce tłukło się w piersi, znów wstrzymała oddech, a pełna blasku luna otoczyła ją ciepłą, połyskującą mgiełką. Poczowała zawroty głowy. Cały kosmos był światłem. Nie musiała wiedzieć, co się stało, ani dlaczego, bo...

Widziała!

Wzięła głęboki oddech. Zobaczyła kształty... biurko, krzesła, niski stolik i przysadzistego mężczyznę z wąsem i brzuszkiem, który siedział naprzeciw i patrzył na nią z taką dobrocią, jakiej w niczyich oczach nigdy nie widziała.

Zaschło jej w gardle. Oblizwała spieczone usta. Uśmiechnęła się. Po wyrazie jego twarzy poznała, że zdawał sobie sprawę, że zdarzyło się coś niezwykłego.

- Tak? - zapytał.

- Widzę - wyszeptwała. A potem krzyknęła na całe gardło. - Widzę! - Podniosła się z fotela i podbiegła do niego.

Pożerała wzrokiem jego srebrnoszare wąsy, jasnoróżowe policzki, białą koszulę w drobną błękitną kratkę, lazurowe zdziwione oczy. Wstał, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję.

Po policzkach spływały jej łzy.

Objął ją i poczuł, jak bije jej serce - trzepotało jak uwolniony z klatki ptak.

- Julio, jestem taki szczęśliwy. Tak bardzo szczęśliwy. - Poczuł, że wzruszenie odbiera mu mowę. Poklepał ją po plecach.

Oderwała się od niego rozpromieniona.

- Nie musiałam dowiadywać się, dlaczego byłam niewidoma, prawda?

- Najwyraźniej nie. To się zdarza. Symptom staje się uboczny.

- Och, Orion! Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taki przystojny! - Patrzyła na jego szeroką twarz z dumnym orlim nosem. Potem rozejrzała się dokoła po kolorowym pomieszczeniu. Spoglądała na nieskazitelne meble w stylu królowej Anny. - Zdążyłam zapomnieć, że świat jest taki barwny. Bardzo mi tego brakowało.

Uśmiechając się, znów popatrzyła na niego. Czekał cierpliwie na dalszą reakcję.

Przechyliła głowę i jej wzrok zatrzymał się na jego twarzy. Przyglądała mu się z taką siłą i miłością, że czuł, jakby go tym wzrokiem unieruchomiła na zawsze. Patrząc w te oczy, rozumiał długoletnią bolesną izolację i samotność tej młodej kobiety. Przeszedł go zimny dreszcz.

Wtedy Julia zrobiła coś, co zbiło go z tropu. Wyciągnęła w jego stronę ręce i ujęła jego twarz w swoje dłonie.

- Widzący zawsze tak robią - powiedziała cicho. - Najpierw patrzą, a potem dotykają. Właśnie zachowałam się jak osoba widząca.

Przypomniało się jej, że ma jeszcze jeden powód do radości. Teraz będzie mogła znaleźć morderczynię matki. Przez chwilę marzyła o tym, żeby gołymi rękami zabić tę kobietę.

18.

W apartamencie na parterze eleganckiego budynku na Manhattanie paliła się tylko lampka na biurku w gabinecie. Maya Stern odłożyła słuchawkę na widełki, zgasiła lampkę i wyszła do holu. Wzięła swoją walizkę i poszła z nią do łazienki dla gości. Otrzymała nowe wytyczne od Creightona Redmonda.

Węch tej niewidomej był zbyt czuły. To może być niebezpieczne. Zmyła z siebie perfumy. Stojąc naprzeciw lustra, wyciągnęła swój pistolet smith & wesson kaliber trzydzieści osiem milimetrów, który nosiła w specjalnie zaprojektowanym futerale z płótna, na dolnym odcinku pleców. Numery seryjne zostały usunięte z broni. Była nie do wytropienia.

Maya miała teraz na sobie klasyczne szare spodnie od garnituru, czarną jedwabną bluzkę i płaskie czarne pantofle z miękkiej skórki. Ubrania były skromne i nie rzucały się w oczy, a co ważniejsze, czuła się w nich swobodnie. Makijaż pasował do prostego stroju - szminka w kolorze pastelowego różu i ciemny grafitowy cień na powiekach.

Nie potrafiła ocenić siebie w kategoriach piękna i brzydoty. Podobnie jak aktorka, myślała o swoim ciele jak o instrumencie, narzędziu, więc ubierała je i robiła makijaż odpowiednio do roli, jaką odgrywała. Lubiała to. Do pracy jako asystentka Julii Austrian postarała się o wygląd prosty i bezosobowy.

Otworzyła walizkę, wyciągnęła z niej tłumik, nakręciła na lufę trzydziestkiósemki. Uśmiechnęła się niemal rozmarzona.

Włożyła pistolet z powrotem do futerału. Z walizki wyciągnęła drugą trzydziestkęósemkę i sprawdziła zawartość magazynka. Pod spodnie na wszelki wypadek włożyła czarne leginsy, jako część przebrania awaryjnego. Drugi płócienny futerał na broń przymocowała do łydki. Do futerału włożyła następną trzydziestkęósemkę.

Do kieszeni marynarki schowała dwa obcięte koniuszki smoczków dla dzieci.

Na koniec wyjęła zestaw wytrychów. Każdy był w gumowej osłonce, żeby nie grzechotały. Je również wsunęła do kieszeni marynarki.

Teraz może już iść sprawdzić, co słychać u niewidomej. Creighton Redmond chciał wiedzieć, co dzieje się w gabinecie psychologa.

Odwróciła się na pięcie i wybiegła na korytarz. Wsiadła do windy. Za szklanymi drzwiami widziała portiera w zabawnej błękitnej liberii. Pieszczołtliwie musnęła guzik trzeciego piętra, po czym wcisnęła go z niecierpliwością.

Przestronny gabinet Oriona Grapolisa zdawał się zbyt mały, żeby pomieścić ogromną radość Julii. Widziała. Znowu wszystko było możliwe. Kiedy jednak pochłaniała wzrokiem jego łagodną twarz, przypomniało się coś znacznie ważniejszego - śmierć matki. Ból ścisnął jej pierś. Odzyskała wzrok, ale matce nie przywróciło to życia. To jej wina. Teraz musi wrócić do Londynu. Postanowiła współpracować ze Scotland Yardem, czy będą tego chcieli, czy nie. Ma pieniądze, żeby załatwić wszystko, co będzie trzeba, i na pewno znajdzie sposób, żeby wkupić się w łaski policji...

- Dokąd idziesz? - Orion Grapolis odwrócił się zaskoczony, widząc, że Julia ruszyła w stronę wyjścia.

- Muszę zadzwonić do nadinspektora policji, który pracuje nad sprawą zabójstwa mamy w Londynie. A potem muszę złapać taksówkę na lotnisko...

Orion roześmiał się.

- Nie lubisz marnować czasu. Od razu takie poważne sprawy. Usiądź.

Proszę. Ufałaś mi do tej pory, zaufaj mi do końca. Siadaj, Julio!

Zmarszczyła brwi.

- Nic nie rozumiesz...

- Julio, myślę, że rozumiem. Zachowujesz się, jak żaba, która wskoczyła do gorącej wody. Natychmiast wyskakujesz. Problem polega teraz na tym, że teraz będziesz unikać każdej wody, zarówno wrzątku, jak i wody chłodnej jak jesienny dzień. Musisz się nauczyć odróżniać wodę gorącą od zimnej, prawdę od fałszu, to, co możesz, i to, czego nie możesz zrobić.

Zdziwiona Julia opadła na fotel. Oczy Oriona błyszczały, jak gdyby właśnie otrzymał wymarzony prezent. Splótł dłonie na brzuchu i w zamyśleniu zaczął przebierać palcami. Promieniowało z niego ciepło i zrozumienie i Julia nie miała wątpliwości, że w tym okrągłym ciele nie ma miejsca na nieuczciwość. Nic dziwnego, że Edda tak go uwielbia.

Julia jednak nie mogła sobie pozwolić na zwłokę. Kiedy odzyskała wzrok w Londynie, długo trzymała dla siebie radosną nowinę, nie od razu pozwoliła matce dzielić z nią szczęście... Wystarczyło parę chwil, żeby było za późno. A potem nie uratowała matce życia. Musi odnaleźć morderczynię.

Z trudem mogła usiedzieć na miejscu.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Orion?

- Po pierwsze, nie ma sensu oskarżać się o to, że nie uratowałeś życia matce. Nie mogłaś kontrolować tego, czy widzisz, czy nie. - Wzruszył ramionami.

- Wiem, wiem. Wydaje ci się, że teraz wszystko rozumiesz. Ale nie mam tu kryształowej kuli, żeby przewidzieć twoją przyszłość...

- Orion!

Pokręcił głową.

- Wybacz mi. Po pierwsze, zaburzenie zwane zastąpieniem znane jest od dawna i przybiera różne formy. Podczas pierwszej wojny światowej odnotowano wiele przypadków nazwanych wtedy szokiem postrzałowym. Później, w czasie drugiej wojny światowej nazywano to stresem wojennym. W Wietnamie i w czasie operacji Pustynna Burza mogło to być częścią syndromu napięcia pourazowego. Niezależnie od nazwy podczas każdej wojny było kilku żołnierzy, którzy tracili władzę w nogach albo wzrok czy słuch bez urazu fizycznego. A jednak ci ludzie nie mogli się poruszać, widzieć czy słyszeć albo też ich „nerwy” trafił szlag i cały czas się trzęśli. Niektórzy wrócili do zdrowia. Nie wszyscy. Takie przypadki zdarzają się również w normalnym życiu. Ludzie, w większości wypadków młode kobiety, nagle nie mogą mówić, chodzić lub, jak to było z tobą, widzieć. Istnieje całkiem bogata dokumentacja medyczna...

- No i? - niecierpliwiła się.

- To wszystko są formy zastąpienia. Swego czasu zaburzenie to nazywano histerią, ale słowo „histeria” źle się kojarzy, więc Stowarzyszenie Psychiatrów Amerykańskich zmieniło nazwę na „zastąpienie”. Koniec końców, dolegliwość jest znana od dłuższego czasu. Prawdę mówiąc, od jakichś dwóch tysięcy lat w Indiach ajurwedzi leczą ją, lejąc na czoło chorego strumień mleka. W naszej, zachodniej kulturze od czasów Freuda stosuje się hipnozę, ale nawet ona nie zawsze przynosi rezultat.

- Przepraszam, Orion. Do czego zmierzasz?

- Umysł jest instrumentem bardzo skomplikowanym nawet dla najlepszych specjalistów wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt, ale pewne rzeczy wiemy na pewno. Na przykład, że zastąpienie jest stanem umysłu, w którym upośledzone funkcjonowanie ciała wynika z konfliktu psychologicznego bądź z psychicznej potrzeby.

- Wiem o tym...

Julii zdawało się, że usłyszała jakiś dźwięk. Ale odgłos był tak cichy, że może wcale go nie było. Przypominało to raczej czyjś oddech z tyłu, za plecami. Jej wyczulone uszy zdawały się go słyszeć. Ale to przecież niemożliwe. Nie odwróciła się, żeby sprawdzić drzwi wychodzące na korytarz.

Twarz Oriona posmutniała. Wiedział, że wszystkich cierpiących na zastąpienie łączyła pewna cecha wspólna - nieumiejętność wypowiedzenia głośno, czy choćby uświadomienia sobie, rozdzierającej rozpacz.

- Muszę cię uprzedzić, że nie mogę ci zagwarantować, że odzyskałaś wzrok na stałe. Możemy się tylko domyślać, że wzrok powrócił spontanicznie,

ponieważ jesteś gotowa stawić czoło przede wszystkim temu, co spowodowało jego utratę. Dopóki nie odnajdziesz w pamięci urazu, który - wszystko na to wskazuje - był bardzo silny, i nie poradzisz sobie z nim, istnieje poważne ryzyko, że jeśli coś ci o tym przypomni, na przykład twój pierścionek, możesz znowu stracić wzrok. Nie musisz, jednak istnieje taka możliwość. Symptom czasem powraca. Jeśli to się zdarzy, przypomnij sobie naszą sesję hipnotyczną. Powiedziałem ci, że możesz sama odzyskać wzrok, i to jest prawda. Nie mógłbym cię stąd wypuścić, zanim tego nie zrozumiesz.

Stojąca za uchylonymi drzwiami gabinetu Maya Stern nie słuchała, w jaki sposób Julia ma sobie radzić. Jej uwagę przykuło coś, co usłyszała wcześniej: „nie mogę ci zagwarantować, że odzyskałaś wzrok na stałe”. Ta informacja nią wstrząsnęła.

To znaczy, że Austrian znowu widzi.

Cichutko wyjęła wytrych z zamka i włożyła go do kieszeni. Pewnym ruchem wyciągnęła pistolet z futerału na plecach. Czowała, jak jej serce bije coraz wolniej. Przeszedł ją przyjemny dreszcz podniecenia.

- Za dwa tygodnie będę z powrotem i wtedy musisz do mnie przyjść - powiedział Orion. - Będziemy dalej pracować, aż odkryjesz uraz, który spowodował utratę wzroku.

- Dziękuję, Orion - powiedziała Julia. - Nie wiem, jak mam ci dziękować za to, co dla mnie zrobiłeś.

- Ten uśmiech wystarczy. - Przechylił głowę i jego szeroka twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. - Tak naprawdę dlatego właśnie wykonuję ten zawód...

Tym razem Julia była pewna. Jej czułe ucho wyłowiło jakiś dźwięk. Było coś jeszcze... słaby cień zapachu perfum Normy. Był tak nikły, że prawie niedostrzegalny, ale wdychała go wystarczająco długo w limuzynie, a potem w mieszkaniu. Zapach wrył się jej w pamięć. Odwróciła się zirytowana, że Norma ją śledzi. Pewnie zaczęła odchodzić od zmysłów i przekonana, że musi chronić swoją bezradną podopieczną...

- Norma! - krzyknęła Julia i spojrzała w szczelinę w drzwiach. Zamarła w bezruchu.

- Julia? O co chodzi? - zapytał Orion.

Twarz, która pojawiła się między drzwiami i framugą, była twarzą morderczyni jej matki: łukowate brwi, krótkie czarne włosy, zapadnięte policzki i czarne, zimne oczy, które zwęziły się, gdy ich właścicielka analizowała sytuację. Julia wpadła w furję. Wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin... potworna śmierć matki, utrata wzroku, głębokie poczucie winy... to wszystko razem wywołało wybuch agresji. Chciała zacisnąć ręce na szyi tej kobiety i ścisnąć tak, aż ujdzie z niej życie.

- Zabiję cię! - krzyknęła Julia i zerwała się z fotela.

Zobaczyła lufę pistoletu.

- Nie! - krzyknęła. - Stój! - Rzuciła się na podłogę za ogromnym fotelem. - Orion!...

Rozległo się głucho „puk”. Odwróciła się i spojrzała na psychologa w chwili, kiedy pierwsza kula trafiła go w serce. Po chwili padł drugi strzał.

Orion próbował zaczerpnąć powietrza. Czuł się, jakby samochód ciężarowy uderzył go w pierś. Ból drażył mu mózg, krew spływała po brzuchu. W tym momencie otworzyły się za Orionem drzwi.

Była to Edda Grapolis, żona psychologa.

- Julia! Dlaczego tak krzyczysz na Oriona? Chyba już czas na ciebie. Co tu się dzieje? Orion... - Edda zobaczyła osuwające się ciało, a na podłodze skuloną Julię. Zaczęła krzyczeć.

Julia miała wrażenie, że jeszcze raz przyszło jej przeżywać śmierć matki. Zdziwienie malujące się na pełnej dobroci twarzy Oriona. Ból, który wykrzywił jego rysy. Ręce, które podniosły się w niemal błagalnym geście. A potem opadły na zakrwawioną pierś i ześliznęły się na kolana. Wiedziała - powiedziała jej to jakaś część jej świadomości - że nie żył. Poczula rozdzierający ból. Ciepły, metaliczny zapach krwi unosił się w powietrzu. Zamordowano go!

A ona będzie następna.

W mgnieniu oka podniosła się z podłogi i rzuciła do ucieczki przez mieszkanie państwa Grapolis. Słyszała za plecami krzyki Eddy, ale nie zwracała na nie uwagi, tylko biegła korytarzem w stronę tylnych schodów. Boże! Przez nią zginął Orion!

Wbrew rozsądkowi, który mówił jej, żeby wrócić, zostać z Eddą, próbować ją pocieszyć, biegła.

Wszystko to rozegrało się w ciągu kilku sekund. Kiedy żona uklękła przy zmarłym psychologu, Maya Stern przez moment wahała się za uchylonymi drzwiami gabinetu. Zgodnie z poleceniem musi zabić Austrian, ale powinna upozorować wypadek. A przynajmniej zrobić to tak, żeby nikt nie mógł połączyć jej śmierci z Creightonem Redmondem.

Gdyby zabiła ją tutaj, musiałyby zabić również tę drugą kobietę, żonę Grapolisa. Potrójne morderstwo trafiłoby na pierwsze strony wszystkich gazet w kraju. Przeprowadzono by dochodzenie. Znaleźliby podejrzanych...

Edda Grapolis wyciągnęła przed siebie drżące, pokryte plamami ręce, jak gdyby były to czarodziejskie różdżki, które miały moc zmazania krwi, cofnięcia śmierci i zwrócenia jej ukochanego Oriona.

- Julio! - szepnęła, a potem krzyknęła. - Julio, coś ty zrobiła! O mój Boże!

Maya nie miała wątpliwości, że wytropi i zabije Julię Austrian. Austrian była amatorką. Nigdy nie uda jej się uciec wystarczająco daleko ani wystarczająco szybko. To tylko kwestia czasu. Teraz jednak Maya miała okazję pogorszyć

sytuację Austrian i wytłumaczyć morderstwo Oriona. Pomysł podsunęła jej wdowa po zmarłym...

Wytarła odciski palców i pchnęła broń po dywanie. Trzydziestkaósemka zatrzymała się przy fotelu, na którym siedziała Julia Austrian.

Maya uśmiechnęła się, zamknęła drzwi i wyciągnęła z futerału na łydce zapasową broń. Pobiegła na koniec korytarza. Energicznym ruchem otworzyła drzwi prowadzące na schody przeciwpożarowe, zbiegła na parter i wybiegła w chłodną, rześką noc. Natychmiast zauważyła Austrian.

Biegła przez Park Avenue, a jej jasnobrązowe włosy rozwiewał wiatr. Austrian miała na sobie granatowe spodnie i biały sweterek, który w świetle ulicznych latarni świecił jak neon. Nie miała samochodu, pieniędzy ani kart kredytowych. Niczego, co pomogłoby się jej bronić. Nie miała nawet monety, żeby móc zadzwonić.

Maya uśmiechnęła się znowu i przyspieszyła. Dobra Austrian to martwa Austrian.

Część druga

Sam Keeline

19.

19.02, SOBOTA
NOWY JORK

Sam Keeline jechał Park Avenue na północ, rozglądając się za miejscem, gdzie można by zaparkować. Prawie nie zauważył ani wielkich budynków mieszkalnych w tej ekskluzywnej dzielnicy, ani przechodniów. Myślał tylko o jednym, o czekającym go spotkaniu z Julią Austrian.

W pobliżu budynku z czerwonego granitu, siedziby Towarzystwa Azjatyckiego, wrócił myślami do Bursztynowej Komnaty. Kiedy skończyła się wojna, zaczęły krążyć plotki...

Zgodnie zjedną z nich oficerowie SS zmusili więźniów radzieckich, aby ukryli Bursztynową Komnatę, po czym ich rozstrzelali. Inna plotka głosiła, że SS wywiozło komnatę przez podziemny tunel łączący Królewiec z Berlinem - pomysł całkowicie absurdalny, ale dużo mówiący o tym, jakie emocje budziła Bursztynowa Komnata. Niektórzy sądzili, że kurator zamku w Królewcu ukrył komnatę gdzieś poza miastem, a potem oszukał Rosjan, twierdząc, że komnata zaginęła. Wreszcie, ponieważ żołnierze amerykańscy wszystkie łupy wojenne wysyłali do Stanów, istniała taka wersja wydarzeń, zgodnie z którą Niemcy ukryli komnatę w jednej z kopalni soli, w Grasleben albo w Merkers, gdzie znaleźli ją Amerykanie i potajemnie wywieźli do Stanów. Zgodnie z jeszcze inną wersją komnatę znaleźli radzieccy oficerowie i w tajemnicy przetransportowali ją na Kreml, gdzie ukryto ją w podziemiach i kto wie, co się z nią stało.

Sam myślał o ogromnej ilości bursztynu - w sumie o powierzchni jakichś stu metrów kwadratowych. Nigdy nie był człowiekiem religijnym, ale teraz modlił się, żeby Julia Austrian była w posiadaniu informacji o Bursztynowej Komnacie. Jej mieszkanie znajdowało się tylko dwie przecznice dalej.

Zdecydował, że jeśli nawet nie będzie chciała nic mu powiedzieć, znajdzie sposób, żeby to z niej jakoś wydobyć. Oczywiście pieniądze nie wchodziły w grę; była na to zbyt bogata. Ale może mógł ją jakoś przechytrzyć. Albo zastraszyć. Rzecz jasna, zawsze istniała możliwość, że przekona ją jego argumentacja. Chociaż Sam w to wątpił: ludzie bogaci kierowali się własną logiką. Próbował pozbyć się uprzedzeń, ale też przygotowywał się na kłody, które Julia Austrian będzie chciała mu rzucić pod nogi. Omal nie przegapił przedziwnej sceny rozgrywającej się na ulicy...

Zwolnił. Najpierw pomyślał, że się pomylił. Kobieta przypominała Julię Austrian - szczupłą, długie złotobrzowe włosy. Ale biegła chodnikiem wzdłuż Park Avenue tak szybko, jakby ścigał ją rosyjski MIG. Sposób, w jaki omijała ludzi, świadczył o tym, że dokładnie wie, dokąd biegnie. Udało mu się dostrzec jej twarz - ogromne oczy, ładny nos, wyniosły profil. Pełne usta były lekko rozchyłone, a ciemne brwi uniesione w wyrazie przerażenia i wściekłości. Biegła jak szalona. Co chwila wbiegała na ulicę, próbując zatrzymać taksówkę.

To nie mogła być Julia Austrian. Julia Austrian jest niewidoma.

Przypomniało mu się, że w materiałach o Austrian wyczytał, że kobieta systematycznie ćwiczy, między innymi podnoszenie ciężarów, w salach gimnastycznych luksusowych hoteli, w których się zatrzymuje... Dbłość o siłę i kondycję stanowiła poważną część jej życia zawodowego. Tylko dzięki sprawności fizycznej mogła sprostać tak trudnym utworom, jak na przykład trzeci koncert Rachmaninowa.

Ale nawet gdyby... Kto mógł ją gonić? Po co?

Wtedy zobaczył pościg - brunetkę w ciemnoszarych, klasycznie skrojonych spodniach. Prawie nie było jej widać na tle miasta, kolorem stroju wtapiała się w szarówkę wieczoru. Zdradzała ją tylko prędkość. Sam pomyślał, że spod jej stóp mogłaby się wydobywać biała smuga, jaką zostawia za sobą odrzutowiec.

Przy takiej szybkości wkrótce dogoni Austrian...

Przerażenie i złość dawały Julii siłę. Próbowała uciec od kobiety, która zabiła jej matkę. I Oriona. A teraz chciała zabić ją. Czowała, że ze strachu ma ściśnięty żołądek. W skroniach pulsowała jej krew.

Biegnij. Biegnij.

Szybciej. Szybciej.

Rozglądała się po ulicy zdezorientowana. Za dużo rzeczy ją rozpraszało.

Tak długo była niewidoma, że psychologiczne „filtry”, które zazwyczaj pozwalają nie rejestrować nadmiaru bodźców, jakich dostarcza ulica, u niej nie działały.

Pospiesz się. Musisz biec szybciej!

Za dużo się dzieje. Trąbiące samochody. Zmęczone twarze.

Krawężniki. Czyjeś szybkie kroki. Betonowe murki. Latarnie. Rozkapryśzone dzieci. Psy na smyczy wyprowadzone na wieczorny spacer. Rozzłoszczeni ludzie przeklinający ją, że ich niechęć popchnęła. A ona chciała tylko ująć z życiem.

Nie może sobie pozwolić, żeby się zatrzymać i złapać taksówkę. Trzeba z tego zrezygnować. Zresztą i tak nie miałyby czym zapłacić.

Szybciej! Szybciej!

Tak tęskniła za światem widzących. A teraz nie ma czasu, żeby mu się przyrzec.

Wokoło tyle się zmieniło. Czowała się zagubiona. W sali koncertowej i w gabinecie Oriona nie miała okazji widzieć tych zmian... Boże, Orion nie żyje. Biegając, próbowała pozbyć się wspomnienia tego potwornego morderstwa. Nie potrafiła o tym myśleć. Teraz musi się skoncentrować na tym, żeby szybciej poruszać nogami.

Przyspieszyła. Czowała ból w płucach. Wszystko, na czym spoczął jej wzrok, było oznaczone piętnem zmiany. Inne były ubrania, dziwne fryzury, a nawet niektóre budynki, chociaż na tym odcinku Park Avenue większość budowli była męcząco podobna. Rozśmieszyła ją stateczność.

Przypomniała sobie, że kiedy ostatni raz widziała budynek pod numerem siedemset czterdzieści, był pokryty rusztowaniami i siatkami. Dziś należał do najbardziej imponujących na Manhattanie, ale Julia dobrze pamiętała, jaki był mroczny i posępny przed wykończeniem. Teraz piaskowiec w grafitowym kolorze aż lśnił.

Nie zwalniam. Przestań myśleć. Biegnij. Biegnij. Biegnij.

Musi się do tego wszystkiego przyzwyczaić. Natychmiast.

Spływał z niej pot. Obejrzała się przez ramię. Morderczyni zbliżała się. W żyłach Julii pulsowało przerażenie. Za chwilę ją zastrzeli. Umrze.

Nie zwalniam, Julia wpadła na Siedemdziesiątą ulicę na czerwonym świetle. Odezwały się klaksony. Zapiszczały opony. Wpadła między samochody.

- Idiotka! - krzyknął kierowca jakiegoś samochodu z platformą.

- Rąbnięta dziwka! - wrzasnął ktoś inny.

Ale udało się jej. Teraz biegła na wschód w kierunku Lexington Avenue.

- Proszę pani! Pani Austrian! - Jakiś męski głos wołał ją z ulicy.

Nie odwróciła się. Skoncentrowała się na swoich stopach.

Biegnij. Biegnij. Biegnij. Oddychaj!

Mięśnie drżały jej z napięcia. Zwalnia. Nie uda się jej...

- Pani Austrian!

Chciała zignorować ten głos, ale obejrzała się. Nie miała na to czasu, musiała jednak sprawdzić. Pojawiła się iskierka nadziei, bo udało się jej nieco zwiększyć

dystans. Zabójczym musiała stracić trochę czasu, kiedy przebiegała na drugą stronę ulicy.

- Pani Austrian! Jestem Sam Keeline. Dzwoniłem, pamięta pani? - Sam patrzył na nią. Był pewien, że to Julia.

Kiedy nagle odwróciła głowę i spojrzała w jego stronę, zamarł pod siłą tego spojrzenia. Twarz miała błyszczącą od potu, co tylko podkreślało piękno jej rysów i zmysłowe usta. Długie złote włosy były pospłytywane. Miała płaski brzuch, jędrny biust i poruszała się z gibkością, która sprawiła, że oczami wyobraźni widział się już na piaszczystej plaży w ciepłym słońcu, i zrobiło mu się gorąco.

Kiedy Julia się odwróciła, zobaczyła samochód w kolorze wina podobny do jeepa. Jechał równo z nią. Siedzący za kierownicą mężczyzna przechylał się w stronę otwartego okna pasażera. Miał szczerą twarz, włosy w kolorze piasku i zafrasowaną minę. Chyba go nie znała, spojrzała w jego oczy. Były szare, głęboko osadzone i pełne życia. Poza tym mężczyzna w samochodzie promieniował jakimś dzikim, pierwotnym magnetyzmem. Miał niebezpieczną twarz.

Krzyknął do niej ponownie:

- Sam Keeline, proszę sobie przypomnieć! - Podniósł do okna jakąś plakietkę. - Jestem z CIA. Niech pani wsiada. Pomogę pani!

Pomoże jej? Jasne. Co za zbieg okoliczności. Nagle pojawia się agent CIA, żeby uratować jej życie?

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie, po czym przestała na niego zwracać uwagę. Chciała dobiec do Lexington Avenue. Tlen rozrywał jej płuca. Jak długo jeszcze da radę uciekać? Przywykła do ćwiczeń, ale zaczęła się obawiać, że zwycięstwo w tym brutalnym biegu jest ponad jej siły.

Sam zwolnił pedał gazu, żeby dostosować prędkość samochodu do tempa Austrian. Julia miała na sobie granatowe spodnie i biały sweterek, który za każdym razem, kiedy wychodziła z cienia, niemal świecił. Biegła wąską ulicą zabudowaną ślicznymi starymi willami z weneckimi oknami i furtkami z kutego żelaza.

Tymczasem dystans między nią i goniącą ją kobietą znowu zaczął się zmniejszać. Czarnowłosa kobieta kilkakrotnie podnosiła pistolet, ale strumień przechodniów nie pozwalał jej strzelić. Obie kobiety co chwila wpadały na ludzi, przepychały się między nimi, wymijały ich szaleńczym slalomem i zostawiały w tyle falę przekleństw pod swoim adresem.

Sam był zły, bo raz po raz coś mu zasłaniało widok. W pewnej chwili jednak na ulicy zrobiło się pusto, jakby rozstąpiło się Morze Czerwone; większość przechodniów zeszała ze środka chodnika. Szli w kierunku budynków albo zatrzymali się przy samochodach.

Napastniczka mogła w końcu oddać strzał. Podniosła broń.

Plec Austrian w białym sweterku stanowiły doskonały cel.

Sam zareagował instynktownie. Nie mógł pozwolić, aby skrzywdzono tę kobietę. Chciał znaleźć Bursztynową Komnatę, a Austrian mogła coś o niej wiedzieć.

Kiedy tłum się rozstał, Keeline wykręcił kierownicę w prawo i wjechał na krawężnik.

Piesi podnieśli krzyk i wbiegli na środek chodnika. Dostawca pizzy na rowerze zahamował nagle i przeleciał nad kierownicą. Pudełko z pizzą wylądowało kilka metrów dalej.

Julia odwróciła się zaskoczona. Zrozumiała, co się wydarzyło, i zorientowała się, że to może jej ostatnia szansa, żeby uciec. Podniosła rower, wskoczyła na niego i pojechała dalej Siedemdziesiątą ulicą. Oddychała płytko, a jej oddech zamieniał się w obłoczek pary na zimnym powietrzu.

Na ulicy zawrzało. Zapiszczały opony. Roztrąbiły się klaksony. Pozbawiony roweru roznosiciel pizzy, oszołomiony zerwał się na nogi i zaczął głośno kłać. Ale Julia już skręcała w Lexington Avenue.

- Zdejmij sweter! - krzyknęła za nią Sam, kiedy zniknęła za rogiem.

Biegnąca za nią kobieta nie zwalniała. Kiedy Sam wysiadł ze swojego samochodu, wskoczyła na maskę wozu i przeturlała się po niej, jakby nic innego nie robiła przez całe życie. Kiedy była na masce, ich oczy spotkały się na chwilę i Sam dostrzegł w tym chłodnym, pozbawionym uczuć spojrzeniu błysk, jakby go rozpoznała. Trwało to ułamek sekundy, ale Sam również przeżył chwilę olśnienia - on również skądś ją znał.

Próbował umiejscowić jej twarz gdzieś we wspomnieniach: zimne oczy, krótkie czarne włosy. Kiedyś te włosy nie były czarne ani krótkie. Miała ostre, regularne rysy. Ta zbyt doskonała twarz sprawiała wrażenie, jakby była wykuta w bryle lodu. Wystające kości policzkowe, a pod nimi zapadnięte policzki. Patrząc na jej ruchy, można było stwierdzić, że ma świetnie zbudowane ciało. Zależało jej jednak na tym, żeby wyglądać zwyczajnie, jej ubranie było luźne i nieeleganckie. Ta kobieta przywykła oszukiwać cały świat. Stąd ją zna? Może z czasów, gdy pracował dla Firmy jako agent w terenie?

Zauważył, że któryś z przechodniów wyciąga telefon komórkowy. Dawno minęły dni, kiedy na ulicach Nowego Jorku panowała znieczulica i przechodnie byli ślepi i głusi na to, co się działo dokoła.

Sam mógł wyciągnąć pistolet i zastrzelić tę kobietę, ale chciał wiedzieć, czego ona chce od Austrian.

Kiedy wylądowała na nogach po tej stronie samochodu, po której stał, złapał ją chwytem zwanym nożycami *hasami-zuki*.

Z zaskakującą siłą założyła mu blokadę ramionami, pochyliła się, podniosła pistolet i położyła palec na spuście.

Zrobił coś niedopuszczalnego, wszedł jej w drogę. Zamierzała go zabić.

Ludzie dokoła zamarli w bezruchu.

Z całej siły podbił jej nadgarstek pięścią. Pistolet upadł na chodnik.

- Kim jesteś? Czego chcesz od Julii Austrian?

Odchyliła się i z niebywałą szybkością kopnęła go w klatkę piersiową, *yoko fumikiri*.

Odsunął się dokładnie w tym samym momencie i to złagodziło siłę uderzenia. Chwyił ją za stopę i wykręcił. Upadła.

Nagle zawyły syreny. Policja.

- Zatrzymajcie go! - krzyknęła jakaś kobieta w tłumie.

- Patrzcie, co on jej robi! - skrzeczał inny głos.

- Hej, palancie!

Pomiędzy niego i kobietę wdarł się rozwścieczony tłum. Sam zaczął się przepychać między ludźmi.

Tymczasem kobieta podniosła pistolet i już się oddalała, trzymając broń nisko, żeby nie zwracać niczyjej uwagi.

- Trzymajcie go! Nie pozwólcie mu uciec!

Czyjeś ręce szarpały go za ubranie, chwytaly za ramiona. Wyrwał się i przerażony zaczął się rozglądać za Julią Austrian.

Julii zdawało się, że pękną jej płuca, nie mogła jednak się zatrzymać. Miała pewien plan i była gotowa zrobić wszystko, żeby dotrzeć, tam, gdzie zamierzała. Ktoś musiał odpowiedzieć za Normę, o ile naprawdę tak ma na imię.

Tylko strach pozwalał jej jeszcze pędzić na rowerze przez zatłoczoną ulicę. Teraz wiedziała, że śmierć matki nie była wypadkiem. Nie mogła być, skoro zabójczyni przyjechała za nią aż do Stanów i zadała sobie trud, żeby zostać jej asystentką.

Gdyby morderczyni sądziła, że Julia nadal jest niewidoma, nie śledziłaby jej. Jeśli zaś wiedziała, że Julia będzie mogła ją rozpoznać, dlaczego nie zabiła jej od razu, gdy tylko znalazły się same w mieszkaniu?

Julia nic z tego nie rozumiała, była przerażona i wściekła i to dodawało jej sił. Pedalowała jak szalona. Spojrzała w górę i zobaczyła odwrócone srebrne płatki na szczycie budynku Chryslera.

To wszystko nie ma sensu. Skąd zabójczyni miałyby wiedzieć, że Julia potrzebuje asystentki? Skąd dowiedziała się o agencji pośrednictwa pracy?

Złana potem Julia wymijała samochody. Jechała na południe Lexington Avenue. Minęła stary sklep z zabawkami, w którym teraz sprzedawano zwierzęta. Minęła starą ogromną księgarnię Daltona, która teraz była sklepem Hallmarku. Wszędzie zmiany. Trudno się w nich połąpać.

Ludzie z kółkami w nosach. I w wargach. Tatuáže. Kolorowe włosy. Wąskie ramiona. Dziwaczne ubrania.

Ale to wszystko nie ma znaczenia.

Była na skraju wyczerpania. Próbowwała nie poddać się chaosowi panującemu w jej głowie. Musi walczyć o życie. Miała ochotę paść na chodnik i przytulić głowę do chłodnego betonu.

Szybciej. Szybciej. Szybciej.

Jedyną osobą powiązaną z morderczynią był wuj Brice. To on kontaktował się z agencją pośrednictwa pracy. To on wynajął tę „asystentkę”.

Była bliska celu - wejścia do metra przy Sześćdziesiątej Ósmej ulicy. Przystanek Hunter College. Dysząc, zaryzykowała i spojrzała za siebie.

Chodnikiem biegła za nią Maya Stern. Biały sweter Julii świecił w ciemności. Stern spostrzegła go bez trudu. Złana potem lekko się uśmiechała, zadowolona z siły swoich mięśni. Nie mogła już się doczekać chwili, kiedy będzie zabijać. Bo już doganiała Julię. Austrian, mimo że na rowerze, straciła dużo czasu, przebijając się między samochodami, a chodnik był prawie pusty.

Julia z przerażeniem zauważyła, że morderczyni jest już blisko. Widziała w mroku jej sylwetkę. Zeskoczyła z roweru i zbiegła po schodach. Metro wyglądało inaczej, niż je zapamiętała. Przed wszystkim było czystiej. Na wyłożonych kafelkami ścianach niewiele było graffiti. Pasażerowie wkładali plastikowe karty do czytników, żeby przepuściły ich metalowe bramki. Pełna automatyka.

To nie ma znaczenia. To, że wszystko wygląda inaczej, nie ma znaczenia.

Nie zatrzymuj się! Biegnij!

Nie potrzebowała pieniędzy. Wiedziała, jak sobie poradzić. W końcu urodziła się w Nowym Jorku...

Stała za mężczyzną w długim płaszczu, przycisnęła się do niego tak, że czuła zapach jego wody po goleniu. Old Spice. Na peron poziom niżej z łoskotem wjechał pociąg w stronę centrum.

Metalowa barierka otworzyła się. Mężczyzna obejrzał się za siebie zirytowany, że ktoś wchodzi za jego pieniądze, ale w jej twarzy dostrzegł coś, co nie pozwoliło mu protestować. Zamknął otwarte już usta, szybko przeszedł i usunął się jej z drogi.

Wyprzedziła go i biegła na dół, na peron dla pociągów jadących w stronę centrum. Wpadała na ludzi. Klęli i usuwali się jej z drogi. W nozdrza uderzyła ją mieszanka nieprzyjemnych zapachów. Stęchlizna, mocz, chlor.

Zbiegła na dół i znalazła miejsce, gdzie nie było ludzi. Nic nie przeszkodzi jej wsiąść do pociągu. Znowu poczuła przyływ nadziei. I wtedy obok ucha świsnęła jej kula...

Sam Keeline wjechał na parking przy Sześćdziesiątej Ósmej, wyskoczył z samochodu i zaczął biec. Zobaczył, jak obie kobiety znikają na schodach prowadzących do metra. Z bijącym sercem popędził za nimi.

Napastniczka zatrzymała się na szczycie schodów przed metalowymi bramkami i stamtąd zobaczyła biały sweter Julii Austrian. Oparła się o ścianę,

wycelowala i strzelila jednym płynnym ciągiem ruchów, które potwierdzały tylko, jak świetnie jest wyszkolona. Tropienie i zabijanie najwyraźniej nie były dla niej niczym niezwykłym.

Dźwięk strzału w uszach Julii zabrzmiał jak grzmot, ale pędziła dalej, jakby w jej żyłach płynęła adrenalina. Biegła wzdłuż peronu. Ludzie na stacji rozglądali się zdezorientowani, nie wiedzieli, skąd padł strzał. Wpadli w panikę, większość rzuciła się do wyjścia, kilka osób pobiegło na koniec peronu. Przerażeni mijali Sama, a on przepychał się między nimi do schodów. Wtedy kobieta goniąca Julię Austrian oddała drugi strzał.

Usłyszał krzyk. Ktoś w tłumie poniżej został trafiony.

Austrian?

Kiedy pociąg opuścił stację, napastniczka ruszyła w dół pod prąd tłumy, który chciał się wydostać z metra. Sam nie spuszczał z niej wzroku i przepychał się za nią, również walcząc z napierającym tłumem. Z niczym nie da się porównać masy ludzi ogarniętych paniką. Strach to choroba zakaźna. Atakuje umysł i system nerwowy, burzy równowagę psychiczną. Jedyne wytchnienie daje ucieczka. Sam doświadczył tego na własnej skórze. Kusiło go, żeby zawrócić i uciekać w górę, w strefę bezpieczeństwa, zapomnieć o Julii Austrian, zapomnieć o Bursztynowej Komnacie. Zapomnieć o Irini. Nigdy.

Nie lubił się nad tym zastanawiać, ale w głębi duszy czuł potrzebę uratowania kogoś. Teraz, kiedy rzeczywiście mógł ocalić czyjeś życie, ta potrzeba stała się jedyną motywacją. Chciał uratować Irini. Uratować Austrian. Znowu chciał móc spojrzeć w lustro.

Dogonił napastniczkę, ramieniem uderzył ją na wysokości żołądka. Siła jej umięśnionego ciała zdziwiła go. Popchnął ją na ścianę.

Jej reakcja była zaskakująco szybka, jak u wściekłego kota. Kobieta łokciem wymierzyła mu paraliżujący cios w brodę i skierowała lufę swojej trzydziestkiósemki w jego stronę. Jak w zwolnionym tempie widział, jak bieleje jej palec zaciśnięty na cynglu.

Uchylił głowę. Kula minęła go tak blisko, że oparzyła mu skórę na prawej skroni. Oszołomił go huk.

Kilka sekund zabrało mu odzyskanie przytomności umysłu, ale brunetka już zdążyła uciec. Jak widmo przemknęła pośród zbitych w tłum pasażerów, ogarniętych jeszcze większą paniką i potrzebą wydostania się stąd.

Sam zauważył mężczyznę w dżinsach i drelichowej koszuli leżącego na peronie. Był ranny w nogę. Nad nim pochylało się kilka osób. To znaczy, że Julia Austrian nie została trafiona. Udało jej się wsiąść do pociągu.

Sam dalej biegł w dół. Na peron wjechał kolejny pociąg. Kiedy otworzyły się drzwi, z pociągu wylał się tłum ludzi, wypełniając metro zapachem wełny i potu. Keeline zaczął przedzierać się przez ciżbę, wypatrując czarnowłosej napastniczki. A niech to! Gdzie ona się podziała?

20.

19.42, SOBOTA

Maya Stern znalazła się w pułapce. Widziała, jak Austrian wskakuje do pierwszego wagonu i jak zamykają się za nią drzwi. Nie było sensu wsiadać do następnego wagonu, bo nie uda jej się stwierdzić, na której stacji Austrian wysiadła. Musi natychmiast wydostać się z metra i zadzwonić do Creightona Redmonda.

Nie udało się jej. Była wściekła.

Szybko jednak pozbyła się bezużytecznych emocji. Na pocieszenie przypomniała sobie długą listę swoich sukcesów. Prezes firmy produkującej napoje na amerykańskiej licencji, jak podejrzewano, zabity przez terrorystów podczas wizyty w Ekwadorze. Niewygodna żona pewnego dyrektora generalnego międzynarodowego konsorcjum bankowego, która przypadkowo utonęła w basenie uzdrowiska w Nowym Meksyku. Wrogowie polityczni, konkurenci w interesach, ludzie którym ktoś był winien pieniądze, irytujący ekskochankowie... Wszyscy oni zginęli z jej ręki. Zanim zaczęła działać, opracowywała plany. Usuwała „cele” z łatwością, która była wynikiem długoletniego doświadczenia. Oczywiście płacono jej za to hojnie. Czerpała satysfakcję z dobrze wykonanej pracy.

Teraz z właściwym sobie opanowaniem i dystansem wtopiła się w tłum ludzi wychodzących z metra. Przypomniało się jej, skąd zna tego człowieka z Firmy, który przedstawiał się jako Sam Keeline. To było wiele lat temu w Berlinie. Nosił wtedy inne nazwisko. Walczył z nią w taki sposób, że mogła się domyślać, że ten facet nie będzie się z nią bawił w towarzyskie subtelnosci. Co niewątpliwie stanowiło pewien problem.

Nie był to jedyny problem. Stacja metra wkrótce zostanie zamknięta. Władze zatrzymają wszystkich wewnątrz, żeby zebrać zeznania od świadków strzelaniny.

Keeline pewnie został gdzieś na peronie, z tyłu, ale w tym tłumie spanikowanych ludzi może ją jeszcze dogonić. Musi szybko stąd się wydostać, ale tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Kiedy dotarła do schodów prowadzących na górę, na poziom, gdzie znajdowały się bramki, nie weszła na nie, tylko minęła je i poszła pod prąd tłoczących się pasażerów, którzy nacierali z końca peronu.

Równocześnie niepostrzeżenie i skutecznie pracowała nad swoim wyglądem. Najpierw rozsmarowała makijaż na górnej powiece, tak że powieki zrobiły się brudno-brązowe. Potem rozmazała tusz i cienie na policzkach, dzięki czemu jej twarz wyglądała na brudną. Z kieszeni wyciągnęła dwa czubki dziecięcych

smoczków. Włożyła je w dziurki w nosie, tak że nozdrza wydawały się szersze. Opuściła dolną szczękę o jakieś pół centymetra i wysunęła ją do przodu. Wyglądała teraz jak niedorozwinięta żebraczka. Doskonale wiedziała, jak wygląda, bo było to jedno z wielu przetestowanych przez nią wcieleń. Dzięki nim stała się tak cenionym pracownikiem. Nawet brat nie poznałby jej po takiej transformacji.

Zdjęła szary klasyczny żakiet, odwróciła go na drugą stronę i założyła z powrotem. Z tej strony miał kolor zgniłej zieleni i był poplamiony. Ukryta w tłumie rozpięła zamki spodni wszyte na całej długości zewnętrznej strony nogawki. Zrzuciła spodnie. Pod spodem miała czarne legginsy. Spod podszewki spodni wyciągnęła czapeczkę z cieniutkiej dzianiny, a to, co z nich zostało, rzuciła na tory. Za chwilę nie będzie po nich śladu. Włosy ukryła pod czapeczką.

Transformacja została zakończona. Stała się kloszardem - brudna i odpychająca w poplamionej marynarce, zniszczonych legginsach i powyciąganej czapeczce. Była jednym z wielu ludzi ulicy, przezroczystych: nikt na nich nie zwraca uwagi, mimo że są nieodłączną częścią wszystkich metropolii.

Zawróciła razem z rozpierzchającym się już tłumem i po schodach weszła na poziom, gdzie znajdowały się metalowe bramki. Ten Keeline, jeśli jest mądry, może wybiec za nią na górę. Rozejrzała się dokoła, żeby upewnić się, że nikt się nią nie interesuje. Zadowolona wraz z tłumem wchodziła po schodach. Już czuć było powiew świeżego powietrza. Rozluźniła się. Policji nigdzie nie było.

Wtedy zobaczyła Keeline'a. Stał na górze i z uwagą przyglądał się twarzom wychodzących. Zdenerwowała się. Nie chodziło tylko o to, że Keeline już wiedział, że ma do czynienia z przeciwnikiem dorównującym mu pod względem siły fizycznej. Chodziło raczej o to, że sprawiał wrażenie człowieka wytraconego z równowagi. Umiała wprawdzie bezbłędnie ocenić sytuację i błyskawicznie podejmować decyzje, ale niewiele wiedziała o uczuciach innych ludzi. Jedyne, co mogła o nim powiedzieć, to to, że był nieprzewidywalny, a przez to bardzo niebezpieczny.

Jeśli znów się wtrąci w jej sprawy, zabije go.

Schyliła głowę i ugięła kolana, żeby wyglądać na niższą i dalej wchodziła po schodach.

Niemal czuła na sobie pytające spojrzenie Keeline'a. Miała doskonały wzrok i widziała jego postać kątem oka. Kiedy mijała go, spojrzała na niego spod spuszczonej rzesy. Stał nieruchomo i przyglądał się jej zaskoczony. Przestraszyła się. Wysunęła szczękę mocniej do przodu i napięła mięśnie policzków, żeby były prawie płaskie. Głowę spuściła pokornie.

Keeline zmarszczył brwi. Szła dalej. Już zniknął jej z pola widzenia. Czuła na karku powiew grożącego wciąż niebezpieczeństwa. Szedł za nią?

Niezręcznie byłoby do niego strzelać, mając dokoła taki tłum ludzi. Włożyła rękę pod marynarkę i położyła dłoń na sztylcie przytroczonym do paska rajstop. Jeszcze niżej pochyliła głowę i ukradkiem obejrzała się przez ramię.

Keeline stał w miejscu i już na nią nie patrzył. Przyglądał się z uwagą ostatnim wychodzącym.

Rozluźniła dłoń na sztylcie. Uśmiechnęła się.

18.42 CZASU CENTRALNEGO, SOBOTA GDZIEŚ NAD ŚRODKOWYM ZACHODEM

Silniki odrzutowca szumiały cicho. Ich dźwięk działał kojąco na kandydata na prezydenta Creightona Redmonda. Dawał mu dziwne poczucie błogości i spokoju, znane nawet najbardziej cynicznemu politykowi i każdemu wyczerpanemu biznesmenowi: dopóki gra się toczy, wszystko jest jeszcze możliwe.

Jednak ten błogostan nie trwał długo. Świadomość uciekającego czasu dopadła Creightona i przeszła lodowatym dreszczem. Do wyborów zostały jeszcze tylko trzy dni, a tak dużo było do zrobienia. I tak wiele spraw mogło pójść nie tak, jak powinny.

Wyprostował się i wyjrzał przez okno. Luksusowy samolot odrzutowy, przeznaczony na potrzeby kampanii leciał na zachód. Jutro czeka Creightona długi, wyczerpujący dzień spotkań przedwyborczych w jednym z kluczowych stanów. Żona z dwojgiem najmłodszych dzieci lecieli razem z nim w prywatnej, odizolowanej kabinie znajdującej się za jego plecami. Żona pewnie próbowała się zdrzemnąć z zatyczkami w uszach, a dzieci non stop grały w swoje gry elektroniczne. Cała trójka będzie jutro ważnym elementem tłą. Zza szczelnie zamkniętych drzwi nie dobiegały głosy pracowników sztabu. Rozmawiali o strategii, oglądali ostatnie reklamy telewizyjne i dopracowywali jutrzejsze przemówienia.

Creighton uśmiechnął się zamyślony. Przypomniawszy sobie, że tajny plan szedł nawet lepiej, niż się spodziewał. Trzeba pogratulować Vince'owi jego pomysłowości w wykorzystywaniu pozycji w Firmie. Syn udowodnił, że zasługuje na to, żeby awansować na dyrektora CIA. Poza ojcem ma również innych zwolenników. Nie powinno być z tym problemów, a tradycyjny „miesiąc miodowy” po wyborach pozwoli panie młodej, czyli senatowi, ochłonąć.

Kiedy Redmond o tym myślał, wygrana w wyborach wydawała mu się nieunikniona. Wszystko szło tak pomyślnie, że nawet jedyny zgrzyt - śmierć Marguerite - obrócił się na jego korzyść.

Gdy za oknami odrzutowca pojawiła się ziemia Creighton zamknął opasy tom z materiałami. Przygotowywał się do dyskusji o najważniejszych problemach

Kalifornii - zamknięciu baz wojskowych, sporze na temat wycinania lasów i federalnego programu ochrony przyrody. Umysł Creightona był przyzwyczajony do opasłych tomów prawniczych, pokrętnie przedstawianych opinii, dwuznacznych cytatów i grubych teczek z aktami. Księgi z materiałami, które przygotowali dla niego eksperci, były lekturą łatwą i przyjemną jak powieść. Traktował umysł jak aktywa - należało go ćwiczyć, wzbogacać i robić z niego użytek.

- Mam te dane, panie sędzio. - Mario Garcia, specjalista do spraw mediów, szedł do niego między siedzeniami.

- Czas najwyższy.

- Tak, sir. - Mario opadł na fotel naprzeciw Creightona. Był wypranym z osobowości człowiekiem, którego największą fascynacją stanowiła statystyka.

- Jak wyglądają ostatnie wyniki sondaży?

- Po popołudniowej konferencji prasowej pańskie notowania skoczyły o kolejne pół punktu.

To jest wiadomość.

- Świetnie.

- Ale godzinę później Powers również zorganizował konferencję prasową - mówił dalej Mario. - W wieczornych wiadomościach pokazywano wyjątki zarówno z pańskiej konferencji, jak i z jego...

- Noi?

Mario westchnął.

- Powers robił wrażenie zatroskanego. Publicznie przekazał panu i pańskiej rodzinie wyrazy współczucia. Zostało to odebrane jako szczery, ludzki odruch. Otoczył się rodziną i zostało to odczytane tak jakby cały naród traktował jak rodzinę. Nie wyłączając pana...

- Jaki jest cholerny ostatni wynik?

- Stracił pan te pół punktu, które zyskał pan po południu.

- Co za naród!

- Doug Powers jest urodzonym dyplomatą.

Creighton kiwnął głową z kwaśną miną.

- Ma to coś, co mieli Reagan i Clinton.

- Tak, panie sędzio. - Szczupła twarz Maria zrobiła się markotna. - Nie wiem, co możemy na to poradzić. Dziś jest sobota, więc może pogrzeb pani Austrian powinien odbyć się w poniedziałek w katedrze Świętego Patryka? - Jego blade oczy rozbłysły na myśl o fotogenicznej neogotyckiej katedrze, w której często odbywały się śluby i pogrzeby trafiające na pierwsze strony gazet. - Nie będziemy potrzebowali ciała zmarłej. Jak zwykle ustawi się chór chłopców o anielskich buziach i kardynała w przepysznych szatach. Pan mógłby stanąć za ołtarzem, to wyglądałoby bardzo uroczyście. Powiedziałyby pan kilka ciepłych słów o zmarłej. Julia mogłaby zagrać coś na organach. Wszystkich by to poruszyło. - Mówił coraz

bardziej podniecony. - Gdyby to wszystko dobrze zorganizować... rozumie pan, byłby to prawdziwy show, wiadomość numer jeden na pierwszych stronach wszystkich gazet, od Bangor do San Diego. Wszystkie telewizje chciałyby mieć z tego materiał. Każdy, kto ma siostrę, ciotkę, będzie to oglądał ze łzami w oczach. Dzięki czynnikowi współczucia pańskie notowania mogą podskoczyć nawet o pięć punktów!

Creighton zamrugał oczami. Jego przystojna twarz miała swój zwykły wyraz spokoju i mądrości. Szpakowate włosy błyszcząły w świetle lampki do czytania. Ręce złożył na piersi, rozważając ten pomysł.

W końcu odezwał się.

- To dobry pomysł, ale jesteśmy zbyt daleko w tyle. Mamy około czterdziestu procent, a to znaczy, że nawet wzrost o pięć procent nie gwarantuje zwycięstwa. Nie można zapomnieć, że pańskie przypuszczenia mieszczą się granicach błędu statystycznego, który wynosi od trzech do czterech procent. Żeby mieć gwarancję wygranej, potrzebowalibyśmy skoku przynajmniej o piętnaście punktów. Poza tym Powers na pewno wymyśli jakiś kontratak. Prawdopodobnie pojawi się osobiście na pogrzebie z całą swoją rodziną, a może nawet ze sztabem wyborczym. Stanie na schodach katedry świętego Patryka i wygłosi kolejną mowę, która w tej trudnej chwili będzie miała za zadanie podnieść mnie na duchu. A jego ludzie będą tonąć we łzach. Wyborcy będą zachwyceni jego wrażliwością i umiejętnością współczucia. Może nie uda mu się w stu procentach zneutralizować tego, co zyskam, ale obaj wiemy, że to wystarczy, żeby wygrał.

Specjalista do spraw mediów w zamyśleniu pokiwiał głową.

- Tak, sir. Tak by się stało. Myślałem, że może to jest ten cud, o którym pan wspominał. Ten cytat z Sadata...

- „Nie jesteś realistą, dopóki nie wierzysz w cuda”.

- No właśnie.

Creighton nie poddawał się impulsom. Spontaniczne gesty były tym, co zawsze zwalczał, więc kiedy wyciągnął rękę, żeby poklepać Maria Garcie po ramieniu, chodziło mu o to, żeby Mario poczuł, że należy do grona wtajemniczonych, którzy wiedzą, co jest naprawdę dobre dla kraju.

- Nie poddawaj się, przyjacielu - powiedział Creighton z wyrozumiałym uśmiechem. - Kto wie, co się jeszcze może wydarzyć. Miej oczy i uszy szeroko otwarte i jeśli coś ci przyjdzie do głowy, informuj mnie natychmiast.

- Tak, sir. Dziękuję. - Garcia kiwnął głową niby trzeźwo, ale z jego oczu biła ślepa wiara w siłę Creightona.

Kandydat patrzył na oddalającego się Maria i jeszcze raz przeanalizował swój plan. Odzyskanie straconych głosów przez Powersa to jeszcze jeden powód przemawiający za tym, że realizacja planu jest konieczna. Wspólnie z Vince'em

spreparowali cały szereg dowodów na skandaliczne prowadzenie się Powersa. Dzięki temu jego kampania legnie w gruzach. Nie zostawią mu cienia szansy na obronę, podważenie wiarygodności dowodów czy odzyskanie sił - nie będzie na to czasu. Już mniej niż trzy dni dzieliły ich od chwili otwarcia lokali wyborczych we wtorek.

Creighton poczuł wibracje telefonu. To była bezpieczna linia, rozmowy z tego telefonu były nie do namierzenia.

- Tak? - powiedział cicho.

Wysłuchał, jak Maya Stern składa raport z tego, co się wydarzyło od chwili, gdy przestąpiła próg mieszkania psychologa. Poczuł skurcz żołądka. Zabrakło mu tchu. Maya przypadkowo zabiła psychoterapeutę.

- Julia znowu widzi? Rozpoznała cię? - zapytał szybko.

Maya milczała przez chwilę.

- Tak, sir.

Creighton jęknął. To nie była zła wiadomość. To zdarzenie mogło mieć tragiczne skutki.

- Ale mam również dobrą wiadomość. Wróciłam tam - mówiła dalej Maya. - Wdowa po Grapolisie słyszała, jak Julia Austrian krzyczała do męża, że go zabije. Policja znalazła pistolet obok miejsca, gdzie siedziała pańska siostrzenica. Podrzuciłam go. Teraz szukają Julii Austrian. Nie mają motywu, ale są przekonani, że to ona zabiła terapeutę.

Creighton odetchnął.

- Dobrze. Musimy trzymać się takiej wersji.

Maya milczała.

Creighton wyczuł, że chce mu o czymś powiedzieć.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Pojawił się pewien człowiek, który próbował jej pomóc. Twierdzi, że pracuje dla Firmy i nazywa się Sam Keeline. - Nie zdradziła mu, że zna Sama z jakiejś akcji Firmy i że on też mógł ją rozpoznać. Być może wtedy Creighton zechciałby odsunąć ją od sprawy, a ona zamierzała dopaść i Austrian, i Keeline'a. Należeli do niej.

Creighton był kompletnie zaskoczony. Sam Keeline? Vince powiedział, że zażył się nim. Cholera!

- Chce pan, żebym się skontaktowała z Vince'em? - zapytała Stern.

Creighton zmarszczył brwi. Zastanawiał się nad sytuacją.

- Zajmę się tym osobiście. Mogę załatwić, że kiedy ją złapią, zatrzymają ją na posterunku i zaczekają na nas. To się nie spodoba Departamentowi Policji Nowojorskiej, ale komisarz ma u mnie dług wdzięczności, a Vince przekona go, żeby trzymano Julię w izolacji, a potem natychmiast ją stamtąd zabierzemy. - Zamilkł. Ogarnął go niepokój. - Ale byłoby lepiej, gdybyś znalazła ją pierwsza.

- Jak pan sądzi, gdzie powinnam jej szukać?

Zastanowił się. Julia rozpoznała morderczynię swojej matki, a potem ruszyła na północ od Sześćdziesiątej Ósmej. Myślał przez chwilę i już wiedział: chce się dostać do domu Brice'a.

Brice musi mu pomóc. Tylko że Brice prawdopodobnie odmówi. Zawsze taki był. To nie tylko kwestia jego przekornej natury, ale również tego, że Brice najbardziej z nich wszystkich lubił Marguerite i jej śmierć poruszyła go mocniej niż Creightona, czy Davida. Creighton musiałby się zastanowić, jak przekonać Brice'a, ale był pewien, że jakiś sposób się znajdzie. Mimo wszystko bracia kierowali się zasadą Pięści Tokugawy - „w jedności siła”. Ojciec wbijał im to do głów i koniec końców właśnie dzięki temu udało im się go pokonać.

Powiedział Stern, gdzie znajdzie Julię.

- Pozbądź się jej. - Głos miał zachrypnięty. Jego przyszłość zależy od tego, czy Stern pierwsza znajdzie Julię. - Ale na Boga, postaraj się, żeby to wyglądało na wypadek! - Uśmiechnął się. - Nie, zaczekaj. Mam lepszy pomysł. Zaaranżujemy to tak, żeby pasowało do zabójstwa Orionu Grapolisa...

21.

20.15, SOBOTA
NOWY JORK

Brice Redmond mieszkał w willi z marmuru i piaskowca niedaleko Central Parku, w samym sercu nowojorskiego Upper East Side. Tutaj mieszkali ci, którym najbardziej zazdrozczono, tu koncentrowało się największe bogactwo. Nawet Bill Gates mógłby go pozazdrościć. W pobliżu znajdowało się Muzeum Guggenheima oraz szkoła St. David, dokąd dobrze urodzeni biali anglosascy protestanci wysyłali swoje dzieci. Prywatne kluby w tej okolicy miały tak restrykcyjne i tajne zasady członkostwa, że nikt nie wiedział, na czym one naprawdę polegają.

Pomimo że z natury był buntownikiem, Brice potrzebował tego luksusowego i niebywale drogiego domu ze względów prestiżowych oraz z kilku przyczyn osobistych. Bawiło go, że jego interes kwitnie dzięki sąsiadom, którzy na niego krzywo patrzą i nie akceptują jego hałaśliwego harleya-davidsona. Uwielbiał ucierać im nosa swoją nonszalancją, tym, że chodził w dżinsach, kowbojkach Tony'ego Lama i w błękitnych flanelowych koszulach. Sąsiadów snobów kłuły w oczy jego koligacje, o których wszyscy wiedzieli, i fortuna, za którą mógłby większość z nich wykupić.

Kiedy człowiek urodził się bogaty i jeszcze udało mu się to bogactwo pomnożyć, mógł znajdować pewną przyjemność w łamaniu konwenansów. Jako właściciel świetnie prosperującej firmy komputerowej Redmond Systems i miliarda dolarów zysków rocznie, Brice mógł sobie pozwolić na czerpanie przyjemności z dezaprobaty sąsiadów dla swoich niewinnych rozrywek. I przyjemność tę czerpał.

Teraz jednak siedział w swoim gabinecie i patrzył na ogromny kominek, w którym z trzaskiem tańczyły pomarańczowe i niebieskie języki ognia. Naprzeciwko kominka wisiał obraz Picassa zajmujący niemal całą powierzchnię ściany. Wysokie okna z ukośnie rżniętego szkła wychodziły na duży ogród, rzadki w tym przeludnionym mieście luksus. W powietrzu unosił się zapach palonego drewna i aromat bogactwa, a Brice był w depresji.

Dzisiejsze zebranie w Arbor Knoll uświadomiło mu boleśnie, jak bardzo był znudzony. Jego pasja wypaliła się. Był przedsiębiorcą, a nie menedżerem. Tak jak rewolucjoniści rzadko okazywali się dobrymi głowami państwa, tak lubiący podejmować ryzyko przedsiębiorcy zwykle nie potrafili odnaleźć się w monotonii kierowania kwitującym interesem. A właśnie takiego menedżera potrzebowała firma Redmonds Systems. Brice był wystarczająco inteligentny, żeby to zrozumieć i odejść na emeryturę, a do kierowania firmą wyznaczyć grupę świetnych menedżerów.

Ale teraz nie miał do roboty nic oprócz zabawy.

Dziś rano w Arbor Knoll przyglądał się swoim braciom, ich synom i córkom, bratankom, i aż sam się zdziwił swoją zazdrością. Wszyscy mieli swoje zajęcia. Każdy prowadził interesujące życie, z nim zaś było coraz gorzej. Schudł piętnaście kilo, cierpiał na chroniczną bezsenność, a jego małżeństwo w końcu się rozpadło. Nie z powodu jego niewierności, ale dlatego, że żona nie mogła dłużej znieść jego apatii.

Zadzwoił telefon, ale Brice spojrzął na niego bez specjalnego zainteresowania. Nikt już do niego nie dzwonił z podniecającymi ofertami. Ponieważ jednak telefon nie przestawał dzwonić, podniósł słuchawkę.

- Jesteś sam? - Creighton patrzył przez okno samolotu. W dole rozciągał się płaski, zimowy krajobraz Nebraski z typowymi brązowymi kołami irygacyjnymi i pyłem srebrnego śniegu. Gdyby ktoś w tej chwili obserwował Creightona, odniósłby wrażenie, że to zwykła rozmowa telefoniczna. Ale grubo by się pomylił. Creighton dzwonił ze swojego bezpiecznego telefonu w sprawie niecierpiącej zwłoki. Potrzebował natychmiastowej pomocy Brice'a.

- Niestety, tak. - Brice odpowiedział ociężale, jakby był zmęczony.

- Mamy problem w rodzinie. Potrzebna jest twoja pomoc.

Brice westchnął.

- Oczywiście, zawsze jestem z rodziną. Jak mogłoby być inaczej?...

Creighton przerwał mu.

- Pamiętajsz, kiedy ostatni raz powoływałem się na Pięć Tokugawy? - Do sedna musi przejść ostrożnie. Pierwszy krok polega na tym, żeby zmusić Brice'a do potwierdzenia ważności podstawowych zasad obowiązujących w rodzinie...

Brice na wszelki wypadek usiadł. Pięć Tokugawy to symbol ojca. Posługiwał się nim, gdy miał podjąć trudne dla rodziny decyzje. Stary Lyle z płonącym wzrokiem, drżącym głosem opowiadał im tę historię. Żywo przy tym gestykulował dla dodania dramatyzmu, kiedy opisywał, co wydarzyło się w szesnastowiecznej Japonii, kiedy zacięte walki między feudałami omal nie doprowadziły do upadku kraju. Ten długi, krwawy okres w historii Japonii został nazwany Wiekiem Wojny Domowej. Burzono świątynie. Rolnicy nie mogli uprawiać ziemi, więc nie było zbiorów. Zasoby finansowe miast przeznaczano na prowadzenie wojny. Ludzie głodowali i panowała anarchia. Gdyby wtedy nastąpił atak Chin, Japonia by padła.

Bezwzględny i mądry Tokugawa Ieyasu widział to wszystko. To on porównał kraj i walczących ze sobą panów feudalnych do palców jednej dłoni. Oddzielnie każdy palec ręki - każdy z panów - był słaby, gdyby jednak współpracowały, mogłyby stworzyć pięść. Tokugawa namówił więc pozostałych feudałów, by zawiązali koalicję, która w historycznej bitwie pod Sekigaharą w tysiąc sześćsetnym roku przejęła kontrolę nad wyspą. Naród został zjednoczony, a Tokugawa został szogunem. Przez następnych dwieście sześćdziesiąt pięć lat krajem rządzili jego potomkowie i w tym czasie żadnej zewnętrznej sile nie udało się odebrać Japonii ani piędzi ziemi. Potężny Tokugawa Pierwszy doprowadził Japonię - a przy okazji własną rodzinę - do rozkwitu.

- Ostatnim razem chodziło o powstrzymanie ojca przed realizacją jego szalonych planów i zamknięcie go w domu opieki - powiedział Brice bez wahania. - Nigdy więcej nie chciałbym robić nic podobnego i wciąż nie jestem pewien, czy to było naprawdę konieczne.

Creighton zmienił ton głosu na władczy i nieznoszący sprzeciwu.

- Bez wątplenia to było konieczne i nie masz co do tego wątpliwości, podobnie jak ja i David. Wszyscy bylibyśmy teraz biedakami, jeśli nie gorzej, a tego przecież byś nie chciał niezależnie od tego, jakie masz o sobie zdanie.

Brice zjeżył się. Wiedział, że Creightona zawsze irytowała jego niezależna natura.

- Bawimy się w wielkiego brata, co? To musi być coś naprawdę poważnego - powiedział jednak spokojnym głosem.

- To wyjątkowo poważne - powiedział Creighton ponuro. - Julia nie była z nami szczerą. W Londynie spontanicznie wrócił jej wzrok. Widziała zabójstwo Marguerite.

Brice'a замуrowało.

- To świetnie. W takim razie może rozpoznać zabójcę.

Nadeszła pora, żeby Creighton powiedział Brice'owi, co się naprawdę wydarzyło. Musi być przy tym sprytny i nie dać bratu czasu na zagłębianie się w szczegóły. Brice musi myśleć, że straciłby równie dużo jak każdy z braci, gdyby Marguerite dowiedziała się, co zawierała przesyłka.

- Nie, Brice - powiedział Creighton. - Nie chcesz, żeby zabójca został zidentyfikowany, bo zabójca pracował dla mnie. A dokładniej, dla nas. - Po drugiej stronie linii kandydat słyszał ciężki oddech Brice'a. Creighton pospieszył z wyjaśnieniami. - Nie miałem nic wspólnego z samym morderstwem. Wynajęty przez mnie człowiek sam podjął decyzję stojącą w sprzeczności z moimi instrukcjami. To miał być zwykły napad rabunkowy, nic więcej. Wszystko jednak poszło fatalnie, i to mnie przeraża. Ale to nie ja wszystko zacząłem, tylko ojciec. - Powiedział młodszemu bratu o przesyłkach, które staruszek wysłał do Marguerite i do Sama Keeline'a. - Vince przechwycił paczkę do Keeline'a, a ja wysłałem swojego człowieka, żeby zabrał paczkę Marguerite. Tylko że Marguerite chciała walczyć. Ściągnęła maskę z twarzy mojego człowieka, a on zareagował instynktownie. Zastrzelił Marguerite.

Brice był jak sparaliżowany. Przed oczami stanęła mu Marguerite. W dzieciństwie, kiedy ojciec kazał służbie znaleźć Brice'a, ten zawsze biegł do siostry. Ona go ukrywała. Chciała go chronić. Czasami nawet jej się to udawało. Zawsze był jej za to wdzięczny. Teraz serce waliło mu jak młotem ze strachu.

Creighton ją zabił. Brice nie mógł z siebie wydusić słowa. Miał wrażenie, że w gardle utkwiał mu kawałek rozbitego szkła. Nie ma znaczenia, że to nie Creighton, tylko wynajęty zabójca pociągnął za cyngiel. To brat puścił maszynę w ruch. Brice od lat podejrzewał, że Creighton, poza rodziną, korzysta jeszcze z innych sposobów, prowadzi grę opierającą się na wymianie przysług i na tajemnicach, do których nikt z rodziny nie został dopuszczony. Dla Brice'a to nigdy nie miało znaczenia. Nie musiał o tym wiedzieć.

- Wiem, co teraz myślisz, Brice powiedział spokojnie Creighton. Nadeszła chwila niezwykle delikatna. Do tej pory dobrze sobie radził. Przyznał się. Teraz musi wskazać Brice'owi, kto naprawdę ponosi za to odpowiedzialność. To zmusi Brice'a do współpracy. - Oskarżasz mnie. To oczywiste. Ja sam siebie oskarżam. Biorąc pod uwagę cenę, jaką jest śmierć Marguerite, pewnie nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby moja walka o prezydenturę poszła na marne. Ale uwierz mi, jej śmierć to ostatnia rzecz, jakiej chciałem. Teraz jednak sytuacja będzie wymagała od nas podjęcia konkretnych kroków. Bo wszystko wymknęło się nam spod kontroli. Wszyscy moglibyśmy zostać zniszczeni. Jeśli szukasz kogoś odpowiedzialnego, jedynym odpowiedzialnym jest nasz stary. Te przekłete pamiętniki ujawniają wszystkie jego ciemne sprawki... i nasze też.

Brice miał dziwne uczucie, jakby za serce złapała go jakaś wielka łapa i ścisnęła. Strach podziałał na niego jak kubek lodowatej wody, w którym wcześniej utonęła złość na Creightona za to, co zrobił.

- Jezu! Kto, u diabła, pozwolił, żeby stary pisał jakiś pamiętniki? Kto, do cholery, go pilnuje w tym przeklętym domu starców! A może wysłał więcej przesyłek?

Creighton uśmiechnął się. W bracie doszło do głosu zdrowe zainteresowanie własnymi sprawami. Na to liczył.

- Nie. I to już się nie powtórzy. Zająłem się tym w imieniu nas wszystkich. Teraz nasz problem to Julia. Godzinę temu, kiedy mój człowiek próbował ją wyeliminować, Julia go rozpoznała. - Jednym tchem opowiedział Brice'owi, jak podesłał Mayę Stern jako Normę Kinsley i jak Stern niechcący zabiła Oriona Grapolisa. - Julia okazała się tak samo niebezpieczna jak stary. Teraz, kiedy widzi, może wydać naszego człowieka policji. Albo sama się dowie, że „Norma” naprawdę jest byłą agentką CIA i nazywa się Maya Stern. Domyśli się, kto mógł ją wysłać i dlaczego. A to będzie koniec naszego życia, na które tak ciężko pracowaliśmy.

Brice rozumiał, co Creighton chciał przez to powiedzieć.

- Oskarżenie o morderstwo nie zwiększy twoich szans na prezydenturę.

Creighton zareagował szybko.

- Nie możemy zwrócić życia Marguerite, chociaż bardzo bym tego chciał. - To było podstawowe założenie w jego rozumowaniu. Teraz trzeba uświadomić Brice'owi, co mu grozi. - Musimy myśleć o tym, jak ocalić to, co mamy.

Brice poczuł nagle, że na jego ramiona spadł ogromny ciężar. Wiedział, że nie można go nazwać dobrym człowiekiem w tradycyjnym sensie tego słowa, ale zawsze szczylił się tym, że był ze sobą brutalnie szczerzy. I tylko to się dla niego liczyło. Żeby zbudować Redmond Systems, musiał się podlizywać, kłamać, wymuszać sprzedaż udziałów, dawać łapówki, kupować informacje o konkurencji, zaniżać ceny. I nigdy żadnej z tych rzeczy nie żałował. A nawet był dumny z tego, że potrafił osiągnąć tak wiele w tak ryzykownych sytuacjach.

Teraz, kiedy minął pierwszy szok po rewelacjach Creightona, przypomniało mu się, od czego brat rozpoczął tę rozmowę. Od przypomnienia zasady Pięć Tokugawa. To oczywiście, że go potrzebuje.

- Dlaczego mówisz mi to wszystko w tej chwili?

- Bo istnieje spore prawdopodobieństwo, że Julia jest w drodze do ciebie, a za nią podąża policja. Musisz zatrzymać u siebie Julię. Ale nie oddawaj jej w ręce policji. Niebawem pojawi się tam też Stern. Zakończy całą sprawę.

- Zakończy co? - Odpowiedź mogła być jedna. - Bądź ze mną szczerzy. Chcesz zabić Julię. - Lubił Julię. Była trochę dziwna, podobnie jak on. Ona i

Marguerite poszły własną drogą tak jak on. Siostra również zbuntowała się przeciw rodzinie.

- Nie mamy innego wyjścia.

Brice opierał się.

- Zawsze jest jakieś inne wyjście.

Na pokładzie odrzutowca gdzieś nad Środkowym Zachodem Creighton uśmiechnął się. Brice zachowywał się tak, jak to przewidział.

- Nie, jeśli mam zostać prezydentem, a prezydentem zostanę.

- Jak chcesz to zrobić?

Creighton wyjaśnił plan, który razem z Vince'em puścili w ruch. Jutro rano nastąpi pierwszy atak. Rewelacje będą odkrywane stopniowo do poniedziałku, wigilii wyborów. Mówił i czuł, że Brice słucha w skupieniu, a jego opór słabnie.

- Plan jest doskonały. Zapewni mi fotel prezydenta, a całej rodzinie da możliwości, o których zawsze marzyliśmy.

Brice nie odzywał się. Wiedział, że Creighton ma rację. Jest szansa, że wszystko pójdzie dobrze, jeśli tylko Julia nie przeszkodzi Creightonowi - jeśli Brice nie pozwoli jej na to. On jednak czuł niepokój. Zabicie Julii to krok nieodwracalny, czyn, którego nie będzie można cofnąć.

Nigdy w życiu nie uciekł się do morderstwa.

Głos Creightona promieniował ciepłem i troską o rodzinę. Potrzebował pomocy i czuł, że jego prośba jest usprawiedliwiona.

- Tak sprawy wyglądają, Brice - powiedział na zakończenie. - Liczę na to, że pomożesz mnie i rodzinie załatwić sprawę z Julią.

Brice'owi przypomniał się dzisiejszy poranek, kiedy Creighton zebrał swój sztab wyborczy i rodzinę w bibliotece w Arbor Knoll. Z jaką łatwością brat posłużył się swoją charyzmą i logicznym wywodem, żeby zmienić nastrój zebranych z ponurej rozpaczki w entuzjazm. Brice zawsze podziwiał umiejętność manipulowania emocjami. I to właśnie Creighton robił w tej chwili - manipulował bratem. A przecież Brice uważał siebie za mistrza w tej dziedzinie. Może nawet większego niż starszy brat.

Poddał się pierwotnej potrzebie posiadania - rozejrzał się po gabinecie: spojrzął na wielki kominek, ogromny obraz Picassa, jedyne w swoim rodzaju meble. Wielkość, piękno i bogactwo tego wspaniałego domu należały mu się. Zasługiwał na to wszystko. Komuś innemu mogłoby wystarczyć, że jego brat zostanie prezydentem, ale jemu trzeba było czegoś więcej. Do tej pory zasada Pięści Tokugawy nie była w rodzinie łamana, Brice przecież może robić, co chce.

Więc co szkodzi zapytać.

- A co ja z tego będę miał?

Creighton uśmiechnął się. Jego wolna ręka spoczęła na materiałach, które trzymał na kolanach. Tu znajduje się przepis na to, jak przekonać do siebie

wyborców w Kalifornii. Dla niego jednak jest to przede wszystkim tekst o władzy - o możliwościach jej użycia i o nagrodzie, jaką ze sobą niesie. Pytanie Brice'a powiedziało Creightonowi, że z nim wygra. Dobrze wiedział o trwającej od roku depresji brata i o tym, że jej powodem była potrzeba stawiania czoła nowym wyzwaniom.

- W mojej administracji będzie ci się podobało powiedział. - Jesteś na emeryturze, więc masz czas. Co sądzisz o stanowisku szefa którejś z komisji prezydenckich? O komisji zdrowia. Albo walki z analfabetyzmem. A może wolałbyś zostać szefem którejś z agencji, na przykład FEMA. - Była to agencja zajmująca się wysyłaniem pomocy w miejsca kataklizmów. - Co ci się najbardziej podoba?

Usiana piegami twarz Brice'a stężała. Nagle Julia przestała być ważna. Przypomniał sobie swoje znużenie i to, co osiągnął. Creighton próbował się wykpić i wcisnąć mu jakieś nic nieznaczące stanowisko.

- Nie obrażaj mnie, wielki bracie - odparł chłodno. - Postaraj się o coś w twoim gabinecie.

- W gabinecie? Nie masz żadnego doświadczenia w rządzie!

Brice byś mistrzem negocjacji, nie musiał się więc długo zastanawiać. Upór wzmacniał siłę jego słów, tak jak cement wzmacnia betonowe bloki.

- Chcę stanąć na czele Departamentu Handlu. Jeśli zrobię to, czego oczekujesz, chcę być szefem Departamentu Handlu.

Handel to coś ekscytującego. Rozbudowa Redmond Systems była niczym w porównaniu z możliwościami, jakie dawało to stanowisko. Miałyby wpływ na sprawy świata: głowy państw, rekiny biznesu i armie wszystkich krajów zwracają oczy na handel i ekspertyzy prowadzone przez Stany Zjednoczone... a przy okazji na jego osobę. Wyzwanie było ogromne. Zmusi wszystkich, żeby kraj dostał to, czego potrzebuje, żeby utrzymać swoją przewagę gospodarczą.

- Do cholery, nie ma na to szans. Najmniejszych - powiedział Creighton.

- Gówno prawda, Creighton. Wiem dobrze, ile jest warte to, o co mnie prosisz. Jeśli to zrobię, będziesz musiał oddać mi Departament Handlu. I tylko mi nie mów, że się boisz oskarżenia o nepotyzm. Skoro Jack Kennedy mógł mianować swojego brata Bobby'ego pieprzonym ministrem sprawiedliwości, ty możesz mi dać Departament Handlu. Jestem jednym z czołowych biznesmenów w tym kraju. Zapytaj magazynu „Forbes”. Gdyby Bill Gates, Lee Iacocca albo Ted Turner czy Sandy Weill z Travelers Group tego chcieli, rzuciłbyś się, żeby zrobić im łaskę natychmiast. Mam kwalifikacje równie dobre jak oni, a może nawet lepsze, i ty cholernie dobrze o tym wiesz.

Zapadła cisza. Creighton był zaskoczony. Brice ma rację.

- Przemysłem to.

Brice się uśmiechnął.

- Za późno. Jeśli otworzę usta i zacznę mówić, nie tylko ominie cię prezydentura. Pójdiesz siedzieć za morderstwo. Nie jestem jedyną osobą, która powinna pamiętać regułę Pięści Tokugawy. Musimy trzymać się razem. A to się wiąże z odpowiednią zapłatą za usługę.

Creighton był wprawdzie wściekły, ale czuł też wobec brata coś w rodzaju niechętnego szacunku. W gruncie rzeczy obaj byli Redmondami. I po chwili stanowisko szefa Departamentu Handlu dla Brice'a wydało mu się nawet odpowiednie. Skoro brat potrafił zbuntować się przeciw leniwym arystokratom i bogatym snobom, będzie umiał stawić czoło liderom światowego biznesu, którzy próbowali przechytryć, przekupić, podporządkować sobie amerykański biznes. W Departamencie Handlu zapanują te same rewolucyjne porządki, które zapewniły ogromny sukces Redmond Systems. Stany Zjednoczone będzie reprezentował zapalony bojownik, którego nic nie powstrzyma przed działaniem na korzyść amerykańskich firm. Po upływie „miodowego miesiąca” nie powinien mieć większych problemów z senatem niż w wypadku Vince'a.

- Ty nie prosiłbyś o mniej niż to, na co ci pozwalają kwalifikacje, więc dlaczego ja miałbym to robić? - powiedział spokojnie Brice. - Pieniądze nie są żadną siłą, dopóki się ich odpowiednio nie wykorzysta.

Creighton zaszedł tak daleko, bo wiedział, w którym momencie należało się poddać. Zaśmiał się.

- Zgoda. Departament Handlu jest twój. - Był rozbawiony. - Będziesz robił cholernie dobrą robotę.

Brice również się roześmiał.

- Masz cholerną rację. - Wiedział, że w ten sposób wywoła skurcz strachu u Creightona, ale nie miał dla brata litości. Powiedział: - Pod warunkiem, że zdecyduję się zrobić to, o co mnie prosisz.

- Słucham? - krzyknął Creighton.

- Nie wkurzaj mnie, Creighton. Obaj wiemy, że wszystko sprowadza się do tego, żebym pomógł ci zabić Julię. - Zawahał się. - Pięść Tokugawy czy nie, muszę to jeszcze przemyśleć. - Odłożył słuchawkę.

22.

Sam Keeline w rozpiętej czarnej skórzanej kurtce zbiegł ostatni raz przyjrzeć się stacji metra, ale nie było tam śladu ani Julii Austrian, ani brunetki, która ją gonila. Fakt, że nie znalazł ciała Julii, przyniósł mu większą ulgę, niż gdyby

chodziło o jakąś inną nieznaną osobą. Ta kobieta miała coś w sobie. Coś go poraziło w chwili, gdy spojrzeli sobie w oczy. Coś jakby... Nie, nie jak Irini. Nigdy, przenigdy.

Pobiegł do samochodu, który zostawił w miejscu, gdzie nie wolno parkować, ale miłościwy los sprawił, że żaden policjant nie zdążył z mandatem. Pojechał do mieszkania Austrian przy Park Avenue.

Zwolnił i zaparkował. Co teraz? Przed wejściem do budynku stał rząd wozów policyjnych z migającymi kogutami, które szkarłatem rytmicznie rozświetlały mrok. Niewielka grupka trzęsących się z zimna gapiów wytrwale stała pod latarnią. Pojawili się dziennikarze i kiedy Sam wysiadł z samochodu, żeby z nimi porozmawiać, podjechały wozy telewizyjne. Wkrótce ulica została zablokowana.

Wiadomości były złe. Ceniony psycholog Orion Grapolis został zamordowany i w związku z jego śmiercią policja poszukiwała Julii Austrian. Policja nie potwierdziła, że Austrian jest podejrzana o morderstwo, ale Sam to po prostu wiedział. Policjanci na całym świecie są tacy sami. Sam potrafił czytać z ich pozabawionego emocji spojrzenia i ze stanowczego tonu głosu. Sądził, że to ona zabiła psychologa.

Keeline był całkowicie zaskoczony. O co w tym wszystkim chodzi? W materiałach, które zdobył na temat Austrian, nie było żadnej wzmianki o skłonnościach do agresji. Ale z drugiej strony w dzisiejszych czasach któż to może wiedzieć?

Zbyt wielu zabójców było lubianymi sąsiadami.

Zmartwiony wrócił do samochodu, wyciągnął teczkę z materiałami o Julii Austrian i zaczął czytać. Przeglądał wszystko, próbując zgadnąć, dokąd Julia mogła uciekać, gdzie się schronić. Czas uciekał. Austrian była w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wtedy jego wzrok padł na nazwisko Brice'a Redmonda i na jego adres.

Kiedy zadzwonił dzwonek przy frontowych drzwiach, niecierpliwy i nagły, Brice wiedział, że to może być tylko Julia. Prerażony odczekał chwilę. Musi podjąć trudną decyzję i starał się odwlec tę chwilę. Usłyszał, że portier otwiera drzwi, i po chwili razem z powiewem chłodnego powietrza Julia wpadła do jego gabinetu trzęsąca się i wściekła.

- Twoja Norma Kinsley, czy jak jej tam, zabiła mamę! A przed chwilą zabiła Oriona Grapolisa! Dlaczego? Skąd ją wytrzasnąłeś, Brice?

Stał bez ruchu. Przez chwilę miał ochotę powiedzieć jej wszystko, co wie. Ale nie potrafił. Tak bardzo zależało mu na tece ministra! Chociaż...

Musi oszukać Julię - nie tylko z powodu Creightona, ale także ze względu na siebie.

Wciąż potrzebował czasu, żeby to przemyśleć.

- Norma? Nie rozumiem. Jak mogłaby...

Julia przybiegła tu prosto z przystanku metra na Osiemdziesiątej Szóstej ulicy i rozgorączkowana wyrzucała z siebie oskarżenia jedno po drugim, podobnie spontanicznie jak podczas sesji z Orionem, w czasie której odzyskała wzrok. Miała wrażenie, że pękła w niej jakaś tama. Kiedy coś czuła, natychmiast dawała temu wyraz bez zbędnej cenzury.

- Ktoś przysłał Normę, żeby mnie pilnowała, śledziła każdy mój ruch. W jaki sposób ją zatrudniłeś? Skąd ją wytrzasnąłeś? Powiedz mi! - Trzęsąc się z wściekłości, prawie nie czuła ciepła bijącego z ogromnego kominka za jej plecami. - Odzyskałam wzrok dzięki hipnozie biednego Oriona i chcę wiedzieć, co się tu, do cholery, dzieje!

Na nieprzeniknionej twarzy Brice'a pojawiło się niedowierzanie.

- Asystentka, którą wynajęliśmy, zabiła twoją matkę? Nie rozumiem. Jak to możliwe? Pani Roberts w agencji pośrednictwa pracy podała mi trzy nazwiska i przeczytała mi ich życiorysy. Wybrałem jedną. Do tej pory Roberts nigdy mnie nie zawiodła. Czyżby... - Przerwał i spojrzał w gniewne oczy Julii. - Ty widzisz, Julio? Julio, jak to możliwe? Co się... Od kiedy?...

Przyjrzała mu się uważnie - siwiejące rude włosy, piegi, zdziwiona i zboląła mina. Była potwornie zmęczona i znowu poczuła falę chłodu. Cienki sweterek nie był żadną ochroną w zimną listopadową noc. Odwróciła się twarzą do ognia i wyciągnęła przed siebie ręce, próbując się ogrzać. Czy to możliwe, żeby Brice kłamał? Dlaczego miałby to robić? Po co miałby przysyłać jej zabójczynię matki?

Przez wiele lat była niewidoma, a ponieważ pochodziła ponadto z bogatej rodziny, więc chuchano na nią i dmuchano. Teraz jednak nie ma w kieszeni ani centa, goni ją okrutna morderczyni, żeby ją zabić, a ona sama nie wie, komu ma wierzyć. Nie ma dostępu do bogactwa, które do tej pory pozwalało jej z łatwością rozwiązywać wszystkie problemy. Zadrżała na myśl o swojej groźbie pod adresem tej kobiety w gabinecie biednego Oriona.

- To wspaniale, że widzisz - powiedział Brice z uradowaną miną, ale kiedy nie odpowiedziała, tylko stała nieruchomo, patrząc mu w oczy, spoważniał. - Widzę, że nie chcesz mówić o odzyskaniu wzroku. Chcesz wiedzieć, kto wysłał zabójcę, ale wiesz tyle samo, co ja. Wydawało mi się, że to bardzo ładnie ze strony Roberts, że tak szybko nas obsłużyła, ale najwyraźniej coś tu nie gra. Ta kobieta widocznie podszyła się pod twoją asystentkę. Może lepiej zadzwonić na policję. - Musi podjąć decyzję...

- To dobry pomysł. - Poczowała smutek. Skąd w niej tyle podejrzliwości? Brice na pewno nie potrafiłby jej skrzywdzić.

Brice usiadł za biurkiem i spojrzał na swoje dłonie. Nie trzęsły się, kiedy kładł rękę na słuchawce telefonu. Przechylił głowę i przyglądał się Julii stojącej na tle kominka. W świetle płomieni jej brązowe włosy połyskiwały jak złoto. Ręce skrzyżowała na piersi. Była zraniona i bezbronna. Po twarzy spływały

stróżki potu, a w wyjątkowo błękitnych oczach skrzył się gniew. Fizycznie wdała się w Austriaków i nigdy nie uważała jej za piękność, jednak w tej chwili, w otoczeniu płomieni, wydawała się niezwykle piękna... zaskakująco obca i niebezpieczna.

Jego serce powoli uspokajało się, kiedy tak na nią spoglądał. Megiera. Oskarżająca i pełna wyrzutów. W żadnym calu nie podobna do Redmondów.

Obca.

- Wuj, nie dzwoń na policję - odezwała się. - Zaczekaj. Muszę pomyśleć...

Brice kiwnął głową.

- Może masz rację. Creightonowi nie pomoże teraz skandal. Coś ci powiem. Zadzwoń do niego. Zapytamy, co robić. Tak, to najlepsze, co możemy zrobić. Creighton nam poradzi. Przecież zjadł zęby w Departamencie Sprawiedliwości. - Mógłby powiedzieć jej prawdę...

Ale kiedy podniósł słuchawkę, jego wzrok padł na blat biurka. Była to ogromna pusta powierzchnia. Żadnego papierka. Tak wyglądał cały ostatni rok jego życia. Nudny. Martwy. Potrzebował podniecenia, które zapewnia jakieś niemożliwie trudne zadanie. Jeśli to prawda, że przychodzimy na świat sami i w samotności z niego odchodzimy, Brice w swoim życiu potrzebował przynajmniej możliwości pracy. Jedynie praca - a nie związki z ludźmi - stanowiła dla niego wartość.

Serce znowu zaczęło mu mocniej bić. Creighton potrzebuje jego pomocy w tej chwili, i to bardzo. Jutro będzie za późno.

Życie Brice'a może się nagle całkowicie zmienić. Jego biurko znowu zapełnią dokumenty, a z nimi wróci dreszcz podniecenia. Jeśli tylko spełni prośbę Creightona.

Sytuacja zaczęła nabierać dla niego nowego znaczenia. W końcu uznał, że wszystko sprowadza się nie do zasady Pięści Tokugawy i rodzinnej solidarności, ale do alternatywy: Julia... albo on.

Życie Julii... albo jego przyszłość.

Nie łatwo podjąć taką decyzję.

- Do Creightona? - Zawahała się. Może to nie najlepszy pomysł robić wszystko po swojemu, ale... czy może ufać Creightonowi? W końcu asystentka to był jego pomysł. Chyba zwariowała, żeby być tak podejrzliwą. - Może masz rację...

Odwróciła się. Nagle coś ją tknęło.

Wyjrzała przez okno. W ogrodzie panowało jakieś poruszenie. Odezwał się dzwonek do drzwi. Zaniepokojona weszła do wyłożonego marmurem holu. Miłą ją kamerdyner.

Przez szklane luksfery w drzwiach wejściowych zobaczyła niebiesko-czarny mundur policyjny. Odwróciła głowę i znowu spojrzała w okno gabinetu. Zalekciona przestąpiła z nogi na nogę.

Skąd tu się wzięła policja? Przecież Brice ich nie wzywał. I dlaczego czają się w ogrodzie, dlaczego otoczyli dom...

Czego mogą chcieć... Musi im chodzić o nią! I o morderstwo Oriona. Julia krzyknęła, że chce kogoś zabić, a Edda mogła pomyśleć, że chodziło jej o Oriona. „Julio! Coś ty zrobiła! O mój Boże!”.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Być może policja przyszła, żeby ją aresztować. Nie może ryzykować.

Podjęła natychmiastową decyzję. To prawda, że rozpieszczano ją i chroniono, ale nie była słaba. I nie była głupia. Nie miała żadnego dowodu ani świadka, że to Norma zabiła Oriona.

Bez słowa popędziła przez dom.

- Julio! - Głos zaskoczonego Brice'a gonił ją, jak zrozpaczony kochanek. - Co ty robisz? Zwariowałaś? Wracaj! Julio!

Pobiegł za nią. Jego kroki były ostatnią rzeczą, jaką słyszała, kiedy gnała w dół kuchennymi schodami. Zatrzasnęły się za nią drzwi do piwnicy.

Maya Stern czekała ukryta w głębokim cieniu. Serce biło jej równym rytmem, a zdenerwowanie objawiało się tylko skurczem żołądka. Wciąż miała na sobie strój bezdomnej - nozdrza wciąż były wypchane czubkami dziecięcych smoczków, a włosy schowane pod czapkę. Swój pistolet trzymała pod ręką, gdzie nie mógł na niego paść przypadkowy promień światła przejeżdżającego alejką samochodu.

Wykonała anonimowy telefon na policję, tak jak kazał jej Creighton Redmond, i powiedziała, że bardzo prawdopodobne, iż Julia Austrian uda się po pomoc do swojego ulubionego wuja. Postanowili to sprawdzić.

Ale ona dopadnie Julię pierwsza. I zabije ją.

Drzwi okazałego gabinetu Brice'a Redmonda były zamknięte. W holu czekała grupka świetnie wyszkolonych nowojorskich policjantów - jak sfera gończych psów - żeby zadać Brice'owi kilka pytań. Brice wrócił do gabinetu, gdy tylko zorientował się, że Julia zeszała do piwnicy.

Z wypiekami na twarzy i z tłukącym sercem Brice zadzwonił, tak jak o to prosił Creighton, do milczącej Mayi Stern. Brice żałował Julii, ale dawno temu nauczył się ponosić straty. Pospiesznie wyjaśnił Mayi, w którym miejscu ma czekać na Julię.

Drugi telefon był do Creightona.

- Przyszła tu, tak jak mówiłeś. Stara się ustalić, kto wysłał do niej Stern. Na podstawie tego, co widziałem, uważam, że jest dla nas niebezpieczna.

- Jest u ciebie?

- Nie, zaskoczyła mnie i rzuciła się do ucieczki, kiedy zobaczyła policję w ogrodzie. Biegnie teraz tajnym przejściem. Kto mógłby przypuszczać, że będzie miała na tyle przytomności umysłu, żeby pomyśleć o tym starym przejściu? Bardzo sprytnie. - Brice zaśmiał się. - Twoja dziewczyna już na nią czeka. Julia biegnie prosto w sieć czarnej wdowy.

W przymglonym świetle żarówek wiszących nad głową Julia biegła przez piwnicę. Jako dziecko bawiła się tu z synami Brice'a. Nie ma lepszego miejsca do zabawy, niż przestronna, mroczna piwnica, pachnąca węglem i pleśnią. Stały tu różne ciekawe skrzynie. Tutaj codziennie trafiały stopy bielizny i obrusy do prania. A kot zawsze mógł tu znaleźć jakąś lekkomyślną mysz, biegnącą po kamiennej podłodze.

Wszystko to przypominało jej się teraz. Poczowała wyrzuty sumienia, że była tak podejrzliwa wobec Brice'a. Ale ma usprawiedliwienie. Jeśli się myli, przeprosi go później.

Pchnęła stare drzwi pralni. Głośno zaskrzypiały. Zamarła przerażona, że ktoś mógłby ją usłyszeć. Tych drzwi od lat nikt nie używał. Zawiasy były zardzewiałe. Na zewnątrz wiatr szeleścił suchymi liśćmi. Zamknęła oczy, żeby lepiej słyszeć. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby znowu była niewidoma, i strach ścisnął ją za gardło.

Opanowała się jednak. Jeszcze raz pogrążona w mrocznym tunelu, skoncentrowała się, budząc wszystkie zmysły. Nie słyszała żadnych kroków, żadnego dźwięku, który świadczyłby o tym, że policja wie o wyjściu z piwnicy dziewiętnastowiecznej willi.

Wystawiła głowę na zewnątrz i szybko rozejrzała się dokoła.

Alejka biegła w lewo i w prawo, gdzie łączyła się z większymi ulicami. Z prawej strony znajdował się front willi. Przez moment alejka była zupełnie pusta. Julia już miała wyjść, kiedy przypominało się jej, co krzyczał ten facet, który podawał się za agenta CIA. „Zdejmij ten sweter!”

Spojrzała na siebie i zobaczyła, jak widoczna jest biel w ciemną noc. Ściągnęła sweter i rzuciła go na podłogę. Wyszła i skręciła w lewo, na tyły willi.

23.

Ubraną w cienką bluzkę Julię przeniknął chłód, gdy biegła wzdłuż pogrążonej w mroku alejki. Po przeciwnej stronie wznosiły się dwa wysokie domy mieszkalne. Pod stopami szeleściły liście. Powietrze było ostre, pachniało

asfaltem i przygnębiającą wilgocią nadchodzącej zimy. Na końcu alejki widać było ulicę, którą jeździły samochody. Ale nie zauważyła wozów policyjnych ani mundurów. Modliła się, żeby policja była w willi i na terenie wokoło domu. Żeby jeszcze nie otworzyli drzwi prowadzących do piwnicy. Żeby jeszcze miała czas na ucieczkę...

Obejrzała się za siebie. Alejka nadal była pusta.

Biegła dalej najciszej jak umiała. Lata treningu na bieżni sprawiły, że bez trudu przychodziło jej utrzymywanie równego tempa. Z lewej strony posiadłość wuja kończyła się wysokim murem, który zasłaniał szklarnię. Mur obrośnięty był obumarłym przed zimą dzikim winem. Wyglądało jak szkielec z horroru. Trzymało się na nim jeszcze kilka kruchych listków, które wciąż miały nadzieję na życie.

Dotarła do końca alejki i zwolniła zdyszana. W skroniach czuła pulsującą krew. Uspokoila się i zaczęła iść. Nie chciała zwracać niczyjej uwagi. Znowu próbowała dociec, w jaki sposób zabójczym mogła zostać jej asystentką. Czy na prawdę nazywała się Norma Kinsley? Musiała skądś się dowiedzieć, że Julia widziała jej twarz. Nie było żadnego innego powodu, dla którego miałyby jechać za nią do Nowego Jorku.

Musi wrócić do Oyster Bay i porozmawiać z panią Roberts z agencji pośrednictwa pracy...

Kiedy tak myślała, usłyszała coś dziwnego... czy może wyczuła to.

Jakiś dźwięk. Może ruch. Z lewej strony pod murem, w gęstej płataninie winorośli cień był tak głęboki i czarny, że...

Poczula zapach... Ledwie wyczuwalny, delikatny powiew unoszący się w rześkim powietrzu nocy. Perfumy Normy!

Zadrzała. Zaledwie pięć metrów dalej jest ulica, a wraz z nią szansa na przeżycie. Rzuciła się biegiem, jak gdyby ogromny powiew wiatru pchnął ją do przodu. Mobilizując wszystkie pokłady energii, jakie w sobie miała, pędziła w stronę samochodów i ludzi.

Maya Stern cierpliwie patrzyła, jak Julia zbliża się do niej. Palec położony na cynglu trzydziestkiósemki aż świerzbil, żeby pociągnąć za spust. Zobaczyła, że jej ofiara nagle przyspieszyła, jakby zorientowała się, że ktoś na nią poluje.

Maya wyskoczyła z kryjówki, w chwili, gdy Julia ją minęła. Zakłęła w duchu. Tak łatwo byłoby strzelić jej między oczy, kiedy tylko ją zobaczyła. Ale zadanie jest trudniejsze. Najpierw musi złapać Austrian, przyłożyć jej lufę do skroni, strzelić, pozwolić jej upaść, a potem włożyć jej do ręki pozbawioną odcisków palców trzydziestkęósemkę. Takie było polecenie Creightona, a ona zawsze wypełnia jego polecenia.

Julia kątem oka zauważyła zabójczynię. „Dzięki Bogu, widzę”, pomyślała. Zadrzała ze strachu. Jeszcze przyspieszyła, ale...

Ręka Stern już łapała ją za ramię.

Siła uderzenia była tak duża, że przed oczami Julii pojawiły się białe plamy. Ledwie zdążyła złapać powietrze. Upadła do przodu, na ręce. Jej dłonie wylądowały na starej kostce brukowej, która mocno je obtarła. Dłonie! Musi na nie uważać!

Podniosła się na nogi, ale silne ramię napastniczki złapało ją za tułów i pociągnęło do tyłu. Niespodziewanie zimna stal lufy znalazła się tuż przy skroni Julii...

Sam Keeline objeżdżał uliczki wokół willi Brice'a Redmonda. Przed domem stały dwa samochody policyjne, pomyślał więc, że jest we właściwym miejscu. A przynajmniej w tym samym miejscu, w którym zdaniem policji schroniła się Julia Austrian. Na wszelki wypadek wyciągnął pistolet i schował go między przednimi siedzeniami.

Objechał budynki przy przecznicy sześć razy. Połowę długości przecznicy zajmowała okazała, stara willa Redmonda. Resztę zajmowały luksusowe kamienice. Na chodniku było kilka osób z psami, ktoś próbował zatrzymać taksówkę, jacyś ludzie w ciepłych płaszczach spieszyli pewnie na sobotnie randki do pobliskich restauracji.

Sama dopadły wątpliwości. W co on się wplątał? Może powinien zostawić tę sprawę? Może Pink miał rację, mówiąc, że kierują nim hormony, nie rozum? To prawda, że odkąd przeniósł się do pracy w Langley, lista jego przyjaciółek nie miała końca, ale Sam potrzebował kobiet. Zaspokajały jego potrzebę bliskości i dawały mu rozkosz bez bólu, jaki niesie ze sobą miłość'.

Jeśli Austrian zabiła, jaki sens ma wtrącanie się w kompetencje policji?

Zdecydował, że zrobi jeszcze jedną, ostatnią już rundkę. Zakręcił, przejechał trzydzieści metrów i zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach. W świetle jego reflektorów na środku alejki dwie kobiety mocowały się ze sobą. Jedną z nich była Austrian. Jej piękną twarz wykrzywił grymas przerażenia. Ponownie uderzyło go w tej twarzy coś zniewalającego.

I ta druga kobieta... Teraz sobie przypomniał. Widział ją, jak wychodziła z metra. Myślał wtedy, że to jedna z wielu w tym mieście bezdomnych, w łachmanach i z bezmyślną twarzą. A więc Austrian ścigają dwie kobiety!

Gdy tak o tym myślał, zobaczył nagle pistolet przytknięty do skroni Austrian. Obie kobiety spojrzały w jego stronę, a on zatrzymał się na środku uliczki. W ich oczach jak w lustrach, odbijało się oślepiające światło reflektorów.

Obie kobiety były oślepione. Musi coś zrobić, zanim ta z pistoletem pociągnie za spust. Przebiegł go zimny dreszcz na myśl o przeszłości i o tym, jak straszny błąd kiedyś popełnił. Przypomniała mu się potworna śmierć Irini. Otrząsnął się, wcisnął pedał gazu i ruszył do przodu. Kierował się prosto na kobiety.

Julia próbowała walczyć, próbowała się uwolnić. Ale po chwili leżała już na plecach, nie mogąc złapać oddechu. Z prawej strony nadjeżdżał jakiś duży, czerwony samochód. W powietrzu unosiła się para z rozgrzanego silnika. Nie mogła się poruszyć. Dyszała z przerażenia. Lufa pistoletu dotykała jej twarzy, zimna lufa centymetry od jej ust. Instynktownie próbowała się uchylić i z powrotem znalazła się na ziemi. Dłonie piekły ją z bólu, ale nie zwracała na to uwagi, pochłonięta wyłącznie pistoletem i trzymającą go w rękę kobietą.

Przez pierwszych kilka sekund Julia nie poznawała jej. Kobieta miała twarz brudną i wykrzywioną, a nos szeroki. Ale oczy były te same - czarne, wyrachowane. Oczy kobiety, która zabiła jej matkę. Rozpoznała też delikatny zapach perfum.

Dlaczego Norma nie strzela?

- Kim jesteś? Skąd wiedziałas, że tu będę?

Palec napastniczki osunął się ze spustu. Była wściekła. Przez chwilę omal nie zaczęła trząść się ze złości. Drzwi samochodu otworzyły się z trzaskiem. Pomimo tego dźwięku napastniczka spojrzała na Julię.

Jej głos był cichy, opanowany.

- Następnym razem zginiesz. Masz to jak w banku.

Sam Keeline wyskoczył z durango, nie gasząc silnika. Rzucił się przed samochód. Austrian podnosiła się z ziemi. Żył. Poczul ulgę. Chciał się dowiedzieć, czy nie jest ranna, ale najpierw...

Gdzie jest ta druga? Obiegł samochód i przebiegł na drugą stronę. Zawieszony zobaczył, jak kobieta biegnie sprintem alejką. Była już za daleko, żeby mógł ją złapać.

Przyjrzał się jej. Biegła tak samo, jak ta kobieta, która gonila Austrian przez Park Avenue i Lexington Avenue. Poruszała się równie rytmicznie i szybko, co świadczyło o świetnej kondycji i sile. Pokiwał głową. Już rozumie: to była jedna i ta sama osoba, tylko w przebraniu. Nie było dwóch kobiet, które chciały złapać Austrian. Była jedna - bardzo bystra i świetnie wyszkolona. I zamierzała albo porwać Austrian... albo ją zabić.

Przez kilka sekund Sam stał bez ruchu na środku alejki. Zastanawiał się, co to wszystko może oznaczać. Odwrócił się i zobaczył, jak szczupłe ciało Julii Austrian zsuwa się za kierownicę jego samochodu. Jej biodra w ciemnych spodniach wyglądały ponętnie. Cichutko zamknęła drzwi.

Silnik był włączony. Chciała ukraść samochód.

Wściekły rzucił się do drzwi od strony kierowcy. Widział, jak Austrian w płochu rozgląda w środku, szukając elektronicznej blokady. Wcisnęła po kolei wszystkie guziki, zagryzając przy tym dolną wargę małymi białymi ząbkami. Złapała za klamkę, pociągnęła. Blokady zadziałały.

- Nich pani otworzy! Chcą pani pomóc! - krzyknął.

Nie zwracała na niego uwagi. Spoglądała w dół, na drążek zmiany biegów. Jej złotobrzązowe włosy były splątane. Zaskoczyło go, że chce mu ukraść samochód, i poczuł wściekłość. Kobieta próbowała wrzucić bieg, ale nie miała nogi na sprzęgle. Spod maski dobiegał wysoki, rozdzierający dźwięk.

Nie wiedziała, jak obsługiwać się standardową skrzynią biegów.

Sam, zaniepokojony o swój samochód, zaczął walić pięścią w szybę.

- Cholera! Nich pani przestanie.

Pociągnęła za drążek zmiany biegów. Samochód zadrżał. Silnik zgasł. W powietrzu czuć było zapach spalenizny. Sam jęknął.

- Dobija mi pani samochód. Proszę otworzyć drzwi. Czego się pani boi? Przed chwilą uratowałem pani życie. Niech to diabli!

Spojrzała na niego. W jej błękitnych oczach czaił się strach i coś jeszcze. Złość i determinacja. To chyba dzięki tym uczuciom udało się jej utrzymać przy życiu przez ostatnie dwie godziny.

- Kim pan jest? - zawołała przez zamknięte okno.

- Nazywam się Keeline! - odkrzyknął. - Pracuję w CIA. Już to mówiłem na Siedemdziesiątej ulicy! - Wiedział, że nie zapomniała, bo zamrugła oczami, ale nie zamierzała dać za wygraną.

- Czego pan ode mnie chce?

- Chciałem się z panią spotkać, tak jak się umawialiśmy... - I nagle zeszytniał. - Gliny - mruknął przez szybę.

Serce jej zadrżało. Alejką powoli sunął niebiesko-biały wóz policyjny. Wy-skoczyło z niego dwóch umundurowanych policjantów. Ich ręce spoczywały na pistoletach przytroczonych do skórzanych pasków. Z ponurymi twarzami szli prosto na stojącego pośrodku drogi czerwonego dodge'a durango.

24.

Sam spojrzał na Austrian. Pochyliła głowę, jak gdyby szukała czegoś w torebce. Tylko że nie miała torebki i Sam widział, jak drżą jej ramiona pod cienką jedwabną bluzką. Było jej zimno, bała się i chciała ukryć twarz. Poczuł litość.

Westchnął. Miał nadzieję, że nie będzie żałował tego, co zamierza zrobić.

Odwrócił się na pięcie, uśmiechnął i ruszył w stronę policjantów.

- Możemy w czymś pomóc? - zapytał.

- Właśnie zastanawialiśmy się, czy to państwo potrzebują naszej pomocy - powiedział młodszy z policjantów. Miał szczerą, gładką twarz, jakby dopiero co skończył akademię i wymiar sprawiedliwości jawił mu się co najmniej jako raj. Jego słowa świadczyły o tym, że był dobrze wyszkolony. - Co tu się dzieje?

Sam przyspieszył kroku. Im dalej od Durango się spotkają, tym lepiej. Przyjrzał się parze policjantów. Musi wymyślić jakąś historyjkę, dobrą historyjkę. Cholera, po tym całym szaleństwie dziś w nocy mógłby się postarać o przesunięcie go z powrotem do działu operacyjnego.

- Doceniam troskę, panowie - powiedział.

Trzej mężczyźni zatrzymali się jakieś dwa metry od Durango i Julii Austrian.

Sam uśmiechnął się i zrobił speszoną minę. Wiedział, że jego piaskowe włosy są zmierzwiłone. Miał nadzieję, że jego roztargniony wygląd będzie świadczył o prawdziwości jego słów.

Uśmiechnął się znowu.

- Przepraszam. Żona i ja... cóż, żeby była jasność, żona jest w ciąży. Wiecie panowie, jak to jest z kobietami w ciąży. Zaczęła wymiotować, więc zatrzymałem się, żeby odetchnęła świeżym powietrzem. A ona wściekła się na mnie. Panowie żonaci? - Spojrzał na drugiego policjanta, jakieś piętnaście lat starszego od pierwszego. Wyglądał, jakby miał za sobą co najmniej trzy małżeństwa. Twarz miał zniszczoną albo niezliczonymi nieciekawymi wypadkami w pracy, albo nieciekawym pićciem, albo nieciekawymi kobietami.

Jeśli Sam będzie miał szczęście, ta historyjka do nich przemówi. Ale starszy policjant nie ustępował.

- Kim pan jest?

Sam z ulgą wyciągnął dokumenty.

- Sam Keeline, CIA. Przyjechaliśmy z żoną na weekend. Prawdę mówiąc, przyjechaliśmy z Dystryktu Kolumbii, gdzie zostawiliśmy dzieciaki u matki żony. Rozumiecie, chcieliśmy uczcić dobrą nowinę. - Westchnął. - Całą noc tak się czuje. A mamy przed sobą jeszcze osiem miesięcy.

Młody oficer wziął dokumenty Sama, przejrzał je i bez słowa podał je partnerowi. Czasami praca na wysokim stanowisku w CIA może okazać się pomocna.

- Możecie mnie sprawdzić - podpowiedział.

Starszy policjant spojrzał na niego lodowato.

- Naprawdę?

- Przepraszam - wybąkał Sam. - Chyba jestem trochę nadgorliwy. Nie zamierzam mówić wam, co macie robić. Chcę tylko powiedzieć, że to mój samochód, a to moja żona. - Teraz, kiedy zagrał swoją pozycją i dzięki temu uratował Austrian, chciał dalej ryzykować. Zmarszczył brwi i odezwał się, jakby myślał na

głos. - Nie widzę powodu, żeby stać tu dłużej i marznąć. Wystarczą mi kłopoty z żoną. O ile, oczywiście, nie zechcecie zabrać nas na posterunek.

Zarzykował i teraz czekał z nadzieją.

Młodszy oficer spojrział na starszego pytająco i w tej samej chwili w samochodzie za ich plecami zahuczało radio.

Młodszy pobiegł odebrać wiadomość i odpowiedzieć. Sam usłyszał informację: „Julia Austrian uciekła. Przeczesać okolicę. Znaleźć ją. Do wszystkich jednostek...”.

Starszy policjant spojrział na młodszego zmęczonego.

- Wygląda na to, że macie pracę, chłopcy - powiedział Sam. - Możemy się do czegoś przydać?

Starszy mężczyzna wydał usta, przyglądając się identyfikatorowi Sama.

- Mówi pan, że jest pan z CIA. To chyba wystarczy. - Wręczył mu identyfikator. Myślni był już daleko stąd. - Dzięki, Keeline. Przepraszamy, że pana niepokoiliśmy. Miłego pobytu. Spadamy.

Czasami po prostu człowiek ma szczęście. Sam westchnął.

Włożył identyfikator do kieszeni. Policjanci wskoczyli do wozu patrolowego. Odjechali, a on dalej stał na ulicy zły zimnym potem. Uśmiechnął się. Po czymś takim Julia Austrian to bułka z masłem.

Idąc do samochodu, znowu pogwizdywał *New York, New York*. Widział, że Austrian przesunęła się na miejsce pasażera, nie był więc zdziwiony, kiedy pociągnął za klamkę od strony kierowcy i drzwi się otworzyły. Uznał to za podziękowanie za to, co dla niej właśnie zrobił.

Wsiadł do środka, zgasił światło, żeby nie było widać jej twarzy, i zatrzasnął drzwi.

- Miała pani urozmaicony wieczór - zauważył, kiedy zapalił silnik. - Proszę mi o tym opowiedzieć. Wszystko po kolei. Proszę się nie krępować i opowiedzieć wszystko ze szczegółami.

Odwróciła się do niego z niewinnym uśmiechem na twarzy i natychmiast uśmiech na jego twarzy zgasł. Spoglądał w lufę własnego pistoletu, browninga kaliber dziewięć milimetrów.

- Jedziemy do Oyster Bay - zarządziła. - Pan prowadzi.

Sam poczuł, że włoski na karku stają mu dęba. Na pierwszy rzut oka było widać, że kobieta niewiele wie o broni. Wystarczyło spojrzeć, jak niezgrabnie obiema rękami trzyma pistolet, a palec opiera na cynglu. Może i była materiałem na królową piękności, ale patrzyła na niego jak Nikita. Najdziwniejsze jednak, że podobało mu się to spojrzenie.

Podobało mu się wszystko oprócz lufy wymierzonej prosto w niego.

Gwizdnął cicho.

- Jest pani bardzo sprytna, muszę to przyznać. - Za to on okazał się idiotą. Zostawił pistolet między siedzeniami. Co za palant! Zdecydowanie za dużo czasu minęło od jego ostatniej misji w terenie.

- Do Oyster Bay - powtórzyła. - Jedziemy. Natychmiast!

W półmroku wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciu, które miał wśród swoich materiałów - pociągła twarz, wysokie czoło, szeroko rozstawione oczy i wspaniałe, zmysłowe usta. No i oczy. Błękitne. Miały kolor jak na filizankach Wedgewooda... Nie, przypominały raczej jakiś szlachetny kamień. Lazuryt. Kiedy patrzył na jej porcelanową skórę i widział jej rozdrażnienie, złapał się na tym, że jego myśli zaczynają krążyć wokół seksu...

Ona jednak była chyba istotą z innej planety, bo rzuciła zirytowana:

- Niech pan wrzuci temu lewiatanowi wsteczny. Uciekajmy stąd!

- Ma pani rację. - Złapał za kierownicę swojego dużego, sportowo-użytkowego samochodu. Nagle cofnął ręce i zdziwiony spojrzął na wnętrze swoich dłoni. Były wilgotne i nawet w tym świetle było widać, że są pobrudzone krwią. To ona wcześniej trzymała kierownicę.

- Pani dłonie - powiedział. - Pani krwawi!

Z przerażeniem pomyślał, jakie mogą być konsekwencje tych ran. Przypomniał sobie jedną z ulubionych płyt - jej wspaniałe wykonanie wariacji i fugi Beethovena, opus 35. Temat pochodził z *Prometeusza*, i został powtórzony w finale *Eroiki*. Sam uwielbiał te wariacje, podobało mu się zwłaszcza to, co Austrian robiła z basami.

Jej głos był stanowczy. Nawet nie spojrzała na swoje dłonie, chociaż musiało ją boleć jak cholera. Ale ręce jej nawet nie drgnęły. Wciąż trzymała wycelowany w niego pistolet.

- To nieważne. Niech pan jedzie!

Spojrzał na nią.

- Pani zmarzła. - Trzęsła się nie tylko dlatego, że się bała. Włączył ogrzewanie. Wycofał samochód na ulicę i zawrócił w kierunku Central Parku. Doszedł do wniosku, że jeśli może trzymać pistolet, prawdopodobnie nie odbiło jej zupełnie. Przynajmniej miał taką nadzieję.

- Gliny! - rzucił. - Niech się pani odwróci!

Ale ona zamiast odwrócić głowę, spojrzała na policyjny wóz, który zatrzymał się na skrzyżowaniu czekając na zmianę świateł. Dopiero kiedy zobaczyła policję, odwróciła głowę, tak jak jej kazał. Patrzyła na południe, kryjąc się za masą jasnobrązowych włosów.

Sam starał się oddychać normalnie, kiedy mijali wóz policyjny na skrzyżowaniu.

- Jadą za nami? - szepnęła zachrypnięta.

- Nie. - Poczul, że serce mu się ścisza. - Ale widzę następny wóz. Nadjeżdża z pani lewej. Rozkaz „do wszystkich jednostek”. Niech się pani położy na podłodze!

Zsunęła się na dół, ale pistolet dalej trzymała wycelowany w niego.

- Proszę mi powiedzieć, co robią.
- Przyglądają się.

Zatrzymał się na czerwonym świetle. Poczuł przyływ dziwnej nerwowej energii. Martwił się o Julię Austrian. I o siebie. Gdyby znaleziono ją pod jego opieką, szef z pewnością nie nagrodziłby go medalem. Kiedy zmieniło się światło, ruszył powoli, pozwalając policji się wyprzedzić.

- Co się dzieje? - zapytała.
- Odjechali.
- Mogę już wstać?

Serce mu przyspieszyło.

- Nie. Na następnym skrzyżowaniu widzę kolejny wóz policyjny. Gorący z pani towar. Jeszcze oboje możemy doznać oparzeń trzeciego stopnia.

Miała zdziwioną minę. Na Piątej Alei Sam skręcił na południe.

- Co pani sądzi o tym, żeby już odłożyć ten pistolet?
- Jeszcze za wcześnie.
- A kiedy nie będzie za wcześnie?

Nie odpowiedziała, a jej piękna twarz pozostała nieruchoma, posągowa. Spojrzał na nią.

- Przypominam, że nie jestem pani wrogiem. Uratowałem pani życie. Jak dotąd trzy razy. Rozumie pani? Może w ramach ćwiczenia uprzejmości zechce mi pani podziękować. A potem znajdzie sobie pani inną zabawę, niekoniecznie mój pistolet.

Spojrzał w dół i zdążył zauważyć malujący się na jej twarzy wyraz niepewności. Ale natychmiast w jego miejsce wróciła nieustępliwość. Może nie miała doświadczenia Nikity, ale za to miała jej podejście. Bała się, ale postanowiła bronić się przed wszystkimi. Nawet przed nim. I była konsekwentna.

- W tej chwili - powiedziała ostrożnie - to, co pan robi, nie wystarcza, żeby mnie przekonać.

- Kobieta - westchnął. Browning był teraz wycelowany w jego serce. - Może to rzeczywiście pani zabiła tego biedaka.

- Oriona? Nigdy! - Na jej twarzy malowało się przerażenie. Błękitne oczy zwięzły się z żalu. - Dlaczego pan tak myśli?

- Wróciłem do pani mieszkania. Rozmawiałem z policją. Wydawali się bardzo zainteresowani tym, dokąd pani uciekła. No i teraz - nie wiem, czy też to pani słyszała - przez radio tych dwóch gliniarzy, którzy nas zatrzymali, usłyszałem, że wszystkie jednostki mają panią ścigać. Wygląda na to, że jest pani podejrzana o morderstwo.

Milczała.

- Następny wóz policyjny - szepnęła nagle. - Boże. Nowojorscy gliniarze dziś w nocy ciężko pracują na chleb!

- Gdzie ten wóz?

Samochód policyjny również zatrzymał się na skrzyżowaniu. Sam jechał dalej i zauważył, że policja ma włączony kierunkowskaz. Spojrzał we wsteczne lustro.

- Proszę. Niech pani spróbuje. Niech mi pani o wszystkim opowie. Niczym pani nie ryzykuje. Przecież to pani ma broń, nie ja. Proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że tak nagle odzyskała pani wzrok?

Julia próbowała zweryfikować swoje postanowienie, żeby nie ufać nikomu. Ten mężczyzna miał rację - ręce ją bolały. Zdarła sobie skórę, kiedy upadła pochnięta przez napastniczkę. Mogła jednak poruszać palcami. Wnętrze dłoni piekło jak diabli, ale przypuszczała, że to niewiele poważniejsze niż wczorajszy upadek w Londynie. W każdym razie miała taką nadzieję.

Westchnęła. To było zaledwie wczoraj... Tyle się wydarzyło od tamtej chwili - odzyskanie wzroku, morderstwo matki, jakaś kobieta-potwór, która chce ją zabić, a cała nowojorska policja robi wszystko, żeby ją schwytać.

Nie czas rozczulać się nad drobnymi zadrapaniami. Nie odrywała wzroku od nieznanego. Sam Keeline z CIA, w skórzanej kurtce i z potarganymi blond włosami. Poprzeczna zmarszczka między jego oczami pogłębiła się, a szczeka wyglądała jak wykuta w granicie lub odlana w brązie. Bardzo ładna szczeka. Podobała się jej. Prawdę mówiąc, w innych okolicznościach z przyjemnością patrzyłaby na niego. Właściwie ma rację, uratował ją... Ale przecież Norma też udawała, że chce jej pomóc. Nie, nie może... Jednak nie... Nie może mu zaufać.

Zapytała, co się dzieje z samochodem policyjnym, który jechał za nimi na Piątej Alei.

- Jest pół przecznicy za nami - poinformował ją Sam.

- Gonią nas?

- Nie, jadą w tym samym kierunku. Przeskoczmy teraz na drugą stronę Central Parku, bo jesteśmy na południe od pani domu. Zobaczymy, czy za nami pojadą.

Próbowała przełknąć ślinę. Kiedy skręcali, miała tak ściśnięte gardło, jakby ktoś ją dusił.

- Jadą za nami?

W końcu odetchnął.

- Nie.

- To dobrze. - Zamilkła na chwilę, żeby odetchnąć z ulgą. - W porządku. Pan pierwszy. Proszę mi powiedzieć, co pan wie. Jak pan słusznie zauważył, to ja mam broń.

Niczym nie ryzykowałam.

- Czy słyszała pani kiedyś o Bursztynowej Komnacie?

- Chyba nie. Dlaczego?

Miał wystarczająco dużo czasu, żeby poznać mimikę jej twarzy. Nic nie świadczyło o tym, że jej słowa są kłamstwem. Z entuzjazmem poszukiwacza

skarbów opowiedział jej więc o swoim dziadku Rosjaninie, który w dzieciństwie zamiast bajek opowiadał mu o cudownej komnacie. Opisywał mozaiką z bursztynu tak delikatnego i cieniutkiego, że większość fragmentów miała zaledwie pół centymetra grubości. Rozczarowany zauważył, że kobieta słucha go bez specjalnego zainteresowania. Zrobił pauzę dla większego efektu.

- I tu ślad się urywa. Bursztynowa Komnata znikła. Jakby zapadła się pod ziemię. Od tamtej pory nikt jej nie widział.

To w końcu zrobiło na niej wrażenie.

- To niemożliwe! To za duża rzecz, żeby się miała po prostu ulotnić. Była zbyt słynna. Trudno byłoby ją ukryć!

Podobała mu się jej żywa reakcja.

- Trudno to sobie wyobrazić, prawda?

- Myślę, że ona musi gdzieś być. Jak pan myśli?

- Też tak sądzę.

- Ale wciąż nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

Sam kiwnął głową. Jeśli się nie mylił co do Daniela Austriana, jego wnuczka musi mieć jakiś związek z komnatą i albo nie jest tego świadoma, albo nie chce ujawnić tajemnicy.

Teraz przysła jej kolej na wyznania.

- Dlaczego ta kobieta panią ściga? - zapytał. Milczała. W końcu odezwała się.

- To ona zabiła moją matkę.

Sam był zaskoczony.

- Skąd pani to wie?

- Widziałam. - Nie było sensu dłużej ukrywać, że widziała zabójstwo matki.

Sytuacja się zmieniła po tym, co się wydarzyło od śmierci Oriona. Brice na pewno powiedział policji, że już nie jest niewidoma, i zaprzeczył, że to ona zabiła Oriona. Ale żona Oriona, Edda, była tam i słyszała, jak Julia grozi komuś śmiercią. Trudno będzie się z tego wytłumaczyć. Julia mogła wynająć prawnika za tysiąc dolarów za godzinę i po kilku dniach wyjść z aresztu za kaucją. Tymczasem jednak prawdziwa zabójczyni zdążyła zniknąć i Julii trudno będzie ją odnaleźć.

- To znaczy, że widziała pani, jak ta kobieta zabija pani matkę? - zapytał Sam.

- Tak, dobrze pan słyszy. Widziałam, jak zabiła dwoje ludzi, taksówkarza i moją mamę. - Zamilkła. Znowu poczuła w sercu ból i gorzkie wyrzuty sumienia. - Nie mogłam nic zrobić. Próbowałam, ale było już za późno. Wtedy znowu straciłam wzrok.

Sam pokręcił głową.

- Chyba pani nie rozumie, pani Austrian. To nie pani liga. Wprawdzie nie wiem, co to wszystko znaczy, ale wiem, że kobieta, która panią ściga, jest

doskonale wyszkolonym zawodowym zabójcą. Wystarczy popatrzeć na jej ramiona. Poza tym czy zwróciła pani uwagę, w jaki sposób ona się porusza?

Austrian zaniepokoiła się.

- Nie rozumiem.

Sam wytłumaczył jej zasady ekonomii ruchu. Powiedział o nadzwyczajnej sile i umiejętnościach walki napastniczki, o jej przebraniu i umiejętności szybkiego podejmowania decyzji.

- Jest doskonale wyszkolona i ma doświadczenie, bo robiła to setki razy. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że mnie rozpoznała. Ja też skądś ją znam. Niestety, nie mogę sobie przypomnieć, gdzie i kiedy mogłem się z nią zetknąć ani jak się wtedy nazywała. Czy pani rozumie, co to znaczy? - Postanowił zdradzić jej przerażającą tajemnicę. - Ktoś wynajął zawodowego mordercę, żeby zabił najpierw pani matkę, a teraz panią.

Na to nie była przygotowana.

- Więc ona nie jest zwykłą złodziejką? - Zaczęła oddychać szybciej. Czują się, jakby jakaś obręcz ścisnęła jej pierś. - Jeśli to nie był napad, to co to było?

- To pani powinna wiedzieć.

25.

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

Właśnie przeczytałem to, co napisałem, i poczułem się zawstydzony własną nienawiścią. Po to zacząłem pisać - żeby nabrać dystansu do swojej nienawiści. Bo była tak potężna, że chciałem zabić was obu. Wtedy wydawało mi się to jedynym rozwiązaniem. Dopuściliście się potwornych czynów i to wciąż bolało.

Musi jednak istnieć jakiś inny sposób, żeby naprawić zło. Będę się modlił, żeby go poznać.

17.45 CZASU PACYFICZNEGO, SOBOTA GDZIEŚ NAD ZACHODNIMI STANAMI

Nad pokrytymi śniegiem szczytami Gór Skalistych rozciągała się fioletowa zasłona nadchodzącej nocy. Samolot odrzutowy leciał w kierunku Sacramento na spotkanie kolejnego pracowitego dnia kampanii wyborczej. Creighton wciąż myślał o Julii, słuchając, jak szef jego sztabu Jack Hart przekazuje mu fatalne

wieści. W poniedziałek wieczorem w Arbor Knoll zostało zaplanowane przyjęcie przedwyborcze. Sztab miał nadzieję, że fotografie z tej uroczystości trafiana pierwsze strony gazet i temat będzie gościć w telewizji przez cały dzień wyborów. Zostało już niewiele ponad dwa dni.

- Otrzymujemy podziękowania za zaproszenie z przeprosinami, że nie będą mogli się zjawić, od wszystkich, którzy coś znaczą. - Padający na nos ze zmęczenia Hart siedział w fotelu naprzeciw Creightona. - Od gubernatorów stanu Nowy Jork, Massachusetts, Wirginii i Pensylwanii. Od przewodniczącego Izby Reprezentantów. Od dyrektorów generalnych największych firm. - Jednostajnym głosem recytował nazwiska. - Żadna z ważniejszych osobistości nie zamierza opuścić Hollywood. Nawet ludzie z otoczenia kardynała...

Creighton miał posępną minę, ale nie z powodu uroczystości. Dręczyła go niepewność, czy Maya Stern zakończyła sprawę z Julią.

- Jack, świetnie sobie radzisz. Powiadom ich po prostu, że gdyby zmienili zdanie, nasze drzwi zawsze stoją otworem.

- To wcale nie znaczy, że są przeciwko nam.

- Wiem. Po prostu sądzą, że nie wygramy. Czy sponsorzy również się wycofują?

- Ujmijmy to w ten sposób. Obiecane pieniądze spływają coraz cieńszą strużką, a nowi sponsorzy rozplynęli się.

Creighton roześmiał się. Jack spojrział na niego zdziwiony.

- Wszyscy kochają zwycięzcę - powiedział Creighton. - Ten, kto przegrywa, mógłby skonać na miejscu i nikt nie wyciągnie do niego ręki. - Wzruszył ramionami. - Odpocznij, przyjacielu. Wkrótce będziemy w Sacramento.

- Może się zdrzemnę. - Jack wstał z fotela. Samolot nagle wpadł w turbulencje i mężczyzna musiał się złapać fotela, żeby nie stracić równowagi. - Mam nadzieję, że cud, o którym pan wspomniał, zdarzy się, i to niedługo. Nie mamy wiele czasu.

Zmęczona twarz Jacka Harta była pełna smutku i Creighton wiedział, że ten człowiek już nie wierzy, żeby coś mogło ich jeszcze uratować. To sprawiło, że uśmiechnął się szerzej.

- Prześpij się.

- Tak, sir.

Kiedy Hart zniknął, zadzwonił telefon Creightona. Ze zmarszczonymi brwiami słuchał relacji Mayi Stern z jej ostatnich nieudanych poczynań. Wpadł w furję. Problem wciąż pozostawał nierozwiązany.

- Pojadę do Oyster Bay i tam na nią zaczekam - powiedziała Maya.

Zgodnie z tym, co mówił Brice, Julia chciała wiedzieć, jak Stern ją odnalazła, więc to logiczne, że uda się teraz do biura pośrednictwa pracy w Oyster Bay. - Ale jeśli policja dopadnie ją pierwsza...

- Jeśli ją złapią, zostanie przekazana naszym ludziom. Będzie mnóstwo czasu, żeby cię ściągnąć.

- Ona należy do mnie! - W jej głosie pojawiła się determinacja.

Stern zaangażowała się w sprawę, a on potrzebował nie tylko jej całkowitej lojalności, ale również umiejętności skoncentrowania się na celu, niepoddawania się emocjom. Mimo że był na nią wściekły, odezwał się spokojnie.

- Nie ma człowieka, który byłby przygotowany na każdą okoliczność. Następnym razem ci się powie. Jeśli Julia pojawi się w Oyster Bay, wiesz, co masz robić. - Przerwał. - A co z Keeline'em? Możliwe, że pojedzie do Oyster Bay razem z nią, ale niekoniecznie. Jeśli się rozdzieli, musimy wiedzieć, co robi Keeline. Nawet ty nie możesz być w dwóch miejscach jednocześnie.

Maya milczała chwilę.

- W takim razie będę potrzebowała więcej ludzi. Skontaktuję się z czyszcicielami i...

Po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku wielu zabójców pracujących dla CIA, wśród nich Maya Stern, odeszło z Firmy. Przed laty agenci na emeryturze założyli klub, gdzie mogli się spotkać, wypić i porozmawiać o tajemnicach Firmy, o których nie mogli wspomnieć nikomu innemu. Ale zabójców nie interesowały wspomnienia, stworzyli więc własną grupę. Nazwali się czyszcicielami. W ten sposób mówiono już o nich wcześniej, w końcu mieli sprzątać... ludzi. W większości należeli do typu milczących, zamkniętych w sobie samotników, więc nigdy nie organizowali zebrań klubowych. Ale utrzymywali kontakt z jednego powodu - żeby przekazywać sobie informacje o robocie.

- Wolalbym, żeby nikt poza Vince'em i mną o tobie nie wiedział. Vince wszystko sam zorganizuje. Za piętnaście minut zadzwonisz do niego i omówicie nasze potrzeby. Powiesz mu, z kim chciałabyś pracować. Będziemy potrzebowali wsparcia, żeby równocześnie pilnować trzech miejsc: Oyster Bay, mieszkania Keeline'a w Dystrykcie Kolumbii i tutejszego posterunku policji.

- Ja mam nimi kierować?

- Ty i Vince. - Zawsze stawał pośrednika między sobą a zbrodnią. Jedynie ze Stern kontaktował się osobiście. Czyszcicielom dobrze zapłaci, ale nigdy się nie dowiedzą, kto im płaci ani jakie są motywy zabójstwa. Zresztą to ich nie obchodziło.

- Dobrze. - Odłożyła słuchawkę.

Na czoło Creightona wystąpiły kropelki potu. Wyciągnął jedwabną chustkę i wytarł czoło. Maya go niepokoiła.

Wybrał numer do Vince'a, do domu w Georgetown. Vince był zaskoczony, kiedy dowiedział się o poczynaniach Keeline'a. Creighton zwymyślał go za

niedopatrzenie już wcześniej, teraz zaś przy akompaniamencie silników odrzutowca opisał ostatnie niepowodzenie Stern, któremu winien był Keeline.

- Muszę przyznać, synu, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. - Pod tym delikatnym sformułowaniem kryło się rozdrażnienie.

- Zgadza się.

- Skontaktuj się z doktorem Dupuyem. Powiedz mu, że tym razem potrzebujemy publicznego oświadczenia. Zadzwoń też do dwóch pozostałych specjalistów. Czas zapłacić za posiadłość na Południowym Wybrzeżu, nie wspominając o klinice w Paryżu.

Przedyskutowali, jakie kroki jeszcze należałoby podjąć. W końcu Creighton kiwnął głową zadowolony.

- Podobają mi się ten pomysł. Załatwię to - powiedział.

- A co z Keeline'em? Zastanawiam się nad jego motywacją i sądzę, że chodzi mu o Bursztynową Komnatę. Musiał przeczytać wystarczająco dużo z listu dziadka, żeby myśleć, że któryś z Redmondów albo Austriaków wie coś o komnacie. Przed laty wypytywał Dana Austriana o komnatę. Może myśli, że Dan powiedział coś Julii. Być może dlatego chciał się z nią spotkać. Szkoda tylko, że nie pojawił się dziesięć minut później. Już by jej nie zobaczył żywej.

- Ale tak się nie stało i teraz stanowi potencjalne zagrożenie. Musimy go znaleźć i zlikwidować. Vince, porozmawiaj z Davidem. Keeline może mieć konto w jednym albo nawet kilku jego bankach. Jeśli tak, będziemy mieli informacje o użyciu kart kredytowych. Musimy wykorzystać wszystkie możliwości. - David, mimo że nie wiedział o planie Creightona, był mu oddany i chętnie mu pomoże w uzyskaniu prezydentury.

Vince, siedzący w swoim gabinecie w Georgetown, kiwnął głową. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach skupiony na problemie.

- Zbiorę nazwiska i adresy rodziny Keeline'a i przyjaciół z Langley, jak tylko skończymy rozmawiać.

- Świetnie. On może trzymać się Julii, żeby dowiedzieć się czegoś o komnacie. Jeżeli będziemy śledzić Keeline'a, może znajdziemy również Julię. Trzeba też powiadomić Reilly'ego z domu opieki, na wypadek gdyby Julia albo Keeline mieli się tam pojawić. - Creighton zrobił pauzę. - Będziemy potrzebowali więcej sił, żeby mieć na wszystko oko i wesprzeć naszą kobietę. Stern zaproponowała czyszcicieli, a ja się zgodziłem. Ale chcę, żebyś ty się z nimi skontaktował i wymyślił jakąś historyjkę, w której nie będzie mowy o żadnych wyborach.

Vince zastanowił się.

- Powiemy im, że Keeline sfiksował i pomaga w ucieczce morderczynie. Że stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, bo jeśli zostanie aresztowany i do prasy przedostanie się choćby część tego, co on wie...

- Wspominałeś o tym, że stracił kiedyś dziewczynę w Berlinie Wschodnim...

- Irini Baum. Była agentką Stasi, a Keeline ją „nawrócił” i zakochał się w niej. Gdyby zaczął o tym mówić, zdekonspirowałby agentów, których wciąż mamy w terenie.

Creighton uśmiechnął się chłodno.

- Znajdź go, Vince. Znajdź go szybko. Jeśli zostanie przy okazji zabity, tym lepiej dla Firmy.

20.45 CZASU WSCHODNIEGO, SOBOTA NOWY JORK

Sam i Julia utknęli w korku. Samochody stały zderzak przy zderzaku. Sam czuł obecność pięknej kobiety tuż obok. Odczuwał dawno już zapomnianą potrzebę otaczania kogoś opieką. Ale szybko się zreflektował: stop.

Domyślał się, że kobieta próbuje zrozumieć wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Jednak jej piękna twarz nie zdradzała żadnych uczuć, jak gdyby to, co ją spotkało, było zbyt okropne, żeby o tym myśleć albo mówić. Ale Sam chciał wiedzieć wszystko. Niezależnie od tego, czy robił błąd, czy nie, na razie jej pomagał. A mógł to robić dalej - i przy okazji może dowiedzieć się, czy Daniel Austrian miał coś wspólnego z Bursztynową Komnatą - tylko pod warunkiem, że ona mu zaufa.

Co wcale nie znaczy, że on miał zaufać jej.

Jakieś cztery samochody za nimi jechał kolejny wóz policyjny, ale nie wyglądało na to, że chce ich wyprzedzić. Sam zaczął myśleć, że może zabójczyni go nie rozpoznała i nikt nie będzie go łączył z Austrian, więc będą bezpieczni tak długo, dopóki ona nie będzie się pokazywać i policja nie będzie miała powodu, żeby ich zatrzymać.

Kiedy stali w korku, wyciągnął rękę po swój pistolet.

- Niech pan przestanie! Bo strzelę! - warknęła.

- Nie z tej broni.

Szybko przechyliła się na bok, wycelowwała w dół, obok jego stóp, i pociągnęła za spust. Próbowała go przestraszyć, a nie zabić. Broń nie wypaliła. Pociągnęła znowu. Nic. Zabrał jej pistolet.

- Może się pani nie skarży na ból, ale ręce są osłabione. Inaczej dłużej by pani walczyła.

Sięgnęła do klamki.

- Proszę spojrzeć! - Trzymał pistolet nisko przy jej twarzy. - To jest zabezpieczenie. Pistolet jest teraz zabezpieczony. Nie mogłaby mnie pani zastrzelić. - Odbezpieczył broń. - Teraz już tak. Jeśli pani chce.

Jej wielkie oczy patrzyły na niego z wściekłością. Podobał mu się ten ognisty temperament i gdyby znajdowali się w bardziej sprzyjających okolicznościach, chętnie by sprawdził, przy ilu stopniach topnieje. Ale nie teraz. Teraz chciał od niej uzyskać jak najwięcej informacji. Potem zadecyduje, czyjej pomóc.

Odwrócił browninga lufą w swoją stronę i podał go jej.

- Wciąż chce mnie pani zabić? Jest odbezpieczony. Ale proszę pamiętać, że być może jestem pani jedynym sojusznikiem. Niezależnie od tego, co się stało... co pani zrobiła... bo przecież nie wiem. Chcę pani wysłuchać. A może pomóc. Czy ktoś zaproponował pani coś lepszego?

Julia patrzyła na pistolet Sama Keeline'a. Siedziała skulona na podłodze i ledwie hamowała wybuch wściekłości. Miała ochotę wyrwać mu broń z ręki i wpakować zawartość magazynka prosto w serce. Chciała zabić kobietę, która zamordowała jej matkę i Oriona. Chciała zabić Brice'a za to, że pozwolił Normie być jej asystentką.

Naprawdę czuła taką chęć...

Czuła, jak wzbiera w niej ogromna fala do tej pory tłumionej agresji. Nie poznawała siebie. Okazało się, że sama jest potworem. Nie mogła uwierzyć, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin więcej myślała o zabijaniu niż w ciągu całego dwudziestoosmioletniego życia. Co się z nią dzieje? Kim się staje?

Przypomniało jej się, jak matka przed śmiercią cierpiała. Takiego bólu nie da się opisać słowami. Stała jej przed oczami zaskoczona twarz Oriona, jego próby złapania powietrza i krew spływająca mu po piersi. Przypomniał się jej mrozący w żyłach krew chłód lufy przytkniętej do skroni. Na koniec dopadły ją wyrzuty sumienia. Gdyby tylko mogła widzieć w chwili, kiedy jej matka została postrzelona, mogłaby uratować jej życie i nie zdarzyłoby się to wszystko.

Powoli spłynął na nią ogromny spokój. Serce zwolniło. Rozumiała, co się z nią dzieje. Stawała się tym, czym musiała się stać.

Chwyliła za pistolet.

- Dziękuję. Wezmę go, skoro pan nalega. - Jej dłonie nie przestały pulsować bólem, ale wmawiała sobie, że to nic poważnego.

Sam uniósł w górę brew, a ona położyła broń na kolanach. Wykorzystała jego wspaniałomyślny gest. Pistolet leżał skierowany lufą w jego stronę jako ostrzeżenie. Zrozumiał przesłanie. Chce, żeby wiedział, że posłuży się nią, jeśli będzie musiała i że nie da się nabrać na żadne sztuczki. Ta królowa piękności rzeczywiście była Nikitą, brakło jej tylko odpowiedniej techniki. I chyba właśnie to sprawiło, że Sam poczuł niepokój, którego nie czuł od dawna przy żadnej kobiecie. Niepokój, którego nie chciał odczuwać. Musi się skupić na tym, jak odzyskać pistolet.

Tak niewiele wiedziała o broni, że może uda się ją złapać na najprostsze kłamstwo.

- Niech pani nie będzie niemądra. Jeśli na coś wjedziemy, pistolet może wypalić i ktoś może zginąć. Na przykład ja!

Zastanowiła się.

- Więc proszę jechać ostrożnie.

Imponowała mu coraz bardziej, nie chciał jednak dać tego po sobie poznać.

- Świetnie. Tak myślałem.

Jechali w milczeniu, sprzymierzeńcy z konieczności.

Skulona niewygodnie na podłodze Julia wpatrywała się w twarz Keeline'a. Była to silna twarz, o mocnych kościach, szczupła i przystojna, promieniująca pewnością siebie. Szare oczy były szczerze i bystre. Popielate włosy Sam miał zmierzwione, a jego dłonie mocno trzymały kierownicę. Wszystko w tym mężczyźnie było pociągające i Julia musiała sobie powiedzieć „dość”. Ani miejsce to, ani czas na takie myśli...

Szybko się otrząsnęła.

- Po co chciał się pan ze mną widzieć dziś wieczorem? Chciał mi pan opowiedzieć o moim dziadku Austrianie i o Bursztynowej Komnacie?

Patrzył na samochody stojące w korku przed nimi.

- Wczoraj dostałem przesyłkę. A raczej gruby list. Była zaadresowana na moje nazwisko, ale zdążyłem przeczytać tylko kilka zdań, zanim mi ją odebrano. Była tam aluzja, że Bursztynowa Komnata istnieje i że nadawca wie, gdzie się znajduje...

Julia stała się bardziej czujna.

- Dostał pan wczoraj przesyłkę? W piątek? Jak wyglądała?

- Nic szczególnego. Szary papier i taśma klejąca. Była formatu szkolnego zeszytu. Nadano ją w Armonk...

- Gdzie ona jest teraz? - Jej głos był pełen napięcia.

Nie był pewien, czy powinien jej o tym mówić. Kazano mu o wszystkim zapomnieć. Ale cała sytuacja śmierdzi, i wygląda na to, że jej rodzina jest w to zamieszana.

- Zabrał ją mój przełożony. Vince Redmond.

Oparła głowę na siedzeniu. Pistolet zsunął się jej na podolek. Oblizała wargi.

- To mój kuzyn, syn wuja Creightona. Tego się obawiałam. - Ta wiadomość podziiała na nią druzgocąco.

- Nie wiem, co pani ma na myśli - powiedział Sam. - Ale chętnie się do-
wiem.

Wciąż siedziała na podłodze durango. Pistolet leżał na jej uniesionych kolanach. Milczała. W końcu podniosła wzrok na Keeline'a.

- Panie Keeline, mam zamiar znaleźć kobietę, która zabiła moją matkę, i doprowadzić do jej ukarania. Chcę, żeby pan o tym wiedział. To się stało zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Ta kobieta dziś zabiła Oriona Grapolisa, mojego terapeutę i sąsiada, cudownego człowieka, pełnego dobroci. Dzięki niemu odzyskałam wzrok. Mam jednak wrażenie, że to wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane, niż sądziłam. Nie jestem pewna, co się naprawdę dzieje.

Spojrzała mu w oczy. Może robi największe głupstwo, mówiąc mu to wszystko. Bo jeżeli można wyciągnąć jakiś wniosek z wydarzeń ostatniego dnia, to taki, że powinna zachować ostrożność w stosunku do wszystkich, a zwłaszcza wobec tych, którzy chcą uchodzić za przyjaciół. Ale przecież on rzeczywiście trzykrotnie uratował jej życie i teraz powiedział jej o przesyłce, którą dostał, i o jej kuzynie. Poza tym to ona trzyma pistolet - załadowany i odbezpieczony.

Stwierdziła, że przynajmniej w tej chwili z jego strony nic jej nie grozi. Zaczęła mówić spokojnym głosem.

- Moja matka też dostała jakąś przesyłkę wczoraj wieczorem. Była zapakowana w szary papier i zaklejona taśmą. Też nadano ją w Armonk. Mama włożyła ją do torby i kiedy na nas napadnięto, morderczynie zabrała tę paczkę razem z innymi rzeczami.

Więc chodziło o przesyłkę. Keeline'owi żywej zabiło serce.

- Morderczynie chodziło o tę paczkę.

- Tak właśnie pomyślałam. Kradzież klejnotów była tylko przykrywką.

- Przesyłka pani matki również mogła dotyczyć Bursztynowej Komnaty.

Julia zmarszczyła czoło.

- Nie sądzę. Byłyśmy z mamą bardzo blisko. Gdyby wiedziała coś o Bursztynowej Komnacie, powiedziała by mi. A ja nigdy nie słyszałam o tym od niej, zresztą nie słyszałam od nikogo. - Spojrzała na niego z ukosa. - Prawdę mówiąc, jest pan jedyną osobą, która twierdzi, że ta komnata, o ile w ogóle istnieje, może mieć ze mną coś wspólnego. Może w tej paczce było coś jeszcze, o czym pan nie chce mi powiedzieć.

- Nie wiem, czy w ogóle poza listem, którego fragment przeczytałem, coś tam jeszcze było. Gdybym to wiedział, prawdopodobnie nie byłoby mnie tu teraz - stwierdził. - A jeśli chodzi o Bursztynową Komnatę, to ma pani niezbity dowód na jej istnienie. Od kilku lat rosyjscy artyści próbują odtworzyć komnatę w pałacu carycy Katarzyny na podstawie starych fotografii i rysunków. Nie tak dawno w Muzeum Historii Naturalnej była wystawa na ten temat. Kilku artystów siedziało i pracowało nad nowymi płytami. Pisał o tym „Times”. - Mógł sobie darować to ostatnie zdanie. Oczywiście nie mogła o tym czytać. Przecież była niewidoma.

Julia wyczuła jego zmieszanie i to ją zirytowało.

- Niewidomi „czytają” gazety, panie Keeline. Chodzimy do kina, opery, teatru i na balet. Z muzyki ze ścieżki dźwiękowej i tym podobnych wrażeń czerpiemy prawdopodobnie więcej niż ludzie widzący. A jeśli dodatkowo mamy przy sobie jakąś miłą osobę, która opisze nam, jak coś wygląda, tym lepiej.

- Przepraszam. W sznurze samochodów powstała luka, więc Keeline wciśnął gaz i skręcił w tunel Lincolna.

Zauważyła, że skręcają na zachód, zamiast na wschód. Jej reakcja była natychmiastowa.

- Powiedziałam, że chcę jechać do Oyster Bay!

- To byłby fatalny błąd. Policja... pewnie również zabójczynie... mogą już tam na panią czekać. Jak pani myśli, skąd wiedzieli, że pojechała pani do wuja Brice'a?

W półmroku panującym we wnętrzu samochodu jej twarz wydawała się śmiertelnie biała.

- Pana zdaniem skąd mieliby to wiedzieć?

- Nie wiem, ale się zastanawiam. Miałem nadzieję, że będzie pani potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

- A skąd pan wiedział, gdzie mnie znaleźć? - odparła. Jej głos aż zadrżał ze strachu.

- Doszedłem do tego drogą dedukcji - powiedział. - Zebrałem materiały na pani temat: adresy przyjaciół i rodziny. Kiedy zobaczyłem, że jedzie pani metrem na północ, sprawdziłem na mapie, która z bliskich pani osób mieszka w okolicy. Okazało się, że Brice Redmond.

- Może policja i morderczynie doszli do tego w ten sam sposób.

- To możliwe. - Ale nie był przekonany.

Minęli sklep całodobowy. Niedaleko było wolne miejsce, więc zaparkował tam.

- Co pan robi?

- Można tu dostać bandaż. Zaraz wracam. - Zgasił silnik i zabrał kluczyki. Nie zwracał uwagi na to, że ona wciąż trzyma na kolanach pistolet.

Miał rację. Dopóki nie zrobi czegoś przeciwko niej, ona nie posłuży się pistoletem. Śledziła wzrokiem kluczyki.

- Proszę nawet o tym nie myśleć - powiedział. - Jeśli pojedzie pani gdziekolwiek na Manhattan, skończy pani w areszcie. Poza tym nie wie pani, jak posługiwać się standardową skrzynią biegów. Zaraz wracam.

I poszedł. Miała wrażenie, jakby była przykuta do tej podłogi. Poczula się bardzo samotna. Skąd to uczucie? Może dlatego, że Keeline zostawił ją tu samą? Niemożliwe. Nawet jeśli był na tyle miły, żeby jej pomóc, to przecież nic o nim nie wie.

Po co on naprawdę poszedł do sklepu?

Sam bez trudu znalazł aparat telefoniczny. Zadzwoił do informacji w Port Washington na Long Island, gdzie mieszkała siostra Pinka. Poprosił o jej numer.

Pink odebrał telefon. Był niemile zaskoczony.

- Jak mnie tu znalazłeś?

- A jak myślisz? - Sam odpowiedział pytaniem na pytanie.

Pink roześmiał się. Jasne, najprostszy sposób to informacja o numerach zamiejscowych, o ile Sam nie był w Langley, gdzie trzymano akta osobowe. Ale Pink wątpił, czy Sam jest w Langley.

- Co się stało? - Pink słyszał, że w kuchni siostra i jej córeczki sprząają po obiedzie. Dochodziły go ich śmiechy.

- Potrzebuję twojego wielkiego umysłu i doświadczenia, żeby zidentyfikować pewną damę.

- A gdzie tę damę spotkałeś?

- Powiedzmy, że wpadłem na nią. Myślę, że gdzieś już ją kiedyś widziałem i ona też mnie kojarzy. Nie pamiętam tylko gdzie. Ale przypuszczam, że ty też ją znasz.

Pink zrobił się podejrzliwy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Zaraz do tego dojdę. Posłuchaj. Ma jakieś trzydzieści kilka lat... - opisał wygląd kobiety, którą Julia Austrian nazywała Normą. Wziął głęboki oddech. Pink zaraz się wścieknie. - Wydaje mi się, że pamiętam ją z Firmy. Prawdopodobnie to była jakaś mokra robota. Pracuje sama. Jest...

- Cholera, Sam! Co ty robisz? Straciłeś rozum? Na Boga, jesteś pracownikiem umysłowym, a nie agentem! Czy Vince Redmond?...

Sam ściszył głos.

- Pink, nie rób mi teraz wykładów. Potrzebuję tej informacji. Pracowałeś z tymi ludźmi dużo bliżej i zupełnie niedawno. Powiedz, kto to może być? Jest twarda, świetnie wykształcona i zimna jak lód. Nic ci nie przychodzi do głowy?

Pink przez jakiś czas milczał. W końcu westchnął.

- Osiem lat temu jakaś operacja w Pradze. Potem w Gwatemali. Pułkownik w Gwatemali pracował dla nas i myślał, że to mu daje prawo likwidowania swoich wrogów. Jednym z tych wrogów okazała się nasza Agencja do Walki z Narkotykami. Musieliśmy wyeliminować pułkownika. Twoja dama wygląda mi na jednego z czyszcicieli, którzy wykonali tę robotę. Maya Stern. Wątpię, żebym się mylił. Nie ma w Firmie wielu takich jak ona. Przynajmniej nie kobiet.

Wtedy Sam przypomniał sobie. Berlin! Jedenaście czy dwanaście lat temu. Widział ją kiedyś na odprawie. Trudno było ją zapomnieć. Piękna, ale jedno spojrzenie w oczy wystarczyło, żeby nie mieć wątpliwości, że jeśli coś ci przyszło do głowy, to był to bardzo zły pomysł.

- Co ona teraz robi, Pink?

- Nie mam pojęcia. Odeszła cztery lata temu i przepadła. Słuchaj, jeśli wplątałeś się w coś, co ma z nią związek, i ani Redmond, ani dyrektor o tym nie wiedzą...

- Dzięki, stary. Bardzo mi pomogłeś. Będę w kontakcie.
Odwiesił słuchawkę i poszedł kupić obiecany bandaż.

Zastał Austrian tam, gdzie ją zostawił. Usiadł z powrotem na siedzeniu kierowcy, a na fotelu obok położył reklamówkę.

- Zaopatrzenie - powiedział. - Mam trochę białej farby i pędzel, żeby zmienić numer rejestracyjny, na wypadek gdyby ktoś w końcu skojarzył nas ze sobą. Męczy mnie już martwienie się o pani rękę. Proszę, antybiotyk i maść. I trochę gazy oraz plaster. Niech pani coś z tym zrobi. - Położył reklamówkę obok niej, wyjął farbę i pędzel i odwrócił się, kiedy spostrzegł, że patrzy prosto w lufę swojego browninga.

Jej błękitne oczy były stanowcze. Widać było, że Julia jest zła.

- Do kogo pan dzwonił? Słucham!

Sam spojrział na pistolet, a potem na nią.

- Powiniennem się być domyślić, że będzie mnie pani śledzić. To bardzo nierozsądne, że wysiadła pani z samochodu.

- Do kogo pan dzwonił? Bo będę strzelać.

- Nawet nie potrafi się pani posłużyć tą skrzynią biegów - przypomniał jej Sam. - Gdyby mi pozwoliła pani, pokazałbym, jak to się robi. Wszystko, co robię, robię dla pani dobra, do cholery.

- Niech pan mówi! — Jej ręce zaciśnięte na pistolecie zaczęły drżeć.

Sam zrozumiał, że to nie przelewki.

- Na Siedemdziesiątej ulicy, kiedy zajechałem pani Normie drogę, miałem okazję się jej przyjrzeć. Odniosłem wrażenie, że skądś ją znam, a ona mnie. Nie wiedziałem, gdzie i kiedy mogłem się z nią spotkać, ale byłem pewien, że było to coś związanego z Firmą. Przed chwilą dzwoniłem do przyjaciela, Pinka, bo sam od dłuższego czasu nie pracuję w terenie. Opisałem mu „Normę”, a on rozpoznał ją od razu. Nazywa się Maya Stern. Była zabójcą w Firmie. Cztery lata temu odeszła i ślad po niej zaginął.

Julia patrzyła na niego z niedowierzaniem. Tak bardzo chciała komuś wierzyć, ale...

Sam starał się panować nad głosem.

- Niech mnie pani posłucha, nie dałem pani żadnego powodu, żeby mi pani nie ufała. Wszystko, co zrobiłem do tej pory, miało na celu pomóc. Mówię prawdę. Ta kobieta, która próbuje panią zabić, jest byłą agentką CIA i nazywa się Maya Stern. - Wyciągnął rękę w jej kierunku. - Niech mi pani wierzy albo nie, ale musimy opatrzeć te ręce. Może pani dalej trzymać pistolet. Będę opatrywał je po kolei.

Kiedy patrzyła, jak mężczyzna wyjmuje z reklamówki antybiotyki, maść, gazę, plaster i kładzie wszystko na siedzeniu, coś w niej pękło. Miał długie, silne palce. Czowała, że to silne ręce, że mają władzę. Kiedy przemywał i opatrywał jej poranione dłonie, miała wrażenie, że każdy jego dotyk rozgrzewa jej skórę. Czowała się skrzepowana, ale podobało się jej to uczucie. Było przyjemne.

Była na siebie zła za tę słabość. Chciała wiedzieć, co kryje się za tajemniczym, zniewalającym spojrzeniem szarych oczu. Ten mężczyzna był, a może wciąż jest, zawodowym szpiegiem. Czy może ufać temu, co jej mówił, temu, jak się przedstawiał? Chciała mu ufać, bo używał racjonalnych argumentów. Rzeczywiście potrzebowała pomocy. Nie umie prowadzić jego samochodu. Nie miała przy sobie nawet karty do bankomatu. Jest bezbronna - łatwa do schwytania - bo nie ma żadnego dostępu do swoich pieniędzy.

Powiedział łagodnie.

- Założę się, że bardzo boli. Tu są zakończenia nerwów. Wiem, kim pani jest, pani Austrian. Jest pani doskonałą pianistką. Te rany musiały pani napędzić stracha. - Uśmiechnął się do niej i poczuł, że nie może złapać tchu. Chciał na nią patrzeć. Jej twarz była w tej chwili przedziwną mieszanką przeciwieństw, kruchości i siły. - Nie kłamie. Po co miałbym kłamać? Jedyne powód, dla którego chciałem się z panią zobaczyć, to Bursztynowa Komnata. Jeśli chodzi o całą resztę, nie wiem więcej niż pani.

- Podoba się panu praca dla CIA? - zapytała.

- Tak, bardzo. Ta praca ma sens. Jedyne, w co wierzę, to cele, które realizuje Firma. Kraj potrzebuje agencji wywiadowczej, a ja mam poczucie, że robię coś dobrego dla kraju.

- Dokąd chce mnie pan zawieźć?

- Do mojego mieszkania w Alexandrii. Żeby uciec przed Maya Stein i przed policją, musi się pani wydostać z Manhattanu. Tam, gdzie mieszkam, będzie pani bezpieczna. Potem się zastanowimy, co robić dalej.

Zakleił plastrem opatrunek i oparł się na siedzeniu. A ona poczuła nagle, że brak jej jego dotyku.

Musi pozbyć się tych nieznośnych myśli. Trzeba się zastanowić nad jego planem. Julia nie może wrócić do swojego mieszkania. Na Manhattanie też nie była bezpieczna. Nie może jechać do Arbor Knoll. Przerażała ją sama myśl o tym... ale jej kuzyn Vince i wuj Brice mogli mieć związek z tym, co ją spotkało. Oyster Bay też mogła okazać się niebezpiecznym miejscem. Wciąż miała w ręku pistolet i jeśli okaże się, że Keeline kłamie, przynajmniej z nim będzie się mogła rozprawić.

- Zgoda - odezwała się w końcu. - Ale jeden fałszywy ruch i będę strzelać. Nie wiem zbyt wiele o broni, jednak zamierzam trzymać pistolet na tyle blisko, żeby to nie miało znaczenia.

- Dobrze. - Sam uśmiechnął się do niej. - Chyba nie mam szans wynegocjować lepszych warunków. Niech się pani stąd nie rusza.

Browning natychmiast poszedł w górę.

- Dokąd pan idzie?
- Przemalować numer rejestracyjny. Na wypadek, gdyby ktoś go zapamiętał.

Wyszedł, zanim zdążyła zareagować. Uniosła się na podłodze, modląc się w duchu, żeby w pobliżu nie było policji. Zobaczyła, jak głowa Keeline'a znika za maską samochodu. Patrzyła, jak się wychyla i chowa podczas przemalowywania.

Za chwilę był z powrotem. Brudny pędzel i farbę włożył do reklamówki i wrzucił pod siedzenie.

- Nie trzeba nikogo informować, że dokonałem ingerencji w kompetencje stanu Wirginia.

Sam uruchomił silnik i wycofał samochód z parkingu. Spojrzał na nią - ciemny, skulony kształt na podłodze. Wiedział już, że jej wygląd jest mylący. Ma świetną kondycję fizyczną. Jest sprytna i czego wcześniej nie podejrzewał, zdecydowana stawić czoło sytuacji, która ją przerastała.

- Pójdę z panią na układ - zaproponował. - Powiem pani wszystko, co wiem, jeśli pani też mi wszystko powie. Ponieważ opowiedziałem pani o Bursztynowej Komnacie i o Vinsie Redmondzie, wydaje mi się, że teraz kolej na panią. Potem może mi pani zadawać pytania, a ja obiecuję, że na nie odpowiem.

Wrzucił pierwszy bieg, dodał gazu i włączył się do ruchu. Kiedy jechali tunelem, kierując się na zachód, zaczęła swoją opowieść. Równocześnie ukradkiem zmieniła pozycję, żeby schować pistolet. Potem zsunęła jedną zabandażowaną dłoń na dół i zabezpieczyła browninga.

26.

21.20, SOBOTA

OKRĘG WESTCHESTER, NOWY JORK

Lyle Redmond siedział przy oknie i niewidzącym wzrokiem patrzył na chłodne gwiazdy, które połyskiwały srebrnym blaskiem na widocznym zza wzniesień okręgu Westchester niebie. Stary człowiek był poruszony i martwił się. Od chwili, kiedy po południu pożegnał franciszkanina, układał plan. Musiał przyznać, że się bał. Nie wiedział, jak daleko mogą się posunąć jego synowie. Jeśli złapią go na ucieczce z tego więzienia, być może zdecydują, że stary sprawa im za dużo kłopotów, żeby go utrzymywać przy życiu.

Mimo wszystko musi spróbować.

Z radia płynęła cicho melodia *Night and Day*, jeden z przebojów Cole'a Portera z lat trzydziestych. Ta muzyka sprawiła, że zaczął myśleć o miłości i o tym, jak bardzo kochał Marguerite. Kiedyś była słodką małą dziewczynką, ale nawet gdyby dorosła i się go wyparła, nie przestał jej kochać. Nigdy nie udało mu się jej podporządkować, tak jak to zrobił z synami. Chyba z przekory kochał ją nawet bardziej, właśnie dlatego, że potrafiła mu się sprzeciwić. Żaden z chłopców - nawet buntowniczy Brice - nie miał dość odwagi, żeby mu powiedzieć „nie”, tak jak Marguerite. Oczywiście do czasu, kiedy Lyle się zestarzał, a synowie przekonali jakiegoś młodego sędziego, że ojciec zwariował.

Zmęczony oparł głowę o oparcie fotela, a brodę podparł ręką i spoglądał w mrok nocy. Kiedy zmarła jego żona, Marguerite stała się najważniejszą kobietą w jego życiu. To prawda, że w Oyster Bay potajemnie wykradał się na schadzki, ale korzystał wtedy z sekretnego przejścia prowadzącego do posiadłości i nikt nigdy nie widział żadnych kobiet. Nie chciał, żeby ktoś się o tym dowiedział przez wzgląd na pamięć swojej żony.

Przy takich okazjach bywało, że wypił za dużo i wracał do domu ze śladami szminki na koszuli, przesiąknięty zapachem perfum, ale nikt ze służby - ani żadne z dzieci - go wtedy nie przyłapał. Tajne przejście było świetnie ukryte.

Były też kobiety z towarzystwa. Potrzebował ich nie tylko z powodu seksu, ale również jako partnerkę w czasie rozmaitych przyjęć i imprez związanych z interesami, które organizował Daniel Austrian. Ale żadna z nich nie zostawiła w jego życiu żadnego trwałego śladu. Nawet nie pamiętał ich imion. Żadna nie dorównywała jego żonie Mary ani córce Marguerite.

Westchnął, przypominając sobie to wszystko, i spojrział na zegarek. Musi się ruszyć. Jest już prawie pół do dziesiątej.

Podniósł się, wyłączył radio i założył szlafrok. Żeby wymknąć się stąd jutrzejszej nocy razem z ojcem Michaëlem, będzie musiał ukraść dwa klucze. Teraz jest najlepsza pora. Pracownicy są zmęczeni i mniej czujni, w świetlicy, gdzie trzymano w zamknięciu wszystkie klucze, będą trwały sobotnie zajęcia.

Serce zaczęło bić mu mocniej. Stary człowiek wsunął pomarszczone stopy w kapcie i ruszył korytarzem. Szopa białych włosów tworzyła świetlisty wianuszek wokół głowy w blasku jarzeniówek.

- Lepiej się pan czuje, sir? - W korytarzu prowadzącym do przestronnego holu pojawił się szef ochrony John Reilly. Twarz miał nieruchomą, ale Lyle dostrzegł czujność w spojrzeniu. Wyglądało na to, że Reilly nie spuszcza go z oczu i tylko czeka, żeby zareagować.

Lyle załamał się. To niemożliwe, żeby udało mu się zdobyć te klucze. Ale musi spróbować.

- Czuję się tak, jak się można było spodziewać. - Nie miał zamiaru informować wynajętego przez synów zbira, że jest w lepszym stanie, niż się to wydaje.

- Wybiera się pan na spacer? Chętnie będę panu towarzyszył. - Reilly odsunął się od ściany.

Lyle spiorunował go wzrokiem.

- Idę do świetlicy. Chcesz popatrzeć na moje bazgroły?

- Jeśli tylko bazgrolenie sprawi panu przyjemność, sir.

Lyle miał ochotę zdzielić tego kretyna pięścią, ale tylko wzruszył ramionami.

- Chyba musisz się tu bardzo nudzić. - Towarzystwo Reilly'ego było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Cały plan zdobycia kluczy weźmie w łeb.

Zdenerwowany stary ruszył dalej korytarzem. Reilly siedł obok. Szef ochrony był szczupły, z wyjątkiem brzucha wielkość piłki lekarskiej. Skutek łakomstwa i dogadzania sobie, pomyślał Lyle. Stary podjął się cholernie trudnego zadania. Odkąd kilka dni temu znaleziono jego pamiętniki, Reilly nosił przy pasie pistolet. Dziś też go miał. Wymowna groźba.

Minęli salę rekreacyjną, gdzie oglądano film i gdzie unosił się zapach popcornu. Lyle nie znosił tutejszego popcornu. Ci idioci z kuchni przyrządzali go bez dodatku soli i masła. Obrzydliwość. Jeść taki popcorn to tak, jakby żuć tekturę.

Serce starego zabiło żywiej. Na horyzoncie pojawił się niebiański widok: korytarz kończył się szklanymi drzwiami, które prowadziły na zewnątrz. Przez szybę widać było parking dla pracowników, a dalej wysoki płot z siatki i bramkę. Zarówno drzwi, jak i bramka cały czas były zamknięte na klucz.

Ale klucze do nich trzymano w świetlicy obok.

To był jego cel. Musiał zdobyć te dwa klucze. Wiedział, że za płotem znajduje się droga, która prowadzi przez las i mija sześć ogromnych domów rozrzuconych na ogromnych, czterohektarowych parcelach. Wiedział o tej drodze wszystko, bo przed trzydziestu laty nieraz tędy wędrował.

Teraz to była droga do wolności.

W świetlicy jedna z opiekunek, pani Langer, wyjęła kredki i akwarele. W tym tygodniu kilka kobiet układało głupkowate wierszyki na Święto Dziękczynienia i dziś wieczorem pani Langer pomagała im ozdobić kartki z wierszykami kolorowymi rysunkami i dowcipami z lat ich młodości.

Lyle zebrał się na odwagę i wszedł do środka. Rozejrzał się. Cieniutkie stróżki potu spływały mu po ciele okrytym szpitalnym szlafrokiem.

Za jego plecami odezwał się głos Reilly'ego.

- Pani Langer, mogę panią na chwilę prosić?

Kobieta odwróciła się i wyszła na korytarz. Lyle widział, jak stoi tam i marszy brwi, patrząc na niego. Reilly mówi jej pewnie, żeby nie pozwoliła mu zabrać papieru ze świetlicy do pokoju, żeby nie miał na czym pisać pamiętników. Ale

nie bardzo się tym przejął. Zmartwił się dopiero wtedy, kiedy stojący na korytarzu skończyli rozmawiać, a Reilly nie odchodził. Stał jak posąg w drzwiach, opierając się o framugę. Pani Langer podeszła do Lyle'a.

- Pan Redmond. Miło pana widzieć znowu o własnych siłach.

- Dziękuję, pani Langer. Mnie również jest z tego powodu miło. - Uśmiechnął się do niej szeroko i serdecznie, żeby nie miała cienia podejrzeń, że Lyle ma jakieś złe zamiary. - Czy mógłbym spróbować pobawić się trochę farbami olejnymi, jeśli obiecuję, że nie zwędzę więcej papieru ze świetlicy?

Wydawała się nieco zakłopotana.

- Oczywiście. Zaraz podam panu farby.

Z przejęcia głośno przełknął ślinę. Nadszedł ten moment.

- Pomogę pani.

Poszedł za nią do szafy z farbami, która również była zamknięta na klucz. Pani Langer od dawna próbowała namówić go na jakieś prace ręczne, na przykład na malowanie, on jednak zgłosił się do niej z innego powodu. Po prostu w szafie z farbami były również klucze.

Teraz dopiero miał powód do nerwów. Drżąc ze strachu, obejrzał się przez ramię. Reilly wciąż stał w drzwiach, niech to. Ręce miał założone na piersi i obserwował pokój. Wyglądał na znudzonego, ale te pozbawione wyrazu wyblakłe oczy niczego nie przegapiają.

Lyle zebrał się w sobie. Na twarz przywołał najbardziej czarujący uśmiech. Trzęsąc się ze strachu, stanął przy pani Langer, która przekreśliła kluczyczek w szafie i otworzyła drzwi. Na półkach leżały blejtramy, farby, pędzle i inne materiały do malowania. Natychmiast zobaczył to, czego szukał. Po jego prawej stronie na gwoździu przybitym do bocznej ścianki szafy wisiał pęk kluczy.

- Co chciałby pan malować, panie Redmond? - zapytała opiekunka.

Serce tłukło mu się w piersi.

- Zamierzam namalować Monę Lisę. Nie potrzebuję zdjęcia. Wszystko mam tutaj. - Postukał się dłonią po głowie. - Ta kobieta to nie sama skóra i kości, miała ciało. I ten nieuchwytny uśmiech. Będę potrzebował farb olejnych.

- Cel godny podziwu.

Niemal czuł spojrzenie Reilly'ego na plecach. Ale musiał wytrzymać. Może to jest jego jedyna szansa. Momentalnie przerażenie ustąpiło miejsca chłodnemu spokojowi, dzięki któremu w interesach zawsze udawało mu się wychodzić cało z najgorszych opresji.

- Proszę mi pozwolić. Sam to wezmę - powiedział. I biodrem lekko trącił kobietę, żeby odsunęła się od otwartej szafy.

Odwróciła się twarzą do niego.

- Naprawdę, panie Redmond. Nie powinien pan. Ostatnio nie czuł się pan dobrze. Proszę usiąść i...

Wciąż do niego mówiła, gdy on tymczasem zwinnie przesunął się do otwartych drzwi i cały drżący zebrał potrzebne do malowania akcesoria. Nie musiał udawać, że się trzęsie. Ze strachu naprawdę trząsał się jak osika, mimo że na razie wszystko szło zgodnie z planem, który wcześniej obmyślił.

- Panie Redmond! Naprawdę, nie powinien pan...

- Przepraszam. - Wtedy to zrobił. Żeby wywołać zamieszanie upuścił z rąk pędzle. Drewniane patyczki rozsypały się po dnie szafy. Schylił się, żeby je zbierać, i przewrócił jakąś puszkę. W powietrzu uniósł się odór terpentyny.

Pani Langer nie wytrzymała.

- Niech pan przestanie! Panie Redmond. Proszę to zostawić!

Pozwolił jej, żeby go odepchnęła w prawą stronę. Tylko na to czekał. W skroniach mu tętniło. Kiedy zbliżyła się do szafy, zasłoniła widok Reilly'emu. Sama była pochłonięta sprzątaniami terpentyny, która rozlała się na półce na wysokości wzroku.

Lyle nie ośmielił się sprawdzić, co robi Reilly. Ufając całkowicie szczęściu, sięgnął rękawem prawo, zdjął ze ścianki kółko z kluczami i wrzucił je do kieszeni szlafroka.

Przeżony czekał. Czy Reilly coś zauważył?

Nie słyszał żadnego krzyku, więc odwrócił się. Oddychał za szybko i zauważył, że Reilly wszedł do świetlicy i szedł w jego kierunku z podejrzliwą miną.

- Co tu się dzieje? - zapytał. Patrzył na szafę, gdzie pani Langer robiła porządek, mrużąc coś pod nosem.

Lyle wzruszył ramionami i odsunął się.

- Przepraszam, Reilly. Chyba nabroiliśmy. - Serce waliło mu jak oszalałe. Klucze tworzyły małe wybrzuszenie w kieszeni obok jego prawej dłoni. - Siadaj ze mną i popatrz, jak będę malował. Czuj się zaproszony.

Ale Reilly nie zwracał na niego uwagi. Lyle patrzył przerażony, jak mężczyzna energicznym krokiem podchodzi do szafy. Przyglądał się półkom, podczas gdy pani Langer dalej sprzątała. Reilly nie był wykształcony, ale miał spryt chłopaka, którego wychowała ulica. Jeśli będzie patrzył wystarczająco długo, zauważy, że brakuje kluczy.

Lyle czuł, że zaczyna wpadać w panikę. Miał ochotę wbić głowę w plecy Reilly'ego i pchnąć go na półki. Potem wyciągnąłby z kabury jego pistolet i strzeliłby mu w kolana. Prawdę mówiąc, miałby ochotę zatłuc go na śmierć...

Myśl! - rozkazał sobie. Musi być jakiś sposób, żeby wyciągnąć Reilly'a z tej przeklętej szafy!

I nagle wpadł na pomysł. Zrobi coś, czego można się było po nim spodziewać. Przecież sam Reilly nazywał go starym, schorowanym człowiekiem.

Lyle jęknął.

- Reilly. Nie czuję się najlepiej.

Zamknął oczy i zwałił się na podłogę jak worek. Leżał bezwładnie na lino-leum i słyszał kroki Reilly'ego, który już pędził w jego kierunku.

- Panie Redmond! - Głos Reilly'ego był pełen troski.- Niech pani wezwie lekarza, pani Langer. Panie Redmond, czy pan mnie słyszy?

Kiedy Reilly przykucnął i pochylił się nad nim, Lyle uśmiechnął się w duchu. Jak za starych dobrych czasów miał swoją przyszłość w kieszeni. Jego synkowie nich się teraz mają na baczności. Lyle Redmond wraca. Wszyscy się o tym dowiedzą jutro w nocy.

27.

21.46, SOBOTA

W DRODZE DO ROGATKI NEW JERSEY

Wciąż jeszcze znajdowali się w Nowym Jorku. Nastroje mieli zdecydowanie minorowe. Sam rozglądał się za policją, a skulona na podłodze Julia opowiadała mu swoją historię. Na drodze panował spory ruch, i to sprawiało, że czuła się zdenerwowana. Nagle dźwięki zmieniły się radykalnie. Głuchy odgłos pustki. Znajdowali się w tunelu Lincolna biegnącym głęboko pod rzeką Hudson i prowadzącym do New Jersey. Zdrętwiała i obolała Julia zaczęła się podnosić.

Sam położył jej dłoń na ramieniu.

- Niech pani zaczeka, aż miniemy granicę stanu. To jeszcze kawałek, ale policja nowojorska mogła zawiadomić policję międzystanową, żeby czekali na panią na rogatek. Będziemy musieli poczekać, póki nie odbierzemy biletu, a jeśli ktoś zobaczy panią siedzącą obok...

- Rozumiem. - Szuka jej cała policja. Im dalej będą od Manhattanu, tym lepiej. - Może ma pan z tyłu jakiś płaszcz, żeby mnie przykryć?

- Powinien tam być jakiś koc. Sięgnie pani?

Zmieniał pas na prawy, najszybszy, prowadzący do rogatek. Podniosła się, przechyliła nad oparciem siedzenia i wzięła koc. Na szczęście był ciemnozielony i w cieniu nie będzie go widać. Usiadła z powrotem na podłodze. Bolały ją dłonie pod opatrunkiem. Próbowała znaleźć sobie wygodną pozycję.

Sam zerknął w dół, kiedy się tak sadowiła. Światło ulicznej latarni przez moment padło na jej szczupłą twarz, oświetlając błyszczące niebieskie oczy,

pełne czerwone usta i wyraz głębokiej troski. Natychmiast zwrócił oczy z powrotem na drogę. Próbował zrozumieć, jaki lęk i jakie napięcie musi teraz odczuwać. Umiał oceniać i analizować potrzeby innych ludzi zupełnie obiektywnie, bez uprzedzeń, jak gdyby ludzie byli przedmiotami. Wiedział, że jeśli Julia Austrian chce wygrać, będzie się musiała przyzwyczaić do tego lęku i napięcia. Jeśli chce przeżyć.

- Niech mi pani powie coś więcej o tym zaburzeniu nazywanym zastąpieniem. - Chciał odwrócić jej myśli od niebezpieczeństwa, w którym się znajdowała.

Przykryła kolana kocem.

- Zastąpienie to jakby język ciała. To forma wyrazu u ludzi, którzy stłumili w sobie jakieś straszne przeżycie. Najwyraźniej musiałam wyleczyć się w wystarczającym stopniu, bo znowu widzę bez potrzeby przypominania sobie dokładnie, co się wydarzyło. - Wtedy przypomniało jej się ostrzeżenie Oriona. - Ale Orion powiedział, że dopóki nie ustalę przyczyny utraty wzroku, wciąż istnieje ryzyko, że znowu przestanę widzieć. Wszystko wskazuje na to, że katalizatorem utraty wzroku dla mnie jest widok pierścionka, który dostałam od dziadka z okazji debiutu. Dlatego podejrzewam, że w noc, kiedy straciłam wzrok, musiało się wydarzyć coś, co spowodowało ślepotę.

Zmarszczył czoło. Znowu między jego brwiami zarysowała się głęboka bruzda. Podobały się jej te rzeźbione rysy twarzy i blond zarost, który pojawił się na dolnej szczęce.

- Pamiętam, że czytałem gdzieś o podobnym przypadku, który miał miejsce około tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku w Japonii. Prasa skrytykowała wtedy ostro politykę cesarzowej. To spowodowało, że cesarzowa straciła głos i nie mogła mówić przez jakieś trzy miesiące. - Zrobił przerwę, próbując przypomnieć sobie szczegóły. - Oficjalne stanowisko Japonii w tej sprawie brzmiało mniej więcej tak: „U osoby, która cierpi z powodu silnego stresu, może rozwinąć się symptom, polegający na tym, że nie będzie ona mogła przez jakiś czas wypowiadać słów”.

Julia pokiwała głową.

- Tak, to bardzo możliwe. Biedna kobieta. To wygląda na zastąpienie. Zauważył pan, że nie nazwano tej choroby?

- Rzeczywiście. Jak pani myśli, dlaczego?

- Bo choroba psychiczna to piętno tabu. Choroby psychiczne są podejrzane. To jeden z powodów, że Stowarzyszenie Psychiatrików Amerykańskich postanowiło nie nazywać mojej przypadłości histerią. Histeria to słowo, które fatalnie się kojarzy. Dzisiaj nikt nie chce, żeby jego chorobę nazywano histerią, mimo że w medycynie tego słowa używa się do opisu neurozy i nie ma pejoratywnego znaczenia.

- Pani sytuacja była więc podwójnie trudna. Nie tylko z niewiadomej przyczyny straciła pani wzrok, ale pewnie znaleźli się ludzie, którzy nie uważali tej

diagnozy za prawdziwą. Bo większość ludzi jest zdania, że tylko diagnoza somatyczna jest właściwa, ale psychologiczna, cóż, co najmniej...

- Niewłaściwa. Spojrzał na nią.
- Chciałem powiedzieć: szalona.

Uśmiechnęła się do niego blade. Samochód podskoczył i jej noga dotknęła browninga. Przestraszona poczuła go pod stopami. Na szczęście zabezpieczyła broń.

Sam odezwał się niespodziewanie.

- Wiem, że pistolet jest zabezpieczony.
- Skąd pan...
- Widziałem, jak to pani zrobiła. Myślała pani, że jestem skupiony na kierowaniu, ale przed laty musiałem nauczyć się robić kilka rzeczy naraz.

Obudziła się w niej czujność.

- Co pan właściwie robi w CIA, panie Keeline?

Ale Sam nie odpowiedział na pytanie, tylko patrzył przed siebie.

- Jesteśmy. Rogatka jest tuż przed nami.

Julia wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Naciągnęła koc na głowę i skuliła się podłódze. Dłonie położyła na sercu, starając się nie myśleć o tym, jak mocno bije.

- Jestem dobrze przykryta? - zapytała.

Spojrzał na dół na koc.

- Wygląda w porządku. - Rozejrzał się po ulicy. Pojazdy zwalniały, włączały się jaskrawe, czerwone światła hamowania. Powietrze wypełniały hałaśliwe odgłosy dużego ruchu drogowego. Kilka nitek aut podjeżdżało do automatów wydających bilety. W zasięgu wzroku nie było żadnych samochodów policyjnych ani patrolu drogowego. Nie działa sienie nadzwyczajnego.

- I jak? - Głos Julii tłumił gruby koc.

Sam głęboko odetchnął.

- Na razie wygląda na to, że jesteśmy bezpieczni. Wziął bilet z maszyny i skierował się na roгатkę New Jersey.

Potwornie zmęczona, ale pełna wdzięczności Julia podniosła się z podłogi i usiadła na siedzeniu. Rozejrzała się dokoła i przez chwilę poddała się złudzeniu, że jest bezpieczna. Zanim straciła wzrok, sporo podróżowała po Europie i Azji i teraz, kiedy spojrzała przed siebie, poczuła, że jest u siebie, w swoim kraju. Rogatki były czymś wyjątkowym, amerykańskim, a roгатka New Jersey była pewnie najbardziej amerykańska ze wszystkich. Tutaj kierowcy w swoich pochłaniających ogromne ilości benzyny stalowych rumakach płacili słono za przejazd najprostszą, najdłuższą i najsłynniejszą autostradą na kontynencie. Tutaj każdy, kto nie wcisnął hamulców na widok wozu policyjnego, albo był ściągany z trasy, albo już nie żył.

Kiedy Sam skręcił na południowy zachód, kierując się na Newark i dalej na Alexandrię, Julia położyła pistolet na kolanach. Zaczęła przekładać koc na tylne siedzenie i zauważyła, że pachnie. Wtuliła w niego nos. To nie była męska woda kolońska.

- Chanel numer 5. - Uniosła brwi. Klasyczny zapach, ulubiony zapach Pierwszych Dam i gwiazd filmowych. - Tego pan używa?

Sam nawet nie mrugnął.

- Oczywiście. Lubię dodawać do kąpeli. W dużej ilości.

Rzuciła koc do tyłu. Więc ma żonę. Albo dziewczynę. Poczula ukłucie zazdrości.

Jechali przez przemysłową dzielnicę New Jersey - rafinerie ropy naftowej i powietrze przesycone drażniącym smrodem siarki. Przedtem przez długi czas nie rozmawiali zajęci rozglądaniem się za wozami policyjnymi, które by się nimi interesowały. Teraz, kiedy znaleźli się na autostradzie i durango nabrał prędkości, Julia opowiedziała Keeline'owi o napadzie w Londynie i o potwornym morderstwie matki i taksówkarza, a potem o jej umowie z nadinspektorem policji, że zachowa w tajemnicy fakt, iż widziała morderstwa. Potem opowiedziała o sesji hipnotycznej z Orionem Grapolisem i o jego tragicznej śmierci. A także o tym, jak zabójczyni - Maya Stern - została jej asystentką.

Kiedy zbliżali się do granicy Pensylwanii, powiedziała:

- Moja historia i pańska historia zaczynają się w tej samej chwili, w momencie otrzymania przesyłki. I ten fakt zdaje się łączyć pana i moją mamę. Kiedy zadzwonił pan do mnie, żeby się umówić na spotkanie, powiedział pan, że dziadek Austrian chciał żebyśmy się zobaczyli. Czy to prawda?

Keeline zwykle trzymał głowę dumnie podniesioną, teraz jednak lekko ją przechylił i uśmiechnął się sztucznie.

- Nadeszła godzina prawdy.

Zmarszczyła brwi.

- Proszę mi wszystko powiedzieć.

- Myślę, że Daniel Austrian mógł coś wiedzieć o Bursztynowej Komnacie. Rozmawiałem z nim o tym jakieś dwanaście lat temu, kiedy dotarłem do pewnych informacji. Miałem nadzieję, że będzie chciał powiedzieć mi coś więcej, ale jego śmierć to uniemożliwiła.

- Jest pan pewien, że mówi pan o dziadku Austrianie, nie o Redmondzie? Sam zmrużył oczy, w których nagle pojawił się błysk zaciekawienia.

- Dlaczego?

- Bo dziadek Redmond mieszka w domu opieki na wsi położonej między Armonk i Mount Kisco. Kiedy mama zobaczyła tę paczkę, charakter pisma i pieczętkę pocztową, myślała, że to od niego.

Sam pokręcił głową.

- Nic nie wiem o Redmondach. Może powinniśmy porozmawiać z pani dziadkiem.

Julia westchnęła ze smutkiem.

- Niestety, dziadek zupełnie zdzieciniał na starość. Zaglądałyśmy do niego z mamą trzy czy cztery razy w zeszłym roku, ale on nawet nas nie poznał. Kiedyś był tryskającym energią człowiekiem. Mama twierdziła, że swego czasu niezły był z niego numer. Pamiętam, że w zależności od humoru był albo niewiarygodnie czarujący, albo złośliwy. Bez ogródek mówił, co myśli, czym doprowadzał do furii moich wujków. Ale w stosunku do mamy i do mnie zawsze był cudowny. Potem zachorował na Alzheimera. Kiedy odwiedzałyśmy go z mamą w domu opieki, nawet nas nie rozpoznawał, coś mamrotał albo zasypiał.

Kiedy sobie przypomnę, jak bardzo z nim było źle, trudno mi sobie wyobrazić, żeby polepszyło mu się na tyle, żeby mógł wysłać list. Musiałby się dowiedzieć o rozkładzie moich koncertów, żeby paczka trafiła do mamy w Albert Hall.

Sam poczuł się rozczarowany.

- Szkoda. To wydawało się logiczne.

- Wróćmy do mojego pytania. Powiedział pan, że dwanaście lat temu, po spotkaniu z dziadkiem Austrianem, stwierdził pan, że to ślepa uliczka. Dziadek nic nie wiedział o Bursztynowej Komnacie. Dlaczego więc trudził się pan, żeby się ze mną zobaczyć?

Keeline zmienił pas. Prowadził ostrożnie, utrzymując prędkość taką, jak reszta samochodów.

- Kiedy przyszła ta przesyłka, pomyślałem o panu Austrianie, bo był osobą najbliższą zagadki Bursztynowej Komnaty, do jakiej udało mi się dotrzeć. Poza tym nigdy mnie do końca nie przekonał. Kiedy dowiedziałem się, że nie żyje, sprawdziłem członków jego rodziny. Pani okazała się jedynym żyjącym potomkiem. Postanowiłem, że spotkam się z panią i opowiem pani moją historię. Sprawdzę, czy ma pani jakiś pomysł. Może ma pani jakieś notatki dziadka. Albo może powiedział kiedyś coś, co wtedy nie miało dla pani sensu, ale teraz, po tym, co usłyszała pani ode mnie, nabrało.

- Moja mama ma... miała jakieś jego papiery. Nie było tego dużo. Żył teź różniejszością i nie zbierał pamiętek. Pamiętam, że przeglądała te papiery, ale nie wspomniała nigdy o Bursztynowej Komnacie.

Mimo wszystko zainteresowało go to.

- Gdzie są teraz te papiery?

- Mama stwierdziła, że nie ma po co ich trzymać. Kilka lat po jego śmierci wyrzuciła wszystko.

Skrzywił się.

- A papiery pani ojca?

- Też je miała. Ale ona wiedziała o wszystkim, o czym on wiedział. I ja też pewnie bym wiedziała. - Głos uwiązył jej w gardle. - Bardzo się kochaliśmy.

- Rozumiem. - Spojrzał na nią. Na jej twarzy malowało się teraz więcej uczuć. Wcześniej była złość, determinacja i strach. Teraz pojawiło się cierpienie,

ale stare, głęboko zakorzenione. Coś bolesnego musiało się wydarzyć w jej życiu już wcześniej, nie tylko wciąż ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Jak pan myśli, dlaczego mój kuzyn Vince zabrał panu przesyłkę? - Zabandażowaną ręką odgarnęła złotobrzowy kosmyk z twarzy.

- Tu mnie pani ma. Szef ma nieposzlakowaną opinię, nigdy nie zrobił nic niezgodnego z prawem, nigdy nie padł na niego cień żadnego podejrzenia. Jest oddanym pracownikiem Firmy. Muszę więc przyjąć za prawdziwe jego tłumaczenie, że skonfiskował przesyłkę na polecenie głównego dyrektora, a docelowo miała trafić do Białego Domu.

Zastanowiła się nad tym.

- Jeśli więc Vince skonfiskował ją dla amerykańskiego rządu, dlaczego Maya Stern zabrała przesyłkę mamie? Dla siebie? Dla kogoś innego?

W jego szarych oczach pojawiły się iskiarki podniecenia.

- To daje do myślenia, prawda? Aż trudno uwierzyć, że... Ponad pół wieku pogłosek, oficjalnych oświadczeń i niekończących się dochodzeń... Ktoś próbuje teraz powiedzieć światu, że wie, gdzie jest Bursztynowa Komnata.

Jego przystojna twarz była podniecona. Julia czuła, że powoli udziela się jej jego entuzjazm i zaczyna się angażować w te poszukiwania, które wydają się równie magiczne, jak poszukiwania świętego Graala.

- Powiedział pan, że ostatni raz widziano Bursztynową Komnatę w tym niemieckim mieście, Królewcu. A potem rozplynęła się w powietrzu. Pan oczywiście ma jakiś pomysł, co się z nią stało. Proszę mi o tym opowiedzieć!

Sam patrzył na drogę i zaczął mówić. Był podniecony jak ktoś, kto za chwilę wygra główną nagrodę na największej loterii.

- Pod koniec drugiej wojny światowej w Europie działy się rzeczy dziwne, prawie irracjonalne. Nigdy ich pewnie nie wyjaśnimy do końca. W tej atmosferze kradzież Bursztynowej Komnaty stała się możliwa. Ale i tak musiał tego dokonać jakiś szaleniec. Był jeden człowiek, który miał odpowiednią władzę, możliwości i chęć, żeby tego dokonać...

ROK 1945, EUROPA

Był początek stycznia i wokół zbombardowanego zamku w Królewcu śnieg połyskiwał w świetle księżyca. Przez dwa lata Bursztynowa Komnata, duma frontu wschodniego, tutaj była wystawiana. Ale przyszłość nie wyglądała różowo. Po nalotach aliantów prawie całe miasto legło w gruzach. Panele, z których zbudowana była Bursztynowa Komnata, teraz stały zapakowane bezpiecznie w skrzyni w podziemiach zamku.

Kiedy minęła północ i wyczerpani rezydenci zamku spali, doskonale wyszkolona jednostka SS do zadań specjalnych przebiła się przez liczące osiem wieków

kamienne mury, aż znalazła piwnicę. Esesmani po cichu zabrali dwadzieścia dziewięć drewnianych skrzyń, a zamiast nich wstawili dwadzieścia dziewięć innych dla niepoznaki wypełnionych gruzem. Żołnierze zabrali również skrzynie z obrazami, klejnotami - część należała kiedyś do carskiej rodziny - i z innymi cennymi przedmiotami. Załadowali skrzynie na ciężarówkę i zawieźli na bocznice kolejową, gdzie przeładowali je do wagonów.

Kiedy stary silnik lokomotywy się rozgrzewał, esesmani oznaczyli wszystkie skrzynie i boczne ściany wagonu czerwono-czarnym krzyżem SS. Potem dopisali jeszcze nazwisko gwarantujące szybki transport: Himmler.

To nazwisko mroziło krew w żyłach wszystkich za linią frontu. Heinrich Himmler był słynnym z okrucieństwa dowódcą SS, gestapo i nazistowskich obozów śmierci. Nieoficjalnie był również złodziejem sztuki na skalę światową. To on szczególnie skorzystał na pierwszym okresie niemieckiej okupacji. Podobnie jak Hitler i Göring, skonfiskował więcej cennych przedmiotów w podbitych krajach Europy, niż mógł przechować. Do skrytki w banku szwajcarskim wysłał już ogromny łup, znany jako „skarb Himmlera”. Wszystko zostało skradzione węgierskim Żydom.

Ten pociąg również jechał do Szwajcarii. W czasie wojny naziści - zarówno prywatnie, jak i w ramach służby swojemu krajowi - wysłali do tego niewielkiego neutralnego kraju miliardy dolarów w skradzionym złocie i w gotówce, a także dzieła sztuki wartości około dwóch i pół miliarda dolarów. Szwajcarscy bankierzy tych bogactw strzegli, inwestowali je, sprzedawali, prali pieniądze i od czasu do czasu wysyłali do banków w innych krajach, by tam bezpiecznie czekały na swoich nowych właścicieli.

W tym czasie *führer* ukrywał się w bunkrze pod Berlinem. Gdyby doniesiono mu o kradzieży, pewnie kazałby rozstrzelać Himmlera.

Żeby do tego nie dopuścić Himmler się zabezpieczył. Jednostkę SS, która wywiozła skrzynie, wysłał na front, gdzie całe kompanie ginęły w krwawych walkach z Rosjanami. Tymczasem w piwnicach zamku wciąż stały skrzynie. Albo Himmler miał niebywałe szczęście, albo też wszystko to zaplanował. W lutym czy marcu skrzynie wypełnione gruzem zostały przez kogoś zabrane i załadowane na ciężarówkę. Kradzieży, której dokonał Himmler, nie wykryto, a skrzynie z gruzem po prostu znikły. Ktoś inny je zabrał i nie mógł donieść o poprzedniej kradzieży, bo tym samym odkryłby własne przestępstwo. Bursztynowa Komnata znikła i nikt nigdy jej później nie widział.

Żeby odbić Królewiec, bezlitosny Trzeci Front Białoruski zbombardował miasto i dziesiątego kwietnia je zdobył. Plan Himmlera się powiódł: jego łup znajdował się bezpieczny w Zurychu. Naoczni świadkowie nie żyli. Oficjalnie ogłoszono, że Bursztynowa Komnata znikła bez śladu. Himmler zadbał o wszystko, tak mu się przynajmniej wydawało.

W połowie maja *führer* już nie żył, Niemcy upadły, a Heinrich Himmler uciekał wraz z innymi w kierunku Alp. Był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Europie. Miał fałszywe dokumenty na nazwisko sierżanta z Geheime Feldpolizei. Ale alianci mieli Geheime Feldpolizei na swojej czarnej liście i wszyscy w stopniu sierżanta i wyżej zostali aresztowani.

Był zielony, ciepły wiosenny dzień, kiedy Brytyjczycy schwytali Himmlera. Nie mieli żadnych dowodów że był kimś innym, niż podawały to jego fałszywe dokumenty. Mimo to mieli pewne podejrzenia. Dwa dni później, dwudziestego trzeciego maja, zabrali go na przesłuchanie. Wczesnym popołudniem zdradził swoją tożsamość. *Ich bin der Reichsführer SS. Himmler.*

Dopóki nie nadeszła noc ponizającej rewizji osobistej i przesłuchania, opowiadał dowcipy. Miał małą ampulkę z cyjankiem ukrytą w dziurze wywierconej w zębie trzonowym. Krótco przed jedenastą Heinrich Himmler - mroczny książę „rasy panów”, przed wojną niewykwalifikowany hodowca kur - połknął truciznę. Piętnaście minut później nie żył.

Wśród żywych nie było nikogo, kto by wiedział, że Bursztynowa Komnata przetrwała.

Kiedy Selvester Maas, bankier z Zurychu, dowiedział się o samobójstwie Himmlera, musiał zdecydować, co zrobić ze zdeponowanymi u niego skrzyniami, do których nawet nie zajrzał. Leżały w podziemiach jego banku, porządnie ponumerowane, pośród innych bezimiennych pudeł i skrzyń.

Europa była wówczas opanowana przez demona chciwości. Ponad pół wieku później, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku, jedna z genewskich gazet doniosła, że ówczesni szwajcarscy „bankierzy, prawnicy i kuratorzy przywłaszczyli sobie nielegalnie przejęte wartościowe przedmioty po śmierci ich prawowitych właścicieli”. Wielu niemieckich żołnierzy i byłych urzędników nazistowskich zwoziło do domów wszystko, co się dało. Zresztą żołnierze wojsk sprzymierzonych też nie byli święci. Wśród najcenniejszych znalezisk znajdowały się liczące tysiąc lat manuskrypty i dzieła sztuki znane jako „skarby Quedlinburga”. Wkrótce po odzyskaniu ich przez armię amerykańską, skarb znikł. I nie było po nim śladu aż do lat dziewięćdziesiątych, kiedy oficer, który go ukradł, zmarł, a jego rodzina w Teksasie próbowała wszystko sprzedać.

Naziści, próbując zgermanizować świat, chcieli doprowadzić do upadku całych kultur. Sztuka nigdy nie była tak kluczowym orężem polityki. Był to czas cynizmu, chciwości i bezwstydu. W rezultacie mnóstwo dzieł sztuki zostało skradzionych i zaginęło; dziś wciąż wiele pozostaje w prywatnych rękach.

Nic dziwnego, że kiedy Selvester Maas - który uważał siebie za człowieka honoru - otworzył jedną ze skrzyń Himmlera i zobaczył w niej panele z Bursztynowej Komnaty, miał wrażenie, że zaraz zemdleje ze szczęścia. Podziało na

niego nie tylko piękno i niezwykła aura tego jedyne w swoim rodzaju dzieła sztuki, ale również atmosfery, jaka wtedy panowała.

Wkrótce zaczął się zastanawiać, co zrobić, żeby zatrzymać dla siebie to, co ukradł Himmler.

28.

00.44, NIEDZIELA

GEORGE WASHINGTON MEMORIAL PARKWAY

WASZYNGTON, DC

- Na jaką część tej historii ma pan dowody? - dopytywała się Julia.

Sam właśnie zjechał z waszyngtońskiej obwodnicy w George Washington Memorial Parkway. Ruch na ulicy się zmniejszył. W dalszym ciągu jechali na południe, a Julia nie mogła przestać myśleć o Bursztynowej Komnacie. Dała się przekonać, że na całym świecie nie ma nic, co pięknem i wartością dorównywałoby komnacie, i rozumiała dlaczego Sam jest nią tak zafascynowany i chce za wszelką cenę przekonać się, czy ona wciąż istnieje.

- Większość faktów można udowodnić - powiedział Sam z przekonaniem. - Wiemy, że po wojnie kurator zamku w Królewcu, doktor Alfred Rohde, oraz pewien rosyjski historyk sztuki, profesor Aleksander Brusów, po dokładnym przeszukaniu pomieszczenia, w którym komnata była przechowywana, znaleźli tylko jakieś zwęglone szczątki i miedziane zawiasy. Wiemy, że Himmler miał słabość do dzieł sztuki. A ponieważ komnata powstała w Prusach na początku osiemnastego wieku, Himmler zaś ten właśnie okres lubił najbardziej, miała dla niego ogromną wartość. Wiemy również, że szwajcarscy bankierzy świetnie sobie radzili i sprytnie wprowadzili w błąd lub przekupywali aliantów w celu utajnienia informacji, ile czego przekazano w ich ręce w czasie wojny.

- Trudno mi uwierzyć, że szwajcarscy bankierzy byli takimi ludźmi. Cieszyli się dobrą reputacją i panowała opinia, że współpracują z aliantami.

Po lewej stronie drogi rzeka Potomac wyglądała jak czarna, błyszcząca wstążka. Za nią rozciągała się panorama Waszyngtonu - ocean światła. Julia i Sam byli wyczerpani i mimo że udało im się uciec z Nowego Jorku, żadne nie czuło się bezpiecznie. Kiedy rozmawiali, ani na chwilę nie przestali obserwować, czy nikt ich nie goni albo nie śledzi.

- Ta opinia utrzymywała się, dopóki zupełnie niedawno nie ujawniono, że to nieprawda. Do diabła, dopiero teraz okazało się, że Szwajcaria dobrze

wiedziała, że centralny bank nazistowski został pusty i że całe morze złota, które spływało do banków szwajcarskich, zostało rozszabrowane. Mam wrażenie, że Szwajcaria uważała, że naziści mają prawo wyzyskiwać kraje, które podbili. W każdym razie faktem jest, że Szwajcarzy byli w pełni świadomi, że bardzo dużo cennych rzeczy pochodziło z grabieży prywatnych kolekcji należących głównie do Żydów.

Milczała. To mocne słowa. Coś ją jednak zastanowiło.

- Skoro profesor Brusów i doktor Rohde odnaleźli w ruinach zamku zwięzione szczątki i zawiasy, a Związek Radziecki ogłosił, że Bursztynowa Komnata znikła, nie ma żadnych podstaw, żeby sądzić, że przetrwała wojnę.

- Nie można mieć stuprocentowej pewności, ale są spore szanse, że tak się stało. - Na jego twarzy malowało się napięcie. - Proszę zrozumieć, bursztyn nie jest kamieniem półszlachetnym ani nawet minerałem. To po prostu żywica, która zastygła, a to znaczy że jest to substancja organiczna. Organiczna znaczy między innymi nieodporna na wysokie temperatury. Przy stu stopniach bursztyn zaczyna się rozpadać. Przy trzystu stopniach następuje rozpad zupełny - zamienia się w kleistą masę. A przy temperaturze, jaka panowała podczas wybuchu ówczesnych bomb, to jest przy około tysiącu stopniach, bursztyn po prostu się ulatnia. Zamienia się w gaz.

- Rozpływa się w powietrzu.

- Tak. Ale szkło się nie rozpływa. Szkło topi się, tworząc kulę, i w takiej formie już pozostaje.

- Ach! - Kiwnęła głową. - Powiedział pan, że w komnacie znajdowały się lustrzane pilastry...

- No właśnie. - Mówił z ożywieniem. - Kurator zamku i rosyjski historyk nie znaleźli bursztynu. To brzmi prawdopodobnie, bo w wyniku eksplozji bomby zapalającej cały zamek legł w gruzach i spaliła się piwnica. Gdyby spaliły się też bursztynowe panele, nie zostałyby po nich ślad. Ale nie znaleziono kul stopionego szkła. Ani odrobiny. Po prostu zero.

Julia była pod wrażeniem tak logicznego rozumowania i analizy nawet drobnych szczegółów.

- A to znaczy, że ponieważ nie było śladu szkła ani luster, nie ma dowodu na to, że komnata tam była w czasie bombardowania.

- Właśnie tak. - Energicznie kiwnął głową. - Nawet jeśli ktoś przeszukiwał zgłiszcza zamku, zanim Rosjanie się tam znaleźli, po co miałby usuwać stamtąd kule szkła? Stopionego szkła tam nie było, ponieważ Bursztynowa Komnata nie spłonęła. Została przez kogoś zabrana zgodnie z pogłoskami.

- A pan myśli, że to Heinrich Himmler ukradł Bursztynową Komnatę. - Julii udzieliło się jego podniecenie.

- Biorąc pod uwagę ówczesną sytuację, Himmler był jedyną osobą, która miała odpowiednią władzę, środki i była zainteresowana tym, żeby zdobyć komnatę. Oczywiście poza samym Hitlerem, ale Hitler był już wtedy na

straconej pozycji. Siedział w bunkrze pod Berlinem i zastanawiał się, w jaki sposób ocalić siebie i Niemcy.

Julia rozważała to wszystko.

- Więc mówi pan, że ten bankier ze Szwajcarii... Selvester Maas... przywłaszczył sobie bursztynowe panele i resztą skarbu. Skoro tak panu zależy na odnalezieniu komnaty, to dlaczego nie poleci pan do Zurychu i nie wypyta go albo jego rodziny? Pewnie jest sędziwym staruszkciem, ale może żyje.

Przystojna twarz Sama posmutniała.

- Pomyślałem o tym już dwanaście lat temu, ale okazało się, że Maas został zamordowany miesiąc po zakończeniu wojny. Jego żona zmarła na początku lat osiemdziesiątych, jeszcze zanim dotarłem do informacji o nim i o Himmlerze. Tak się złożyło, że w połowie lat osiemdziesiątych brałem udział w pewnej operacji w Berlinie. Wtedy właśnie dokonałem większości tych odkryć i doszedłem do wniosku, że musiał w tym maczać palce Himmler. Na własny użytek nazwałem to „drugim skarbem Himmlera”. Kiedy pojechałem do Zurychu, okazało się, że Maas już od dawna nie żyje, a w jego banku zaprzeczono jakimkolwiek związkom z Heinrichem Himmlerem. Ale odnalazłem współnika Maasa - był już na emeryturze - który przyznał, że Himmler był największym klientem Maasa. Zgodnie z dyspozycją podpisaną przez Himmlera „drugi skarb” miał zostać zdeponowany na koncie niejakiego Rogera Bauera. Na dokumencie widniało nazwisko Himmlera, ale współnik Maasa podejrzewał, że podpis był sfalszowany

- Myśli pan, że to Maas sfalszował podpis?

- To się wydaje logiczne. - Sam skręcił w Shirley Memorial Highway, która kończyła się w Alexandrii.

- A co ze spadkobiercami Maasa?

- Miał trzy córki, które zmarły z różnych przyczyn. Miał również syna. Ale ten gdzieś zaginął. - Sam zawahał się. Czuł, że stąpa po grząskim gruncie, jeśli chodzi o Austriana. Wiedział, jakie znaczenie ma dla Julii rodzina. Ale musi się dowiedzieć, co ona wie. - Odkryłem pewną rzecz, która wydała mi się interesująca... Kiedy policja w Zurychu prowadziła dochodzenie w sprawie morderstwa Maasa, przesłuchiowano pewnego młodego kapitana armii amerykańskiej. Nazywał się Daniel Austrian.

- To jest ten związek ze sprawą? Mój dziadek?

- Właśnie.

1.22, NIEDZIELA

ALEXANDRIA, WIRGINIA

Sam mieszkał w wysokim bloku z cegły przy King Street, w pobliżu Starego Miasta. Kilka przecznic dalej zaczynała się osiemnastowieczna zabudowa. Tam

wielu ludzi sprawujących w kraju władzę przyjeżdżało na zakupy albo zjeść obiad czy wziąć udział w ceremoniach religijnych. Samowi podobał się spokój Starego Miasta, poza tym szanował historię. Ale teraz aura okolicy nie działała. Z uwagą przyglądał się pogrążonej w mroku ulicy, wysadzonej dębami i klonami. Wielkie, nagie gałęzie uderzały o siebie i kołysały się w silnych podmuchach wiatru.

- Co powiedział panu dziadek Austrian? - Błękitne oczy Julii zwęziły się w oczekiwaniu.

- Był wtedy ambasadorem w Holandii i stwierdził, że jest bardzo zajęty. Spotkałem się z nim w ambasadzie. Zanim mnie wyrzucił za drzwi, powiedział, że w tamtych czasach w Zurychu krążyło dużo plotek i że Maas nie cieszył się najlepszą reputacją. Twierdził, że wie o tym, bo pod koniec wojny stacjonował na granicy niemiecko-szwajcarskiej. Wiedziała pani o tym?

- Coś chyba sobie przypominam.

Sam kiwnął głową.

- Powiedział też, że nie znał Maasa i że to czysty przypadek, że znajdował się na przepustce w Zurychu w czasie, kiedy bankiera zamordowano. Twierdził również, że przez przypadek znalazł się w tym samym barze, co Maas na jakąś godzinę przed jego śmiercią.

- To pewnie prawda. Gdyby było w tym coś więcej, policja przecież by go zatrzymała.

- Niekoniecznie. Proszę pamiętać, co to były za czasy. Nawet w takim kraju jak Szwajcaria przemoc stanowiła ogromny problem. Ludzie w całej Europie i w Związku Radzieckim głodowali i wielu nie miało dachu nad głową. Przedstawiali się przez granicę do Szwajcarii, najbogatszego kraju w okolicy, szukając możliwości przeżycia. To naturalne, że poziom przestępczości był bardzo wysoki, a siły policji ograniczone.

Ściszyła głos prawie do szeptu. Oprócz poirytowania poczuła cień lęku.

- Jeśli pan twierdzi, dziadek znał tego Rogera Bauera...

- Pani dziadek powiedział, że go nie zna. Ale ja chciałbym się dowiedzieć, czy wiedział coś więcej, niż powiedział mnie i szwajcarskiej policji.

Julia poczuła dziwny niepokój.

- Mój dziadek był filantropem. Wiedział pan o tym? Wspierał działalność różnych wspaniałych instytucji. Muzea. Koncerty. Centrum Kennedy'ego.

- Skąd brał na to wszystko pieniądze?

Poczuła suchość w gardle.

- Odziedziczył je. Rodzina Austrianów to stara nowojorska rodzina. Skończył szkołę w Andover, a potem Harvard, podobnie jak mój ojciec. Po wojnie poznał mojego drugiego dziadka, Lyle'a Redmonda. Dziadek Austrian finansował ich spółkę. Razem budowali autostrady i centra handlowe wzdłuż całego wybrzeża.

Zbliżali się do drogi osiedlowej prowadzącej na tyły jego bloku. Sam skręcił w uliczkę.

- Ale w pewnym momencie Daniel Austrian odszedł na emeryturę, a dziadek Redmond nadal prowadził interesy?

- Zgadza się. Dziadek Austrian stwierdził, że zarobił wystarczająco dużo pieniędzy i nadszedł czas, żeby zrobić z nich użytek. - Oderwała wzrok od budynków po drugiej stronie uliczki. - Wie pan o nim więcej, niż chce mi pan powiedzieć. - W jej oczach płonęły błękitne płomienie. Zapytała powtórnie. - Czym naprawdę zajmuje się pan w CIA?

Wjechał na parking.

- Wszystko pani powiem. Tutaj mieszkam. Zamówimy coś do jedzenia i wtedy powiem pani, co robię i co jeszcze wiem. Kiedy ostatnio miała pani coś w ustach?

Zdziwiła się, kiedy zdała sobie sprawę, że jej żołądek aż skurczył się z głodu.

- Chyba zjadłam jakąś kanapkę na drugie śniadanie.

Zmarszczył brwi.

- To było ponad dwanaście godzin temu. Musi pani coś zjeść. - Spojrzał znacząco na swojego browninga kaliber dziewięć milimetrów, który leżał na jej kolanach. - Jest pani gotowa mi go zwrócić? Bez broni czuję się, jakbym był niekompletnie ubrany.

Miała dziwne wrażenie, jakby całe to zamieszanie w życiu powoli zaczynało się uspokajać. Zaczęła ufać Samowi, i to nie dlatego, że potrzebowała czyjeś pomocy, ale dlatego, że odnosiła wrażenie, że ten człowiek stara się zrozumieć jej sytuację, potrafił pomyśleć o jej rękach i o jej ślepotcie. Martwił się nawet o to, czy coś jadła. Wiedziała jednak, że zanim obdarzy kogoś pełnym zaufaniem, musi być bardzo ostrożna i w głębi duszy zbuntowała się przeciwko pomysłowi, żeby zwrócić mu pistolet.

- Może jutro - powiedziała.

- Jeśli dzięki temu będzie się pani czuła bezpieczniej proszę go zachować. - Nagle przebiegł go zimny dreszcz, i to nie z chłodu. „Zaczekaj na mnie, nie próbuj robić tego sama, Irini”. Dlaczego go nie posłuchała? Irini.

Zauważyła, że Sam nagle blednie, jak gdyby nagle znalazł się daleko stąd, jakby przeniósł się w inne miejsce i w sobie tylko znany czas. Ale nic więcej nie potrafiła wyczytać z jego twarzy.

Pokręcił głową i otrząsnął się z tych wspomnień.

- Gotowa?

Wysiedli z samochodu. Trzymała pistolet przyciśnięty do bluzki i dygotała z zimna. Nad ich głowami kołysały się gałęzie drzew. Na tle czarnego rozgwieżdżonego nieba wyglądały jak duchy. Księżyc świecił nisko, jakieś czterdzieści pięć stopni nad horyzontem, rzucając długie, mroczne cienie na parking. Mroźny wiatr unosił w powietrzu cierpki zapach mokrej kory drzew.

- Zrobiło się chłodno. Proszę to włożyć, pani Austrian. - Sam zdjął kurtkę i narzucił jej na ramiona.

- Dziękuję. - Otuliła się.

Sam szedł pierwszy, w pośpiechu prowadził ją do tylnego wejścia. Szła ostrożnie, uważając na samochody zaparkowane blisko siebie po obu stronach i nagle przypomniało się jej, jak to jest być niewidomą. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby przejść między tymi samochodami, które mijają zaledwie o kilka centymetrów. Chodzenie między ciasno ustawionymi pojazdami zajęłoby jej dużo więcej czasu i pewnie byłoby niemożliwe, nawet gdyby maksymalnie skupiła się na sygnałach płynących od wszystkich pozostałych zmysłów. Po prostu były takie rzeczy, których niewidomy nie mógł zrobić bez czyjejś pomocy, i przechodzenie między stojącymi obok siebie samochodami na zatłoczonym parkingu do tych rzeczy należało.

Kiedy zbliżyli się do budynku, poczuła, że chłodne podmuchy wiatru ustały. Przykryła dokładnie pistolet Keeline'a kurtką.

Sam szedł obok niej. Miał chód typowy dla chudzielca. Czowała jego obecność. Sam zachowywał się tak, jakby w każdej chwili gotów był stanąć w jej obronie. Bardzo się jej to podobało. Gdyby była niewidoma, nie mogłaby tego zauważyć.

Julia przyglądała się wszystkiemu dokoła, bo wszystkiego była ciekawa. Jej wzrok przyciągały cienie, które bliżej budynku zlewały się w nieprzenikloną czerń.

Ten blok i parking obok przypominały jej alejkę przy rezydencji Brice'a, gdzie Maya Stern zaczęła się na nią w cieniu winorośli porastającej mur ogrodu. Dlaczego wcześniej nie wyczuła obecności Stern? Może dlatego, że wyłączyła swoje dodatkowe receptory, tak jak to zwykle robiła przed koncertem. Wtedy była owładnięta strachem i całkowicie pochłonięta myślą o ucieczce...

Dlaczego teraz myśli o tym wszystkim?

Nagle skupiła się na swoim wewnętrznym zmyśle. Na jej proprioreceptorach. Na zapachu, fakturze i dźwiękach...

Miała wrażenie, jakby jej naczynia krwionośne się rozszerzyły i ona sama wkroczyła w jakąś inną rzeczywistość. Poczuła radość i pewność siebie... Do jej umysłu docierały informacje, ale żadna nie wydała się jej niepokojąca, z wyjątkiem jednej...

Na policzkach poczuła delikatne ciepło. Jej twarz jak radar próbowała zlokalizować źródło ciepła. Niecałe trzy metry dzieliły ich od wejścia do budynku. Człowiek jest w stanie wyczuć zmiany temperatury tak niewielkie, jak dwie dziesiąte stopnia, a jej wyczulone zmysły wychwytywały informacje z odległości około trzech metrów i...

Jej proprioreceptory dosłownie krzyczały...

Czuła ciepło ludzkiego ciała bardzo nisko, przy ziemi...

Skamieniała półtora metra przed wejściem do budynku i złapała Keeline'a za ramię. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Zanim zdążył się odezwać, szepnęła najspokojniej, jak potrafiła:

- Czy są tu schody do piwnicy?
- Tak. Z lewej strony.
- Więc ktoś tam na nas czeka...

Keeline nie zastanawiał się długo. Popchnął ją tak, że upadła na ziemię, i sam rzucił się na nią. W tej samej chwili dwie sylwetki wyrosły jak spod ziemi i rzuciły się w ich kierunku.

29.

- Keeline! - Głos przyduszonej jego ciężarem Julii był zduszony i wściekły. Czowała bicie jego serca na swojej piersi i falę ciepła, która ją ogarnęła. Nie miała nic wspólnego ze złością.

Nie odezwał się. Gdy wyjmował z jej ręki browninga, obok nich padły strzały. Wzbily w górę fragmenty asfaltu i piachu. Nieznajomy męski głos powiedział:

- Keeline! Nie ruszaj się. Chcemy tylko...

Sam zwinnie stoczył się z Julii, wycelował browninga i strzelił. Raz. Drugi raz. Jeden strzał dla każdego z napastników, bo drugiej szansy pewnie nie będzie miał.

Dwie mroczne sylwetki zamarły, jak gdyby przygwożdżone do ściany. I jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie najpierw podskoczyły, a potem upadły do tyłu, jakby naśladując ruchy pływaka, który robi zwrot na plecy. Tylko że ci pływacy, zanim skończyli zwrot, opadli z sił. Dwie mroczne postaci zwały się na trawnik przed budynkiem jak zabawki, w których nagle siadły baterie.

Sam zerwał się na nogi, nie spuszczać wzroku z napastników. Oddychał szybko i płytko. Stał na rozstawionych nogach, jedną wystawił lekko do przodu. Wyciągnął przed siebie browninga, którego trzymał w obu dłoniach i wycelował w dwa nieruchome cienie na ziemi. Rozsadzała go radość.

Julia obserwowała wszystko z ziemi. Poczwała mdłości. Keeline stał w takim napięciu, że aż drżał. Jego wyciągnięty pistolet wyglądał, jak kolec jakiegoś dziwnego drapieznika. Julia miała wrażenie, że mężczyzna za chwilę podniesie w górę głowę i zawyje do księżyca. Poczul zew walki, ona tymczasem wciąż była przerażona.

Po chwili rozluźnił napięte ramię. Ostrożnie zbliżył się do leżących napastników. Zachowywał się jak dzikie zwierzę w dżungli - skradał się, ale był pewny siebie. Julia pomyślała, jak to możliwe, że to ten sam człowiek, który troskliwie opatrywał jej pokaleczone ręce. I okrył ją swoją kurtką, żeby nie zmarzła.

Zbliżając się ostrożnie do dwóch leżących na ziemi napastników, Sam przypomniał sobie, jaką radość dawniej sprawiał mu jego niebywały refleks. I jak go cieszyła możliwość wykorzystania wyjątkowych umiejętności z zakresu karate i innych sztuk walki. Ale to wszystko umarło razem z Irini. Popęłił wtedy błąd. Kiedy walczył z Mayą Stern na Siedemdziesiątej ulicy, jego ruchy były powolne, niepewne. Pozwolił jej się przechytrzyć i dał się pokonać.

Teraz jednak najwyraźniej siłą woli sprawił, że wrócił mu dawny refleks i umiejętności, bo wiedział, jak groźnego ma przeciwnika - Mayę Stern. Mogła być jednym z napastników, a to znaczyło, że sekundy zdecydowały o tym, kto zginie. A Keeline nie chciał, żeby to była Austrian albo on.

Ale dlaczego tych dwoje nie trafiło? Dlaczego się zawahali?

Przykucnął nad nimi. Byli ubrani identycznie, w obcisłe czarne dżinsy, czarne golfy i czarne kurtki z najłżejszego termoodpornego materiału - doskonały ubiór do biegania i ukrywania się w mroku nocy. Sam rozpoznał jednego z nich - kolejny zabójca z Firmy. Mężczyzna miał szeroką twarz, długi, słowiański nos i kilkudniowy zarost, który od brody sięgał aż do krótkich czarnych włosów.

Cienka koszula nie chroniła go przed chłodnym powietrzem, ale Sam nie przejmował się tym. Na piersi mężczyzny, którego rozpoznał, zauważył ranę. Nad miejscem, skąd wypływała ciepła krew, utworzyła się biała mgielka pary. Pamiętał tego człowieka z Berlina, gdzie razem pracowali przeciw Stasi. Teraz Sam nie widział na jego szerokiej twarzy żadnego śladu poruszenia - żadnego drgającego mięśnia i żadnej pulsującej żyły. Ale wiedział, że zawodowych morderców w Firmie nauczono, jak udawać śmierć.

Jedną ręką przytknął pistolet do nosa mężczyzny, drugą poszukał tętnicy szyjnej.

- Żyje? - Julia stanęła nad nim. Metaliczny zapach krwi przypomniawszy jej straszne chwile w taksówce w Londynie i cierpienie matki. Myślała, że serce wyskoczy jej z piersi. Przyjrzała się dwóm mężczyznom leżącym na ziemi i z troskana podniosła wzrok, bo nad nimi w oknach budynku pojawiły się światła.

- Niech pani wraca do samochodu! - Sam nie wyczuł pulsu. - Ten nie żyje.

Podszedł do drugiego. Podobnie jak u pierwszego, zobaczył broczącą krwią ranę powyżej serca. Ten również miał kilkudniowy zarost, ale gdzieś tam przeblyskiwała siwizna. Z twarzy, na której widniała długa blizna na lewym policzku, ciemne nieruchome oczy patrzyły w niebo.

- A co z tym? Julia znowu stanęła za jego plecami, ale teraz pod zapinaną na zamek kurtką trzymała pistolet pierwszego mężczyzny. Zauważyła, że broń leży na ziemi, więc podniosła ją, gdy Keeline podszedł do drugiego ciała. Lufa wciąż była gorąca od kul, które z niej wystrzelono.

Sam jęknął.

- Ten też nie żyje. Jak zwykle nie spudłowałem - powiedział gorzko.

Przez dziesięć ostatnich lat próbował zapomnieć Berlin, Irini i zasady walki operacyjnej. Miał tego dosyć i czuł się zmęczony. I na pewno nie chciał się zmienić w maszynę do zabijania. Po prostu...

Głos Julii brzmiał jak oskarżenie.

- Nie dał im pan żadnej szansy.

Zerwał się na równe nogi, jakby go poraził prąd.

- Szansy? Jaką szansę miałem im dać? Szansę zabicia pani? Zabicia nas obojga? - Złapał ją za ramię i pociągnął z powrotem na parking, do samochodu.

Próbowała mu się wyrwać.

- Oni chcieli porozmawiać. Słyszałam, jak jeden z nich zaczął coś takiego mówić...

- Chcieli porozmawiać? Nich mnie pani posłucha, pani Austrian. Poznałem jednego z nich. To zabójca z Firmy. Podobnie jak Maya Stern. Kiedy Firma oficjalnie zamknęła program zabójstw, wielu odeszło. Kilku stworzyło grupę, którą nazwali czyściciele. To nie była grupa towarzyska. Ci ludzie nie potrafią dostosować się do reguł życia w społeczeństwie, to socjopaci. „Sprywatyzowali” się, żeby móc dalej pracować w zawodzie. Oferują swoje usługi każdemu, kogo stać, żeby im zapłacić.

Byli już blisko samochodu, kiedy Julia spróbowała mu się jeszcze raz wyrwać.

- Słyszałam, jak jeden z nich wołał do pana po nazwisku i...

- Ja też słyszałem, ale to mógł być podstęp, żeby się nie bronił. Czyściciele zabijają z taką łatwością, jakby to była bułka z masłem. Każdy czyściciel to wykwalifikowany specjalista w najpotworniejszej dziedzinie, w dziedzinie odbierania życia, i póki im starcza sił, będą kuśtykać, iść na czworaka, czołgać się, żeby tylko zabić. Poza tym oni mają wewnętrzną potrzebę zabijania. To jest coś, co, nie wiem jak pani, ale mnie zawsze wydawało się nie do pojęcia.

Kiedy dotarli do samochodu, Sam rozluźnił uścisk. Czują, że po tym uścisku będzie miała siniaki, ale nie chciała dać mu satysfakcji i nie roztarła zboląłego ramienia.

- Jeśli tacy z nich profesjonaliści, dlaczego nie strzelali od razu? Po co się narażali i wyskoczyli z cienia? To wcale nie wygląda, jakby chcieli nas zabić!

- W porządku - w jego głosie słychać było napięcie. - Jeśli już mnie pani oskarża, proszę pamiętać jeszcze, że nie strzelali do nas od razu z tak niewielkiej odległości, mimo że biegli, a my leżeliśmy nieruchomo?

- Też bym chciała to wiedzieć. Może zabił ich pan zupełnie bez powodu. Jak to możliwe, że zabił ich pan tak łatwo, nie mając pewności, że chcą mnie zamordować?

- Wydaje się pani, że to było łatwe? - Zmartwiony rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy nie czai się gdzieś nowe niebezpieczeństwo, po czym energicznie otworzył drzwiczki samochodu.

Julia tymczasem przypomniała sobie, jak w Londynie sama chciała zabić morderczynię matki, i poczuła, że niepotrzebnie tak naskoczyła na Keeline'a. Chciała tę kobietę wtedy zadusić gołymi rękami. Dusić, aż nie będzie mogła oddychać i zrobi się czerwona na twarzy. Chciała odwołać swoje oskarżenia, ale on nie dał jej dojść do głosu.

Otworzył jej drzwiczki.

- Nie wiem, dlaczego ich strzały chybiły ani dlaczego nie chcieli strzelać z ciemności. Podobnie jak nie wiem, dlaczego Maya Stern nie zastrzeliła pani w tej alejce, kiedy przyjechałem. Miała czas, żeby to zrobić, a ona, zamiast strzelać, pogroziła pani i uciekła. Nic z tego nie rozumiem, ale wiem jedno. Czyściciele nie robią niczego bez powodu. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, to to, że ich zleceniodawca chce, żeby jedno z nas zostało przy życiu. Proszę wsiadać.

Wsiadła do samochodu, sprawdzając przedtem, czy jej zdobyczny pistolet jest dobrze ukryty za paskiem pod kurtką Sama. Podbiegł do drzwi i wskoczył za kierownicę.

- Powinniśmy byli ich przeszukać - odezwała się, kiedy zamknął drzwi. - Zabrać ich prawa jazdy. Może znaleźlibyśmy jakiś ślad, który powiedziałaby nam, kto ich mógł wynająć.

- Nic pani nie rozumie. - Zapalił silnik. - Czyściciele nie mają prawdziwego nazwiska, prawdziwej pracy ani prawdziwego życia. Nawet jeśli któryś ma rodzinę, to nie ma ona o tym wszystkim pojęcia. To inne życie. Jeśli mają przy sobie jakieś dokumenty, to fałszywe. Jeśli wystarczająco długo się w to bawią, sami niemal zapominają, kim byli. Podsumowując ich „klubową” działalność, zamordowali razem jakieś sto osób. - Oddychał ciężko. - Chcę to pani jasno powiedzieć: musiałem ich zabić! Nie było innego wyjścia.

Jego słowa zadudniły jej w głowie.

- Mówi pan, że obaj byli czyścicielami?

Z daleka słychać było szybko zbliżające się dźwięki syren policyjnych. Sam wrzucił bieg i ruszył.

- Nie ma innej możliwości. Żaden z nich nie pracuje z nikim spoza organizacji.

Nagle naprzeciwko zawyła syrena. Zbliżał się drugi wóz policyjny. Potem trzeci. Nadjeżdżały z kilku stron.

- Proszę się mocno trzymać.

Sam ostro skręcił i zjechał z parkingu, potem wąską drogą wewnętrzną wy dostał się na pogrążoną w ciemności ulicę. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym wykręcił kierownicę i zanurkował w jedną z bocznych uliczek Alexandrii żeby ominąć nadjeżdżające wozy policyjne. Rzucił okiem na Julię. Siedziała zamyślona. Pewnie stara się dojść do ładu ze swoim nowym życiem. Tak nagle wszystko się zmieniło. Próbowała zrozumieć, co się dzieje, co jeszcze może się wydarzyć. Jej śliczna buzia była ściągnięta, a ładne białe ząbki gryzły dolną wargę.

Ze smutkiem musiał przyznać, że ona wciąż jest zagubiona, nie wie, komu ma ufać. Ale jest silna i jeśli będzie się trzymać, jeśli będzie wierzyć w siebie, może ma szansę.

Coś mu przyszło do głowy.

- Myślę, że ma pani rację. Oni chcieli porozmawiać. Chcieli nas schwytać, a nie zabić. Przynajmniej nie od razu. To dość niezwykle jak na czyścicieli. Ktoś musiał im zapłacić za to majątek i cieszyć się wśród nich dużym poważaniem. Podejrzewam, że zamierzali nas wciągnąć do środka, ale spostrzegła ich pani za szybko. Skąd pani wiedziała, że tam są? Ja nic nie zauważyłem, nic nie słyszałem w tych przeklętych ciemnościach.

Z ulgą oderwała się od myślenia o tych wszystkich zabitych ludziach. Opowiedziała mu o swoim wewnętrznym zmyśle i o proprioceptorach.

- Nazywam to widzeniem inaczej.

- To niezwykle.

- Każdy człowiek potencjalnie ma taką umiejętność, ale większość ludzi nigdy jej nie rozwija, bo wzrok daje im więcej informacji o świecie niż wszystkie pozostałe zmysły razem wzięte. - Siedząc w mroku wewnątrz tego dużego samochodu, próbowała oswoić swój strach. W tej chwili obecność mężczyzny nie działała na nią uspokajająco. Czowała zagrożenie. Ale przecież musiała przed sobą przyznać, z całą surowością, że jeśli ten człowiek miał rację, właśnie po raz kolejny ocalił jej życie. - Jeśli ci wszyscy napastnicy byli czyścicielami, to ten, kto ich wynajął, musi mieć dużo pieniędzy i znajomości. Ktoś potężny tak, że stać go było - czy też ją - na wynajęcie całej grupy płatnych morderców.

- Ma pani kogoś konkretnego na myśli?

Owszem, miała pewne podejrzenia. Myślała o Redmondach, ale nie chciała w to wierzyć. Bo czym mogliby się kierować? Szybko zmieniła temat.

- Dokąd teraz jedziemy?

Skręcił na wjazd prowadzący na Shirley Memorial Highway. Kierowali się na północ.

- Miałem zamiar ukryć panią w mieszkaniu przyjaciela. Pojechał na Long Island w odwiedziny do siostry, ale mnie zostawił klucz. Skoro jednak czyściciele wiedzieli, gdzie ja mieszkam, będą pilnować moich przyjaciół i rodziny. -

Spojrzał na nią z poważną miną. - I wokół pani przyjaciół i rodziny pewnie też będą się kręcić. A to znaczy, że nie tylko my jesteśmy w niebezpieczeństwie, ale oni również.

Westchnęła nerwowo i poczuła pistolet zatknięty za pasek.

- Wygląda na to, że możemy liczyć tylko na siebie.

Odwróciła się do niego, on popatrzył na nią.

Spojrzeni sobie w oczy. Była to krótka chwila szczerości i oboje poczuli nie krępującego porozumienia. Julii serce zabiło żywiej. Chwila się przedłużała, a ona zorientowała się, że na twarzy pojawił się jej rumieniec.

- Ma pani coś przeciwko temu? - zapytał cicho Sam. Zdał sobie sprawę, że on nie ma nic przeciwko. Podobała mu się ta piękna pianistka ze zranionym sercem. Podziwiał ludzi, którzy walczyli o to, w co wierzyli, mimo że szanse zwycięstwa wydawały się niewielkie. Poza tym musiał przyznać, że uważał ją za więcej niż godną pożądania.

- Nie. Chyba nie mam nic przeciwko.

Miała jakieś dziwne przeczucie, że z tym człowiekiem wiązać się nowe kłopoty. Ale w tej chwili nie dbała o to. W tej chwili ten człowiek był jedyną wyspą na tym czarnym, przerażającym morzu przemocy. Jawił się jej jako uosobienie zarówno inteligencji, jak i dobroci. Uznała tę mieszaninę właściwości za zwodniczą, ale bardzo pociągającą. Poza tym nie było nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić.

Pod kurtką mocniej przycisnęła ukradziony pistolet.

- Chyba moglibyśmy przenocować w jakimś motelu. Ma pan jakieś pieniądze? - Na samą myśl o motelu poczuła ciepło. I nagle ogarnęło ją dziwne uczucie. Jakby była naga.

- Dziedziczka fortuny nie ma ani centa? W porządku, ja mam pieniądze, ale nie chcę się zatrzymywać w żadnym motelu na drodze stąd do Nowego Jorku. Policja nowojorska albo ci, którzy wynajęli czyszcicieli, bez trudu mogą sprawdzić hotele i motele.

- Więc dokąd mamy jechać?

- Mam pewien pomysł. Pamięta pani, jak mówiłem o swoim dziadku, który rozbudził we mnie zainteresowanie Bursztynową Komnatą. Moja matka odziedziczyła po nim stary kinoteatr w Baltimore. Tam się wychowała. Pojedziemy tam.

2.45, NIEDZIELA

BALTIMORE, MARYLAND

Julia i Sam, na skraju wyczerpania fizycznego, zjechali z autostrady numer trzysta dziewięćdziesiąt pięć i minęli ciemne wieżowce ze szkła, cegły i betonu - centrum biznesu w Baltimore. Nad postrzępioną linią horyzontu szare chmury

leniwie pełzły po rozgwieżdzonym niebie. Julii nie opuszczało przecucie, że mają coraz mniej czasu. Zastanawiała się, gdzie teraz może być Maya Stern. Co teraz robi? I co zamierzają ci, którzy ją zatrudnili?

To jest wschodnie Baltimore - objaśnił Sam ściszym głosem. - W tych budynkach z przełomu wieków mieściły się kiedyś siedziby związków, sklepy i magazyny. Te rzędy domów, to były kiedyś cukiernie i kamienice czynszowe.

Na ulicach panował półmrok. Budynki były zniszczone, latarnie porozbijane, mury upstrzone graffiti, a w ściekach leżały śmieci i butelki po alkoholu. Wyglądały, jakby leżały tam od wieków.

- Tutaj osiedlił się pański dziadek, kiedy wyemigrował ze Związku Radzieckiego? - zapytała.

Sam wyjechał z Lombard Street.

- Wtedy to była jeszcze Rosja i dziadek uciekał przed bolszewikami. Ich grupka składała się z Żydów, białych i nielicznych Włochów. Większość z tych ostatnich była krawcami.

- Myśli pan, że będziemy tu bezpieczni? - Ta zaniedbana ulica wyglądała niebezpiecznie.

- Nikt w Firmie nie wie o tym miejscu. Nikogo tu nie przywoziłem od czasów studiów. Wtedy żył jeszcze dziadek.

Zatrzymał samochód przed dwupiętrowym budynkiem w rokokowym stylu, nad którym wisiał szyld. Przechylił się w stronę okna po jej stronie. Szklane gabloty, w których kiedyś wisiały plakaty filmowe, teraz były zabite deskami, a budka, w której sprzedawano bilety, zasłonięta dyktą.

- To tutaj - powiedział. Julia przyjrzała się budynkowi.

- Kiedyś to musiało być sympatyczne miejsce. Stare kino.

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Grano w nim filmy głównie po rosyjsku. Mój dziadek wybudował je za pieniądze, które uzyskał za dwa klejnoty. Tylko tyle udało mu się ocalić z rodzinnego majątku. Ale nigdy nie skarżył się na los. I nigdy nie patrzył wstecz. „Ameryka to kraj ogromnych możliwości”, powtarzał i starał się te możliwości wykorzystać.

Pochylał się nad nią, a ona poczuła, że jego zapach - z nutką ziołową - zawrócił jej w głowie. Smukłe, umięśnione ciało pochylało się tuż nad jej udami. Przyglądała się jego mocnemu nosowi i głęboko osadzonemu stalowoszarym oczom. Zmierzwione popielate włosy kusiły, żeby je pogłodzić. Oderwała od niego wzrok i zmusiła się, żeby spojrzeć na budynek. Dopiero teraz zauważyła nazwę na szyldzie: KINOTEATR ROMANOWÓW.

- Pański dziadek miał nazwisko Romanow?

- Był kuzynem ostatniego cara. Letnie miesiące spędzał w pałacu Katarzyny pod Petersburgiem. Tam się zakochał w Bursztynowej Komnacie i dlatego

opowiedział mi wszystko, co o niej wiedział. Po jego śmierci kino, zgodnie z testamentem, dostało się mojej matce. Ale matka razem z ojcem byli już wtedy na emeryturze i osiedli w Sarasota na Florydzie. Tamtejszy adres znajduje się w mojej teczce w Firmie.

Wjechał w wąską przecznicę. Po obu stronach przed wejściem stały przepelnione kosze na śmieci. Zatrzymał się przed garażem na dwa samochody i wyskoczył z wozu. Otworzył kłódkę, lekko odsunął drewniane drzwi i wjechał do ciemnego wnętrza. W środku stał Chevrolet z początku lat osiemdziesiątych, zaparkowany przodem do ulicy.

- To stary samochód rodziców - powiedział. - Dopóki jest na chodzie, mogą w każdej chwili przylecieć do Baltimore i nie martwić się, że trzeba wynająć samochód. Frontowa część kina jest przystosowana do zamieszkania w każdej chwili. Jest tu elektryczność i woda. Mieszkanie znajduje się na piętrze. - Uśmiechnął się. - Zwykle lodówka pełna jest jedzenia.

Kiedy wysiedli, Sam nie wyłączył świateł w samochodzie. Czują się śmiertelnie zmęczona. Po jego twarzy poznała, że on również jest zmęczony. Poprowadził ją przez garaż do drzwi, które wyglądały, jakby wiodły do kina. Na ścianie obok znalazł włącznik światła, przekreślił go i zapalił niskowatową żarówkę wiszącą nad samochodami.

- Udało się nam. - Spojrzył na nią i uśmiechnął się z ulgą. Uniósł w górę jasne brwi. Kurtka, którą Julia była okryta, rozchyliła się i w jej zabandażowanych dłoniach zobaczył... - Rany Boskie! Skąd pani to wytrzasnęła?

Mocno ścisnęła pistolet mimo tępego bólu dłoni.

- To własność jednego z czyścicieli. Zachowam go. Niech pan nie próbuje mnie od tego odwieść.

- Pani jest szalona, pani Austrian! Nic pani nie wie o pistoletach. Szybciej sama się pani postrzeli, niż zrobi krzywdę komukolwiek. Proszę mi to oddać!

Pokręciła głową. Jej błękitne były lodowate.

- Doceniam wszystko, co pan dla mnie zrobił, ale oni zabili moją matkę i Oriona, i wciąż próbują zabić mnie, a prawdopodobnie również pana. Nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami i czekać jak królowna, aż ktoś mnie uratuje. Chcę się nauczyć tym posługiwać. I pan mnie tego nauczy. A jeśli pan odmówi, wyjdę na ulicę i będę stukać do drzwi, aż znajdę kogoś, kto zechce mnie nauczyć.

- Tutaj łatwo samemu zostać zastrzelonym. To nie najlepsza dzielnica Baltimore.

- Tu czy gdzie indziej. To nie ma znaczenia. Zrobię wszystko, żeby osiągnąć cel.

Przyjrzał się jej. Zmarszczył brwi. Nie żartowała.

- W porządku, niech go pani zatrzyma. Ale teraz jestem głodny. Może najpierw coś zjemy i chwilę odpoczniemy, zanim wyruszymy na poszukiwanie złych ludzi?

- To brzmi rozsądnie - powiedziała z niepokorną miną.

Wzruszył ramionami. Poszła za nim do drzwi prowadzących do starego kina. Uśmiechnęła się do siebie. Nauczy się posługiwać bronią. Znajdzie morderczynię swojej matki. I dowie się, kto naprawdę stoi za jej śmiercią. Miała nadzieję, że on jej w tym pomoże, ale jeśli nie zechce, sama zrobi, co należy. Odzyskała wzrok i ma broń. Teraz nic już nie stanie jej na przeszkodzie.

Julia nie mogła przestać myśleć o tym, że Sam jest blisko, o jego szczupłym ciele, spokojnej sile pięknie rzeźbionej twarzy i o jego kurtuazji. Włączył po drodze światła i prowadził ją przez ogromne foyer kina, a potem dalej na górę do ładnego mieszkania, w którym jego dziadkowie wychowali swoje dzieci. Złapała się na tym, że obserwuje każdy jego ruch, próbując rozłożyć na czynniki jego urok i zrozumieć, dlaczego ten mężczyzna wydaje się tak pociągający.

Przeprowadził ją przez salon do kuchni. Tam wrzucił do kuchenki mikrofalowej mrożone dania z kurczaka.

Kiedy jedli, zapytała:

- Czy wszyscy w CIA są podobni do pana i do Vince'a? Zmarszczył czoło i zatrzymał widelec w połowie drogi do ust.

- Nie rozumiem. To znaczy jacy?

- Otacza was atmosfera tajemnicy. Wiecie pewne rzeczy, ale nie możecie albo nie chcecie o nich mówić. Tylko czasem coś napomkniecie.

Roześmiał się.

- Takie ma pani wrażenie? Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób. Prawdopodobnie za długo w tym siedzę, żeby widzieć w tym coś niezwykłego.

- Jest pan niezwykły. Może mi pan wierzyć. Wśród ludzi, z którymi pracuję, można znaleźć różnych dziwaków, ale...

- Ma pani na myśli pianistów?

Kiwnęła głową.

- Wszystkich muzyków grających muzyką klasyczną. Weźmy na przykład Juilliard, gdzie studiowałam. Każdy tam ma swojego małego świrka. Pamiętam koleżankę, która zawsze na koncert wkładała majtki na drugą stronę, bo to miało przynieść jej szczęście. Kilku kolegów wpadło w narkotyki i tak skończyła się ich kariera. Pewna moja koleżanka skończyła studia z wyróżnieniem, potem był bardzo udany debiut w Kennedym, a następnego dnia spakowała walizki i wróciła do Omaha pomagać ojcu w pakowaniu mięsa. Stwierdziła, że nie wytrzyma ani dnia dłużej w tym mieście obłudy i grzechu. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Może i miała rację. Wystarczy spojrzeć, do czego ja doszłam.

Obserwował ją z błyskiem rozbawienia w szarych oczach.

- Jeśli uważa mnie pani za dziwaka, proszę pomyśleć o tym, jak większość agentów spędza czas. Na bankietach, w opustoszałych parkach, w publicznych toaletach czekają na informacje od swojego źródła.

- W publicznych toaletach? Pan żartuje?

- Skądże. A państwo wydaje majątek, żeby ich odpowiednio wyszkolić.

Śmiejąc się, skończyli obiad. Po drodze, kiedy prowadził ją do pokoju, w którym miała spać, spoglądali na siebie ukradkiem. Zatrzymali się w drzwiach. Spojrzała na ładną sypialnię ze słonecznymi, żółtymi ścianami z patchworkową kapą na łóżku.

- Dziękuję - powiedziała.

Sam czuł, że serce wali mu jak oszalałe. Spojrzał w jej błękitne oczy. Niczego na świecie nie był tak pewien, jak tego, że chce jej. Chciał pochłonąć te zmysłowe usta, zanurzyć twarz w złotobrazowej kaskadzie włosów i poczuć jej ciało obok swojego. Już miał wyciągnąć dłoń, ale poczuł, że mu nie wolno. Poczul się rozdarty, jak gdyby drzwi prowadzące do przeszłości zamykały się. Przypomniał sobie Irini i znowu pojawiły się wyrzuty sumienia. Tym razem jednak chodziło o to, że jego uczucie dla Julii mogłoby zranić Irini.

Odwrócił wzrok i powiedział chłodno.

- Proszę się czuć jak u siebie. Dobrej nocy. - I zostawił ją samą.

Serce tłukło jej się w piersi, kiedy patrzyła, jak znika za drzwiami, prowadzącymi do drugiej sypialni. Rozpętała się w niej prawdziwa burza uczuć. Tak przystojny i czarujący mężczyzna musi mieć jakąś kobietę. Miała nawet dowód, zapach perfum na kocu w samochodzie. Przycisnęła zabandażowane dłonie do rozpalonych policzków. I na pewno ją kocha.

Pragnęła Sama. Od bardzo dawna nie czuła takiego pragnienia. Kiedy weszła do swojego pokoju, zdecydowała, że nie będzie o nim więcej myśleć. Pomógł jej, nic ponadto. A ona nie potrzebuje teraz dodatkowo kłopotów sercowych. Zresztą nigdy w niczym to jej nie pomogło. Teraz ma jeden cel - znaleźć i powstrzymać Mayę Stern. Z bólem serca zamknęła za sobą drzwi.

30.

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

Musicie zrozumieć, jak to było z Selvestrem Maasem. Maas był współwłaścicielem banku przy Bahnhofstrasse w centrum Zurychu. Ten bank wciąż tam jest - imponujący budynek o marmurowej fasadzie. Maas był nie tylko

bankierem, ale też cenionym członkiem służby cywilnej. Żył i cieszył się życiem dzięki swojej pracy.

Mieszkał w skromnym domu w północnej części miasta. Jadał w domu. W domu trzymał ubrania. Córki, synów i żonę również widywał w domu. Ale czasami szedł do pewnego baru w śródmieściu, skąd było niedaleko do miejsca, gdzie mieszkała jego kochanka. Ta kobieta dawała mu dużo radości, mieli dziecko, które zmarło na gripę zimą tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Po tym wydarzeniu jego kochanka zmieniła się i nigdy już nie była tą samą osobą.

Znalazła też innego mężczyznę i Maas z płaczem wrócił na łono rodziny. Był słaby i zgrzeszył.

Oskarżał siebie o śmierć dziecka. Rodzinę błagał o wybaczenie, a jego błagania brzmiały tak szczerze, że w końcu zostały wysłuchane, bo rodzina nigdy nie przestała go kochać.

7.00 NIEDZIELA
LONDYN

Punkt siódma rano w chłodny i mglisty niedzielny poranek nadinspektor policji Geoffrey Staffeld sprężystym krokiem wszedł do swojego gabinetu i rzucił na biurko gazetą „Sunday Times”. Przyniósł ją z werandy. Usiadł za biurkiem i wyjął papierosa player's specials. Zaciągnął się i otworzył przekłętą gazetą. Do ręki wpadł mu niewielki kluczyczek.

Zanim zdążył dokładniej przejrzeć gazetę, zauważył tytuł na pierwszej stronie. Ostre słowa niemal skakały mu do oczu:

POWERS, CZŁOWY KANDYDAT NA PREZYDENTA, PODEJRZANY O UCZESTNICTWO W ORGIACH

W STANACH ZJEDNOCZONYCH TO WARUNEK KONIECZNY, ŻEBY CI, KTÓRZY UBIEGAJĄ SIĘ O PREZYDENTURĘ WYKAZALI SIĘ ABSOLUTNIE NIESKAZITELNĄ PRZESZŁOŚCIĄ. WYMAGA TEGO NARÓD I OD CZASU PRZERWANEJ KAMPANII PREZYDENCKIEJ GARY'EGO HARTA PRASA AMERYKAŃSKA ZE SZCZEGÓLNĄ SKRUPULATNOŚCIĄ ZAJMUJE SIĘ FAKTAMI DOTYCZĄCYMI PRZESZŁOŚCI KANDYDATÓW.

JEŚLI ISTNIEJĄ DOWODY NA CZYNY W PRUDERYJNEJ AMERYCE UWAŻANE NIE TYLKO ZA NIEMORALNE, ALE I ZA NIELEGALNE, CO CZEKA KANDYDATA, KTÓREGO NOTOWANIA STOJĄ TAK WYSOKO, ŻE WSZYSTKO WSKAZUJE NA, TO, ŻE JEGO ZWYCIĘSTWO W WYBORACH JEST NIEUNIKNIONE?

NASZA GAZETA POSIADA DOKUMENTY Z PRAGI I MONAKO, KTÓRE NIEPODWAŻALNIE ŚWIADCZĄ O TYM, ŻE DOUGLAS POWERS, GŁÓWNY KANDYDAT NA STANOWISKO PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH, PRZEZ OSTATNICH

DWADZIEŚCIA LAT PODRÓŻOWAŁ PO EUROPIE, PROWADZĄC HEDONISTYCZNY TRYB ŻYCIA. MIĘDZY INNYMI KORZYSTA) Z USŁUG NAJDRÓŻSZYCH PROSTYTUTEK, NIERZADKO BIORĄC UDZIAŁ W TAK ZWANYCH *MÉNAGE À TROIS* I W ORGIACH...

Staffeld ze ściśniętym sercem przeczytał artykuł. Przyglądał się zdjęciom dowodów w gazecie. Kilka z nich stanowiły raporty policji z Monako z lat 1977-1980. Opisywały przypadki seksu grupowego, który przeniósł się w miejsca publiczne. Nadzy mężczyźni i kobiety uprawiali seks na plaży. Na zdjęciach widać było biegające wśród nagich ludzi dzieci, co spowodowało interwencję policji w liberalnym państwie Monako. W Ameryce to mogło być polityczne samobójstwo.

Drugą część dowodów stanowiły wyjątki z akt dotyczących pewnego biznesmena z Pragi, jak wynikało z artykułu - handlarza żywym towarem współpracującego z rosyjską mafią.

Nazwisko Douglasa Powersa figurowało przy datach, sumach i imionach dziewcząt, którym płacił za usługi - czasem była to jedna dziewczyna, czasem dwie - od roku 1990 do 1998.

Staffeld poczuł strach. Zaraz strach zamienił się w gniew. Zerwał się na nogi, wrzucił kluczyk do kieszeni i przeszedł przez dom do ciepłej kuchni, gdzie przy kuchence stała jego żona i smażyła jajecznice. Pachniało tostami z jasnej mąki, stopionym masłem i dobrą, gorącą angielską herbatą.

Calla spojrzała na niego i zaczerwieniła się ze złości.

- Wiem, że dziś niedziela - jęknął. - Będziesz musiała pójść do kościoła bez mnie. - Mimo że był nienasycony, nigdy mu się nie znudziła.

Była wspaniałym przyjacielem. On był przysadzistym, nieinteresującym pozornie mężczyzną ze zwyczajnej rodziny. Był szorstki w obejściu, co niektórzy uważali za chamstwo. Ona zaś była szczupłą, o delikatnej skórze i dumnie podniesionej głowie. Pochodziła z dobrej rodziny. Jej ojciec był pastorem i córka wychowała się w parafiach, gdzie arystokraci, ludzie wykształceni i bogaci na co dzień łamali się chlebem z rodziną pastora. Dzięki niej jego kariera w Scotland Yardzie szła tak gładko. On rozwiązywał sprawy, a ona dbała o to, żeby zauważali to właściwi ludzie.

Calla miała na sobie i obcisły komplet z dzianiny i fartuszek z falbankami. Spiorunowała go wzrokiem. Te ciągle nagłe wypadki. Wciąż się do nich nie przyzwyczaiła.

Uderzyła łyżką o kuchenkę, jakby to była łapka na muchy.

- Geoff!

Geoffrey Staffeld złapał płaszcz.

- Do widzenia, staruszeko. Nie myśl o mnie źle. - I wybiegł do samochodu.

W Sacramento zbliżała się północ i kandydat na prezydenta Creighton Redmond dyskutował z kolejnym człowiekiem z niekończącej się parady polityków i wpływowych osób. Zamierzał położyć się dziś wcześniej. Kampania zmierzała w kierunku przegranej, a on odgrywał rolę drugoplanowego kandydata. Nie ma sensu wykonywać kolejnego telefonu, obmyślać nowej taktyki czy zastanawiać się nad kolejną kwestią. Była już prawie niedziela, a wybory zaczną się we wtorek, za dwa dni i kilka godzin.

Ucisnął dłoń senatora i zignorował jego podejrzliwe spojrzenie. Podobnie jak wszyscy pozostali, senator myślał, że stojący przed nim człowiek przegra.

- Zawsze miło pana widzieć - Creighton przywitał się jak zwykle ciepło. - Spodziewam się, że wpadnie pan na przyjęcie w poniedziałek do Arbor Knoll. Będzie sporo dziennikarzy. W dzień wyborów będziemy odpoczywać. Na dobry początek.

Senator uśmiechnął się dobrotliwie, ale Creighton wiedział, że pod tą maską kryje się chłód. Podobnie jak wielu jego tak zwanych popleczników, senator również chciał się zdystansować wobec człowieka znajdującego się na przegranej pozycji.

- Z przyjemnością pojawiłbym się, panie sędzio. - Otworzył Redmondowi drzwi. - Oczywiście chciałbym przyjechać. Obawiam się jednak, że będę musiał zostać w Sacramento. Na ten dzień zaplanowano lokalne uroczystości, w których muszę wziąć udział. Ale może pan liczyć na mój głos.

Creighton panował nad twarzą i nie dał po sobie poznać, pogardy, jaką czuł dla tego człowieka. Kiedy senator i jego dwóch asystentów pospieszyło do wind, skinął głową agentom. Ci z kolei z szacunkiem skinęli jemu. Z nową energią Creighton wrócił do apartamentu, zamknął za sobą drzwi i podszedł do barku. Nalał sobie kolejny kieliszek szampana dom perignon, rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt pięć. Z tacy na stoliku do kawy wziął crostini z cienkimi paškami pieczarek.

Podszedł do weneckiego okna, za którym panowała kalifornijska noc. Znajdował się na najwyższym piętrze luksusowego hotelu i miał stąd wspaniałą widok. Pośrodku wyrastała złota kopuła miejscowego kapitolu, górując nad pełnym światła miastem. Myślał o wszystkich miastach, w których był z przedwyborczą wizytą. O wszystkich tych miasteczkach i wsiach. I poczuł pragnienie, tak silne, że go to zaskoczyło. Całe życie poświęcił dla tych miast, miasteczek, wsi, dla Ameryki - mężnie walczył w Wietnamie, przerwał karierę w Sądzie Najwyższym, a teraz podjął się niebezpiecznej, ryzykownej gry, w której będzie mógł zrealizować swój plan i zostać prezydentem.

Już od dzieciństwa marzył, żeby być prezydentem. Był to jedyny cel ojca, którego nigdy nie udało się Lyle'owi osiągnąć. Teraz ten cel był tak bliski, że

Creighton czuł niemal jego powiew, jak muśnięcie dzikiego ptaka - pięknego, nieuchwytnego i gotowego usiąść mu na dłoni. Senator był głupcem. Creighton nie zapomni mu tej zdrady.

Uśmiechał się, jedząc crostini i popijając szampanem. Kiedy zadzwonił telefon komórkowy, pospiesznie przełknął i odebrał.

Głos miał radosny.

- Coś nowego?

- Tak. Niestety, zła wiadomość. - Był to głos jego syna Vince'a.

Creighton postanowił mimo wszystko zachować spokój.

- Dobrze, możesz mówić.

W Georgetown dochodziła trzecia rano i Vince był zmęczony i załamany. Miał za sobą sporą szklaneczkę whisky.

- Dwóch czyścicieli, których wysłaliśmy do domu Keeline'a, zostało zabitych. Dostali po jednej kuli. Prosto w serce.

Creighton odstawił kieliszek z szampanem.

- Keeline ich zabił?

- To musiał być ktoś wyjątkowo dobry, skoro udało mu się powstrzymać tych dwóch.

- Mówiłeś, że Keeline nie ma już dość siły! - Creighton podniósł głos.

- Twierdziłem tak na podstawie testów na osobowość systematycznie przeprowadzanych w Firmie. Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, od chwili śmierci jego dziewczyny, byłej agentki Stasi, wyniki testów były niezmiennie. Wiem, bo je przeglądałem. Coś się musiało zmienić w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- To pewnie sprawa przesyłki od ojca. Odżyły nadzieje na odnalezienie Bursztynowej Komnaty.

- Albo Julii - zauważył Vince. - Pamiętaj, że miał wyrzuty sumienia z powodu śmierci swojej dziewczyny. Może teraz zobaczył szansę zadośćuczynienia.

- Ocalając Julię, zbawi siebie - powiedział Creighton zamyślony. - Tak, to możliwe. - Spojrzał na pełne światła miasto. Niezależnie od tego, co było powodem, Keeline jest teraz dla nas bardzo niebezpieczny. Stern powinna była zabić ich oboje przy domu Brice'a. Znacznie lepiej byśmy na tym wyszli.

- Stern wykonuje twoje rozkazy, tato. Ci dwaj czyściciele też mieli rozkaz złapać ich i gdzieś wywieźć, żeby to wyglądało na samobójstwo. Może dlatego zginęli. Działali wolniej, żeby zrobić wszystko zgodnie z planem, i dlatego byli bezbroni.

Creighton westchnął. Vince ma rację, ale jest już za późno. Nie chce więcej morderstw w rodzinie. Śmierć Julii musi zostać upozorowana na samobójstwo.

- Prawdopodobnie nie pojedą teraz do Oyster Bay, bo wiedzą, że to byłoby niebezpieczne. Odwołaj stamtąd Mayę Stern i poślij kogoś na jej miejsce. Chcę, żeby Stern była wolna i czekała w Nowym Jorku na sygnał, żebyśmy mogli się

nią posłużyć, kiedy tylko ich znajdziemy. Zakładam, że przyjaciele i rodzina Keeline'a są pod obserwacją.

- Oczywiście.

- A co wie policja?

- Nasze źródła informują nas na bieżąco. Policja nowojorska wciąż przeszukuje Nowy Jork w poszukiwaniu Julii. Nie wiedzą o Keelinie. Tych dwóch czyścicieli w Aleksandrii miało doskonale dokumenty świadczące o tym, że byli obywatelami Litwy. Policja w Wirginii nie ma żadnych podejrzanych o morderstwo. Śledztwo jest otwarte. Ale ono do niczego nie doprowadzi, a prawdziwa tożsamość czyścicieli nie zostanie ujawniona.

Creighton ucieszył się.

- Dobrze. Nic nie wskazuje na jakikolwiek związek z nami. To jednak nie załatwia sprawy Julii i Keeline'a. Coś jeszcze?

- Jeszcze jedna zła wiadomość. Wciąż nie mam numerów kart kredytowych Keeline'a, bo drogi wujek David do tej pory nie zechciał nam pomóc. To drugi powód, dla którego dzwonię. Właśnie do mnie telefonował, żeby przekazać, że ostatnią noc spędził na rozważaniach etycznej strony naszych poczynań. I zdecydował, że pomóc nam znaczy tyle, co przyłożyć rękę do nadużywania władzy.

Creighton aż podskoczył ze złości.

- Co za palant. Chce sprawdzić, jak bardzo nam na tym zależy i ile jeszcze może od nas wyciągnąć.

- Też tak sądzę. Powiedziałem, mu że przekażę ci informację.

Creighton znowu zaklął, ale zaraz się uśmiechnął. Ten sukinsyn David jest taki sam, jak on. Cóż, zawsze można wypróbować siłę argumentu Pięści Tokugawy.

- Dobrze, sam z nim pomówię. Prześpij się trochę. Przyda ci się odpoczynek, zanim bomba Staffelda eksploduje w nowojorskich mediach. To już za kilka godzin.

Vince uśmiechnął się.

- To będzie miła chwila, tato. Żałuję, że nie będę mógł zobaczyć miny Poversa, kiedy będzie oglądał wiadomości telewizyjne.

Creighton zaśmiał się.

- Dobranoc, synu. - Rozłączył się, uśmiechnął szeroko i po chwili wybuchnął śmiechem. Podniósł w górę kieliszek dom perignon, wznosząc samotny toast.

3.05, NIEDZIELA NOWY JORK

David Redmond stał przy oknie swojego mieszkania na najwyższym piętrze. Rozciągał się stąd widok na Wall Street. Z tego miejsca rządził finansowym imperium, które obejmowało Europę, Azję, Amerykę Południową i Afrykę. Ale

o tej porze miasto, które widział z góry, drzemało, a on pochłonięty był myślami o czymś innym. Czekał na telefon.

Kiedy tylko usłyszał jego dźwięk, natychmiast podniósł słuchawkę.

- Creighton? Dlaczego tak długo to trwało? - Głos Davida nie brzmiał, jakby go wyrwano ze snu.

Creighton uśmiechnął się. David oczywiście czekał na telefon od niego. Rozumieli się z bratem doskonale. Tyle lat pomagali sobie nawzajem, pożyczali sobie pieniądze, że upodobnili się i obaj byli tego świadomi. Pieniądze - płatności, inwestycje, kontrola nad nimi, ich wartość - połączyły ich jak najlepszy klej. Obaj wiedzieli, że łączą ich nie tylko związki krwi, ale też coś więcej.

- Dzień dobry, Davidzie - powiedział Creighton. - Nic na mnie lepiej nie działa niż twój czarujący głos. Rozumiem, że masz do mnie jakiś interes.

David roześmiał się.

- Nie, Creighton. O ile wiem, to ty masz interes do mnie. I to ma coś wspólnego z pewnymi tajnymi informacjami dotyczącymi niejakiego Samuela Keeline'a. Nie mów mi dlaczego. Coś mi podpowiada, że lepiej, żebym nie działał. Ale oczekuję zapłaty i zachowania anonimowości.

Creighton wyduł usta. David wciąż potrafił go zaskoczyć. Zrozumiał, że będzie musiał mu powiedzieć, na czym polega jego plan, podobnie jak to zrobił w wypadku Brice'a.

- Nikt nie wspomni twojego imienia. To ci mogę zagwarantować. Spodziewam się, że już wyznaczyłeś cenę za swoje usługi?

- Zgadza się. - W głosie bankiera pojawiła się irytacja. - Chcę, żebyś mnie mianował członkiem zarządu Rezerw Federalnych.

Creighton zaniemówił z wrażenia. Rezerwy Federalne były potężną, czwartą siłą rządu amerykańskiego - zarządzała nimi grupa niezależnych decydentów, którzy mieli wpływ na politykę wewnętrzną, uniezależnioną od restrykcyjnego systemu *checks and balances*. To ci ludzie decydowali, czy dodrukować pieniądze, ustalali międzybankowe stopy procentowe, mieli prawo interweniować, kiedy inflacja wymykała się spod kontroli. Pełnili funkcje bankiera zarówno w stosunku do społeczności bankierów, jak i w stosunku do rządu federalnego. Skoro Creighton obiecał Brice'owi Departament Handlu, może uda mu się przeforsować kandydaturę drugiego brata. W końcu, jak to zauważył Brice, istniał precedens: John Kennedy mianował swojego brata Roberta szefem Departamentu Sprawiedliwości. A Vince dostanie stanowisko szefa Firmy. Poza tym i Brice, i Vince mieli świetne kwalifikacje.

Ale jeśli Creighton kolejne kluczowe stanowisko w kraju powierzy osobie z rodziny, media i społeczeństwo oskarżą go o nepotyzm. Nawet podczas tak zwanego „miesiąca miodowego” może się podnieść wystarczająca wrzawa, która

osłabi jego pozycję jako prezydenta i utrudni albo wręcz uniemożliwi uchwalenie pewnych ustaw, na których szczególnie mu zależało. Szczerze żałując, Creighton musiał odmówić.

- David, oczekujesz ode mnie za wiele. Nie wiem, w jaki sposób mógłbym to zrobić...

- Wiem, wiem. - David wszedł mu w słowo. - Martwisz się, że mógłbyś zostać posądzony o nepotyzm. Mam pomysł. Poczekaj rok. Brice mi powiedział, że jemu zaferowałeś Departament Handlu. W ciągu roku będziecie mogli potwierdzić swoją wartość, ty, Brice i Vince. Jeśli okażecie się tak dobrzy, jak przypuszczam, mianowanie kolejnego Redmonda na wysokie stanowisko nie powinno wywołać większego zdziwienia. Jeśli jeszcze masz wątpliwości, przypomnij sobie braci Dulles. - W latach pięćdziesiątych Allen Dulles stał na czele CIA, a John Dulles zajmował stanowisko Sekretarza Stanu.

Creighton odezwał się po chwili namysłu:

- Ale obaj cieszyli się ogromną popularnością.

- To prawda. Tylko że jeśli znalazłby się trzeci czy czwarty Dulles i objąłby następne wysokie stanowisko w rządzie, cały kraj mógłby być tylko wdzięczny. - Przerwał, dając bratu czas na przemyślenie ostatniego argumentu. A potem poprosił o coś, na czym mu naprawdę zależało. - Oczywiście w zamian za zwłokę za rok mianujesz mnie od razu przewodniczącym. Alan Greenspan wystarczająco długo grzał ten stółek. Przyszła pora na zastrzyk świeżej krwi, na nowe pomysły. Nie chcę się bawić w fałszywą skromność. Uważam, że jestem doskonałym kandydatem.

Creighton westchnął. Oddalił się od wysokich okien w pokoju hotelowym w Sacramento i ciężko usiadł na obitej adamaszkim sofie. Najpierw Brice w Departamencie Handlu, a teraz David na czele Rezerw Federalnych. Uśmiechnął się.

Ale z drugiej strony gdyby mu się udało przeforsować te kandydatury, ich obecność w rządzie tylko mu ułatwi pracę. Zresztą dlaczego miałyby go dziwić ambicje Davida? To nie będzie precedens i trudno zaprzeczyć, że David ma doskonałe kwalifikacje.

Myślał tak, ale zapytał o coś innego.

- A jesteś gotów zrezygnować z zarządzania Globalem?

- Drake szybko dorasta. - Drake był najstarszym synem Davida. - Za rok będzie mógł przejąć zarządzanie firmą. Jestem gotów odejść. W gruncie rzeczy to ten sam biznes, tylko większy format. - To było łagodnie powiedziane. - Po prostu w Rezerwach moja piaskownica będzie większa, znacznie większa. Będę kierował polityką światowej potęgi ekonomicznej. Obaj dobrze wiemy, że się sprawdzę, i nie ma powodu zastanawiać się nad tym, z czego zrezygnuję i że mogę na tym stracić.

Creighton w duchu zgodził się z tą argumentacją.

- Bardzo dobrze. To, co mówisz, ma sens. - A co ważniejsze, David potrafi negocjować.

- Rozumiem, że doszliśmy do porozumienia - powiedział z satysfakcją David. - Zadzwoń na dół do któregoś z komputerowych geniuszy na dyżurze, żeby sprawdzić, czy mamy coś na Keeline'a. To może potrwać kilka godzin, bo niektóre firmy informują nas z opóźnieniem. Potem zadzwoń do Vince'a z informacją.

Creighton powoli się uspokajał. Wyciągnął się na sofie.

- Jak poszło ci przesłuchanie?

- Bez problemu. Wyraziłem żal z powodu poczynań Julii, potem skontaktowałem się z Dorothy i dziećmi i powiedziałem im, o co podejrzana jest Julia. Wystosowałem oświadczenie w imieniu rodziny. Ale mimo to do drugiej naderanem telefony się urywały. Wydzwaniiali wścibscy reporterzy. Co się, do cholery, dzieje z Julią? Czy ona naprawdę zabiła tego psychologa?

- Na to wygląda - powiedział Creighton ostrożnie. - W każdym razie konieczne jest, żebyśmy zrobili wszystko, żeby się wobec tego zdystansować.

- Dobrze, że nie nosi nazwiska Redmond.

Creighton usłyszał głos żony.

- Creighton? Ty głuptasie! Jeszcze nie śpisz? Miałeś się dziś w końcu wyśpać. O szóstej mamy śniadanie, a jutro jest przyjęcie!

Wyprostował się na sofie i pożegnał się z Davidem.

- Umowa stoi?

Obaj wiedzieli, że nie będzie potrzeby wracać do tego tematu. Nic nie jest w stanie zerwać tej ustnie zawartej umowy. Redmondowie jednoczyli siły.

- Tak. Umowa stoi.

Bracia odłożyli słuchawki. Creighton, powłócząc nogami ruszył do swojej sypialni, a jego żona do swojej.

7.57, NIEDZIELA LONDYN

Posterunek policji Belgravia mieścił się w nowym budynku z cegły. Zdobiły go stiuki, a na dachu znajdowały się trzy wieże. Na te wieże, górujące nad mokrymi od deszczu, targanymi wiatrem drzewami, patrzył nadinspektor Geoffrey Staffeld, kiedy w porannej mgłę zbliżał się do posterunku. Pelen gniewu i obaw wjechał w główną bramę i minął mur biegnący wzdłuż Buckingham Palace Road, po czym zatrzymał się na parkingu przed posterunkiem.

Z każdą chwilą wściekłość ulatniała się coraz bardziej, jak powietrze z przekłutego balonika. Pozostało jednak chłodne postanowienie. Kiedy znalazł się w

swoim gabinecie, zadzwonił do magika komputerowego - Victorii Allen z działu komunikacji. Wcześniej postarał się, żeby to ona była dziś na dyżurze.

- Jest pan gotów namierzyć tę rozmowę? - zapytała.
- W tej chwili. A pani jest gotowa?

Kiedy odpowiedziała, że tak, podniósł słuchawkę, policzył do dziesięciu i wykręcił numer. Jeśli ktokolwiek potrafił wyśledzić numer telefonu szantażysty, to była Allen. Z komputerami i liniami telefonicznymi miała kontakt niemal mistyczny. Dla niego to wszystko była niezrozumiała gmatwanina, ale dla młodszego pokolenia, które wychowało się na gigabajtach, Internecie i językach oprogramowania... terminy, których często nie mógł znaleźć nawet w słowniku, były dziecinnie proste.

Jeśli będzie miał szczęście, Victoria poda mu numer telefonu. To pozwoli odnaleźć człowieka, który go szantażuje. A kiedy już go znajdzie, odetnie mu jaja, wepchnie do ust i poderżnie gardło.

Odczekał tylko jeden sygnał.

- Przeczytał pan artykuł? - Odezwał się znajomy głos, należący do osoby kulturalnej, wykształconej i posiadającej władzę.

Staffeld odpowiedział lodowato.

- Przeczytałem.
- Oczywiście, pan najlepiej zna szczegóły tej brudnej sprawy.

Staffeld poczuł, jak robi mu się gorąco.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Głos po drugiej stronie linii zaśmiał się cicho.

- Ma pan rezerwację na lot dziś rano. Musi się pan pospieszyć, żeby zdążyć. W Nowym Jorku ma pan zarezerwowany pokój w hotelu. Klucz, który znalazł pan w gazecie, otwiera skrytkę na Heathrow. W środku czeka walizka, a w niej potwierdzenie rezerwacji hotelowej, dodatkowe dokumenty, których będzie pan potrzebował, oraz nazwiska zaprzyjaźnionych dziennikarzy. Niech pan zadzwoni do nich z samolotu i zwoła konferencję prasową. Szczegóły znajdzie pan w walizce. To, co ma pan powiedzieć dziennikarzom, również tam jest. Niech się pan tego nauczy na pamięć, a potem zniszczy. Od pana zależy, jak potraktuje pan prasę. Jeśli będzie pan wystarczająco przekonujący, zostanie pan bogatym człowiekiem.

Staffeld włożył do ust papierosa i zapalił go. Musi trzymać tego drania na linii tak długo, jak się da.

- A jeśli tego nie zrobię?

Pytanie spotkało się z chłodnym brakiem zainteresowania. Nie ma żadnego znaczenia, czy Staffeld będzie żył, czy nie.

- Jeśli próbuje mnie pan szantażować, panie nadinspektorze, to nic z tego. Otrzymał pan instrukcje. Zna pan cenę odmowy. - Rozmowa została przerwana.

Rozmowa urwała się tak nagle, że Staffeld został zupełnie zaskoczony. Spojrzał na zegarek. Cholera!

Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Zbiegł na dół, do działu komunikacji. Nowy budynek posterunku na Belgravia został oddany kilka lat temu - w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku - i wszyscy byli dumni z najnowszych technologii komputerowych, komunikacyjnych i informatycznych, do których mieli dostęp.

Gdy biegł do kabiny Victorii Allen, podniosła głowę znad komputera i zdjęła z uszu słuchawki. Jej popielato-brązowe loki podskoczyły. Miała ciemnozielone oczy i wesołe usposobienie.

Teraz jednak miała kwaśną minę.

- Przykro mi, sir.

- Nic? - Liczył, że przynajmniej skieruje go na jakiś trop. Udzieli jakiegokolwiek wskazówki.

- Ich elektroniczne połączenia są zbyt skomplikowane. Nawet nie próbowałam podsłuchać rozmowy.

Staffelda nie interesowała rozmowa.

- Jest coś, co udało ci się odkryć?

- Nie mam numeru telefonu, ale rozmówca znajdował się w Waszyngtonie.

Czy to w czymś pomoże?

- Mam nadzieję. - Podziękował i pospieszył do wyjścia. Musi jechać do domu, spakować się, a potem udać się na Heathrow.

31.

9.45, NIEDZIELA

BALTIMORE, MARYLAND

Sam wstał przed dziesiątą. Spał niespokojnie i nie wyspał się. Myśli kłębiły mu się w głowie i nie pozwalały na sen. Już lepiej było wstać. Może w świetle dnia łatwiej będzie znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Tu nie chodzi tylko o Bursztynową Komnatę. Dzieje się znacznie więcej tajemniczych spraw.

Zszedł do stojącego w garażu samochodu. Zabrał stamtąd swoją torbę i rosyjską książkę z kolorowymi zdjęciami skarbów z zamku w Królewcu. Podszedł do drzwi sypialni Austrian i chwilę nasłuchiwał. Cisza.

Cichutko uchylił drzwi. Julia spała. Jej błyszczące oczy były zamknięte, namiętne usta układały się w półśmiech. Ogarnęła go fala pożądania. Musi się bronić. Obiecał sobie nie angażować się. Nigdy więcej.

Pokręcił głową i poszedł do salonu. Julia nawet nie drgnęła, więc zacznie działać sam. Nie chciał jej budzić. Pierwszy raz od ponad czterdziestu ośmiu godzin mogła się wyspać.

Wykręcił numer telefonu siostry Pinka na Long Island. Port Waszyngtona, gdzie mieszkała, znajdował się niedaleko Oyster Bay.

- Co słyhać? - mruknął Pink. - Jestem mile zaskoczony, że Stern jeszcze cię nie sprzątnęła. - Pink słyszał, że siostra jest w kuchni i robi śniadanie. Dochodziło go chichotanie dziewczynek i zachęcający aromat naleśników z mąki gryczanej.

- Słuchaj, Pink. Czy zauważyłeś coś dziwnego, na przykład, że ktoś cię śledzi? Ktoś obserwuje dom twojej siostry?

- Nic takiego nie zauważyłem. Dlaczego?

To dobrze, pomyślał Sam. Gdyby któryś z czyścicieli kręcił się koło Pinka, przyjaciel na pewno by go zauważył.

- Wiem, że się nudzisz bez pracy, więc pomyślałem, że dam ci zajęcie. Mała akcja w terenie. Mógłbyś podjechać do Oyster Bay i czegoś się dla mnie dowiedzieć? - Podał Pinkowi nazwę agencji pośrednictwa pracy. - Chciałbym, żebyś znalazł wszystko, co się da, o kobiecie nazwiskiem Norma Kinsley. Jest asystentką, pracuje na zlecenia...

- Czy to nie ona była świadkiem tego zabójstwa? - Pink przerwał na chwilę. - Słuchaj, nie wiem, czy czytałeś dzisiejszego „Timesa”, co zrobiła ta Julia Austrian, którą się ostatnio interesujesz. Ta kobieta zabiła swojego psychiatrę.

Sam zaniemówił. Ale po chwili zreflektował się. Nie powinno go dziwić, że Pink uwierzył gazecie.

- Ona tego nie zrobiła. A „Norma Kinsley” to nazwisko, które wykorzystала Maya Stern, żeby się zbliżyć do Julii. Potrzebuję wszystkich informacji, jakie uda ci się zdobyć.

- Więc zająłeś się tą Julią na dobre? Sam, zastanów się, w co się pakujesz. Ona jest kuzynką Vince'a Redmonda...

- Wiem, kim jest i wiem, kim jest Maya Stern. Miałem również bliskie spotkanie z dwoma innymi czyścicielami. Może ty wiesz, co tu się dzieje?

- Tak. Wiem na pewno, że nie masz żadnego interesu, żeby się w to mieszać. A ta Julia Austrian...

- Możesz dla mnie zdobyć informacje o Normie Kinsley, Pink? Tak czy nie? Pink milczał.

- Ci ludzie, którzy mogą mnie obserwować, to czyściciele?

- Istnieje takie prawdopodobieństwo.

- Mogą obserwować dom mojej siostry? Moją siostrę i jej dzieci?

- Pink, jeśli nie chcesz...

- Mam nadzieję, że to ważne, Sam. Zresztą nic mi się dziś nie uda załatwić, jest niedziela. Na wypadek, gdybyś zapomniał.

- Od kiedy to ci przeszkadza pracować? Bogaczom nie przeszkadza, że jest niedziela, kiedy czegoś potrzebują. Agencja na pewno jest otwarta.

Pink podszedł do okna i zobaczył, jak niewyróżniający się niczym ford escort właśnie zjeżdża z chodnika. Patrzył, jak samochód wolno znika mu z oczu.

- Sam nie wiem. Z tego, co przeczytałem o rodzinie Austrianów, myślę, że - delikatnie mówiąc - straciłeś rozum. Masz obsesję na punkcie Bursztynowej Komnaty. Ale posuwasz się za daleko.

Sam zmarszczył czoło. O co Pinkowi chodzi? Doszedł jednak do wniosku, że przyjaciel jest w nie najlepszym stanie ze względu na niepewną sytuację w pracy.

- Słuchaj, Pink, jesteś mi coś winien. Pamiętasz Odessę? - W czasach zimnej wojny komuniści omal nie złapali tam Pinka. Sam go stamtąd wyciągnął, a tym samym uratował mu życie. - Jesteś mi winien dużo więcej. Proszę cię przecież o drobną, pieprzoną przysługę. Potrzebuję tej informacji, i to natychmiast.

Pink zamknął oczy. Rzeczywiście, dużo zawdzięczał Samowi. Pytanie brzmiało, czy takie przysługi można porównywać. Wzruszył ramionami.

- Dobrze, dupku. Podaj mi numer telefonu, pod którym jesteś. Jeśli zdecyduję się to zrobić, zgłoszę się. Ale najpierw zamierzam zjeść śniadanie.

Sam uśmiechnął się.

- Prawdziwy z ciebie kumpel, Pink. Będę się za ciebie modlił.

Julia obudziła się i z przerażenia aż podskoczyła. Piekły ją oczy, więc się przestraszyła. Dlaczego ją bolą? Jeszcze zanim odzyskała pełną świadomość, przez moment wpadła w panikę, że znowu straciła wzrok.

Ale nie... Przez zamknięte powieki docierało do niej różowe, opalizujące światło. Skoro razi ją słońce, musi widzieć. Próbowwała podnieść powieki, ale poczuła, że blask boleśnie wdziera się jej w mózg. W przebłysku zobaczyła małą sypialnię skąpaną we wpadających przez okno promieniach słońca. Światło było bardzo intensywne. Do tej pory odzyskiwała wzrok tylko w nocy. Teraz po raz pierwszy widziała wszystko w blasku dnia i różnica między naturalnym światłem i sztucznym zapierała jej dech w piersi. I była bolesna dla oczu.

Zabandażowaną dłonią zasłoniła oczy i chłodny półmrok ostudził pieczenie. Kiedy jednak oparła dłoń na dolnej części twarzy, zaczęła ją z kolei boleć szczęka. Położyła dłoń tak, żeby nie dotykać szczęki. Ale przy poruszaniu ręką czuła pulsujący ból wnętrza dłoni. Westchnęła. Poraniona dłoń musiała spuchnąć podczas snu.

Nagle przypomniała sobie moment, kiedy zabójczym uderzyła ją w szczękę. Zrobiła to tuż przed zabiciem jej matki. Zaledwie w piątek w nocy! Więc nie

minęły nawet dwa dni? Wstrząsnął nią dławiący żal. Teraz było to już oswojone, znane uczucie, ale mimo to potwornie raniło.

Julia zagryzła wargę, żeby się nie rozplakać. Jest przecież silna. Oderwała dłonie od oczu. Przez wciąż zamknięte powieki znowu poczuła światło dnia, ale oczy już mniej bolały. Przyzwyczyliły się. Teraz musi je otworzyć i wytrzymać...

- Wstajemy na śniadanko? - Zza drzwi dobiegł ją radosny głos Sama.

Nagle przypomniał się jej jego zapach - oryginalny, z ziołową nutką - ciężar jego umięśnionego ciała, kiedy zasłonił ją leżącą na ziemi w Aleksandrii, i ten prąd, który poraził ją wczoraj w nocy, kiedy stał w drzwiach jej sypialni.

- Czas karmienia. - Usłyszała znowu jego głos. Potem rozległo się pukanie i drzwi uchyliły się. Zajrzał do środka. - Co? Jeszcze w łóżku? Pani Austrian, wstajemy, żebyśmy mogli pomyśleć, co mamy zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem. W szafie znajdzie pani jakiś szlafrok.

Spojrzała na niego. Twarz miał promienną, ogoloną, przez co kształt jego szczęki stał się jeszcze wyraźniejszy, a szarość oczu bardziej uderzająca. Popielato-blond włosy zaczesane były do tyłu, podkreślając przystojną twarz. Ale ta twarz nie wyrażała nic. Nawet jeśli wczoraj wieczorem coś między nimi zaiskrzyło, skończyło się. To przynajmniej sygnalizowała malująca się na niej obojętność. Wyglądało to tak, jakby ktoś z tych oczu zabrał światło. Zgasił w nich ogień.

Przez krótką chwilę czuła się rozczarowana. To przecież nic nie zmienia, pomyślała. Zresztą nie może sobie pozwolić na rozpraszenie się. Ma tylko jeden cel - Mayę Stern.

Ból dłoni, szczęki i oczu zelżał, kiedy razem z Samem zasiedli do śniadania przy lakierowanym stole w mieszkaniu nad kinem. Julia spostrzegła, że jej zmysły znajdują się w stanie najwyższego napięcia, przygotowane na grożące niebezpieczeństwo, mimo że wszystko wskazywało na to, że są tu bezpieczni i mogą być spokojni. Ale dla niej zarówno spokój, jak i bezpieczeństwo przestały należeć do realnego świata.

Nad nimi wisały za szkłem rosyjskie i amerykańskie plakaty filmowe z lat dwudziestych, przedstawiające Joan Crawford, Rudolfa Valentino, Clare Bow i kilku aktorów rosyjskich, których nazwisk nie знаła. Sam wyszedł do kuchni po mleko, banany i świeży sok pomarańczowy. Na kuchence kipiała owsianka. Przyniósł też dwa numery „New York Timesa”, ale nalegał, żeby najpierw zjedli. Potem zajrzą do gazety.

Chciała mu zrobić przyjemność, więc pokroiła banana i wrzuciła go do gorącej owsianki, szczęśliwa, że nikogo nie musi prosić o pomoc, nie musi pytać, co jest na stole, prosić o podanie i pokrojenie. Całkiem nieźle sobie radziła, mimo bandaży na dłoniach. Prawie nie czuła bólu. Nałała sobie soku, jadła pyszną

owsiankę i rozglądała się po staroświeckiej kuchni. Pochłaniała wzrokiem kolory - żółte linoleum, biała kuchenka, biało-żółte kafelki ułożone do połowy wysokości ściany, zielony stół kuchenny, białe szarki. Kolory były proste i kiedy powtarzała sobie ich nazwy w myśli, brzmiały tak samo, ale w rzeczywistości oznaczały tyle odcieni. I każdy był inny.

- Wiedział pan, że ludzkie oko potrafi wyodrębnić dwieście tysięcy kolorów? - zapytała.

Rozbawiony podniósł na nią wzrok znad talerza. Sprawiał wrażenie całkowicie zrelaksowanego, opierał się lekko o wysokie oparcie kuchennego krzesła. Bruzda między jego brwiami wygładziła się. Można by pomyśleć, że jest całkowicie odprężony. Pozory jednak były mylące. W jego oczach czaił się ogromny niepokój.

- Nie - przyznał. - Nie wiedziałem. Skąd pani to wie?

- Mój umysł jest zaśmiecony różnymi niepotrzebnymi informacjami. Kiedy straciłam wzrok, myślałam, że to ważne, żeby zrozumieć, co się ze mną dzieje, zrozumieć, co straciłam.

- To się nazywa autodydaktyka.

- Jak?

- Autodydaktyka. To znaczy, że jest pani samoukiem. Bardzo dobry sposób przyswajania wiedzy. W ten sposób ominęło panią dużo nudnych wykładów.

- Czy pan kiedykolwiek jest poważny?

- Nie, jeśli nie muszę. - Uśmiechnął się szeroko.

Odwzajemniła uśmiech.

- Wciąż mi pan nie powiedział, czym się pan zajmuje w tej pańskiej Firmie.

Sam opowiedział jej, na czym polega jego praca w kierownictwie CIA. Rzecz jasna starannie ominął wszystkie państwowe tajemnice, które miał skatalogowane w swoim uporządkowanym umyśle.

- Najogólniej rzecz ujmując, wszystko polega na analizowaniu danych. Po-tem wyciągam wnioski, sporządzam raporty, sugeruję rozwiązanie i popycham to do góry.

- Do Białego Domu?

- Czasami rzeczywiście rzecz trafia do Białego Domu - przyznał.

- Wszystkie te raporty i dokumenty, to brzmi interesująco - powiedziała Julia bez przekonania. - Ale muszę przyznać, że nie zachowuje się pan jak ktoś, kto spędza większość czasu za biurkiem. Jak długo nie pracuje pan w Wydziale Operacyjnym, tak to się chyba nazywa? I jak pan to robi, że nadal jest pan taki sprawny?

- W Wydziale Operacyjnym pracowałem cztery lata- powiedział bez emocji.

- Dlatego stacjonowałem w Berlinie Zachodnim. Byłem w Europie i dlatego

osobiście mogłem przyjrzeć się sprawie Bursztynowej Komnaty.

- Kiedy przeszedł pan do pracy biurowej?

- Jakies dziewięć lat temu. Zaraz po Berlinie. - Sześć miesięcy po tym, jak Irini została zgwałcona i zamordowana, a on znalazł w sobie wystarczająco dużo nienawiści, żeby żyć. Przynajmniej tak mu się wtedy zdawało. Ale nie zamierzał mówić jej o Irini. To wyłącznie jego sprawa.

Zastanowiła się nad jego słowami.

- Pan chyba nigdy nie czuł się najlepiej w tym Wydziale Operacyjnym. Przecież zbieranie informacji o Himmlerze, Bursztynowej Komnacie i to, co pan teraz robi w wywiadzie, to czysto naukowa praca. Założę się, że tak naprawdę pod płaszczykiem macho kryje się typowy naukowiec.

Uśmiechnął się.

- Oskarżony przyznaje się do winy. Szczególnie jeśli chodzi o sytuację w Europie Wschodniej i w Rosji.

Pokiwała głową. Obrócił wszystko w żart. Ale ona już wcześniej zauważyła w nim tę dwoistość. Teraz rozumiała go lepiej. Naukowiec i zabójca w jednym. Zabija, kiedy nie ma innego wyjścia. Co za połączenie. Nic dziwnego, że od razu uznała go za człowieka pogmatwanego.

Zaczął sprzątać ze stołu.

- Niech lepiej pani zajrzy do „Timesa”. Złe wieści.

Wieści rzeczywiście były fatalne. Julia nie mogła nic już przelknąć, kiedy zobaczyła na pierwszej stronie swoje zdjęcie. Artykuł przedstawiał suche „fakty”. Orion Grapolis, doktor, uznany psycholog, został zastrzelony około ósmej wieczorem w sobotę w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku na Upper East Side. Główną podejrzaną o morderstwo jest jego pacjentka - do tej pory niewidoma pianistka Julia Austrian. Policja znalazła pistolet, z którego zastrzelono psychologa, przy fotelu, na którym siedziała pianistka. Wdowa po Grapolisie twierdzi, że słyszała, jak podejrzana głośno krzyczała, grożąc mężowi śmiercią.

Autor artykułu zastanawiał się, w jaki sposób to wydarzenie może wpłynąć na sytuację wuja podejrzaney, Creightona Redmonda, który ubiega się o fotel prezydenta. Potem podano kilka wyjątków z wypowiedzi Creightona o tym, że rodzina Redmondów nie przestała darzyć Julii miłością i chce ją zachęcić, żeby dobrowolnie zgłosiła się na policję.

Przeczytawszy to, Julia odetchnęła z ulgą. Wygląda na to, że Creighton jest jak przyjazna przystań w czasie sztormu. Powinna do niego zadzwonić. Dziś jest w Kalifornii na spotkaniu przedwyborczym, ale pewnie uda się jej skontaktować z nim przez Arbor Knoll.

Może, jak sugerował Brice, Creighton pomoże jej wypłatać z tego zamieszania...

Wróciła do lektury. Głos jej drżał, kiedy odezwała się do Sama.

- Niech pan tego posłucha:

W OŚWIADCZENIU UDZIELONYM PRASIE CREIGHTON REDMOND POWIEDZIAŁ, ŻE CAŁA RODZINA UBOLEWA Z POWODU AUSTRIAN. „OD LAT BYŁA NIEZRÓWNOWAŻONA PSYCHICZNIE” - PRZYznał KANDYDAT. - „SĄDZIMY, ŻE OKRUTNE MORDERSTWO JEJ MATKI W LONDYNIE W PIĄTEK W NOCY BYŁO KROPLĄ PRZEPEŁNIAJĄCĄ CZARĘ. TO JEDYNE WYTLUMACZENIE, JAKIE NAM PRZYCHODZI DO GŁOWY, BO JULIA AUSTRIAN JEST Z GRUNTU DOBRĄ, PRYZWOITĄ OSOBĄ”.

Sam zmarszczył czoło.

- O co chodzi z tym stwierdzeniem, że jest pani niezrównoważona psychicznie?

Szok spowodowany bezczelnym kłamstwem Creightona odebrał jej mowę.

Nigdy nie uważano jej za psychicznie niezrównoważoną. Owszem, zdarzały się jej stany przygnębienia. Oczywiście, że była zrozpaczona z powodu zabójstwa matki. Ale nigdy nie znalazła się na krawędzi obłądu. Szybko przebiegła wzrokiem kolejny paragraf, i ze smutkiem stwierdziła:

- Dalej jest jeszcze gorzej:

WALTER DUPUY, WŁAŚCICIEL KLINIKI W NOWYM JORKU I W PARYŻU, PROWADZIŁ TERAPIĘ AUSTRIAN PRZEZ TRZY LATA PO TYM, JAK STRACIŁA WZROK.

ZGODNIE ZE SŁOWAMI DOKTORA DUPUYA DIAGNOZA BRZMIĘŁA: HISTERIA. DODAŁ, ŻE OSOBY DOTKNIĘTE TYM ZABURZENIEM CZĘSTO STAJĄ SIĘ NIEBEZPIECZNE DLA OTOCZENIA.

W WYWIADZIE TELEFONICZNYM DUPUY WYJAŚNIA: „OCZYWIŚCIE, NIE MOGĘ UJAWNIC SZCZEGÓŁÓW NASZYCH SESJI, BYŁOBY TO BEZPRAWNE. MOGĘ TYLKO POWIEDZIEĆ, ŻE PANI AUSTRIAN JEST NIEZRÓWNOWAŻONA EMOCJONALNIE CO NAJMNIEJ OD DZIESIĘCIU LAT. CIERPI NA HISTERIĘ”.

- Histeria. - Julia była zaskoczona. - Użyli tego drażliwego słowa, którego rodzina unikała przez lata. Dobrze wiedzą, że to zaburzenie nazywa się zastąpieniem. Chociaż obcym zawsze mówiono, że moja ślepotą ma podstawy somatyczne. Rodzina chciała uniknąć złych skojarzeń... uprzedzeń, które towarzyszą wszystkiemu, co nosi nazwę zaburzeń psychicznych. A teraz, żeby cały świat nie miał wątpliwości, że jestem chora psychicznie, Dupuy nazywa mnie niebezpieczną dla otoczenia! - Dławiła się z wściekłości, policzki jej płonęły. - Ten drań Dupuy - jęknęła. - I Creighton! Ale dlaczego? To wszystko nie ma sensu.

- Niech mi pani wybaczy - powiedział cicho Sam. - Wiem, jak bardzo ważna jest dla pani rodzina. Ale po przeczytaniu wypowiedzi pani wuja odnoszę wrażenie, że pani uczucie do rodziny jest nieodwzajemnione. Pani Austrian, oni panią wystawili, zrobili z pani ofiarę.

Zamknęła oczy. I natychmiast je otworzyła.

- Teraz policja ma nie tylko broń i okoliczności, które pozwoliłyby mi zabić Oriona. Ma też brakujący element, motyw. Moją chorobę psychiczną. Zrobili ze mnie zabójczynię Oriona. To nie jest pomyłka ani zbieg okoliczności. To działania zaplanowane i przemyślane!

32.

Julia przeczytała wszystko, co na jej temat było w gazecie. Sam ma rację. Creighton, David i Brice wypowiedzieli się wszyscy po kolei i wypowiedź każdego z nich potwierdziła wypowiedzi pozostałych. Twierdzili mianowicie, że od wielu lat Julia zachowywała się dziwnie, nieracjonalnie, miała zmienne nastroje, a czasami była nawet agresywna. Rodzina zaś starała się ukryć jej stan przed opinią publiczną i przyjaciółmi, mając nadzieję, że Julia zechce wrócić pod opiekę doktora Dupuya i jej stan się polepszy. Teraz jednak głęboko żałują, że milczeli. Wszyscy wujowie namawiają ją, żeby dobrowolnie zgłosiła się na policję, żeby nikomu więcej nie stała się krzywda.

Tego już było za wiele. Kłamstwa i zdrada rodziny były nie do pojęcia, chociaż...

Sam stał przy szafce i nalewał kawę. Zauważył na jej twarzy dziwny wyraz - coś między iluminacją i najwyższym przerażeniem.

- No i co teraz?

Postanowiła podzielić się z nim swoimi spostrzeżeniami.

- Dlaczego zależy im na tym, żeby wyglądało na to, że to ja zabiłam Oriona? Przecież powiedziałam Brice'owi wyraźnie, że to zrobiła ta kobieta z Londynu. I że to ona zabiła mamę. O tym nikt nie wspomniał ani słowem!

- Mogą rzeczywiście wierzyć, że to, co mówią, to prawda. - Postawił na stole kubeczki. - Że śmierć Oriona, o którą została pani oskarżona, została spowodowana w wyniku pewnych zmian osobowości, które, jak im się zdaje, zaobserwowali w pani na przestrzeni lat. Zna pani to powiedzenie, że rzeczywistość jest taka, jaką chcemy, żeby była. - Usiadł na wprost niej i objął dłońmi kubek z kawą.

Ale Julii nie przekonywało takie wytłumaczenie, a sądząc po minie Sama, on chyba też w to nie wierzył.

- Mój kuzyn odbiera panu przesyłkę w siedzibie głównej CIA. Dowiaduję się, że psychiatra, którego polecił mi wuj Creighton, okłamywał mnie. Brice nie mówi policji, kto naprawdę zamordował moją mamę i Oriona. Stern skądś wie,

gdzie na mnie czekać, kiedy wychodzę tajnym wyjściem z domu Brice'a. Poza tym ktoś bardzo wpływowy wynajmuje płatnych zabójców, żeby nas śledzili i prawdopodobnie, żeby zabili mamę, bo przecież Stern też jest płatnym zabójcą. Ta sama wpływowa osoba przechwytuje przesyłkę do mojej mamy. A teraz moi wujowie nie tylko zostawiają mnie na pastwę losu, ale jeszcze robią wszystko, żeby wyglądało na to, że to ja zabiłam Oriona. - Przerwała na chwilę. Jej słowa w ciepłym wnętrzu kuchni były jak powiew lodowatego powietrza.

- Myśli pani, że to pani kuzyn i wujowie są odpowiedzialni za to, co się dzieje.

Miała opanowany głos.

- W to wszystko zamieszany jest co najmniej jeden z nich. Przypuszczam, że może to mieć związek z tajemnicą Bursztynowej Komnaty, ale nie wiem jaki. Co jest aż tak cenne, żeby zabić mamę i mnie?

- Przychodzi mi do głowy pewna odpowiedź... - zawahał się.

- Proszę mi powiedzieć.

Sięgnął po gazetę i wskazał na pierwszą stronę.

- Niech pani przeczyta to.

W DZISIEJSZYM WYDANIU LONDYŃSKIEGO „SUNDAY TIMESA” UKAZAŁ SIĘ ARTYKUŁ, W KTÓRYM PRZEDSTAWIONO DOWODY NA TO, ŻE NAJPOWAŻNIEJSZY KANDYDAT NA PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH DOUGLAS POWERS PROWADZIŁ PODWÓJNE ŻYCIE, KORZYSTAJĄC Z PŁATNYCH USŁUG SEKSUALNYCH W MONAKO I W PRADZE...

Zmarszczyła brwi.

- Co to ma wspólnego ze śmiercią mojej matki?

Mężczyzna wciąż wyglądał czarująco, wciąż miał zwodniczo rozluźnione, powolne ruchy, ale jego szare oczy zachmurzyły się.

- Między mną a Vince'em dochodziło czasem do spięć, bo szef bywał niesumienny. - Pokazał palcem artykuł. - Ostatnio, ponieważ nie zgadzaliśmy się w tej kwestii, zagroził, że przeniesie mnie do innego wydziału. Proszę to sobie wyobrazić. Przychodzi do mnie z Pragi garść niesprawdzonych materiałów, a wszystko jest opatrzone listem od gościa o pseudonimie Jiří. Znalazło się tam też zdjęcie Powersa wchodzącego do limuzyny w towarzystwie alfonsa i prostytutki. Na chodniku stały i patrzyły na to jakieś dzieci. Byłem zdania, że to zdjęcie może być fotomontażem. Chciałem to sprawdzić, bo Powers był kandydatem numer jeden na prezydenta, ale Vince kazał mi to odłożyć na półkę. Twierdził, że nie chce, żeby wyglądało na to, że Firma miesza się do polityki, bo jego ojciec jest kontrkandydatem Powersa. Niezależnie od tego, jaka jest prawda i czego moglibyśmy się w czasie śledztwa dowiedzieć.

- Vince zabronił panu prowadzić śledztwo?

- Właśnie.

Siedzieli naprzeciw siebie przy stole i patrzyli sobie w oczy. Panowała zło-wroga cisza.

Julia ciężko westchnęła.

- Próbują zniszczyć reputację Douglasa Powersa, żeby Creighton mógł wy-grać wybory.

- Tak to widzę. To mi przypomina aferę Watergate. W ciągu dwóch ostat-nich stuleci zdarzały się różne afery, a nawet sfalszowane wyniki wyborów. To nie pierwszy raz, kiedy jakiś polityk próbuje zmanipulować naród. Wygląda jednak na to, że to sprawa największego kalibru i najbardziej nikczemna.

- Może jednak oskarżenia Powersa nie są bezpodstawne, a Creighton i Vince po prostu chcą przekazać potwierdzone informacje w najbardziej wiary-godny sposób. Chociaż osobiście uważam, że to niewybaczalne. Ale z tym łatwiej byłoby mi się pogodzić.

Oczy Sama rozblęskły.

- Zastanawiają mnie dwa fakty: że to właśnie Vince nie pozwolił mi zwery-fikować tych materiałów z Pragi i że to on odebrał mi przesyłkę, mimo że była zaadresowana do mnie.

- To znowu prowadzi do Bursztynowej Komnaty. Ale ja tu widzę trzy od-rębne sprawy. Pierwsza to przesyłki, druga - Bursztynowa Komnata, trzecia - prezydentura Creightona. Czy coś je może łączyć? Nawet jeśli ma pan rację i gra toczy się o prezydenturę, a Creighton z wujami robią te potworności... to wciąż nie rozumiem, jaki mają cel w tym, żeby krzywdzić mnie i mamę.

- Mamy do ułożenia bardzo trudną układankę. Kolory się mylą, jeden prze-chodzi w drugi.

Siedzieli w milczeniu, próbując dopasować fragmenty. W końcu odezwał się Sam.

- Założę się, że DCI nie ma pojęcia o tym, co się dzieje. Gdyby wiedział, nawet nazwisko Redmond nie pomogło by Vince'owi.

- Kto to jest DCI?

- Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. To facet stojący na czele wszystkich wydziałów. Jest bezpośrednim przełożonym Vince'a. Ale możliwe też, że szef wie o przesyłce, a nie wie o materiałach z Pragi. - Sam pokręcił głową. - Może on mógłby nam coś wyjaśnić. To człowiek, z którym można spróbo-wać porozmawiać. Mieszka w Silver Spring. To niedaleko stąd...

- Nigdzie pan nie pojedzie.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie nauczył mnie pan jeszcze posługiwać się bronią.

W pośpiechu wzięła prysznic i włożyła swoje wczorajsze ubranie. Welniane spodnie i jedwabna bluzka nie były porwane i udało się wyczyścić je gąbką tak, że wyglądały zupełnie nieźle. Graniczyło to z cudem, biorąc pod uwagę, co w nich wczoraj przeszła. Przez moment pozwoliła sobie pomarzyć o sklepach z ubraniami przy Piątej Alei, oczywiście z pełnym portfelem w rękę. Niestety. Pokręciła głową i zmieniła opatrunek na dłoniach. Rany goiły się dobrze, nie doszło do infekcji i chyba bolały mniej. Ból szczęki też zelżał.

Uczesała się i spróbowała odprężyć. Czowała jednak, że mięśnie ma napięte jak struny. Wtedy właśnie zauważyła, że nie słyszy muzyki, że wypełnia ją bolesna cisza...

Nie ma muzyki. Odkąd sięgała pamięcią, muzyka przepływała przez nią nieustannie jak rzeka. Teraz w jej głowie dudniły słowa. Nie mogła powstrzymać ich potoku. Za ich pomocą musiała analizować to, co się jej przydarzyło. Nie było już miejsca na muzykę i na dawne życie. Poczowała smutek. Czy jeszcze kiedyś będzie mogła grać? Zatracić się w muzyce? Nic innego przecież nie ma. I nagle poczuła się przeraźliwie samotna.

Keeline siedział w niewielkim salonie przeladowanym meblami. Były tu piękne, wygodne krzesła z wyprofilowanymi oparciami i wygiętymi, drewnianymi nóżkami. Jedną ze ścian, od podłogi do sufitu, zajmowały półki z książkami po angielsku i po rosyjsku, wiele było w skórzanej oprawie, ze złotymi literami. Można było odnieść wrażenie, że w tym pokoju z niskimi stolikami i wysokimi lampami kiedyś ludzie spędzali długie, miłe godziny. Mimo że nikt tu od miesiący nie mieszkał, a w powietrzu unosił się tylko lekki zapach starości... i aromatycznej tabaki.

Julia przyniosła pistolet, który zabrała czyszcicielowi w Alexandria
Sam odłożył słuchawkę telefonu.

- Czekam na dwa telefony. Jeden z Oyster Bay. Mój przyjaciel z Firmy może zadzwonić, żeby przekazać, czego się dowiedział na temat Mayi Stern i tej agencji pośrednictwa pracy, która ją zatrudniła. A drugi z Pragi. Jeden z moich dobrych znajomych jest wykładowcą na Uniwersytecie Karola. Pracuje również dla Firmy. Sprawdzi źródło materiałów obciążających Powersa.

Julia była mile zaskoczona.

- Widzę, że nie lubi pan marnować czasu.
- Nie lubię się nudzić.
- No tak. Gdzie będzie mnie pan uczył strzelać?

Nic nie mówił, tylko się jej przyglądał. Poczowała się nieswojo. Był taki przystojny.

W końcu się odezwał.

- Musimy zmienić pani wygląd. Teraz, kiedy pani zdjęcie opublikowano w gazecie, będzie nam trudniej się poruszać. Chodźmy. - Zaprowadził ją do pokoju, w którym spędził noc. Stało tam ogromne królewskie łóżko przykryte białą, koronkową narzutą, a po jego obu stronach zwykle szafki nocne i dwie komody. Na ścianie wisiała piękna stara ikona, na pewno rosyjska - Madonna z dziećmi - z piętnastego albo szesnastego wieku.

Sam przykucnął w łazience przy szafce pod zlewem. Wyciągnął stamtąd tubkę białej pasty do butów.

- Aha. Tego potrzebowaliśmy. Zrobimy czary-mary.

Julia usiadła na brzegu łóżka, a on pochylił się nad nią i zręcznie manipulował przy jej włosach. Obserwowała grę mięśni pod obcisłym czarnym podkoszulkiem. Zamknęła oczy, żeby ten widok jej nie rozpraszał. Ale teraz czuła zapach jego oddechu - miętowa pasta do zębów.

- Crest - powiedziała.

- Hmm? - Był skupiony na swoim zajęciu.

- Mył pan zęby pastą Crest.

- Zgadza się - odpowiedział po chwili. - Poznała pani po zapachu?

- Oczywiście.

- Więc ma pani bardzo dobrą pamięć do zapachów. - Wrócił do swojego zajęcia. Jego ręce były zaskakująco delikatne, kiedy podnosił kolejne pasmo jej włosów, bielił je i brał następne.

- Nie tylko do zapachów. Inne zmysły też mam wyjątkowe. Mówiłam panu, że potrafię się orientować w otoczeniu za pomocą innych zmysłów niż wzrok.

Cofnął się o krok i ciepło jego ciała odpłynęło od niej jak fala. Przez chwilę czuła się, jakby coś jej odebrano.

- Mnie się podoba - zdecydował. - Niech pani spojrzy. To stara teatralna sztuczka.

Stała przed lustrem w łazience. Rzeczywiście kawał dobrej roboty. Wyglądała staro. Pomyślała, że siwe włosy sprawiają, że wygląda jak nauczycielka.

Sam szukał czegoś w komodzie. Podał jej niewielką kosmetyczkę. - Mama trzymała w niej szpilki, wsuwki i inne rzeczy do włosów. Może pani spiąć włosy z tyłu?

Bez słowa podeszła do lustra. Najpierw chciała upiąć włosy tak, jak robiła to jej matka. Mniej więcej wiedziała jak, ale nie za bardzo jej szło. W końcu znalazła gumkę, związała włosy w kucyk wysoko z tyłu głowy, okręciła dokoła i przypięła szpilkami. W efekcie miała na głowie poważny, babciny kok.

Sam obserwował ją uważnie. Czują na sobie jego wzrok, intensywny i krytyczny. Podał jej okulary.

- Niech pani spróbuje. To zerówki. Znalazłem je w pokoju dziadka wśród rekwizytów teatralnych.

Julia włożyła okulary i spojrzała w lustro. Pokiwała głową. Wyglądała na osobę starszą, mądrzejszą i skromniejszą, niż była. Uśmiechnęła się do siebie. Ta nowa Julia z posiwiałymi włosami, w okularach w szylkretowej oprawie, z poważną miną wydała się jej jakaś tajemnicza. Wyglądała, jakby całe życie spędziła w bibliotece. W bibliotece muzycznej, uzupełniła. Znowu poczuła ukłucie żalu z powodu utraty muzyki, więc szybko pomyślała o czymś innym.

- Czuję się dziwnie. To przecież ja, ale niezupełnie - powiedziała do Sama.

- Oszuka pani wszystkich, którzy pani nie znają.

Jeszcze raz zerknęła w lustro. Tym razem sama się zdziwiła.

- Omal sama się nie nabrałam. Jest pan świetnym charakterizatorem. A co z panem? Może policja nie wie, że jest pan ze mną, ale czyściciele na pewno.

- Cierpliwości - powiedział. - Proszę mnie przepuścić.

Patrzyła, jak Sam nakłada na włosy ciemnobrązową pastę do butów. Rozsmarował ją pasmami. Wkrótce jego jasnoblond włosy zamieniły się w czekoladowe. Rozczesał równo barwnik, a najmniejszymi ząbkami grzebienia przecesał brwi. Teraz brwi także zrobiły się ciemne. Wyjął z kieszeni okulary w drucianych oprawkach.

- To moje - wyjaśnił. - Powinienem nosić do czytania. - Włożył je.

Cofnął się o krok.

- Niewiarygodne. Wygląda pan na naturalnego szatyna. Niech mi pan powie, jeśli pan jeszcze pamięta, czy to prawda, że blondyni mają łatwiejsze życie?

- To zależy, kto im w tym życiu towarzyszy. - Powiedział słowa, które coś znaczyły. Skrzywił się. Sam nie mógł uwierzyć, że to powiedział. - Myśli pani, że mi się udało?

Kiwnęła głową. Zmiana nie ograniczała się wyłącznie do tego, że jego jasne włosy stały się ciemniejsze. Ciało również zdawało się jakby cięższe. Już nie sprawiał wrażenia tak wysokiego i szczupłego...

- Jakoś inaczej pan wygląda. Jak pan to zrobił?

- Praktyka. Człowiek jest taki, jaki myśli, że jest. Pomyślałem, że jestem niski i gruby. Ciało podąża za umysłem, jeśli się trochę nad tym popracuje.

- Tego uczą w Firmie?

- Tego także. Gotowa do pierwszej lekcji obsługi dział?

- Tak. Dział nazywa się Walther. - Przeczytała tę nazwę na lufie. Nie mogła się doczekać. - Już myślałam, że nigdy pan o to nie zapyta.

Poszli do kuchni, gdzie Sam przetrząsał kredens, aż znalazł jakąś starą laktarkę.

- No, dobra. Chodźmy na dół, do kina.

33.

10.00 CZASU GREENWICH, NIEDZIELA GDZIEŚ NAD OCEANEM ATLANTYCKIM

W concordzie ciało człowieka nie czuje momentu, kiedy bariera dźwięku zostaje przekroczona. Tylko chwilę po starcie, kiedy silnik zaczął nabierać mocy, nadinspektor policji Geoffrey Staffeld poczuł lekki wstrząs. Ale ani kropla świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego nie wydostała się ze szklanki. Inaczej niż w wypadku innych samolotów cywilnych i wojskowych oraz różnych programów kosmicznych, concorde był najszybszym środkiem transportu na świecie, pędzącym na wysokości dwudziestu kilometrów z prędkością dwóch tysięcy stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, dwukrotnie szybciej niż dźwięk. W innych okolicznościach Staffeld cieszyłby się z tej pierwszej w życiu ponaddźwiękowej podróży. Ale nie dzisiaj.

Siedział bez ruchu w szerokim, wygodnym fotelu przy oknie, gorączkowo zastanawiając się nad swoją sytuacją. Dokumenty z walizki, którą szantażysta zostawił w skrytce na Heathrow, leżały na jego kolanach odwrócone. W samolocie było sto miejsc, ale tylko połowa była zajęta i Staffeld nie miał sąsiada. Steward jednak był nadmiernie troskliwy. Staffeld nie miał zamiaru dopuścić do tego, żeby steward zauważył dokumenty, które mogły zniszczyć kandydata na prezydenta Douglasa Powersa... albo jego, Staffelda.

Staffeld był człowiekiem rozważnym i z powodu kochanek zdarzało mu się więcej sytuacji kryzysowych niż przeciętnemu członkowi parlamentu. Nie zamierzał dopuścić do tego, żeby jakiś pieprzony szantażysta zrujnował mu życie. Opanował wściekłość i zaczął analizować fakty...

Szantażysta nie chciał, żeby Julia Austrian dowiedziała się, kto zabił jej matkę. Był to człowiek, który miał koneksje zarówno w policji, jak i w świecie wywiadu, bo inaczej nigdy nie udało by mu się zebrać rzekomych dowodów, które opublikował londyński „Sunday Times”. Temat natychmiast podchwyciła telewizja i niedzielne gazety poranne w całym Stanach.

Komu najbardziej zależało na zniszczeniu kandydata na prezydenta Douglasa Powersa? Odpowiedź była prosta i narzucała się sama: Creightonowi Redmondowi.

Zestawiając ten fakt z informacją, że szantażysta dzwonił z Waszyngtonu, można być niemal pewnym, że szantażował go któryś z Redmondów, ktoś, kto mieszkał lub pracował w Dystrykcie Kolumbii. Creighton Redmond miał tam kiedyś dom, kiedy pracował w Sądzie Najwyższym, ale Staffeld już sprawdził, że Creighton sprzedał willę. Jedyne Redmond, który mógł do niego dzwonić, to Vince Redmond, dyrektor wydziału operacyjnego CIA, najstarszy syn Creightona Redmonda... Staffeld był pewien, że to ten człowiek go szantażuje.

Zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymał, Staffeld zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku miał zwołać konferencję prasową, żeby odkryć najnowsze rewelacje opisane w dokumentach, które dostał. Autorytet policjanta ze Scotland Yardu i fakt uczynienia tego niemającego precedensu kroku przez szanowanego na arenie międzynarodowej oficera policji, który postanowił osobiście wtrącić się do amerykańskiej polityki, doda wagi opublikowanym dziś wiadomościom i rozpęta prawdziwą burzę. Żaden kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych, nawet cieszący się tak dużą popularnością jak Douglas Powers, nie wyjdzie cało z tego, co miał wywołać Staffeld. W efekcie Creighton Redmond zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ta-dam!

Ale dla Staffelda sprawa nie skończy się imprezką z dziennikarzami. Niemożliwe! Redmondowie nie wręczą mu pieniędzy i nie poklepią po plecach na pożegnanie. Staffeld będzie dla nich zbyt niebezpieczny. Będą wiedzieli, że się domyśla, kto za tym wszystkim stoi. A on nie będzie mógł liczyć na pomoc brytyjskiego parlamentu, nie wspominając o Downing Street albo parlamencie czy rządzie Stanów Zjednoczonych. Gdy wtrąci się w politykę Stanów Zjednoczonych i urządzi swoje prywatne spotkanie z prasą, nie będzie mógł wrócić do domu. Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych będzie miało z jego powodu nieprzyjemności. Zostanie sam i wcześniej czy później dranie będą musieli go usunąć.

11.45, NIEDZIELA GEORGETOWN, WASZYNGTON

Z gazetą „Washington Post” w ręku Vince Redmond stał na werandzie z tyłu swojej pięknej willi z piaskowca w Georgetown i sączył Johnnie Walkera Blue Label. Był smakoszem whisky, a ta od dawna należała do jego ulubionych. Podobała mu się krótka wiadomość z pierwszej strony dzisiejszego numeru „Washington Post”. Mimo że było na to jeszcze za wcześnie, pił już za zwycięstwo.

Za werandą jego troje dzieci huštało się wysoko na huśtawkach, które kazał postawić, gdy urodziło się pierwsze. Miał dwóch synów i córkę, a żona była w

cięży z czwartym dzieckiem, kolejnym chłopcem. Uśmiechnął się, kiedy usłyszał śmiech bawiących się dzieci i ich radosne piski. Huśtały się wyżej i wyżej, ich stopki wznosiły się do stalowego nieba, a ojciec poczuł przyływ ogromnej radości i dumy. Wszystko zrobił tak, jak należało. Dzieci wyrosną na dzielnych ludzi. Na prawdziwych Redmondów.

Wrócił do domu. Artykuły w „Washington Post” były znakomite i przygotowywały grunt pod rewelacje, które zostaną ujawnione dziś na konferencji prasowej zwołanej przez nadinspektora Staffelda. Uśmiechnął się do siebie i poszedł do gabinetu.

Gabinet przypominał jego biuro w Langley, na ścianach wisiały fotografie członków rodziny w towarzystwie wpływowych ludzi i głów państw. Świadczyły o sile rodziny, o koneksjach i o wszystkim, czego nauczył się pragnąć i co umiał wykorzystywać. Usiadł za biurkiem, zapalił papierosa i napił się, rozkoszując się działaniem whisky. Rozgrzewała ciało, docierając wszędzie.

Do Firmy trafił zaraz po studiach prawniczych i zrobił to, tak jak chciał ojciec, „dla dobra rodziny”. Przez wiele lat coraz częściej załatwiał ojcu różne sprawy, najpierw w wydziale operacyjnym, a potem w wywiadzie. Przekazywał informacje, zapewniał środki, osłaniał, a teraz da ojcu prezydenturę. Bez niego ojciec nie miałby szans. Konkurencja to podstawa każdego sukcesu. A był najlepszym konkurentem - synem swojego ojca. To była siła, z którą inni musieli się liczyć, i to ona przyniosła im sukces.

Kiedy odezwał się dzwonek telefonu, Vince natychmiast podniósł słuchawkę. To mógł być Creighton, żeby pogratulować mu zamieszania, jakie wywołał w mediach.

- Tak?

- Dobry wieczór, sir. Mówi Pink Pinkerton. - Głos agenta brzmiał niepewnie. - Wysłał pan do mnie dwóch swoich ludzi. - Przyjechali fordem escortem, który Pink obserwował, kiedy rozmawiał z Samem Keelinem. - Chciałbym się dowiedzieć po co.

Vince aż podskoczył z radości. Pink jest przyjacielem Keeline'a. Redmond postarał się, żeby w jego głosie pojawiła się troska.

- Pink, gdzie jest Keeline? Martwię się o niego. Straciłem go z oczu i obawiam się, że tym razem posunął się za daleko. Pomożesz mi, jeśli pomożesz nam. Musimy go znaleźć.

Pink przełknął ślinę.

- Proszę mi powiedzieć, na czym polega problem. - Stał w salonie mieszkania siostry i wyglądał przez okno. Dom znajdował się w środku spokojnej dzielnicy, gdzie rosły wielkie drzewa i było mnóstwo dzieci. Jego dwie siostrzenice były na podwórku i skakały przez skakankę. Siostra brała kąpiel. A jego bolał żołądek. Jak zawsze, kiedy musiał podjąć decyzję, która wydawała się niemożliwa.

Vince wysłał do Pinka dwóch czyścicieli, ale kazał im udawać pracowników Firmy. Wyjaśnili Pinkowi, czego od niego chcą. Redmond powtarzał teraz ich wyjaśnienia.

- Mówię to z bólem serca, ale moja kuzynka Julia w końcu popadła w ciężką psychozę i wplątała się w pewną tajną operację. Chodzi o pogroźki z zagranicy, które dostawaliśmy ja i mój ojciec. Julia jest niepoczytalna i potrzebuje fachowej opieki medycznej. Chcemy do niej dotrzeć, zanim znowu zrobi komuś krzywdę albo zdekonspiruje naszego człowieka. Keeline zaś z jakiegoś niewiadomego powodu, zresztą pan go lepiej zna, postanowił jej „pomóc”. Ale wszystko, co robi, pogarsza tylko sytuację. Opóźnia jej ujęcie i krzywdzi siebie. Do tej pory udawało mi się ukrywać jego uczestnictwo w tej sprawie przed dziennikarzami, ale dłużej nie mogę. W końcu się zorientują i całej Firmie przy okazji się dostanie. Nie pomoże to nam. Złej prasy mamy dość, jak pan sądzi, panie Pinkerton?

Zapadła pełna napięcia cisza. Pół roku temu Pink dowodził pewną tajną operacją w Brukseli, której celem było ustalenie faktycznej pozycji Unii Europejskiej na rynku telekomunikacji w negocjacjach ze Stanami Zjednoczonymi. W którymś momencie postępujący zawsze zgodnie z regułami Pink po raz pierwszy zawałił sprawę. Złamał jedno z podstawowych przykazań obowiązujących w Firmie, mówił o pracy z kobietą, z którą miał romans. Co gorsza, kobieta okazała się francuską agentką i została wysłana specjalnie, żeby wyciągnąć od Pinka informacje. O misji Pinka doniosła swoim przełożonym, a oni powiadomili opinię publiczną. Pink wrócił do domu w niesławie. I nawet teraz, pół roku później, sytuacja w Brukseli była na tyle nieciekawa - media w Europie wciąż wracały do tego tematu - że Firma nie była w stanie wznowić działań w Belgii.

- Punkt dla pana, sir - przyznał Pink, czując, że żołądek mu się kurczy.

Vince znowu się uśmiechnął. Coraz lepiej. Zaraz da Pinkowi kuszący powód do współpracy, marchewkę, zgodnie z metodą Redmondów.

- Wiem o tym zamieszaniu w Brukseli. Dlatego do tej pory nie otrzymał pan żadnego zlecenia. - Prawdopodobieństwo, że Pink kiedykolwiek dostanie następne zlecenie, było dość nikłe, ale Pink pewnie był tego świadom. - Myślę, że mógłbym panu pomóc. Bo pan już mi pomógł. Przekonał pan Keeline'a, żeby wrócił do pracy. Domyślam się, że zawdzięczam to panu. Proszę mi powiedzieć, dokąd chciałby pan dostać przydział?

Zdawało mu się, że słyszy podniecenie Pinka, kiedy ten głośno wciągnął powietrze. Pink nie musiał się długo zastanawiać nad odpowiedzią.

- Do Bośni. Tam wciąż coś się dzieje. Jestem pewien, że mógłbym tam w czymś pomóc.

Vince pokiwał głową. To dałoby się zrobić. Firma była klubem starych dobrych znajomych w dosłownym sensie tych słów. Dyrektorzy wymieniali grzeczności jak żetony w niekończącej się grze w pokera.

Ale zanim Vince zdążył się zgodzić, Pink odezwał się znowu.

- Ta sprawa z Samem mnie zmartwiła. Pytał mnie o pewną kobietę ze starej ekipy czyszcicieli, która przed laty odeszła z Firmy, o Mayę Stern. Wygląda na to, że gdzieś ją spotkał...

- Cholera, właśnie tego się obawiałem - Vince szybko musiał coś wymyślić. - Znalazł się w samym środku delikatnej operacji i nie ma pojęcia, w co się pakuje. Wszystko zepsuje i jeszcze może przy tym stracić życie!

Vince był uradowany. Wykorzysta Pinkertona dzięki idealnemu triumwiratowi sił nacisku: wierności ojczyźnie i Firmie, potrzeby powrotu do pracy w terenie i chęci pomocy przyjacielowi.

- Musimy go złapać, Pink, zanim będzie za późno i ucierpi operacja, moja kuzynka albo on sam.

Po drugiej stronie linii Pink milczał. W końcu odezwał się powoli i niechętnie.

- Dzwonił do mnie. Mam jego numer telefonu. Możecie go namierzyć. - Zawahał się. - Ale skąd mam mieć pewność, że to wszystko dla dobra Firmy i Sama?

Vince był zdziwiony, że Pink jest tak nieufny. To przez tego przekłętą Kee-line'a.

- Dobrze. Zrobimy tak. Przyjedzie pan do mnie. Ja tymczasem porozmawiam z pańskim szefem o zleceniu dla pana i przygotuję wszystko, żeby opowiedzieć panu o całej sprawie. Muszę jednak dostać ten numer natychmiast, zanim stanie się coś złego. Nie ma ani chwili do stracenia.

Tym razem cisza nie trwała długo. Pink westchnął.

- Dobra, niech pan weźmie coś do pisania.

34.

9.01, NIEDZIELA

SAN JOSÉ, KALIFORNIA

Tłum gęstniał. Creighton czuł to, podobnie jak dziennikarze. Stał na platformie, którą stanowiły deski wagonu towarowego. W górze świeciło jasne, kalifornijskie słońce, a on trzeci raz dzisiaj wygłaszał mowę na temat edukacji. Żona patrzyła na niego i uśmiechała się z uwielbieniem. Ich dzieci i czworo uroczych kuzyniątek kręciło się przy kandydacie. Można by zrobić świetne zdjęcia, ale aparaty fotograficzne i kamery nie skupiały się na nim i na jego fotogenicznej rodzinie. Zajmowali je głównie jego sponsorzy, którzy zebrali się, żeby podnieść

na duchu swojego kandydata. Jego współpracownicy ostrzegli go, że Kalifornia będzie głosować na Powersa, i niska frekwencja na dwóch pierwszych spotkaniach potwierdziła to.

Ale to było trzecie spotkanie tego dnia i ludzi było coraz więcej. Musieli przeczytać w którejś z gazet, „San Francisco Chronicle” albo „Sacramento Bee”, lub usłyszeć w CNN czy w „Today Show”, że Londyn wyciągnął na światło dzienne żenujące ekscesy Douglasa Powersa. Już teraz notowania Creightona podskoczyły o jeden punkt, do czterdziestu jeden procent, i w jego sztabie zapanała atmosfera optymizmu. Jeśli te rewelacje okażą się prawdziwe, może to oznaczać cud, na który ludzie Creightona mieli nadzieję.

Podniesieni na duchu krzepiącym wystąpieniem swojego kandydata w Arbor Knoll z nową energią zabrali się do dzieła. Zgodnie z poleceniem Creightona nie angażowali się w aferę dotyczącą kontrkandydata, nie podsycali atmosfery skandalu. Creighton proszony przez dziennikarzy o komentarz odpowiadał ze stosownym do sytuacji wyrazem zatroskania na twarzy, że to bardzo smutne, iż ktokolwiek, a zwłaszcza ktoś o tak nieposzlakowanej opinii i o takiej pozycji, mógł upaść tak nisko. Ale zaraz dodawał, jak przystało na honorowego męża stanu, żeby pochopnie nie wydawać sądów. Bo przecież może się okazać, że oskarżenia są niesłuszne.

Creighton przemawiał do zapatrzonych w niego i zasłuchanych ludzi stojących poniżej, na torach kolejowych, i uśmiechnął się do nich. Ożywiony mówił o przyszłości Ameryki.

- Nie wolno nam nigdy pozwolić sobie na taką pychę, żeby twierdzić, że po prostu odziedziczyliśmy ten wspaniały kraj po naszych przodkach. Wspólna odpowiedzialność - i źródło radości - oto właściwy stosunek do kraju. To znacznie donioślejsze wyzwanie. Powinniśmy raczej myśleć, że pożyczylimy ten kraj od naszych dzieci. Ich wykształcenie powinno stanowić najważniejsze wyzwanie dla naszych serc i umysłów...

Kiedy skończył mówić, tłum zgotował mu entuzjastyczną owację, podniosły się okrzyki. Ludzie podchodzili do niego z prośbą o autograf. Pracownicy ochrony próbowali ich powstrzymać, ale kandydat sam zszedł w to morze ludzi. Pachnieli kremem do opalania. Bijąca z nich energia podziałała na niego niczym afrodyzjak. Z szerokim uśmiechem uniósł w górę jakiegoś malucha. Ucisnął kobietę o kulach. Uśmiechał się, ścisnął dłonie, pytał o nazwiska i pozwalał robić tyle zdjęć, ile chcieli. Był pijany ich energią i tym, że tak w niego wierzyli. Tego właśnie chciał... Cały kraj zapatrzonych w niego ludzi, którzy chcą mu przekazać władzę nad sobą, i tym samym udowodnić mu, że warto żyć.

- Panie sędzio! Co pan sądzi o doniesieniach dotyczących seksualnej przeszłości Douga Powersa? - Zapytała jakaś dziennikarka, przysadzista kobieta o ogromnym biuście.

- Kogo pani reprezentuje, droga pani? - zapytał z uśmiechem.
- „San José Mercury”.
- To bardzo dobra gazeta. Proszę przekazać jej czytelnikom, że nie chcemy bawić się w polowanie na czarownice. Doug Powers pozostaje nadal ważnym oponentem. Przedyskutowaliśmy tę sprawę w naszym gronie. Jeśli oskarżenia nie są bezpodstawne, Ameryka będzie musiała sobie z tym poradzić. Dopóki jednak ich prawdziwość nie została potwierdzona, powstrzymajmy się od wydawania sądów. Doug Powers może się okazać niewinny.

Przez tłum przebiegła fala poruszenia.

- Ale jeśli to prawda? - krzyknął ktoś.

- Jeżeli brał udział w orgiach w towarzystwie komunistów w Pradze, to co?

Creighton czuł pokusę. Z łatwością mógłby powiedzieć, że Doug Powers jest prostytutkiem i cudzołóżnikiem. Zażartować, że kontrkandydat przejdzie do historii jako mężczyzna o najłatwiej rozpinającym się rozporoku w Stanach Zjednoczonych. Ale wiedział, że to mu nie przyniesie korzyści. Na takie słowa było jeszcze za wcześnie. Miał nadzieję, że wyobrażenia tych ludzi już zrobiła swoje i w ich umysłach pojawiły się pornograficzne obrazy z Dougiem Powersem w roli głównej. Creighton nie mógł dopuścić do tego, żeby myśleli, że on podziela tę wizję. Musiał być ponad to. To ważne, żeby jego kampania była prowadzona czysto. Musi postępować zgodnie z najlepszymi wzorami, żeby nikt na świecie nie miał wątpliwości, że Creighton Redmond jest najlepszym kandydatem na to najwyższe w kraju stanowisko.

Wreszcie, kiedy pociąg zagwizdał do odjazdu i wielkie koła drgnęły, agenci zaczęli działać. Silne ręce w zdecydowany sposób oddzieliły tłum od kandydata i zanim Creighton się zorientował, był już z powrotem na platformie. Jak Mojżesz w drodze na następną górę.

Kiedy pociąg ruszył, żona Creightona roześmiała się. Chichoczące dzieci dopadły swoich miejsc. Pojawił się kelner z mrożoną herbatą, wodą i drinkami. Kiedy żona sączyła wódkę z sokiem pomarańczowym, Creighton poczuł, że w wewnętrznej kieszeni marynarki wibruje jego telefon komórkowy.

- Przepraszam. Znowu telefon - powiedział. - Pewnie ktoś z prasy albo jeden z moich tak zwanych popleczników, który doszedł do wniosku, że opłaci mu się lojalność. - Poszedł na drugi koniec wagonu, gdzie mógł spokojnie porozmawiać. Pociąg podskoczył i Creighton musiał przytrzymać się półki na bagaż. Dzwonił jego bezpieczny, prywatny telefon.

Vince bez wstępu przeszedł do sedna.

- Wiem, gdzie są Keeline i Julia.

Creighton poczuł, jak kamień spada mu z serca. Ten dzień będzie tak ważny, jak Creighton to sobie obiecywał.

- Dobra robota. Wysłałeś tam Mayę Stern i jej ludzi?
- Tak. Są już w drodze.

Po oddelegowaniu Stern z rozkazem wyeliminowania Keeline'a i sprowadzenia Julii, Vince spędził godzinę na zabawie z dziećmi na podwórku. Liście były już zagrabione i widać było ziemię uspioną na zimę. Vince bawił się z dziećmi piłką, patrzył na ich jaśniejące radością twarze i słuchał ich wesołych krzyków. Rozmawiał już z dyrektorem wydziału operacyjnego i był gotów zaoferować Pinkertonowi wszystko, co mu obiecał. To była słuszna decyzja, nie tylko dlatego, że zapewniła mu pomoc Pinka, ale również dlatego, że w konsekwencji Pink znajdzie się poza granicami kraju, zanim zdąży się zainteresować śmiercią Keeline'a i samobójstwem Julii.

Lada moment miał się pojawić Pinkerton. Kiedy Vince wszedł do domu, zadzwonił telefon i gospościa pośpiesznie podniosła słuchawkę.

- Sir, to do pana.

Odebrał telefon w salonie przekonany, że to będzie rozmowa towarzyska.

- Tak?

- Ty cholerny draniu. - Odezwał się głos nadinspektora policji Geoffreya Staffelda. - Wiem, jakie macie plany. Jestem w Nowym Jorku, ale zrezygnowałem z hotelu, który dla mnie wynajęliście. Myśleliście, że jestem na tyle głupi, żeby nie przeszukać najpierw pokoju? Dzwonię, żeby powiedzieć, że nie zaproszę żadnego dziennikarza, zanim nie dostanę pieniędzy. Całej sumy!

Vince zmarszczył brwi. W pierwszym odruchu chciał wszystkiemu zaprzeczyć i stwierdzić, że nie zna rozmówcy, ale to byłoby głupie. Potrzebował Staffelda i tego, co nadinspektor miał zrobić. Musi podjąć ryzyko, mimo że Staffeld go rozpoznał. Staffeld i tak mu nie ucieknie. Odpowiedział z opanowaniem, jakiego nauczyły go lata pracy.

- Bardzo sprytnie. Nie będę zanudzał nas obu pytaniem, w jaki sposób udało się panu mnie odnaleźć. Ale zanim zaczniemy rozmowę, mam prośbę, odzwonię do pana z bezpiecznej linii.

- To zły pomysł. Niech mi pan poda numer. To ja do pana zadzwonię.

Zirytowany Vince podał mu numer bezpiecznej linii. Był do niej podłączony tylko jeden aparat w domu, w gabinecie Vince'a. Rozłączyli się i zanim Vince zdążył przejść ze swoim kieliszkiem przez salon i korytarz, już słychać było dzwonek telefonu.

Vince podniósł słuchawkę.

- Czego pan chce?

Nadinspektor roześmiał się zadowolony.

- Przeczytałem papiery, które mi zostawiliście. Widzę, że zależy wam na tym, żebyśmy mówili. A mnie zależy na tym, żebyście milczeli. Choć jeśli się nad

tym dobrze zastanowić, to kto wie... Stara dobra Anglia jest w dzisiejszych czasach raczej liberalna i tolerancyjna, więc nawet jeżeli odejdę z pracy, dostanę swoją emeryturę. Może nawet udałoby mi się wyłgać i wyjść cało z tej afery. Prosty wniosek, że wy potrzebujecie mnie znacznie bardziej niż ja was.

Vince wziął dużego łyka swojej whisky i odczekał chwilę, aż rozgrzewająca fala ciepła rozejdzie się po całym ciele. Informacje o burzliwym życiu seksualnym Staffelda docierały do niego od dawna z różnych źródeł. Nie robił z nich pożytku, czekając na odpowiedni moment. Dowody przeciwko wysokiej rangi oficerowi Scotland Yardu były czymś, co mogło się kiedyś przydać. I przydały się - dowody perwersji seksualnych Staffelda oczywiście po odpowiedniej obróbce technicznej pozwoliły mu unieszkodliwić Douga Powersa. Rzeczywistość i istniejące dowody zawsze są lepsze niż historia zmyślona od a do zet.

Vince był jednak ostrożny.

- Stąpa pan po grząskim gruncie, panie Staffeld. Jestem w posiadaniu oryginałów wszystkich tych materiałów. Gdyby ktoś zechciał przeprowadzić dochodzenie... No cóż, nie tylko byłby pan skończony w Anglii, ale policja czterech krajów wydałaby nakaz aresztowania pana. Z zabójstw na tle seksualnym trudno będzie się wytłumaczyć. Wątpię, czy mógłby pan liczyć na jakiegokolwiek pieniądze ze Scotland Yardu, nie mówiąc o emeryturze. Najlepszym dla pana wyjściem jest zrobić to, o co pana proszę, i trzymać buzię na kłódkę.

W obskurnym hotelu na West Side na Manhattanie Staffeld uśmiechnął się. Jego rozmówca dobrze odrobił swoją pracę domową i był przygotowany do lekcji.

- To brzmi jak koniec kariery, nie sądzi pan? - dodał Vince Redmond po chwili milczenia.

Ale Staffeldowi nie trzeba było tłumaczyć, że niezależnie od tego, jak się potoczą wypadki, jego kariera i tak już się skończyła. Amerykanie to wścibski naród. Kiedy nadinspektor zorganizuje konferencję prasową, któryś z dziennikarzy może zacząć węszyć. I w końcu odkryją, że to nie Powers prowadził tak bogate życie seksualne, tylko Staffeld we własnej osobie. Może to zająć nawet rok, ale dojdą do tego. Prawda zostanie ujawniona o wiele za późno, żeby uratować prezydenturę Powersa, ale nie za późno, żeby zniszczyć Staffelda. Vince Redmond ma rację. Emerytowany nadinspektor policji Staffeld będzie poszukiwany przez policję czterech krajów.

Staffeld jednak zdawał sobie również sprawę z tego, że nie jest jedyną osobą, która nie chce, żeby trafił do więzienia. Zależało na tym również Vince'owi i Creightonowi Redmondowi, bo wystarczy, że Staffeld otworzy buzię, a pograży zarówno siebie, jak i ich.

- Pewnie ma pan rację - powiedział po chwili Staffeld. - Niech pan pisze. - Podyktował dziesięć cyfr, numer konta w Kolumbii. - Ponieważ mam podjąć tak ogromne ryzyko i pomóc wam w tak ważnej sprawie, zapłacicie mi więcej za tę brudną robotę. Dużo więcej. Chcę dostać dwanaście milionów dolarów.

Vince był zaskoczony. Ten facet chciał majątek.

- Nie zostałem upoważniony, żeby obiecać panu taką sumę... - stwierdził stanowczo.

- Niech pan nie robi z siebie idioty. - Głos Staffelda brzmiał groźnie. - To, co mam dla pana zrobić, jest warte dużo więcej, niż mi pan zaproponował. Obaj o tym wiemy. Jeśli poprowadzę konferencję prasową, o którą wam chodzi, narażę się na ogromne ryzyko. Co gorsza, dobrze wiem, że istnieją małe szanse, żeby na tym się skończyło. Pewnie planujecie urządzić jeszcze zabawę w kotka i myszkę. Oczekuję tych pieniędzy jako wyrazu waszej dobrej woli. Obiecuję, że jeśli je dostanę, zniknę wam z oczu i sam będę dbać o swoje bezpieczeństwo.

Więc o to chodzi, pomyślał Vince. Staffeld okazał się tak bystry, jak o nim mówiono w Scotland Yardzie.

- Dwa miliony prześlę teraz. Resztę dostanie pan po konferencji prasowej. Staffeld mówił głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- Połowa teraz, połowa po konferencji. Sześć milionów dolarów natychmiast.

Vince zawahał się. Był zły, ale musiał się zgodzić.

- Załatwienie pierwszego przekazu zajmie mi kilka godzin. Na drugi będę potrzebował całego dnia. Pod jakim telefonem będę mógł pana szukać?

- Proszę mnie nie szukać. Będę w kontakcie. - Po chwili dodał. - Słyszałem, że ma pan troje dzieci.

Vince poczuł lęk.

- To nie pański interes.

- A pana żona jest podobno w ciąży. - W pokoju hotelowym Staffeld przyglądał się odbiciu swoich małych ciemnych oczu w pękniętym lustrze. - Chcę tylko powiedzieć, kolego, że nie próżnowałem. Wiem, że masz kilka złych psów. Ja też mam. Jeśli zerwiesz umowę... jeśli mnie zabijecie... mój zły pies dopadnie ciebie i twoją rodzinę. Wszystkich po kolei. Zagryzie ich. Ojca i wujów. Braci i siostry. Kuzynów. Ale zacznij od twoich dzieci. Rozumiesz, chłopcze?

- Rozumiem.

Kiedy skończyli rozmawiać, Vince usiadł sam w gabinecie. Będzie musiał podjąć pewne środki ostrożności. Potrzebował Staffelda żywego przez jeszcze co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

35.

11.15, NIEDZIELA
BALTIMORE, MARYLAND

Kinoteatr Romanowów było mniejszą wersją wspaniałych kin, które kiedyś stanowiły centra narodowej rozrywki. Hol ozdobiony był złotem, marmurem i wyblakłym już czerwonym aksamitem. Julia i Sam zeszli po ozdobnych schodach do foyer w napięciu i ostrożnie, mimo że Sam był przekonany, iż nikt nie wie o tym miejscu.

Sam trzymał latarkę, a ona miała w ręku pistolet. Tym razem jednak niosła go przy boku, z lufą skierowaną w dół. Sam kazał jej trzymać go w ten sposób dla bezpieczeństwa.

- Niech go pani tak nie przytula do piersi, jakby to była maskotka.

Kiedy znaleźli się w barokowym foyer niemalże słyszała dzwonek staroświeckiej kasy i gwar rozentuzjasmowanych dzieci i dorosłych spieszących na kolejny seans.

- Nich mi pan opowie o rodzinie Romanowów. W jaki sposób pańskiemu dziadkowi udało się uciec do Ameryki?

Sam uśmiechnął się na wspomnienie barwnych opowieści dziadka.

- Dziadek był synem wielkiego księcia Michała. Kiedy wybuchła rewolucja październikowa, był chłopcem w wieku szkolnym, ale już pod koniec rewolucji był nastoletnim żołnierzem walczącym przeciw komunistom na Ukrainie. Kiedy monarchia upadła, jego nazwisko oznaczało wyrok śmierci. Dziadek przedostał się więc nad Morze Czarne i tam znalazł brytyjski okręt wojenny, który wyruszał z portu. Dziadek zanurkował i podpłynął do statku. Po latach car Mikołaj i jego rodzina zostali uznani za świętych i kanonizowani. Dziadka, niestety, i tak nie mogło to spotkać. Uważano go za lewicującego. Mimo że walczył po stronie monarchii, wierzył w demokrację. Nie cieszył się popularnością ani wśród rojalistów, ani wśród komunistów. Potem odważył się poślubić amerykańską dziewczynę i ten krok zdecydowanie przekreślił możliwość udziału w chwale Romanowów.

- Musiał mieć sporo fantazji, żeby wybudować to kino.

Sam otworzył jedno skrzydło drzwi prowadzących na widownię. Uderzył ich powiew chłodnego, wilgotnego powietrza.

- Kochał kino. Twierdził, że w szafce z lekarstwami zamiast leków powinny się znajdować filmy, bo one są najlepszym lekarstwem na wszystko.

- A jaki tytuł panu przysługuje? Też wielki książę?

Roześmiał się.

- Wielkimi książętami i księżnymi są tylko synowie, córki, bracia i siostry imperatora. Także ich dzieci, ale tylko po mieczu. - Zrobił przerwę dla większego efektu. - Ponieważ to moja mama nosi nazwisko Romanow, jestem zaledwie księciem.

- Pan żartuje.

- Skądże znowu. Jestem jak zwykle absolutnie poważny.

- Ma pan rację. Od razu powinnam się była domyślić. Jest pan księciem.

Uśmiechnął się szeroko.

- Wielkie nieba. Ona mi wierzy.

- Wierzę we wszystko, co mi pan mówi.

Ryknął.

- I robi pani wszystko, co pani każe.

Uniosła brwi i pokręciła głową. Ten facet musiał być świetnym szpiegiem. To niemożliwe stwierdzić czy mówi prawdę, czy kłamie. Ale w końcu się uśmiechnęła. Bo jeśli był w prostej linii potomkiem cara, a wielcy książęta przecież nimi byli, rzeczywiście miał prawo twierdzić, że jest rosyjskim księciem.

Chwilę stali i patrzyli na widownię. Sam czuł bliskość ciała Julii, jej zapraszające ciepło, i ogarnął go smutek, bo przypomniało mu się, co stracił wraz z Irini.

Julia uważnie przyglądała się sali. Była to chłodna, mroczna pieczara z rzędami pustych siedzeń, które kończyły się czymś, co przypominało czarny dół, bo nie paliło się tam żadne światło.

- Nie ma prądu?

- Tutaj nie ma. Odłączono wszystko co najmniej pięć lat temu. Za to jest wystarczająco dużo miejsca, żeby strzelać. Ale najpierw porozmawiamy o pani bronii tutaj, w świetle.

Usiadł na dolnym schodku wyłożonej marmurem klatki schodowej. Obok położył latarkę. Julia usiadła również, ale w odległości prawie metra.

- Proszę, niech pani siądzie bliżej, żeby mogła pani coś zobaczyć.

Uśmiechnęła się sztucznie.

- Widzę doskonale.

Spojrzał na nią karcąco. Potem wyjął broń z jej zabandażowanych dłoni. Miał długie palce i ostrożnie ujął nimi pistolet.

- Ukradła pani pistolet. To Walther PPK kaliber dwadzieścia dwa na amunicję typu long-rifle. To broń do strzelania na krótkie odległości. Pistolet jest mały, łatwo go ukryć, a mniejszy kaliber jest cichszy. Jego wadą jest to, że nie robi takiej krzywdy dorosłemu człowiekowi jak broń o kalibrze dziewięć czy dziesięć milimetrów.

- Rozumiem, że następnym razem mam się postarać o coś na większe kule.

- Dla pani większy kaliber byłby odpowiedniejszy - powiedział. - Jeśli cel jest niegrzeczny, ma pani większą szansę przeżyć, bo wystarczy, że trafi pani przeciwnika na przykład w ramię i w większości wypadków to powinno zwalić go z nóg. Zyskałaby pani czas na ucieczkę. Albo mogłaby pani podejść i strzelić jeszcze raz, z bliska.

Zadrżała.

- Z tego, co pan mówi, rozumiem, że profesjonalny zabójca nie martwi się o to, że nie trafi, polega na swojej celności. Ale nie mam żadnej innej broni. Nie wiedziałam, że będę potrzebowała czegoś innego.

Z ponurą miną pokręcił głową.

- W ogóle, to bardzo smutne, że potrzebuje pani broni. - Pokazał jej przycisk odbezpieczający. - Proszę wcisnąć ten przycisk. To włącza zabezpieczenie. Proszę nic z nim nie robić, nie ładować, nie wyjmować kul, jeśli go pani wcześniej nie zabezpieczy. - Sprawdził zawartość magazynka. - Brakuje dwóch naboii. Nie mamy więcej odpowiedniej amunicji, więc nie ma sensu uczyć pani, jak się ładuje magazynek. - Zamknął magazynek. - To jeden z bezpieczniejszych pistoletów i należy do najlepiej ładujących się. - Wskazał palcem miejsce tuż nad iglicą. - To jest wałek kontrolny.

Kiedy jest wypchnięty, oznacza to, że w komorze jest nabój, a pistolet jest załadowany. I mimo że iglica jest spuszczone, jest gotowy do strzału. Wystarczy tylko pociągnąć za spust. - Ostrożnie wręczył jej broń. - Niech pani wstanie.

Wzięła pistolet i poczuła jego ciężar. I moc. Wstała.

- Proszę wycelować w kasę.

- Słucham? - Spojrzała na niego z góry.

Popatrzył na nią niezadowolony.

- Pistolet jest zabezpieczony. Proszę wycelować w kasę. To tylko trzy metry stąd. Powinna pani ją widzieć.

- Owszem, widzę! - odburknęła. Wycelowała pistolet.

Westchnął ciężko i również wstał.

- Źle. Pokażę pani, jak należy to robić. - Wziął od niej pistolet. Ciepło jego dłoni rozeszło się po jej skórze. - Dla lepszej równowagi trzeba rozstawić nogi, jedna stopa wysunięta trochę do przodu. Pistolet trzymamy w ten sposób. - Broń trzymał obiema rękami. - Teraz niech pani spróbuje.

Wzięła od niego pistolet, mocno stanęła na nogach i wycelowała, trzymając pistolet obiema rękami. Mimo że na rękach miała opatrunek, trzymała go mocno.

- No, już lepiej - ocenił.

Stanął za plecami, jego nogi zetknęły się z jej nogami, jego klatka piersiowa dotknęła jej pleców, ręce wyciągnął do przodu wzdłuż jej rąk. Miała wrażenie, jakby całe jej ciało ogarnął płomień. Czowała energię bijącą z jego ciała i przenikającą ją. Pot wystąpił jej na czoło.

- W ten sposób powinna pani trzymać ręce. - Układał jej palce na broni, aż trzymała ją tak, jak powinna. Cofnął się o krok.

Usiłowała skoncentrować się na rękach, na pistolecie, ale zdawało się jej, że jego ciało wciąż przywiera do jej ciała. Oddychała płytko. Próbowowała się uspokoić. Zakolysała się na nogach, sprawdzając stabilność. Ponieważ dużo biegła, wszystko, co wiązało się z zachowaniem równowagi, przychodziło jej bez trudu. Podniosła i opuściła lufę, przybliżyła broń do siebie i znowu wyprostowała ramiona. Czuła się z tym dziwnie swojsko.

Szybkim ruchem wyjął jej z rąk walthera.

Odwróciła się.

- Hej! Właśnie zaczęłam się z nim oswajać!

- Widzę. - Oddał jej pistolet. - Proszę to wszystko zrobić jeszcze raz.

Przez następnych dwadzieścia minut zabierał jej pistolet i podawał z powrotem, a ona za każdym razem odzyskiwała pozycję i odpowiednio trzymała broń. W końcu zdawało się, że instynktownie i bez namysłu powtarza czynności.

Zadowolony pokiwał głową.

- Szybko się pani uczy.

- To skutek tego, że przez tyle lat byłam niewidoma. Dłonie zastępowały mi wzrok.

Przez chwilę rzeczywiście zapomniał, że była niewidoma. Wciąż staczał skazaną z góry na przegraną walkę o koncentrację. W ogóle wolałby, żeby nie nosiła broni, ona tylko bardziej narażała Julię na śmierć. A teraz, kiedy uczył ją posługiwać się pistoletem, nie mógł uniknąć bliskości jej ciała.

- Rzeczywiście - powiedział, starając się panować nad głosem. - A teraz będziemy udawać, że będzie pani strzelać. - Pokazał jej, jak ma to robić prawą ręką, bo była praworęczna, żeby kciukiem odbezpieczyć broń i palcem pociągnąć za spust. To uruchamia iglicę - wyjaśnił. - Jeśli z jakiegoś powodu pistolet nie wystrzeli, proszę natychmiast jeszcze raz pociągnąć za cyngiel. Czasami uderzenie iglicy o spłonkę za drugim razem wywołuje nieprawidłową detonację.

Kiwnęła głową. Kciukiem podniosła bezpiecznik i udawała, że pociąga za spust w każdej sekundzie świadoma bliskości jego ciała i energii, która przepływała między nimi jak potężna, gorąca fala. Lekko potrząsnęła głową. Chciała się od tego uwolnić, zapomnieć o tym, że on tu jest i że wywołuje w niej emocje, których nie chciała budzić.

Skupiła się i niedługo płynnie powtarzała całe ćwiczenie.

- W porządku - powiedział. - Może pani oddać kilka strzałów, ale to wszystko. To fatalny sposób na naukę i nikomu go nie polecam. Niestety nie ma pani więcej amunicji, więc w tej sytuacji nic nie możemy zrobić.

Zobaczmy, czy uda się pani trafić.

Ramię w ramię weszli przez dwuskrzydłowe drzwi do sali kinowej.

Wnętrze mrocznej sali zdawało się ogromne, mimo że pewnie nie mieściło się tam więcej niż pięćset osób - o wiele mniej niż w Royal Albert Hall, Kennedy czy nawet w Carnegie. Im głębiej brnęli w ten mrok, tym silniejsze *déjà vu* czuła Julia. Niemal miała wrażenie, że znowu jest niewidoma.

Sam włączył latarkę.

- Cholera! Za słabe to światło. - Mizerna i wąska smuga ledwie przebijała głęboki, atramentowo-czarny mrok widowni. - W kuchni widziałem jakieś batterie. Mam nadzieję, że nie są tak stare jak te. Niech pani spokojnie usiądzie w ostatnim rzędzie i myśli, jak trzymać pistolet. Proszę to sobie spróbować wyobrazić. Zaraz wracam.

Długa smuga jasności wdarła się do sali, kiedy otworzył drzwi i wyszedł.

Julia patrzyła przed siebie w ciemność, która zdawała się ją wołać. Za jej plecami była tylko wąziutka, jasna linia światła wyzierająca spod drzwi do holu. Wróciło uczucie *déjà vu* i Julia poczuła nagłą, nieodpartą chęć przywołania dawnej, niewidomej siebie. Chęć sprawdzenia, jakie to uczucie. Ruszyła przejściem między rzędami. Im bliżej była sceny, tym głębsza robiła się ciemność i przejście stawało się coraz mniej wyraźne, aż zupełnie rozplynęło się we wszechogarniającej ciemności. Po prostu wąski strumień światła już tu nie docierał.

Złapała się na tym, że skupia się na swoich krokach - czuła starą wykładzinę pod stopami... czuła rzędy siedzeń z obu stron... chłodny, głuchy dźwięk sceny przed nią, czekającej tylko na moment, żeby ją pochłonąć. Jej umysł zbierał dostarczane przez zmysły informacje tak samo, jak wtedy, kiedy podchodziła do swojego fortepianu. Z ulgą zauważyła, że jej zmysły są nastrojone na najdokładniejszy odbiór. Cofała się zawsze, kiedy groziło jej wpadnięcie na rząd siedzeń.

Ale nie czuła radości. Nie słyszała w sobie żadnej muzyki gotowej eksplodować. Miejsce muzyki zajął strach. Był jak gęsta mgła, w której nie wiadomo, co się kryje. Ta mgła rodziła poczucie czyhającego na nią niebezpieczeństwa. Jeśli Maya Stern ją znajdzie, Julii grozi śmierć. W każdej chwili, niezależnie od tego, co zrobi, żeby do tego nie dopuścić, wróg mógł się pojawić w najbardziej nieoczekiwanym miejscu. I to będzie znaczyło śmierć.

Kiedy dotarła do pierwszego rzędu, poczuła przed sobą jakąś przeszkodę. Próbowwała wyczuć bez dotykania coś, co jak się domyślała, było podniesioną kurtyną gdzieś przed nią.

Znienacka przez salę przebiegł snop światła. Ta jasność ją znalazła i przygwoździła jak motyla do korkowej płyty.

- Sprawdza pani stan swoich proprioreceptorów? Zza latarki dobiegał głos Sama.

- Jeśli to prawda, co powiedział Orion, w każdej chwili mogę znowu stracić wzrok, dopóki nie dowiem się, co spowodowało, że go nagle straciłam.

Środkowym rzędem doszedł do sceny i zaczął omiatać ją światłem.

- Czego pan szuka? - zapytała.

- Sztalug. Pamiętam, że były tu kiedyś porządne sztalugi, z grubego drewna. Dziadek przypinał do nich ogłoszenia i wystawiał na zewnątrz. To byłby dobry cel.

Jasny snop światła omiatał scenę wyżej, oświetlił jakąś drabinę, stos miękiego materiału, może starą kurtynę, jakieś meble, siedzenia dla muzyków i stare poskładane krzesła. Ale sztalug nie było.

- Gdzieś za sceną jest magazyn - mruknął Sam.

Znaleźli schodki i weszli na scenę. Tylina ściana była pusta, dwuskrzydłe drzwi były zamknięte na kłódkę. Znajdowały się tam rzędy klamer służących do podnoszenia dekoracji w górę nadscenia. W górze nie było żadnej dekoracji, ale stare liny zwisały z klamer. Przeszukali scenę z prawej, a potem z lewej strony i znaleźli w końcu wejście do magazynu.

- Dobrze, że wziąłem ze sobą wszystkie klucze - mruknął Sam.

Drzwi do magazynu nie miały ani klamki, ani zamka. Były proste, najwyraźniej nikt nie pomyślał, żeby je zamykać. Ale niestety, ktoś przybił do nich z prawej strony stalowe ucho, a drugie takie samo umocował w ścianie. Z lewej strony drzwi zamocowany był ciężki rygiel, szeroki na ponad siedem centymetrów i gruby na dwa i pół. Przechodził przez środek ucha zamocowanego w ścianie, a kłódka łącząca uszy blokowała rygiel na miejscu.

Sam wybrał jeden z wielu kluczy zebranych na metalowym kole i otworzył kłódkę. Bez trudu uchylił drzwi. Strumień światła z latarki oświetlił wnętrze. Pomieszczenie było zapchane od podłogi aż po sufit meblami, tablicami reklamowymi, starymi jupiterami, długimi metalowymi prętami używanymi do podnoszenia dekoracji, zardzewiałymi projektorami, zwiniętymi ekranami i wszystkim tym, co mogło przydać się w starym kinoteatrze. Ale sztalug nie było.

- Zaraz. To będzie nawet lepsze - stwierdził nagle Sam.

Światło latarki skierował na wiecheć starej, zakurzonej słomy, używanej pewnie w jakiejś sztuce. Otworzyli szerzej drzwi. Pomogła mu wynieść snopek.

- Robi pan sobie dużo kłopotu z mojego powodu.

Robię to z przyjemnością dla tego budynku. Nie chcę, żeby cały był podziurawiony.

Uśmiechnęła się. Nie ustępował ani odrobinę. Położyli snop na dwóch krzesłach pośrodku przejścia między rzędami. Potem wrócili do drzwi prowadzących do holu. Julia stanęła przodem do pogrążonego w półmroku przejścia, na

którego końcu na krzesłach leżał snopek. Sam świecił latarką w ten dziwny cel.

Nie czekając na jego komendę, zajęła pozycję i zacisnęła dłonie na waltherze.

- Proszę nie zaciskać dłoni tak mocno. Broń trzeba trzymać mocno, ale nie kurczowo - pouczył ją. - Proszę sobie wyobrazić, że pistolet jest przedłużeniem pani ciała, jego częścią. Poczujecie pani siłę odrzutu, ale pójdzie pani za nią, nie ugnie się pani, nie będzie hamować, nie zakrzusi się pani. Będzie pani harmonijnie współdziałać.

- Tak jak z panem.

- Chciałbym, żeby tak było. - Spojrzał na nią. - Na Boga, niech pani nie zamyka oczu! Proszę patrzeć na cel i myśleć o pistolecie jako o przedłużeniu pani ręki. Oczy i ramiona pracują harmonijnie. Tam, gdzie pani spojrzy, tam znajdzie się kula. - Tak, jakby miało to jej pomóc, Sam wziął głęboki oddech. - Odychać. I strzelać.

Pociągnęła za spust. Odgłos wystrzału był ogłuszający. Zadrżała, a świst ciągnął się i ciągnął. Jak echo. Aż gdzieś z daleka dobiegło głuche puknięcie. Słoma pozostała nieruchoma.

- Udało mi się trafić?

- Ujmijmy to w ten sposób: kula jest gdzieś w tej sali. Tajemnicą pozostanie gdzie. Na szczęście nie brzmiało to tak, jakby utkwiała w czymś ważnym.

Julia aż zatrzęsała się ze złości. Tak bardzo chciała zamknąć oczy, poczuć to wszystko, co czuła, kiedy nie widziała, a co dało jej taką wiedzę o odległości i orientacji w terenie. Skupiła się. Potrafi to zrobić.

Wycelowwała, wzięła oddech i pociągnęła za spust.

Snopek podskoczył. Ale zanim poczuła radość ze zwycięstwa, leżała plecami na podłodze w przejściu między rzędami, a Sam leżał na niej. Zaskoczyła ją szybkość tych zdarzeń. I łatwość, z jaką powalił ją na podłogę i wyrwał z ręki pistolet. Leżał na niej z bronią w ręku. Światło latarki świeciło prosto w wysoki sufit sali kinowej.

Ciężko oddychał. Julia leżała nieruchomo. Bolały ją plecy. Nagle poczuła niezwykle silne podniecenie. Jego ciało emanowało gorącą i zniewalającą siłą pożądania. Czuła ciepło rozchodzące się od brzucha w dół.

Chciała go strącić, zaczęła się szamotać.

- Co pan wyprawia?

Spojrzała w jego szare oczy. Zobaczyła w nich błysk cierpienia. Powoli wstał.

Kiedy się odezwał, jego głos był chłodny jak stal.

- Pistolet to nie zabawka. A pani nie wie o broni wystarczająco dużo, żeby się nią obronić. Jeśli będzie pani mogła, niech pani ucieka. Jeśli nie będzie można uciekać, niech pani strzela, ale tak, żeby zabić. Nie wolno pani czuć się bezpiecznie tylko dlatego, że ma pani broń. Nigdy.

36.

13.05, NIEDZIELA

Na górze, w sypialni rodziców, Sam przygotowywał się do wyjścia.

- Jadę z panem - oświadczyła Julia.

Przecząco pokręcił głową.

- To nie najlepszy pomysł. Co będzie, jeśli nie uda mi się przekonać dyrektora? Zatrzyma nas oboje i co z tego będziemy mieli?

- Nie znoszę siedzieć bezczynnie.

Poczuła się bezradna. Jak jakaś głupia, rozzłoszczona bohaterka kreskówki z lat pięćdziesiątych. Choćby nie wiem, co robiła, i tak nic się jej nie uda, i tak facet zawsze będzie górą. Taka Minnie Mouse albo Olive Oyl, albo Lois Lane. Wiedziała, że Sam ma rację, ale to nie pomagało. Poza tym, niestety, on też wiedział, że ma rację. Z tymi brązowymi włosami wyglądał jak wykładowca. Był przy tym jakoś niezwykle męski - szczupłe ciało, kanciaste gesty, rzeźbiona twarz.

- Będzie tu pani sama i musimy się do tego przygotować. Firma przypomina trochę harcerstwo. Nasze motto brzmi: „Czuwaj”. Otworzył szafę swojej mamy, znalazł długi wełniany płaszcz. Wyjął go. Był nowiutki, z szerokim kołnierzem i dużymi guzikami, pewnie z lat osiemdziesiątych. - Proszę przymierzyć.

Nie najgorzej. - Płaszcz był za długi, prawie do kostek, ale w ramionach pasował.

- Dobrze. Zasada numer jeden: Nie wychodzić na zewnątrz. Zasada numer dwa: Jeśli jednak wyjście okaże się konieczne, proszę włożyć płaszcz.

Dzięki temu oszczędzi mi pani zmartwienia o zapalenie płuc, bo płaszcz jest całkiem ciepły.

Włożyła ręce do kieszeni i znalazła skórzane rękawiczki. Ponieważ miała dłonie w bandażach, do niczego się nie przydadzą. Pod rękawiczkami było coś jeszcze. Gaz łzawiący w sprayu. Wyciągnęła niewielką buteleczkę.

- Myślałam, że to może jakieś perfumy.

- I tak nieźle. Mama to nosi, bo jak pani zauważyła, nie jesteśmy w Southampton. Tutaj przestępstwo jest sposobem na życie.

- Nich się pan nie martwi. Nigdzie się nie wybieram. Przynajmniej dopóki czegoś nie wymyślę.

- Następna zasada: Każdy plan należy przedyskutować ze mną. Kiedy mnie tu nie ma, nie robi pani planów. - Wyjął z kieszeni portfel i wyciągnął z niego pięć banknotów po dwadzieścia dolarów i platynową kartę kredytową Global. - Jeszcze kilka ostrzeżeń. To jest pani dieta. Sto dolarów. Niech pani tego nie

wyda od razu. A to karta kredytowa. Jeśli jej pani nadużyje, zabiorę z powrotem.

- Sam! Niech pan nie błaznuje! - Ale wzięła od niego pieniądze i kartę kredytową. Poczula się jakoś bezpieczniej. Kiedy pieniądze - i to duże pieniądze - są tak nieodłącznym elementem życia jak powietrze, nagle pozbawienie ich jest co najmniej nieprzyjemne. Im więcej tych pieniędzy było, tym większe poczucie zagrożenia.

- Byłoby dobrze, gdyby przed wyjściem pokazał mi pan wszystkie drzwi, żebym wiedziała, gdzie jestem zamknięta.

- Proszę za mną. - Włożył swoją skórzaną kurtkę i wziął walizkę. Poszła za nim do holu. Duże szklane drzwi, kiedyś otwarte dla fanów kina z okolicy, teraz zabite były dyktą. Jedyne wejście prowadziło przez garaż. Sam wrzucił walizkę do samochodu.

- Mam nadzieję, że ma pan w planach powrót. To jeszcze nie koniec z nami. - Zdziwiła się sama, że mówi coś takiego. Zachowywała się jak flirtująca nastolatka.

Odwrócił się. Stał pod gołą żarówką zwisającą z sufitu w garażu. Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Pani Austrian, nie zamierzam pani zostawić. Tkwimy w tym razem. Zobaczę się z dyrektorem, powiem mu wszystko, co wiemy, i wrócę tak szybko, jak to będzie możliwe z ochroną z Firmy. Kiedy dyrektor dowie się, co się dzieje, pani sytuacja diametralnie się zmieni. Dyrektor słynie ze swojej niezależności i jest człowiekiem myślącym. Mimo że ma kłopoty z sercem, nie zrezygnował z tej pracy. Jeśli on nam pomoże, wszystko będzie dobrze.

- A jeśli nam nie pomoże?

W jej oczach nagle pojawiła się powaga.

- Gorzej już być nie może.

W milczeniu kiwnęła głową. Żałowała, że nie będzie umiała bronić się sama. Spojrzała na ciężki, brązowy samochód - chevroleta LTD. Zauważyła, że ma automatyczną skrzynię biegów.

- Są do niego kluczyki?

- Jest pani nieznośna, ktoś już to pani mówił?

- Wciąż żyję. A wątpię, czy wielu ludziom w mojej sytuacji by się to udało.

- Dobrze, już dobrze. - Musi przestać myśleć, że Austrian jest bezbronna. - Kluczyki są w stacyjce. Stary przyjaciel rodziny wpada tu raz w tygodniu, żeby włączyć silnik, więc powinien działać. - Zamilkł na chwilę. - Ale na miłość boską, niech pani nie wpadnie na tak głupi pomysł, żeby wyjeżdżać beze mnie!

- Będę czekać. I tęsknić za pańskimi słodkim rozkazami.

Roześmiał się w końcu. Sam, którego zaczęła lubić. Zdała sobie sprawę, że to zachowanie typowe dla zadufanego w sobie macho wynikało z troski o nią.

- Dzięki, Sam - dodała.

Zmrużył oczy i z powagą pokiwał głową. Potem pokazał jej, w jaki sposób zamknąć od wewnątrz drzwi garażu. Razem w milczeniu przeszli przez hol i po marmurowych schodach wrócili do mieszkania. Na stoliku w salonie leżało rosyjskie wydanie książki ze zdjęciami i opisem dzieł sztuki i skarbów z zamku w Królewcu.

- Mogę zostawić pani tę książkę. W środku znajduje się jedyne kolorowe zdjęcie Bursztynowej Komnaty, jakie się zachowało. No i oczywiście zawsze może pani oglądać telewizję. Mam zostawić dzisiejszą gazetę?

- Lepiej niech już pan jedzie do diabła i wraca szybko z dobrymi wieściami.

Stali w salonie, on pod pachą trzymał gazety. Kiedy jej wzrok zatrzymał się na nich, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Coś ją męczyło, odkąd je dziś przeczytała, ale wszystkie wątki połączyły się dopiero teraz.

Zauważył jej dziwną minę. Wysoko upięte, teraz siwe włosy nadawały powagi tej twarzy, która była tak uderzająco piękna.

- Ma pani jakiś pomysł?

Kiwnęła głową.

- Orion Grapolis powiedział mi, że hipnozę stosowano jako terapię zaburzeń takich jak moje od czasów Freuda i że ślepotą wcale w tym nie przeszkadza. To musi być prawda, skoro on skutecznie poddał mnie hipnozie. Dlaczego więc mój poprzedni terapeuta, Water Dupuy, stosował zwykłą terapię polegającą na rozmowie? I dlaczego skłamał, mówiąc, że osoba niewidoma nie może być poddana hipnozie?

- Już przecież wiemy, że prawdopodobnie pracował dla pani wuja.

- Zgoda. Wróćmy do tego, co łączy nasze sprawy, pańską i moją, do przesyłek. Jeśli wysłał je dziadek Redmond...

- Mówiła pani, że on jest nie w pełni władz umysłowych.

- Tak stwierdzili eksperci od medycyny sądowej opłaceni przez moich wujów. Przekonali sędziego, a on przekazał wujom zarządzanie majątkiem i życiem dziadka Redmonda. To prawda, że dziadek nie rozpoznawał mnie ani mamy, kiedy odwiedzałyśmy go w domu opieki...

- Ale teraz zastanawia się pani, czy nie było jakiegoś powodu, dla którego mógł się wydawać nie w pełni władz umysłowych.

- Właśnie. Może dziadek po prostu za bardzo naraził się wujkom, kiedy próbował utworzyć fundację?

- Chciał oddać pieniądze na cele dobroczynne?

- Tak, dużą część majątku. Zaczął poważnie angażować się w akcje dobroczynne. Potem zdecydował się założyć fundację i połowę swojego majątku przeznaczyć na jej rzecz. Mama mówiła, że to miało być blisko dziesięć miliardów dolarów. Mamy to nie obchodziło, ale sądziła, że jej braci tak, szczególnie Creightona, który nie dorobił się jakichś większych pieniędzy.

- Dlaczego pani matka nie zrobiła czegoś, żeby ich powstrzymać?

Julia skrzywiła się.

- Większość czasu spędzaliśmy w trasie. A mama umyślnie wycofała się ze wszystkich spraw rodzinnych jakieś dwadzieścia lat temu. Creighton pokazał jej tylko zaświadczenie komisji lekarskiej i dokument z decyzją sądu. Dwiedzieliśmy potem dziadka. Miał jakieś halucynacje i zachowywał się, jakby sfiksował. To się zgadzało z tym, co napisali lekarze, że dziadek ma Alzheimera i może stanowić zagrożenie dla siebie i dla rodziny. - Utkwiła w nim znękaną błękitną spojrzenie. - Ale teraz się zastanawiam. Jeśli moi wujowie kontrolowali mojego psychiatrę, jeżeli stać ich na kłamstwa, które rozpowiadają o mnie, na pewno mogli znaleźć lekarzy, którzy zaświadczyliby o niepoczytalności dziadka, i sędziego, który by go ubezwłasnowolnił.

Sam zamyślił się.

- Z tego, co pani mówi, wynika, że pani dziadek może wcale nie jest niepo-
czytalny i może wiedzieć o rzeczach, które Creighton chciałby ukryć. a przykład
o Bursztynowej Komnacie.

Julia kiwnęła głową.

- I tu znowu wracamy do sprawy przesylek. Obie nadano w Armonk. Mu-
siałyby pan znać dziadka, żeby zrozumieć, że mógł je wysłać. Dziadek potrafi, w
zależności od potrzeby, oczarować każdego. Albo sprawić, że człowiek go znie-
nawidzi. Jak na życzenie. A kiedy na czymś mu zależy, nic go nie powstrzyma.
Przynajmniej tak było kiedyś. Kiedy widziałyśmy go kilka razy, zanim wylądo-
wał w tym domu opieki, był całkowicie pochłonięty działalnością dobroczynną. -
Uśmiechnęła się na to wspomnienie. I zaraz posmutniała, bo przypomniało się
jej, jaki wydawał się zdzięczniały, kiedy później odwiedzały go w domu opieki. -
Zanim zaczął chorować, zawsze był cudowny dla mnie i dla mamy. Spróbuję do
niego zadzwonić. Jeżeli nie będzie chciał albo nie będzie mógł ze mną rozma-
wiać, powinniśmy tam pojechać jak najszybciej. Ten ośrodek to Dom Opieki
Rolling Hills i znajduje się między Armonk i Mount Kisco. To powinien być
nasz następny ruch. Zgadza się pan?

- Brzmi sensownie. - Sam zapiął zamek. - Lepiej już pójdę, bo nigdy stąd
nie wyjdę. Im szybciej będę z powrotem, tym lepiej.

Zeszła razem z nim do głównego holu. Wyprzedził ją i poszedł do garażu, a
ona złapała się na tym, że patrzy na jego plecy, szerokie ramiona w czarnej skó-
rze. Miał umięśnione, okrągłe pośladki i kiedy na niego patrzyła, jak porusza się
z tym swoim kanciastym wdziękiem, miała ogromną chęć przyciągnąć go do sie-
bie. Wtulić się w niego i...

Uchylił drzwi garażu i wyjrzał na zewnątrz. Na ulicę padał popołudniowy
cień. Patrzyła, jak rozluźniają się mu ramiona. Otworzył szeroko drzwi garażu.

- Będzie pan na siebie uważał? - Stała przy nim, kiedy otwierał drzwicz-
ki.

- Nie. Zamierzam wyjechać i dać się zabić. - Odwrócił się i zobaczył jej smutną minę. - Mówiłem pani, że uwielbiam pani muzykę?

- Chyba wspomniał pan, że się panu podoba.

- Zaufaj mi, Julio. Nie zamierzam dopuścić, żeby któremuś z nas stało się coś złego. - Wsiadł do samochodu, otworzył okno i zapalił silnik. - Zadzwoń, jak tylko coś będę wiedział. Niech pani zamknie za mną garaż na klucz.

Zjeżyła się.

- Pan musi wydawać rozkazy. Myślał pan, że zamierzam je zostawić otwarte?

- Och. - Uśmiechnął się szeroko. - Przepraszam. Do zobaczenia wkrótce.

Przez otwarte okno popatrzył na nią i przepłynęła między nimi fala zmysłowości. Ten mężczyzna bardzo ją pociągał. Ale co z tego? Energicznie odrzuciła do tyłu głowę. Oderwała od niego wzrok. Nie czas na takie dyrdymały.

Patrzył na nią jeszcze chwilę i zmarszczył brwi. W końcu skinął głową na pożegnanie i wyjechał z garażu. Rozejrzał się dokoła. Wykręcił kierownicę w prawo i zręcznie wjechał na ulicę.

Julia została sama w fioletowym cieniu i patrzyła, jak jego duży czerwony samochód znika jej z oczu. Zwrócił się do niej po imieniu. Pierwszy raz.

Wróciła do środka i to piękne foyer wydało się jej nagle smutne i puste. Nie było Sama i echo własnych kroków głucho dźwięczało jej w uszach. Miała nieprzyjemne uczucie, że ktoś ją obserwuje, poluje na nią. Ale przecież nie miała podstaw, żeby tak się czuć - nikt nie wiedział, że tu jest. Zdecydowała, że strach nie będzie miał do niej dostępu. Ma zadanie do wykonania.

Podniosła słuchawkę stojącego obok kasy telefonu. Przed nią stały szklane pojemniki, które kiedyś pewnie były pełne cukierków we wszystkich kolorach tęczy. Pod ścianą stała staroświecka maszynka do robienia popcornu. To miejsce było magiczne i Julia miała nadzieję, że ta magia jej teraz pomoże. Wykręciła numer informacji i dostała telefon do Domu Opieki Rolling Hills w okręgu Westchester w stanie Nowy Jork.

Odezwał się oschły głos znużonej recepcjonistki.

- Mówi wnuczka pana Lyle'a Redmonda. Czy mogę porozmawiać z dziadkiem? - powiedziała Julia.

Chwila wahania.

- Oczywiście, proszę pani. Chwileczkę. - Najpierw zapadła cisza. Potem rozmowa została wyciszona. Julia czekała cierpliwie, ale zauważyła, że nagle serce zaczęło bić jej bardzo mocno. Czy dziadek wiedział, co kryje się za tym

wszystkim, co się jej przytrafiło? A może rzeczywiście jest roztrzęsionym, zdziecinniałym staruszkciem?

- Kto mówi? - Tym razem był to męski głos i nie było w nim ani krztyny znudzenia. Był to twardy, rzeczowy głos kogoś, kto przywykł do tego, żeby wydawać polecenia.

Z nim może porozmawiać. Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał stanowczo.

- Wnuczka pana Lyle'a Redmonda. Proszę mnie z nim połączyć.

- Pan Redmond teraz śpi.

- Więc proszę go obudzić. Mam bardzo pilną sprawę.

Mężczyzna najwyraźniej był zaskoczony. Jego głos zabrzmiał łagodniej.

- Przykro mi, proszę pani. Mam polecenia od lekarza. Po śmierci córki stan pana Redmonda bardzo się pogorszył. Nie może z nikim rozmawiać. Doktor powiedział, że w przyszłym tygodniu powinno być lepiej. Mogę przekazać panu Redmondowi, że pani dzwoniła. Jak ma pani na imię?

Julia odjęła od ucha słuchawkę i patrzyła na nią z niedowierzaniem. Czy może wierzyć temu człowiekowi? Dlaczego chce wiedzieć jak się nazywa? Bo uprzedzono go, że zadzwoni? Zastanawiała się nad tym i doszła do wniosku, że nie ma wyboru. Nie może zmusić go, żeby zrobił to, o co go prosiła. Poza tym nie chciała w nim wzbudzać podejrzeń.

- Jestem córką jego syna Brice'a. Zadzwonię w przyszłym tygodniu.

Kiedy odłożyła słuchawkę, ogarnął ją niepokój i zniecierpliwienie. Czyżby spodziewano się, że się pojawi w domu opieki w Westchester? Chodziła nerwowo po kinowym foyer. Weszła na górę, do mieszkania. Zaparzyła kawę. Stała w kuchni; zastanawiając się, co to może znaczyć. Na stole leżał Walther. Podniosła go i przyjrzała mu się. Wiedziała, że Sam ma rację. Nie umie posługiwać się bronią na tyle, żeby ufać, że ten pistolet ją ocali. Ale zawsze lepsze to niż nic.

Zabrała pistolet do salonu. Nagle poczuła, że jest jej zimno. Włożyła płaszcz matki Sama. Zrobiło się jej cieplej i otulona miękką materią miała wrażenie, jakby Sam był obok. Włączyła telewizor i oglądała wiadomości w CNN, dopóki nie pojawił się materiał z jej koncertu w Hollywood Bowl i nie usłyszała, że jest podejrzana o morderstwo wybitnego nowojorskiego psychologa i poszukiwana przez policję. Szybko zmieniła kanał na jakiś teleturniej, a potem na powtórkę komedii. Ale nie mogła się skupić. Rozkojarzona, udręczona po godzinie wyłączyła telewizor.

Wtedy jej wzrok padł na książkę Sama. Miała aksamitną granatową okładkę, a na środku znajdowała się fotografia cara Mikołaja II z żoną, carycą Aleksandrą.

Julia włożyła pistolet do dużej kieszeni płaszcza i zesza z książką na dół. Usiadła na najniższym schodku, na którym siedziała z Samem, kiedy udzielał jej

lekcji z teorii strzelania. Otuliła się płaszczem i otworzyła książkę. Wszystko było po rosyjsku. Cyrylica wydała jej się ładna i intrygująca, ale zupełnie niezrozumiała. Dotarła do pierwszej fotografii i od razu wiedziała. To jest osławiona Bursztynowa Komnata.

Zaparło jej dech w piersi. Komnata mieniła się tysiącem odcieni - od bladej cytryny do głębokiej czerwieni i ciepłego brązu. W ozdobionych pilastrami lustrach odbijało się światło wysokich świec w kinkietach i to odbite światło padało na mozaiki, królewskie emblematy i na ślimacznice, jak gdyby to wszystko żyło, jakby oddychało mieniącym się światłem. Julia patrzyła urzeczona, oczarowana pięknem bursztynu i tym, co człowiek z niego potrafił stworzyć. Była szczęśliwa, że może to zobaczyć. Nic dziwnego, że Samowi tak bardzo zależało, żeby zwrócić komnatę światu.

Przyjrzała się bliżej fotografii. A potem przewróciła stronę, żeby obejrzeć kolejne zdjęcia. Podziwiała biżuterię, obrazy, rzeźby i inne dzieła sztuki, które zostały prawdopodobnie wywiezione po rewolucji z Rosji i ukryte w zamku w Królewcu. Julia wyrosła otoczona bogactwem, wśród dzieł sztuki i wyjątkowej biżuterii, ale nigdy się jej to nie znudziło. W wielkiej sztuce było coś mistycznego i mamiącego. Nie można było przestać patrzeć, a każde spojrzenie przynosiło coś nowego, co wzbogacało, zmieniało człowieka. Obcowanie z dziełem sztuki przyprawia patrzącego o żywsze bicie serca i pozwala mu wejrzeć w ponadczasowość piękna, którego nikt nie może posiadać.

Nagle wzrok Julii padł na zdjęcie puzderka wysadzanego drogimi kamieniami, połyskującego szafirami, perłami i kamieniami półszlachetnymi.

Cała drżąca dotknęła zdjęcia. To niemożliwe...

Ale wiedziała, że wzrok jej nie myli. Zbyt często widziała je, zanim straciła wzrok. Ten niezwykły przedmiot, albo jego wierna kopia, od lat stał na biurku dziadka Redmonda w jego wiejskim domu w Arbor Knoll.

Przyglądała się zdjęciu i poczuła, że zaczyna jej brakować tchu.

Przeżona odwróciła kilka następnych kartek i zobaczyła...

Kolczyki ze szmaragdami należące do matki.

Była wstrząśnięta. To były wyjątkowe kolczyki, te same, których matka nie chciała oddać w noc, kiedy została zamordowana. Dostała je od dziadka Austriana - Daniela Austriana - w dniu ślubu. Znowu przypomniała się jej potworna śmierć matki. Musi być dzielna. Obaj dziadkowie mieli biżuterię z zamku, w którym przechowywano Bursztynową Komnatę...

Przerzuciła kilka następnych stron. I zamarła z przerażenia.

Instynktownie odwróciła wzrok, bo na zdjęciu zobaczyła swój pierścionek z aleksandrytem.

Pierścionek z przepięknym zielonym kamieniem z jednej strony wysadzany malutkimi niebieskimi kamykami. Unikat. Pierścionek, który w Londynie spowodował, że straciła wzrok...

Natychmiast zamknęła książkę.

Ale było już za późno.

Poczuła ten dziwny zapach...

W skroniach tętniła krew, policzki jej płonęły. I nagle poczuła niemal fizycznie, że jej ciało się zamyka. Wyłącza się.

Na horyzoncie zaczął zapadać mrok. Bezlitośnie sunął w jej kierunku. Próbowwała go przewyciężyć, odepchnąć. Ale już ją otaczał jak czarna mgła. Chłodna, pusta i nieubłagana. Widziała, jak znika foyer...

Poczuła ból w piersi. Ciemność zasłoniła jej obraz jak czarne skrzydło kruka. Oddzieliła ją od reszty świata.

Teraz jednak była bogatsza o wiedzę, której nie miała wcześniej. Że pierścionek, który wywoływał u niej nawrót ślepoty, pochodził z zamku w Królewcu. Był częścią „drugiego skarbu Himmlera”. Pierścionek, który sprawiał, że jej podświadomość przypominała sobie uraz z nocy jej debiutu, należał do skradzionego przez nazistów skarbu.

Czuła, jak w jej sercu coś pęka.

Wystarczy mrugnięcie okiem. Znowu była niewidoma.

37.

15.58, NIEDZIELA

GEORGETOWN, WASZYNGTON

Sam miał wyrzuty sumienia. Okłamał Julię. To prawda, że zamierzał złożyć wizytę dyrektorowi generalnemu w Silver Spring, ale nie od razu. Najpierw chciał stanąć twarzą w twarz z Vince'em Redmondem. Nie miał wątpliwości, że Redmondowie byli zamieszani w to, co się działo wokół Julii i niego.

Było to przekonanie, którym nie podzielił się z Julią, żeby jej za bardzo nie straszyć. Teraz zaś, kiedy jechał ulicami Georgetown, mijał oryginalne domy w wiktoriańskim stylu, z typowymi, dużymi okiennicami, wysokie stare drzewa i chodniki z płyt, aż w nim kipiało. Była to jedna z najbardziej ekskluzywnych dzielnic w Waszyngtonie. Panowała tu atmosfera wielopokoleniowego bogactwa i zaszczytów. Na siedzeniu obok Sama leżał browning kaliber dziewięć mm. Lepiej, żeby Redmond nie robił problemów.

Kiedy Sam znalazł się na ulicy, przy której stał dom Redmonda, rozejrzał się, szukając osiłków z Firmy stojących na straży, ale nie zobaczył nikogo. Sprawdzał numery domów. Odwiedził Vince'a w domu raz, w zeszłym roku, wkrótce potem, gdy Vince awansował na dyrektora. To było jedno z tych obowiązkowych

przyjęć z artystycznie ozdobionymi kanapkami i mnóstwem świetnych trunków. Ale teraz nie był pewien, która z willi należy do Vince'a...

Dojechał do końca przecznicy, zawrócił i ruszył z powrotem. Aż się gotował z wściekłości. Vince Redmond - cała rodzina Redmondów - miał mu wiele do powiedzenia, niezależnie od tego, w jakim stopniu był za to wszystko odpowiedzialny. Kiedy tylko skończy z Vince'em, zgłosi się do dyrektora i rozpędzi całą tę bandę. Jeśli trzeba, pójdzie z tym do Białego Domu. Jeśli nie dadzą mu natychmiast zadawalających odpowiedzi.

Ogarniała go coraz większa złość. Poczul strach. Zaczął się bać o Julię. To, co spotkało Irini w Berlinie Wschodnim, tkwiło w nim i wciąż rodziło wyrzuty sumienia, a serce wypełniało smutkiem, mimo że minęło tyle lat. Nie opuszczało go poczucie utraconej na zawsze jedynej miłości. Teraz jednak musi wziąć się w garść. Trzeba zapomnieć, bo pamięć może mu przeszkodzić w trafnej ocenie sytuacji. Ludzie, których kocha, umierają zbyt łatwo.

Jeszcze raz przejechał ulicą Redmonda i rozejrzał się dokoła. Ale nie zauważył żadnego tajniaka na straży. Ulica była pusta... z wyjątkiem czarnego jaguara XKE, który właśnie zatrzymał się przed jedną z willi kilka domów dalej po prawej. Sam zwolnił, żeby to sprawdzić. Ogromnej, muskularnej sylwetki człowieka, który wysiadł z jaguara, nie można było z nikim pomylić. To był Pink Pinkerton. Jego sprzymierzeniec i zaufany przyjaciel. Co, do cholery, tu robi? Chciał pomóc Samowi? A może?...

Sam przypomniał sobie, jak niechętnie Pink zgodził się, żeby zrobić to, o co Sam go poprosił. Przecież chodziło o tak niewiele, po prostu pojechać do Oyster Bay i sprawdzić agencję pośrednictwa pracy.

Sam wcisnął hamulec. Creighton Redmond zrobił wszystko, żeby dać do zrozumienia prasie, że Julia zabiła człowieka. Vince Redmond był jego synem. Jeden z nich, albo obaj, mieli pieniądze i układy, żeby wynająć Mayę Stern i pozostałych czyścicieli. Stern zaś i czyściciele najwyraźniej chcieli zabić, a przynajmniej złapać Julię.

Strach sparaliżował Sama. Czyżby się pomylił? Zwrócił się o pomoc do Pinka, starego, zaufanego przyjaciela. Dał mu numer telefonu do kina. Na podstawie numeru bez trudu można znaleźć adres.

Julia została sama.

Przerażony złapał za telefon komórkowy i wybrał numer...

16.05, NIEDZIELA BALTIMORE, MARYLAND

Z oczu Julii popłynęły łzy. Serce jej zamarło. Była jak naczynie wypełnione tylko gorzkim poczuciem starty. Ale zanim dotarło do niej znaczenie tego, co się stało - znowu była niewidoma - usłyszała jakieś głosy.

Ktoś jest w garażu!

- Sam? - Julia zawołała niepewnym głosem. Z wyciągniętymi przed siebie rękami ruszyła przez foyer. Potknęła się i upadła. Szybko się podniosła, instynktownie otuliła się płaszczem. Była prawie pewna, że czuje na nim cudowny zapach Sama. Wszyscy, którzy ją kochali, nie żyją. A ci, którzy zostali przy życiu, to zdrajcy. Zdradzali ją po kolei i bez przerwy.

- Sam?

Głosy dochodzące z garażu były stłumione. Nagle zyskała pewność.

Sam powiedział, że zadzwoni. Więc to nie mógł być Sam.

Głosy w garażu były stłumione, ale Julia wyraźnie słyszała kroki zbliżające się do drzwi prowadzących do foyer. Serce tłukło jej się w piersi jak ptak. Te dźwięki były zbyt ukradkowe. Nawet gdyby Sam zapomniał do niej zadzwonić, szedłby pewnym siebie, normalnym mocnym krokiem...

Włożyła rękę do kieszeni płaszcza i odnalazła pistolet. To sprawiło, że poczuła się bezpieczniej.

Ale jest niewidoma. Nic nie widzi i nie może strzelać do celu.

Kroki w garażu były ostrożne i niepewne. A potem przyspieszyły.

Julia potykała się uwięziona w zakętym kręgu ciemności. Wmawiała sobie jednak, że przecież umie sobie poradzić. Przez wiele lat nie widziała i nauczyła się więcej, niż mogła to wyrazić. Zatrzymała się i rozpostarła ramiona z zaban-dażowanymi rękami, jak radar. Uspokoiła oddech i twarzą odebrała sygnały. Przesunęła się trzy kroki w prawo.

Lada z cukierkami. Dotknęła jej powierzchni i wzdłuż niej doszła do miejsca, gdzie spodziewała się znaleźć drzwi prowadzące do sali kinowej. Z uczuciem ulgi trafiła na klamkę. Otworzyła drzwi...

Za plecami usłyszała telefon. Podskoczyła. Sam? Nie może wrócić...

Zrobiła krok w chłodną próżnię sali kinowej. Kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły, usłyszała kobiecy głos.

- Tamte drzwi! - To był głos Mayi Stern. - Tam!

Julia nie miała czasu, żeby zorientować się w pomieszczeniu. Ale była tu za ledwie kilka godzin temu. Wszystko, czego się wtedy nauczyła, musi jej teraz pomóc. W akcie desperacji i wiary we własne siły rzuciła się do przodu. Była przerażona, ale zdecydowana. Musi dotrzeć do pozbawionej światła, pogrążonej w mroku sceny, na której oni będą tak samo niewidomi jak ona. To jej jedyna nadzieja.

Za plecami otworzyły się drzwi. Dotarła do niej fala ciepłego powietrza z foyer.

Przyspieszyła, zaczęła biec, podnosząc wysoko nogi, żeby nie potknąć się na starej, nierównej podłodze.

- Jest tam! - Znowu głos Mayi Stern. - Trzymajcie ją!

Julia ciężko dyszała. Na twarz wystąpił jej pot. Jeszcze przyspieszyła. Ktoś do niej strzelił. Kula minęła ją i utkwiała w drewnie. Drzazgi jak igły wzbily się w

powietrze i wbiły w skórę. Przewróciła się i uderzyła mocno w ramię. Do jej mózgu dotarła informacja o bólu, ale zignorowała ją. Na czworakach wpełzła w jeden z rzędów siedzeń.

- Nie ucieknie - odezwał się piskliwy męski głos.
- W którą stronę poszła? - zapytał inny męski głos.
- Nic nie widzę - poskarżył się trzeci. Gdzie jest ten przekłety włącznik?
- Musimy ją znaleźć! - zakomenderowała Maya Stern. - Rozproście się.

Ruszcie się!

Julia usłyszała cztery pary biegnących nóg. Wśliznęła się na brzuchu pod siedzenia, wciąż kierując się do sceny. Stopy minęły ją, rozdzieliły się, okrążyły. Część pobiegła z powrotem, w stronę drugiego przejścia, a część wróciła do pierwszego. Czuła krew dudniącą w uszach. Przywarła do podłogi i czołgała się po zniszczonej drewnianej klepce.

Kroki napastników zwolniły. Zaglądali między kolejne rzędy.

- Musimy mieć trochę światła - odezwał się jeden z mężczyzn. - Może być tylko pod siedzeniami.

Kiedy we foyer znowu odezwał się telefon, Julia poczuła, że dotarła do końca siedzeń. Proscenium! Palcami wymacała jego wysokość. Słyszała zbliżające się kroki. Z ulgą podciągnęła się w górę i zaczęła pełznąć po krawędzi sceny.

Nagle coś uderzyło ją w stopy i czyjeś ręce odnalazły jej ciało.

- Mam ją!

Z całej siły kopnęła. Udało się jej. Usłyszała, że napastnikowi brakuje powietrza, ale po chwili dłonie zaczęły dotykać sceny, próbując znaleźć po omacku Julię.

Ona jednak już wstała i biegła przed siebie, wyczulona na wszystko, co mogło stanowić dla niej punkt odniesienia, tak żeby mogła się zorientować w tej niekończącej się nocy. Da sobie radę!

Z lewej strony poczuła jakąś wielką płaszczyznę, nad głową miękki aksamit starej kurtyny. Zza pleców dochodził dźwięk dzwoniącego telefonu obiecujący pomoc. Ale nie może o tym teraz myśleć. Coś z prawej strony - coś niskiego, delikatnego. To mogły być krzesła. Przypomniała sobie te krzesła! Jak najciszej starała się iść dalej po scenie i równocześnie próbowała wymyślić jakiś plan. Nie widziała, więc nie mogła posłużyć się pistoletem. Była w pułapce, bez możliwości wyjścia na zewnątrz. Jedyne wyjście prowadzi przez garaż. Musi wymyślić jakiś sposób, żeby ich powstrzymać...

Usiłowała przypnieć sobie, co widziała w snopie światła latarki. Magazyn. Sam zostawił drzwi otwarte.

Napastnicy zorientowali się, że Julia jest na scenie. Musieli usłyszeć jej ciche kroki i już szli za nią. Słyszała, jak potykają się o przedmioty, wpadają na siebie i klną. Byli tu tak samo niewidomi jak ona, ale nie miała czasu na satysfakcję.

Już była tu i teraz mogła polegać na swoich proprioreceptorach. Pospiesznie skręciła w lewo, za kulisy. Próbowwała przypomnieć sobie szczegóły... z taką łatwością zapamiętywała... Niewidomi, którzy mieli dodatkowo szybki refleks, mieli niespotykaną łatwość zapamiętywania i orientacją w przestrzeni. Ale Julia musi przypomnieć sobie wszystko natychmiast, i to ze szczegółami...

Słyszała, że napastnicy zbliżają się, a telefon w foyer umilkł.

W końcu z głuchym uderzeniem trafiła nogą w ścianą. Ból promieniował w górę od palców stopy. Modląc się, żeby okazało się, że idzie w dobrym kierunku, pospiesznie sunęła wzdłuż ściany. Napastnicy szli za nią, teraz poruszali się szybciej i ciszej. Jej dłonie badały ścianę jak nerwowo poruszające się czułki jakiegoś owada. Wyczuła płaszczyznę pod kątem prostym do ściany.

Otwarte drzwi do magazynu.

Poczuła przypływ nadziei. Odnalazła stalowe klamry i otwartą kłódkę. Zlokalizowała rygiel, który zwisał luźno z przodu drzwi. Błyskawicznie podjęła decyzję.

Sięgnęła ręką do drzwi i zamknęła je, a potem znowu otworzyła.

Skrzypienie starych zardzewiałych zawiasów rozniosło się echem po pustej scenie. Maya Stern i reszta napastników już wiedzieli, gdzie jej szukać.

38.

16.16, NIEDZIELA

Julia próbowała zebrać myśli, jakby koncentrowała się przed koncertem. Gdzieś w głębi duszy zdawało się jej, że słyszy subtelne dźwięki pokrępiącej muzyki. Poradzi sobie.

Delikatnie odsunęła się od otwartych drzwi, wyteżając równocześnie wszystkie zmysły. Krew pulsowała jej w skroniach, strach ścisnął żołądek. Stała wtopiona w kompletną ciemność i czekała drżąca, całym ciałem przywierając do ściany za drzwiami. Czy może liczyć na to, że zaślepieni żądzą krwi i powodowani instynktem myśliwych, dadzą się złapać w pułapkę?

Usłyszała ich kroki i ściszone głosy. Szli w jej kierunku. Zbliżali się do źródła dźwięku - skrzypiących drzwi - z taką pewnością i konsekwencją, z jaką kosa zbliża się do ofiary. Żeby ją ścinać. Żeby zabić.

Julia wstrzymała oddech.

- Tu są te drzwi - odezwał się jeden z głosów.

Zaczęło jej brakować powietrza. Starła się nie uronić żadnego dźwięku. Zdawało się jej, że zbliżające się ciała są jak wyciągająca się w jej kierunku ręka śmierci.

Serce biło jej coraz mocniej.

Weszli do magazynu. Słyszała, jak potykają się o rekwizyty i klną.

Jak najciszej potrafiła, wyszła zza drzwi i zamknęła je. Wydały z siebie jedno głośne skrzypnięcie. W środku rozległy się krzyki. Julia poczuła radość. Szybko spuściła ciężki rygiel, który wylądował w stalowym uchu.

Niemal w tym samym momencie czyjaś ręka złapała ją za ramię. Na twarzy poczuła czyjś oddech. Sparaliżowana strachem próbowała się wyrwać. Nagle zrozumiała. Jeden z mężczyzn nie wszedł do magazynu, został na zewnątrz, a ponieważ nie poruszał się, a ona działała w gorączce, nie zauważyła go. Popelniła błąd.

Zaczęła się szamotać, próbując się wyrwać, ale mężczyzna miał żelazny uścisk. Obrócił ją tyłem i złapał za gardło zgiętym ramieniem. Przycisnął Julię do ściany jak skazańca przed torturami. Zaczęła się dusić.

- Mam ją! - krzyknął w kierunku drzwi. - Ty suko - wymamrotał przez zęby. - Dziwko.

Uderzyła go w klatkę piersiową, próbowała złapać oddech, znowu rozległ się dźwięk telefonu. Julia przekleła swoją głupotę. Wpadła w sidła profesjonalistów. Może i kierowali się żądzą krwi, ale byli doświadczeni i ich działania były potwornie skuteczne.

- Myślałaś, że ci się uda uciec, co? - powiedział. - A tymczasem zginiesz. Jeszcze nie w tej chwili. Ale niedługo. Umrzesz tak, jak ktoś to dla ciebie wymyślił. Ale o tym później. - Odsunął ją, a drugą ręką sięgnął do drzwi, szukając rygla. Nie zdążyła założyć na nim kłódki. Za chwilę Maya Stern i reszta czyszcicieli znajdują się na wolności. - Spryciara z ciebie. Spodoba ci się sposób, w jaki umrzesz.

Próbowała złapać powietrze, mimo duszącego ją ramienia. Czowała, że zaraz zemdleje, że się podda, i ogarnęła ją nienawiść.

Nie zamierza dać się zabić tym potworom.

Prawą ręką zaczęła szukać kieszeni płaszcza.

Przekonano o jej bezradności niewidzialny napastnik zawołał w stronę zamkniętych drzwi.

- Stern? Drzwi są zamknięte na stalowy rygiel. Znalazłem go. Zaraz was wypuszczę.

Nie ma ani chwili do stracenia. Włożyła rękę do kieszeni i chwyciła walthera. Przypomniały jej się słowa Sama: „Jeśli będzie pani mogła, niech pani ucieka. Jeśli nie będzie można uciekać, niech pani strzela, ale tak, żeby zabić”.

Stalowy rygiel ze skrzypem podniósł się i za chwilę otworzył się drzwi. Julia wyciągnęła z kieszeni walthera, przytknęła go do piersi mężczyzny i dwukrotnie strzeliła.

Jęknął. Trysnęła krew. Metalowy rygiel wsunął się na miejsce. Nozdrza Julii wypełnił ohydny zapach ciepłej krwi. Poczula, że zawartość żołądka podchodzi jej do gardła i tylko największym wysiłkiem woli udało się jej przewyciężyć ten odruch. Zaczerpnęła powietrza. Ręka, która trzymała ją za ramię, rozluźniła uścisk. Drżąc, odepchnęła ją i ciało osunęło się na ziemię pod drzwiami.

W magazynie Maya Stern krzyknęła.

- Riordan? Co tam się dzieje? Riordan!

Słychać było, jak wynajęci zabójcy wpadają na przedmioty i klną, szukając drogi do drzwi.

Julia poczuła ulgę. Nadal żyła. Aż trudno jej było w to uwierzyć. Dzięki Bogu, miała ten pistolet. Teraz musi stąd jak najszybciej uciec. Na zewnątrz może czekać więcej napastników. A ona wciąż była niewidoma...

Musi wyzwolić się od strachu. Już nie musi się bać. „Jeśli będzie pani mogła, niech pani ucieka”. Podeszła do drzwi i zaczęła je gorączkowo obmacywać, szukając stalowego rygla. Spoconymi dłońmi włożyła kłódkę na miejsce.

Ciężko oddychając, odwróciła się i zaczęła iść przez scenę. Znała ją już zupełnie dobrze i teraz pewnym krokiem szła w stronę widowni. Bolało ją gardło, ale oddychała. Wciąż miała nudności, ale udało się jej powstrzymać torsje. Nawet jeśli zwymiotuje, co to ma za znaczenie. Ogarnęło ją uczucie chłodnego spokoju.

Słyszała krzyki dochodzące z magazynu. A potem stłumione eksplozje. Próbowali przestrzelić drzwi pistoletami z tłumikiem.

Uśmiechnęła się ponuro. Nie będzie im łatwo przestrzelić stalowy rygiel i kłódkę. Ale mogą się wydostać. Żelazny zawias, na którym trzymał się rygiel, był przymocowany do drzwi kotwiczkami, które przechodziły na drugą stronę. Jeśli znajdą to miejsce, wymacają je, będą mogli odstrzelić kotwiczki.

Julia dotarła do pierwszego rzędu, znalazła przejście i rzuciła się biegiem do wyjścia, wysoko podnosząc nogi - pamiętała, że podłoga jest nierówna i łatwo można się potknąć. W końcu wyczuła drzwi i ścianę na końcu widowni - ogromną, twardą, płaską powierzchnię, od której odgłosy jej kroków odbijały się szybko i bez zakłóceń.

Zwolniła. Wyciągnęła przed siebie ręce i trafiła na drzwi. Popchnęła je.

Uderzyła ją fala cieplejszego powietrza. Nawet sztuczne światło ogrzewa pomieszczenie. Znalazła się w foyer kina. Odszukała ladę ze słodyczami. Posługując się nią jako punktem odniesienia, minęła duże szklane drzwi, które kiedyś stanowiły główne wejście do budynku, a teraz były zakryte dyktą. Nie mogła polegać na liczeniu kroków, więc co chwilę odwracała twarz z lewej w prawo i z powrotem, jak radar. W ten sposób utrzyma się pośrodku pomieszczenia.

W końcu dotarła do przeciwległej ściany i drzwi prowadzących do garażu. Zza pleców dobiegały ją wściekle krzyki trojga zabójców. Musi się stąd jak najszybciej wydostać.

Ale przecież nie widzi.

Najpierw musi odzyskać wzrok. Położyła dłoń na masce samochodu należącego do matki Sama i obchodząc samochód dokoła, dotarła do drzwi garażu. Popchnęła je, modląc się, żeby się nie okazało, że na zewnątrz czeka kolejny zabójca. Przygotowana na atak, szybko wróciła do samochodu i usiadła za kierownicą.

Nagle zaczęła się trząść. Jak kostka lodu w pustej szklance. Zrobiło się jej zimno jak nigdy w życiu. Szczekała zębami. Strach zaczął ją paraliżować jak trucizna. Ledwie się jej udało uniknąć śmierci. Zabiła człowieka. Zastrzeliła go, a jego ciało eksplodowało ciepłą krwią. Czuli, jak ustaje w nim życie. Tak jakby ktoś wyłączył zasilanie - nagle, bez uprzedzenia. Nieodwracalnie.

Usłyszała głucho, miarowe uderzenia, jakby napastnicy próbowali przebić sobie drogę z magazynu. Dygotała. Wcześniej czy później uda im się wydostać. Nie słyszała, żeby ktoś biegł z ulicy w kierunku garażu. Chyba nie zostawili nikogo na zewnątrz...

Musi pomyśleć. Przede wszystkim, musi widzieć.

Po omacku odnalazła stacyjkę i kluczyki. Gdyby nie straciła wzroku, mogłaby prowadzić samochód. Przekręciła kluczyk w stacyjce i duży silnik zaskoczył, zaczął pracować.

Nie udało się jej odzyskać wzroku, kiedy podchodziła do steinwaya po tym, jak zabito jej matkę. Jedyna skuteczna metoda to metoda Oriona. Próbowała sobie przypomnieć sesję terapeutyczną w jego gabinecie. Najpierw poprosił ją, żeby się całkowicie rozluźniła... „Zacniemy od kilku podstawowych ćwiczeń relaksacyjnych. Po prostu poddaj się im. To bardzo łatwe. Później sama będziesz je mogła wykonywać...”

Ale serce waliło jej jak młotem. Krew pulsowała w szalonym rytmie. A muzyka... przez lata źródło jej spokoju... Nie słyszała jej.

Nie musi się bać. Przypomniało się jej, jak Orion mówił, że sama może się wprowadzić w stan hipnozy i przywracać sobie wzrok.

Położyła dłonie na kolanach i skupiła się. Po chwili na horyzont jej zmysłów wpłynęły słodkie, pogodne takty *Kołysanki* Brahmsa. Najpierw były ciche, ale ponieważ zachęcała je, dźwięki stawały się donośniejsze.

Uspokoila się. Czuli, jak władzę nad nią przejmuje muzyka.

Julia zaczęła przypominać sobie sesję z Orionem. Wciąż słysząc muzykę mimo chodzącego silnika samochodu, świetnie wyćwiczoną pamięć skierowała na to, co jej powiedział.

- „W twoim sercu jest spójnik »i«. Twoje serce pompuje krew do całego ciała, a nie tylko do kilku części. Nie wybiera sobie stron....”.

Oddychała głęboko i kiwnęła głową. „To, kim jestem, nie zależy tylko od jednej decyzji”. Jak gdyby jakiś wielki ciężar został gdzieś wewnątrz przesunięty. Uśmiechnęła się. Ma siłę biec. Może walczyć. Może zrobić wszystko, co trzeba. Wszystko wolno.

Orion tłumaczył, że w jej psychice zachodzą ogromne zmiany. Ona opowiedziała mu ze szczegółami wszystko, co pamiętała z nocy debiutu, i potem ogarnęła ją dziwne uczucie wewnętrznego spokoju. Stara blokada, która ją hamowała, zdawała się puszczać i...

Nagle wszystko nabrało sensu, i to nie tylko w jej myślach, ale też w ciele i w jej uczuciach. Kołysanka odplynęła na boczny tor świadomości, już niepotrzebna. Julię przeszedł dreszcz... Przecież wie...

Jej oczy są zdrowe. To umysł zabrania jej widzieć.

I prawda jest taka... że Julia nie musi wiedzieć, co się zdarzyło, co było tak ogromnym wstrząsem, że straciła wzrok.

Nie musi wiedzieć wszystkiego.

To nie jest konieczne...

Siedziała w samochodzie i nagle zaczął ją otaczać znajomy, dziwny zapach. W jej duszy ogromne bloki skalne pękały i przemieszczały się. Serce uderzało z podniecenia...

Ale to nie tylko serce.

Stopy głośno uderzały... o podłogę w foyer. Ktoś biegł w stronę garażu.

Maya Stern i dwóch pozostałych zabójców wydostało się. Już biegli, żeby ją zabić.

Julia nakazała sobie spokój. Spokój. Miarowy oddech. Wsłuchiwała się w muzykę i położyła dłonie na kierownicy.

W największym skupieniu zatopiła się w tym dziwnym zapachu... i w tym poczuciu ogromnej przemiany...

Wciąż była niewidoma, jak dawniej. Nie widziała nic, zupełnie nic...

Wtedy niby jakiś przyjazny duch pojawiła się w jej głowie myśl, która nie miała żadnych racjonalnych podstaw: „Nie musisz się już więcej karać”.

Nie wiedziała, co to może znaczyć, ale gdzieś głęboko poczuła, że uwalnia ją coś starego, bolesnego i...

Poczuła, że oczy robią się ciepłe i mokre.

Pełna nadziei wstrzymała oddech...

Na horyzoncie pojawiła się smuga jasnego światła.

Drzwi prowadzące do garażu otworzyły się gwałtownie i Julia usłyszała dudniące kroki.

Nie ma już czasu. Musi uwierzyć, że zacznie widzieć. Położyła stopę na gazie i wcisnęła pedał, a stary Chevrolet ruszył prosto na otwarte drzwi garażu.

Część trzecia

Bursztynowa Komnata

39.

16.20, NIEDZIELA
NOWY JORK

Geoffrey Staffeld wszedł do niewielkiej sali w jednym z ogromnych, luksusowych nowojorskich hoteli, w hotelu „Plaza”. Specjalnie wybrano to szczególne miejsce ze złotymi ozdobami i kilometrami miękkich dywanów, bo tu nadinspektor miał położyć swoją głowę pod topór.

Rozłożył na mównicy papiery i rozejrzał się po ponurych twarzach dziennikarzy. Minę miał poważną i szczerą, odpowiednią do sytuacji. W końcu nadinspektor wspaniałego Scotland Yardu przyjechał do Ameryki, żeby wtrącić się w politykę wewnętrzną tego kraju, mimo że stoi to w sprzeczności z protokołem dyplomatycznym i polityką międzynarodową jego rządu.

Zgodnie z instrukcjami Staffeld osobiście zadzwonił do każdego z przybyłych reporterów i przekonał go, żeby się tu znalazł. Ale zrobił to dopiero, kiedy upewnił się, że sześć milionów dolarów od Redmondów leżało bezpiecznie na jego koncie w Kolumbii i gdy przelał dwa miliony na konto Feliksa Turkowa w Lichtensteinie. Turkow, jego zły pies, obiecał, że natychmiast wyjedzie z Irkucka - a to znaczyło kilka lotów przez Rosję i przez Atlantyk. Na Manhattanie ma być jutro koło południa.

Po upadku Związku Radzieckiego Turkow stracił pracę w KGB i znalazł się bez środków do życia. Był jednym z wyrzutek nowego społeczeństwa.

Sowieccy szpiedzy z piersiami obwieszonymi medalami mieli szczęście, jeśli udało im się dostać pracę kelnera, portiera albo ochroniarza. Turkow próbował dostosować się do nowych realiów, ale mu się nie udało. Wtedy pojawił się Staffeld, który pomógł mu wyjść cało z sytuacji grożącej, że byłby zabójcą z czasów zimnej wojny trafi do więzienia. Teraz, uszczęśliwiony możliwością zarobienia dwóch milionów dolarów, Turkow był gotów zabić Redmondów, jeśli

zajdzie taka potrzeba. Zobowiązał się również chronić Staffelda w czasie jego ucieczki z miasta.

Staffeld zaś, dręczony niepewnością i obawami rozumiał, że jeśli wszystko się uda, nie wróci już do swojego dawnego życia w Londynie. Wszystko się zmieni, ale dzięki swojej elastyczności dokładnie wiedział, co będzie musiał zrobić. Sześć milionów dolarów od Redmondów pozwoli mu zaszyć się gdzieś razem z Callą, zniknąć i prowadzić życie na znacznie wyższym poziomie niż to sobie kiedykolwiek wyobrażali. I oczywiście zawsze będzie go stać na korzystanie z płatnych usług seksualnych, bez których trudno by mu było się obejść.

Dlatego Staffeldowi bardzo zależało, żeby wywiązać się ze swojego dzisiejszego zadania jak najlepiej.

Z grobową miną spojrzął na zgromadzoną publiczność.

- Panie i panowie, może się wydać dziwne, że to, co za chwilę usłyszycie, pada z ust obywatela Wielkiej Brytanii, ale nasze kraje łączy szczególna więź, datująca się jeszcze przed buntem kolonii... - Kilka osób na sali się uśmiechnęło. - ...a ja zawsze stałem na stanowisku, że należy te więzy pielęgnować. Cała Ameryka będzie się starała wybrać w najbliższy wtorek odpowiedniego człowieka na stanowisko prezydenta. Jestem tu po to, żeby wam powiedzieć, że pan Douglas Powers nie jest odpowiednim kandydatem... i chcę przedstawić na to dowody.

Wśród zebranych zapanowało poruszenie. Błysnęło kilka fleszy. Z tyłu sali dochodził dźwięk pracujących kamer.

- Przywiozłem ze sobą pewne dokumenty - mówił dalej, recytując słowa scenariusza z walizki, która czekała na niego na Heathrow. - Dowodzą one prawdziwości tego, co ujawnił „Sunday Times” i co znalazło się również w wazszych gazetach porannych. Wśród tych dokumentów znajdują się dwa zdjęcia pana Powersa w towarzystwie jego zdobyczy. Okazuje się jednak, że agencje wywiadowcze w Amsterdamie i Belgradzie są w posiadaniu materiałów poświadczających kolejne wypadki godnych potępienia praktyk kandydata...

- Chwileczkę! - Mężczyzna z przodu gwałtownie pokręcił głową. - Dlaczego mamy panu wierzyć? Jeśli miał pan takie materiały, powinien był pan ujawnić je parę miesięcy temu. - Twarz dziennikarza o kwadratowej szczęce wyrażała podejrzliwość.

Odezwała się jakaś kobieta.

- Ujawnienie tego w tej chwili pociąga za sobą ogromne konsekwencje. Douglas Powers nie będzie miał żadnej szansy, żeby się wybronić przed wyborami!

Inni dziennikarze również przyglądali się Staffeldowi z wrogością. Kilku ze zniecierpliwieniem poruszyło się na siedzeniach, jak gdyby mieli zamiar wstać i wyjść.

Staffeld kiwnął głową. Nadszedł moment przełomowy. Vince Redmond wręczył mu przygotowane oświadczenie, ale to on ma sprawić, że mu zaufają i potraktują go poważnie. Wyprostował się na mównicy. Był mężczyzną postawnym, skromnie ubranym, odrobinę szorstkim. Sprawiał wrażenie profesjonalisty.

- Niezupełnie - opanowanym głosem kontynuował wyuczone przemówienie. - Cieszę się, że chcecie mnie państwo sprawdzić. Zawsze mądrze jest sprawdzić wiarygodność źródeł. Wyjaśnię, co się wydarzyło. Kiedy dziś rano w Londynie ukazały się w prasie informacje dotyczące pana Powersa, odezwało się do mnie dwóch informatorów z czasów zimnej wojny, z którymi utrzymuję kontakt od czasu mojej pracy w MI6. To, jak się państwo zapewne orientują, wydział naszego wywiadu zagranicznego. Obaj chcieli mi przekazać dokumenty, do których mają dostęp. Mogłem oddać te dokumenty rządowi brytyjskiemu, skąd z pewnością trafiłyby w ręce amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Ale wszyscy wiemy, ile czasu trzeba, żeby tryby biurokracji zaczęły się kręcić. Zanim oba rządy przekazałyby dokumenty do odpowiedniego urzędu, pan Powers dawno byłby prezydentem.

Biorąc pod uwagę deprawację tego człowieka i popełnione przez niego przestępstwa, sądzę, że to nie służyłoby żadnemu z naszych krajów.

Na słowo „przestępstwa” zgromadzeni zareagowali poruszeniem, tak jak spodziewali się i Staffeld, i Vince Redmond. Kilku dziennikarzy w zadumie kiwnęło głowami, inni jeden przez drugiego wykrzykiwali pytania.

- Co to były za przestępstwa?
- Jakie są pańskie źródła?

Jego wyjaśnienie zabrzmiało wiarygodnie i ich nastawienie odrobinę się zmieniło, ale z twarzy można było wyczytać, że nadal są nieufni. Poranne wiadomości uzbroidy bombę, ale do Staffelda należało podpalenie lontu.

- Dziennikarz „Sunday Times” niewłaściwie zinterpretował dokumenty, które otrzymał od swoich informatorów - ciągnął Staffeld ponurym głosem. - Na przykład rejestr z Pragi wymienia nazwisko Powersa przy imionach osób, z którymi uprawiał nierząd. - Nadinspektor podniósł w górę dokument. - Jan i Zora to najlepszy przykład. I niestety, dowód naszej ignorancji. Wskazuje na to, jak niewiele wiemy o języku czeskim, bo o ile się orientuję, nikt nie zadał sobie trudu sprawdzenia, że to nie są imiona żeńskie. Z moich informacji wynika, że pan Powers nie interesuje się kobietami. Jest pederastą. Gustuje w małych chłopcach.

Przez salę przeszedł pomruk. W twarz Staffelda zaczęły strzelać oślepiające światła fleszy. Wszystkich ogarnęła atmosfera z jednej strony przerażenia, a z drugiej fascynacji. Kiedy Staffeld znowu zaczął mówić, reporterzy ucichli i całkowicie skupili się na jego słowach, pospiesznie robiąc notatki.

- Oczywiście, fakty te należy ujawnić nie tylko z przyczyn moralnych - kontynuował - ale dlatego, że człowiek, który popełnił takie przestępstwa, byłby

łatwym łupem dla szantażysty, a część z dokumentów, które posiadam, już trafiła w niepowołane ręce. - Podniósł w górę zdjęcie z Pragi, na którym Powers w towarzystwie handlarza żywym towarem i jednej z jego dziewczek wsiada do eleganckiej limuzyny. - Na tym zdjęciu widzicie państwo dwoje dzieci, dwóch chłopców, którzy również czekają, żeby wsiąść do samochodu. - Staffeld podniósł w górę drugie zdjęcie, z Belgradu, na którym widać, jak Powers kładzie ręce na ramionach dwóch chłopców wyglądających na osiem lat. Cała trójka idzie w kierunku podrzędnego hotelu. - To hotel znany z tego, że można w nim wynająć pokoje na godziny.

W rzeczywistości zdjęcia te ktoś z ukrycia zrobił samemu Staffeldowi, bez jego wiedzy oczywiście. Na zlecenie Redmondów jakiś specjalista za pomocą najnowocześniejszych programów komputerowych wstawił twarz i postać Powersa w miejsce Staffelda. Ale nadinspektor w tej chwili o tym nie myślał. Żeby inni ci wierzyli, sam musisz najpierw uwierzyć nawet w to, co jest kłamstwem. I w tej chwili, stojąc przed grupą pełnych podejrzeń dziennikarzy, wyzywając śmierć na pojedynek, Staffeld sam uwierzył, że każde jego słowo to święta prawda.

Ze srogą miną przeszedł do tematu orgii w Monako, którą opisał „Sunday Times”.

- Gazeta pominęła kluczowy fakt. Dzieci, które widać na zdjęciu, były nie tylko świadkami zajścia. Powers dopuścił się gwałtu na jednym z chłopców. - Następnie nadinspektor przeczytał fragment zeznań pewnego handlarza narkotyków z Amsterdamu. Oryginał dokumentu w języku holenderskim został, zdaniem Staffelda, przetłumaczony przez jego informatora. W rzeczywistości spreparował go któryś z ludzi Redmonda. - „Służyłem za przewodnika panu Powersowi w jego dwóch wyprawach do Wallen, podczas których wykorzystał dwóch chłopców...” - Wallen to dzielnica czerwonych latarni w Amsterdamie, gdzie głównym towarem są seks i narkotyki. To miejsce przyciągało ludzi z całej Europy, podobnie jak Las Vegas i Atlantic City przyciągały hazardzistów z całych Stanów Zjednoczonych.

- Osobiście jestem zdania, że te zdjęcia i dokumenty są wiarygodne i prawdziwe, bo większość z nich pochodzi z urzędowych raportów i archiwów policyjnych. Poza tym pochodzą z różnych źródeł. Co zechcą zrobić z nimi Amerykanie, to już nie moja sprawa. Ja wypełniłem swój obowiązek wobec siostrzanej demokracji i zrobiłem to, jak mogłem najlepiej, bez zwłoki. Nieważne, jak zostaną przyjęte w swoim kraju. Czuję, że muszę zrobić to, co zrobiłem, żeby móc spojrzeć w lustro. - Przerwał na moment, przybierając skromną minę człowieka szczerze oddanego ludziom, przed którymi stał, po czym dodał cicho i z godnością. - Czy są jakieś pytania?

Natychmiast ktoś poprosił o udostępnienie kopii dokumentów.

- Nie mam kopii - wyjaśnił Staffeld. Teraz musi mówić własnymi słowami, bo pytania nie pochodziły ze scenariusza. Musi posłużyć się zdrowym rozsądkiem

i zgodnie z nim odpowiadać. - Ale możecie państwo zrobić zdjęcia i sfilmować wszystko, co mam. Oryginały muszę zatrzymać, żeby nic się z nimi nie stało. - Zabrzmiało to, jak aluzja, że Powers, gdyby mógł, zniszczyłby te dowody.

Sala zawrzała od pytań. Dziennikarze chcieli wiedzieć ze szczegółami, jakiego rodzaju przestępstw dopuścił się Powers. Czy doszło do penetracji? Czy chłopcy, których wykorzystywał, zarabiali w ten sposób? Czy ktoś wydał nakaz aresztowania Powersa?

Staffeld był podekscytowany. Pytania dziennikarzy wskazywały na to, że udało mu się ich przekonać. Przed oczami pojawiła się kusząca wizja nowego luksusowego życia.

- Tak, raporty mówią o penetracji. Również o sodomii. Tylko chłopców z Pragi uznano za zarabiających w ten sposób. Osobiście nic nie wiem o tym, żeby jakiś kraj wydał nakaz aresztowania pana Powersa, ale to nie znaczy, że takiego nakazu nie wydano. Problem polega na tym, że pan Powers dopuszczał się godnych potępienia czynów pod różnymi fałszywymi nazwiskami, przynajmniej w Amsterdamie i w Belgradzie, a przypuszczalnie również gdzie indziej. I oczywiście zauważyli państwo, że był zatrzymany przez policję w Monako, gdzie został osadzony w areszcie, ale wkrótce go zwolniono. Chłopiec, który był ofiarą gwałtu gdzieś znikł, nie było więc żadnego powodu, żeby pana Powersa przetrzymać w więzieniu.

- Czy była mowa o jeszcze innych przestępstwach?

Staffeld chwilę się wahał. Na jego szczerej twarzy malowało się przerażenie. To kolejna mała bomba, którą ma zdetonować zgodnie z instrukcją.

- Być może. I to właśnie jest najgorsze. Proszę zrozumieć, aż boję się myśleć, że może się okazać prawdą, że człowiek tak bliski Białego Domu dopuścił się takiego przestępstwa. - Westchnął ciężko. - Mój kontakt z Amsterdamu twierdzi, że Powers podczas jednej z orgii zabił chłopca. Ciało nigdy nie znaleziono, ale świadkowie ze świątka przestępczego twierdzą, że pan Powers dopuścił się morderstwa.

Sala zatrzęsa się. Nie tak dawno dziennikarze nie mieli prawa podawać do wiadomości publicznej żadnych oskarżeń bez dowodów lub jeśli nie potwierdziły ich dwa niezależne źródła. Tej zasady ściśle przestrzegali podczas swojego pionierskiego dochodzenia Bob Woodward i Carl Bernstein, którzy odkryli Watergate. W tamtych czasach dziennikarzom stawiano wyżej poprzeczkę, a skandale i plotki znajdowały się w kolumnie ciekawostek, obok komiksu. W tamtych czasach żadna gazeta nie opublikowałaby oskarżeń Staffelda, a już z pewnością nie znalazłyby się one na pierwszych stronach, gdyby nie potwierdzały ich dwa niezależne źródła.

Ale tamte czasy należały do historii. Dziennikarze złapali za swoje telefony komórkowe i zaczęli dzwonić do redakcji. Kamerzyści popędzili do montażowni. Zostali reporterzy, którzy przepychali się, żeby zrobić zdjęcia dokumentów.

Ściany pomieszczenia aż drżały, takie panowało zamieszanie i podniecenie. Wszyscy obecni zdawali sobie sprawę, że nawet jeśli ich redaktorzy naczelni podadzą w wątpliwość wiarygodność wyznań nadinspektora policji Staffelda, i tak je opublikują czy puszczą w radiu i telewizji z tej prostej przyczyny, że jeśli oni tego nie zrobią, zrobią to inni. Nie ma sensu zostawać w tyle. W ciągu godziny wieść dotrze do wszystkich mieszkańców Ameryki.

16.58, NIEDZIELA BALTIMORE, MARYLAND

Sam miotał się z wściekłości i zmartwienia. Życie właśnie zgotowało mu jedną z tych niespodzianek, które powodują, że świat wali się w gruzy. I to wszystko przez jego błąd. Nie powinien zostawiać Julii samej. Nie powinien był dzwonić do Pinka. Powinien był zorientować się po reakcji przyjaciela, że wmówiono mu, że Sam postępuje nierozważnie i może zaszkodzić Firmie. Pink w końcu uległ i poddał się autorytetowi władzy.

Ten fakt doprowadzał Sama do furii, ale zdrada Pinka była niczym w porównaniu z lękiem o życie Julii. Ona musi żyć - powtarzał sobie. Serce ścisnął mu lęk.

Kiedy wreszcie gwałtownie zahamował przed starym kinem, był zlany potem i waliło mu serce. Przed budynkiem nie zauważył ani karettek policyjnych, ani żadnych podejrzanych samochodów. Na ulicy były tylko tutejsze ćpuny, wałęsający się pijacy i brudne dzieci o smutnych buziach.

Wbiegł do garażu. Ktoś się tu włamał. Sam wyjął pistolet, rozejrzał się i wszedł do środka. Palilo się światło.

Znikł samochód matki. Sam nie wiedział, co to może znaczyć.

Zwinny jak pantera dopadł drzwi prowadzących do kina. Na wszelki wypadek zgasił światło w garażu, żeby nikt go nie zobaczył. Uchylił drzwi i zaczął nasłuchiwać. Próbował posłużyć się wszystkimi zmysłami tak jak Julia. Ale słyszał tylko bicie własnego serca, a jedynym zapachem, jaki czuł, była sucha woń kurzu i starości. Ze strachem podszedł do lady, za którą kiedyś sprzedawano słodycze. Znowu znieruchomiał i nasłuchiwał. Ale nie dochodził go żaden dźwięk.

Chciał ją zawołać, wrzasnąć na cały głos.

Zauważył książkę dziadka leżącą na najniższym stopniu schodów. Podszedł tam. Książka leżała otwarta, jak gdyby ktoś, kto ją zostawił, za chwilę miał wrócić. Spojrzał na książkę. Na jednej stronie był tekst, a na drugiej zdjęcie klejnotów - pierścionka i dwóch brosz. Przyjrzał się pierścionkowi. Był to pierścionek z aleksandrytem i licznymi błękitnymi kamyczkami. To mógł być pierścionek Julii... ten, który dostała od dziadka Austrianana. Sam uświadomił sobie, że Julia mówiła, że pierścionek może być katalizatorem ślepoty.

Zadrzał ze strachu. Ale opanował się. Poczul, że pamięta wszystko, czego się nauczył w wywiadzie... a czego od dawna nie potrzebował... Oddychając płytko i nerwowo, powoli wszedł na schody i zatrzymał się na ich szczycie. Wciąż nie dochodził go żaden dźwięk. Rozejrzał się po mieszkaniu. Nie zauważył nigdzie płaszcza Julii ani jej pistoletu. Może postanowiła pojechać zobaczyć się z dziadkiem Redmondem. Wspominała, że zamierza to zrobić. Szalona kobieta!

Musi zajrzeć w jeszcze jedno miejsce. Wziął latarkę, zbiegł po schodach i wszedł do sali kinowej. Cisza zdawała się odbijać echem głucho i boleśnie.

- Julio! Julio!

Sam poczul zapach prochu. Ten zapach poznałby wszędzie. Czyżby Julia sama ćwiczyła strzelanie? A może ktoś ją zaatakował?

Podążając za światłem latarki ruszył przejściem między rzędami.

- Julio!

Na scenie nic nie zauważył, a drzwi magazynu były otwarte tak, jak je zostawił. Na drzwiach zobaczył stalowy rygiel. Zwiślał z jednej strony oderwany. Ktoś otworzył drzwi od wewnątrz, przestrzeliwszy kotwiczki, które trzymały zawiasy na miejscu. Wtedy dopiero zauważył, że stopy kleją mu się do podłogi. Przykucnął dotknął wysychającej cieczy. Kałuża była ogromna. W świetle latarki spojrzął na dłonie. Były we krwi.

Zabrakło mu tchu. Czyściciele mogli zabrać stąd ciało, żeby je gdzieś ukryć, ale nie chciał dopuścić do siebie myśli, że ta krew może należeć do Julii. Zniknął jej płaszcz i pistolet, nie było też chevroleta.

Sam zbiegł ze sceny i poszedł przejściem między rzędami. Próbował się skoncentrować i wczuć w jej sytuację. Wyobrażał sobie, co mogła zrobić, żeby przeżyć. Nauczył ją strzelać wystarczająco dobrze, żeby mogła zabić człowieka. Zamierzał zachowywać się tak, jakby żyła. Nie byłby w stanie pogodzić się z inną możliwością. Ból ścisnął mu serce. Podniósł ze schodów książkę dziadka, zgasił światła i pobiegł do samochodu.

40.

20.16, NIEDZIELA

OKRĘG WESTCHESTER, NOWY JORK

Dzisiejsza noc jest wielka. Lyle Redmond z pomocą ojca Michaela zamierza wydostać się ze swojego śmierzącego więzienia. Przed nocą musiał zebrać dość sił, więc popołudnie spędził na drzemce i na słuchaniu radia. Słuchał stacji,

która nadawała muzykę z lat trzydziestych i czterdziestych, ale wiadomości o Douglasie Powersie były tak doniosłe, że spiker przerwał program, żeby je przeczytać. Lyle był zaskoczony, ale czuł też pewnego rodzaju podziw i zazdrość. Do diaska, Creighton świetnie to rozegrał. Stary nie miał żadnych podstaw, żeby tak sądzić, ale był pewien, że za tym wszystkim stoi Creighton.

Lyle natychmiast przestawił radio na stację z wiadomościami i podniósł się na łóżku. Powers i jego sztab wszystkiemu zaprzeczali, a Creighton odgrywał szlachetnego, wzywając naród amerykański do zachowania spokoju i nie ferowania przedwczesnych wyroków. Do wyborów zostały dwa dni. Jeśli nic się nie zmieni, Creighton zostanie prezydentem.

Lyle, pełen złości, wstał z łóżka i podreptał na korytarz. W świetle jarzeniówek na korytarzu jego białe włosy wyglądały jak aureola. Nerwowo spacerował w tę i z powrotem. Creighton zawsze był draniem, większym nawet niż ojciec. Lyle nie mógł uwierzyć, że kraj dostanie się w ręce jego chciwych synów - wiedział, że Creighton nie jest w swojej walce o prezydenturę samotny. I to za sprawą jego pieniędzy!

Do tego nie mógł dopuścić.

Musi ich powstrzymać, choć to nie będzie łatwe.

Nad pagórkami otaczającymi dom opieki w Westchester zapadał zmierzch, a stary człowiek bił się ze swoimi myślami. Miał ochotę rozedrzeć pierś paznokciami. To wszystko jego wina. Za śmiercią Marguerite też musi stać Creighton. Wnuczka Julia jest ścigana przez policję ze zabójstwo jakiegoś nowojorskiego świra. W tym też musiał maczać palce jego syn.

Lyle nie chciał uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Zdawał sobie sprawę z tego, że zrobił w życiu wiele złego... zaczął sobie przypominać wszystkie swoje grzeszki... ale nigdy nie zrobił nic, co mogłoby się równać z tym, co zrobił Creighton. Zastanawiał się, jak do tego doszło, że nie zauważył, co się działo z synem. Dopiero kiedy w zeszłym roku bezczelność synów posunęła się do tego, żeby sfabrykować opinię komisji lekarskiej o demencji starczej ojca, otworzyły mu się oczy.

Od tamtej pory Lyle wiedział, że będzie musiał walczyć przeciwko swoim synom - przeciwko Creightonowi, Davidowi i Brice'owi. Dlatego zaczął pisać pamiętniki.

W domu opieki powoli wszystko cichło. Zapachy gulaszu wołowego z obiadu zadomawiały się w zakamarkach ośrodka na chwilę, by natychmiast wywietrzeć. Kilku rezydentów znalazło schronienie w sali telewizyjnej, a reszta położyła się spać. Drżący z podniecenia Lyle zgasił w swoim pokoju światło i po ciemku ułożył poduszki pod kocem, po czym wyjechał wózkiem na korytarz.

- Dobry wieczór panu. - John Reilly wystawił swoją brzydką czerwoną twarz z kącika, w którym mieściła się recepcja. Uprzejmie skinął głową.

Reilly był wszędzie. Będzie ciężko wymknąć się spod jego kontroli.

- Pieprz się, Reilly.

Reilly nawet nie mrugnął okiem.

- Nie może pan zasnąć, panie Redmond?

Lyle nie raczył odpowiedzieć. Zatrzymał się przed szklanymi drzwiami, za którymi znajdował się okrągły podjazd. Patrzył, jak na szybach mróz maluje swoje białe obrazy. W myślach przebiegał po kolei wszystkie punkty swojego planu. Przez hol przeszła jedna z kobiet, zostawiając za sobą zapach lawendy i w umyśle starego wywołując wspomnienia. Może ona miała rację. Może lepiej dać za wygraną.

Ale zaraz nastrój mu się polepszył. Na podjazd wjechał zniszczony volkswagen furgonetka, a w nim ojciec Michael. Ojciec wysiadł z samochodu jak zawsze w swoim brązowym franciszkańskim habicie, przepasany sznurem. Na głowie miał kaptur chroniący przed lodowatym wiatrem. Szedł w kierunku głównych drzwi z ponurą miną. Worki pod oczami wydawały się większe niż zwykle, a duży nos był zaczerwieniony od mrozu. Mężczyzna poruszał się powoli i ciężko, jakby uginał się pod ciężarem swoich sześćdziesięciu kilku lat życia.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przy Lyle'u zmaterializował się John Reilly.

- Przyjmuje pan gości o tak późnej porze, sir?

- Na to wygląda. Muszę się zobaczyć z moim przewodnikiem duchowym. Spowiedź jest lekarstwem dla duszy. Sam pan powinien kiedyś spróbować. - Uspokoił się trochę.

Reilly wpuścił zakonniką do środka.

- O dziesiątej gasimy światła, sir.

Ojciec Michael skinął głową.

- Oczywiście, panie Reilly. Do tej pory na pewno zdążę wyjść.

Reilly przepuścił franciszkanina, ale Lyle czuł jego palące, czujne spojrzenie na plecach. Ojciec Michael prowadził wózek w kierunku korytarza, rozgałęziającego się w lewo i w prawo. Tam znajdowały się drzwi do pokoi rezydentów. Na końcu korytarza po lewej znajdowała się świetlica, sala telewizyjna i pokoje rekreacyjne.

- Chodźmy do sali rekreacyjnej, ojczu - zdecydował Lyle. Było za późno i za zimno na spacer, a nie mogli iść do pokoju Lyle'a, bo umieszczone w rogach kamery nagrywały wszystko, co się działo w pokoju.

Ksiądz zrzucił kaptur na plecy i powiózł Lyle'a korytarzem. Delikatny zapach kobiecych balsamów do ciała wydostawał się z kilku mijanych po drodze pokoi. Z sali telewizyjnej dobiegały odgłosy telewizora.

W sali rekreacyjnej było ciemno, ale Lyle wiedział, gdzie jest włącznik światła. Zapalił je.

- Ojcie, co ojciec myśli o wybaczeniu grzechów? - Wykrzywionym palcem wskazał na okna.

Zakonnik minął stoły do ping-ponga i zawiózł Lyle'a pod okno.

- Kościół daje człowiekowi oczyszczający sakrament spowiedzi po to, żeby grzesznicy mogli zrzucić ciężar ze swojego serca i uzyskać wybaczenie. Czy chciałbyś odbyć spowiedź teraz?

Lyle pokręcił głową.

- Nie chodzi mi o wybaczenie przez Boga. Mam na myśli człowieka wybaczonego drugiemu człowiekowi.

Zatrzymali się przy oknie. Zakonnik ustawił wózek przodem do siebie. Przyglądał się widocznej pod skórą czaszce starego człowieka, jego szerokiej twarzy, wyblakłym ze starości oczom, błyszczącej, białej czuprynie. Pod cienką jak pergamin skórą drzemała siła.

- Musimy wybaczać - powiedział ojciec Michael z uczuciem. - Nienawiść jest grzechem. Jeśli wybaczasz, możesz w swoim życiu iść dalej, nieobarczony ciężarem czyichś przewinień. Przebaczenie zmywa z człowieka palącą pokusę zemsty, która również jest grzechem.

Po chwili namysłu Lyle zapytał:

- Ale jak się ma wybaczenie do potrzeby uporządkowania pewnych spraw? Załóżmy na przykład, że jakiś wariat ukradnie mi wszystko, co posiadam. Nie sądzi ojciec, że mam prawo odebrać mu swoją własność?

- Istnieje prawo boskie i prawo ludzkie. Bóg nie życzy sobie, żebyśmy powołując się na Jego Imię, mścili swoje krzywdy albo dawali upust nienawiści. Żaden człowiek nie może sam wymierzać kary. Tę rolę na ziemi przejmuje społeczeństwo, z pomocą prawa, a później... kiedy grzesznik opuści ten świat... wtedy sam Bóg będzie naszym sędzią.

Stary rozejrzał się po pokoju. Z daleka, z korytarza, dobiegł ich odgłos kroków, ale jeszcze nie był na tyle blisko, żeby stwierdzić, czy ktoś idzie w kierunku ich kryjówki. W sali telewizyjnej, która znajdowała się obok, głośno grał telewizor.

- Jeśli jednak mam zamiar zmasać swoje winy, jeśli chcę zadośćuczynić, tak jak ojciec mówił, przecież muszę działać.

Zakonnik zastanawiał się, co na to odpowiedzieć.

- Co dokładnie masz na myśli?

- Nie myślę o niczym niezgodnym z prawem. Tyle tylko mogę powiedzieć. W każdym razie najpierw i tak muszę ostatni raz wziąć sprawy w swoje ręce, że się tak wyrażę.

- A czy to będzie zgodne z prawem Boskim?

- Tu też wszystko będzie w porządku. - Lyle wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Musi mi ojciec uwierzyć.

Ojciec Michael milczał. „Rozporządź domem twoim, bo umrzesz i nie będziesz żył”. To z Księgi Izajasza, rozdział trzydziesty ósmy, wers pierwszy.

Wiedział, co Lyle Redmond chciał zrobić - chciał „rozporządzić swoim domem”. Ksiądz pomyślał o prawie Boskim. Jeśli Pan widział kogoś zatwardziałego w swoim grzechu, cierpliwie czekał na chwilę, żeby okazać swoje miłosierdzie. Jeśli ojciec Michael chce ocalić zbuntowaną duszę Lyle'a Redmonda, też będzie musiał wykazać się cierpliwością. Ale mimo wszystko franciszkanin próbował.

- Powiedz mi, co za zadanie masz do spełnienia, a ja pomogę ci je wypełnić.
- Sam muszą tego dokonać. - Lyle wyprostował plecy na wózku. - Idzie. - Ściszył głos. - Już chyba czas. John Reilly ma na mnie oko, łotr. Kiedy się uspokoi, będziemy mogli zacząć działać.

Mężczyźni odwrócili głowy w stronę drzwi, w których nagle pojawił się Reilly. Wyglądał na zmęczonego.

- Chcesz tu czegoś, Reilly? - burknął Lyle. - Może trzeba cię położyć do łóżeczka i opowiedzieć bajkę na dobranoc?

Chłodny wzrok Reilly'ego zlustrował salę, po czym przeniósł się na starego.

- Mogę coś dla pana zrobić, sir?

- Możesz się stąd zabrać do diabła i nigdy nie wracać - powiedział Lyle groźnym głosem. - Już kiedyś o tym dyskutowaliśmy, ptasi mózdku. Nie mam ochoty oglądać twojej obrzydliwej gęby. Jest ze mną ojciec i potrzebują odrobiny prywatności. Jakiego przestępstwa, u diabła, mogę się dopuścić przy zakonniku?

Reilly zamrugał oczami.

- Dobranoc, sir. - Skinął głową franciszkaninowi. - Ojcie Michaelu. - Odwrócił się na pięcie i odmaszerował.

- Wciąż przeklinasz - zauważył mnich.

- Wiem. Staram się zmienić wszystkie złe nawyki naraz. Kto by przypuszczał, że to będzie takie trudne? - Westchnął. - Reilly nie wróci wcześniej niż za godzinę. Może więcej. Gdzie ojciec ma ten drugi habit?

Mnich wstał i odwiązał sznur, którym był przepasany. Ściągnął przez głowę swój długi franciszkański habit i wręczył go staruszkowi. Okazało się, że pod spodem miał drugi taki sam. Obwiązał się z powrotem sznurem.

Lyle wstał i z kieszeni szlafroka wyjął klucze. Ojciec Michael przytrzymał habit i pomógł włożyć go staremu człowiekowi.

Ciężkie sukno opadło na ciało staruszka. Ten ciężar był jak obietnica. Wolność. Zbawienie. Zadośćuczynienie. A potem raj. Staremu serce zatrzepotało nadzieją.

- Ma ojciec jakieś pytania co do planu?

- Wszystko rozumiem. Wykonam swoje zdanie. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, zanim stąd wyjdziemy? - Przepasał Lyle'a sznurem i na siwą głowę włożył mu kaptur.

Lyle wygładził przód habitu dłońmi pokrytymi starczymi plamami. Poczł szorstki materiał i zastanawiał się, jak teraz wyglądałoby jego życie, gdyby żył zgodnie z zasadami wiary. Nie, to nie było możliwe. Nigdy nie pociągala go medytacja. Nawet teraz, kiedy był już stary, zmęczony i dręczony wyrzutami sumienia, zastanawianie się nad tym wszystkim było dla niego bardzo trudne. Sens miało działanie.

- Ma ojciec jakieś pieniądze? - zapytał.

- Złożyłem śluby ubóstwa.

- Trudno. - Staruszek się wyprostował. Większość dnia jeździł na wózku, żeby zbierać siły. Powoli podszedł do drzwi i zgasił światło.

Zakonnik włożył na głowę kaptur i wyprzedził starego. Wyszedł na korytarz.

- Nie ma nikogo.

- Niech ojciec idzie. Policzę do dziesięciu. - Lyle poczuł nagły przypływ energii. Może ze strachu.

Kiedy franciszkanin skręcił w prawo, Lyle czekał, odliczając. Niedobrze by było, gdyby ktoś zobaczył ich razem. W końcu stary wystawił głowę i zobaczył, że zakonnik znika w holu.

Natychmiast ruszył w lewo, w stronę sali telewizyjnej.

- Ojcie Michaelu! - Głos mężczyzny drżał ze starości.

Lyle zamarł w bezruchu. Chyba ma problem. Zdecydował jednak, że nie może uciec ignorując wołającego. Nie udało mu się tak szybko uciec, jego nogi nie były na tyle sprawne. Zasłonił kapturem twarz i odwrócił się.

Zobaczył Jeda Coopersmitha, staruszka dręczonego opuchlizną w kostkach i wyrzutami sumienia. Jed stworzył fundusz inwestycyjny i uczynił z niego giganta wartego miliard dolarów w czasach, gdy miliard naprawdę znaczył dużo. Oczywiście oszukał przy tym pracowników, inwestorów oraz przyjaciół i rodzinę. Ale taki to biznes.

Jed ze swojego elektrycznego wózka pociągnął za habit starego.

- Wysłuchaj mojej spowiedzi, ojcie. Proszę. Lepiej wtedy śpię.

Lyle'owi zrobiło się żal Jeda, ale nie mógł się tu kręcić. Ojciec Michael prawdopodobnie już wyszedł, a upierdliwy Reilly mógł w każdej chwili wrócić, żeby sprawdzić, co u Lyle'a. Musi się stąd zmywać.

Lyle położył dłoń na ramieniu Jeda Coopersmitha. Starał się mówić pouczającym tonem franciszkanina, nadając słowom lekki niemiecki akcent.

- Synu, słyszałem twoją spowiedź tyle razy i chętnie wysłucham jej jutro. Jako pokutę za swoje grzechy zmów dziś przed snem dwadzieścia Zdrowaś Mario. I śpij dobrze. - Lyle odwrócił się.

Ale Coopersmith jeszcze nie skończył.

- Tylko dwadzieścia Zdrowaś Mario?

Lyle natychmiast się zreflektował.

- Oczywiście, masz rację, synu. - Coopersmith chciał pokuty proporcjonalnej do swojej winy. - Pięćdziesiąt Zdrowaś Mario, dwadzieścia razy różaniec. I zapal świeczkę za zdrowie pani Miller. - Pani Miller miała zapalenie oskrzeli i leżała w izbie chorych.

- To dużo - powiedział zadowolony Coopersmith. Ale mogę to zrobić. Sam powinienem był pomyśleć o pani Miller. - I zaczął mamrotać modlitwę.

Lyle odwrócił wózek Coopersmitha w stronę sali telewizyjnej. Kiedy Jed odchodził, Lyle wyjął klucz do tylnego wyjścia i wyszedł na mroźną, wietrzną listopadową noc. Po pierwszym podmuchu wiatru zorientował się, że nie jest ubrany wystarczająco ciepło, ale teraz było za późno, żeby coś z tym zrobić. Trzęsąc się z zimna, szedł pod wiatr przez pograżony w mroku parking. Szedł nierównym krokiem. Miał wrażenie, że chłód przeszywa go do szpiku kości.

Musi się dostać do bramki, skąd zabierze go ksiądz. Wszystko wyglądało niezwykle w poruszających się cieniach. Lyle czuł w powietrzu woń rozkładu i zgnilizny. Wzdrygnął się, ale nie odrywał wzroku od bramki, która była celem. Zakonnik ma czekać za bramką. Potem odjadą bezpiecznie wiejską drogą, którą wiele lat temu sam wybudował. Szedł, potykając się, a w głowie kłębiło mu się coraz więcej myśli. Miał wrażenie, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj...

Wewnątrz budynku ojciec Michael wszedł do głównego holu. Miał wrażenie, że we wszystkich kątach czai się niebezpieczeństwo. Czuł lęk. Skinął głową na pożegnanie kobiecie siedzącej w recepcji. John Reilly, z „Playboyem” w rękę, siedział na krześle przy drzwiach. Reilly stanowi zagrożenie. Ale franciszkanin nie mógł skłamać. Zdecydował, że wyjdzie, nie zwracając na niego uwagi.

Ale Reilly wstał z krzesła i podszedł do zakonnika, gdy ten był już przy szklanych drzwiach. Stał ojcu na drodze, zasłaniając mu wyjście. Złapał go mocno za ramię.

Ojciec Michael zatrzymał się, nie zwracając uwagi na ból. Spokojnie podniósł wzrok. Nie pozwolił sobie na to, żeby pokazać, że się boi.

Reilly zapytał:

- Pan Redmond poszedł spać?

Nagle ojciec Michael poczuł w sobie siłę. Jeśli stoi naprzeciw jednego ze sług szatana, wiedział z całą pewnością, że jest od niego silniejszy, bo miał Boga po swojej stronie. Poczuł, że nagle spłynął na niego spokój i jego decyzja, żeby pomóc Lyle'owi nabrała większego sensu, a nawet stała się koniecznością.

Ojciec odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Pan Redmond opuścił spotkanie razem ze mną.

Spojrzenie Reilly'ego było przenikliwe i groźne. Szukał cienia kłamstwa w oczach zakonnika.

- Dobranoc, panie Reilly.

Reilly jeszcze kilka sekund wpatrywał się w oczy franciszkanina, w końcu bez słowa zszedł mu z drogi.

Ojciec Michael wyszedł na zewnątrz i natychmiast pospieszył na podjazd, do samochodu. Martwił się o Lyle'a. Temperatura spadła poniżej zera. Stary nie powinien wychodzić w taki mróz. Wskoczył do furgonetki. Szybko odpalił silnik i ruszył w kierunku budki strażniczej stojącej przy wjeździe na teren należący do domu opieki.

W myśli zwrócił się do Boga, żeby Lyle'owi nic złego się nie stało. Człowiek nigdy nie ma pewności, co dzieje się w sercu drugiego, ale ojciec czuł, że Lyle Redmond przekroczył Rubikon i znalazł się blisko zbawienia. Życzył staruszkowi, żeby żył jak najdłużej, żeby mógł się nacieszyć owocami nawrócenia. I miał nadzieję, że będzie tego świadkiem.

Zatrzymał samochód, żeby strażnik mógł go zobaczyć. Z drugiej strony nadjeżdżał brązowy Chevrolet z kobietą za kierownicą. Miała siwe włosy uczesane w staroświecki kok.

Strażnik wcisnął guzik i stalowe ramię blokujące drogę ojcu uniosło się. Strażnik zaczął rozmawiać z kobietą, która chciała wjechać na teren domu opieki, tymczasem zakonnik wcisnął pedał gazu i ruszył drogą. Musi szybko zawrócić i poszukać starego Lyle'a. Temperatura na zewnątrz wciąż spadała.

41.

21.02, NIEDZIELA

Przez całą drogę - od trasy międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć, przez roгатki New Jersey i Hutchinson River Parkway - Julia zastanawiała się, w jaki sposób ma się dostać do domu opieki, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, skoro najprawdopodobniej uprzedzono strażników, że mają na nią czekać. Jednak pomimo tego zmartwienia, w głębi duszy czuła uniesienie i ogromną radość. Udało się jej zrobić to, o czym mówił Orion. Sama poddała się hipnozie i w chwili, kiedy wciskała pedał gazu i wyjeżdżała z Kinoteatru Romanów na ulicę, prawie dobrze widziała. Skoro udało się jej to, na pewno poradzi sobie z wejściem do domu opieki.

Wygra. Znajdzie Mayę Stern.

Na początku nie szło jej najlepiej z prowadzeniem samochodu. Wjechała na blaszane pojemniki na śmieci na końcu uliczki, ale szybko odzyskała kontrolę i wyczuła chevroleta. Zawsze uwielbiała prowadzić samochód i szybko, bez trudu, wpadła w rytm jazdy. Poza tym nie można porównywać prowadzenia samochodu - choćby nawet było trochę nerwowo - z ucieczką przed zabójcami, i to jeszcze będąc niewidomą.

Przejechała przez Maryland, Delaware i New Jersey, a po drodze analizowała to, co jej się przytrafiło w ciągu dwóch ostatnich dni. I wszystko zaczęło się jej układać w przerażającą całość. Najbardziej zaskakujące było dla niej odkrycie pochodzenia pierścionka z Aleksandrytem, który dostała od dziadka Austriana. Wszystko zdawało się sprowadzać do tego pierścionka, do Dana Austriana i rodziny Redmondów - jej ślepoty, dwie przesyłki, które spowodowały, że poznała Sama Keeline'a, morderstwo matki, płatny zabójca Maya Stern i w końcu oskarżenia Douglasa Powersa.

Pozornie niemające nic ze sobą wspólnego wydarzenia zaczynały do siebie pasować i tworzyć skomplikowany obraz morderstw, polityki i ludzkich słabości.

Kiedy zobaczyła fotografię swojego pierścionka z Aleksandrytem, kolczyków ze szmaragdami matki i inkrustowanego szlachetnymi kamieniami pudełka z domku Lyle'a Redmonda, zrozumiała, że Daniel Austrian musiał mieć coś wspólnego z „drugim skarbem Himmlera”. Dał kolczyki jej matce, a jej pierścionek, więc mógł dać Lyle'owi szkatułkę. I bardzo prawdopodobne, że dziadek Redmond wiedział, co stało się z Bursztynową Komnatą. Creighton, David i Brice też mogli to wiedzieć.

Bursztynowa Komnata była tematem listu, być może nawet jedynym, który otrzymał Sam. Nieważne, kto ją otrzymał, ale co w niej było. Vince zabrał przesyłkę Sama. Vince zawsze był blisko z ojcem, a to znaczy, że zrobił to na polecenie, czy tylko ze względu na sugestię Creightona.

W noc koncertu debiutanckiego Julii musiało stać się coś tak upiornego, że straciła wzrok i zapomniała, co to było. Creighton pewnie wie, co to było. To jedyne wyjaśnienie, które ma sens, skoro polecił jej psychiatrę, który odmówił zastosowania jedynej metody - hipnozy - mogącej pomóc jej odzyskać wzrok i dowiedzieć się, dlaczego go straciła.

Cień Creightona pojawił się znowu, kiedy zastanawiała się nad skandalem dotyczącym Douglasa Powersa. Nikt nie zyska tyle co Creighton, jeśli Powers przegra. Ale Creighton na pewno nie działał sam... Wiedziała, jakie zasady panują w rodzinie Redmondów. Z prezydentury będą czerpać zyski wszyscy, łącznie z Vince'em, który nie kryje się z tym, że chciałby zostać dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Creighton i Vince mieli i pieniądze, i odpowiednie kontakty, żeby wynająć czyszcicieli. Bez trudu mogli podesłać Mayę Stern jako jej asystentkę.

Zaczęła boleć ją głowa i poczuła, że strach ściska ją za gardło, bo, domyślała się, że życie jej matki zostało złożone w ofierze, aby wuj zaspokoił swoje ambicje. A ona i Sam mieli być kolejnymi ofiarami, podobnie jak Douglas Powers. To bardzo bolesne, dowiedzieć się nagle, że własna rodzina jest tak nikczemna. Julia szalała ze złości. Była wściekła. Znacznie trudniej znieść zdradę i podłość, kiedy pochodzą od własnej rodziny.

W końcu kiedy znalazła się w Armonk, zjechała z Hutchinson River Parkway i zatrzymała się na stacji benzynowej, żeby zapytać o dalszą drogę. Kiedy jechała przez pograżone w ciemności zlewiska rzek, w jej głowie formował się plan, jak dostać się do domu opieki, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Plan był ryzykowny i mógł się nie powieść, ale musi spróbować.

Była złana potem z nerwów, kiedy zatrzymała się przy budce strażnika stojącej przy wjeździe na teren domu opieki. Po przeciwnej stronie stała zielona furgonetka volkswagen, którą prowadził zakonnik w brązowym habicie franciszkanina. Zdawało się jej, że mnich mijając ją, przyglądał się jej. Może ją tu kiedyś widział? Nie była pewna, ale to chyba niemożliwe.

Ksiądz odjechał, a ją z zamyślenia wyrwał głos strażnika.

- Słucham panią? - Był to muskularny mężczyzna około trzydziestu pięciu lat. Miał znudzoną minę kogoś, kto spędził zbyt wiele nocy w tej nudnej pracy. Wiedziała, że nie może czuć się bezpieczna. Nie może powiedzieć, że jest krewną Lyle'a Redmonda, a tym bardziej ujawnić własnego nazwiska. W okularach o grubych szylkretowych oprawkach, z posiwiałymi włosami i z babcinym koczkiem miała nadzieję, że nikt jej nie rozpozna.

Była zdenerwowana, kiedy powiedziała:

- Nazywam się Susan Schwartz. Chciałabym się zobaczyć z babcią, panią Ione Schwartz. Wiem, że jest późno, ale wpadłam tylko na chwilkę. - Podniosła do góry głowę z nadzieją, że nie widać, że trzęsie się z nerwów.

Uśmiechnęła się oficjalnie i wyniosłe - uśmiechem posiadających władzę i pieniądze, uśmiechem Redmondów.

Ione Schwartz była starą przyjaciółką obu dziadków Julii, a jej mąż przez wiele lat robił z nimi interesy. Jeszcze kilku innych znajomych rodziny wybrało ten dom opieki, łącznie z miliarderem Jedem Coopersmithem. Ione naprawdę miała wnuczkę o imieniu Susan, ale z tego, co Julia słyszała, Susan wyszła za mąż za człowieka mieszkającego w Brazylii i tam się przeniosła.

Znudzony mężczyzna zaczął sprawdzać listę gości upoważnionych do odwiedzin.

- Pewnie nie ma mnie na liście - odezwała się. - Byłam właśnie z wizytą u kuzyna w Bedford Hills, więc pomyślałam, że wpadnę przy okazji przywitać się z babcią.

- Proszę chwilę zaczekać. - Choćby nie wiem, jak bardzo był znudzony, jego obowiązkiem było nie wpuszczać gości, których nie było na liście. Podniósł słuchawkę i zaczął mówić coś po cichu.

Po chwili odłożył słuchawkę.

- Może pani jechać. Bramę zamykamy o dziesiątej.

Pełna obaw pojechała w stronę jasno oświetlonego głównego wejścia elitarnego domu opieki.

Wszystko tu było dla niej nowością. Odwiedzała ośrodek kilka razy z matką, ostatni raz kilka miesięcy temu, ale wtedy była niewidoma. Ponurą ziemię gła-skał zimny wiatr. W ciemności Julia widziała skopaną ziemię na pustych klombach. Między klombami wila się wyłożona kamieniami ścieżka, która biegła również wokół niewielkiego jeziora, połyskującego w blasku księżyca jak czarny onyks. Zauważyła jakiś cień, potem kolejny. Nagle ogarnęło ją uczucie, że znalazła się w pułapce, bo zdała sobie sprawę, że te cienie to ubrani w puchowe kurtki mężczyźni patrolujący teren. W dłoniach ściskali strzelby.

Cóż to za dom opieki? Czy ci uzbrojeni strażnicy byli tu zawsze? Matka nigdy o nich nie wspomniała.

Zaparkowała samochód na okrągłym podjeździe. Przejmująco zimne powietrze otoczyło ją jak lodowaty całun. Na lewo znajdował się płot z siatki, na którym przez chwilę zatrzymało się ruchome światło reflektorów. Za płotem nie było widać żadnych zabudowań. Ale było zbyt zimno, żeby się dłużej przyglądać. Pospieszyła do dużych drzwi głównego wejścia.

Drzwi otworzyły się, a za nimi stanął żyłasty mężczyzna o czerwonej twarzy i kamiennym obliczu. To pewnie John Reilly, który witał je, kiedy przyjeżdżały tu z matką. Ze strachu serce zabiło jej mocniej. Włożyła rękę do kieszeni płaszcza; miała tam pistolet. Modliła się, żeby jej nie rozpoznał. Wyglądała zupełnie inaczej - nie miała ciemnych okularów, białej laski ani długich brązowych włosów.

Uśmiechnęła się promiennie, ale zwróciła się do niego tonem, jakim znajomi jej rodziców zwracali się do służących.

- Nazywam się Susan Schwartz. Proszę mnie zaprowadzić do pokoju babci.

Reilly spojrzał na nią i wydawało mu się, że gdzieś już widział tę twarz, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie. W archiwum sprawdził, że wnuczka pani Ione Schwartz, Susan, odwiedziła ją tylko raz. Podobnie jak wielu, którzy usługiwali bogaczom, nigdy nie potrafił zareagować na ton wyższości w ich głosie. Gdzieś w głębi duszy czuł, że oni rzeczywiście są od niego lepsi.

- Tak, mogę panią zaprowadzić. Ale lepiej niech się pani przygotuje. Pani Schwartz jest ostatnimi czasy trochę dziwna.

Julia zauważyła, że mężczyzna jest onieśmielony, ale też że próbuje sobie przypomnieć, skąd ją może znać. Musi go jakoś uspokoić, sprawić, żeby jej wierzył. Westchnęła.

- Powinam częściej tu bywać, wiem. Ale większą część roku mieszkam w Brazylii. - Uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że kiedy zobaczymy się z babcią po

tak długim czasie, będzie to tym większa radość dla niej i dla mnie.

- W Brazylii? - Reilly był pewien, że już ją kiedyś widział. - To spory kawałek.

- Tam już jest prawie lato. - Zatrzęsa się. - To szaleństwo przyjeżdżać do Nowego Jorku w listopadzie, panie... Nie pamiętam pańskiego nazwiska.

Poczuł się mile połączony. Goście rzadko zwracali na niego uwagę.

- Reilly. Chodźmy, zaprowadzę panią do babki.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, przymknęła na chwilę oczy. Wiedziała, gdzie znajduje się pokój dziadka - na końcu korytarza w prawo. Reilly skręcił w prawo, więc odetchnęła z ulgą. Dobrze, że idą do pokoju Ione.

Kiedy szli, Reilly wpatrywał się w twarz posiwiącej kobiety. Vince Redmond dzwonił z informacją, że Julia Austrian i Sam Keeline mogą próbować dostać się do starego. Ta kobieta nie wyglądała na Austrian i nawet nie spytała o tego sukina. Była może podobnego wzrostu, ale miała inne usposobienie, nie była nieśmiałą, sympatyczną młodą kobietą. Lepiej się jednak upewnić. Poprosi o przesłanie fotografii Austrian faksem.

Zatrzymał się przed drzwiami, które znajdowały się w połowie długości korytarza.

- To tutaj. Miłej wizyty. - Popatrzył, jak wchodzi do pokoju, i poszedł zadzwonić do Vince'a Redmonda.

Ione Schwartz siedziała na krześle przy łóżku. Na kolanach trzymała album ze zdjęciami. W świetle lampy jej włosy miały lekko fioletowy, lawendowy blask. Podniosła oczy znad albumu i spojrzała na gościa, a na jej bladej, pomarszczonej twarzy pojawił się słodki uśmiech.

- Czy znam panią, kochanie?

- Och, przepraszam - Julia stała nieruchomo. - Musiałam pomylić pokoje.

Uchyliła drzwi, wyjrzała na korytarz i zobaczyła, że Reilly znika w głównym holu. Uśmiechnęła się do skonfundowanej staruszki, wyszła z pokoju i pobiegła dalej korytarzem, dając się prowadzić pamięci. Zatrzymała się przed drzwiami, które - była pewna - były drzwiami do pokoju dziadka. Drzwi były zamknięte. Poczula podniecenie. Co on może jej powiedzieć? Może w końcu uda się jej uzyskać odpowiedzi na dręczące pytania...

Przekreśliła klamkę i weszła. W pokoju było ciemno.

- Dziadku? Tu Julia, córka Marguerite. Muszę z tobą porozmawiać.

Nie słyszała żadnego oddechu. Złęknioma zapaliła światło. Dziadek był w łóżku. Głowę miał przykrytą poduszką.

- Dziadku? Nie chcę ci przeszkadzać, ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Staruszek nie poruszył się. Julia podeszła do łóżka. Nie zauważyła najmniejszego poruszenia koca ani prześcieradła. Zabrakło jej tchu. Dotknęła łóżka i odgarnęła prześcieradło i koc.

Dwie poduszki były ułożone tak, żeby przypominały człowieka leżącego pod kocem. W pokoju nikogo nie było.

Zaskoczona Julia wybiegła na korytarz i zaczęła zaglądać do innych pokoi, tam, gdzie były uchylone drzwi. W końcu dotarła do ciemnej świetlicy, w której nikogo nie było. W sali telewizyjnej było sześć osób siedzących na wózkach inwalidzkich i na miękkiej, dużej kanapie. Oglądali telewizję. Spojrzeli na nią. Uśmiechnęła się i powiedziała „Dobry wieczór”, ale dziadka tu nie było. W końcu zajrzała do pokoju rekreacyjnego. Nikogo.

Zaskoczona i zmartwiona stała na wprost jakichś zamkniętych na klucz drzwi na końcu korytarza. Gdzie jest dziadek? Poduszki na jego łóżku miały zmylić kogoś, kto chciałby go sprawdzić. Czyżby dziadek uciekł? Czy staruszek z demencją mógł opracować i doprowadzić do skutku plan ucieczki?

Może jednak poduszki miały zmylić kogoś innego? Na przykład ją? Na wypadek, gdyby udało się jej dostać do tego domu opieki?

Drżała z przerażenia, co to mogło znaczyć. Oparła się o przeszkłone drzwi prowadzące na zewnątrz, a drzwi cicho się otworzyły. Włos zjeżył się jej na głowie. To nie były drzwi przeciwpożarowe, bo nie miały klamki. Można je było otworzyć tylko za pomocą klucza.

Powinny być zamknięte na klucz.

Popchnęła drzwi. Lodowaty podmuch wiatru wdarł się do środka. Czy ktoś przez te drzwi stąd uciekł?

Musi się tego dowiedzieć. I zna kogoś, kto może jej w tym pomóc. Cofnęła się do pokoju pani Iony Schwartz. Staruszka odwracała kolejną stroną w albumie ze zdjęciami.

- Gdzieś panią widziałam - powiedziała.

- Byłam tu przed chwilą. - Julia opadła na krzesło obok pani Schwartz. W pokoju unosił się delikatny zapach konwalii.

- Czy wie pani, gdzie może być pan Lyle Redmond?

Głębokie zmarszczki staruszki ułożyły się w wyraz zdumienia.

- Lyle? To stary cap. Pewnie już jest w łóżku. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szalał, jak on. Potem nie ma na nic siły i zasypia. Ale jest zabawny, prawda?

Julia musiała dowiedzieć się jak najwięcej.

- Nie ma go w pokoju. Opuścił dom opieki?

Pani Schwartz uniosła brwi.

- Nie uciekł. Choć nieraz próbował. Pisał wspomnienia, ale Reilly się dowiedział i je zabrał. Lyle zawsze sprawia kłopoty. - Uśmiechnęła się. - Taki jego urok. Byliśmy w sobie zakochani, wie pani. - Przyłożyła rękę do serca i jej twarz nagle wydała się młodsza. Przewróciła kilka stron do tyłu.

To ostatnie wyznanie było dla Julii nowością. W rodzinie krążyły plotki, że Lyle Redmond prowadził bujne życie erotyczne, ale po raz pierwszy Julia usłyszała potwierdzenie tych plotek.

Wiek rozwiązał pani Schwartz język. Dotknęła jakiejś czarno-białej fotografii.

- To on. Co za łobuz był z niego.

Julia przyjrzała się Lyle'owi Redmondowi sprzed co najmniej pięćdziesięciu lat. Był ubrany w elegancki garnitur, a kapelusz miał zawadiacko zsunięty do tyłu. Obok stał jej drugi dziadek, również w eleganckim garniturze, ale ten był wyprostowany i pełen godności. W rękę na wysokości biodra trzymał papierosa. W tle widać było cały rząd budowanych domów.

- To jedna z ich budów? - zapytała Julia zaciekawiona.

- Tak, pierwsza - powiedziała pani Schwartz z dumą. - Mój mąż realizował to przedsięwzięcie.

Takiej okazji Julia nie mogła przepuścić.

- Więc знаła pani Lyle'a i Daniela, kiedy byli młodzi. Jak oni się poznali?

Pani Schwartz oparła się na krześle, a jej oczy zamglily się od wspomnień.

- Daniela znałam od dziecka. Nasi rodzice mieli domki letniskowe obok siebie na Fire Island. Ale pamiętam, jak jego ojciec stracił cały majątek i biedny Daniel popadł w kłopoty. Musiał pracować przez cały czas studiów na Harvardzie. Ale uparł się, że skończy uczelnię, którą skończył jego ojciec, nawet, jeśli by musiał sam na nią zapracować...

- Myślałam, że rodzina Austrianów była bogata! - Julia była zaskoczona. Kolejne kłamstwo, które pewnie tłumaczyło, dlaczego Daniel Austrian tak bardzo chciał zdobyć „drugi skarb Himmlera”.

- Och, nie! Daniel był biedny jak mysz kościelna. Tak samo zresztą Lyle. Różnica polegała na tym, że Daniel był z tego powodu bardzo, bardzo zły. Myślę, że poznali się na wojnie. Bo wiem na pewno, że pod koniec wojny stacjonowali razem w południowych Niemczech. - Uśmiechnęła się i pokręciła głową. - Nie znałam dwóch gorzej dobranych partnerów w interesach. Ale przyjaźnili się aż do śmierci Daniela. - Sięgnęła dłonią, żeby poprawić włosy. - Byłam bardzo niegrzeczna. Miałam z Lyle'em romans. To był taki romantyczny mężczyzna. Oczywiście to było po śmierci jego żony. Wymykał się wtedy z Arbor Knoll i spotykaliśmy się nad Oyster Bay.

Julia pochyliła się zaciekawiona.

- Czy Daniel Austrian jeździł czasem do Szwajcarii...

Nagle drzwi pokoju otworzyły się i Julia się odwróciła. W drzwiach stał John Reilly. Miał poważną minę.

- Nie będziemy dłużej przeszkadzać pani Schwatrz. - Odezwał się lodowato. - Proszę ze mną, pani Austrian.

Julia zastygła nieruchomo w przerażeniu.

Nie może pozwolić, żeby coś złego miało się stać staruszce. Nie ma wyboru.

Poczuła, że coś ściska jej pierś. Przekonana, że nic jej już nie uratuje, powoli wstała i podeszła do drzwi. Ale przypomniał się jej Sam i to, czego ją nauczył. Przypomniało jej się, jak zabiła jednego z płatnych zabójców w kinie. Może jednak się uda...

Z bijącym sercem włożyła rękę do kieszeni płaszcza i znalazła pistolet, walthera.

42.

21.12, NIEDZIELA

Ojciec Michael zwolnił, kiedy zbliżył się do płotu z siatki otaczającego posesję należącą do domu opieki. Wskazówka Lyle'a, żeby jechać wzdłuż siatki, okazała się pożyteczna, ale teraz trzeba jeszcze go znaleźć. Gdzież on się podział? Franciszkanin pomyślał, że w Alpach turyści zamarzają ją w ciągu dziesięciu minut, jeśli temperatura gwałtownie spadnie.

W chłodnym świetle księżycy wyteżył wzrok, skupiając się wokół bramki. Wiatr szeleścił suchymi krzakami i wyschniętą trawą. Gdzież jest ten Lyle Redmond?

Wtedy zauważył jakieś poruszenie. Bramka się uchyliła i pojawiła się w niej zakapturzona postać w długim habicie targanym przez wiatr. Lyle. Ojciec Michael podjechał furgonetką do bramki i przechylił się, żeby otworzyć staruszkowi drzwi.

Lyle wsiadł do środka razem z lodowatym podmuchem wiatru.

- Dziękuję ojcu. Dziękuję ogromnie. Zimno tu, jak sto diabłów! Do diaska!
- Trzasnął drzwiami, wzdrygnął się i złożył ręce, żeby je ogrzać.

Rozejrzał się po wnętrzu zdezelowanego samochodu. W bocznych oknach wisiały wypłowiałe zasłonki, ze ścian poodrywało się obicie, a tapicerka na siedzeniach była bardzo zniszczona. Ale w środku było ciepło, a kiedy ogrzewanie zacznie grzać na dobre, będzie jak w tropiku. - Jestem w rajku!

Twarz mnicha rozjaśnił uśmiech ulgi.

- Nic ci nie jest? - Jego wielki nos był czerwony, jak gdyby rozglądał się za Lylem z głową w otwartym oknie przez dłuższy czas. Jego kwadratowe palce zaciskały się na kierownicy w uścisku, który na czyjeś szyi doprowadziłby niechybnie do śmierci przez uduszenie. Ciemne oczy patrzyły przed siebie. Na pomarszczonej twarzy malowało się napięcie.

- Świetnie, ojciec Michaela. Ale musimy się stąd jak najszybciej ewakuować. Trudno zgadnąć, kiedy ten gad, Reilly, zorientuje się, że mnie nie ma.

- Oczywiście. - Ojciec Michael odpowiadał łagodnie i zachowywał się spokojnie, ale wiedział, że należy szybko działać. Zapalił silnik furgonetki i koła wzbijały w górę piasek, aż trafiły na asfalt. Ruszył na pełnym gazie drogą, oby jak najdalej od domu opieki.

Po chwili staruszek odezwał się.

- Ładnie jedziemy. Ale muszę się do czegoś przyznać. Umieram z głodu.

- Możemy zjeść na plebani.

- Ojciec, miałem na myśli prawdziwe jedzenie.

Franciszkanin spojrział z ukosa na Redmonda siedzącego obok już bez kaptura. Imponująca gęstwina białych włosów w poruszających się cieniach wyglądała, jakby żyła. Jego wyblakłe oczy błyszczały jak opale. Długie kości sterczały pod bladą skórą i zakonnik odniósł wrażenie, że staruszek wymyka się mu spod kontroli. Lyle był osłabiony, ale nie był skończony. Kiedy tylko znalazł się poza terenem domu opieki, natychmiast odzyskał siły.

- Marzyłem o pieczonym kurczaku - powiedział Lyle. - Tłustym pieczonym kurczaku z prawdziwymi tłuczonymi ziemniakami z mnóstwem sosu. Nie z pudełka, jak podają w domu opieki. Czy ma ojciec wystarczająco dużo pieniędzy, żeby mnie tak ugościć?

Ojciec Michael uśmiechnął się.

- Myślę, że sobie poradzimy.

- Świetnie. A potem możemy porozmawiać o Bogu. Czuję się, jakbym wyszedł z więzienia.

- W pewnym sensie tak jest.

- Ach. Coś jeszcze. Nie możemy jechać do parafii w Mount Kisco.

- Ustaliliśmy, że...

- Tak. Ale pomyślałem, że kiedy ten drań Reilly zorientuje się, że ojciec mi pomógł w ucieczce, to będzie pierwsze miejsce, w którym będzie mnie szukał. - Teraz, kiedy był z dala od Reilly'ego, miał kilka spraw do załatwienia. Musi dopilnować czegoś ostatni raz...

Franciszkanin zaś zastanawiał się, czy Lyle nie zgodził się na schronienie w Mount Kisco tylko po to, żeby ucieczka w ogóle doszła do skutku.

- Plan jest taki. - Stary zaczął mówić.

Ojciec Michael słuchał coraz bardziej zaniepokojony.

21.28, NIEDZIELA

W mroku nocy dzikie piękno okręgu Westchester sprawiało wrażenie strasznego i posępnego. Gałęzie pochylały się nisko nad wzburzoną przez wiatr

powierzchnią sadzawki. Wąska droga przebiegała wśród gęstych lasów, mijała kamienne mosty. Zmartwiony i przerażony Sam wjechał na pełnym gazie do niewielkiej miejscowości Armonk i zatrzymał się na stacji benzynowej Sheila przy Main Street. Jakiś młody chłopak udzielił mu informacji, jak dojechać do Domu Opieki Rolling Hills.

Sam poczuł smakowity aromat hamburgerów w barze na stacji, ale wskoczył do samochodu i odjechał.

Przypomniał mu się Pink i to, jak go zawiódł. Z powodu Pinka Julia może już nie żyje. Rozumiał, że przyjaciel desperacko chciał wrócić do pracy i że zawsze miał skłonność do ulegania władzy, nawet ze szkodą dla siebie. Jeśli Vince posłużył się którąś z tych sił nacisku, udało mu się pewnie przekonać Pinka. Nie było to łatwe, ale możliwe.

Sam skrzywił się. Co za różnica, czym Pink się kierował. I tak nigdy mu nie wybaczy.

Pokręcił głową. Wrócił myślami do Julii. Przed oczami stanęła mu jej twarz. Chciał, żeby była tu z nim. Chciał usłyszeć jej głos i poczuć ciepło jej ciała obok siebie. Ona musi żyć.

Ból ścisnął mu serce. I przyszło stare, znajome poczucie winy.

21.30, NIEDZIELA

Reilly, jakby czytając w myślach Julii, wyciągnął pistolet, gdy tylko kobieta znalazła się na korytarzu. Otoczyło ją trzech innych mężczyzn. Wszyscy mieli broń.

- Proszę nam nie sprawiać kłopotów- mruknął Reilly.

Zamknęła drzwi do pokoju.

- Dlaczego miałabym sprawiać kłopoty, panie Reilly? - Ręce jej się trzęsły. Przycisnęła dłonie do siebie. Nie chciała pokazać Reilly'emu, że się boi. - Jestem tu gościem, i to pan zachowuje się nienormalnie...

- Gdzie on jest? - zapytał. - Gdzie jest pani pieprzony dziadek?

- Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć - powiedziała rozgorączkowana.

- Co z nim zrobiliście?

- Posłuchaj, ty...

Podbiegł do nich jakiś człowiek w białym fartuchu. Miał zmartwioną minę.

- Szefie! Na filmie z korytarza widać dwóch mnichów wychodzących z sali rekreacyjnej, obaj mają takie same brązowe habity. Jeden poszedł w kierunku holu głównego, a drugi wyszedł tylnymi drzwiami.

- Przecież te drzwi są zawsze zamknięte na klucz. - Szkarłatna twarz Reilly'ego jeszcze bardziej poczerwieniała.

- No właśnie.

Reilly gorączkowo myślał. Kiedy budowano dom opieki, we wszystkich korytarzach i w holu głównym ukryto kamery. Ochroniarz obserwujący zapis kamer musiał się nie zorientować, że tylko jeden zakonnik wszedł do budynku. Reilly zaklął w duchu. Później będzie czas na ukaranie winnego. Teraz musi się zająć staruchem, który jakimś cudem zdobył klucze do tylnych drzwi i wymknął się przez nie.

Reilly musi jak najszybciej go znaleźć.

- Wygląda na to, że ten mnich wszedł tu z drugim habitem. Mack i Jimmy, idźcie sprawdzić teren przy tych drzwiach. To franciszkanin. Nazywa się ojciec Michael. Jeździ starym volkswagenem furgonetką i mówi z lekkim niemieckim akcentem. Jedźcie do franciszkańskiego kościoła w Mount Kisco. Na rogu Main Street i Green Street...

- Wiem, gdzie to jest! - Odezwał się trzeci z uzbrojonych mężczyzn i pobiegł do wyjścia.

Reilly w zamyśleniu obserwował, jak dwaj pierwsi mężczyźni idą do drzwi na końcu korytarza.

Przez chwilę nikt nie zwracał uwagi na Julię. Został przy niej tylko Reilly. To wystarczyło, żeby stanęło jej przed oczami wszystko, czego doświadczyła w ciągu dwóch ostatnich dni, od czasu śmierci matki. Zobaczyła siebie martwą, tak jak martwa była jej matka. Jedyną szansą na przeżycie... było wykorzystać nieuwagę Reilly'ego i pokonać strach.

Podjęła decyzję. Wyciągnęła z kieszeni pistolet. Mężczyzna właśnie się do niej odwracał, kiedy przytknęła mu lufę pistoletu do brzucha. Mężczyzna zniechęcił się. Spojrzał w dół. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

- Chyba nie jest pan typem samobójcy, panie Reilly. Proszę się nie odzywać. Ani słowa. - Mówiła ściszym głosem, który nawet jej nie zdrzął.

21.38, NIEDZIELA

Sam podjechał do budki strażniczej w chwili, kiedy jakiś samochód z dużą prędkością wyjechał z terenu domu opieki, nie zatrzymując się. Sam spojrzał na twarze kierowcy i pasażera. Mieli ponure miny, a z prędkości można było wnioskować, że mają coś pilnego do załatwienia. Kiedy Sam zatrzymał się przy światłach budki strażniczej, spojrzał przed siebie na okrągły podjazd przed budynkiem. I serce podskoczyło mu z radości. Na podjeździe stał zaparkowany Chevrolet jego matki. Julia tu jest. Julia żyje.

Strażnik wychylił głowę przez okienko w drzwiach niewielkiej budki. Sam otworzył okno w samochodzie. Nie miał czasu na uprzejmości.

Uśmiechnął się w najbardziej czarujący sposób.

- Jak leci? - Nie dał jednak strażnikowi szansy na odpowiedź. Złapał go za kark i uderzył jego głową w krawędź drzwi. I jeszcze raz. Strażnik wydał z siebie cichy jęk i stracił przytomność.

Sam podjechał parę metrów dalej, żeby móc otworzyć drzwi samochodu. Wyskoczył ze środka i rozejrzał się dokoła po opustoszałym terenie. Lodowate powietrze natychmiast przeszło go do szpiku kości. Nie zauważył żadnego świadka swojego nieeleganckiego zachowania.

Wrócił do samochodu i otworzył bagażnik. Wyciągnął z niego sznur. Strażnik zwisający przez okienko zaczął odzyskiwać przytomność i coś pomrukiwał. Sam owinął mu sznurem ręce i nogi i związał je razem za plecami. Strażnik wyglądał jak prosię wzięne na targ. Sam zakneblował mu usta i zostawił na podłodze budki.

Wskoczył do samochodu i ostrożnie podjechał do chevroleta matki. Uważnie rozglądał się dokoła, szukając jakiegos poruszenia, śladu, że coś się dzieje, a przede wszystkim szukał... Julii. Troska o nią nie opuszczała go ani na chwilę, ale czuł coś jeszcze. Nie mógł usiedzieć spokojnie za kierownicą, miał ochotę rozbić pięścią okna w samochodzie. Nie mógł tego uczucia nazwać... czy może nie chciał go nazywać... ale oładnęło nim. Myślał o Julii.

21.40, NIEDZIELA

John Reilly stał przy niej, a jej pistolet wbijał mu się w brzuch. Błede oczy mężczyzny zwęziły się z wściekłości.

- Niech pani rzuci ten pistolet, pani Austrian. Ze mną pani nie wygra.

- Może nie wygram. - Wyjęła mu z ręki broń i pomyślała, że całe życie spędziła na scenie, walcząc z tremą. Teraz więc przywołała swoją umiejętność wyciszania emocji i odezwała się głosem pełnym spokoju. - Ale już zabiłam człowieka i jeśli będę musiała, zabiję również pana. - Po plecach przebiegł jej chłodny dreszcz. Wiedziała jednak, że zrobi to, co będzie konieczne.

- Nie chciałym się wtedy znaleźć w pani skórze. Nie uda się pani wyjść stąd żywej.

Dźgnęła go pistoletem w brzuch. Skrzywił się. Kiedy odezwała się tym razem, nie musiała już się starać, żeby jej głos zabrzmiał twardo.

- Idziemy. - Skierowała go do głównego holu. Samochód stał przed wejściem. Jedyna szansa ucieczki. Zaś najprostsza droga do wozu prowadzi przez hol główny. - Zabieram pana na przejażdżkę...

Reilly potknął się i omal nie upadł. Schyliła się, żeby go przytrzymać, ale okazało się, że to był podstęp. Mężczyzna stał mocno na nogach, odwrócił się do niej i rzucił na nią. Wszystko to wydarzyło się w ułamku sekundy i Julia

zareagowała instynktownie. Tak jakby pewność siebie, której uczyła się przez wiele lat, zogniskowała się w tym właśnie momencie. Kiedy Reilly się na nią rzucił, jego bronią, która miała w ręku - a był to sporej wielkości pistolet - zdzieliła mężczyznę w głowę, zanim ten zdążył zrobić krok. Reilly osunął się na kolana, ale zobaczyli to dwaj mężczyźni na drugim końcu korytarza. Już biegli w ich kierunku z bronią gotową do strzału.

Julia zaczęła uciekać. Zbiegła do holu głównego. Przypomniały się jej słowa Sama: „Jeśli będzie pani mogła, niech pani ucieka”. Zza pleców dobiegały ją krzyki.

- Stać!

- Zatrzymać ją!

Słyszała ich ciężkie kroki za plecami.

Któryś z pensjonariuszy otworzył drzwi i kiedy zobaczył, co się dzieje, natychmiast je zatrzasnął. Na korytarzu wszystko umilkło, słychać było tylko stopy uderzające o podłogę. Julia biegła do głównego wyjścia. Poczula skurcz żołądka. W holu stało dwóch uzbrojonych mężczyzn. Stali tam i gawędzili z recepcjonistką i pielęgniarką.

- Łapać ją! - Za plecami słyszała głos Reilly'a. Za słabo go uderzyła.

Nagle zmieniła zdanie i pobiegła korytarzem w lewo, mijając główny hol. Potem znowu skręciła w lewo, w korytarz równoległy do pierwszego. Jeszcze jeden zakręt w lewo i będą na nią czekać drzwi, przez które wcześniej uciekł dziadek. O ile ktoś ich nie zamknął i jeśli uda się jej dobiec.

Kula przeleciała jej koło ucha i wbiła się w ścianę z prawej strony. Od ściany oderwał się kawałek gipsu i zamienił się w biały obłoczek pyłu. Padł kolejny strzał. Kula przeszła połę jej płaszcza. Julia poczuła smród spalonej wełny. Strzelali do niej w biegu. Nie najlepsza kombinacja. Julia wciąż miała pistolet Reilly'ego. Dobrze. Bo on mógłby mieć na tyle rozsądku, żeby się zatrzymać i dopiero wtedy do niej celować.

Za plecami usłyszała warknięcie.

- Biegnie do drzwi dla służby! Odetnijcie jej drogę!

Pędziła jak oszalała, wzięła ostatni zakręt na końcu korytarza i jeszcze przyspieszyła. Oddychała ciężko, a jej nogi zdawały się z każdym krokiem cięższe. Od drzwi dzieliło ją jeszcze kilka metrów. Pchnęła je, modląc się do Boga...

Z lewej strony słyszała krzyki i strzały.

I za plecami.

Znalazła się na mroźnym powietrzu. Chłód uderzył w jej gorącą twarz i pracujące jak miechy płuca - jakby ogień wpadł do lodowatej wody. Za wcześniej na radość.

Wokół niej padał grad kul. Ostre odłamki muru eksplodowały. Julia biegła w kierunku parkingu.

Sam wyskoczył z samochodu przed głównym wejściem i usłyszał strzały. Wskoczył z powrotem za kierownicę, wykręcił ostro i pojechał w miejsce, skąd dochodziły.

Płuca paliły Julię żywym ogniem, pot lał się z niej strumieniami, ale biegła przez parking. W ciemności zauważyła w oddali furtkę w wysokim płocie otaczającym teren. Za furtką może będzie droga, domy i jacyś dobrzy ludzie.

Z trudem łapała powietrze. Serce waliło jej jak młotem. Obudziła się w niej jednak nadzieja, zaczęła wierzyć, że może jej się uda...

Dopóki kula nie drasnęła jej łydki.

Julia upadła na beton. Pomyślała, że to musiała być broń dużego kalibru, skoro tak szybko upadła. Kiedy padała, pistolet Reilly'ego wypadł jej z lewej ręki i wyładował trzy metry dalej na ciemnym betonie. Ale w prawej dłoni wciąż miała walthera.

Nie czuła nawet bólu. Słyszała zbliżające się kroki. Zerwała się z ziemi. Za późno. Jakiś mężczyzna wykręcił jej rękę na plecy i zabrał pistolet. Pięciu innych o wściekłych twarzach, dysząc, otoczyło ją.

- Dziwka. - Reilly sapał. - Taka sama jak jej pieprzony dziadek. Buntownicza. Idiotka! Weźcie ją do środka i zaczekajcie, aż się po nią zgłoszę.

Zbliżyli się do niej z wycelowanymi w nią pistoletami.

- Kto ma się po mnie zgłosić? - syknęła. - Wujek Creighton? Kuzyn Vince?

- Niech się pani nie interesuje.

Niespodziewanie światła reflektorów oświetliły całą grupkę. Zbliżał się do nich jakiś duży samochód - światła miał umieszczone dosyć wysoko nad ziemią. Serce Julii podskoczyło z radości. Pomyślała, że samochód Sama, dodge durango, miał światła równie wysoko. Przypomniało się jej, że zauważyła to w alejce przed willą wuja Brice'a. Te światła były dokładnie takie same. Wszluchała się w warkot pracującego silnika, w jego rytm. Wczoraj słuchała tego dźwięku tyle godzin i teraz miała pewność, że to ten sam silnik.

- Kto to, kurwa, jest? - zawołał jeden z osiłków Reilly'ego zasłaniając oczy.

Siedzący za kierownicą Sam poczuł ulgę czy raczej wpadł w euforię - Julia żyje. Dzięki Bogu! Stała na środku parkingu w długim płaszczu jego matki, a jej siwe włosy błyszczały w świetle reflektorów jak żywe srebro.

Kiedy zauważył pięciu otaczających ją mężczyzn, jego euforia trochę zmalała.

Przez moment myślał, żeby dodać gazu i wjechać w tę gromadkę, ale wtedy mógłby zranić Julię.

Zasada obowiązująca w Firmie mówiła, żeby zawsze, kiedy to możliwe, uciekać. W tej sytuacji powinien zaczekać na Julię, a ona powinna uciekać do jego samochodu. Ale Julia nie знаła zasad. Sam czuł, że każda komórka jego ciała wyrwa się, żeby wyskoczyć z samochodu i ją ocalić.

Jedną ręką złapał za pistolet, drugą otworzył drzwi od swojej strony. Przytrzymując drzwiczki lewą ręką, podjechał, trzymając kierownicę między kciukiem i kolbą pistoletu. Zatrzymał się półtora metra od Julii i otaczających ją mężczyzn. Zamierzał ich oślepić światłem reflektorów. Otworzył szerzej drzwi i wyskoczył ze środka.

Reflektory znajdowały się zaledwie metr od grupki stojącej na parkingu. Ich światło przebijało mrok i rozjaśniało plac oślepiającą jasnością, nawet jeśli ktoś nie patrzył prosto na samochód.

- Jezus Maria! Ten facet to jakiś pieprzony czubek. Mack, zrób z nim porządek. Reszta niech weźmie Austrian do środka. Ruszać się!

Oślepiony Reilly ruszył w kierunku budynku, a pozostała czwórka popychała za nim Julię.

Dwie rzeczy zdarzyły się prawie jednocześnie: Mack zbliżył się do drzwi kierowcy, i Sam wyskoczył ze środka.

- Co ty, kurwa, wyrabiasz, człowieku! - wrzasnął Mack.

Sam błyskawicznie ocenił sytuację. Mężczyzna wydostał się z łuny światła, ale najwyraźniej wciąż był oślepiony, bo celował niepewnie przed siebie. Płynnym ruchem Sam prawym łokciem podbił przedramię mężczyzny, wykonując chwyt *shuto uchi*.

Mężczyzna stęknął i zanim jego pistolet wylądował na betonie, Sam zdążył odchylić się do tyłu, ugiąć lewą nogę w kolanie dla zachowania równowagi i prawą stopą wykonać silne kopnięcie *mae-keage* prosto w brodę mężczyzny. Coś zachrzęściło i ciało osunęło się na ziemię, nie wydając z siebie już żadnego dźwięku.

W tej samej chwili Julia podjęła próbę walki. Wiedziała, że wszyscy są oślepieni, podobnie jak ona. Wyciągnęła z kieszeni płaszcza gaz w sprayu, własność matki Sama. Za pomocą swoich wyczulonych zmysłów próbowała zlokalizować czterech mężczyzn, którzy ją popychali. Czula ich obecność: szli za nią po obu stronach, w odległości mniejszej niż metr.

Nie wahała się dłużej. Odwróciła się, przycisnęła guzik na pojemniku i skierowała strumień tam, gdzie spodziewała się ich twarzy. Zaczęli wrzeszczeć z bólu.

Reilly raptownie odwrócił się. Chciał złapać ją za rękę. Czula jego gesty - fale ciepłego powietrza w lodowatym powietrzu. Niemożliwe, żeby ją widział.

Uśmiechnęła się i jeszcze raz nacisnęła przycisk na pojemniku. Skierowała go w oczy Reilly'ego. Mężczyzna wrzasnął i zaczął je trzeć. Głośno przy tym kłął.

Sam widział akcję Julii i pięciu mężczyzn krzyczących i przecierających oczy. Wskoczył za kierownicę i ruszył do przodu, żeby zahamować tuż przed nią z piskiem opon. Otworzył jej tylne drzwi, gdyż były najbliższe.

- Wskakuj!

Julia wskoczyła na tylne siedzenie i samochód wyskoczył do przodu.

43.

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

Zurych był w tamtych czasach siedliskiem różnej maści agentów i żołnierzy. Maas nie mógł bronić się przed radością i gorączką zwycięstwa, która wszystkich opanowała. Był bankierem, ale też duszą romantyczną. Kiedy odkrył skarby, które Heinrich Himmler zdeponował w jego banku, wiedział, że jego obowiązkiem jest zwrócić je prawowitemu właścicielowi. Nie mógł jednak tego zrobić, dopóki były zdeponowane na nazwisko Himmlera. Patrząc na sprawę od strony obowiązującego w Szwajcarii prawa, dzieci Himmlera dziedziczyły po nim jego konto.

Maas przepisał więc skarby na konto, które, otworzył na nazwisko Rogera Bauera. Tej nocy poszedł to uczcić z nowym przyjacielem, oficerem armii amerykańskiej, który obiecał mu pomoc w odnalezieniu prawowitego właściciela kosztowności i dzieł sztuki, gdziekolwiek był. Wtedy go zamordowałeś... za to, że chciał być uczniwy.

19.01, NIEDZIELA

ANAHEIM, KALIFORNIA

Smakowite aromaty unosiły się z wytwornej sali balowej imponującego pałacu Hyatt Regency w Anaheim, gdzie wkrótce rozpocznie się wystawna kolacja i przemówienia. W sali za ścianą Creighton Redmond ścisnął dłonie, kiwał głową z powagą lub śmiał się - w zależności od potrzeby - witając stojących w kolejce ludzi, którzy starali się zwrócić na siebie jego uwagę.

Witał się właśnie ze sponsorami Pomarańczowego Okręgu - multimilionerami od oprogramowania, sprzętu komputerowego, usług finansowych, handlu, reklamy i samochodów. Bogactwo i chęć zrobienia interesu zdawały się z nich

parować. Creighton stał w przejściu i odplącał charyzmatycznym uśmiechem za każdą obietnicę oddania na niego głosu i za każde przyrzeczenie wsparcia finansowego.

- Jakie są pańskie ostatnie notowania, panie sędzio? - zapytała kobieta z Irvine, firmy budującej szklane biurowce, które miały pięćdziesiąt pięter i wznosiły się nad gajami owoców cytrusowych.

- Mamy czterdzieści pięć procent - powiedział Creighton ponuro. - Od czterech godzin bez zmian.

- Hej! Czterdzieści pięć procent! - wykrzyknął mężczyzna z Huntington Beach, miejsca, gdzie gwiazdy filmowe kupowały drogie domy, żeby je zburzyć i zbudować jeszcze droższe, tak ogromne, że nazywano je hangarami. - To jest coś. Słyszałem, że rano było czterdzieści procent. Wygramy te wybory!

Creighton przyjmował gratulacje ze spokojem, wolał zachować szczególną ostrożność. Douglas Powers doskonale radził sobie w sytuacji, w jakiej się znalazł. „Oskarżenia są bezpodstawne” - twierdził. - „Kłamstwa! Stek kłamstw!”.

Jego żona i dzieci zaproszeni do radia żarliwie zaprzeczyli, że Powers ma cokolwiek wspólnego z czymś tak ohydny jak molestowanie seksualne dzieci. Siła ich wiary w niewinność ojca i męża była tak wielka, że prawie momentalnie notowania przestały spadać.

Wszystko wskazywało na to, że Creighton zatrzyma się na czterdziestu pięciu procentach.

- Wygramy, bo nasz program jest lepszy dla Ameryki - powiedział rzeczowym tonem. - Nie z powodu skandalu.

Kiedy podeszła do niego następna grupka, poczuł, że jego telefon komórkowy wibruje na piersi. Zignorował go, i skupił się na umacnianiu swojej pozycji w tym bardzo ważnym stanie. Bez wytchnienia ścisnął dłonie i przyjmował gratulacje, aż pojawił się przy nim Mario Garcia.

- Szanowni państwo, już czas na kolację - oznajmił Garcia z uśmiechem na wychudzonej twarzy. - Muszę teraz na kilka minut porwać kandydata.

Zrobiło się zamieszanie i podekscytowani goście zaczęli wchodzić do sali balowej wielkości magazynu. Creighton poszedł z Mariem. Nie powinien dawać ponieść się emocjom, ale musiał przyznać, że był coraz bardziej podekscytowany wyborami.

- Co się dzieje, Mario?

Mario przedstawił mu ową wersję reklamy telewizyjnej, którą chcieli jutro puścić w telewizji. Powód do zmiany okazał się ważki.

- Poświęciliśmy mnóstwo czasu, żeby sprawdzić oskarżenia przeciw Powersowi i wszystko się potwierdza. - Mówił ścisłym głosem, ale widać było, że jest zaaferowany. - Powers był w tym czasie w tych wszystkich miastach. Daty

się zgadzają. - Podniósł głos. - Amsterdam. Belgrad. Monako. Praga. Powers nie może temu zaprzeczyć. Czeką go sprawy w sądzie. Mamy drania!

Creighton złapał Maria za ramię.

- Mówi pan, że to... to wszystko prawda? - Creighton postarał się, żeby jego mina i głos wyrażały mieszane uczucia, tak jak się tego można było w tej chwili spodziewać. Był zaskoczony, ale również uradowany z powodu takiego obrotu spraw i równocześnie przerażony.

- Tak, panie sędzio, to wszystko. Wygląda na to, że każde słowo to święta prawda.

Creighton wiedział, że ludzie z jego sztabu znajdują materiały potwierdzające winę Powersa. Wszystko dzięki mrówczej pracy Vince'a. Przekupiono świadków, spreparowano dokumenty. Powers, będąc przedstawicielem handlowym firmy produkującej żywność konserwową, przez blisko dwadzieścia lat podróżował po Europie. O wielu wizytach wspominały gazety typu „Business Week”, „Wall Street Journal” czy „Forbes”. Takie informacje były naturalne, bo Powers był gwiazdą w swoim zawodzie. Inwestorzy wiedzieli, że zaraz po wizycie Powersa przyjdą zyski. Przed ośmioma laty Powers wygrał wybory do senatu, ale nie przestał podróżować. Nie zawsze znany był cel jego wyjazdu. Nie miał zwyczaju informować o wszystkich swoich poczynaniach. Dopiero kiedy udało mu się zrobić coś dobrego dla kraju, powiadamiał media. O porażkach nikt nie wiedział. To te podróże podsunęły Creightonowi pomysł, żeby je wykorzystać. Jaki był ich prawdziwy cel?

- Jedziemy z tą nową wersją reklamy - powiedział Creighton. - Dopilnuje pan żebyśmy jak najszybciej z nią wystartowali? - Nadszedł czas, żeby w delikatny sposób dać do zrozumienia społeczeństwu, oczywiście nie wprost, tylko za pośrednictwem kampanii reklamowej, że może byłoby rozsądnie wziąć pod uwagę oskarżenia, które padły pod adresem Douglasa Powersa.

Na twarzy Maria malowała się nieskrywana radość.

- Będziemy pracować całą noc. Nic nam nie przeszkodzi. - Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu Mario był przekonany, że co prawda pracował dla wspaniałego kandydata, ale ten nie został doceniony przez kraj i że jego praca pójdzie na marne. Teraz był zachwycony. - To chyba ten cud, o którym mówił Anwar Sadat. Wygramy. Będzie pan prezydentem. Miał pan rację!

Creighton był wniebowzięty, ale nie dawał tego po sobie poznać. Czuł, że jego ciało jest tak lekkie, że niemal lewituje, a myśli są tak jasne, jak dawno nie były. To jeszcze nie koniec, jeszcze wszystko mogło się wydarzyć, a on, zamiast

w Białym Domu, mógł skończyć w więzieniu. Jednak prawdopodobieństwo wygranej było dużo większe. Podniósł kieliszek szampana, podziękował Mariowi i odesłał go do pracy, a sam podszedł do drzwi prowadzących do sali balowej, gdzie czekała kolacja, przemówienia i - co najważniejsze - tłum pochlebców.

Telefon komórkowy znowu zaczął wibrować na jego piersi. Creighton skinął na stojącego najbliżej agenta ochrony.

- Jason, przekaz ludziom przy stole, że przyjdę za kilka minut. Muszę odebrać telefon. Powiedz, żeby zaczęły jeść.

Usiadł na krześle w kąci, gdzie miał nareszcie odrobinę prywatności. W słuchawce usłyszał głos Vince'a i od razu zorientował się, że będą problemy.

Co się stało? - zapytał.

- Julia znowu uciekła. - Vince zrelacjonował ucieczkę Julii z Rolling Hills. - Niech to szlag, ona jest sprytniejsza i twardsza, niż podejrzewaliśmy. Co gorsza, stary też uciekł. Pomógł mu chyba franciszkanin.

Creighton poczuł wściekłość. Pozwolili staremu uciec!

- Opowiadaj!

- Reilly wysłał swoich ludzi, żeby znaleźli tego mnicha, ale do tej pory nic nie mają. Reilly twierdzi, że ojciec odwiedzał dziadka od wielu miesięcy. Przypuszcza, że ukryją się przy jakimś kościele. Ludzie Reilly'ego sprawdzają wszystkie kościoły w okolicy. A moi ludzie szukają Julii i Keeline'a. Sytuacja nie przedstawia się najlepiej.

Creighton rozejrzał się po sali, po drogich meblach i obiciach ścian, spojrzał na dyskretnych agentów ochrony w czarnych garniturach, na wielki kryształowy żyrandol i na ubranych na biało kelnerów, którzy zbierali puste kieliszki i zużyte serwetki. Przez chwilę miał wrażenie nierealności tego wszystkiego.

Ale zaraz się rozchmurzył. Za dużo przeszedł, że zbyt wielu katastrof wyszedł cało, żeby teraz jedno niewielkie niepowodzenie miało go powstrzymać.

- Liczba kościołów, do których ten ksiądz mógł go zabrać, jest ograniczona. To może być kościół franciszkanów albo inny, w którym franciszkanin mógłby znaleźć schronienie, albo taki, do którego mógłby pójść dziadek. Myśl o tym, znajdziesz ich. Jeśli chodzi o Keeline'a, mamy dostęp do jego kont. I czas nasłać na niego policję nowojorską. Do tej pory nie chciałem z tej możliwości korzystać, bo Keeline mógłby próbować się wykreśćić, ale teraz nie mamy wyboru. Zadzwon do komisarza policji. Powiedz mu, że Keeline jest zdrajcą i został dyscyplinarnie zwolniony z CIA. Wprowadź do jego akt odpowiednie zmiany, które to potwierdzą. Wszyscy wiedzą, że to kobieciarz, więc nikt nie będzie wątpił, że teraz zainteresował się Julią. Daj komisarzowi zdjęcie Keeline'a. Możesz też oficjalnie skontaktować się z czyścicielami i wydać odpowiednie rozkazy. Poza

tym wszyscy wiedzą, że ojciec cierpi na demencję, więc i tak nikt nie uwierzy w bajki zwariowanego staruszka.

Vince dzwoniący z Georgetown poczuł się pokrzepiony. Chłodna analiza sytuacji i rozkazy ojca podziałały na niego jak zimny prysznic.

- Właśnie sprawdziłem, że Keeline ma telefon komórkowy. Spróbujemy go namierzyć. Roześlę opis jego samochodu. Znajdziemy ich.

- Znajdziemy, nie mają szans. - Creighton zamilkł na chwilę. - A co ze Staffeldem?

- Mamy go w garści. Na wszelki wypadek wysłałem Helen i dzieciaki na ranczo, gdyby miało się okazać, że Staffeld rzeczywiście trzyma złego psa. - Vince roześmiał się. Kiedy Staffeld zorientował się, że jego pokój hotelowy ma urządzenia podsłuchowe, zrozumiał, że nie pozostało mu nic innego, jak zmienić miejsce pobytu bez zwracania na siebie uwagi. Nie wiedział tylko, że Vince chciał, żeby Staffeld znalazł podsłuch. W zapięciu walizki, która czekała na Staffelda na Heathrow znajdowało się urządzenie wysyłające sygnały informujące o miejscu, w którym walizka się znajdowała. Staffeld czuł się bezpieczny w swojej „kryjówce”, co dawało im nad nim przewagę, bo nie zachowywał się ostrożnie. - Maya Stern zdejmie go jutro, tak jak planowaliśmy.

Creighton kiwnął głową. Dziś rano dzięki reporterowi z londyńskiego „Sunday Timesa” wybuchła pierwsza bomba. Całe popołudnie i wieczór wszystkie media zarzucały kraj materiałami przedstawionymi przez nadinspektora policji Staffelda. Zgodnie z nimi kandydat na prezydenta Powers był pedofilem i możliwe, że mordercą. Do jutrzejszego popołudnia musi nastąpić kolejny wybuch i Staffeld, nieświadomie, zdetonuje bombę. Po tym wydarzeniu, które przypieczętuje winę Powersa, Creighton był pewien, że wygra wybory.

- Pomyślałeś, żeby zorganizowałeś ochronę sobie? - zapytał syna. Pytał, mimo że groźby Staffelda wydawały mu się próżne. Po co jednak ryzykować?

- Oczywiście. Nie martw się o mnie. Potrafię o siebie zadbać. - Vince wyjął z szuflady swój pistolet, sigsauera, którego używał, gdy pracował jako czynny agent.

- Wiem, synu.

Rozłączyli się. Creighton siedział jeszcze chwilę na obitym pluszem fotelu. Wreszcie wstał. Czuł się jak koń, który za chwilę wygra ostatnią z trzech gonitw, a zwycięstwo zapewnia zdobycie wyjątkowej nagrody, Potrójnej Korony. Niemal czuł rozgrzewające ciepło słońca, słyszał tłumy wiwatujące na jego cześć, widział lśniące trofeum na mecie. Podszedł do drzwi. Między nim a zwycięstwem stali tylko ojciec i Julia. Zmiażdży oboje. Przysiągł to sobie.

44.

22.15, NIEDZIELA OKRĘG WESTCHESTER, NOWY JORK

Wiatr wiał coraz silniej. Przedzierał się między drzewami jak pędzący szatan. Gałęzie pochylały się nad drogą. W białych smugach światła reflektorów widać było suche liście i patyki gonione po asfalcie. Sam skoncentrował się na prowadzeniu, bo warunki były fatalne, a on wciąż próbował zwiększyć prędkość, żeby mogli znaleźć się jak najdalej od domu opieki.

- Mój bohater - powiedziała z dumą Julia. Zaczynało robić się jej ciepło w ogrzewanym wnętrzu samochodu. Zraniona łydka bolała, ale nie bardzo.

- Boże święty, kiedy zobaczyłem panią otoczoną przez tych... - Jego rzeźbiona twarz stężała.

- Też się bałam. Przepraszam, że tak od razu dałam się uratować.

- Była pani zachwycająca. Ale przynajmniej, że zawał serca był blisko. - Na karku czuł stróżkę potu. - Ledwie zdążyłem podjechać, żeby panią porwać.

- Nigdy nie byłam bardziej szczęśliwa, niż kiedy zobaczyłam pańską przeżaloną twarz. Dzięki Bogu, umówiliśmy się, że następnym krokiem będą odwiedziny u dziadka w domu opieki. - Uśmiechnęła się szeroko. - Sporo nowych rzeczy dowiedziałam się w kinie i tutaj. Mam opowiedzieć?

Sam uśmiechnął się.

- Ja też mam kilka nowości. Ale pani pierwsza.

Oparła się o siedzenie i zaczęła opowiadać. Obserwował ją kątem oka. Zmieniła się. Te same błękitne oczy, ten sam prosty nos, wysokie kości policzkowe i pełne usta, ale coś się zmieniło w jej spojrzeniu. Było twardsze. Siedziała obok niego i pełna emocji opowiadała, jak znalazła jego książkę o skarbach z Królewca, w której zobaczyła zdjęcie swojego pierścionka, kolczyków matki i pudełka dziadka Redmonda.

Pokiwał głową.

- To znaczy, że zidentyfikowała pani trzy kosztowności ze skarbu z Królewca będące w posiadaniu rodziny Redmondów i Austrianów.

W jej błękitnych oczach zagościł smutek.

- Wygląda na to, że mógł pan mieć rację, że dziadek Austrian wiedział o „drugim skarbie Himmlera”. Podobnie zresztą jak dziadek Redmond.

Zastanowiła się, jakimi ludźmi byli jej dziadkowie. Ani jeden, ani drugi nie należał do słodkich dziadziusiów z filmów dla dzieci, którzy czytali wnuczkom bajki, zabierali je na lody i na spacer do parku. Julia pamiętała, że kiedyś

chciała wdrapać się na kolana dziadka Redmonda, ale dziadek zażartował, pogłaskał ją po główce i odesłał do mamy. Innym razem jak wzięła dziadka Austriana za rękę, bo potrzebowała pocieszenia. Jego ręka była zimna i nieprzyjemna. Nie pocieszyła jej. Dziadek po prostu pozwolił jej trzymać swoją dłoń, aż dziecko poczuło się niewymownie zranione i puściło rękę. Oczywiście nie było to jakieś brutalne odrzucenie, ale Julia już nigdy nie oczekiwała ciepła od żadnego ze swoich dziadków. Sam wyczuł, że Julia jest przygnębiona.

- Nich mi pani opowie, jak to się stało, że znowu straciła pani wzrok.

Podmuchy wiatru uderzały w samochód, a ona zaczęła mu opowiadać, jak oślepla, kiedy zobaczyła pierścionek z aleksandrytem. A potem, jak została napadnięta przez Mayę Stern z czyścicielami.

- Zabiłam człowieka - powiedziała cicho. Żałowała tego, ale wiedziała, że nie było innego wyjścia.

- Kiedy się pojawiłem, ciała już nie było. Została tylko kałuża krwi. Cieszę się, że to nie pani zginęła.

- Ja też.

Przyjrzał się jej.

- Czy ma mi pani coś jeszcze do powiedzenia?

Powiedziała mu, co wydedukowała na temat Creightona i Vince'a i czego się dowiedziała o dziadku Redmondzie.

- Pani Schwartz okazała się prawdziwą kopalnią informacji. Powiedziała, że dziadek od początku starał się uciec z tego domu opieki i że wciąż był z niego rozrabiaka. Jeśli to prawda i jeśli naprawdę planował i przeprowadził ucieczkę, wątpię, czy jest zdziecinniałym staruszkiem z demencją. Jeden z ochroniarzy powiedział Reilly'emu, że kamery w korytarzu nagrały dziadka przebranego za zakonniką i drugiego zakonniką. Prawdziwy mnich wyszedł z domu opieki głównym wejściem, a dziadek wydostał się przez te same drzwi, przez które ja wybiegłam. Sama widziałam, jak jakiś zakonnik wyjeżdża z terenu ośrodka volkswagenem furgonetką.

Sam mocniej zacisnął dłonie na kierownicy, bo kolejny silny podmuch wiatru uderzył w samochód.

- Mówi pani, że za tym wszystkim stoi Creighton, a Vince jest jego prawą ręką. I że dziadek Redmond też jest w to w jakiś sposób zamieszany.

- Tak. Poza tym to wszystko ma jakiś związek z moim koncertem debiutanckim, kiedy straciłam wzrok. Creighton polecił mi psychiatrę, który rozmyślnie mi nie pomógł, a później wystąpił z kłamliwym oświadczeniem w prasie. Musi ukrywać coś, co się tamtej nocy wydarzyło...

Za oknami rozszalała prawdziwa wichura. Samochodem aż zarzucało. Wiatr wyl złowieszczo. W pewnym momencie jakiś wyrwany z korzeniami krzak przetoczył się przez środek drogi tuż przed kołami samochodu. Potem spora gałąź spadła na drogę.

Sam gwałtownie wykręcił, żeby wyminąć przeszkodę. Po chwili znowu jechałi prawą stroną. Sam odezwał się.

- Tamtej nocy zginął pani ojciec, prawda? Może to jest ta rzecz, która łączy fakty.

- Myślałam o tym. Ale to był wypadek samochodowy. Noc była taka jak dziś, wichura. Ojciec odwiózł dziadka Austriana do jego domu w Southhampton. Było po czwartej rano, a ojciec wracał do Arbor Knoll. Musiał być bardzo zmęczony. Coś się musiało stać, może na drogę spadła taka gałąź, jak przed chwilą. Stracił panowanie nad samochodem i wjechał na słup telefoniczny. - Poczula suchość w gardle. - Samochód stanął w płomieniach.

Sam milczał. No tak. Trudno się tu dopatrzeć ingerencji Creightona.

- Właśnie. - Wciąż nie mogła myśleć spokojnie o śmierci ojca. Wróciła do swojej analizy. - Creightonowi udało się przechwycić obie przesyłki, zanim ktokolwiek zdążył do nich zajrzeć, z wyjątkiem pana. Ale przeczytał pan tylko kilka linijek. Żeby zdobyć te przesyłki, Creighton posłużył się pomocą Vince'a i Mayi Stern. Myślę, że wiem, dlaczego te paczki są tak ważne. Pani Schwartz powiedziała, że dziadek pisał pamiętnik, ale ochrona go znalazła i zniszczyła. Te przesyłki do pana i do mamy mogły być częścią pamiętników, które udało mu się ukryć i wysłać.

Uniesienie Sama rosło.

- Może naprawdę chciał mi powiedzieć o Bursztynowej Komnacie.

Julia wzięła do ręki jego telefon komórkowy.

- Zadzwońię do kościoła franciszkanów w Mount Kisco. Reilly powiedział, że ksiądz mógł tam zawieźć dziadka.

Sam powstrzymał ją.

- Teraz, kiedy mamy pewność, że Vince jest w to zamieszany, wiem, że wykorzysta każdą informację o mnie, łącznie z numerem mojego telefonu komórkowego, numerami rejestracyjnymi i wyglądem samochodu. Wie o mnie wszystko, jakie gazety prenumeruję, jakie mam zwyczaje. Dowie się o numery moich kart kredytowych, pozna moje grzeszki i słabości. Będziemy musieli pozbyć się tego samochodu i bardzo uważać, żeby nie zostawić żadnych śladów. Mamy przeciwko sobie Vince'a i Creightona, a to znaczy, że grożą nam nie tylko czyszciciele, ale i najsilniejsza na świecie agencja wywiadowcza.

22.32, NIEDZIELA

MOUNT KISCO, NOWY JORK

Katolicki kościół Świętego Franciszka w Mount Kisco stał na rogu ulic Green i Main. W świetle latarni i w jasnym blasku księżycy ukazała się jego szaroróżowa

bryła. Kościół miał zgrabny kształt, wzniesiono go z cegły i kamienia. Miał wysokie, ostrołukowe sklepienie. Z półki nad trzyskrzydłowymi drzwiami głównego wejścia na wchodzących spoglądała figura założyciela zakonu, świętego Franciszka z Asyżu.

Wokół niewielkiego podwórza rósł zielony murek żywopłotu. Z boku stała tablica z napisem: DOŁĄCZ DO UCZTY PRZY STOLE PAŃSKIM W KAŻDĄ NIEDZIELE.

Julia i Sam przyjrzeni się dokładnie ulicy i kościołowi. Ruch był minimalny, a w zasięgu wzroku nie było żadnego przechodnia. Wysiedli z samochodu. Wiatr nie był już tak silny, ale zdawało się, że w mroku czai się nieznane niebezpieczeństwo. Szybkim krokiem zbliżyli się do niewielkich drzwi z boku kościoła.

Julia wcisnęła dzwonek. Przytupywała, żeby się rozgrzać, podczas gdy Sam cofnął się do bocznej alejki, żeby obserwować scenę z daleka. Ich oddechy tworzyły białe obłoczki pary, które szybko rozpląwały się w mroku. Julia co chwila oglądała się przez ramię.

Ksiądz, który otworzył w końcu drzwi, miał wygląd człowieka spokojnego, żyjącego w zgodzie ze sobą i ze swoim Bogiem.

- W czym mogę pani pomóc?

Julia pamiętała, jak Reilly opisywał mnicha swoim ludziom, którzy mieli go szukać.

- Szukam pewnego franciszkanina - powiedziała. - Ojca Michaela. Jeździ starym volkswagenem furgonetką i mówi z lekkim niemieckim akcentem.

Ksiądz przyjrzał się jej uważnie. Jego głos brzmiał podejrzliwie.

- Już drugi raz tej nocy ktoś pyta o tego człowieka. Dlaczego pani go szuka?

Julia zastanowiła się, co powiedzieć. Czowała, że dzięki szczerości może więcej zyskać niż stracić. Powiedziała księdzu prawdę.

- W towarzystwie tego zakonnika powinien być mój dziadek. Próbuję go odnaleźć. Dziadek był rezydentem Domu Opieki Rolling Hills. Wiem, że to daleko, prawie siedem kilometrów...

Ksiądz kiwnął głową. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

- No dobrze. Powiem pani to samo, co powiedziałem ludziom, którzy tu byli wcześniej. Znam wszystkich franciszkanów w tym stanie i twierdzę kategorycznie, że nie mieszka tu żaden ojciec Michael, który odpowiadałby pani opisiowi.

Po drodze, kiedy biegiem wracali do samochodu, Julia przekazała Samowi złe wieści.

- Może ten ojciec Michael tylko udaje franciszkanina.

- A może ksiądz, z którym pani rozmawiała, się myli. - Wsiadli do samochodu i Sam szybko ruszył. - Zajmiemy się tym. Najpierw jednak musimy zająć się sobą. Mam fałszywe prawo jazdy. Musimy pozbyć się tego samochodu, a potem znaleźć miejsce, gdzie będziemy się mogli zatrzymać i wykonać kilka telefonów. Myślę, że warto zajrzeć do innych katolickich kościołów w pobliżu. Ale teraz musimy przede wszystkim znaleźć miejsce...

- Vince nie zna pańskich fałszywych danych?

Zaśmiał się.

- Nie ma mowy. Mam je z prywatnych źródeł. - Spojrzał na nią kątem oka. - W tym zawodzie człowiek szybko się orientuje, że są rzeczy, które musi zrobić dla siebie.

- Kiedy zamierza mi pan wreszcie powiedzieć, dlaczego przeniósł się pan z Wydziału Operacyjnego?

Zmilkł, zdziwiony jej przenikliwością. I nagle zapragnął jej o wszystkim powiedzieć.

- Była kiedyś pewna kobieta. - Zawahał się. Znowu poczuł dawny ból i zobaczył śliczną, figlarną twarz Irini, piegową, o szafirowych oczach. Kochał w niej wszystko, od rudych, kręconych włosów do słodko pachnącego znamienia między piersiami. Nastroje miała zmienne jak pogoda, ale jej śmiech był tak zaraźliwy, że kiedy się śmiała, na niebie rozpierzchały się chmury.

Pokręcił głową i zdobył się na odwagę, żeby to wyznać.

- Była kiedyś kobieta, którą kochałem... Irini Baum. Pracowała dla Wschodnich Niemiec, ale przeszła na naszą stronę. Działo się to tuż przed zburzeniem muru berlińskiego. Irini wróciła do Berlina Wschodniego, żeby wyciągnąć dla nas dokumenty z archiwum Stasi i została zamordowana w czasie zamieszek. - Wstrząsnęło nim to przerażające wspomnienie.

- Jak do tego doszło? - zapytała cicho Julia.

Jego palce zaciśnięte na kierownicy zbielały.

- Powinienem był się domyślić, że nie zaczeka na mnie i pójdzie sama. Miałem bardzo ważne spotkanie. Pewien oficer KGB był prawie gotów, żeby zeznać. Firmie bardzo na nim zależało. Powiedziałem Irini, że niedługo wrócę i pojedziemy razem.

- Nie zaczekała.

Pokręcił głową.

- Nie zaczekała. We Wschodnim Berlinie powstawały wtedy różnego rodzaju bandy i mafia. Ich członkowie wybijali okna i włamywali się do biur i domów tych, którzy popierali komunistyczny rząd. Codziennie ginęli ludzie. Rzecz jasna, siedziba Stasi przyciągała jak magnes. Wszyscy nienawidzili szpiegów Stasi, zresztą nie bez powodu. Przez ostatnich kilka dni przed zburzeniem muru i jeszcze jakiś tydzień potem w sąsiedztwie budynków Stasi było niespokojnie.

Napadano na ludzi. Grasowały bandy. A rano znajdowano ciała. I to właśnie spotkało Irini.

Julia przyglądała się przystojnej twarzy Sama i widziała jego cierpienie. Opalona skóra zbladła, a zmarszczka między brwiami zrobiła się głęboka jak Wielki Kanion. Szare oczy płonęły. Chciała wyciągnąć dłoń i pogłaskać tę dumną i odważną twarz, którą życie tak skrzywdziło.

- Może mi pan powiedzieć, co się stało?

Spojrzał na Julię. Dlaczego po tylu latach wciąż mówił o Irini? Zamknął ją w najgłębszym kąciку swojego serca i obiecał jej, że zawsze będzie tam bezpieczna, że nikt jej tam nie skrzywdzi. A teraz opowiadał o tym Julii, prawie nieznamomej.

- Irini udało się wypełnić misję. Dowiedziałem się potem od jednego z naszych szpiegów, że wymknęła się z kwatery Stasi bocznym wyjściem z dwiema walizkami dokumentów. Wtedy dorwała ją banda. Pobili ją, porwali dokumenty na strzępy i... - Nie mógł mówić dalej. Coś ścisnęło go za gardło. Spojrzał na Julię i zobaczył w jej oczach zrozumienie i chyba łzy. - Zgwałcili ją. - Dusił się. - Zgwałcili ją wielokrotnie. Śmiertelną ranę zadano nożem. Potem próbowali spalić jej ciało. Znalaziono ją nad ranem w jednej z uliczek niedaleko biura Stasi.

Julia wzięła głęboki oddech. Wytarła łzy zabandażowanymi dłońmi.

- Musiała strasznie cierpieć.

- Tak.

- Tak mi przykro. - Dotknęła jego policzka. - Naprawdę. Naprawdę mi przykro. Wiem, jakie to straszne stracić kogoś, zwłaszcza w taki potworny sposób... To zwiększa ból. Musi pan bardzo cierpieć.

Kiwnął głową. Czuł gorycz w ustach.

- Wiedziałem, że to bardzo ryzykowna wyprawa. Powinienem być zostawić tego faceta z KGB i iść z nią.

- Obwinia się pan. Czy to dlatego chciał się pan przenieść z wydziału operacyjnego do biura?

- Na samą myśl o pracy w terenie robiło mi się niedobrze. Nie chciałem więcej mieć z tym nic wspólnego. Wszystko straciło sens. - Na jego twarzy malowało się napięcie.

- Może jednak postąpił pan słusznie, że poszedł pan załatwić swoje sprawy i pozwolił jej podjąć właściwą decyzję. Może to było coś, co musiała zrobić sama. Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdybyście poszli razem i pan by zginął, a ona przeżyła? Albo gdybyście oboje zginęli? Nikt, kto nie poruszał się w otoczeniu oddziału żołnierzy, nie mógł się tam czuć bezpiecznie. Gdyby pan z nią wtedy poszedł, mógłby pan tylko pogorszyć sytuację. Mam wrażenie, że ona była świadoma niebezpieczeństwa i zdecydowała, że je podejmie. Nie może pan odmawiać jej prawa do tej decyzji, tak jak ona nie podważyłaby pańskiej decyzji.

Skrzywił się.

- Może.

Odwróciła do niego twarz, oparła policzek na zagłówek i popatrzyła na niego z ogromną powagą.

- Wiem, że chce mnie pan chronić, i to mi schlebia. Ale musi pan zrozumieć, że nie wolno panu przenosić poczucia winy, że nie zrobił pan wszystkiego, żeby uratować Irini, na kobiety. Oszaleje pan i wpędzi pan w chorobę wszystkie kobiety, które pan spotka. Prawdę mówiąc, z tego, co powiedział pan o Irini, wnioskuję, że była osobą niezależną i nie chciała, żeby pan z nią szedł. Tak było, prawda? Założę się, że to był jeden z powodów, dla których tak się panu podobała. Zgadłam? - Nie odpowiadał, więc lekko trąciła go w ramię. - Prawda, panie twardzielu?

Zauważyła, że w kącikach jego ust czai się uśmiech.

W Samie kłębiły się uczucia, głowa mu pękała. Pojawiło się w nim coś nowego, miał wrażenie, jakby uwolnił się od jakiegoś ciężaru. Nigdy nikomu nie powiedział tyle o Irini, ile przed chwilą powiedział Julii. Zastanawiał się, dlaczego to zrobił, i doszedł do wniosku, że ukrywanie tego przed nią nie miałyby sensu. Zauważył, że nagle wszystko nabrało innego sensu. Jak gdyby jego miłość i cierpienie z powodu Irini straciły swoją intensywność.

- O jednej rzeczy nie może pani zapominać, Julio. Pani potrzebuje pomocy. W przeciwieństwie do Irini nie jest pani wyszkolonym agentem. Ledwie pani wie, jak trzymać pistolet.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Bardzo podobał się jej ten głęboki ton głosu. Był w nim niesamowity ładunek erotyzmu.

Zbliżali się do stacji kolejowej w Mount Kisco. Po drodze zauważyli sztyd wypożyczalni samochodów i nagle Julii przypomniało się, gdzie mogliby się zatrzymać.

- Możemy jechać do „Holiday Inn”. To blisko, a hotel jest duży i zwykle pełen ludzi, więc nie będziemy zwracać niczyjej uwagi. Z pana fałszywymi dokumentami i w tym przebraniu przez kilka godzin powinniśmy być bezpieczni. Poza tym to jedyny hotel, jaki znam w tej okolicy.

Najpierw zatrzymali się w wypożyczalni samochodów. Julii zdawało się, że wszyscy się im przyglądają. Sam jednak ze swoimi ciemnymi włosami i w okularach wyglądał przecież zupełnie inaczej. Wszedł do biura. Wypożyczył mustanga z automatyczną skrzynią biegów, żeby Julia też mogła prowadzić. Zapłacił gotówką. Po załatwieniu wszystkich formalności, wsiadł do swojego durango, a Julia do mustanga i podjechali kawałek za wzgórze. Tam przenieśli wszystko do mustanga, a durango postawili w spokojnej uliczce wysadzonej drzewami, przy której stały domy w wiktoriańskim stylu. Przez kilka dni nikt nie powinien interesować się samochodem bez właściciela.

Podjechali do najbliższej budki telefonicznej.

Sam wyskoczył z wozu.

- Zaraz wracam.
- Niech pan tylko spróbuje nie wrócić.

Lubił ten żartobliwy ton w jej głosie. Wyjął z kieszeni drobniaki i wybrał numer telefonu Toma Dubovicky'ego, swojego pracownika Uniwersytetu Karola w Pradze. Kiedy ktoś podniósł słuchawkę, Sam odezwał się:

- *Tomáš na Hrad!* - „Tomaszu, na Zamek!”. Był to ich stary dowcip, echo wezwania Vaclava Havla, kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym został wybrany prezydentem Czechosłowacji. Tomáš był wieloletnim kontaktem Firmy.

Sam miał nadzieję na dobre wiadomości.

- Co miał do powiedzenia nasz znajomy Jiří? - Jiří był człowiekiem, który dostarczył rejestr z nazwiskiem Powersa obok imion prostytutek z Pragi.

- Dziś rano Jiří wpadł pod ciężarówkę na Paryskiej. Zmarł, zanim się tam znalazłem. - Głos Tomáša brzmiał ponuro.

Sam właściwie się nie zdziwił.

- Wypadek oczywiście?

- Tak to wyglądało. Ale kto wie? Jiří nie odzyskał przytomności.

- Masz jakąś inną możliwość sprawdzenia autentyczności tych rejestrów?

- Pracuję nad tym. - Tomáš zawahał się. - O co chodzi w tej sprawie z Douglasem Powersem i wyborami? Masz z tym coś wspólnego, Sam? Gdzie jesteś? Wszystko u ciebie w porządku?

Sam westchnął. Liczył, że Tomáš przekaże mu więcej szczegółów na temat oskarżeń dotyczących Powersa. Powie mu, czy oskarżenia mają podstawy. Nie zamierzał jednak powtórzyć błędu, który popełnił, rozmawiając z Pinkiem. - Lepiej, żebyś nie wiedział, gdzie jestem, Tomáš. U mnie wszystko w porządku. Zdobądź dla mnie te informacje. Będę w kontakcie.

Kiedy odjeżdżali, Sam powiedział Julii o śmierci Jiří'ego.

- Przykro mi. To straszne. Wypadek!

- Myśli pani, że to naprawdę był wypadek?

Patrzyła przed siebie. Musi zapomnieć o zaufaniu do ludzi. Zwłaszcza do Redmondów. I do CIA.

- Oczywiście, że nie - powiedziała. - To pewnie Creighton. I Vince.

45.

Sam podjechał za róg i zatrzymał samochód w cieniu. Zgasił silnik i wyłączył światła.

- Właściwie mogę pani od razu przekazać wszystkie złe wiadomości.

- Dobrze. Słucham.
- Radio w samochodzie mamy nie działa, więc pewnie nie słyszała pani informacji ani nie czytała gazet.

- Co takiego straciłam?

Opowiedział jej o dowodach przeciwko Douglasowi Powersowi, zgodnie z którymi kandydat był nie tylko amatorem seksualnych ekscesów, ale też pedofilem, a być może mordercą.

- Cały kraj wrze. Wszyscy są oburzeni - powiedział ze złością. - Dziennikarze namawiają przechodniów na ulicy, żeby wyrazili swoją opinię. Ludzie Powersa wszystkiemu zaprzeczają. Obóz Creightona Redmonda nie zabiera głosu, są ponad, delikatnie dając do zrozumienia, że od początku podejrzewali, jaka jest prawda. Członkowie Izby Reprezentantów z obu partii uczestniczą w niekończących się debatach telewizyjnych w całym kraju. W mediach panuje prawdziwy cyrk, a Creighton jest wielkim zwycięzcą.

- Powtórka ze skandalu Clintona. - Julia zrobiła kwaśną minę. - Tylko że znacznie gorsza, bo oskarżenia są dużo poważniejsze. A do otwarcia lokali wyborczych zostało mniej niż trzydzieści sześć godzin. Creighton świetnie to wszystko zorganizował. - Julia z przerażeniem wyobraziła sobie, co będzie, kiedy jej wuj znajdzie się w Gabinetcie Ovalnym. - Skąd się wzięły wszystkie nowe dowody?

- Ze Scotland Yardu. Od pewnego nadinspektora policji. Nazywa się Geoffrey Staffeld. Twierdzi, że przyleciał z Anglii z misją, żeby uchronić Amerykę przed popełnieniem błędu.

Julia poczuła, że się dusi.

- Nazywa się Goeffrey Staffeld?

- Tak. Dlaczego?... - Spojrzał na jej przerażoną minę i domyślił się. - Czy to ten sam człowiek, który prowadzi śledztwo w sprawie śmierci pani matki?

- Tak. - Kiwnęła głową. Kolejny fragment układanki. - Drań. To wiele wyjaśnia. Dlatego nie chciał, żebym zeznała oficjalnie, że byłam naocznym świadkiem morderstwa mamy. Że wiem, jak wygląda zabójczyni. Maya Stern została wynajęta przez Creightona.

Znaczenie tych słów było tak przerażające, że Julia poczuła, że robi jej się słabo. Miała wrażenie, że nigdy nie uda się jej wydostać z tej metalowej puszkii samochodu... I teraz nie tylko ona znalazła się w niebezpieczeństwie... ale cały kraj. Macki Creightona docierały wszędzie. I właśnie ten nikczemny człowiek przejmie najważniejszy urząd w kraju... i na świecie.

Pochyliła się w stronę Sama.

- Musimy znaleźć mojego dziadka i Staffelda. Jeśli będziemy mieli zeznania ich obu, będziemy mogli udowodnić, do czego zmierza Creighton.

- Nie będzie łatwo znaleźć Staffelda. - Sam włączył z powrotem światła samochodu i ostrożnie zjechał na ulicę. - Zdetonował bombę na konferencji prasowej w „Plaza” i wszystkich przy okazji niemile zaskoczył. Podał dziennikarzom numer pokoju wynajętego na jego nazwisko w „Plaza”, gdyby chcieli zadać mu jeszcze jakieś pytania, jednak kiedy dziennikarze próbowali się z nim skontaktować, nikt nie odpowiadał. Nie zatrzymał się w tym pokoju. Przyjechał do miasta, odpalił swoje fajerwerki i zniknął. Dziennikarze potwierdzają, że na konferencji prasowej Staffeld dawał do zrozumienia, że grozi mu niebezpieczeństwo.

- Tak jakby Powers miał go zabić, jeśli udałooby mu się go znaleźć - powiedziała Julia niemal szeptem.

- I w taki sposób zostało to zinterpretowane.

- Creighton! Co za sprytny drań. Pomyślał o wszystkim.

Zatrzymali się przed hotelem „Holiday Inn”. Sam wziął torbę podróżną, a Julia czekała za kierownicą mustanga. Wynajął pokój na fałszywe nazwisko i zapłacił gotówką. Następnie korytarzem przeszedł do południowego skrzydła hotelu i otworzył tylne drzwi. Julia zauważyła go, zaparkowała samochód i wśliznęła się tamtędy. Pospiesznie udali się do swojego pokoju. Pokój był czysty, kolory zgaszone, a łazienka duża. Sam natychmiast zaciągnął zasłony i zamknął drzwi, dwukrotnie przekręcając klucz.

- Nareszcie - westchnęła Julia i padła na łóżko bliżej okna. Starła się nie myśleć o tym, że na zewnątrz czyha niebezpieczeństwo. Marzyła o chwili spokoju. O muzyce. O swoim steinway'u i kilku godzinach ćwiczeń.

W pokoju stały dwa podwójne łóżka, ale uwaga Sama skupiona była na tym, które zajęła Julia. Leżała skulona na kapie w kwiaty. Z odgarniętymi do tyłu siwymi włosami wyglądała przepięknie. Porcelanowa cera, szlachetny kształt czaszki i płonące niebieskie oczy. Pełne usta lekko się rozchyłały, ukazując białe zęby. Powieki były przymknięte, jakby za chwilę miała zasnąć.

Sam odwrócił się. Przypomniał mu się Pink, przez którego Julia omal nie straciła życia. Serce mu się ścisnęło.

- Zamówię jedzenie do pokoju. Nie ma sensu schodzić do restauracji i ryzykować, że ktoś nas rozpozna.

Czekali na kolację. Julia siedziała za biurkiem i wydzwaniała do kolejnych kościołów franciszkańskich od Nowego Jorku do Buffalo, ale wszędzie odpowiadano jej to samo: nikt nie zna ojca Michaela mówiącego z niemieckim akcentem i jeżdżącego volkswagenem furgonetką.

- Jest pani pewna, że to franciszkanin? - Sam leżał na łóżku stojącym bliżej drzwi i obserwował, jak wykonuje kolejny telefon. Poruszała się z gracją, płynnie.

Równocześnie jednak była silna fizycznie i zawsze miała własne zdanie. Tę kombinację Sam uznał za urzekającą.

- Widziałam go, jak wyjeżdżał z Rolling Hills. - Odwróciła się, żeby spojrzeć na Sama wyciągniętego na łóżku. Leżał na plecach z rękami pod głową. Nogi założył jedną na drugą. Wciąż miał na sobie skórzaną kurtkę. Chciał sprawiać wrażenie odprężonego, ale nie było w nim ani krztyny spokoju. Emanował z niego niepokój drapieżnika. Julia powiedziała z przekonaniem: - Miał na sobie franciszkański habit.

- Długi do ziemi, brązowy, z kapturem, przewiązany sznurem?

- Tak. To jeden z ważnych symboli zakonu. Ubierają się tak jak święty Franciszek, bo uważają, że jest on doskonałym wzorem dla ludzi, którzy chcą naśladować Chrystusa. Franciszkanie składają śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, oddają się modlitwie i służbie Bogu. Ich habit symbolizuje regułę zakonu. Jest uszyty z prostego, grubego płótna - jak worek w Księdze Izajasza - i ma kształt krzyża.

Sam był pod wrażeniem.

- Dużo pani o tym wie.

Uśmiechnęła się.

- Cała moja rodzina to katolicy. Nasłuchałam się takich rzeczy.

- Ale pani nie jest katoliczką.

Pokręciła głową.

- Jeśli Bóg istnieje... - głos jej się załamał. - Może to głupie, ale wierzę, że On istnieje... I jeśli tak jest naprawdę, to kolory są Jego uśmiechem, a muzyka Jego oddechem. Albo Jej oddechem, jeśli Bóg jest kobietą. Moje życie duchowe jest wystarczająco bogate i może dlatego nigdy nie miałam potrzeby chodzenia do kościoła. To muzyka jest dla mnie językiem, za pomocą którego porozumiewam się z siłą, która jest nad nami. A pan?

- Nie lubię do niczego należeć.

Otworzyła usta, robiąc zdziwioną minę.

- Pan, panie CIA? - Roześmiała się. - Co za wykręty!

Zmarszczył brwi.

- Z wyjątkiem Firmy. Nie wierzę we wzajemne zobowiązania. - Gdy tylko wypowiedział te słowa, zaraz ich pożałował.

- Naprawdę? - Znowu się roześmiała. - To jest nas w tym klubie dwoje. Ja też nie wierzę w zobowiązania.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Skąd to zdziwienie? Nie spotkałam jeszcze mężczyzny, z którym chciałabym spędzić resztę życia. Mężczyźni sprawiają, że kobiety cierpią. Przekazują sobie dziewczyny i fantazjują na temat każdej, która idzie ulicą. Rządzą nimi hormony, a nie logika.

Sam był zaskoczony tymi wyznaniem.

- Chce pani powiedzieć, że jestem rządzącym się hormonami półgłówkiem?

Julia uśmiechnęła się słodko.

- Chciałam się trochę z panem podroczyć. Poza tym mężczyzna, który miał wiele kobiet, tak jak pan...

- Wiele kobiet? - Zmrużył oczy. - Skąd ten pomysł?

- Po pierwsze, koc w pana samochodzie. Zapach Chanel numer 5. Po drugie, kiedy poszedł pan wynająć samochód, zajrzałam do schowka w pańskim samochodzie. Chciałam znaleźć pistolet, bo Reilly zabrał mój. A co znalazłam? Biustonosz i koronkowe majteczki. Bardzo tajemnicza sprawa. Pachniały innymi perfumami. Była też karteczka z imionami i numerami telefonów. Mam powody uważać, że jest pan kobieciarzem.

Sam uniósł brwi.

- A pani jest wścibska.

Uśmiechnęła się szeroko, ale głos uwiązał jej w gardle. Coś się między nimi stało, coś, co sprawiło, że poczuła drżenie. Jego spojrzenie miało taką moc. Lepiej już nic nie mówić. Nie myśleć. Nie czuć.

Rozległo się pukanie do drzwi i czar przysł. Sam słyszał swój przyspieszony oddech. Był zdenerwowany. Zerwał się z łóżka, wyjął z kabury swojego browninga i zbliżył się do drzwi.

W drzwiach stał kelner z kolacją.

Zjedli na stojącym przy oknie stole z plastikowym blatem, udającym drewno orzecha. Nie była to wystawna kolacja, ale wszystko było smaczne - hamburgery, frytki, sałatki i piwo. W pokoju unosiły się zapachy, od których ślinka napływała do ust. Sam miał ochotę na hamburgera odkąd poczuł ich zapach na stacji benzynowej w Armonk. W normalnych warunkach potrzeby żołądka były dla niego jednym z priorytetów.

Dla Julii była to uczta zmysłów. Nigdy nic jej bardziej nie smakowało. Kolory żyły - jasna zieleń sałaty, grafitowo-czarny hamburger na wybruszonej beżowej bułce, chrupkie brązowe frytki z miękkim białym wnętrzem. Zachwycała się naturalnością, z jaką jej wzrok pozwalał dłoniom trafić do jedzenia. Na chwilę poczucie grożącego im niebezpieczeństwa zostało zepchnięte na dalszy plan.

Uśmiechnęła się do Sama.

- Nich pan powie coś po rosyjsku.

- *S udawolstwijem*, Julia. - Potem dodał. - To znaczy, „Z przyjemnością, Julio”.

Mówił dalej po rosyjsku, a ona obserwowała, jak jego usta wypowiadają dziwne, śpiewne dźwięki. Przystojna twarz jaśniała.

- Co to znaczy? - chciała wiedzieć.

- To Mikołaj Gogol. - Przetłumaczył:

Rosjo! Rosjo!

Kiedy cię widzę, jakaś magiczna siła

*rozpala moje oczy. Och, cóż to za jaśniejąca,
przecudowna nieskończoność przestrzeni...
Co to za dziwny, nęcący, zniewalający, wspaniały świat!*

- Pan to kocha - stwierdziła. - Nawet nie samą Rosję, tylko informacje o niej. Lubi pan wiedzieć różne rzeczy. Dlatego zrobił pan doktorat i dlatego skończył pan za biurkiem jako pracownik umysłowy. Ale jest pan równocześnie szalonym kowbojem, który na swoim żelaznym rumaku pędzi tam, gdzie oczy poniosą. Rozbija pan ludziom nosy, tak jak temu strażnikowi w budce przed domem opieki, o którym mi pan opowiadał.

- Jaki z tego wniosek?

Roześmiała się, rozbawiona tym jego skomplikowanym charakterem i faktem, że jego złożoność odkryła. Kiedy skończyli jeść, wstała od stołu.

- Niech pani zaczeka! - Patrzył na nogawkę jej spodni, gdzie w granatowym materiale widać było dwie dziury, a pod nimi zaschniętą krew. - Jak to się stało, że nie wspomniała pani o tej ranie?

Spojrzała na nogawkę.

- To tylko zadrapanie. Pójdę to przemyć.

- Dobrze. Pójdziemy razem, a przy okazji obejrzymy pani rękę. - Zdjął kurtkę. Pod spodem miał obcisły czarny podkoszulek. Wyglądał, jakby składał się z samych mięśni. Szerokie ramiona, klatka piersiowa i płaski brzuch. Odpiął kaburę, i ostrożnie położył pistolet na biurku. Te gesty były tak męskie, że aż zaparło jej dech w piersi.

Poszła za nim do łazienki.

- Proszę tu usiąść. - Zamknął sedes. Usiadła. Delikatnie zdjął bandaż z jej dłoni. - Wygląda dobrze. - Nie wdało się zakażenie. - Proszę zacisnąć rękę. - Zacisnęła dłonie w pięści i rozprostowała je. - Wkrótce będzie nam pani grała etiudy.

- Zna pan etiudy Liszta?

- Oczywiście. Mam w domu pani płytę. Nie będziemy tego zawijać. Lepiej będzie się goiło na powietrzu. Obejrzymy pani nogę. Proszę zdjąć spodnie.

Za bardzo poddawała się wpływowi jego ciała. W jasnym świetle łazienki widziała włosy Sama i opaloną skórę. Od jego zapachu zakręciło się jej w głowie. Wstała, rozpięła spodnie i pozwoliła im opaść.

Ukląkł. Na skórze zranionej nogi czuła jego oddech. Nie chciała się poddawać tej fali gorąca, która nagle przez nią przepłynęła.

Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Czuł bliskość i ciepło tego ciała. Miał wrażenie, że w jego umyśle ktoś przekręcił jakiś wyłącznik i jego wspomnienia o Irini zaczęły blednąć. Wyrzuty sumienia wydały mu się przeterminowane. Irini na zawsze pozostanie w jego sercu, ale może znajdzie się tam miejsce jeszcze dla kogoś.

- Ma pani rację. To płytkie draśnięcie. - Głos miał zachrypnięty. - Miała pani cholerne szczęście. - Przemył ranę ciepłą wodą z mydłem. - Wytarł nogę suchym, czystym ręcznikiem. Jej skóra była jasna jak światło księżyca i miękka, delikatna jak jedwab. Czuł, jak gorączkowe są jego uczucia. Zachwycił go jej piękne długie nogi, te małe, czarne majteczki. Był nią zafascynowany, usidlony przez jej muzykę, jej silną wolę... i wszystko, co jej dotyczyło...

Wstał z klęczek. Spojrzał jej w oczy.

- To głupie.

- Wiem - szepnęła. Podniosła głowę.

Przyciągnął ją do siebie i jego usta nagle znalazły się na jej ustach. Poczwała falę gorąca, która przepłynęła przez nią jak prąd. Zarzuciła mu ręce na szyję i poddała się. Zuchwały język Sama wdarł się w jej usta. Poczwała eksplozję pożądania, która cały świat zepchnęła w jakiś nieważny kąt. Istniał tylko on. Tylko oni dwoje. Tylko ta chwila.

Jego dłonie wśliznęły się pod jej bluzkę, palce dotykały i odkrywały. Odechnęła, a on zaczął całować jej szyję, uszy, czoło, oczy. Pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety. I chciał jej teraz. Jęknęła cicho. Pochylił się, cisnął w kąt jej spodnie i zaniósł ją do łóżka.

46.

Leżeli spleceni w miłosnym uścisku. W pograżonym w ciszy pokoju paliła się tylko lampka na biurku. Zza zasłon wpadało do środka chłodne powietrze. Julii zdawało się, że słyszy radosne głosy rozmawiających dzieci. Julia i Sam leżeli obok siebie wyciągnięci na łóżku. Julia była szczęśliwa z powodu tego leżącego obok ciała. Każde jego poruszenie dawało jej świadomość obecności Sama, bliskości silnego ciała, które tak jej się podobało.

- To moja ręka czy twoja? - zapytał Sam.

Roześmiała się i podniosła w górę łokieć.

- Moja. - Splotła palce swojej dłoni z jego palcami. Odwracała te splecione dłonie i oglądała je ze wszystkich stron. Jego palce były tylko niewiele dłuższe i silniejsze od jej. - Patrz, jak do siebie pasujemy.

- Pod wieloma względami.

Roześmiała się znowu.

- Pod tamtym też.

- Chyba udało ci się udowodnić, że rządzą mną hormony. - Pocałował ją w ucho.

- Całe szczęście. To jedna z cech, która podoba mi się w tobie najbardziej.
- Ale ty wcale mi pod tym względem nie ustępujesz. Uśmiechnęła się i przekreśliła, żeby oprzeć się na jego piersi i spojrzeć w szare oczy.
- Naprawdę masz moją płytę?
- Mam wszystkie twoje płyty. - Uwielbiał na nią patrzeć. Tyle rzeczy w kobietach go zachwycało. Poruszała się z płynnością i wdziękiem nieosiągalnym dla żadnego mężczyzny. - To następna rzecz, którą w tobie uwielbiam. Sposób, w jaki grasz. I twój repertuar. Na przykład dwadzieścia cztery preludia Chopina. Nieudolny pianista mógłby tym zanudzić słuchaczy na śmierć, bo są takie niewielkie i krótkie. Ale kiedy ty to grasz, stają się leksykonem nastrojów i uczuć, od udręczenia do największej radości mistycznego uniesienia.

Uśmiechnęła się. Więc on zna i rozumie jej muzykę.

- Ja też bardzo lubię te preludia. - Całość składała się, zgodnie ze zwyczajem tego bodaj największego z kompozytorów, z utworów w każdej tonacji durowej i mollowej. Wiele z nich wymagało od wykonawcy prawdziwej wirtuozerii. Julia uwielbiała wyzwania i kochała cudowną muzykę. - Jaki utwór jeszcze lubisz?

- Drugi koncert Prokofiewa. To, rzecz jasna, popisowy kawałek. Kiedy to grasz, rozkładasz akcenty z ogromnym wyczuciem. Emocje nie przyćmiewają kolorytu, one delikatnie dźwięczą. Jak poezja.

Patrzył, jak Julia jednym płynnym ruchem stacza się z niego. Widział jej wygięte w piękny łuk plecy. Piersi zakołysały się uwolnione, z różowymi sutkami, naprężonymi, ale nie do końca, jakby na coś czekały. Jej włosy były gęste i pachniały słodko. Tworzyły szarobrazową kaskadę, która spadała na blade ramiona. Dopiero teraz zauważył, jak drobne i delikatne są rysy jej twarzy.

Doskonały mały nosek. Pełne usta, teraz nabrzmiałe z podniecenia. Idealna linia brwi złożona z małych włosków, które zachodziły jedno za drugie jak płatki tworzące kwiat. Krew w jej ciele płynęła żywiej i nadawała skórze różowego blasku. Przytknął jej palec do brzucha i po chwili go zabrał. Przez moment skóra w tym punkcie była porcelanowo biała, ale zaraz krew napłynęła z powrotem.

Pochylił się nad tym miejscem i pocałował je. Jej piżmowy zapach zakręcił mu w głowie.

- Jesteś zdziwiona, że znam twoje wykonania?

- Jestem zaskoczona. Schlebia mi to. I bardzo mnie cieszy.

Zaczęli rozmawiać o pianistach i wielkich kompozytorach, o jej studiach w Juilliard i o muzyce, którą oboje kochali. Przyglądała mu się leżącemu na prześcieradłach tak wygniecionych, jakby stoczono na nich jakąś bitwę. Nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy, kiedy mówił. Mięśnie pod uchem napinały się i rozluźniały. Wyciągnęła dłoń i trzymała wzdłuż jego szczęki, ale nie dotykała go.

- Co robisz? - zapytał.

- Słucham cię swoją ręką.

Uśmiechnął się szeroko.

- Potrafisz mnie zadziwić.

- Wiedziałeś że seks może sprawiać więcej przyjemności, kiedy się nie widzi?

- Nie wierzę. Co może być przyjemniejsze niż patrzeć na ciebie?

Zaczęła energicznie rozcierać dłonie, aż ją zapiekły, a potem szybko otworzyła je przed jego oczami.

- Czujesz ciepło?

- Oczywiście. Niemal je wdycham.

- Właśnie o to chodzi. Wszystko można czuć ze zwiększoną świadomością. To tak, jakbyś... - Wpadła na pomysł, jak mu to wytłumaczyć. Pochyliła się nad nim i go pocałowała. Jej usta pochłaniały słony smak jego warg. Przedłużała tę chwilę, czując jego podniecenie.

Ale oderwała się od niego.

- Hej - powiedział cichym głosem. - Wracaj.

- Zamknij oczy. Udawaj, że jesteś niewidomy. Nie chodzi o to, żebyś się bał, ale żebyś to wykorzystał. - Znowu roztarta dłonie i jedną powoli przesunęła nad jego piersią, ale wystarczająco wysoko, żeby nie dotykać włosów. Oboje byli podnieceni, mieli zmysły maksymalnie wyostrzone, więc może uda mu się poczuć chociaż część z tego, co ona czuła. - Ludzie to nie tylko tkanki i kości, ale również elektryczność - szepnęła.

Wiedział, że jej ręka znajduje się tuż nad jego torsem, bo czuł ciepło. A potem poczuł coś dziwnego. Włoski na jego torsie zdawały się poruszać jak fale. Otworzył oczy. To jej dłoń. Włoski szły za jej dłonią jak opiłki żelaza za magnesem. Było to ledwie wyczuwalne, ale podniecające...

- Nie podglądaj - ostrzegła.

Zamknął oczy, a ona powtórzyła eksperyment. Tym razem podniecająca fala przeszła przez jego tors i zeszła w dół, do brzucha i krocza. Sięgnął w jej kierunku.

- Jeszcze nie. - Szepnęła. Czuła go porami skóry i wszystkimi zmysłami i bardzo go pragnęła. Jego członek był wielki i piękny. - Połóż się na boku. I nie otwieraj oczu.

- A niech to.

Ale był zaintrygowany. Przekręcił się na lewy bok. Wszystkie komórki jego ciała drżały z niecierpliwości. Jej zapach wypełniał go i miał wrażenie, że tego nie wytrzyma. Wiedział, że Julia zmieniła pozycję, bo czuł i słyszał, że się przekręca, ale nie otwierał oczu. I wtedy uderzyło go to - podniecający dreszcz na całym ciele z przodu. Miał wrażenie, że przepływają między nimi ładunki elektryczne, jak rzeka. Czuł bliskość Julii, ciepło i jakąś zniewalającą siłę przyciągania, która sprawiała, że chciał się poruszyć do przodu. Dotykać. Wejść w nią.

Przyciągała go całym swoim ciałem i każda komórka jego ciała chciała do niej iść. Z trudem zdusił jęk.

- Co to jest? - Miał zamknięte oczy.

- To ja. To my - Zamknęła oczy. Leżała obok niego, oddalona od jego ciała miejscami tylko o kilka centymetrów. W jedwabnej nocy tej udanej ślepoty czuła go intensywnie i czuła, że pragnie spełnienia. Znowu roztarła dłonie i trzymała je po obu stronach jego członka.

Sam miał wrażenie, że brak mu tchu. Jego członek nabrzmiał jeszcze bardziej i stał się bardziej natarchywy. I wtedy, wciąż z zamkniętymi oczami, zobaczył ją...

- Widzę cię, nie patrząc. - Jego głos był ciężki od pożądania. - Leżysz przodem do mnie, wzdłuż mojego ciała.

- Tak - powiedziała, zachłystując się. - Dotknij mnie. Posmakuj.

Poczuł gorący przyływ, kiedy jego dłonie natrafiły na jej ciało. Miał rację. Leżała dokładnie tak, jak sobie wyobraził. I czuł między nimi prąd, siłę, której istnienia nie mógł zakwestionować. Napięcie seksualne było namacalne. Na czoło wystąpił mu pot. Intensywność porażonych energią zmysłów uderzyła go jak fala przyływu. Wiedział o niej wszystko, ale to nie wystarczy. Zawsze będzie za mało. Chwycił ją za biodra i przyciągnął do siebie. Pocałował ją w usta i ześliznął się niżej, w zagłębienie w szyi.

Jęknęła. Czuła go w gorączce nowych doznań. Włożyła mu palce we włosy i złapała je mocno. Płonęła.

Badał ją - gładką skórę, sutek, który znalazł się w jego ustach, włosy łonowe. I robił to wszystko z zamkniętymi oczami, ale z jasnością zmysłów; to sprawiało, że był śmielszy i bardziej wymagający.

Jej oddech był urywany. Nie mogła już dłużej czekać. Czuła jego rozpalone usta na piersi. Założyła nogę na jego ciało. Słyszała, jak mocno bije jej serce. Chciała go całym swoim ciałem.

- Kochany... - W nagłym wybuchu pożądania lekko uniosła biodra.

A on natychmiast wśliznął się w jej miękką wilgoć. W gładki, wilgotny i oduurzający zapach. Wszedł i wyszedł. Znowu i znowu. Chwyciła go za ramiona i położyła się na nim. Odrzuciła do tyłu głowę i usiadła. Dwoje ludzi tworzących jedno, niewidzących, ale rozumiejących - czujących - wszystko.

5.02, PONIEDZIAŁEK

Wyczerpani, zasnęli przy zapalanej lampce. Sam obudził się koło trzeciej i wtedy ją zgasił. Wrócił do łóżka. Wydała z siebie jakiś jęk przez sen i przytuliła się do niego. Oplotła go, ufna, a on wrócił do snu. I do Julii.

Obudzili się wcześniej i Sam zaraz zadzwonił do obsługi, prosząc o śniadanie, ale okazało się, że jest zbyt wcześnie.

- Wciąż chcesz mnie karmić - poskarżyła się.
- Nieprawda. Dbam też o inne twoje potrzeby.

Uśmiechnęła się.

- I robisz to bardzo dobrze, muszę przyznać.

Nadzy krzatali się po pokoju i spoglądali na siebie ukradkiem, jak młodzi na pierwszej randce. Razem wzięli prysznic i jeszcze raz kochali się w spienionej wodzie. W końcu ubrali się.

- Wezmę pastę do butów i zajmę się naszymi włosami.
- Trzeba to było zrobić, zanim się ubraliśmy.
- Wolalbym cię rozbierać - zdecydował Sam.
- Później - obiecała.

Ale żadne z nich nie wiedziało, kiedy - i czy w ogóle - to się stanie.

5.33, PONIEDZIAŁEK

Kiedy w pośpiechu wychodzili z pokoju, Julia miała wrażenie, że wraca do innej rzeczywistości. Zeszłej nocy miała piękny sen, ale dziś był poniedziałek, a oni mieli poważne problemy. Wszystko sprowadzało się do tego, żeby jak najszybciej znaleźć dowód, za pomocą którego zdemaskowaliby Creightona, bo wybory są już jutro. W tej chwili jednak to zadanie wydawało się przerastać ich możliwości. Postanowili, że zaczną od znalezienia dziadka Redmonda i Geoffreya Staffelda.

Julia podniosła leżącą pod drzwiami pokoju gazetę „USA Today”.

- Gdzie może być dziadek? Trudno mi uwierzyć, że wszyscy duchowni, z którymi rozmawiałam, kłamią.

- To chyba niemożliwe, żeby dziadek poprosił o pomoc kogoś z rodziny.

- To wykluczone. Rodzina jest zjednoczona Pięść Tokugawy. - Opowiedziała mu ulubioną historię Lyle'a o Tokugawie. - Dziadek musiał pójść tam, gdzie czułby się bezpieczny.

Wyszli na zewnątrz, na światło dnia. Świeciło słońce, a niebo miało kolor chłodnego, zimowego błękitu. Było cieplej niż wczoraj.

- Wyobraźmy sobie, do czego mógł doprowadzić fakt, że twój dziadek pisał pamiętnik... Załóżmy, że wysłał jego fragmenty do mnie i do twojej mamy i że rzeczywiście wie, co się stało z Bursztynową Komnatą. Może są jeszcze inne rzeczy, które chciałby ujawnić. Na pewno nie był szczęśliwy z tego powodu, że Creighton i dwaj pozostali synowie zabrali mu cały majątek i ubezwłasnowolnili go.

- Może zależy mu na tym samym, co nam, na ujawnieniu przestępstw Creightona, Davida i Brice'a.

Kiedy wskoczyli do mustanga, Sam powiedział:

- To ma sens. Tylko w jaki sposób miałby to zrobić?

- To musi mieć związek z „drugim skarbem Himmlera”.

Sam przekreślił kluczyk w stacyjce i poczuł przypływ złości.

- Pieprzony Pink. Właśnie w takiej sprawie przydałby mi się najbardziej. Vince musiał użyć jakiegoś naprawdę poważnego argumentu, żeby mnie zdradził. Teraz nie ma mowy, żebym mógł mu zaufać.

- Przykro mi, Sam, ale masz rację. Nie możemy się do niego zwrócić. - Julia zastanawiała się nad tym wszystkim. W jej głowie zaczynał kiełkować pewien plan. - Powiedziałeś, że Staffeld zorganizował konferencję prasową w hotelu „Plaza”. Miał tam zarezerwowany pokój, ale nie skorzystał z niego?

- Zgadza się.

- Z tego wniossek, że musiał znaleźć inne miejsce jeszcze przed konferencją prasową. Prawdopodobnie niedaleko „Plaza”, bo pewnie chciał mieć jak najbliżej do miejsca konferencji.

- To logiczne.

- W takim razie mam pewien pomysł, jak go zlokalizować. Mam znajomego. Pamiętasz, mówiłam ci o różnych zaprzyjaźnionych dziwakach? Jeden facet, który studiował ze mną w Juilliard, mógłby pomóc nam znaleźć miejsce, gdzie się zatrzymał Staffeld. - Pomyślała, że to pewnie będzie sporo kosztowało, ale od czego są pieniądze.

- Chyba warto spróbować. - Sam skręcił na autostradę numer sto dwadzieścia osiem, prowadzącą na południe, w kierunku Nowego Jorku.

Julia spojrzała na gazetę, którą trzymała na kolanach i poczuła skurcz w piersi. Podniosła ją. Więc teraz policja poszukuje nie tylko jej.

- Popatrz, Sam! - Pokazała mu fotografie na pierwszej stronie. Było tam jego paszportowe zdjęcie obok jej. - Wiedzą o tobie. Wiedzą, jak wyglądasz! Na głos przeczytała nagłówek:

POLICJA POSZUKUJE BYŁEGO AGENTA CIA
PODEJRZANEGO O POMOC ZABÓJCZYNI.

47.

6.02, PONIEDZIAŁEK

LOTNISKO MIĘDZYNARODOWE IM. KENNEDY'EGO

Poranek był słoneczny i mroźny, ale tłum ludzi czekających z niecierpliwością na płycie lotniska na pojawienie się Creightona Redmonda nie zwracał uwagi na nic poza schodkami, które właśnie podjeżdżały do drzwi odrzutowca.

Ludzie wyciągali szyje, żeby choć przez moment zobaczyć swojego bohatera. Z tłumu sterczały tablice z hasłami. NOWE POMYSŁY. STARE ZASADY. GŁOSUJCIE NA REDMONDA! „NIE” ZBOCZEŃCOM! „NIE” POWERSOWI!. I stare hasło: REDMOND NA PREZYDENTA!

Gdy Redmond pojawił się na szczycie schodów w swoim długim kaszmirowym płaszczu, tablice zaczęły podskakiwać, a tłum skandować swoje hasła. Scenę rejestrowały kamery, materiał zaś ukaże się w dzisiejszych informacjach. Radosny rumieniec pojawił się na twarzy kandydata, który żwawo schodził po schodach, chcąc pokazać wyborcom, że wybrali pełną życia, pewną przyszłość. Za nim szła żona z dziećmi, kilku najbliższych współpracowników i trzech dziennikarzy z najbardziej opiniotwórczych gazet, którym kandydat udzielał wywiadów w czasie długiego lotu z Kalifornii.

Dziennikarze dostąpili zaszczytu - wybrano ich, żeby mogli obszerniej napisać o kandydacie.

Redmond oddalił agentów ochrony i ochoczo wszedł w tłum ludzi o promiennych twarzach i wyprężonych ciałach, którzy chcieli uścisnąć mu rękę, dotknąć jego płaszcza, poczuć jego siłę. Rozdawał autografy. Dziennikarze podtykali mu pod nos mikrofony i wykrzykiwali pytania.

- Panie sędzio, jak się pan czuje z powrotem w domu? - zapytał dziennikarz z „Banner Entertainment”.

- Świetnie, jak zawsze. Dom to bardzo ważne miejsce dla każdego. - Odpowiedzi na takie niewinne pytania okazywały się najtrudniejsze.

Znana dziennikarka z „Wall Street Journal” miała bardziej konkretne pytanie.

- Panie sędzio! Co pan sądzi o stale rosnącym poparciu dla pańskiej kandydatury? Przewiduje pan, że wzrost będzie na tyle duży, żeby wygrać wybory?

- Cóż, to poparcie bardzo mnie cieszy, pani Capps. To dobra wiadomość, że wyborcy rozumieją i popierają nasz plan dla Ameryki. Jasne, że zamierzamy wygrać te wybory!

Zarzucano go kolejnymi pytaniami, on przez godzinę odpowiadał, witał zwolenników i brał na ręce dzieci. Potem wsiadł do opancerzonej limuzyny, był to wymóg postawiony przez służby specjalne wszystkim kandydatom. W środku już czekał Mario Garcia, specjalista od spraw mediów. Creighton odwrócił twarz do okna, żeby jeszcze pomachać tłoczącym się wokół wyborcom i dziennikarzom.

Kiedy limuzyna ruszyła, Creighton uśmiechnął się.

- To było dobre spotkanie, co, Mario?

- Wspaniale, panie sędzio. - Mario uśmiechał się od ucha do ucha.

Creighton domyślał się, co jest powodem tej radości.

- Ma pan dla mnie najnowsze dane?

Mario zaśmiał się.

- Pańskie notowania wzrosły do czterdziestu ośmiu procent! Naród przez noc przemyślał oskarżenia wysunięte przeciw Powersowi i obudził się dziś rano z decyzją, że nie można ryzykować kolejnej prezydentury, która grozi choćby cieniem skandalu. Zwłaszcza jeśli w wyniku skandalu cały kraj może stracić, a prezydent wyładować w więzieniu. Nie wspominać o wstrząsie, jakiego doznała ta część elektoratu, która uwierzyła w prawdziwość oskarżeń.

Creighton z pośepną miną pokiwał głową.

- To wciąż za mało, żeby być pewnym zwycięstwa.

- To prawda, ale to jest chyba najlepsza wiadomość - Mario uderzył! palcem w teczkę z dokumentami, którą trzymał na kolanach - notowania Powersa spadły do czterdziestu czterech procent, a grupa niezdecydowanych urosła do ośmiu. Tak więc, biorąc pod uwagę dane statystyczne, gdzie margines błędu wynosi plus minus trzy procent, idzie pan z Powersem łeb w łeb. Teraz wystarczy zebrać siedem procent spośród niezdecydowanych i dojdziemy do magicznej granicy pięćdziesięciu pięciu procent. Jeśli to się uda, zakładając oczywiście, że nie zdarzy się jakaś kosmiczna katastrofa, wygra pan wybory! - Przerwał. - Oczywiście nasz największy problem w tej chwili to zachować przewagę, jaką obecnie mamy nad Powersem.

Creighton nagle się zaniepokoił.

- Coś się stało?

Mario nie dał po sobie znać, że sam się martwi.

- Chodzi o politykę Douga Powersa. Do tej pory cała jego rodzina pojawiła się już w talk-showach i wszędzie udzielała wywiadów, twierdząc, że wszystkie oskarżenia są bezpodstawne, że to wszystko kłamstwa, a Staffeld jest niezrównoważony. Tego się zresztą spodziewaliśmy. Teraz jednak Powers zaczął robić coś znacznie skuteczniejszego. Zwerbował całą masę znanych ludzi, którzy publicznie go popierają. Gwiazdy biznesu, sportu, Hollywood, pisarze, naukowcy i ludzie z telewizji. To kolekcja znanych twarzy i wszyscy zgodnie twierdzą, że Powers jest wspaniałym, szlachetnym człowiekiem i będzie najlepszym prezydentem. Na autorytecie tych ludzi oparte są nowe reklamy Powersa, które, niestety, przynoszą efekt. Spowodowały, że pańskie notowania przestały rosnać i zatrzymały się na obecnym pułapie.

Creighton skrzywił się.

- Powers jest cholernie sprytny. Wiem, że wolalby pan zaatakować go bezpośrednio, ale jeśli to zrobimy, podejmiemy walkę bronią, którą on wybrał. Ponieważ Powers nie może podważyć faktów, chce rozpocząć pojedynki na nazwiska. W naszych reklamach musimy się ograniczyć do zeznań Staffelda i oprzeć się na jego nieposzlakowanej opinii wysokiego rangą oficera Scotland Yardu. To jest mocny argument.

Mario miał posępną minę. Teraz, kiedy sprawy przybrały pomyślny dla nich obrót, chciał tylko zwycięstwa.

- Ma pan rację, panie sędzio. Mam tylko nadzieję, że sztab Powersa nie wymyśli czegoś przewrotnego, tak że nie będziemy mogli z tym nawet dyskutować.

- Nic nie wymyślą - powiedział Creighton pewnym siebie głosem, mimo to się przejął. Ma jeszcze jednego asa w rękawie. Dziś po południu, jeśli wszystko pójdzie dobrze, Geoffrey Staffeld zdetonuje kolejną bombę, dzięki czemu większość Amerykanów będzie chciała wsiąść na pokład statku kapitana Creightona Redmonda.

Mario jednak o tym nie wiedział. Creighton zmienił temat.

- A jak przygotowania do dzisiejszej uroczystości? - To była istotna zmiana w kampanii, wykwinne przyjęcie przedwyborcze z dużą liczbą dziennikarzy. To będzie końcowe przesłanie do obywateli, którzy będą mogli obejrzeć dziś sprawozdanie z uroczystości, a jutro rano czytać o nim w gazetach.

Mario uśmiechnął się.

- Masowo zaczynają napływać potwierdzenia zaproszeń. Nieurodzaj zamienił się w klęskę urodzaju. Jak w Biblii: zasialiśmy, a teraz przyszedł czas na zbieranie plonów.

7.04, PONIEDZIAŁEK NOWY JORK

Okazały budynek hotelu „Plaza” wznosił się siedemnaście pięter nad Piątą Aleją i Central Parkiem. Był podobny do francuskich średniowiecznych zamków, przypominał biały tort urodzinowy. Limuzyny i inne luksusowe samochody powoli wtaczały się przed główne wejście. Julia, rozglądając się wszędzie za policją, i płatnymi zabójcami, minęła wejście do hotelu. Miała wysoko upięte włosy, a na nosie duże okulary w szylkretowej oprawce.

Miała nadzieję, że Graffy znajdzie dla niej Staffelda, najpierw jednak musiała znaleźć Graffy'ego. Graffy był jednym z absolwentów Juilliard, któremu w życiu nie wyszło, i to w wielkim stylu. Przez lata wpadała na niego w okolicach hotelu „Plaza”, kiedy przechodziła tędy z matką. Znajomi twierdzili, że pojawia się tu regularnie. Był jednym z wielu ulicznych grajków w tym mieście, w którym człowiek może się czuć tak samotny, ale zarabiał lepiej niż przeciętny grajek uliczny. A to dzięki temu, że w okolicy sporo było bogatych ludzi.

Julia złąkniona rozglądała się po chodniku. Czy będzie miała szczęście i zostanie go tu dzisiaj?

Na rogu stała gromadka ludzi. Julia podeszła do nich ostrożnie. Kiedy zobaczyła, wokół kogo zgromadzili się ludzie, serce zabiło jej żywiej. Graffy trzymał wysoko saksofon, instrument błyszczał w słońcu, a on grał jedną z melodii Ornette'a Colemana, *Of Human Feelings*. Futerał leżał u jego stóp wypełniony zielonymi banknotami.

Julia stanęła z tyłu kółeczka, które otaczało grającego. Kiedy patrzyła, jak gra, nie widziała tego, że jest obdarty i że ma brudne paznokcie. Przypomniały się jej studia w Juilliard. Kiedy była na pierwszym roku, Grany właśnie kończył wydział kompozycji i saksofonu z najwyższym możliwym stypendium. Wiedział, czego chce, i był uczciwy. Urodził się w slumsach Nottingham w Anglii. Kiedy miał dziesięć lat, jego matka zmarła z przedawkowania, a ojciec, wędrowny muzyk, któregoś dnia zniknął. Graffy opowiedział to Julii, wzruszając ramionami. Wylądował w Brooklynie u dalekiej rodziny.

Julia była zdania, że Graffy jest prawie geniuszem. Kochał jazz, bluesa, saksofon i, niestety, narkotyki. Ale starał się zachować trzeźwość umysłu na tyle, żeby skończyć Juilliard. Jednak gdy tylko skończył studia, z zastraszającą pewnością zaczął się staczać. Kiedy nie mógł utrzymać się z grania tego, co lubił, jazzu i bluesa, grał to, czego nie lubił. Opuszczał sesje. Nie pojawiał się. Odmawiał. Wracał do narkotyków. W końcu trafił na ulicę.

Świat muzyków jest mały i zamknięty dla obcych. Julia lubiła Graffy'ego i próbowała mu pomóc. Kilka lat utrzymywali kontakt, ale potem, kiedy Julia straciła wzrok, skupiła się wyłącznie na karierze. Kontakt się urwał i Julia wiedziała, co Graffy robi, tylko dzięki wspólnym znajomym.

Kiedy skończył grać, uklonił się nisko. Gromadka słuchaczy rozeszła się, a on schylił się, żeby wepchnąć banknoty do kieszeni płaszcza. Miał na sobie czarny golf, szerokie czarne dżinsy i długi oliwkowy płaszcz z pourywanymi guzikami.

Kiedy schował saksofon do futerału i ruszył, Julia podeszła do niego.

- Cześć, Graffy. Kopę lat.

Przyjrzał się jej niepewnie, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Julia Austrian? Boże, co się stało z twoimi włosami? Hej, ty osiwiłaś?

Dziwnie wyglądasz.

Nie chciała zaczynać towarzyskiej pogawędki. Nie może się tu za długo kręcić.

- Jak leci, Graffy?

Domyślił się, że Julia do czegoś zmierza.

- Świetnie. Jakżeby inaczej? Nie może być lepiej.

- Masz te pięćset dolarów, które pożyczyłam ci ostatnio?

Jego twarz rozplynęła się w najpiękniejszym uśmiechu, na jaki go było stać. W uszach miał kolczyki na wkręty, a zniszczona twarz była nieogolona.

- Uuu kochanie, musimy o tym teraz mówić? Wiesz, że jestem w stanie ci je zwrócić. W przyszłym tygodniu zaczynam sesję z Mickiem i Keithem.

- Nie przyszłam tu po pieniądze, Graffy. Przyszłam, żeby zaproponować ci więcej.

Graffy za dużo przeżył, żeby ludzię się, że ktoś chce mu coś dać za nic.

- Tak? A co miałbym zrobić?

- Muszę zlokalizować pewnego człowieka, przyjezdnego, który wczoraj po południu zatrzymał się na chwilę w hotelu „Plaza”. Ale opuścił hotel i musiał znaleźć jakieś inne miejsce, gdzieś w okolicy. Chciałabym, żebyś wykorzystał swoje kontakty, żeby go znaleźć.

- Kto mówi, że mam jakieś kontakty?

- Wszyscy, którzy cię znają. Jesteś częścią tego miejsca, rozmawiasz z bezdomnymi, wiesz, kto jest kim w światku dilerów.

W jego oczach pojawiła się niechęć.

- Trafiłaś pod niewłaściwy adres.

- Nie mogłam trafić lepiej. - Głos Julii był równie stanowczy jak jego. - Obracasz się w różnych środowiskach. Oboje wiemy, że jesteś świetnym muzykiem, i kiedy w jakimś zespole zdarzy się sytuacja podbramkowa, zgłaszają się do ciebie, żebyś zagrał. Kiedy nie masz kasy, nie masz gdzie spać i co jeść, ktoś musi ci pomagać. Znajomi mówią ci, co słyhać na mieście, gdzie można zjeść, a gdzie są gliny. Poza tym niedługo po tym, jak się poznaliśmy, zacząłeś rozprowadzać narkotyki, mam rację?

Spojrzał na nią bez słowa.

- Stówę mogę ci dać teraz... - dodała po chwili.

Obdarował ją ironicznym uśmiechem.

- ...a potem dostaniesz dziesięć tysięcy. Wiesz, że mam pieniądze, i wiesz, że nie rzucam słów na wiatr.

Jego reakcja zaskoczyła ją. A może na to właśnie liczyła. Zatrzymał się i przez chwilę wyglądał jak jej dawny znajomy, młody geniusz z Juilliard. Patrzył poważnie. Trzeźwo. Inteligentnie. Byli tego samego wzrostu. Zbliżył do jej twarzy swoją i spojrzał jej prosto w oczy, jak gdyby obudził się z głębokiego snu. Pokiwał głową.

- Kojarzę. Czytałem w jakiejś gazecie. Masz kłopoty, Julio. Piszą, że sfiksowałaś. Coś ci grozi?

- Nawet sporo.

- No chyba. Skoro proponujesz dziesięć tyśiaków, to chyba rzeczywiście coś poważnego. - Wokół oczu miał czerwone obwódki od narkotyku, którym się aktualnie szprycował. Te oczy złagodniały. - Kogo mam dla ciebie znaleźć?

- Nadinspektora Geoffreya Staffelda. Facet jest...

- Tak, wiem, to ten goguś ze Scotland Yardu. Ale go pewnie teraz kochają w kraju. - Uśmiechnął się. - Na kiedy potrzebujesz tych informacji?

- Na wczoraj.
- No, to nie wiem. - Wydał usta. - To nie będzie łatwe. Masz jakieś jego zdjęcie?

- Nie mów, że sobie nie poradzisz. - Pokazała mu zdjęcie nadinspektora z dzisiejszego wydania „New York Timesa”. - Był wczoraj po południu w hotelu „Plaza”, potem zniknął. Chcę wiedzieć, gdzie się zatrzymał. Chodzi mi o adres. Jeśli to będzie hotel, będę potrzebowała numeru pokoju, bo mógł go wynająć na fałszywe nazwisko.

Graffy wziął od niej gazetę.

- Niczego nie obiecuję. Byłoby łatwiej, gdyby facet kupił coś do wachania albo heroinę, ale mogę wypytać hotelowych chłopaków.

- To jest pierwsza rata. - Wyciągnęła sto dolarów, które dostała od Sama. Wcisnęła mu banknoty w dłoń i spojrzała w oczy. - Graffy, liczę na ciebie. Nie zawiedziesz mnie, prawda?

Schowwał pięć banknotów po dwadzieścia dolarów do kieszeni.

- To na koszty własne. Będę musiał trochę rozdać. - Podniósł na nią wzrok i zobaczył jej zmartwioną minę. - Hej, kochanie, jestem tu dłużej niż setka policjantów albo dziwek. Jeśli ten facet gdzieś tu jest, znajdę go. Pytanie brzmi, kiedy mogę się spodziewać prawdziwej zapłaty?

Kiwnęła głową, wciąż ze zmartwioną miną.

- Jak tylko skończy się ta cała paranoja. Potraktuj to jako motywację do działania.

Skinął głową i uśmiechnął się.

- Słusznie. Jesteś pod jakimś telefonem?

- Tak, ale nie mogę z niego korzystać. Ja do ciebie zadzwonię.

Graffy zastanowił się.

- Na Siódmej jest bar „Starbucks” z telefonem na zewnątrz. Korzystam z niego czasami. Czeka tam. Zadzwonię, jak tylko czegoś się dowiem.

- Kiedy?

Ale Graffy już się oddalił z saksofonem w futerale przyciśniętym do piersi.

7.27, PONIEDZIAŁEK

Hotelik, w którym zatrzymał się Geoffrey Staffeld, znajdował się przy jednej z uliczek odchodzących od Dziesiątej Alei, w dzielnicy kiedyś nazywanej Hell's Kitchen. Teraz tę część miasta nazywano Clinton albo West Side, a trochę optymizmu tchnął w nią nowoczesny Worldwide Plaza i fakt, że występni mieszkańcy, zwani Westies, którzy przez ostatnie dziesięciolecia terroryzowali dzielnicę, stanowili coraz mniej liczną grupę. Staffeld wybrał to miejsce, bo było niedaleko hotelu „Plaza”, ale wciąż zdarzały się tu napady, morderstwa, handlowano narkotykami, szerzyła się prostytucja.

Dobre miejsce dla kogoś, kto chce się ukryć.

Nadinspektor nerwowo spacerował po pokoju i starał się przemówić sobie do rozsądku. Oparcie się żądz, która go opanowała, wydawało mu się prawie niemożliwe. Tym razem jednak znalezienie jakiegoś chłopca wiązałoby się ze zbyt dużym niebezpieczeństwem. Będzie mu musiało wystarczyć dwadzieścia pięć gramów kokainy, którą udało mu się zdobyć.

Pocił się. Obcisły garnitur lepił się do ciała. Drżącym palcem przejechał wokół paska od spodni. Przed oczami stanął mu oszałamiający obraz nagich chłopców.

Kokaina przestawała działać i czuł się rozdygotany. Podszedł do walizki i wyjął paczkę playersów. Zapalił. W pokoju czuć było pleśń. Znowu wyszedł na korytarz zadzwonić z publicznego aparatu. Dzwonił do Kolumbii, żeby sprawdzić, czy na konto wpłynęło kolejne sześć milionów dolarów od Vince'a Redmonda. Okazało się, że nie. Coraz mniej mu się to podobało. Co ten drań planuje? Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Staffeld liczył na to, że wkrótce pojawi się Feliks Turkow, płatny morderca.

7.30, PONIEDZIAŁEK

Julia czekała na Sama nad jeziorkiem w Central Parku. Zrobiło się cieplej i świeciło słońce. Przy brzegu unosiła się cieniutka warstewka lodu, pozostałość po mroźnej nocy. Te małe kry topniały w oczach. Korzystając z chwili słońca, w parku pojawili się ludzie - na rowerach, na deskach, biznesmeni, niektórzy z kubeczkami kawy, i staruszkowie, którzy wyszli na spacer. Tylko w Central Parku mogło panować takie radosne ożywienie - tu ciągnęły mieszcuchy spragnione widoku zieleni i kojącej bliskości natury.

Ale Julia zauważyła, że w jej kierunku jedzie policjant na koniu. Miała wrażenie, że się jej przygląda. Przestraszyła się i ruszyła w stronę najbliższej ławki. Za plecami słyszała kopyta uderzające o ubitą ziemię ścieżki. Przypomniało się jej, że przecież wygląda zupełnie inaczej niż kobieta na fotografii w gazetach. Jeśli jednak ten policjant miał za zadanie jej szukać, to kto wie...

Zmusiła się, żeby spokojnie usiąść na ławeczce, twarzą do jeziorka. Wyteżyła wszystkie zmysły. Czuła, że włoski na skórze stają jej dęba. Czekwała na moment, kiedy policjant zatrzyma się przy niej... albo ją minie. Pochyliła się do przodu, łokcie oparła na kolanach, a twarz ujęła w dłonie, jakby przyglądała się wodzie. Powierzchnia jeziorka połyskiwała szarym błękitem, odbijając blask słońca.

Sekundy zdawały się trwać wieczność. Poczuela, że się poci. Serce jej przyspieszyło.

Koń nie zwolnił. Policjant minął ją i pojechał dalej.

Odetchnęła uspokojona, ale opanowała chęć odwrócenia się. Dopiero kiedy odgłos końskich kopyt ucichł, odwróciła się z ulgą. Policjant odjechał, za to do-
siadł się do niej jakiś młody człowiek z niewielką brązową torbą, z której wysta-
wała butelka alkoholu. Wyciągnął w jej stronę rękę z jointem.

- Jest dziś impreza... - Musiał zauważyć, że Julia ukrywa się przed policjan-
tem.

Julia wstała i wtedy zobaczyła Sama, który wyłaniał się zza zakrętu. Wszę-
dzie rozpoznałaby ten charakterystyczny chód i jego szczupłą, wysoką sylwetkę.
Poczuła przyływ ulgi i jakąś przyjemną falę ciepła. Może nie potrzebowała go w
taki sposób, w jaki on by sobie tego życzył, ale nie mogła zaprzeczyć, że czuła
narastającą potrzebę jego bliskości. Podniecające wspomnienie minionej nocy i
dzisiejszego poranka przemknęło jej przez głowę. Zastanawiała się, co to może
znaczyć. Żadne nie było zainteresowane związkiem opartym na zobowiązaniach.
Ale kiedy patrzyła, jak na jej widok na jego twarzy pojawia się uśmiech, czuła, że
budzi się w niej poczucie osamotnienia.

Nióśł dwie torby z zakupami.

- Znalazłaś znajomego?

Poszli do publicznej toalety, a po drodze Julia opowiedziała mu o spotkaniu
z Graffym. Sam cieszył się, że są już z powrotem razem. Kiedy na chwilę się
rozstali, martwił się o nią. Wcześniej bał się, żeby nie została zabita jak Irini,
gdy go nie będzie. Teraz ovladnęło nim inne uczucie. Nie zastanawiał się już
nad wyrzutami sumienia. Najważniejsze jest jej życie.

Powiedział jej, co ma w torbach.

Uśmiechnęła się.

- To powinno wystarczyć.

Julia wzięła jedną z toreb ze sobą do toalety. Musiała poczekać w kolejce za-
nim weszła do kabiny. Włożyła wojskowe wełniane spodnie khaki, bluzę i za
dużą wełnianą kurtkę khaki, ściągniętą na dole. Na głowę założyła czarny берет.
W torbie znalazła też fluid w kolorze bardzo ciemnego brązu. Rozprowadziła go
na twarzy, szyi i dłoniach. Do kieszeni kurtki wsunęła jedyną broń, jaką miała,
gaz łzawiący w sprayu. Do reklamówki wrzuciła swoją bluzkę, dziurawe spodnie
i płaszcz. Siatkę postawiła w rogu toalety z nadzieją, że przyda się komuś po-
trzebującemu.

Sam czekał już na zewnątrz, pogwizdując *Yankee Doodle Dandy*, melodię z
czasów beztroskiej przeszłości. Miał na sobie granatowy płaszcz, dżinsy i cza-
peczkę baseballową drużyny Metsów. Jego skóra była równie ciemna jak jej!

Uśmiechnęła się, kiedy go zobaczyła.

- Wyglądasz oszałamiająco.

- Myślałem, że seksownie.

- Oszałamiająco i seksownie.

Zaśmiał się i wziął ją za rękę.

- Jaka piękna karnacja. Czy na mnie też tak dobrze to wygląda?

- Jeszcze lepiej. Jesteś ode mnie dużo ładniejszy.

Roześmiał się i poszli w stronę południowej części Central Parku. Oboje modlili się, żeby nikt ich nie poznał w tych nowych przebraniach.

8.42, PONIEDZIAŁEK

Znaleźli bar „Starbucks” przy Siódmej Alei, o którym mówił Graffy. Sam przyniósł dwa kubeczki parującej kawy. Na chodniku stali ludzie, którzy wyszli na zewnątrz na papierosa. Ruch uliczny był jak zwykle duży, w dodatku sporo osób wyszło na zakupy, korzystając z ładnej pogody.

- Myślisz, że Graffy'emu uda się coś znaleźć? - zapytał Sam.

- On żyje życiem tej dzielnicy. Jeśli ktoś, poza policją, miałby sobie z tym poradzić, to właśnie on.

- Myślisz, że naprawdę zadzwoni?

- Po to, by zarobić dziesięć tysięcy dolarów, zadzwoniłby z tamtego świata.

- Obiecałaś mu dziesięć tysięcy dolarów? Wyrzucasz pieniądze.

- Dlaczego nie? Przecież to moje.

Spojrzał na nią zaskoczony.

Uśmiechnęła się.

- Żartowałam. Będzie musiał zaczekać, aż rozwiążemy nasze problemy.

Wtedy mu zapłacę.

Sam ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Miło jest mieć bogatą dziewczynę.

Zachichotała.

- Bogatą i inteligentną. Bo poczuje się naprawdę inteligentna, jeśli okaże się, że miałam rację co do Graffy'ego.

- Na razie się martwię.

- Ja też - powiedziała z powagą w głosie.

Pili kawę i wpatrywali się w telefon, ale telefon milczał.

48.

10.49, PONIEDZIAŁEK

Julia i Sam opici kawą czekali z rosnącą niecierpliwością w cieniu przy budce telefonicznej pod barem „Starbucks” przy Siódmej Alei. Zaklinali telefon, żeby zechciał się odezwać. Słońce świeciło chłodnym, bladym światłem. W powietrzu

unosił się zapach spalin. Trąbiły klaksony, a z oddali dobiegał głos syreny.

A Julia ciągnęła swoją opowieść.

- ... więc kiedy Ione Schwartz powiedziała mi, że dziadek chciał stamtąd uciec, zaczęłam ją wypytwać. Okazuje się, że dziadek Austrian i dziadek Redmond stacjonowali razem pod koniec drugiej wojny światowej na południu Niemiec.

Sam poniósł w górę przyciemnione brwi.

To znaczy, że mogli się razem znaleźć na szwajcarskiej granicy. Bo na pewno był tam Daniel Austrian, sprawdziłem. Z tego wynika, że obaj bez trudu mogli się dostać do Zurychu...

- A ja myślałam się co od tego, że rodzina Austrianów zawsze była bogata... - Było to bolesne odkrycie, chciała wierzyć, że dziadek Austrian był uczciwym, szlachetnym człowiekiem, bo takim zawsze się jej wydawał. Ale ta wiara ulotniła się szybko, stopniała tak jak dziś rano lód na jeziorcu, kiedy tylko wysłuchała opowiadania pani Schwartz o młodym, ubogim Danie Austrianie, który desperacko chciał zdobyć to wszystko, czego nie mógł mieć z powodu braku pieniędzy. - Rodzina Austrianów straciła cały majątek. Przed wojną Daniel Austrian był biedakiem. Nie mógłby współfinansować przedsięwzięć dziadka Redmonda zaraz po wojnie.

- Chyba że... - Smutno kiwnęła głową. - Chyba że ukradł „drugi skarb Himmlera”. Muszę poznać prawdę i dowiedzieć się, co to wszystko ma wspólnego z tym, co się dzieje teraz. - Przez moment serce zabiło jej mocniej, bo zdawało się jej, że słyszy dźwięk telefonu. Ale to zabrzączał mijający ich rower. - Szkoda, że nie wiem, gdzie dziadek Redmond mógł się ukryć. Nie wiem, gdzie jeszcze moglibyśmy go szukać, z wyjątkiem kościołów franciszkańskich. - Coś jednak przyszło jej na myśl, pewne miejsce. - To byłoby logiczne. - Myślę, że powinniśmy sobie zadać pytanie, co dziadek chciał osiągnąć, uciekając. Chciał udowodnić, że jest w pełni włącz umysłowych? Zemścić się na wujach? Z pewnością ma w sobie wystarczająco dużo nienawiści, żeby stawić im czoło w walce choćby na pięści.

Samowi nagle przyszło coś do głowy.

- A jeśli on nie uciekł? Jeśli to wszystko było ukartowane? Wiedzieli, że się pojawisz w domu opieki i przygotowali się do tego. Nie ma żadnego Ojca Michaela, tylko ktoś przebrany za franciszkanina, a twój dziadek nie żyje.

- Sam! Przestań!

- Przekleństwo Bursztynowej Komnaty - powiedział ponuro Sam. - Nigdy ci o tym nie mówiłem. Jedna z teorii wyjaśniających, co się zdarzyło z komnatą, głosiła, że została przewieziona pod koniec wojny do Gdańska i tam załadowana na statek „Wilhelm Gustloff”. Statek storpedowali Rosjanie. Jeśli panele Bursztynowej Komnaty rzeczywiście tam się znajdowały, zatoniły, przepadły.

Co gorsza, razem z nimi zatono blisko osiem tysięcy pasażerów. Była to największa katastrofa morska na świecie, pięć razy więcej ofiar niż na „Titanicu”.

- Potworne.

- Pamiętasz, mówiłem ci o doktorze Rohde?

- O dyrektorze muzeum sztuki na zamku w Królewcu? O tym Niemcu, który był odpowiedzialny za bezpieczeństwo Bursztynowej Komnaty?

Sam kiwnął głową.

- Rohde popełnił samobójstwo w szpitalu w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku.

- Nie!

- Mówiłem ci też o profesorze Brusowie. Kreml wysłał go do Królewca, żeby sprawdził, co naprawdę stało się z komnatą? Kiedy mu się nie udało, odwołano go do Moskwy i zaraz potem zmarł na atak serca. Potem Georg Stein, Niemiec, który również szukał komnaty, popełnił samobójstwo. - Na jego przystojnej, pokrytej ciemnym fluidem twarzy, malowała się zaduma. - Z powodu tych nagłych zgonów zaczęto mówić o przekleństwie Bursztynowej Komnaty. Potem był jeszcze Selvester Maas, którego zamordowano, a może również Daniel Austrian, i Lyle Redmond.

- Dziadek Redmond żyje! Nikt by się nie ośmielił...

Odezwiał się telefon. Jego dźwięk wydawał im się tak głośny, jak dzwony Big Bena. Julia rzuciła się w kierunku aparatu i przycisnęła słuchawkę do ucha. Sam stanął obok i w napięciu wpatrywał się w nią.

- Znalazłeś go? - bez wstępów zapytała Julia.

Głos Graffy'ego był pełen złości i przerażenia.

- Cholera, Julio! W co ty mnie wplątałaś? Lepiej mi zapłać i dodaj coś ekstra na bilet.

- Znalazłeś Staffelda?

- Pytasz czy zwąchałem tego gogusia? O to ci chodzi? Kosztowało mnie to setkę od ciebie, a drugą musiałem wyciągnąć z własnej kieszeni. I jeszcze omal nie straciłem przy tym życia!

- Kto próbował cię zabić?

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Jakichś dwóch osilków, tylko tyle wiem. Gdybym nie znał dobrze tego hotelu i gdyby Reuben nie myślał, że to była akcja Agencji do Walki z Narkotykami, już byłbym martwy. Ale Reuben mnie teraz szuka. Myśli, że ściągnąłem ich na niego, i chce mnie dorwać i rozsiekać na drobny mak.

Julia zasłoniła ręką słuchawkę i szepnęła do Sama.

- Naraził się swojemu dostawcy narkotyków i dwóch facetów chciało go zabić. Pewnie trafił na Staffelda przez swoje wtyczki u dilerów. - Odezwiała się do słuchawki. - Graffy, strasznie mi przykro, nie spodziewałam się, że coś ci może grozić. Zrewanżuję ci się, ale... Powiedz, znalazłeś go?

- Kiedy dostanę te pieprzone pieniądze? - Głos Graffy'ego był pełen wyrzutu.

- Teraz nie mogę ci ich dać. To potrwa kilka dni ...

Z drugiej strony słuchawki zapadła długa cisza. Julia słyszała przyspieszony oddech saksofonisty.

- Cholera, może tak będzie lepiej. I pamiętaj, że przede mną nie uciekniesz, Julio. Poza tym łatwiej mi się będzie poruszać, jeśli nie będę musiał chronić szmalu. Będę w kontakcie.

Julia odezwał się błagalnym tonem.

- Graffy?

- Hotel „Chieftain” Hell's Kitchen. Pokój numer trzy C. - Podaj jej adres. - Spadam. - Chwila ciszy. - Uwważaj na siebie, kochanie. Nie wiem, kim są ci faceci, ale oni nie żartują.

- Dzięki, Graffy. Dostaniesz te dziesięć tysięcy co do grosza.

Ale zanim skończyła mówić, połączenie zostało przerwane. Odłożyła słuchawkę i podała adres Samowi.

10.50, PONIEDZIAŁEK

Geoffrey Staffeld właśnie odbył kolejną rozmowę ze swoim bankiem w Kolumbii. Druga połowa jego pieniędzy wciąż nie nadeszła. Rozgniewany spojrzał na zegarek, mimo że już znał odpowiedź. Vince Redmond miał wystarczająco dużo czasu, żeby załatwić przelew.

Ze słabo oświetlonego korytarza wszedł z powrotem do swojego pokoju. Stał przed brudnym oknem i zapalił papierosa. Mocno się zaciągnął. Udało mu się opanować wściekłość. Zdecydował się poczekać jeszcze pół godziny. Ani minuty dłużej. Tyle czasu da Turkowowi. Od początku powinien mieć tu Turkowa. Pół godziny. Nie więcej.

Ale wiedział, że te pół godziny niczego nie zmieni. Miał przecucie, że Turkow nie przyjedzie. Wynajęty przez niego zabójca wziął pieniądze i bynajmniej nie zamierzał wykonać zadania. Albo Redmondowie już go dopadli. Tak czy inaczej, Staffeld mógł zapomnieć o swoim wiernym psie-mordercy. Od czasu końca zimnej wojny nie można było nikomu ufać.

Jego myśli powędrowały do Calli, która została w domu. Widział ją w fartuszkach i ogrodniczych rękawiczkach, jak skrupulatnie przycina różę, dumna angielska dama. Stał mu przed oczami salon obwieszony zdjęciami ich czworga dzieci. Z dumą pomyślał, że zawsze trzymał od nich ręce z daleka. Nigdy ich nie dotykał. Musiał jednak dawać upust swoim żądom w rynsztokach dzielnic czerwonych latami na kontynencie. Szczególnie z małymi chłopcami.

Wciąż drżał z pożądania. Jego umysł pulsował żądzą. Poczł dreszcze. Nie znajdzie spokoju, dopóki nie zaspokoi tej nagłej żądy z jakimś chłopcem.

Znowu zaciągnął się papierosem. Napięcie... stres... nieważne, jak zechce to nazwać jakiś zidiociały psycholog... Nikt nie umiałby znieść tych wszystkich potwornych zbrodni, wchodzenia w dupę szefowi i całej tej pruderii bez jakiejś formy upustu. Staffeld rozumiał, że to niewłaściwe, ale było silniejsze od niego.

Wziął trzy szybkie machy i chwycił walizkę. Trzeba się stąd zabierać. Wciąż ma cztery miliony dolarów od Redmondów. To musi wystarczyć. Będą mogli zaszyć się gdzieś z Calla na wyspach południowego Pacyfiku. Teraz musi się tylko wydostać z Nowego Jorku.

Ruszył do drzwi.

Ktoś zastukał, cicho, tak jak gdyby dawał sygnał.

Turkow. To pewnie Feliks Turkow. Staffeld bez wahania otworzył.

- Feliks...

Niczym wytresowane psy czwórka świetnie wyszkolonych, ubranych na czarno napastników wtargnęła do środka i popchnęła go na łóżko. Zabrali jego berettę.

- Kim jesteście? - zapytał drżąc. - Czego chcecie?

Napastnicy milczeli. Zdawało się, że każdy z nich wie dokładnie, co ma robić. Kobieta, która była wśród nich, miała walizkę. Położyła ją na stole. Walizka była identyczna jak jego. Ta, którą odebrał na Heathrow, od Vince'a Redmonda. Jeden z mężczyzn wszedł na chwilę do łazienki. Dwóch innych, potężnie zbudowanych, trzymało Staffelda za ramiona i ręce. Mieli rękawiczki wypchane gąbką, żeby nie zostawić na jego ciele siniaków.

Staffeld był przerażony.

- Przestańcie! - próbował im się wyrwać, podnieść silną pięść, ale nie dał rady. - Wiecie, kim jestem? Jeśli mnie tkniecie, Scotland Yard znajdzie was choćby w piekle!

Nie zwracali uwagi na jego słowa. Kobieta roześmiała się i zaczęła go rozbiierać. Nagle, poczuł, że przestało go męczyć pożądanie. Twarze ofiar z przeszłości pojawiły mu się przed oczami, pot zaczął spływać ciurkiem. Poczul zapach strachu.

- Przepraszam - wyszeptał. - Jeszcze nie jest za późno. Czy to nie wystarczy, że przepraszam?

11.20, PONIEDZIAŁEK

Julia nie była w Hell's Kitchen do lat. To miejsce wciśnięte pomiędzy światła Broadwayu i szeroką rzekę Hudson wyglądało sympatyczniej, niż kiedy je ostatni raz widziała. Wtedy gangi rządziły na ulicy, a policja nie potrafiła sobie z nimi poradzić. Teraz niektóre z liczących około stu lat budynków zostały odnowione. Pojawiło się kilka ładnych sklepów i eleganckich restauracji między zakładami

ślusarskimi i tanimi barami sałatkowymi. Julia i Sam minęli drzwi z szyldem „Bruno, Król Ravioli” przy Dziewiątej, skąd dobiegał zapach świeżego pieczywa.

Skręcili na zachód, szukając hotelu „Chieftain”. Wiatr przeganiał śmieci. Wszystkie mury zdobiły graffiti. Kilkanaście osób, dorosłych i dzieci, ustawiło się w kolejce przed kościołem, gdzie rozdawano darmową zupę. Z kilkoma osobami rozmawiał ksiądz ubrany w czarny garnitur z koloratką.

Hotel „Chieftain” był niewielki i zniszczony, wymagał remontu. Julia i Sam obeszlą go i z tyłu znaleźli wyjście ewakuacyjne. Sam spróbował otworzyć drzwi, ale okazały się zamknięte na klucz.

Zawrócili i odważnie weszli do środka głównym wejściem.

- Ja będę mówił - uprzedził Julię Sam.

Jednak człowiek o szarej twarzy, siedzący w recepcji, tylko na nich spojrział. Minęli go zdecydowanym krokiem i od razu skierowali się w stronę schodów.

- Chcecie pokój? - Mężczyzna z recepcji odezwał się niespodziewanie. - Trzydzieści dolarów za noc.

- Dzięki. - Sam rzucił przez ramię. - Jesteśmy tylko z wizytą.

Weszli na trzecie piętro. Poczuli słaby zapach moczu. Sam spojrział na Julię, na jej ciemną twarz o pięknych rysach, na niebieskie oczy tak kontrastujące z ciemną karnacją. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie *déjà vu*. Przypomniawszy mu się inny hotel z korytarzami i niebezpieczeństwem czyhającym za niewłaściwymi drzwiami. Sam wyciągnął browninga.

Julia wyciągnęła swoją broń gazową.

Z duszą na ramieniu po cichu szli korytarzem, aż dotarli do właściwych drzwi. Nasłuchiwali, ale nie doszedł ich żaden dźwięk. Sam położył palec na ustach, przekręcił gałkę i uchylił drzwi. Nadal żadnego dźwięku. Julia pociągnęła go za ramię i Sam cofnął się o krok. Patrzył na korytarz, a ona zajrzała w uchylone drzwi.

Nasłuchiwała, próbowała wyczuć ciepło ciała, wysiliła swoje proprioceptory i poczuła zapach...

Głośno przelknęła ślinę.

- Czuję krew.

Sam pochnął drzwi. W pokoju paliło się światło. Julia zamknęła drzwi, a Sam osłaniał ją browningiem. Stało tu tylko stare łóżko, porysowany stół ze starą lampką i drewniane krzesło. Nie było śladu Staffelda, ale w łazience też paliło się światło. Julię ogarnęło dziwne przeczucie, że wszystko, czego chcieli i co zrobili, nie ma sensu i że za chwilę dowiedzą się o kolejnej porażce. I teraz będzie im to się podobało jeszcze mniej.

Bez słowa poszli do łazienki. Zatrzymali się w otwartych drzwiach. Zapach krwi był silny. Julia czuła, że nie ma czym oddychać. Nad wanną na popękanych kafelkach ktoś napisał krwią: „Spełniłem swój obowiązek”.

Wzrok Sama powędrował w dół, na Geoffreya Staffelda, którego spuchnięte ciało leżało nagie w groteskowej pozie w wannie pełnej wody. Żył na obu nadgarstkach były przecięte i rany otworzyły się, jak u rzymskiego senatora. To ciało miało kolor biały, jak kreda. I nie było w nim krztyny życia.

- Popełnił samobójstwo. - Julia poczuła skurcz żołądka. Odwróciła z obrzydzeniem głowę.

Sam westchnął.

- Jak myślisz, co miał na myśli, pisząc „Spełniłem swój obowiązek”?

Zapach krwi rozpuszczonej w ciepłej wodzie, sprawił, że Julia bała się, że zemdleje. Weszła do pokoju i próbowała się otrząsnąć. Na stole obok jakiejś walizki leżał pistolet. Wzięła go i schowała do kieszeni kurtki.

- To sprawka Creightona - mruknął Sam, kiedy wyszedł z łazienki. - Facet, który wystawił Douglasa Powersa, nie żyje. Nikt nie będzie mógł mu zadać żadnego pytania. Nie będzie mógł się przyznać, że ktoś mu zapłacił czy w inny sposób zmusił do tych oskarżeń. Ale z drugiej strony nie będzie mógł znowu wystąpić przed prasą i donieść o kolejnych przestępstwach. Biedny drań. Pewnie nie widział innego wyjścia albo ktoś mu w tym pomógł.

- Ludzie Creightona? Albo Powersa?

- To możliwe. - Sam posępnie pokiwał głową. - Wiemy już, że Creighton nie jest czysty, ale wygląda na to, że Powers też. Choć może Powers nic o tym nie wie, tylko ma jakichś nadgorliwych popleczników. W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo.

- To potworne, ale masz rację. - Julia westchnęła. - Lepiej stąd chodźmy.

- Wyjdziemy wyjściem przeciwpożarowym - zdecydował Sam.

Wyszli z pokoju i pospiesznie przeszli przez korytarz do okna. Szybko zbiegli z trzeciego piętra po metalowych schodach i znaleźli się na podwórzu. Obeszli budynek i wyszli na chodnik przed głównym wejściem do hotelu.

Kiedy dotarli do końca przecznicy i tam skręcili, przed hotel zajechał samochód. Na przedniej szybie wisiała przepustka związku prasowego Associated Press. Z samochodu wysiedli kobieta i mężczyzna i wbiegli po schodkach. Mężczyzna miał na szyi aparat fotograficzny i sprzęt oświetleniowy na ramieniu.

Ale Julia i Sam byli już przy domach mieszkalnych. Kolejka po darmową zupę, którą już raz mijali, teraz była znacznie dłuższa. Stali w niej ludzie chyba wszystkich ras - z Peru, Meksyku, Maroka. Biali, brązowi, czarni i żółci. Twarze całych pokoleń biednych Amerykanów. Do księdza, który przy nich stał, podeszła zakonnica.

Julia zatrzymała się i spojrzała na księdza w prostym, czarnym garniturze, i w koloratce. Spojrzała na szyld nad miejscem, gdzie wydawano jedzenie:

SPONSOROWANE PRZEZ ZAKON ŚW. DOMINIKA. Aż krzyknęła.

- Sam! Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia. Przecież cały czas miałam to przed oczami. Wiem, gdzie jest dziadek.

Sam chwycił ją za ramię.

- Nie odwracaj się. Za nami jest Maya Stern. Chodźmy!

Julia spojrzała przez ramię i zobaczyła idącą za nimi trójkę - zabójczynię jej matki i dwóch innych mężczyzn. Ulica tętniła życiem. Pełno było ludzi i samochodów.

Julia i Sam zaczęli biec ulicą i nagle stanęli jak wryci.

- O mój Boże! - szepnęła Julia.

Naprzeciw szło dwóch osiłków o twarzach morderców. Julia i Sam znaleźli się w pułapce.

Julia nie wahała się ani chwili. Sam też. Bez słowa odwrócili się na pięcie i wbiegli na ulicę.

49.

11.43, PONIEDZIAŁEK

W obskurnym pokoju hotelu „Chieftain” dziennikarka z Associated Press patrzyła na ciało w wannie. To był Geoffrey Staffeld. Wczoraj po południu była na konferencji prasowej i jej sprawozdanie oraz zdjęcia szybko obieły gazety, magazyny, radio i telewizję w całym kraju.

- Boże, co za burdel - zwróciła się do swojego fotografa.

- Bez dwóch zdań. A my się zastanawiamy, dlaczego kochamy tę pracę. - Obfotografowywał ciało w wannie ze wszystkich możliwych stron. - Zastanawiam się, dlaczego on to zrobił? Kurczę, mógł zbić fortunę, gdyby napisał o tym książkę. - Błysnął flesz. Fotograf ustawił ostrość. - Już to widzę: „Człowiek, który zdecydował o wyborze prezydenta”.

Kobieta odwróciła się do niego.

- Też się zastanawiam...

Znaleźli się tu z powodu anonimowej informacji, którą ktoś przekazał dziennikarce przez telefon. Zadzwoił człowiek, który twierdził, że widział Staffelda w tym pokoju. Powiedział, że dzwoni, bo czytał jej sprawozdanie z konferencji zorganizowanej przez Staffelda.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że zastanie Staffelda martwego. Samobójstwo.

Musi zadzwonić na policję i to zgłosić, ale najpierw...

- Masz jakieś rękawiczki? - zawołała z łazienki. Była znana z ostrych artykułów. I z pewnością nie pisałyby takich, gdyby była nieśmiała.

- Tak, gumowe, w torbie. - Fotograf wystawił głowę z łazienki. - Nie posuwaj się za daleko. Nie chcesz chyba, żeby cię aresztowano za zatarcie śladów samobójstwa.

- Jeżeli już, to nas, a nie mnie. Rękawiczki są twoje - odpaliła.

- Cholera! - Fotograf dalej robił zdjęcia. - Gliny mogą się tu pojawić w każdej chwili.

Dziennikarka przeszukała małą walizkę. Znalazła przybory toaletowe i czystą bieliznę. Nic ciekawego. Podeszła do neseseru. Otworzyła zamek. Na wierzchu leżały dokumenty, które Staffeld pokazał wczoraj na konferencji. Szybko je przejrzała i zatrzymała się. Poczowała nagły przypływ adrenaliny. Podniecona przeglądała dokumenty. Zobaczyła zdjęcia, których Staffeld nie pokazał na konferencji...

Serce zabiło jej mocniej.

- Wystarczy już zdjęć umarlaka! Choć tutaj. Tu jesteś bardziej potrzebny. Co za skurwiel. Nic dziwnego, że popełnił samobójstwo!

11.44, PONIEDZIAŁEK

Samochody na ulicy zwolniły, jechały spokojnie jeden za drugim. W powietrzu unosiły się opary benzyny. Słońce nagle zaczęło świecić mocniej. Julia i Sam przebiegali między wozami, próbując uciec. Julia czuła, że krew pulsuje jej w nodze, w miejscu gdzie wczoraj została ranna.

Nie było czasu do namysłu. Nie było nawet czasu, żeby się bać. Biec, biec. Szybciej!

Za nimi biegła Maya Stern. Już się cieszyła. Mimo przebrania poznała Julię i Sama, kiedy wyszli z hotelu wyjściem przeciwpożarowym. Stał tam na czatach jej człowiek, który miał poinformować o pojawieniu się dziennikarzy. Zauważył dwoje uciekających z hotelu ludzi i powiadomił o tym Mayę. Jego podejrzenia okazały się słuszne.

Maya zatrzymała się i obiema dłońmi chwyciła pistolet. Wycelowała i strzeliła do Austrian. Odległość była spora, nie był to łatwy cel.

Julia biegła szybko. Kula minęła ją o kilka centymetrów i utkwiała w masce samochodu, dodge'a. W aucie ktoś krzyknął przerażony.

Julia i Sam nie mogli się jednak zatrzymać. Przyspieszyli. Dwie kolejne kule przemknęły w powietrzu między samochodami.

Julia wyciągnęła pistolet, który zabrała z pokoju hotelowego Staffelda.

Sam zauważył to.

- Cholera! Ukradłaś następny pistolet?

- Pomyślałam, że to dobry pomysł.

Złani potem biegli w stronę skrzyżowania. Maya Stern rozkazała swoim ludziom, żeby się rozdzielili. Napastnicy biegli wzdłuż krawężnika, czasami przebiegając między samochodami. Próbowali ustawić się tak, aby mieć na linii strzału Sama i Julię. Stern była opanowana niczym myśliwy w pogoni za zwierzem. Światło na skrzyżowaniu zmieniło się na zielone i Julia razem z Samem wypadli za róg, biegnąc między samochodami, które się zatrzymały.

Szybciej. Szybciej.

Pierwszy obejrzał się Sam, a potem Julia. Odległość między nimi a goniącymi ich dwoma mężczyznami zmniejszała się. Julia pomyślała, że mężczyźni mają pociągłe twarze i wyglądają jak króliki. Ale poruszali się jak sportowcy i nie strzelali.

- Czyścicie! - rzucił Sam.

- Dogonią nas! - zauważyła.

Uśmiechnął się do niej z błyskiem w oku.

- Naprawdę?

Do krawężnika właśnie podjechała taksówka i Sam miał już wobec niej pewne plany. Złany potem zauważył, że taksówkarz wysiadł z wozu i pomaga wsiąść starszej kobiecie, która ma dużo bagaży. Nie zgasił silnika. Sam widział dym spalin unoszący się z rury wydechowej.

- Tędy! - krzyknął i skręcił w stronę taksówki.

Julia pobiegła za nim bez słowa.

Samochody znowu ruszyły w żółtym tempie. Zewsząd dobiegały ich klaksony i wściekłe okrzyki kierowców. Julia z trudem oddychała i czuła, że paraliżuje ją strach. Dyszała z wściekłości, ale już zdążyła się przyzwyczaić do tego uczucia.

Zbliżali się do taksówki, gdy kula dosięgła lewego ramienia Sama. Bolało jak diabli. Przez moment zdawało mu się, że straci równowagę i upadnie, ale kula przeszła tylko górę jego za dużej kurtki i ledwie drasnęła skórę. Dwaj napastnicy byli już tylko kilka metrów za nim i najwyraźniej nie zamierzali zatrzymać się, żeby dobrze wycelować.

- Wsiadaj do taksówki! - zarządził Sam.

Julia wpadła na otwarte od strony kierowcy drzwi. Nie zdążyła wyhamować. Na chwilę zabrakło jej tchu. Otworzyła drzwiczki i zauważyła, że w samochodzie jest automatyczna skrzynia biegów. Będzie mogła prowadzić.

Usłyszała krzyk taksówkarza.

- Hej! Wynoś się z mojej taksówki!

Sam odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. W oczach biegnących za nimi mężczyzn pojawiło się zdziwienie, kiedy Sam rozpostarł ramiona i nieoczekiwanie ich zaatakował. Siłą rozpędu popchnął ich na przyczepę pikapa, który powoli sunął w korcu. Słychać było tylko chrzęst kręgosłupów łamanych na krawędzi platformy. Oczy mężczyzn zaszyły bielmem, jeden z nich jęknął.

Upadli na chodnik. Prerażony kierowca samochodu jadącego za pikapem zdążył zahamować, zanim na nich wjechał. Sam odwrócił się błyskawicznie.

Taksówkarz biegł, żeby ratować swój samochód. Maya Stern i jej ludzie rozdzielili się.

Julia wrzuciła wsteczny i zaczęła cofać się wzdłuż krawężnika. Skierowała wóz pod kątem na pas, na którym nie było żadnych samochodów, bo leżały tam ciała czyszcicieli. Taksówkarz, młody mężczyzna, zdążył podbiec do otwartego od strony kierowcy okna.

- Wsiadaj z mojego samochodu! - krzyknął. Przytknęła mu pistolet do twarzy.

- Zjeżdżaj, bo będę musiała strzelić.

Taksówkarz uniósł brwi. Podniósł do góry ręce i odsunął się.

- Spoko, nie ma problemu. Samochód jest pani. I tak miałem właśnie zjechać na przerwę.

Sam spojrzął przez ramię. Maya Stern była coraz bliżej.

Julia widziała manewr Sama. Wrzuciła bieg i wcisnęła pedał gazu. Z całej siły wpadła na dwóch czyszcicieli, którzy przygotowywali się właśnie do strzału, a Sam w tym czasie wskoczył na miejsce pasażera.

Ale Maya Stern była już przy drzwiach kierowcy. Ciemne włosy miała zgarbione do tyłu pod kapturem sportowej bluzy. Jej twarz błyszczała od potu. Gdyby nie pot, ta twarz o doskonałych rysach wyglądałaby na zupełnie spokojną. Julia wyczuła bijącą z Mayi nienawiść. Była pewna, że ta kobieta jest gotowa ją zabić. Stern zatrzymała się, żeby wycelować.

Julia chwyciła skradziony pistolet. Pomyślała, że ma przed sobą morderczynię swojej matki. Pociągnęła za spust i wcisnęła pedał gazu.

Kula wystrzelona przez Stern przebiła tylne drzwi taksówki, kula Julii gdzieś się zabłąkała. Julia miała nadzieję, że nikogo nie zraniła. Chciała strzelić znowu, zabić Mayę Stern, ale były rzeczy ważniejsze. Nie wolno jej ryzykować. Musi znaleźć dziadka i dopaść Creightona.

Julia wykręciła kierownicę i dodała gazu.

- Nie trafiłam - powiedziała. - A niech to!

- Nie martw się. Stern sama nas znajdzie. - Sam patrzył na Julię zmartwiony. Na jej pociągłej twarzy o delikatnych rysach malowała się wściekłość i zaciętość. Błękitne oczy ziały nienawiścią, a pełne zmysłowe usta spuchły. Wyczytał z tej twarzy również strach, ale dominowała mieszanka wściekłości i determinacji. Przypomniawszy sobie ich ostatnią noc, namiętne dłonie, piękne, spragnione pieścoty ciała. Pomyślał o jej delikatności, podnieceniu i radości. Ale w tej chwili była kimś innym, ból i okoliczności zmieniły ją w mordercę. Nie podobało mu się to, mimo to rozumiał ją.

Pędziła taksówką.

- Jak ona nas znalazła?

- Może chciała skontaktować się ze Staffeldem, żeby przekazać mu nowe instrukcje - powiedział Sam. - Mogła przyjechać, kiedy opuszczaliśmy hotel.
 - Albo wiedziała, że tam się pojawimy - powiedziała Julia. - Ci faceci, którzy próbowali zabić Graffy'ego... Założę się, że to byli czyściciele.
 - Dlaczego kręcili się przy tym hotelu?
 - Chcieli go chronić?
 - Możliwe. Ale może chcieli go zabić.
 - Jeśli Creighton z nim skończył, to miałyby to sens. - Julia zerkała co chwilę we wsteczne lusterko, ale za nimi nie działo się nic podejrzanego. - Chyba udało mi się znowu zdobyć samopowtarzalny pistolet.
 - Dzisiaj to standard. Znowu trafiłaś na dobrą markę. Ten to beretta.
 - Jaki kaliber?
 - Dziewięć milimetrów.
 - Przynajmniej ma kopa. Jestem coraz lepsza w te klocki.
- Spojrzał na jej piękną twarz.
- Lepiej nie bądź za dobra.

50.

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

Moim zdaniem Austrian i Redmond w takim samym stopniu ponoszą odpowiedzialność za śmierć Maasa.

Myślałem, że ci dwaj są do siebie podobni, niemal identyczni. Kiedy ich odnalazłem, zobaczyłem, jacy są szczęśliwi, jak kwitną ich interesy, a rodziny rozwijają się w zdrowiu i bogactwie, zdobywają pozycję. Tak wiele złego uczynili i wszystko miało im ujść bezkarnie, mieli zostać nagrodzeni szczęśliwym i pełnym sukcesów życiem.

Co mógłbym zrobić? Długo się nad tym zastanawiałem. I znalazłem rozwiązanie. Muszę powiedzieć o tym ich najstarszym synom...

12.02, PONIEDZIAŁEK
OYSTER BAY, NOWY JORK

W willi i na terenie posiadłości Arbor Knoll trwały przygotowania do uroczystości. Specjalnie dla dziennikarzy na jednym z kortów tenisowych ustawiono wysoki, biały namiot z grzejnikami zasilanym z wielkiego generatora. W

ogromnej kuchni uwijali się kucharze, bo stwierdzono, że zamawianie jedzenia na zewnątrz będzie zbyt ryzykowne. Telefony nie przestawały dzwonić.

Agenci służb specjalnych rozdzielali obowiązki dodatkowym agentom ochrony, których ściągnięto do patrolowania posiadłości i obstawienia głównego wejścia. Policja okręgowa wysłała swoich ludzi, żeby pilnowali innych wejść i kontrolowali tłum, który powoli zbierał się na zewnątrz nawet nie po to, żeby zmanifestować poparcie dla swojego kandydata, ale żeby popatrzeć na zaproszonych na uroczystość ludzi ważnych, posiadających władzę i znanych z telewizji.

Ekipy telewizyjne ustawiały sprzęt przed schodami prowadzącymi do willi. Będą filmować przybywających gości. To będzie wieczór oficjalnych ubrań, drogich alkoholi, uczyty składającej się z siedmiu dań przy muzyce orkiestry, która będzie grała w ogromnej, pełnej luster sali balowej na drugim piętrze.

Kiedy Creighton przechadzał się wśród z pozoru chaotycznie krzątających się wokół ludzi, uśmiechał się do siebie zadowolony. Właśnie odebrał telefon od Mayi Stern. Zgodnie z oczekiwaniami po incydencie z Graffym, na którego wpadł O'Dea, Julia i Keeline pojawili się w hotelu Staffelda. Staffeld był już wyłączony z gry i teraz Mayi Stern pozostało tylko zamknąć sprawę Julii i Keeline'a, których śledziła. Wszystko wskazywało na to, że będzie to udany dzień.

Do Creightona podszedł Brice. Jak zwykle miał na sobie kowbojki, dżinsy i flanelową koszulę. Jego wypłowiałe rude włosy były gładko zaczesane do tyłu, a na rumianej twarzy gościł uśmiech.

- Douglas Powers miałby ochotę wyrwać ci serce.

Creighton zaśmiał się.

- Zdecydowałeś więc, że w gruncie rzeczy lubisz politykę.

- Jeśli ty ją uprawiasz, to owszem - stwierdził zadowolony Brice. - Nigdy nie bierz więźniów. Kurczę, mógłbyś zostać prawdziwym wzorem biznesmena. Byłbyś lepszy nawet niż nasz stary.

- Może masz rację. Ale prezydentura mi wystarczy.

Podszedł do nich David.

- Tu jesteście.

- Chodź. Mam coś, co się rozbawi.

Poprowadził braci obok wspaniałych dzieł sztuki, które zdobiły wielki hol. Byli tak przyzwyczajeni do uderzającego piękna tych dzieł, że nie zwracali na nie uwagi. Weszli do windy i Creighton wcisnął guzik. Jechali na trzecie piętro.

Kiedy kabina windy ruszyła w górę, David spojrzął na Creightona spode łba. Nie interesowały go szczegóły brudnych gierki brata, a na podstawie doniesień prasowych domyślił się, że Geoffrey Staffeld odgrywał w nich kluczową rolę.

David od razu zorientował się, na co zostało przeznaczonych sześć milionów dolarów, których potrzebował Vince.

- Wiesz, że musiałem poświęcić sześć milionów dolarów, których więcej nie zobaczymy. Jezu. Lepiej, żebyśmy wygrali.

- Nazwałbym to inwestycją - odpowiedział spokojnie Creighton. - To nam gwarantuje jeszcze jedną rewelację, dzięki której Powers dziś po południu straci resztki poparcia na wygraną i nie wygrzebie się z tego do końca życia. - Spojrzał na Davida ubranego podobnie jak on w szyty na miarę bawełniany garnitur i koszulę z bawełny wyglądającej jak jedwab. Niedługo wszyscy trzej przebiorą się w smokingi. - Zadzwoił do mnie, wyobraźcie sobie.

- Senator Powers? - zapytali chórem David i Brice.

Creighton kiwnął głową.

- Próbował mnie zastraszyć. Powiedział, że jeśli on pójdzie na dno, pociągnie mnie ze sobą. Mówił to, czego można by się spodziewać. Że jego ludzie będą do tej pory szukać, aż dokopią się jakiegoś związku między mną i Staffeldem i wyciągną na wierzch wszystkie moje grzeszki.

David zrobił zmartwioną minę.

- Mam nadzieję, że podjąłeś odpowiednie środki ostrożności.

Brice zareagował spontanicznie.

- Jezus, Maria! Creighton! Jeśli dorwą ciebie, my też utoniemy. - To była druga strona Pięści Tokugawy, ale nigdy do tej pory nie przyszło im jej doświadczyć.

Creighton uśmiechnął się.

- Nie ma takiej możliwości, żeby ktoś mógł nas połączyć ze Staffeldem. - Nie powiedział im, że może tak twierdzić, bo wszyscy, którzy pomogli mu w zdobyciu i sfałszowaniu dowodów, nie żyli: albo zginęli w wypadkach, albo umarli na atak serca wywołany pewnym środkiem chemicznym, który był w posiadaniu CIA. Nawet jeśli ktoś odkryje, że informacje o Dougu Powersie są oszczerstwem, nikt nie będzie w stanie udowodnić, że miały coś wspólnego z rodziną Redmondów. - Kiedy Powers rozpoczął swoją przemowę, powiedziałem mu, żeby zanim zacznie mnie oskarżać, zrobił porządek ze swoim życiem. I że to potwornie głupie i niemoralne uprawiać seks z dziećmi. Na co on odłożył słuchawkę.

Bracia wybuchli śmiechem.

Winda zatrzymała się i ruszyli w kierunku sali balowej. David czuł, że we trzech stanowią jedność. W tej chwili podobieństw między nimi było więcej niż różnic, a władza, którą posiadali, wydawała się nie do pokonania. Minęły zaledwie dwa dni, odkąd się tu spotkali, żeby opłakiwać Marguerite. Wtedy powściągliwość i rezerwa Brice'a miały efekt studzący zapalę innych. Ale dziś było inaczej. Brice był z nimi, i to dawało Davidowi przyjemne poczucie, że to, co robią, jest słuszne.

- A co z Julią? - zapytał David. - Nie martwi cię już ona albo ten Sam Keeline, o którym zbierałaś informacje?

- Wszystko jest pod kontrolą. - Creighton musiał opanować swoje niezadowolone z rozwoju wypadków z Julią w roli głównej. Nie może pokazać braciom słabości. Gdyby nie przekłeta Julia, miałyby teraz tylko jeden problem - starego. Ale Julia zamieniła się w Meduzę, rozwścieczoną i zajadłą w egoistycznej walce, żeby za wszelką cenę pomścić Marguerite.

- Okazało się, że rzeczywiście mamy Keeline'a u siebie w banku, łącznie z trzema kartami kredytowymi kilku należących do nas firm - powiedział David. - Ale od czasu telefonu Vince'a nie skorzystał z żadnej. Uważam, że to dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że musieli mieć jakieś środki, żeby się ukrywać.

- To nie takie dziwne. Keeline to cholerny cwaniak. Nie zapominaj, że był przez jakiś czas bardzo dobrym agentem wywiadu. Ale nie martw się. W ciągu godziny spodziewam się telefonu, że oboje, Julia i ten facet, już nam nie zagrażają. - Creighton przerwał. - Nasz stary też. Wspomniałem wam, że uciekł z domu opieki?

Brice i David zamarli. Obaj spojrzeli na brata z przerażeniem.

- Ojciec uciekł? - Brice powtórzył. - Cholera!

- To może być problem - powiedział David, kręcąc głową.

- To prawda. - Creighton kiwnął głową. - Ale ludzie Vince'a go znajdują. Poza tym staruszek cierpi na demencję, prawda? Mamy na to papier z sądu. Nikt nie zechce słuchać bełkotu zdzięcinniałego staruszka.

Weszli do sali balowej. David i Brice milczeli. Zmartwiło ich to, czego się dowiedzieli. Creighton poprowadził ich w prawo, gdzie pod ścianą stał długi stół służący za bar, przykryty jedwabiem w kolorze kości słoniowej. Pośrodku stołu stała rzeźba z lodu, nad którą pracował jeszcze artysta. Kończył już symbol Stanów Zjednoczonych, wspaniałego amerykańskiego orła o błyszczących, ostrych szponach. Matowobiała rzeźba, wysoka na prawie dwa metry, górowała nad nimi. Na powierzchni gdzieś widać było malutkie stopniałe kropelki. Rzeźba była groźna i piękna, miała stanowić punkt centralny tej ważnej uroczystości.

- Ile to kosztowało? - mruknął Brice.

- Nie pytaj. Dużo. - Creighton zachichotał. - Ale jakie to ma znaczenie? W środku znajduje się mały mechanizm. Kiedy przyjdzie czas, zacznie się z niego lać szampan przez dwanaście otworów. To będzie doskonale wyglądało w telewizji. Już to widzę w CNN.

David i Brice zaśmiali się. Do Creightona podszedł jeden z pracowników ubrany w białym garnitur.

- Są nowe wiadomości, sir. Chodzi o skandaliczną przeszłość senatora Powersa. Dziennikarze chcieliby z panem porozmawiać.

Creighton zdecydował, że spotka się z dziennikarzami na schodkach drewnianej chaty. Dał im piętnaście minut na rozstawienie sprzętu, po czym wyszedł na schodki w otoczeniu kilku osób ze swojego sztabu. Dziennikarze ustawili się na wyłożonej kamieniami ścieżce, po której przez tyle lat z biciem serca przybiegał na każde wezwanie ojca. Poczul, że na swój sposób brakuje mu starego. Sprawiłoby mu radość patrzeć, jak ojciec mu zazdrości. To by było coś nowego... i przyniosłoby mu satysfakcję.

Furtka z kutego żelaza była otwarta. Reporterzy, fotografowie i operatorzy kamer uformowali zwarty tłum pod schodami prowadzącymi do wysokich drzwi drewnianego domku. W tym samym miejscu Creighton ogłosił, że będzie kandydował w wyborach. Tutaj zrobiono większość zdjęć staruszka i członków rodziny z prezydentami i innymi osobistościami. Teraz te zdjęcia zdobiły ściany gabinetu willi i biur jego braci, dzieci, bratanków i bratanic. Ten dom wiele znaczył dla całej rodziny i tak kojarzył się wielu Amerykanom. Mieli okazję widzieć wielu ważnych polityków fotografowanych w tym miejscu przez kilkadziesiąt lat. Teraz przyszła pora na Creightona.

Jego rzecznik prasowy stał na szczycie schodów i rozpoczął.

- Poinformowałem sędziego Redmonda o nowych dowodach, które ujawniono w sprawie dotyczącej nadinspektora Geoffreya Staffelda...

Creighton opanował uśmiech. Dziennikarka z Associated Press - to jej Vince przekazał anonimowo informacje o miejscu pobytu Staffelda - znalazła walizkę z dokumentami, którą Maya Stern podrzuciła w pokoju hotelowym. Maya podmieniła walizki: zostawiła tę z materiałami, a zabrała tę, którą Staffeld odebrał na Heathrow. Nowa walizka nie miała już wmontowanego w zamek urządzenia wysyłającego sygnał, a w środku znajdowały się dokumenty świadczące nie tylko o grzechach Powersa, ale też samego Staffelda.

Napis na ścianie nad wanną był zrobiony ręką nadinspektora, więc wszystko świadczyło o prawdziwości win obu, Staffelda i Powersa. Wszyscy powinni dojść do zgodnego wniosku, że wyrzuty sumienia i poczucie obowiązku nadinspektora Staffelda skłoniły go do ujawnienia przestępcy, który nie powinien zostać prezydentem, a potem do samobójstwa, żeby zakończyć ten łańcuch przestępstw, zanim ktoś zdąży odkryć jego winy. Na taki wniosek liczył Creighton.

Kiedy jego rzecznik prasowy zakończył, Creighton podszedł na skraj schodów. Jego twarz wyrażała stosowną do sytuacji powagę. Spojrzał na gromadkę oczekujących na jego słowa reporterów. Przez moment miał wrażenie, że wstał z ławki w sądzie i zaraz będzie zwracał się do szanownych prawników i publiczności. A potem cofnął się pamięcią jeszcze dalej wstecz, do czasów Wietnamu, do strachu przed śmiercią i smrodu napalmu, do odgłosu strzałów.

Staruszek zaszczepił mu ambicję, Wietnam nauczył go odwagi, a praca w Sądzie Najwyższym pokazała mu, że może rządzić ludźmi. Rozkoszował się tą chwilą zawieszenia, pełnej napięcia ciszy i zainteresowaniem, o jakim świadczyła. Potem zaczął mówić tonem spokojnym, jak tego wymagała powaga chwili.

- Panie i panowie. Od początku podkreślałem, że nie wolno nam osądzać człowieka, zanim nie osądzi go, po przeprowadzeniu uczciwego procesu, sąd. Miałem poważne wątpliwości co do tego, że człowiek taki jak kandydat Powers mógł popełnić równie obrzydliwe czyny, jak te, o które go oskarżono. Ale musimy stawić czoła faktom. Jutro są wybory. Zostało niewiele czasu, żeby zebrać dowody, które przekonałyby nas o niewinności senatora Powersa. Osobiście nie znoszę takich sytuacji nie tylko z powodu powagi popełnionych przestępstw, ale również dlatego, że mimo braku danych decyzja musi zostać podjęta.

Przerwał. Dziennikarze pracownicy robili notatki. Inni trzymali wysoko podniesione dyktafony. Nadszedł czas, żeby jasno opowiedzieć się przeciwko Powersowi. Koniec ze szlachetnością i trzymaniem się z dala od sprawy. Ale trzeba to zrobić w taki sposób, żeby wyborcy zaczęli go jeszcze bardziej szanować i żeby głosowali na Redmonda nie dlatego, że oznacza mniejsze zło, ale dlatego, że jest najodpowiedniejszym na to stanowisko człowiekiem.

Jego głos nabrał siły i zdecydowania.

- Z tego miejsca wzywam senatora Powersa, żeby przyznał się do przestępstw, jeśli je rzeczywiście popełnił, aby naród miał szansę na dokonanie uczciwego wyboru. Krótko mówiąc, myślę, że musimy głosować tak, aby mieć na celu dobro kraju. Nawet jeśli senator jest niewinny, boję się, że oskarżenia będą kłaść się cieniem na jego urząd i na cały kraj. W rezultacie wizerunek Ameryki i jej reputacja za granicą ucierpią, a co ważniejsze, zostaną uszczuplone możliwości rozwoju kraju. - Przebiegł wzrokiem po dziennikarzach. Zauważył, że jeden z nich kiwa głową. Podjął wątek z nową siłą. - Nasz naród może stać się przedmiotem pomówień, oskarżeń i dochodzeń, nadal mogą spływać nowe dowody, w końcu ktoś wyda nakaz aresztowania. Mieliśmy dość takich sytuacji w czasie poprzedniej prezydentury.

Więcej głów dziennikarzy zaczęło kiwać ze zrozumieniem. Creighton był mówcą charyzmatycznym, miał dar przemawiania do tłumu. Dziennikarze byli cyniczni, uodpornieni i przyzwyczajeni wszystko poddawać w wątpliwość. Dla Creightona byli w tej chwili jedyną publicznością która miała znaczenie. To przecież ich rękami prowadzone są walki w okopach polityki. Jeśli uda mu się ich przekonać, pójdzie za nimi naród.

Popatrzył kilku w oczy. W jego głosie słychać było najświętsze oburzenie.

- Ameryka jest światowym liderem. Nie rozumiem, jak ktoś przy zdrowych zmysłach mógłby wybrać na najważniejsze w tym kraju stanowisko człowieka, co do którego istnieją takie wątpliwości. Przecież dotyczą one nie tylko jego charakteru, uczciwości, ale... czystości serca. Więcej głów zaczęło kiwać z przekonaniem. Takiemu człowiekowi nie można pozwolić kierować tym wspaniałym krajem. Nie możemy mu na to pozwolić. Nie możemy pozwolić na to, żeby kierował nami Douglas Powers!

Błyskały flesze, kamery szumiały. Creighton Redmond stał niewzruszony, a tłumek zmęczonych dziennikarzy zdawał się falować z emocji. Prezydentura była celem jego życia. Nic więcej się nie liczyło. Pragnął tego stanowiska tak jak głodny pragnie się najeść.

Czekał z nadzieją...

I wtedy zdarzyło się coś, na co nawet nie liczył. Jeden z dziennikarzy zaczął klaskać. Dołączył następny. Po chwili klaskali wszyscy. Ich entuzjastyczne poparcie widział w promieniejących twarzach i w klaszczących dłoniach. Byli Amerykanami. Chcieli, żeby ich prezydentem został człowiek czysty, człowiek honoru. Tym człowiekiem był stojący przed nimi były sędzia Sądu Najwyższego Creighton Redmond.

51.

12.30, PONIEDZIAŁEK
NOWY JORK

Wynajęty przez Keeline'a mustang czekał zaparkowany przy Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy. Julia z Samem dyskretnie porzucili skradzioną taksówkę i wskoczyli do mustanga. Sam próbował wydostać się z zakorkowanych ulic, a Julia opowiedziała mu, co ją tknęło, kiedy zobaczyła znak nad kuchnią wydającą darmową zupę.

- Nie znaleźliśmy ojca Michaela w Westchester, bo on nie mieszka w Westchester. Myślę, że poznał dziadka w Oyster Bay i kiedy wujowie zamknęli dziadka w domu opieki, po prostu dalej go tam odwiedzał. Miał lekki niemiecki akcent, pamiętasz? To mógł być wędrowny misjonarz. Mama wspominała mi, że dziadek zrobił się na starość religijny. Chodził do kościoła dwa albo i trzy razy w tygodniu. Założę się, że spotkali się w rodzinnej parafii.

Sam skręcił na południe, w Drugą Aleję.

- W takim razie Creighton, albo ktoś inny z rodziny, powinien znać tego ojca Michaela.

- Niekoniecznie. Wujowie od dawna nie chodzą do kościoła, a tylko Creighton i Alexis mieszkają teraz w Oyster Bay, i to od niedawna, odkąd sprzedali swój dom w Waszyngtonie. Ich najstarsze dzieci, na przykład Vince, już zakładały własne rodziny, a młodsze uczą się i mieszkają poza domem. Odkąd dziadka wysłano do domu opieki, Arbor Knoll się wyludniło, nie licząc służby.

- A gdzie jest ten kościół parafialny?

- W Oyster Bay. To kościół pod wezwaniem świętego Dominika. Są tam dominikanie, tak jak przy kuchni wydającej darmową zupę. Dlatego sobie o tym przypomniałam. Zastanawialiśmy, dlaczego dziadek chciał uciec... Powinnam się była od razu domyślić, że to w stylu Lyle'a Redmonda pojechać do Oyster Bay, żeby spojrzeć synom w oczy.

Sam słuchał podekscytowany.

- Ale skoro my się tego domyśliliśmy, na pewno domyślili się też Creighton i Vince.

Julia skrzywiła się.

- Niestety, pewnie tak.

Julia z Samem wydostali się z Manhattanu, minęli Queens i wjechali na teren okręgu Nassau. Julia włączyła radio i znalazła stację nadającą wyłącznie wiadomości.

- Posłuchajmy, jakie są najnowsze złe wiadomości.

Sam zerknął w jej stronę.

- Nie mogę się doczekać.

Uśmiechnęła się i oparła głowę na jego ramieniu. Radio właśnie podawało prognozę pogody i informacje sportowe. Przyszedł czas na wiadomości krajowe.

- Dziś wczesnym popołudniem w jednym z hoteli na West Side znaleziono ciało Geoffreya Staffelda, nadinspektora Scotland Yardu...

W milczeniu wysłuchali wiadomości o samobójstwie Staffelda, o wypisanym krwią na ścianie zdaniu i o świadczących o jego winie dokumentach i zdjęciach w walizce.

- O Boże! - Julia miała głos zachrypnięty z przerażenia. - Więc o to chodziło w tym niby-samobójstwie. O to, żeby pokazać dowody, świadczące o tym, że Staffeld też był zbrojcem! A samobójstwo ma znaczyć, że żałował własnych grzechów. Wpadłbyś na coś takiego, Sam?

Sam z ponurą miną skinął głową. W radiu puszczonego fragment wystąpienia Creightona, a potem gorące zapewnienia Douglasa Powersa: „Nigdy w życiu nie molestowałem seksualnie żadnych dzieci! Nigdy w życiu nie poznałem Geoffreya Staffelda! To kłamstwa, oszczerstwa, nie spocznę, dopóki nie znajdę tego, kto stoi za tą nagonką, i nie doprowadzę do osądzenia go i skazania! Trudno nawet pomyśleć...”.

- Powers jest skończony. - Sam pokręcił głową. - Może zaprzeczać, ile chce, ale samobójstwo Staffelda sprawiło, że jego wina wydaje się bardziej oczywista.

Jeden zboczeniec demaskuje drugiego dla dobra Ameryki, ale wie, że prawda o nim samym wkrótce wyjdzie na jaw. Jest takie powiedzenie, że jesteśmy w stanie zrozumieć tylko człowieka podobnego do nas. Ten facet wiedział, o czym mówi. - Sam spojrzął na zabudowania po lewej stronie drogi. Im bardziej oddalali się od miasta, tym więcej było zieleni, większe były też domy. - To tłumaczy, co Maya ze swoim gangiem robiła pod tym hotelem i dlaczego nas zobaczyli. Musieli zabić Staffelda i upozorować samobójstwo tuż przed nami.

- A ja byłam tak zajęta pistoletem Staffelda, że nawet nie zajrzałam do jego walizki.

- Całe szczęście, bo znaleziono by na niej twoje odciski palców. Powers jest pogrążony. I nie ma żadnego znaczenia, czy Staffeld rzeczywiście gwałcił tych chłopców. Creighton równie dobrze mógł sfabrykować dowody przeciwko niemu. Abraham Lincoln słusznie zauważył: „Opinia publiczna w tym kraju jest wszystkim”.

- A Creighton zmanipulował ją do tego stopnia, że większość ludzi nie ośmieli się głosować na Powersa. Będą się bali o przyszłość kraju. - I aż słabo się jej zrobiło, kiedy zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze. - Założę się, że dla mnie Creighton też ma w planach samobójstwo. Dlatego Stern mnie nie zastrzeliła. Gdyby to wyglądało, jakbym sama się zabiła, nie tylko by się mnie pozbyli, ale jeszcze potwierdziłoby to słuszność teorii, że zwariowałam i zabiłam Oriona. A gdybyś ty popełnił samobójstwo razem ze mną, Creighton byłby kryty na wszystkich frontach.

Sam kiwnął głową.

- Jedyna nadzieja w twoim dziadku. Musimy go znaleźć.

Radio podało ich opis, a także ostrzeżenie, że mogą być uzbrojeni i niebezpieczni.

Julia gniewnie pokręciła głową.

- Nie mogę uwierzyć, że to o nas.

Na zakończenie przedstawiono sprawozdanie z przygotowań do przedwyborczego przyjęcia, które miało się odbyć dziś w Arbor Knoll. Spiker wymienił kilkanaście nazwisk osobistości, które potwierdziły swój udział, i zapowiedział, że stacja radiowa nada stamtąd relację na żywo.

Sam uderzył pięścią w kierownicę.

- To niemożliwe, żeby Creighton wygrał te wybory.

- Znajdziemy jakiś sposób, żeby do tego nie dopuścić - powiedziała z determinacją Julia. Z minuty na minutę jej nienawiść do Creightona rosła. Teraz już nie miała wątpliwości, że to on spowodował śmierć jej matki. Pomyślała, że mogłaby go zabić.

W milczeniu minęli skupiska starych magazynów i fabryk i wjechali w jezienny krajobraz małych miasteczek i rezydencji na Long Island. Kiedy z trasy międzystanowej zjechali na drogę numer sto sześć, skręcając na północ, w

krainę pastwisk i białych płotów wokół domów, sklepów i zakładów pracy, w powietrzu poczuli delikatny zapach wsi.

Julia nie widziała tej okolicy od lat i jej zgłodniałe oczy chciały wszystko zobaczyć. Ale umysł był zajęty gorączkową pracą. Szukała sposobu, żeby pogrążyć Creightona. Zaczęła sobie wyobrażać sposób, w jaki go zabije...

Wzdrygnęła się.

Droga numer sto sześć zamieniła się w South Street i w końcu znaleźli się w miejscowości leżącej na brzegu Oyster Bay. Panowała atmosfera rodem z wioski rybackiej. Nad głowami przeleciało stado mew. Kotwice, żagle i inne rybackie akcesoria stanowiły dekorację malowniczego wybrzeża.

Julia skierowała Sama na wzgórze, w boczną uliczkę.

- Stąd możemy się przejść. Na wszelki wypadek... - Zostawili samochód przy wąskiej uliczce białych drewnianych domków, wysadzonej starymi, rozłożystymi drzewami.

Sam nie odzywał się. Rozumiał, co Julia miała na myśli, mówiąc „na wszelki wypadek”... Na wypadek, gdyby Maya Stern albo inni czyściciele wpadli na pomysł, żeby sprawdzić ten kościół.

Kościół Świętego Dominika stał na rogu Astice Street i Weeks Avenue. Był to śliczny budynek z kamienia z witrażami w łukowatych oknach i z wysoką wieżą. Teren wokół kościoła ciągnął się na długości całej przecznicy. Stały na nim jeszcze plebania i klasztor. A po drugiej stronie mieściło się Liceum Świętego Dominika oraz ośrodek sportowy i biuro parafialne. Jak na tak małą miejscowość to był ogromny teren i najwyraźniej bardzo ważny dla mieszkańców.

W powietrzu unosił się orzeźwiający zapach soli. Przez gałęzie drzew, na których rosło jeszcze kilka brązowych liści, przeświecało słońce. Julia poprowadziła Sama przez parking za kościół. Rozglądali się bez przerwy, szukając śladów May i Stern i jej ludzi.

Na parkingu stał zniszczony volkswagen furgonetka.

- To ten sam - powiedziała przejęta Julia. - W tym samochodzie widziałam tego mnicha.

Sam nie był zadowolony.

- Równie dobrze mogliby wywiesić ogłoszenie. Albo ojciec Michael i twój dziadek tu są, albo ludzie Creightona już ich znaleźli i zostawili furgonetkę na miejscu.

Pospiesznie weszli do kościoła przez boczne drzwi. Panowała tu cisza i wyglądało na to, że kościół jest pusty. Czerwonym chodnikiem podeszli do ołtarza. W świątyni stały ławki z ciemnego drewna. Czerwone świece wotywnie paliły się wokół ołtarza. Panowała atmosfera wyciszenia i oczekiwania.

Sam poczuł się nieswojo.

- Co robimy teraz?

Julia rozejrzała się. Gdzieś w tym budynku albo którymś z budynków w sąsiedztwie może się ukrywać dziadek. Mogą sprawdzić każdy, ale nie mają gwarancji, że dziadek będzie chciał się ujawnić. Musi znaleźć sposób, żeby mu powiedzieć, kim jest, i przekonać go, że nie powinien się ich obawiać...

I nagle wpadła na sposób. Nad wyłożonym kafelkami wejściem był niewielki balkon, a na nim stały organy.

- Zaczekaj tutaj na mnie. - Julia weszła na górę wąskimi schodami i usiadła za organami. Wyciągnęła przed siebie ręce. Ze zdziwieniem spostrzegła, że jej dłonie mają ciemny kolor. Miała wrażenie, że są jej obce.

Przez chwilę wydawało się jej, że jest kimś innym, kim szczęśliwym, kimś kto nie ma żadnych trosk.

Serce zabiło jej mocniej. Poczula, że przepływa przez nią muzyka. Wspaniałe i podniecające dźwięki wypełniły jej ciało i przeniosły ją w inne życie, w jej dawny, już zapomniany świat. Ten świat, który w ciągu ostatnich trzech dni, od chwili śmierci matki, gdzieś po drodze zagubił się w przemocy i cierpieniu. Czy to możliwe, że od tego potwornego wydarzenia minęły tylko trzy dni? Wydawało się jej, że to cała wieczność.

- Wszystko w porządku? - Sam stał na dole przy ławkach i spoglądał na nią. Widział, że na jej słodkiej twarzy maluje się cierpienie.

- Dzięki, w porządku. - Wie już, co zagra dziadkowi. *Shall We Dance?* George'a Gershwina. Kiedy zdecydowała się, spod jej palców popłynęła muzyka. To było tak naturalne i pozbawione wysiłku, takie właściwe. Momentalnie zapomniała o potwornościach Creightona. Grała, a każda rozkołysana nutka unosząca się z potężnych organów wypełniała kościół i z mocą wypadła przez otwarte drzwi na zewnątrz, przywołując dziadka.

52.

13.48, PONIEDZIAŁEK
OYSTER BAY, NOWY JORK

Julia grała, a kościół nadal był pusty. Tylko Sam stał na straży pod balkonem. Julia przeszła płynnie do jazzowego standardu *I Got Rhythm* i zaczęła nucić. Gershwin miał niespotykaną łatwość tworzenia przepięknych harmonii i nawet dziś, choć minęło kilkadziesiąt lat od chwili, kiedy komponował, ta melodia wydawała się świeża i porywająca.

Julia, grając, obserwowała kościół. Wciąż miała nadzieję...

Ale po dziadku nie było śladu. Ani po nikim innym.

Wysiliła pamięć i przypomniała sobie kolejny przebój Gershwina. Płynnie przeszła do *Our Love is Here to Stay*. Dźwięki piosenki roztańczyły się w kościele.

*Góry Skaliste kiedyś się rozsypią,
Gibraltar pod wodą zniknie.
Bo tak naprawdę wszystko to piach
Lecz nasza miłość będzie trwać...*

Najpierw było to lekkie poruszenie. Boczne drzwi kościoła poruszyły się. Po chwili postać w habicie franciszkańskim, w kapturze zasłaniającym twarz znalazła się w polu widzenia Julii.

Julia zamarła. Muzyka urwała się.

Franciszkanin zsunął kaptur.

- Nie przerywaj, cholera. To moja ulubiona melodia.

Białe włosy staruszka wyglądały jak aureola. Ten człowiek o pomarszczonej twarzy i wystających kościach przyglądał się jej bardzo uważnie. Czuła się wzruszona, podekscytowana i aż nie mogła uwierzyć, że to się stało...

Uśmiechnęła się w końcu i szybko powróciła do gry.

Staruszek wystukiwał rytm nogą. Spojrzał na Sama.

- Pewnie Sam Keeline?

Sam powstrzymał uśmiech.

- Tak. Pewnie Lyle Redmond?

- We własnej osobie. Ale słuchajmy.

Julia, kiedy tylko skończyła grać, zbiegła na dół. Była podniecona, ale czuła ulgę. Staruszek czekał. Objął ją i przytulił. Jak nigdy. Czuła, jak jego serce bije mocno i żywo, pachniał snem i modlitwą. I cały drżał. Julia zrozumiała dlaczego, kiedy się od niego oderwała. Oczy staruszka błyszczały od łez.

Nie wyobrażała sobie, żeby ten twardy, skory do gniewu mężczyzna o żelaznej woli potrafił płakać. Poruszyło jato do głębi.

Stary człowiek zauważył, że Julia jest zaskoczona jego łzami.

- Kiedy człowiek się starzeje, płacze niezależnie od tego, czy chce, czy nie. To cholerny kłopot. Ale żeby dalej żyć, trzeba się zestarzeć, innego wyjścia nie ma. - Uśmiechnął się, pokazując zęby. - Jak, u diabła, udało ci się mnie znaleźć? Sam nie dał Julii dojść do słowa.

- Najpierw musi pan powiedzieć ojcu Michaelowi, żeby gdzieś ukrył swój samochód. Jeśli ktoś go zobaczy, będzie to znaczyło mniej więcej tyle co: „Właśnie tutaj jest Lyle Redmond”.

Lyle kiwnął głową.

- Ojciec jest na plebani. Chodźmy. - Kiedy wyszli z kościoła, spojrzal nieśmiało na Julię. - Cieszę się, że cię widzę, dziecko. Cholerna szkoda, że tak długo byłaś niewidoma.

- Dzięki, dziadku. - Nie mogła czekać ani chwili dłużej. Zapytała. - Dziadku, pamiętasz, co się wydarzyło w noc po moim koncercie debiutanckim. Coś co mogło sprawić, że straciłam wzrok?

Zmarszczył białe brwi. Wyglądał na zaskoczonego.

- Przecież lekarze stwierdzili, że to strach przed publicznością.

- To coś innego - powiedziała. - Teraz jestem już pewna.

Wyglądał, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

- Twój ojciec zmarł, kiedy spałaś, to oczywiste. Ale to jedyne, co pamiętam z tamtej nocy. To mi wystarczy.

- Nikt się z nikim nie pokłócił? - Julia nie chciała ustąpić.

- Przykro mi, dziecko. Odbyło się zwykle przyjęcie. Chociaż pamiętam, że twój ojciec nie bawił się najlepiej. Tak, był raczej w kiepskim nastroju.

- Naprawdę? - Tego nie pamiętała. - Dlaczego?

Dziadek wzruszył ramionami.

- Któż to wie. Pewnie Dan go czymś męczył. A potrafił. Czasem dochodziło między nimi do rozgrywek typowych dla ojca i syna. Bóg mi świadkiem, że sam mam w tych sprawach sporo na sumieniu.

Szli chodnikiem we trójkę, ramię w ramię, w kierunku plebani. Między nagimi gałęziami drzew prześwitywało słońce i tworzyło na chodniku koronkowe wzory. Sam i Julia nie przestawali rozglądać się uważnie dokoła.

- Jest tu pan od wczoraj? - zapytał Sam.

Lyle kiwnął głową.

- Ojciec Michael przywiózł mnie tutaj, kiedy tylko przekąsiliśmy coś i wypaliliśmy po dobrym cygarze. Przypomniało mi się. Bądźcie grzeczni i nie mówcie ojcu Michaelowi, że klnę. Staram się opanować, ale to takie trudne jak przejście na vegetarianizm. Mój umysł podjął decyzję o realizacji programu, ale moje wnętrze wciąż się buntuje. Nielatwo jest nagle przestać robić coś, co się robiło przez całe życie.

Julia ukryła uśmiech. Wchodzili po schodkach na plebanię. Był to budynek ozdobiony białymi stiukami, ze spadzistym dachem i rzędami błyszczących szyb. Korciło ją, żeby zapytać dziadka, co wie o jej pierścionku, kolczykach mamy i szkatulce, którą widziała w książce Sama o skarbach z Królewca, ale będzie musiała jeszcze poczekać.

- Dziadku, jesteś znowu sobą, zachowujesz się zupełnie inaczej niż ten schorowany staruszek, którego widziałyśmy z mamą w domu opieki. Musieli cię tam szpikować jakimis paskudztwami.

- Skurczybyki - dziadek mruknął pod nosem. - Wszyscy, nie tylko Reilly i jego goryle. To przez te środki odurzające, które wstrzykiwano mi „dla mojego dobra”. Dlatego nie można było mnie odwiedzać bez zapowiedzi. Reilly musiał mieć czas mnie naszprycować tak, że nie wiedziałem, na jakim świecie żyję.

Sam przysłuchiwał się temu. Włączył się do rozmowy.

- Dlaczego był pan w kościele, a nie na plebanii z ojcem Michael'em? Czy wynikły jakieś trudności?...

Zatrzymali się przed dużymi drzwiami plebanii.

- Nie. Ojciec Michael mnie tu zostawił, bo bał się, że mogę niechcący wygadać się, kim jestem. Proboszcz wie i jeszcze kilku księży, bo ojciec Michael kilku powiedział, ale nie wszystkim. A może też trochę się bał, że moi kochający synowie wyślą kogoś, żeby mnie szukał na plebanii. - Po policzku staruszka spłynęła kolejna łza. Spojrzał na Julię. - Ale dzięki Bogu to ty, dziecko.

Na plebanii Sam wytłumaczył ojcu Michaelowi, czym ryzykuje, zostawiając samochód na widoku. Zakonnik szybko poszedł go ukryć. Lyle przedstawił Julię i Sama proboszczowi, wielebnemu Jerome'owi O'Connellowi, jako swoich młodych krewniaków.

- Wielebny był swego czasu w Rzymie razem z ojcem Michael'em i tam się zaprzyjaźnili - dziadek wyjaśnił. - Kiedy ojciec Michael przeszedł na coś w rodzaju emerytury, postanowił przyjechać tutaj.

- Gościmy go tu z radością. - Proboszcz był mężczyzną średniego wzrostu, z wielkim nosem i żywo poruszającymi się, ciemnymi brwiami. Miał na sobie czarny garnitur i koloratkę, podobnie jak ksiądz, którego Julia widziała w Hell's Kitchen. Z uśmiechem uścisnął ich dłonie. Jego wzrok zatrzymał się na ciemnej twarzy Julii i na jej ubraniu, które wyglądało jak z Armii Zbawienia. - Czy ja pani już gdzieś nie widziałem?

Możliwe, że ją widział kilka razy, ale Julia zawsze była w otoczeniu rodziny Redmondów. Parę dni temu nawet uścisnął jej dłoń, składając kondolencje z powodu śmierci matki.

- Chyba rzeczywiście spotkaliśmy się już - stwierdziła Julia niezobowiązująco.

Proboszcz skinął głową i spojrzał na Lyle'a.

- Rozgośćcie się w pokoju na końcu korytarza. Ojciec Michael często używa go jako swojego gabinetu. Tam jest spokojnie i nikt wam nie będzie przeszkadzał.

Staruszek poprowadził ich korytarzem, a Julia poczuła, że mają bardzo mało czasu. Ogarnął ją lęk, że do tej pory tak niewiele zrobili, żeby powstrzymać Creightona. Jutro rano zostaną otwarte lokale wyborcze. Od tej chwili dzieliło ich zaledwie szesnaście godzin.

Kiedy dziadek zasiadł na bujanym fotelu, zamknęła za nimi drzwi.

- Dziadku, słyszałeś o Creightonie?

Meble w pokoju były proste i wygodne - kanapa, duży, miękki fotel i fotel bujany ustawione dokoła niskiego stołu z orzecha. Okno wychodziło na podwórze. Pod oknem stało biurko, a na nim leżał zamknięty gruby zeszyt. Okładka była zniszczona, jakby ksiądz woził go ze sobą od lat. Zeszyt sprawił, że ten nijaki pokój nabierał tajemniczości, jak gdyby ręka Boga połączyła ich z przeszłością.

- Nich to wszyscy diabli, Julio, kto by nie słyszał? Był kiedyś takim małym bucem, a teraz wpycha się do Gabinetu Owalnego. Nie doceniłem go. - Skrzywił się. - Moja wina. Zawsze chciał mi dorównać. A ja myślałem, że brak mu jaj. - Spojrzał na nich posepnie. - Tymczasem prześcignął mnie we wszystkim, co we mnie najgorsze. Nie byłem dobrym ojcem, mam czego żałować. - Zerknął na Julię. - Z wyjątkiem twojej matki. Ona się nie dała.

Julia poczuła, że coś ją ściska za gardło.

- Creighton ją zabił. Jestem tego pewna.

Staruszek spuścił głowę i po jego policzkach znowu spłynęły łzy.

- Ja ją zabiłem. To ja wysłałem do niej przesyłkę. I do pana, panie Keeline. Cieszę się, że pan żyje.

- Creighton chce mnie dopaść. Pan też jest na jego czarnej liście. Może nawet na wyższej pozycji.

- Chyba rzeczywiście. - Głos starego nagle nabrał mocy.

Julia i Sam opowiedzieli mu, co się wydarzyło od piątkowej nocy - o zamordowaniu Marguerite przez Mayę Stern, o morderstwie Oriona Grapolisa, o ataku na Julię w Kinoteatrze Romanowów, o zdradzie Pinka i o ucieczce Julii z domu opieki.

Twarz staruszka się rozjaśniła.

- Gazem łzawiącym obezwładniłaś tego drania Reilly'ego? Szkoda, że tego nie widziałem!

Sam pochylił się.

- Musimy znaleźć dowody przeciwko Creightonowi. Nie mogą pochodzić od nas. Ja zostałem przedstawiony w mediach jako odszczepieniec, z Julii zrobiono oblakana, a z pana staruszka z Alzheimerem. Musimy znaleźć coś, co zagwarantuje, że Creighton nie wygra jutrzejszych wyborów. A potem będziemy się mogli martwić o to, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Czy w tych pamiętnikach, które pan pisał, były rzeczywiście dowody na to, że popełniano przestępstwa? A co z Bursztynową Komnatą? Z fragmentu pańskiego listu,

który zdążyłem przeczytać, wywnioskowałem, że wie pan, co się z nią stało.

Staruszek poczuł, że coś się w nim buntuje. Miał teraz okazję odkryć całą prawdę, ale okazało się, że wcale nie chce tego robić. Jeszcze nie. Trzymał to w tajemnicy ponad pół wieku. Bursztynowa Komnata. Nikt żywy o niej nie wiedział. Poza Creightonem... i nim.

Julia nalegała.

- Musisz coś wiedzieć o „drugim skarbie Himmlera”. Ta szkatułka inkrustowana szlachetnymi kamieniami, która stała na twoim biurku w drewnianej chacie, pochodzi z zamku, z którego znikła komnata. Podobnie jak mój pierścionek z aleksandrytem i mamy kolczyki ze szmaragdami. Czy dziadek Austrian dał ci tę szkatułkę? Czy dziadek ukradł komnatę?

Twarz staruszka przybrała nieprzenikniony wyraz.

- Chyba można tak powiedzieć.

- Co się wtedy stało, dziadku?

Staruszek siedział, milcząc i nieświadomie skubał franciszkański habit.

Nagle Julia wstała, przeszła przez pokój i ukucnęła przed nim. Spojrzała mu w oczy.

- Dziadku, jesteś naszą jedyną nadzieją. Pomyśl o mamie. Wiem, że chciałeś, żeby świat się o tym dowiedział, bo inaczej nie wysyłałbyś pamiętników do mamy i do Sama. Co w nich było? O czym chciałeś powiedzieć światu?

Stary spojrzał na nią.

- Skąd wiesz, że pisałem pamiętnik?

- Od pani Schwartz. Myślę, że ona jest w tobie wciąż zakochana.

- Głupia baba. - Ale wyprostował się z dumą.

Julia nalegała.

- Nie możesz pozwolić, żeby Creighton i John Reilly wygrali. Dlaczego chciałeś ujawnić swoje pamiętniki, dziadku?

Stary Lyle wciąż się wahał, jak zgłodniałe zwierzę, które odmawia sobie jedzenia, bo poprzednie było zatrute. Ale przecież staruszek już wiedział, że to nie trucizna go czeka... a zbawienie. Kiedy jechali tutaj, podjął decyzję, że nie zadowolili się tylko ominięciem piekła. Widział Niebo ze złotą bramą, z aniołami i z jego słodką żoną Mary, i ze wszystkim, w co kiedyś wierzył... Tam chciał trafić.

Żeby się tam dostać, musi zakończyć sprawy z przeszłości. Ma do naprawienia wiele złego. Poprawił się na fotelu. Poczuł, że wracają mu wreszcie siły.

- Jesteście sprytną parą dzieciaków. Macie rację, nikt nam nie uwierzy. Ale jest coś, czego wszyscy chcieliby się od nas dowiedzieć... i w co uwierzą...

Stanowili dziwną parę przyjaciół, ale to im odpowiadało. Kapitan Dan Austrian podziwiał urok osobisty młodego Redmonda i jego umiejętność dogadywania się z ludźmi. Sierżant Lyle Redmond był zaś pod wrażeniem chłodnej zdolności kalkulacji oraz licznych znajomości starszego Austrianana. Kapitan był mistrzem w dostawaniu się wszędzie, gdzie chciał, choćby musiał przy tym naruszyć wszystkie możliwe zakazy. Lyle'owi to się podobało.

W czerwcu już było po wojnie, a kapitan Austrian i sierżant Redmond oraz ich kompania dostali rozkaz, żeby bezpiecznie przeprowadzić przez południowe Niemcy ekspertów, którzy mieli ocenić wartość zagrabionych przez nazistów dzieł sztuki i kosztowności.

Kapitan Austrian miał szczęście. Poza tym znalazł niemiecki. W jakiejś alpejskiej wiosce nad Jeziorem Bodeńskim podsłuchiwał rozmowę dwóch wieśniaków. Mówili o specjalnym pociągu, który w ostatnich tygodniach wojny trafił do Zurychu. Kiedy jeden z nich dowiedział się o pociągu, pojechali sprawdzić, co było w nim tak szczególnego. Wszystko stało się jasne - na każdym wagonie znajdowało się nazwisko Heinricha Himmlera i czarny krzyż SS. Pociąg stał przez jakiś czas na torach, bo coś się popsuło. Jakiś pułkownik SS w wysokich czarnych oficerkach wyskoczył z pociągu i krzyknął: „Maas, trzymaj swoje łapy z daleka od tego”. Wieśniacy zastanawiali się, co mogło być w tym pociągu, ale bali się zostać tam dłużej. Jedyne, jakiej się dowiedzieli, to tego, że Maas był bankierem z Zurychu.

To wszystko zainteresowało Austrianana. Wystarczająco dużo czasu spędził z ekspertami od dzieł sztuki, żeby wiedzieć, ile skarbów zostało zagarniętych przez Niemców - szczególnie przez nazistowskich przywódców. Pod pretekstem, że potrzebuje od niego czegoś armia, rozpytywał o bankiera nazwiskiem Maas i odnalazł go. Pojechał do Zurychu, żeby z nim pomówić. Razem się upili i poszli na dziwki. W końcu bankier mu się zwierzył, że wie gdzie są słynne obrazy, bezcenna biżuteria, a także dzieło sztuki o nieocenionej wartości, legendarna Bursztynowa Komnata.

Odkąd bankier pokazał mu fragment komnaty, Austrian nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak ją ukraść. Ale zadanie przerastało siły jednego człowieka. Potrzebował pomocy Lyle'a Redmonda.

Redmond nigdy nie ukrywał, że chciałby być bogaty. Kiedy człowiek rodzi się biedny, nie pozwala sobie myśleć, że umrze również w biedzie. Z reguły jednak większość urodzonych w biedzie, również w biedzie umiera i wszystko wskazywało na to, że Redmond ma duże szanse, żeby potwierdzić tę regułę. Wynegocjował więc z Austrianem podział skarbu po połowie.

Austrian umówił Maasa i Redmonda na spotkanie. Kiedy jednak Redmond przyjechał pod wskazany adres do magazynu w Zurychu, zobaczył, że ucieka

stamtąd dziecko, chłopiec, i to w takim pędzie, jakby go gonilo stado diabłów. Dzieciak był błądą z przerażenia.

W magazynie Redmond zastał martwego bankiera i obryzgane krwią ściany. Daniel Austrian stał nad ciałem z karabinem.

- Maas zaczął coś podejrzywać. Chciał mnie zabić. - Twarz Austriana była czerwona z gniewu. Miał gwałtowny temperament.

- Tak? Z czego chciał do ciebie strzelać? - Redmond nie do końca wierzył Austrianowi.

Ale stało się. Skarby tam były. Nic tylko brać. Te przedmioty nie były własnością bankiera. Lyle Redmond pomógł przyjacielowi zanieść ciało do samochodu, a Austrian wyrzucił je gdzieś w dzielnicy czerwonych latarni w Zurychu, po czym wrócił, żeby pomagać Redmondowi w przemasowywaniu skrzyń. Napisali na nich: „Własność rządu USA”. Mniejsze skrzynie oznaczono jako sprzęt kuchenny, a większe, które mieściły panele Bursztynowej Komnaty, jako elementy konstrukcyjne mostów. Dokładnie o ósmej przyjechały ciężarówki wynajęte od jednej z firm w Zurychu. Ciężarówki przewiozły skrzynie przez granicę z Niemcami, gdzie amerykańscy żołnierze przenieśli je na ciężarówki dowództwa, które wywiozły je dalej na zachód.

Przez pół roku „drugi skarb Himmlera” stał w przepelnionym magazynie armii amerykańskiej w Paryżu. Austrian pilnował ich papierów, a Redmond osobiście pilnował skrzyń. Stanowili zespół, każdy miał swoje zadanie, i mogli na sobie polegać.

Kiedy Lyle Redmond został zdemobilizowany, Dan Austrian zorganizował wszystko tak, żeby skrzynie ze skarbami znalazły się na tym samym statku co Redmond. Wkrótce potem, jak skrzynie bezpiecznie wylądowały w Fort Dix w New Jersey, zwolniony z wojska Lyle Redmond zgłosił się po nie z dowodem zapłaty. Podobnie jak wielu Amerykanów, kupował własność armii, żeby mieć coś na rozpoczęcie nowego życia. I to, co kupił, okazało się najlepszym, co było do sprzedania.

Austrian nawiązał kontakt z dawnym przyjacielem rodziny, właścicielem galerii przy Piątej Alei w Nowym Jorku. Za jego pośrednictwem sprzedawał wiele rzeczy. Chciwi kolekcjonerzy, którzy jeszcze wzbogacili się na wojnie, skupowali i przemycali dzieła sztuki z całej Europy. O wiele wygodniej było kupić je na miejscu, w Stanach Zjednoczonych.

Austrian i Redmond rozpoczęli nowe życie. Nic ich nie ograniczało. A dzięki nazwisku Austriana i rozsądkowi Redmonda ich firma developerska zarobiła wystarczająco dużo, żeby wykupić parcele na księżycu i tyle błyszczących gwiazd, ile chcieli.

Tak było do chwili, kiedy Lyle Redmond odkrył, że nawet największe bogactwo nie może kupić spokoju duszy. Był świadkiem morderstwa i uczestniczył

w bardzo poważnej kradzieży. Jedyne rozwiązanie widział w tym, żeby przyznać się przed całym światem. A jeśli świat nie zechce mu uwierzyć, wystarczy, żeby spojrzął na kilkanaście dzieł sztuki wciąż zdobiących Arbor Knoll.

OYSTER BAY

W niewielkim pokoju na plebani zapadła cisza. Julia usłyszała dokładnie to, czego się bała, i jeszcze więcej. Jej dziadkowie ukradli „drugi skarb Himmlera” i mieli Bursztynową Komnatę. Obaj byli winni śmierci człowieka, Selvestra Maasa, chociaż to dziadek Austrian go zastrzelił. Pamiętała, że dziadek zawsze miał gwałtowny temperament, który starał się skrywać pod doskonałymi manierami.

Ale to, co powiedział im dziadek Redmond, nie wystarczy, żeby zniszczyć Creightona. Oskarżenie o posiadanie skradzionych dzieł sztuki nie przeważały oskarżeń, jakie padły pod adresem Powersa o pedofilię i morderstwo.

Poczuła, że coś ją ściska w piersi. Znaleźli się z Samem w kolejnej ślepej uliczce.

Kiedy Lyle opowiadał, do pokoju wszedł cichutko ojciec Michael. Usiadł za biurkiem i jedną rękę o kwadratowych palcach położył na zeszytcie. Jego starzejąca się twarz była posępna, a worki pod oczami zdawały się jeszcze ciemniejsze, kiedy Lyle skończył opowiadać.

- Powiedziałeś im, że Selvester Maas zamierzał oddać skarby prawowitym właścicielom? - zapytał cichym głosem zakonnik.

Lyle wyglądał na zdziwionego.

- Nie wiedziałem, że zamierzał. - Wyglądał na bardzo zmęczonego. - Tak mówiłem? Zapomniałem.

Julia ciężko westchnęła.

- Dziadku, jak mogłeś pozwolić żeby takie morderstwo uszło płazem dziadkowi Austrianowi?

Dziadek pochylił głowę.

- To chciwość. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Wciąż mam przed oczami tego martwego człowieka, Maasa. To było potworne.

- Ale teraz głęboko żałujesz - powiedział ojciec Michael.

- Bardziej, niż umiem wyrazić. Zamierzam ogłosić całą sprawę, jak tylko uda się nam skompromitować Creightona.

- Czy Creighton wiedział o tym łupie z czasów wojny? - zapytała Julia.

- On jest jedyną osobą, która o tym wie. Musieliśmy mu powiedzieć.

Sam nagle ożył. Poznał po wyrazie twarzy Julii, że ona też rozumie, że Lyle nie dał im wystarczającego dowodu na to, żeby zatrzymać Creightona na drodze do prezydentury. Ale...

- Gdzie teraz znajduje się Bursztynowa Komnata? - zapytał. - Co Dan Austrian z nią zrobił?

- Ach, osławiona Bursztynowa Komnata. - Mieli wrażenie, że dziadek zasypia na swoim bujanym fotelu. - Pewnie jest w jakiejś prywatnej kolekcji, jak myślisz, chłopcze?

- Co za człowiek mógłby ją u siebie przetrzymywać? - zapytała Julia. - To podle, szczególnie biorąc pod uwagę, co ta komnata znaczy dla Rosjan. I dla całego świata.

Mnich zaczął bębnić palcami w biurko. Spojrzał na fałdy habitu. Brązowe płótno wciąż przypominało mu, kim jest i co ślubował.

- Psychologia może nam pomóc to zrozumieć. To ma wiele wspólnego z żądzą posiadania. Od wieków ludzie pragnący władzy, mieli swoje tajemnice, których nie chcieli odkrywać przed światem. To dodawało im siły i splendoru. Wyobraźmy sobie, że tą tajemnicą jest aż tak pożądanym przez cały świat skarb. O ileż większa wydaje się władza tego człowieka, który ów skarb posiada i z nikim go nie dzieli.

- Skradzione dzieła sztuki, trzymane pod kluczem w piwnicy dla przyjemności kilku najbogatszych. - Sam pokiwał głową. - Dlatego wciąż istnieją złodzieje dzieł sztuki. To w dalszym ciągu jest bardzo opłacalne.

Odezwał się dzwonek do drzwi. Franciszkanin wstał.

- Lepiej zobaczę, kto do nas przyszedł.

Zaniepokojony Sam zerwał się na nogi.

- Pójdę z ojcem.

Ruszyli do drzwi, a Julia za nimi. Starła się nie myśleć, jakie niebezpieczeństwo mogło kryć się za zwykłym dźwiękiem dzwonka do drzwi.

- Dziadku, zobaczymy tylko, kto to jest...

Ale dziadek już drzemał na swoim fotelu. Głowa opadła mu na bok. Usta miał otwarte. Chrapał.

Pospiesznie szli przez korytarz.

- Często zapada w drzemkę. Nie jest zbyt silny, a ostatni dzień był dla niego wyczerpujący. Trzyma się dobrze, ale chciałby wierzyć, że nic go nie ogranicza - wyjaśnił ojciec.

Kiedy Julia, Sam i ojciec Michael weszli do holu, przy drzwiach stała już zakonnica w czarno-białym habicie. Serce Julii waliło jak młotem. Za tymi drzwiami mogła czekać Maya Stern. Mogła tu trafić po śladach kogokolwiek z obecnych. Julia włożyła rękę do kieszeni i zacisnęła ją na beretcie. Stanęli z Samem po obu stronach drzwi. Sam trzymał rękę pod płaszczem, gdzie w kaburze miał browninga. Z boku nie było żadnego okna, przez które mogliby wyjrzeć i sprawdzić, kto stoi pod drzwiami...

- Tak? - zapytała zakonnica. - Mogę w czymś pomóc?

Odezwał się głos mężczyzny.

- Czy ktoś tu zamawiał taksówkę?

Julia odetchnęła z ulgą. Zaraz jednak pomyślała, że przecież któryś z czyścicieli mógł się posłużyć podstępem.

- Mamy własne samochody - powiedziała uprzejmie zakonnica. - Musiał pan pomylić adres.

- Poszedłem najpierw do kościoła. W głosie mężczyzny pojawiło się wahanie. - Bo myślałem, że stamtąd mam zabrać klienta. Przepraszam, w centrali musieli pomylić adres.

- Przykro mi. - Zakonnica zamknęła drzwi i odwróciła się do nich twarzą. - Czekacie na jakiegoś gościa?

Ale Julia i Sam nie odpowiedzieli.

- Miał zabrać klienta z kościoła! - powiedziała Julia.

- Szybko! - krzyknął Sam.

Rzucili się biegiem przez korytarz do pokoju. Drzwi były otwarte, a pokój pusty. Bujany fotel wciąż lekko się kołysał.

- Przebiegły stary lis - powiedział Sam.

Spojrzeni na korytarz i zobaczyli tylne drzwi wyjściowe. Hol był bliżej. Pobiegli z powrotem do głównego wejścia i otworzyli drzwi. Kiedy znaleźli się na werandzie, taksówka właśnie zatrzymała się po prawej stronie ulicy. Staruszek otworzył drzwi. Wciąż był we franciszkańskim habicie, na głowie miał kaptur. Zauważył, że stoją na werandzie. Pomachał im rękę i zniknął wewnątrz samochodu.

- Cholera! - Julia była wściekła. - Zabiją go!

Razem z Samem rzucili się w pogoń przez trawnik, przeskoczyli kamienny murek. Ale taksówka przyspieszyła i zostali bezradni na środku ulicy.

53.

14.00, PONIEDZIAŁEK

ARBOR KNOLL

Popołudniowe słońce świeciło chłodnym blaskiem, odbijając się od lśniących limuzyn zwalnających i zatrzymujących się przed masywnymi frontowymi drzwiami Arbor Knoll. Wewnątrz w holu głównym Creighton Redmond witał gości. Obok stała żona w długiej sukni od Chanel, a przy niej kandydat na wiceprezydenta Arthur Friedman z żoną. Ten korowód ludzi, których witał, a którzy go popierali, wydawał się Creightonowi ciągnąć się w nieskończoność. To wspinała.

Wpływowy senator Mutti z Kalifornii. Marthann Marcianne, ostatnio najpopularniejsza gwiazdka Hollywood, ze swoim najnowszym chłopakiem. Gubernatorzy, senatorzy i posłowie. Impresariowie, filantropi, przemysłowcy i sławni aktorzy z Broadwayu. Gwiazdy baseballu, piłki nożnej i przewyższający wszystkich wzrostem koszykarze. Kardynał we własnej osobie, grupa biskupów, proboszczów, księży i zakonnic. Koło fortuny odwróciło się i tylko leżący na łożu śmierci odmówili skorzystania z jeszcze niedawno wzgardzonych zaproszeń.

Ale Creighton w środku gotował się ze złości. Julia i Keeline wbrew wszelkim oczekiwaniom pozostawali na wolności, podobnie jak jego przeklęty ojciec. Gdyby nie Julia, Keeline nigdy nie włączyłby się w tę sprawę. Poza tym Creighton był niemal pewien, że Julia pomogła jakoś staruszkowi. To wszystko wina Julii i Creighton czuł, że jego nienawiść do niej rośnie, gdy tylko o niej pomyśli. Julia nie należała do Redmondów, niezależnie od tego, kim była jej matka. A może właśnie z tego powodu, kim była jej matka. Creighton coraz mniej żałował śmierci Marguerite.

- Ma fryzurę jak Zwierzak z Muppets' Show - jego żona Alexis szeptem skomentowała fryzurę dziennikarki kolumny plotkarskiej z Waszyngtonu, która właśnie się z nimi przywitała i teraz podeszła do Friedmana.

Uśmiech Alexis już trochę przybladł. Nawet dla niej, która tak kochała towarzystwo i była opętana ideą mierzenia wartości życia liczbą zaproszeń na leżącej na biurku tacy od Tiffany'ego, nawet dla niej czar szampana i pełne blasku wejścia kolejnych gości były już nieco męczące.

Creighton szepnął jej do ucha.

- Włosy się jej zjeżyły, kiedy wpadła na trop następnego skandalu politycznego. Pomyśl tylko, co to mogło być. Uśmiechaj się, kochanie.

Kiedy kolejka gości zeszczuplała, Creighton zdał sobie sprawę, że ma nerwy na granicy wytrzymałości. Musi natychmiast porozmawiać z Vince'em. Do tej pory Vince na pewno wyeliminował Julię i Keeline'a, a stary został bezpiecznie odstawiony do domu opieki.

- Chyba wystarczy, jak sądzisz? - odezwał się do Friedmana. Przekazał swojemu sekretarzowi obowiązek witania reszty gości, a sam z Alexis oraz Friedmanem i jego żoną Janet wmieszali się w tłum. Creighton ścisnął dłoń, śmiał się, rozmawiał, popijał szampana i przedzierał się w kierunku Vince'a.

W końcu udało mu się do niego przedrzeć.

- Musimy porozmawiać. Chodźmy do piwnicy z winem.

Vince miał na sobie smoking od Gucciego, a przy pasie pistolet, sigsauera. Kiedy schodzili do piwnicy, powiedział:

- Mario mówi, że po śmierci Staffelda nasze notowania podskoczyły znacznie w górę. Mamy sześćdziesiąt procent! Pięć punktów więcej, niż trzeba, żeby wygrać. To więcej, niż mogliśmy się spodziewać, i to daje gwarancję, że zostaniesz

na pewno wybrany. Doug Powers dostanie apopleksji.

Creighton przyglądał się synowi, kiedy tak razem szli. Vince czasami stanowił dla niego zagadkę. Tak szybko wspiął się niemal na szczyt drabiny w Firmie, bez niczyjej pomocy, a przecież brakowało mu wrodzonej umiejętności polowania i zabijania ofiary. Creighton nie musiał pytać, wiedział, że Julia, Keeline i stary są na wolności, inaczej Vince od razu by mu przekazał dobre wiadomości.

- Rozumiem, że wciąż nie złapałeś naszej trójki uciekinierów?

Vince umierał ze strachu, że nie wywiązał się z zadania. Zawsze myślał o sobie jako o prawowitym następcy tronu po ojcu. Czekał tylko, aż będzie mógł przejąć władzę w rodzinie po śmierci Creightona i wujów. W duchu marzył, żeby zająć miejsce ojca w Białym Domu. Nie od razu, oczywiście, ale kiedyś, w ciągu najbliższych dwudziestu lat. Przez kilka lat będzie dyrektorem CIA, a potem przejdzie do jakiejś służby państwowej, może do senatu. Wiedział, że ojciec będzie popularnym prezydentem, łatwo mu będzie pójść w jego ślady. Creighton wszystko robił dobrze. Vince spodziewał się, że w końcu zajmie jego miejsce, nie będzie zawsze w cieniu. Ale co teraz?

- Zapadli się jak pod ziemię. - Jego zwykle pewny siebie głos był napięty. - Nie mamy żadnych śladów z żadnego źródła: z banków, od znajomych ani z policji. Tak jakby przestali istnieć. - Otworzył drzwi do piwnicy i weszli do środka.

Drzwi się za nimi zamknęły i dwaj mężczyźni stanęli wśród długich półek z butelkami. Creighton zastanawiał się, jaką decyzję podjąć. Powietrze pachniało intensywnie winogronami i alkoholem. Za późno na zmianę taktyki. Podszedł do beczki, na której stało kilka butelek. Na ich dnie zebrał się osad. Wybrał najlepsze wino - Lafite-Rothschild rocznik tysiąc osiemset pięćdziesiąt cztery. Zamierzał je wypić jutro sam w swojej kryjówce w drewnianej chacie już jako prezydent Stanów Zjednoczonych i światowy lider.

Podał ceną butelkę synowi.

- Otwórz.

- Rocznik tysiąc osiemset pięćdziesiąt cztery? - Vince był zaskoczony. - Ta butelka kosztuje dziesięć tysięcy dolarów!

- Zrozum, że o wiele ważniejsze jest to, co dla mnie robisz, synu. Otwórz ją.

Vince'owi trzęsły się ręce, kiedy odkorkował butelkę i z namaszczeniem nalewał wino do dwóch kieliszków. Zaszczyt i znaczenie zdania przerażały go. Zaszczyt... ale i groźba, którą niósł ze sobą. Ojciec zdawał się mówić: „Zrób to dobrze, bo z tobą skończę”.

Creighton, widząc, że syn zrozumiał, co chciał mu powiedzieć, zamknął oczy i napił się wspaniałego wina. Poczul smak wiśni, gorzkiej czekolady, nutkę starych

wilgotnych liści, bukiet tak bardzo złożony, że niemożliwy do powtórzenia. Zmienacka uderzył pięścią w pokrywę beczki. Vince aż podskoczył.

- Obaj będziemy skończeni, jeśli znajdzie się ktoś, kto zechce ich wysłuchać. - Spojrzał uważnie w ciemne oczy syna. - Gdzie oni są, Vince? Myśl!

Vince patrzył na ojca spłoszony.

- Maya Stern zgubiła Julię i Sama w mieście, a po starym nie ma śladu, odkąd wymknął się z domu opieki. Sprawdziłem wszystkie kościoły franciszkańskie w okręgach Westchester, Nowy Jork, Nassau i Suffolk. Nikt nigdzie nie słyszał o żadnym Ojcu Michaelu. Stern z czystościcielami przeczesują miasto, a agenci z Firmy szukają staruszka. Oczywiście agenci nie wiedzą, dlaczego go szukają. Może gdybym wiedział, co Julia, Keeline i staruszek zamierzają zrobić, wtedy...

Creighton spojrzął na syna przenikliwie znad kieliszka.

- Co zamierzają zrobić?

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Co robi Julia po zabiciu czystościela w Baltimore, dokąd ucieka? Do domu opieki! Ona stara się skontaktować ze staruszką. Gdybyśmy wiedzieli, co stary zamierza zrobić, dlaczego uciekł... - Vince mówił powoli, zastanawiając się.

- O co chodzi dziadkowi? - Creighton postawił kieliszek na beczce tak gwałtownie, że cenny napój się rozlał. - Przecież to jasne! To jest Lyle Redmond. Nie uciekł z domu opieki, żeby się ukryć w jakimś tanim motelu. On chce się z nami skonfrontować. Spojrzeć w oczy swoim synom i wnukowi, którzy go zdradzili. On chce nas zniszczyć. A gdzie mógłby to zrobić?

- Tutaj. - Vince podniósł w górę pięść. - W Arbor Knoll.

Oczy Creightona płonęły.

- Załóżmy, że Julia i Keeline się tego domyślili i też zdecydowali się tu przyjść, ale stary uciekł wczoraj w nocy. Musiał gdzieś przenocować. W jakimś bezpiecznym miejscu... Nie za daleko stąd.

Vince myślał intensywnie. Był synem swojego ojca, zastępcą dyrektora CIA. Był nieprzeciętnie inteligentny i pracowity i znał zarówno możliwości, jak i ograniczenia swojej władzy.

- Wiemy, że dziadek jest z tym mnichem. Ale sprawdziłem wszystkie franciszkańskie kościoły... - I nagle poczuł, że wie. Poczuł olśnienie, jedno z tych, które zdarzały mu się w pracy i dzięki którym tak szybko zrobił karierę w Firmie. - Oni są w naszym kościele! W rodzinnej parafii! U Świętego Dominika w Oyster Bay. Nie jest to kościół franciszkański, ale to możliwe...

- Oczywiście, że tak. W zeszłym roku, kiedy u dziadka pojawiły się pierwsze symptomy demencji, staruszek zaczął często bywać w tym kościele. Może tam poznał tego ojca Michaela. Założę się, że to jakiś zakonnik musiał namówić ojca

do rozdania całego majątku. To wygląda na sprawkę jakiegoś pieprzonego mnicha. A czy Reilly nie wspominał, że ten ksiądz mówi z niemieckim akcentem? - Creighton poczuł zimny dreszcz przebiegający mu po plecach, kiedy zdał sobie sprawę z doniosłości faktu, że to mógł być niemiecki mnich. - On musi być tutaj, synu. Złap go! I przyślij tu...

Creighton nagle zamilkł. Zamierzał powiedzieć „Przyślij tu Mayę Stern”, ale zdał sobie sprawę, do czego mogłoby to doprowadzić. Stern mogłaby zabić ojca. W tej samej chwili podjął decyzję i pogodził się. Nie ma wyjścia. To się musi stać. David miał rację. Lyle Redmond musi umrzeć.

Podjęcie tej decyzji było dla niego jak próba ognia. Była to bolesna prawda. Do tej pory nie potrafił jej zaakceptować. Czuł się związany z ojcem trzewiami, jakby był jego przedłużeniem. Jakby był jego ręką, nogą, aortą. Ojciec zawsze był w jego życiu obecny, jak powietrze. Creighton nigdy nie był religijny, ale wiedział, że to religia zakorzeniła w nim głębokie przekonanie, że zabić ojca to grzech najpotworniejszy ze wszystkich. Ale to stary zmienił zasady gry. Nieważne, ile chcieliby zapłacić, bracia nie będą mieli spokoju, dopóki będzie żył Lyle Redmond. Vince to zrozumie. Gorzej z Brice'em, przynajmniej na początku. Ale nie ma innego wyjścia. Creighton wydał wyrok, jakby znowu był sędzią.

- Znajdź go, Vince. Znajdź ich wszystkich. Wyślij Stern, żeby ich zabiła.

Vince popatrzył na niego zdziwiony.

- Staruszka też?

- Wszystkich. I powiedz wujom, żeby się ze mną spotkali w drewnianej chacie o czwartej.

54.

14.30, PONIEDZIAŁEK
OYSTER BAY, NOWY JORK

Ojciec Michael stał z zatroskaną miną na chodniku przy plebani, jak gdyby właśnie uciekł mu ostatni pociąg z miasta zarazy. Stary Lyle go oszukał. Zadanie, jakiego ksiądz się podjął, okazało się o wiele niebezpieczniejsze, niż przypuszczał. A potem przyszła mu do głowy pewna myśl: „Głodnych nasycy dobrami, bogatych z niczym odprawia”. Ewangelia według Św. Łukasza, rozdział pierwszy, wers pięćdziesiąty trzeci. Te słowa go pokrzepiły. Jedną z przyczyn, dla których już jako dziecko zainteresował się zakonem franciszkanów, była ich misja ewangelizacji. W swoich modlitwach za duszę Lyle'a Redmonda prosił

dla siebie o siłę i odwagę. Właśnie teraz potrzebował obu.

Sam i Julia wrócili z nieudanej pogoni za taksówką.

- Dokąd dziadek mógł pojechać? - zapytała Julia.

Ojciec Michael szybko wszedł na schody prowadzące na plebanię.

- Nie powinniśmy pozostawać na widoku.

Wrócili do małego pokoiku. Julię nosiło ze złości. Ale opanowała się.

- Nich nam ojciec powie. On coś planował i ojciec musi wiedzieć co.

Ojciec Michael odpowiedział spokojnym głosem.

- Myślę, że pan Redmond pojechał do Arbor Knoll na uroczystość, którą urządza tam dziś jego syn...

Właśnie tego się obawiała. Lyle zamierza wejść do jaskini lwa, mimo że jest na z góry przegranej pozycji - jest stary, bezbronny i rozwścieczony.

- Nie wiem, co potem miał zamiar zrobić, wiem tylko, że jego zdaniem syn nie powinien zostać prezydentem.

- To oczywiście, że Creighton nie pozwoli ojcu opowiedzieć światu swojej historii. Creighton pozuje na człowieka kryształowo czystego. Kiedy dziennikarze dowiedzą się, że fortuna i władza Redmondów zostały zbudowane na łupie po nazistach, nie zostawią na nim suchej nitki. Zwłaszcza jeśli Lyle zezna, że Creighton wiedział o tym od wielu lat i nic nie zrobił. Creighton naszprycuje starego narkotykami i odeśle do domu opieki, zanim ten zdąży mrugnąć okiem.

Julia próbowała nad sobą panować.

- Służby Specjalne będą kontrolować wszystkich wchodzących do Arbor Knoll. Na imprezę na pewno trzeba mieć specjalne zaproszenie. Jak dziadek chce się tam dostać?

Franciszkanin rozłożył ręce w geście zażenowania.

- Wspomniał kiedyś o tajnym przejściu, z którego korzystał, kiedy wykra-
dał się z domu na schadzki.

Julia była zdziwiona.

- On to ojcu powiedział?

- Rozmawialiśmy o wielu rzeczach. Pan Redmond jest na najlepszej drodze do nawrócenia. - Mnich poczuł, że coś go ściska za gardło. - Ale, niestety, nie powiedział mi, gdzie jest to przejście.

- Więc znajdziemy jakiś inny sposób, żeby się tam dostać - odparł Sam. - To duża posiadłość, zalesiona. Musi być jakieś miejsce, gdzie da się niepostrzeżenie przeskoczyć przez mur. Albo wejdziemy, podając się za dziennikarzy, kelnerów, służbę czy ludzi przywożących zaopatrzenie. Musi być jakiś...

Julia zaprotestowała.

- To zbyt niebezpieczne i zajmie za dużo czasu. Mam lepszy pomysł.

Rodzina Redmondów była katolicką rodziną o irlandzkich korzeniach. Kilka pokoleń dzieliło ją od biednych przodków, którzy wyemigrowali z hrabstwa Cork do Ameryki, w poszukiwaniu łatwiejszego życia. Redmondowie nigdy nie przestali szanować tradycji. Byli w tym podobni do rodzin Moranów i Tracych, którzy posunęli się w pielęgnowaniu tradycji do tego stopnia, że mieli własnych, rodzinnych księży. Instytucja prywatnego księdza rodzinnego nie była w kręgach katolickich rzadkością, szczególnie wśród najbogatszych. Odkąd Julia sięgała pamięcią, większość mężczyzn z rodziny Redmondów nie chodziła do kościoła systematycznie i żonom zostawiali dbanie o swoje dusze. Ale na każdą ważną uroczystość rodzinną był zaproszony proboszcz lokalnej parafii i jakiś ksiądz albo zakonnica.

- Czy sztab Redmonda wysłał zaproszenie na dzisiejszą uroczystość do proboszcza? - Zwrócił się Sam do ojca Michaela.

- Oczywiście, że tak. To już się stało zwyczajem. To ich parafia.

- Więc skorzystajmy z tych zaproszeń. Pójdziemy tam przebrani za księdza i zakonnice.

Twarz ojca Michaela rozjaśniła się, ale worki pod oczami zdawały się większe. Ta pomarszczona twarz odzwierciedlała sześćdziesiąt pięć lat niełatwego życia. Zakonnik złożył przed sobą kanciaste dłonie. Nie powiedział ani słowa.

Julia zauważyła, że jest niechętny temu pomysłowi.

- Ojcie, pomógł ojciec dziadkowi uciec z domu opieki. Zrobił ojciec dla niego tak dużo. Musi ojciec nam pomóc - próbowała go przekonać.

Ojca Michaela dręczyły złe przecucia. Nie był przygotowany na udział w żadnych tragediach, a na pewno nie na niebezpieczeństwo. Przyjechał do Ameryki nie tylko na odpoczynek, po odmianę. Przybył tu z pobożnym zamiarem nawrócenia Lyle'a Redmonda i zbawienia jego duszy. A teraz okazało się, że to wymaga od niego bardziej przyziemnego zadania: ocalenia życia grzesznikowi.

Nagle poczuł oświecenie. Przypomnił sobie pewien cytat z Pisma Świętego: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje”. To było zdanie, które tak go zachwyliło, kiedy był jeszcze dzieckiem, Ewangelia według św. Mateusza, rozdział szesnasty, wers dwudziesty czwarty. To zdanie stało się jeszcze prawdziwsze dzisiaj. Teraz.

- Zrobię, co w mojej mocy - powiedział.

14.40

Ojciec Michael był człowiekiem sprytnym, ale nie mógł skłamać. Poszedł więc do proboszcza i poprosił o spowiedź.

Proboszcz, widząc cierpienie na twarzy starego przyjaciela, zgodził się.

- Rozgrzesz mnie, ojcze, bo zgrzeszyłem. - Ojciec Michael oczyścił swoje serce przed spowiednikiem.

Twarz proboszcza zmieniała wyraz od zainteresowania przez zaskoczenie do przerażenia. To, co usłyszał od ojca Michaela, brzmiało niewiarygodnie. Ale znał go tyle lat i ojciec Michael nigdy nie skłamał, a Lyle Redmond rzeczywiście nie wyglądał na człowieka dotkniętego demencją starczą, ani w jakikolwiek inny sposób upośledzonego. Wielebnemu nie mogło się pomieścić w głowie, że ludźmi może kierować taka chciwość i chora ambicja. Najchętniej poszedłby od razu na policję złożyć zeznania, ale nie pozwalała mu na to tajemnica spowiedzi. Musiał ją zachować.

Proboszcz rzeczywiście miał zaproszenia na dzisiejszą uroczystość w Arbor Knoll i choć niechętnie, zgodził się dać je Samowi i Julii. Dał również habit Julii i sutannę Samowi i zgodził się wziąć ich ze sobą. Zadzwoił do posiadłości Redmondów, żeby zgodnie z wymogiem podać nazwiska swoich towarzyszy Służbom Specjalnym. Obiecał nie wspomnieć, że są dwójką oskarżoną o przestępstwo. Modlił się, żeby rzeczywiście okazali się tak niewinni, jak utrzymywał ojciec Michael, i żeby nie popełnił błędu.

14.52

Kiedy proboszcz rozmawiał z ojcem Michaeliem na osobności, Julia z Samem czekali niecierpliwie w pokoju. Sam zaczął spacerować nerwowo, a Julia w myślach odgrywała sonatę a-moll nr 8 Mozarta. Wsłuchiwała się w temat otwierający, z jego majestatycznymi, pulsującymi akordami. Jej dusza wzbijała się w górę w drugiej części utworu, wraz ze słodką, hamowaną namiętnością. I wreszcie dotarła do *presto*, do jego ponurej atmosfery... i niezwyklej oscylacji pomiędzy beznadziejną rezygnacją a dającym szansę na zwycięstwo buntem.

Wybierz bunt, a nie rezygnację. Zatrzymuje.

Creighton był winien śmierci jej matki.

Julia czuła, jak poddaje się mrocznej atmosferze sonaty. I buntowi. Jej matka zbuntowała się przeciw rodzinie i sama poradziła sobie w życiu. Julia nie pogodziła się ze śmiercią matki. Nigdy się z tym nie pogodzi. Czuła, jak rozpiekają energia. Nie pozwoli Creightonowi zabić dziadka. Zniszczy go.

15.03

Ojciec Michael wrócił, niosąc w ręku zaproszenia, habit i sutannę.

- Ubrania są za duże, tak jak prosiliście. Mam nadzieję, że będą się nadały.

387

Julia wstała i wzięła habit zakonnicy. Ojciec Michael położył na nim dłoń.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Wątpię, czy dziadek ucieszyłby się, gdyby się dowiedział, że ryzykujesz dla niego życiem.

- Ojciec ma rację, Julio odezwał się nagle Sam. - Myślę, że powinnaś tu zostać. Zgódź się, żebym tylko ja tam poszedł. Wiem...

Odwróciła się do Sama.

- Kto powiedział, że to do ciebie należy ta odpowiedzialność? To ja znam teren, dom i moich wujów. Umiesz analizować fakty, ale brak ci informacji. Pójdziemy tam razem.

Sam zaniemówił, po czym skinął głową.

- Masz rację.

- Więc zabieramy się...

Szare oczy Sama zachmurzyły się.

- Ale to nie znaczy, że wszystko jest tak proste, jakbyś chciała to widzieć. Twoja rodzina rozpozna cię wcześniej czy później. Służba w domu cię zna. Po co masz ryzykować i może zaprzepaścić jedyną szansę na powstrzymanie Creightona i pomoc Lyle'owi? Poza tym ja będę bezpieczniejszy, jeśli ciebie ze mną nie będzie. To proste. Jestem wyszkolony, a ty nie.

- Nie - powiedziała spokojnie. - Ryzyko, że ktoś cię rozpozna, jest takie samo jak to, że ktoś rozpozna mnie. Twoja twarz znalazła się obok mojej we wszystkich gazetach i we wszystkich wiadomościach. We dwoje mamy większe szanse niż w pojedynkę. Będziemy po prostu musieli bardzo dobrze się ucharakteryzować.

Ojciec Michael patrzył na tych dwoje, na ich butne miny i nieposkromione spojrzenia. Stali naprzeciw siebie ubrani w jakieś łachy, z twarzami pomalowanymi ciemnym fluidem, i wyglądali jak dwoje bokserów na ringu. Z podziwem patrzył na ich śmiałość i odwagę i martwił się o nich.

- Niechętnie, ale muszę przyznać, że Julia ma rację, Sam - odezwał się ksiądz.

- Nigdy nie widziałeś Arbor Knoll - mówiła spokojnie Julia. - To ogromna posiadłość. Jest tam mnóstwo budynków, nie wspominając o samej willi, w której jest pięćdziesiąt pokoi. No i teren dokoła. Dwadzieścia cztery hektary.

Sam uparcie kręcił głową.

- Pójdę bez ciebie. Nie masz pojęcia, w co się pakujesz.

- Może nie mam pojęcia. - Była zdziwiona swoim spokojem, opanowaniem i faktem, że jest gotowa podjąć takie ryzyko. - Ale mam tę przewagę nad tobą, że znam Arbor Knoll na wylot. Wiem, jak wyglądają moi wujowie i rodzina, a ty nie wiesz. - Jej głos złagodniał i przez moment poczuła się, jakby była znowu w jego ramionach. Rozpierzchły się przerażające ciemności. Nie ma jednak wyboru. - Kochanie, pójdę, z tobą czy bez ciebie, ale pójdę.

Sam westchnął zrezygnowany. Była taka sama jak Irini. Uparta. Dlatego Irini zginęła. Wiedział jednak, że Julia jest kimś innym. Nie może dłużej żyć w cieniu śmierci Irini. Ale jeśli ma kiedyś wyjść z tego cienia, musi szanować decyzje Julii. Musi pozwolić jej decydować samej. Julia wie, jakie mogą być konsekwencje jej decyzji. Jakie ma prawo, żeby próbować żyć jej życiem, podejmować decyzje za nią?

Uśmiechnął się ponuro.

- Chyba nikt nigdy nie powie o tobie, że jesteś łatwa we współżyciu.
- Dzięki. To miły komplement.

Ojciec Michael pokiwał głową.

- Myślę, że najlepiej, żebyście poszli tam razem. Co jeszcze mogę dla was zrobić?

Sam wyjaśnił ojcu, co postanowili. Franciszkanin zniknął na schodach, a Julia i Sam wzięli ubrania i zaczęli czekać na niego w holu. Wkrótce ojciec pojawił się z powrotem z trzema małymi poduszkami i paczką waty. Zaprowadził ich do pomieszczenia, gdzie ministranci przebierali się przed mszą, i zostawił ich samych.

15.10

- Nie powinnaś tam jechać. Poradzę sobie bez ciebie - mruknął pod nosem Sam.

Julia ujęła jego zmartwioną twarz w dłoń. Kochała te oczy. Były tak szare i tak głębokie jak studnia. Fascynowała ją jego twarz. Jak to możliwe, żeby ktoś miał taką kwadratową szczękę? Przyciągnęła tę twarz do siebie i pocałowała rowek między brwiami. Nagle znalazła się w jego ramionach.

Zaczęli się całować i tulić.

Wreszcie Julia wyrwała mu się.

- Musimy się pospieszyć. Dziadek może już być w domu.
- Zawsze myślisz o wszystkich. - Uśmiechnął się.
- To mi pomaga zapomnieć o swoich zmartwieniach.

Poszli do łazienki, żeby zmyć z twarzy i rąk ciemny fluid. Sam pokazał jej, jak wepchnąć watę w policzki, wzdłuż dziąseł, żeby zmienić rysy twarzy. Przymocował sobie poduszkę na brzuchu, a Julia przymocowała dwie, jedną z przodu, drugą z tyłu. Ich ciała pod habitami wyglądały dużo grubiej, wręcz jakby byli otyli. Habit Julii był szeroki, czarny, z czarno-białym welonem. Sam założył sutannę i koloratkę. Do kabury włożył browninga. Julia znalazła w fałdach habitu kieszeń i tam schowała beretę.

Wyszli pospiesznie przez boczne drzwi. Proboszcz czekał na nich w parafialnym beżowym buicku. Zawiózł ich w miejsce, gdzie zostawili swojego mustanga.

- Muszę zadzwonić z publicznego aparatu - powiedział Sam, kiedy wysiedli z samochodu proboszcza.

Proboszcz skierował go do najbliższej budki i jechał za nimi. Kiedy znaleźli telefon, Sam wykręcił numer znajomego z Uniwersytetu Karola w Pradze, żeby sprawdzić, czy dowiedział się czegoś o dokumentach, które oskarżały Douglasa Powersa o pedofilię.

Po chwili Sam wrócił do mustanga, a jego twarz była nieruchoma jak maska. Julia natychmiast domyśliła się, że coś się stało.

- Czy twój znajomy coś znalazł?

Sam włączył silnik.

- Nie żyje - powiedział wściekłym głosem. - Kolejny wypadek samochodowy. Podobnie jak Jiři. Jakaś epidemia wypadków samochodowych zapanowała w Pradze.

- Creighton. - Julia wypowiedziała to imię, jakby wypowiadała przysięgę.

Sam wrzucił bieg i ruszył za parafialnym buickiem w kierunku Arbor Knoll.

15.12

Ojciec Michael został sam na plebani. Patrzył zmartwiony, jak odjeżdżają. Martwił się o nich, ale wiedział, że musi mieć wiarę w słuszność tego, co robią.

Kilka chwil później do drzwi ktoś zadzwonił. Zakonnik podszedł zobaczyć, kto to. Kiedy był już przy drzwiach, okazało się, że idzie do nich także zakonnica. Na werandzie stała poważnie wyglądająca kobieta w oficjalnym żakiecie. Za nią jak mur w milczeniu stało dwóch mężczyzn.

- Ojciec Michaelu - powiedziała kobieta - mamy do pomówienia.

Serce księdza omal się nie zatrzymało.

55.

15.42

ARBOR KNOLL

Vince siedział za barem i podnosił do ust szklaneczkę swojej ulubionej whisky, Johnnie Walker Blue Label, kiedy poczuł wibracje bezpiecznego telefonu komórkowego na piersi. Wziął szklaneczkę i z bijącym mocniej sercem wyszedł.

390

Poszedł do gabinetu Creightona i zamknął za sobą drzwi. Miał rację. Dzwoniła Maya Stern.

- Byli w tym kościele - powiedziała.
- No i... - podniecony chciał jak najszybciej dowiedzieć się, co się stało.
- Już ich nie zastałam...

Vince poczuł ukłucie w piersi.

- ...Mnich przyznał, że Lyle Redmond tam był. Powiedział, że stary wyjechał i nie powiedział, dokąd...

- A co z Julią i Keeline'em?

- Nic o nich nie powiedział, nawet nie potwierdził, że tam byli. Potem zatrzasnął mi przed nosem drzwi. - Dyszała z gniewu. - Mogłabym go zabić, ale obok stała zakonnica, więc ją też musiałabym zabić, a pan powiedział...

- Dobrze postąpiłaś. - Nie potrzebował krwawej jatki w parafii. Mayi Stern nie podobały się jednak takie ograniczenia.

- Mogę zmusić tego księdza do mówienia. Mogę wrócić...

- Nie. - Vince skrzywił się. - Jesteś potrzebna tutaj. Teraz.

Przerwał połączenie i poszedł poszukać ojca. Ma nowe wieści, nie najgorsze. Tak jak sądził Creighton, Lyle Redmond mógł uciec z domu opieki z jednego powodu, żeby spojrzeć w oczy synowi i odzyskać kontrolę nad majątkiem. Znając Redmondów, tylko taka motywacja mogła mieć sens. Teraz wiedzieli na pewno, że dziadek jest w Oyster Bay. Staruszek musi tu przyjechać. A Julia z Keeline'em, tropiąc Bursztynową Komnatę i staruszka, na pewno pojawią się tu w ślad za nim.

15-43

Mimo ogromnego stresu związanego z faktem, że znalazła się pod bramą Arbor Knoll, była bardzo szczęśliwa, że może oglądać posiadłość. Za chwilę znajdzie się w rodzinnym domu w Arbor Knoll i myśli, że będzie go mogła zobaczyć, była dla niej wstrząsająca. To w tym domu straciła wzrok. I tutaj powiedziano jej, że zginął ojciec. Od tamtej pory niechętnie tu wracała.

Ale Arbor Knoll wciąż pozostawało sercem rodziny, miejscem, gdzie wszyscy się spotykali, dokąd zjeżdżali się z okazji radosnych i smutnych. Tu się wychowywała jej matka, rozpieszczana przez ojca, który traktował ją z pobłażliwością, w przeciwieństwie do synów. Z powodu tradycyjnych poglądów na sprawy płci nie żądał niczego od Marguerite oprócz tego, żeby go kochała, i to wyszło jej na dobre.

Julia i Sam, mimo że w strojach osób duchowych, ani na chwilę nie zapomnieli o pistoletach, które Julia ukryła pod fałdami ciężkiego sukna habitu.

391

Zdecydowali, że to mało prawdopodobne, żeby przeszukiwano zakonnicę. Czekali w mustangu przed bramą, stojąc za buickiem proboszcza. Widzieli, jak ksiądz rozmawia ze strażnikami i wskazuje na nich. Potem przyszła ich kolej.

Podali strażnikom zaproszenia. Agenci wzięli je i obejrzelik dokładnie wyłaczane karty, potem sprawdzili nazwiska na liście, a jeden zajrzał do samochodu, szukając czegoś podejrzanego. Wziął od nich kluczyki i zajrzał do bagażnika. W końcu wrócił i skinął głową na znak, że mogą jechać. Julia i Sam pod grubymi szatami byli zlni potem. Na szczęście agenci nie byli tak skrupulatni przy ochronie kandydata, nawet tak bliskiego wygranej, jak w stosunku do urzędującego prezydenta.

Kiedy szczęśliwie minęli budkę, Julia oddała Samowi jego browninga. Pojechali pod górkę. Julia opisała Samowi zabudowania, dwa podobne domy dla gości i znacznie mniejszy domek dla dzieci, herbaciarnię w rzymskim stylu Palladiana, garaż na dwanaście miejsc, lądowisko helikoptera, korty tenisowe i basen. No i oczywiście osławioną drewnianą chatę Lyle'a.

Kiedy zbliżyli się do willi, Julia przyglądała się, jaką minę ma Sam na widok bogactwa zgromadzonego przez staruszka. Jej słowa nie wystarczyły. Dopóki nie zobaczył przepychu, nie był w stanie tego zrozumieć.

Sam gwizdnął.

- To jest pałac. Staruszek rzeczywiście jest dziany. Ogólnie rzecz biorąc.
- Kupił Arbor Knoll, żeby nikt nie miał co do tego wątpliwości.
- A łupy nazistów na ścianach mają to przypieczętować. Założę się, że on nie jest kolekcjonerem sztuki, ale władzy.

Wjechali na dziedziniec otoczony ciemnozielonymi krzakami jałowca. Ustawiła się tu kolejka samochodów czekających, żeby zatrzymać się pod masywnymi drzwiami willi. Kiedy nadeszła ich kolej, wysiedli, a służący odprowadził samochód.

Julia miała ogromną ochotę wziąć Sama za rękę. Ale tylko spojrzeli sobie w oczy i podniesieni tym na duchu powoli podeszli do drzwi, ona w roli skromnej zakonnicy, a on w roli księdza z problemami z nadwagą.

Julia nie mogła się uwolnić od wrażenia, że oczy wszystkich zwrócone są na nich.

Przez otwarte drzwi dobiegały ich dźwięki zabawy. Julia czuła ciepło bijące od zgromadzonej w jednym pomieszczeniu masy ludzkich ciał. Upomniała siebie, że ani na chwilę nie wolno jej wyłączyć swoich wszystkich zmysłów. Będzie teraz potrzebowała swoich zdolności. Rozejrzała się po dziedzińcu, szukając wzrokiem dziadka... i Creightona.

Wyłożony marmurem główny hol i ogromne sale dla gości były pełne ludzi. Harmider i chaos zaatakowały zmysły Julii i przez chwilę miała ochotę stamtąd uciec, wrócić do jej fortepianu i dawnego, spokojnego życia. Ale nie może tego zrobić. Nie wolno jej.

Wszyscy pili szampana. Julia i Sam też wzięli po lampce i rozdzielili się w tłumie, żeby zwiększyć szanse znalezienia dziadka i Creightona. Niewiele się w domu zmieniło. Julia patrzyła na obrazy na ścianach i zastanawiała się, które z nich pochodziły z łupu wojennego dziadka.

Zawróciła i poszła korytarzem. Zajrzała do olbrzymiej jadalni, w której stały ogromne, okrągłe stoły udekorowane złotymi świecznikami i bukietami czerwonych, białych i granatowych kwiatów. Zapach kwiatów odurzył ją, był intensywny, ale przesycony jakimś zwietrzałymi chemikaliami. Zauważyła, że przygląda się jej kardynał. Poczula skurcz żołądka. Jego eminencja ją chrzczył, odprawiał nabożeństwo na pogrzebie jej ojca i mszę świętą na ślubie kuzyna Matta.

Ulżyło jej, kiedy do kardynała podeszła jakaś kobieta i duchowny przestał się interesować Julią. Ona jednak wciąż była zaniepokojona. Wśród gości zauważyła kilku biskupów i księży. Ilu z nich znało Julię Austrian? Ale z drugiej strony dzięki ich obecności może nikt nie zwróci uwagi na samotną zakonnice. Zebranych nie dziwiła obecność kleru i dlatego Julia i Sam prawdopodobnie nie mogli wymyślić lepszego przebrania. Julia była kolejną zakonnice, której należy się szacunek, ale nie zainteresowanie.

W jednym z pokoi zebrało się więcej osób z rodziny. Żona Creightona Alexis plotkowała z grupką kobiet. Julia z drżącym sercem momentalnie odwróciła twarz, ale z miny Alexis wyczytała, że ta usiłuje umiejscowić jej twarz w pamięci i najwyraźniej jest bardzo niezadowolona, że się jej nie udaje.

Julia nie mogła dać po sobie poznać, że jest przerażona. Szła dalej, kierując się do przestronnej klatki schodowej, skąd schody prowadziły na pierwsze i drugie piętro. Kiedy znalazła się na pierwszym piętrze, poszła korytarzem. W obu skrzydłach mieściły się sypialnie i pokoje dzienne. Julia po kolei zaglądała do pomieszczeń, gdzie były uchylone drzwi. Zajrzała do dawnej sypialni dziadka. Pokoje sprawiały wrażenie opuszczonych, nikt w nich od dawna nie mieszkał.

Skinąwszy głową służbie, Julia poszła na drugie piętro. Próbowała iść powoli i z godnością, nie jak zlekniiony zbieg. Zaglądała po drodze do łazienek, do przestronnego pokoju wychodzącego na długi balkon z widokiem na posiadłość i na zielono-błękitną zatokę. Zajrzała do ogromnej sali balowej, gdzie muzycy właśnie stroili instrumenty. Na ścianach połyskiwały lustra. Przez okna wpadały promienie popołudniowego słońca, złote refleksy odbijały się w lustrach i oślepiły ją.

Wciąż ani śladu Creightona i dziadka. Na samą myśl o wuju jej dłoń powędrowała do kieszeni, gdzie odnalazła beretkę.

Zła, że nie znalazła żadnego z nich, weszła do windy i zjechała na dół. Winda znalazła się na parterze i Julia wysiadła.

I nagle zamarła w bezruchu.

Na ścianie na wprost wyjścia wisiał ogromny portret przedstawiający jej obie babcie - Mary Redmond i Paige Austrian. Obie kobiety siedziały na różowych aksamitnych fotelach, miały na sobie długie suknie balowe i wspaniałą biżuterię. Były piękne i eleganckie. Julię ogarnęły ciepłe wspomnienia babci Austrian i wtedy...

Poczowała przerażenie. Na palcu babci Austrian Julia zobaczyła swój pierścionek z aleksandrytem i mnogością drobnych, zielonych jak trawa szafirów oraz błyszczących diamentów.

Natychmiast odwróciła wzrok od obrazu. Jednak już zdążyła ją ogarnąć fala mdłości. Poraził ją dziwny, mdlący zapach. Złapała się na tym, że rozciera palec, na którym nosiła pierścionek, tak jak w czasie sesji terapeutycznej w gabinecie u Oriona. Z zastraszającą prędkością zaczęła ją otaczać ciemność. Dobrze знаła tę ciemność. Znowu traciła wzrok.

A w tej właśnie chwili nie może przestać widzieć. Nie wolno jej.

Musi to powstrzymać. Teraz.

15.58

Sam nigdzie nie widział śladu Lyle'a. Udawał, że szuka swojego towarzysza, franciszkanina, i pytał ludzi, czy nie widzieli gdzieś zakonnika w brązowym habicie. Jeszcze raz przedarł się przez tłum. Zewsząd dochodził dźwięk brzęczących kieliszków. Dokoła słychać było rozmowy, co chwila wybuchały śmiechy. Sam starał się zachować spokój. Wzrokiem przeszukiwał tłum. I pytał następnym.

Zorientował się, że dawno nie widział Julii.

Zniecierpliwiony zrobił jeszcze jedną rundkę przez tłum. W końcu postanowił wyjść przed dom. Przyjeżdżali ostatni goście. Z lampką szampana w dłoni, z uprzejmym uśmiechem na zmienionej za pomocą walczków waty twarzy, szedł ścieżką prowadzącą za dom. W oddali zobaczył uzbrojonych agentów ochrony, którzy wyłonili się spośród drzew, rozejrzeli się i z powrotem rozplynęli się w ciemnej gęstwinie. Za wszelką cenę nie rzucać się w oczy i pełnić swoje obowiązki dyskretnie.

Prze chwilę miał ochotę podejść do nich i o wszystkim im opowiedzieć...

Creighton Redmond - były sędzia Sądu Najwyższego, bohater wojny w Wietnamie i przeszły prezydent Stanów Zjednoczonych - zaplanował i realizuje najprzebieglejszy i najpodlejszy spisek polityczny, jaki kiedykolwiek miał miejsce w tym kraju.

Douglas Powers nie jest zbrojcem seksualnym, a Creighton jest mordercą...

Bez sensu. Nawet za tysiąc lat nikt mu w to nie uwierzy. Sam pokręcił głową, żałując, że stary Lyle nie dał im żadnego dowodu na potwierdzenie swojej historii.

Wtedy wszystko byłoby o tyle łatwiejsze. Nic nie zagrażałoby teraz Julii. Podobnie zresztą jak Lyle'owi.

Krzaki z prawej strony były wysokie do pasa, ale nie przesłaniały okien i pozwalały zaglądać do środka przestronnej willi. Sam patrzył uważnie, lecz w żadnym z pomieszczeń nie widział ani Julii, ani Lyle'a. Gdzie oni się podziali?

Zaniepokojony przyspieszył. Szedł dalej wzdłuż muru willi. Spojrzał w małe ośmiokątne okno na wprost wind.

W oknie zobaczył Julię. Patrzyła na obraz wiszący na ścianie - olejny portret dwóch eleganckich dam sprzed jakichś czterdziestu lat. Julia stała nieruchomo, jak zaklęta. Sam zawrócił i ruszył w kierunku tylnego wejścia. Wtedy zobaczył Mayę Stern. Serce zamarło mu z przerażenia.

Stern energicznym krokiem szła przez korytarz. Ubrana była w luźny, czarny garnitur i białą jedwabną bluzkę. Miała blond perukę - włosy wysoko upięte czarnym grzebykiem. Trzymała ozdobioną koralikami wieczorową torebkę, a w niej prawą dłoń. Sam poczuł lodowaty dreszcz. W torebce musi być pistolet, dlatego w tak nienaturalny sposób trzymała w niej rękę. Tymczasem Julia stoi przed obrazem jak wrośnięta, kompletnie pochłonięta dziełem. Jakby zapomniiała, gdzie się znajduje.

Zlany potem Sam rzucił się biegiem w kierunku tylnego wejścia do willi.

56.

16.05

Ukochana drewniana chata Lyle'a Redmonda stała za lasem i była niewidoczna z willi i z reszty budynków posiadłości. Creighton poinformował służby specjalne, że odbędzie się tu spotkanie i polecił obserwować domek, ale nikogo nie zatrzymywać. Siedział już w miękkim, kremowym, skórzanym fotelu i palił jedno z kubańskich cygar ojca. Kiwnął głową na powitanie, kiedy w końcu pojawił się Vince i zamknął za sobą drzwi.

- Dołącz do nas, synu. Właśnie mówiłem Brice'owi i Davidowi, że powinniśmy się pospieszyć. Teraz, kiedy do nas dołączyłeś, można powiedzieć, że mamy zebranie gabinetu. Dyrektor CIA, minister handlu, no i szef Rezerw Federalnych. - Creighton uśmiechnął się i zamilkł dla zwiększenia efektu. - Powiedziałbym, że nasza przyszłość przedstawia się raczej optymistycznie.

David i Brice z założonymi nogami siedzieli na skórzanej kanapie. Obaj mieli na sobie drogie, modnie skrojone smokingi. Roześmiali z satysfakcją. To było przyjemne spotkanie. Creighton powiedział im o zapowiadającym się druzgocącym sukcesie w wyborach i zapewnił, że wraz ze śmiercią Staffelda jedynym ogniwem łączącym ich z aferą przestało istnieć.

- Czy Maya Stern ze swoimi ludźmi są już na miejscu? - zapytał Vince'a.

Vince usiadł obok ojca i zapalił papierosa.

- Są na miejscu. Wiedzą, co mają robić. To tylko kwestia czasu.

Creighton zaczął, aż któryś z braci zapytał, o co chodzi. Pierwszy był Brice. Zmarszczył brwi.

- Zaraz, zaraz, myślałem, że już po wszystkim?...

- Właśnie miałem wam powiedzieć. - Uśmiech znikł z twarzy Creightona. - Musimy przedyskutować coś, co nie musi się wam spodobać. Ale musicie mnie wysłuchać, bo powinniśmy podjąć pewną decyzję.

David nerwowo przełożył nogi.

- Domyślam się, że to będzie kosztowało.

Creighton z posępną miną pokiwał głową.

- To prawda. Ale alternatywą jest utrata naszego majątku. W najlepszym razie. - Z wąskich ust wyjął cygareto i spojrzał na spopieloną część. - Tak jak wam mówiłem, staruszek jest na wolności. Podejrzewamy z Vince'em, że w tej chwili jest w drodze tutaj.

- Co takiego? - krzyknął Brice.

W ciemnych oczach Creightona pojawiła się determinacja.

- Znajdziemy go i oczywiście będziemy go mogli z powrotem zamknąć w domu opieki. Ale musimy stanąć twarzą w twarz z faktami. - Powoli wypuścił dym z cygara marki Cohiba, jak gdyby zbierał myśli. Przez całe życie kontrolował swoje gesty jak aktor w teatrze. - Kiedy tylko stary się tam znajdzie, nie spocznie, dopóki znowu nie ucieknie. Wiecie, jakim upartym jest draniem. - Przerwał. Tylko Vince znał tę część planu, więc trudno przewidzieć, jak zareagują bracia. - Chodzi o to, co opisał w swoich pamiętnikach. Otóż stary postanowił...

David zmarszczył czoło.

- Mówiłem ci już, Creighton, że nic nie chcę wiedzieć o tych przeklętych pamiętnikach ani o żadnych przesyłkach...

Creighton wpadł w nagłą furję. Uderzył pięścią w stół.

- Nie obchodzi mnie, czego chcesz! Czerpiesz z tego korzyści. I teraz musisz wziąć na siebie część odpowiedzialności, do cholery. Nie chciałem tego, ale zabiłem Marguerite, żeby nas chronić...

David wszedł mu w słowo.

- Zabiłeś Marguerite?

Wtrącił się Brice.

- Zabił ją wynajęty przez niego płatny zabójca. Creighton nie kazał mu jej zabijać, więc zapomnij o tym. Interesuje mnie coś innego. Co jeszcze było w tych pamiętnikach? Co mógłby powiedzieć ten żalorny staruszek?

Creighton oparł się na fotelu i zaczął oddychać spokojniej.

- Może powiedzieć dużo więcej, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić. Może powiedzieć coś takiego, że z naszych pieniędzy nie zostanie nic. Wpadł na pomysł, żeby wyjaśnić, skąd wziął się nasz rodzinny majątek i w jaki sposób staliśmy się bogaci i wpływowi.

David jęknął.

- O co ci chodzi, Creighton? A skąd się wzięły nasze pieniądze? Wszyscy wiedzą, że to Dan Austrian finansował przedsięwzięcia ojca i swoje. Dobra, pewnie zdarzyło się kilka niezupełnie czystych interesów...

- Powtarzasz historyjkę, którą wymyślili - powiedział Creighton spokojnym głosem. - A prawda jest taka, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku Dan nie miał ani grosza, podobnie nasz stary. Obaj byli biedakami. Mimo to zaledwie dwa lata później jakimś cudem rozkręcili ogromny interes i zaczęli żyć na zupełnie innej stopie.

Przez dłuższą chwilę dwaj młodszy bracia patrzyli na Creightona, usiłując zrozumieć, co chce im powiedzieć.

- Dobra, Creighton. W jaki sposób to zrobili? - Odezwał się w końcu David.

Creighton opowiedział im historię opisaną w pamiętnikach przez ojca, o tym, jak dwóch żołnierzy bez grosza przy duszy znalazło się w posiadaniu „drugiego skarbu Himmlera”. I o tym, jak go przeszmyglowali do Stanów. I jak większość uzyskanych w ten sposób pieniędzy obrócili w miliony, dzięki czemu mogli rozkręcić interes, który przyniósł rodzinie miliardy, pozycję i wpływy.

- Wzbogacili się na łupie nazistów, który przeszmyglowali do Stanów. Na dwukrotnie, a nawet trzykrotnie skradzionym skarbie. Najpierw Rosjanom, potem Himmlerowi i w końcu Selvestrowi Maasowi, którego zamordowali. Większość przedmiotów sprzedali, żeby rozpocząć działalność, a to, co zostało, podzielili na pół. Wszystko wskazuje na to, że Dan miał przez jakiś czas Bursztynową Komnatę, ale co się z nią potem stało, Bóg jeden wie. Należąca do ojca część obrazów wisi na ścianach tego domu.

David i Brice byli wytrąceni z równowagi. Creighton zamilkł. Nadszedł decydujący moment. Na ile będą przestraszeni? Na ile będzie im zależało, żeby ta odrażająca historia pozostała tajemnicą?

- Co za pieprzony skurwiel - Brice dyszał ze złości. - Setki razy naginał prawo w interesach, ale to nic przy fakcie, że jest pieprzonym złodziejem dzieł sztuki.

- A więc nie istnieją żadne dokumenty na potwierdzenie kupna tych obrazów - zdał sobie sprawę David. - W ostateczności moglibyśmy je sfałszować. Obrazy są warte fortunę, tylko że nie możemy ich sprzedać.

Creighton powstrzymał się od uśmiechu. Jego bracia byli przecież Redmondami i można było przewidzieć ich reakcję. Pieniądze zawsze są na pierwszym miejscu. Teraz trzeba tylko wskazać im rozwiązanie, na które będą musieli się zgodzić.

- Jeśli staruszek zdecyduje się ogłosić to światu, będzie musiał ponieść konsekwencje, zwrócić wszystko, zapłacić kary, i może trafić do więzienia. Jeśli powie, że my wiedzieliśmy o wszystkim, Departament Spraw Zagranicznych dobierze się również do nas. Ale to nie jest najgorsze. - Utkwił w nich lodowaty wzrok. - Sprawiliśmy, że staruszka uznano za niepoczytalnego, przejęliśmy jego majątek, więc to my stracimy wszystko. Grozi nam, że stracimy nie tylko to, co odziedziczyliśmy, ale kto wie, jaką część zarobionych przez nas pieniędzy. Może też dojść do tego, że staruszek od zyska pieniądze, zapłaci kary, a resztę rozda. My nie dostaniemy ani centa. Stracimy Arbor Knoll. Stracimy pozycję, opinię...

- Wystarczy. - David wszedł mu w słowo. - Rozumiem sytuację. Nie będę mówił, jak bardzo jestem wkurzony - spojrzał na zaciętą minę Brice'a - jak bardzo jesteśmy wkurzeni, że nie powiedziałaś nam o tym wcześniej. Mówiłem cały czas, co powinniśmy zrobić ze starym. Nie wolno nam ryzykować, że znowu ucieknie, kiedy go wsadzimy z powrotem do domu opieki. Nie mamy innego wyjścia. Musimy go zabić.

Creighton zaciągnął się cygarem. Bardzo dobrze, David powiedział to pierwszy.

- Też tak uważam - powiedział Creighton.

- Wszyscy się zgadzamy? Dzielimy się odpowiedzialnością po równo? - koniecznie chciał dowiedzieć się David. Przedtem Creighton twierdził, że skoro David chce zabić ojca, sam będzie musiał zapłacić podatek od spadku.

- Wszyscy po równo - zgodził się Creighton.

W pomieszczeniu zapadła złowroga cisza. Brice patrzył przed siebie. Wszyscy trzej, kiedy sami zaczęli prowadzić własne interesy, nieraz musieli zawierać pakt z diabłem. Wspólnie podjęli niełatwą decyzję o przejęciu majątku starego. Creighton czekał i przyglądał się ich zamyślonym twarzom. Po pierwszym wybuchu emocji, uspokoili się i zaczęli spokojnie i rzeczowo rozmawiać o interesach. Spojrzał na Vince'a. Syn okazał się na tyle rozsądny, żeby nie odzywać się, zanim go o to nie poproszą.

W końcu Creighton przemówił, tym razem do Brice'a. Mówił cichym, hipnotyzującym głosem.

- Nie chodzi tylko o wyeliminowanie Julii i Keeline'a, ale też ojca. Nie możemy pozostawić żadnych luźnych ogniów. Stawka jest zbyt wysoka. Gdyby mój plan związany z prezydenturą się nie powiódł, sprawa nie byłaby tak nagląca. W tej chwili jednak sytuacja zrobiła się podbramkowa. Musimy zrobić wszystko, co konieczne, żeby chronić swoją pozycję i majątek.

Brice nie był do końca przekonany.

- Nie podoba mi się to. Problemy się piętrzą. Nawet jeśli go zabijemy, skąd mamy pewność, że przeszłość nie wyjdzie na jaw w jakiś inny sposób?

- To proste. Nikt więcej o tym nie wie. Tylko my. - Creighton odwrócił się do syna. - Vince, co o tym sądzisz?

Vince z powagą skinął głową. Nie przepadał za dziadkiem, a ojciec wiedział, co robi.

- To najlepszy sposób.

David westchnął. Coś rachował w pamięci.

- Pieprzony podatek od spadku będzie nas kosztował majątek - powiedział.

Creighton się uśmiechnął. David skłonił go do sięgnięcia po ostatni argument.

- Pamiętajcie, że Dan Austrian i ojciec są winni śmierci człowieka. Nie znam prawa szwajcarskiego, ale w sprawie o morderstwo na pewno nie ma przedawnienia. To wywoła skandal. - Przerwał. - Oczywiście nie będzie to miało wpływu na fakt, że zostanę prezydentem. Teraz już nic tego nie zmieni. Ale żeby efektywnie sprawować władzę, muszę pilnować standardów moralnych. Znajdę się pod lupą. Cała rodzina na tym straci. Nie będę mógł mianować was na stanowiska, na których wam zależy.

Brice skrzywił się, wydał usta.

- Gdybym wiedział, że to wszystko tyle będzie mnie kosztowało, od razu chciałbym stanowisko ministra spraw zagranicznych.

- Mniej nas będzie kosztowało zlikwidować staruszka, niż pozwolić mu szaleć - stwierdził David.

Creighton roześmiał się. Wszyscy podchwycili ten śmiech. Redmondowie znowu doszli do porozumienia. W gruncie rzeczy to był dobry interes. Creighton wstał i podszedł do barku.

- Ktoś chce brandy?

- Ja chętnie - podniósł się Vince. Ojciec jest niepokonany. - David? Brice?

Obaj skinęli głowami. Vince podał im kieliszki, do których nalał doskonałej, pięćdziesięcioletniej brandy.

- Wiecie co - powiedział David - do czegoś wam się przyznam. Zawsze uważałem, że bankowość to nuda. - Uśmiechnął się. - Ale myślę, że polityka mi się spodoba. - Wstał.

Creighton odwrócił się i przyjrzał się synowi i braciom. Wzniósł kieliszek w toaście. David i Vince podnieśli swoje. Brice wzruszył ramionami i też wstał.

- Nich to wszyscy diabli.

Czterech mężczyzn stało i patrzyło sobie w oczy. Wszyscy byli dziełem staruszka. Osobiście wychował trzech z nich. Dawał im pieniądze, strofował ich,

stawiał wymagania, radził i pomagał otwierać wszelkie potrzebne drzwi. Chcieli tego czy nie, byli jego następcami, spadkobiercami wszystkiego, co miał i czym był.

- Za Pięć Tokugawy. - Wypili. Wspomnienia o ojcu i dziadku powoli blady w ich pamięci.

57.

16.06

Ciemność podchodziła do Julii coraz bliżej, zastępując jej światło, kolory i kształty. Musi to jakoś powstrzymać. Natychmiast. Wzięła głęboki wdech. Oddychała głęboko i spokojnie. Maksymalnie skupiona przywołała w pamięci dźwięki *Kołysanki* Brahmsa. Zmusiła się do usłyszenia tej kojącej muzyki. Specjalnie natarczywie patrzyła na pierścionek babki na portrecie i z całej siły powtarzała sobie, że nie musi być dłużej niewidoma.

Nie jestem niewidoma. Widzę!

Nie musi wiedzieć, co spowodowało ślepotę.

Jest w stenie poradzić sobie ze wszystkimi przeszkodami na swej drodze...

Wciąż oddychała powoli i głęboko. Dziwny zapach zaczął się ulatniać. Skoncentrowała się na uspokajającej muzyce i wciąż wpatrywała się we wspaniały pierścionek.

Dlaczego pierścionek babki był katalizatorem jej kalectwa?...

Wtedy poczuła ból, ktoś uderzył ją mocno w plecy.

- Nie ruszaj się - prosto w ucho szepnęła jej Maya Stern. - Nie odwracaj głowy. - Stern poczuła błogą falę przyjemności. Jej podejrzenie okazało się słuszne, Austrian przebrała się za zakonnice. W końcu będzie mogła zabić tę kobietę, przez którą miała tyle kłopotów.

Julii struchlała z przerażenia. Zabrakło jej tchu. Ale czarna zasłona, która zaczęła ją otaczać, cofnęła się. Udało się jej przewyciężyć nadchodzącą ciemność. Tylko dlaczego jej zmysły nie wyczuły Mayi Stern? Wygrała bitwę, ale przegrała wojnę. Maksymalnie skoncentrowana na obrazie, przestała odbierać sygnały dochodzące z zewnątrz i Stern ją zaskoczyła.

Julia znowu usłyszała zdeterminowany głos morderczyni.

- Jesteśmy znajomymi, podziwiamy piękny obraz. Teraz idź.

Julia myślała tylko o berettcie, którą miała w kieszeni. Bała się, że Stern ją odkryje. Gdyby sięgnęła do niej teraz, Maya mogłaby coś zauważyć. A to nie jest dobra okazja, żeby strzelać.

Czuła ciepło ciała Stern i dzięki temu wiedziała, że kobieta stoi za nią, trochę z prawej strony. Czuła luźną pistoletu przyciśniętą nisko z prawej, tam, gdzie kończyła się poduszka. Ktoś przypatrujący się tej scenie z boku mógłby pomyśleć, że Stern z radością powitała i uściśniła tłustawą zakonnicę.

Julia zaczęła się odwracać.

Pistolet wbił się głębiej.

- Nawet o tym nie myśl. Powinam cię była zabić od razu w Londynie. Idź powoli w prawo.

- Myli się pani. - Julia nie ruszyła się z miejsca. Skoro nie może uciekać, to może przynajmniej czegoś się dowiedzieć. - Od kiedy pracuje pani dla Creightona? Kogo jeszcze pani zabiła?

Maya nie zwracała uwagi na jej pytania.

- Wychodzimy tędy na zewnątrz. Ruszaj się.

- Sam twierdzi, że kiedyś pracowała pani dla CIA. Nie może pani tego zrobić... - Julia spojrzała gwałtownie w lewo i w prawo. Winda znajdowała się w miejscu, gdzie korytarz robił się szerszy, pomiędzy głównym wejściem i drzwiami prowadzącymi na zaplecze domu - do kuchni, spiżarni i do oranżerii.

- Jeśli myślisz, że nie strzelę, daj mi najmniejszy powód, a udowodnię ci, że się mylisz - powiedziała Stern. - Ten pistolet ma tłumik, a hałas dokoła jest wystarczający, żeby zagłuszyć dźwięk strzału. Podtrzymam cię, kiedy upadniesz. Wszystkim powiem, że zemdlałaś, i zanim ktokolwiek się zorientuje, łącznie z Keeline'em, nie będziesz żyła. Idź do drzwi dla służby. Już.

Julia wiedziała, że są chwile, żeby strzelać, i chwile, żeby uciekać. Ale to nie była żadna z nich. Zadrzała ze strachu. Wierzyła, że Maya Stern robi to, czym grozi, więc odwróciła się i ruszyła do drzwi prowadzących na korytarz na tyłach.

16.07

Sam biegł w kierunku tylnych drzwi. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Nie był pewien, co czuje do Julii, ale wiedział, że myślał o niej non stop, kiedy jej przy nim nie było. I gdy przechodziło mu przez myśl, że mogłaby nie żyć, ogarniała go ogromna, przejmująca pustka. A kiedy przypominał sobie chwile, kiedy byli razem...

Wszystko przestawało mieć znaczenie.

Wyciągnął browninga i uchylił pierwsze drzwi na tyłach domu. Był to staroświecki przedsiónek połączony z pomieszczeniem do przygotowywania kwiatów. Znajdował się tu głęboki, metalowy zlew i cynowa lada. Pachniało

401

ziemią i roślinami, żaluzje były zasłonięte, osłaniając wnętrze przed słońcem. Sam zapanował nad oddechem i wśliznął się do środka.

16.08

Julia gorączkowo rozglądała się po korytarzu. Kobiety minęły przestronną kuchnię, w której kuchmistrze, kucharze i kelnerzy uwijali się w pozornie pozabawionym sensu pandemonium. Julia miała nadzieję, że ktoś je zauważy i zainteresuje się nimi. Że ktoś odwróci uwagę Stern, żeby Julia mogła wyciągnąć berette.

Zwolniła, próbując zyskać na czasie. Gorączkowo próbowała znaleźć jakieś wyjście...

- Pospiesz się - syknęła Stern.

Julia co chwilę czuła nagły ruch powietrza. Wnioskowała, że Stern bez przerwy rozgląda się, czy ktoś się nimi nie interesuje. Zmysły Julii znów były wyczułone, ale mimo to i pomimo faktu, że Julia miała berette, była bezradna. Wtedy zauważyła nagle poruszenie za oknem z lewej strony. Serce zabiło jej żywiej. Przez szybę mignęła jej postać wysokiego księdza z wydatnym brzuszkiem. Sam.

Maya Stern dotarła do kolejnych drzwi prowadzących do przedsionka. Kiedy Stern otworzyła je, Julia zatrzymała się. Musi dać Samowi więcej czasu...

- Ruszaj się. - Głos Stern był szorstki.

- Co za różnica? I tak mnie zastrzelisz.

Stern wbiła lufę Julii w zębra. Julia poczuła dotkliwy ból. Ale to nieważne. Nie zamierza dać po sobie poznać, że czuje ból albo że się boi.

- Skoro pani nalega - odezwała się ze spokojem. Pchnęła drzwi, a one się otworzyły. Zrobiła krok do przodu i poczuła ciepło ciała Sama z prawej strony. Szybko odwróciła głowę w lewo, jak gdyby zobaczyła coś zaskakującego. I krzyknęła:

- Sam!

Stern zareagowała instynktownie. Spojrzała w lewo. I momentalnie zorientowała się, że to zmyłka, ale było już za późno.

Sam, przyklejony do ściany z prawej, uderzył Stern w przegub ręki trzymającej broń. Torebka z pistoletem upadła na podłogę.

Stern natychmiast na oślep wykonała wyrzut prawą nogą. *Sokuto*.

Sam odskoczył do tyłu i stopa napastniczki ześliznęła się po jego boku. Już wiedział, czego może się spodziewać po Mayi Stern. Waleczna i silna już szykowała się do następnego ataku. Nie może jej na to pozwolić. Ramieniem złapał ją za gardło, odciągnął od Julii i wcisnął lufę browninga w jej blond perukę.

Ale znowu nie docenił Stern. Miała doświadczenie w walce ulicznej. Natychmiast wyciągnęła rękę do tyłu, podbiła browninga, złapała Sama za uszy i zaczęła ciągnąć.

Sam poczuł promieniujący ból, ale mimo to próbował kręcić głową, żeby się wyrwać. Kiedy udało mu się wykręcić głowę pod właściwym kątem, wbił zęby w lewą rękę Stern. W ustach poczuł jej ciepłą krew i zebrało mu się na wymioty.

Uścisk Stern zelżał. Sam wgrzył się do kości.

Kobieta wydała z siebie jakiś pomruk. Puściła go.

Kiedy Sam walczył ze Stern, Julia wyjęła z kieszeni habitu berettę. Poczowała przypływ radości. Mają Mayę Stern.

I wtedy otworzyły się drzwi z wnętrza domu. Sama w głowę uderzyła stopa mężczyzny. Jak długi wylądował na podłodze.

Stern nie wahała się ani chwili. Widziała, że Julia ma berettę. Nie zwracała uwagi na strugę płynącą z ręki krwi, wykręciła się i kopnęła Julię prosto w pierś. Beretta wypadła z ręki Julii, a sama Julia upadła na plecy, nie mogąc złapać tchu.

Mężczyzna pochylał się nad Samem i przyłożył mu lufę pistoletu między oczy. Najwyraźniej był to człowiek Stern, który szedł za nimi.

Maya z wściekłością malującą się na pięknej twarzy podniosła z ziemi swoją torebkę i wepchnęła pistolet między żebra Julii. Ból był taki, jakby wbiła Julii w pierś nóż. Julia nie mogła oddychać.

- Wstawać! - zarządziła Stern.

W drzwiach pojawił się drugi mężczyzna. Był wyższy od tego, który trzymał pistolet Samowi przy głowie i również miał na sobie smoking. Obaj mężczyźni byli eleganccy i zadbani, i trudno było stwierdzić, z jakiego środowiska pochodzą. Julia poznała ich; byli to ci sami mężczyźni, którzy gonili ich na Hell's Kitchen. Obaj byli czyścicielami, płatnymi zabójcami. Ten drugi wziął berettę i browninga Sama. Pierwszy podniósł Sama z ziemi, wciąż trzymając pistolet przy jego twarzy.

- Przynieś jakiś ręcznik i zawiń mi rękę - rozkazała Maya Stern nowo przybyłemu.

Sam postanowił nie myśleć. Czaszkę rozdzierał mu ból. Wzrokiem badał przedsiónek, szukając sposobu, żeby pomóc Julii.

- Lepiej było grzać tyłek za biurkiem, palancie - odezwał się chuderlawy zabójca, który go pilnował.

Sam wypłuł watę deformującą mu rysy twarzy.

- Żartujesz? Jak mógłbym żyć bez tych emocji? - Wykrzywił usta z wściekłości. Bez waty w ustach jego twarz znowu była pięknie rzeźbiona.

Czyściciel mocniej dźgnął Sama. Nie często zdarzało mu się nie wykonać zadania za pierwszym podejściem. Miał powód, żeby nie przepadać za Samem Keeline'em.

- Nie będziesz miał okazji dłużej się nimi cieszyć - powiedział cicho i beznamietnie.

- Przestań. - Usta Mai Stern stworzyły cienką czerwoną linię. Drugi mężczyzna wrócił z lnianym ręcznikiem, którym owinał rękę Stern i zawiązał. - Zabierzcie go, wiecie dokąd, i zlikwidujcie. - Wypchnęła Julię na zewnątrz.

- Sam!

- Martw się o siebie. - Maya Stern dźgnęła łufą bolące żebra Julii. - Idź.

- Nie martw się! Robią to, co chciałem - krzyknął Sam.

Dwaj mężczyźni wypchnęli Sama drugim wejściem.

Julia odwróciła się przez ramię, licząc na cud. Szły wyłożoną kamieniami ścieżką, po obu stronach wysadzaną jałowcem, pełnym życia i wiecznie zielonym na tle zwiedniętej, brązowej trawy. Słońce było coraz bliżej horyzontu, chłodne i jasne. Wiatr znowu przybrał na sile i niestrudzenie poruszał gałęziami drzew. Wzbijał w górę liście, wpędzając je do szalonego tańca.

Rzeczywiście to była zuchwałość ze strony Julii, że chciała się równać z Mayą Stern, jeśli chodzi o umiejętność walki. Przekleła siebie w myślach. Sam miał rację, nigdy nie uda się jej wygrać z wyszkolonymi zabójcami. Ale nie może stracić Sama. Nie teraz. Nie po tym wszystkim, co razem przeżyli. Julia poczuła, że ogarnia ją miłość, i zaraz potem poczuła wściekły żal.

Sam przez nią zginie.

Zza pleców dobiegały ją odgłosy balu. Razem ze Stern znalazły się już poza zasięgiem wzroku ludzi w domach gościnnych, w herbaciarni i na werandzie.

Stern prowadziła ją za lasek. Przed nimi pojawiła się drewniana chata dziadka, ukryta za drzewami przed wzrokiem gości. Julia poczuła strach. Nie była tu od lat. Ta drewniana chata kojarzyła się jej z władzą i przemocą. Nie wiedziała dlaczego. Zaciśnęła ręce w pięści. Przestała się bać o życie Sama i swoje. Nie może się bać. Jeszcze żyją. Trzeba myśleć. Trzeba wysilić wszystkie zmysły...

Maya Stern popychała ją dalej po dróżce. Pomimo mroźnego powietrza z Julii spływały strużki potu. Miała wrażenie, że znajduje się w szponach wielkiego drapieżnika.

16.09

Lyle Redmond dodreptał prawie do końca podziemnego przejścia. Głowę miał pochyloną pod wiszącymi na suficie żarówkami. Był przemarznięty i

404

zmęczony, ale też szczęśliwy. Zdjął pajęczynę wiszącą na drodze i roześmiał się.

Kiedy kupił Arbor Knoll, stwierdził, że skoro prezydent może mieć tajne przejścia, które wychodzą na Pennsylvania Avenue, on też może mieć przynajmniej jedno takie przejście. Oczywiście jego przejście było dużo skromniejsze, kończyło się na asfaltowej uliczce klapą w ziemi ukrytą w krzakach. Nie można tego porównywać z tym, co miał prezydent, ale spełniało swoją rolę. A dzięki zamkowi na szyfr, który zamykał klapę, oraz dzięki temu, że Lyle umiał trzymać buzię na kłódkę, nikt nigdy się o tym przejściu nie dowiedział.

Lyle przez większość dnia odpoczywał, więc zebrał energię do tego wysiłku. A dobrotliwy ojciec Michael wsunął mu do kieszeni trzydzieści dolarów na drobne wydatki. Taksówkarz ucieszył się z dużego napiwku. Staruszek znowu się roześmiał i wciągnął w płuca stęchłe powietrze. Ten zapach przypominał mu o pięknych kobietach. Czuł się samotny od chwili śmierci Mary, ale jakoś przeżył. A teraz, do diabła, cieszył się z tego, że żyje. Musi czegoś jeszcze dopilnować i spojrzeć w oczy swoim opętanym chciwością synom.

16.10

Julia! Sam krzyczał w myślach, kiedy Maya Stern wypchnęła ją na zewnątrz i Julia znikła mu z oczu. Przynajmniej wiedział, że Julia jeszcze żyje. Stern pewnie miała ją zaprowadzić do Creightona, bo inaczej zabiłaby ich oboje od razu. Dzięki Bogu. Może Creighton pozwoli Julii żyć. Może...

Prawdę mówiąc, Sam nie wierzył w to.

Creighton będzie chciał się dowiedzieć, co Julia wie i komu o tym powiedziała. Może będzie próbował ją przekonać, żeby wróciła na łono rodziny. W gruncie rzeczy należała do rodziny Redmondów, a przecież Creightonowi zależało na rodzinie.

Ale Julia nie da się przekabacić. Nie zrobi tego. Właśnie dlatego, że jest Redmondem. Podobnie jak stary Lyle.

Sam musi jej pomóc.

Dwóch czyścicieli prowadziło Sama do czekającego w pobliżu samochodu. Ponieważ wciąż było jasno i agenci służb specjalnych byli wszędzie, nie chcieli ryzykować, zabijając go tutaj. Pewnie chcieli go zabić jak najszybciej, ukryć ciało i gdzieś je wywieźć. Ale ktoś spieszył sprawę, bo powinni go byli zabić od razu, na miejscu. Prawdopodobnie Vince ze swoim uporem, żeby wszystko robić czysto. Jak zawsze powierzchowny, dbający tylko o pozory, o to, żeby wszystko wyglądało dobrze na pierwszy rzut oka. A tak naprawdę zawsze wszystko wykonywał niewłaściwie.

405

Za kierownicą usiadł wyższy czyściciel, o ciemniejszej skórze, z blizną po nożu pod lewym okiem, która nadawała jego twarzy zaspany wygląd. Ten chudszy, o twarzy niedorozwiniętej fretki, wpakował się na siedzenie obok Sama i wbił mu między żebra dziewięćmilimetrowego glocka. Kolejny błąd. Chuderlawy czyściciel był zabójcą, a nie agentem operacyjnym. Wiedział, jak zabijać i uciec, ale zachowywał się niezręcznie przy konwojowaniu więźnia. Sam myślał o tym wszystkim, żeby nie pozwolić opanować się gorzkiemu smakowi strachu, który chwycił go za gardło.

Jechali pełną kolein piaszczystą drogą, używaną przez wozy dostawcze, a prowadzącą przez las. Na drodze pojawił się jeden z agentów służb specjalnych, ale kierowca pomachał mu ręką i agent pewnie musiał go znać, bo pozwolił im jechać dalej. Creighton - albo Vince - przewidzieli tyle możliwości, że Sam musiał zwrócić im honor. Wciąż mogli go tu zabić.

W końcu dotarli do zamkniętej bramy. Dalej piaszczysta leśna droga skręcała i zamieniała się w asfaltówkę. Przy bramie nie było żadnej budki strażniczej ani ochroniarzy. Ale na pewno jacyś agenci patrolują teren wzdłuż muru. „Zaspany” kierowca wyskoczył z samochodu, z zamiarem otworzenia bramy. Chudy obserwował partnera, rozglądał się za strażnikami i pilnował Sama.

Sam zdecydował, że jego opiekun ma za wiele rzeczy do zrobienia. A Sam musi działać szybko, zanim znajdą się za bramą posiadłości. Stwierdził właśnie, że nadarzyła się okazja do działania. Musi zaryzykować.

Zawył. Złapał się z brzuch i zgiął się w pół.

Siedzący obok chudy spojrzał na niego zaskoczony i pistolet zsunął się z żebra Sama. Keeline zadał cios *yoko hiji-ate*, wbijając łokieć prosto w żebra chudzielca. Prawie równocześnie pięścią uderzył rękę, w której chudy trzymał glocka. Glock upadł na podłogę. Oczy chudego rozbłysły z bólu, a ramię opadło, sparaliżowane.

Ale drugą czyściciel próbował chwycić Sama za gardło. Sam zablokował go chwytem *haishu-uke* i zręcznie podbił wnętrzem drugiej dłoni brodę napastnika. Usłyszał chrzęst. W powietrzu rozszedł się przykry zapach oddechu i głowa mężczyzny opadła na bok. Wszystko to trwało kilka sekund. Chudy leżał nieprzytomny.

Sam podniósł z podłogi glocka z tłumikiem. Z trudem łapał oddech.

Tymczasem zaspany zauważył, że coś się dzieje w samochodzie. Biegł do niego, po drodze wyciągając pistolet z kabury. Sam zdążył otworzyć drzwi i wyskoczyć na zewnątrz z przeciwnej strony. Znalazł się w chłodnym świetle słonecznym, które przedzierało się przez gałęzie drzew. Patrzył, jak stopy mężczyzny zatrzymują się po czym biegną naokoło samochodu. Przeturlał się pod samochodem na drugą stronę. Miał dziwne uczucie, jak gdyby nigdy nie przestał pracować jako czynny agent. Ziemia była czarna i wilgotna. Głowę wypełnił mu jej zapach. Pomyślał o śmierci.

Sam szybko przekreślił się pod samochodem tak, że twarzą był tam, skąd wysiadł. Kiedy czyściciel zatrzymał się, żeby się rozejrzeć, Sam wyciągnął rękę, złapał go za kostkę i mocno pociągnął. Mężczyzna z hukiem upadł na ziemię, okrutnie klnąc. Sam już wytaczał się spod samochodu, kiedy kula z pistoletu z tłumikiem otarła się o jego policzek. Gorąca krew momentalnie zalała mu twarz.

Mrugając, żeby widzieć, Sam upadł na plecy, wycelował i strzelił. Pistolet czyściciela był wymierzony w Sama. Ale kula wystrzelona przez Keeline'a była szybsza. Rozerwała czoło czyścicielowi, roztrzaskując czaszkę. Zalany krwią mężczyzna upadł i nagle znieruchomiał, wciąż zaciskając dłoń na pistolecie.

Sam wciągnął powietrze. Poczul ulgę. Serce biło mu jak młotem. Boże, chyba rzeczywiście był z niego niezły agent. Ale nienawidził tego.

Usiadł na ziemi. Odwrócił się, żeby sprawdzić, co się dzieje na tylnym siedzeniu. Nagle z samochodu na wysokości jego gardła wysunął się sztylet.

- Ty skurwysynu. - Chuderlawy czyściciel był przytomny i najwyraźniej nastawiony niezupełnie pokojowo.

Zanim Sam zdążył podnieść dłoń, w której miał pistolet, mężczyzna rzucił się do przodu. Sam schylił głowę i wypalił. Kula trafiła mężczyznę tuż pod brodą, przebiła nasadę czaszki i wyleciała z drugiej strony. Mężczyzna ruszył do przodu i wypadł z samochodu na ziemię.

Ciężko oddychając, Sam nasłuchiwał. Czy któryś z agentów służb specjalnych słyszał te strzały mimo tłumika? W kucki przeszedł na drugą stronę samochodu i przyjrzał się gęstemu lasowi, pustej drodze za płotem i łąkom ciągnącym się aż do zatoki. Żadnego ruchu. Cisza. Słońce coraz niżej pochylało się nad drzewami.

Sam wyciągnął mężczyznę w eleganckich smokingach i przeniósł między drzewa. Przykrył ich darnią, kopiąc dokoła ziemię. Potem pobiegł do samochodu, wsiadł do środka i pojechał do willi. Po drodze nie pojawił się żaden agent i Sam mógł się teraz tylko modlić, żeby nie okazało się, że się spóźnił.

58.

16.20

W drewnianej chacie cierpkie zapachy najlepszych cygar mieszały się z orientalnym aromatem rosnących dokoła drzew. Nisko wiszące słońce okrywało las bladej patyną i nadawało ciepłą skórę i wypolerowanemu drewnu mebli.

407

Trzej bracia i Vince siedzieli odprężeni na kanapie i na fotelach, rozkoszując się zwycięstwem, które będzie ich udziałem.

- Pięść Tokugawy - Vince powiedział z zachwytem. - Nigdy nie zawodzi.

Vince patrzył na ojca i wujów, którzy pokiwali poważnie głowami. Przyszło mu do głowy, że Lyle może nauczył ich wszystkiego za dobrze. Ich siła polegała na współdziałaniu. Byli wspierającą się w dążeniu do władzy i pieniędzy drużyną. A teraz wystąpili razem przeciwko Redmondowi Pierwszemu. Vince uśmiechał się, widząc, jak sobie nawzajem gratulują. I nagle zauważył, że drewniana podłoga w chacie poruszyła się. Rozległo się skrzypienie.

Zaskoczeni rozejrzeli się dokoła, próbując znaleźć źródło tego dźwięku.

- Tam! - Vince wskazał palcem.

Fragment drewnianej podłogi przy biurku zaczął się podnosić. Był to spory kwadrat, szeroki na osiem desek, nieróżniący się niczym od reszty. Nagle cały fragment uniósł się, a pod nim ukazało się ramię odziane w brązowe sukno. Pojawiły się białe włosy Lyle'a Redmonda i jego pomarszczona twarz. Wynurzał się spod ziemi niczym Jan Chrzciciel wychodzący z celi w pałacu Heroda, cały zakurzony i w pajęczynach.

Spiorunował swoich synów wzrokiem.

- O, do diaska. Widzę, że trafiłem na odpowiedni moment.

- Tata? - Brice nie wierzył własnym oczom.

Creighton i David patrzyli przerażeni.

Staruszek wynurzył się spod podłogi.

- Myśleliście, że pozbyliście się mnie na dobre, co? Wy miernoty, myśleliście, że nie wiem, co robię ze swoimi pieniędzmi? - Stał pewnie na nogach. - Kogo to obchodzi, że będziesz prezydentem, Creighton? Ilu ludzi musi umrzeć, żebyś dostał to, czego chcesz? Twoja rodzona siostra! Twoja siostrzenica! Jezus, Maria, Józefie święty! - Zbliżył się do synów. Długi, brązowy habit franciszkański owijał się wokół jego chudych łydek. Myślisz, że wszystko jest nieważne przy twojej ambicji? Przyznaję, sam nieraz naginałem prawo, wrabiałem rywali, robiłem rzeczy, których nie powinienem był robić. Robiłem źle. Ale to, co ty robisz... - Przeniósł wzrok z synów na wnuka. - Wstydę się za was. Czuję się upokorzony. Przerażacie mnie. Wasze dusze będą się smażyć w ogniu piekielnym. To musi się skończyć. Zabijacie ludzi, na miłość Boską. Chciałem, żebyście byli prawdziwymi mężczyznami, a wy zamieniliście się w krwiożercze wampiry!

Brice był przerażony tym nagłym atakiem człowieka, którego uważał za starego i zdzieciniałego. Zaraz jednak złość wzięła w nim górę. Ojciec może doprowadzić ich do ruiny.

- Nie! Nie zrobisz tego...

- Brice! - Lyle odwrócił się twarzą do Brice'a. - Od ciebie oczekiwałem czegoś innego. Poszedłeś własną drogą, własnymi rękami zbudowałeś swoją firmę. Szanowałem cię za to. Ale teraz popierasz Creightona, chociaż powinieneś go posłać do więzienia!

David zerwał się na nogi wściekły.

- Potrafisz nas tylko strofować, staruszku? Tylko na tyle cię stać. Wielkie słowa i kłamstwa. Na tym zbudowałeś swój biznes. Nie potrafiłbyś tego dokonać sam, bez pomocy Austrianana. Potrzebowałeś jego inteligencji i odwagi...

Staruszek wbił wzrok w Davida.

- Bez moich pieniędzy skończyłbyś jako poplamiony atramentem urzędnik albo złodziej. Potrafisz myśleć jedynie cyferkami. Co się stało z twoim sercem?

Vince nigdy nie widział dziadka w takim stanie. Słyszał, jak ojciec opowiadał o jego napadach furii i o tym, jak wszystkich strofował i straszył. Ale nigdy nie widział go w akcji. Sam nigdy nie pozwoliłby ojcu na to, żeby tak się w stosunku do niego zachowywał. Staruszek musiał naprawdę sfiksować. Trzeba skończyć tę farsę.

Vince wstał.

- Dziadku, pod żadnym pozorem nie powinieneś się ruszać z domu. Nie rozumiem...

- No, proszę, wykapany tata - ryknął Lyle. - Mówisz swoimi słowami, czy Creightona? Spójrz mi w oczy, wnuku. Jesteś za młody, żeby rozumieć, jakim draniem jest twój ojciec, więc pozwól, że ci to wyjaśnię. Facet, który kradnie ojcu jego majątek pod pretekstem opieki nad nim, to chłopiec z kompleksem posiadania największego kutasa na osiedlu i z ostrym pociąganiem do ekshibicjonizmu. A ty upodabniasz się do niego!

Creighton w końcu otrząsnął się z szoku. Jego analityczny umysł już zaczął pracować.

- W porządku, tato - powiedział spokojnym głosem. - Miałeś zabawę. Teraz nasza kolej. Jeśli sądzisz...

- Zabawę? - warknął Lyle. - Wydaje ci się, że to jest zabawa? Myślisz, że w tym więzieniu, w którym mnie zamknęliście, zastanawiałem się tylko nad tym, jak wyrównać z wami rachunki? Twoja wspaniała inteligencja tak ci podpowiada? Cóż, mylisz się, synu. - Zaczerpnął powietrza i próbował się uspokoić. - Myślałem o tym, żeby nie dopuścić do tego, żeby nasze dusze zostały potępione. Creighton, wystąpisz przed telewizją i powiesz im, że Doug Powers to dobry człowiek i będzie świetnym prezydentem. - Roziskrzonym wzrokiem patrzył na najstarszego syna. - Potem przyznasz się do tego, co zrobiliście ty i twoi bracia. Wyznasz grzechy. Przeprosisz. I przyjmiesz karę, jak mężczyzna.

Staruszek zagryzł dolną wargę. Do oczu napłynęły mu łzy. Powstrzymał się jednak od płaczu i mówił dalej, chociaż ciszej.

- A ja będę stał przy tobie, synu. Przyznam się do swoich grzechów. Opiem o kradzieży, jakiej dokonaliśmy z Danem, i o morderstwie, którego byłem świadkiem. Bo żałuję. I przyjmę karę, jakakolwiek by była, i będę szczęśliwy, że moja dusza będzie miała szansę na zbawienie.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli, jak gdyby byli zaskoczeni, że starszek skończył mówić.

Chwila ciszy ciągnęła się. Twarze synów i wnuka były nieruchome, jak odlane ze stali. Oni nie mieli żadnych wątpliwości. Całe życie szli na skróty, naginali i omijali prawo. To, co postanowili zrobić, nie różniło się w ich oczach od tego, co robili dotąd. Decyzja, co zrobić z ojcem, już zapadła i żadną miarą poczucie winy ich nie powstrzyma. Zwłaszcza po tym, jak Lyle przyznał, że jeśli świat dowie się o wszystkich zbrodniach, które popełnili, będą skończeni.

Nagle Creighton odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się. Dźwięk jego śmiechu wypełnił pokój i zdawał się odbijać echem od ścian i wysokiego sufitu. Nagle śmiech się urwał. Oczy mu płonęły.

- Zawsze wciskasz nam to samo gówno, co, staruszkule? Zawsze ty musisz mieć rację. - Jego głos był spokojny, chłodny i szorstki. Oficjalny. - Myślisz, że wszyscy pójdziemy do piekła. Tego się boisz. Chcesz naprawić wszystko zło, do którego przyłożyłeś ręki i wbiłeś sobie do swojej główki, że my też musimy to zrobić.

- Mylisz się, Creighton - powiedział stary.

Ale Creighton już zerwał się na nogi. Podszedł do niego i wyciągnął palec w jego kierunku.

- Jeśli piekło istnieje, zajmiemy się nim później. Teraz jesteśmy tu. Na planecie Ziemi. I będziemy rządzić w tym kraju, a ty nie możesz zrobić nic, żeby to zmienić!

- Creighton. Nie wiesz... - Lyle próbował jeszcze raz przemówić do nich.

- Przestań! - krzyknął Creighton. - Dość tych bzdur! - Odwrócił się i podszedł do Vince'a. - Daj mi swój pistolet. - Vince uniósł brwi, ale wręczył mu sigsauera. Creighton spojrzał na Lyle'a odzianego w brązowy franciszkański habit. Wściekłość i zawód dodawały mu sił. Nigdy nie pozwoli, żeby Lyle zniszczył mu życie. - Jeśli piekło istnieje, przygotuj się, staruszkule na spotkanie z nim!

Creighton wycelował lufę w głowę ojca. Odciągnął kurek.

Brice siedział sztywno na kanapie, jakby miał zamiar zerwać się z miejsca, ale uspokoił się i z powrotem się oparł. David się nie poruszył. Na poczerwieniałej z emocji twarzy błąkał się uśmiech.

Vince zwilżył usta i obserwował wszystko z błyskami w oczach.

- Na kolana. - Creighton popchnął staruszkę i ten upadł na kolana.

Wycelował gotowy do strzału pistolet. - Teraz ty masz szansę zachować się jak prawdziwy mężczyzna.

Lyle Redmond podniósł wzrok. W jego oczach nie było strachu, tylko pogarda.

- No, strzelaj, szcurze. Jeśli masz jaja, sam wykonaj brudną robotę. No już.

16.32

Maya Stern popchnęła Julię przez żelazną furtkę i dalej do drzwi prowadzących do chaty. Julia była przerażona. Myśl, rozkazała sobie. Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby stąd uciec...

Oddychając głęboko, weszła do środka. I zatrzymała się absolutnie zaskoczona widokiem, jaki zastała.

Przez wysokie okna od zachodniej strony wpadało słońce, nierówno rozkładając złote plamy na wujkach, dziadku i Vinsie. Brice i David siedzieli na kanapie z założonymi rękami. Spojrzeli na nią, a potem z ciekawością zwrócili oczy na Creightona. Vince był kilka kroków za ojcem z rozplamionym wzrokiem. Creighton stał pośrodku pokoju z pistoletem w dłoni. Pistolet był wycelowany w dziadka. Lyle Redmond, na kolanach, wyzywająco patrzył na syna.

- Creighton! Co chcesz zrobić dziadkowi! - Julia zamarła, bo nagle poczuła ten zapach...

Intensywny, dziwny, ostry zapach, który przychodził zawsze, kiedy traciła wzrok. Tym razem jednak nie zaczęła podchodzić do niej linia ciemności. Tym razem ten zapach był prawdziwy. Pochodził z drzew rosnących dokoła przestronnego domku. Jakieś intensywnie pachnące tropikalne drzewo, którego nazwy nie знаła. Coś jak... kamfora... ale to nie była kamfora.

Julia poczuła, że zaczyna drżeć z podniecenia. Dotarła do niej tak ważna informacja, która - wydawało się - leżała poza zasięgiem. Skupiła się na tym. I nagle zrozumiała, dlaczego straciła wzrok. Sceny, które rozegrały się w tym pomieszczeniu w przeszłości, zobaczyła jeszcze raz, w pamięci. To była noc jej koncertu debiutanckiego.

DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ, ARBOR KNOLL

Była noc, uroczyste przyjęcie po koncercie dobiegało końca, a ojciec wydawał się jakiś markotny. Uśmiechał się, ale jakoś bez radości. Kiedy goście poszli do łóżek, ojciec odszedł z Creightonem w jakiś kąt. Klócili się.

- Nie masz na to żadnego wpływu - powiedział Creighton.—Zapomnij o tym!

- Zapomnieć. Chyba postradałeś rozum. - Jej ojciec wcisnął z powrotem do kieszeni jakieś kartki.

Jonathan Austrian był tego samego wzrostu co jego ojciec. W ogóle fizycznie byli podobni, ale pod względem osobowości stanowili przeciwieństwo. Jonathan był otwarty i przyjacielski, był troskliwym ojcem i kochającym mężem. O Danielu Austrianie zaś można by powiedzieć, że charakter odziedziczył po himalajskim szczycie. Był chłodny, pełen rezerwy i wyniosły w sposób właściwy arystokracie.

- Zmierzam pomówić o tym z ojcem! - oświadczył ojciec Julii. Odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Creighton ruszył za nim. Julia nigdy nie widziała ojca tak wściekłego. Przestraszyła się, więc poszła za nimi.

Dwaj mężczyźni udali się do drewnianej chaty. Pamiętała tę noc dokładnie. Zaczął wiać wiatr od morza i nagie gałęzie drzew wyglądały jak szpony złowieszczego wyciągnięte na tle księżyca. To wszystko tworzyło niezbyt przyjemną atmosferę, ale Julia była uparta. Kiedy uchyliła drzwi do drewnianej chaty, usłyszała dochodzący ze środka głos ojca.

- Dostaliśmy te listy dzisiaj - Jonathan mówił do Daniela. - My dwaj, ja i Creighton. Ktoś, kto je napisał, twierdzi, że jesteśmy synami pierwotnymi i dlatego powinniśmy wiedzieć, że nasi ojcowie, ty i Lyle Redmond, zbudowali swoje fortuny na łupie nazistów. Twierdzi, że jesteście w posiadaniu Bursztynowej Komnaty i że zabiliście człowieka, żeby ją zdobyć. Zrobiłeś to, tato?

Daniel Austrian powoli odstawił kieliszek.

- Nawet jeśli zrobiliśmy, przez całe życie korzystałeś z owoców naszej działalności.

Zaczęli się kłócić. Obaj nie kryli gniewu. Julia uchyliła drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wtedy Creighton i jej ojciec zaczęli na siebie krzyczeć.

- Musimy to odkryć przed światem! - krzyczał jej ojciec, patrząc na Creightona. To niemoralne. Ojciec musi się przyznać do morderstwa!

- Czyś ty oszalał? Nie! Twój ojciec nie zrobi czegoś, co nas wszystkich doprowadzi do ruiny. Lyle też tego nie robi. Jesteś jedyną osobą, która twierdzi, że mamy problem. Zapomnij o całej sprawie!

Creighton i jej ojciec coraz bardziej zawzięcie się kłócili. Poczzerwienieli ze złości.

- Zamierzam zgłosić to odpowiednim władzom! - Krzyknął w końcu ojciec.

- Nie możemy sobie pozwolić, żeby nasi ojcowie zostali posądzeni o to, że są kryminalistami!

- Pieprz się! I tak to zrobię! - Ojciec odwrócił się do wyjścia. Otworzył szeroko oczy, kiedy zobaczył ją w uchyłonych drzwiach.

Na skroni Creightona wystąpiła pulsująca żyła. Twarz mu spurpurowiała.

- O, na pewno, zrobisz! - Rozejrzał się za jakąś bronią i chwycił laskę ze srebrną główką należącą do jego ojca. Uderzył nią Jonathana Austrianą w tył głowy najmocniej, jak mógł. Mężczyzna pochylił się nad biurkiem i się zachwiał. Creighton uderzył jeszcze raz.

- Przestań! - krzyknął Daniel Austrian. - Wystarczy!

Ale jej ojciec odwrócił się i uderzył Creightona pięścią. Creighton znowu walnął go w głowę metalowym zakończeniem laski. Ojciec osunął się i uderzył głową w biurko. Rozległ się przerażający dźwięk, jakby melon rozpękał się na połowę.

Julia krzyknęła. Po twarzy zaczęły jej spływać łzy. Podbiegła do ojca. Jego ciało leżało bezwładnie na podłodze, a głowa spoczywała w małej kałuży krwi. Odwróciła go twarzą do siebie.

- Tato! Tatusiu! - Potrząsnęła go za kłapy. Pocałowała go. - Tatusiu! Wstawaj!

Dziadek Austrian odsunął ją.

- Pozwól. - Uklęknął przy Jonathanie i dotknął tętnicy szyjnej.

Creighton stał, trzymając w ręku zakrwawioną laskę. Był w szoku, błąd jak papier.

Daniel Austrian zamknął oczy syna i wstał.

- Nie żyje.

Powiedział to zupełnie bez emocji. Stał, patrząc na ciało syna. Potem spojrzał na Creightona.

- Jesteś przeklętym głupcem, Creighton. Teraz wszyscy mamy kłopot.

Julia nie mogła oderwać oczu od ojca, od zamkniętych powiek, bólu wykrzywającego mu twarz i krwi, która spływała po czole i na włosy. Zerwała się na nogi i zakręciło się jej w głowie. Rzuciła się z pięściami na Creightona i po drapała mu twarz.

Daniel Austrian odciągnął ją od niego.

- Przestań, Julia! Przestań. To był wypadek!

Zaczęła krzyczeć i uderzyła dziadka w twarz otwartą dłonią.

- Dan? Co mamy zrobić? - zapytał Creighton drżącym głosem.

Daniel Austrian chwycił Julię za ramiona i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Nie próbuj się ze mną bić, dziewczyno. - Chwycił ją za rękę, zaprowadził na kanapę i posadził. Ukucnął przed nią i popatrzył w jej pełną bólu i gniewu twarz. - To nie tylko był twój ojciec. To był mój syn. Mój jedyny syn. To ogromna tragedia. - Jego głos był niemal hipnotyczny. - To niczyja wina. Twój ojciec i Creighton kłócili się i Creighton go uderzył. Nie chciał go zabić. Nikt tu nie jest winien. To był wypadek. To wszystko.

Julia milczała. Ujął ją za rękę.

- Popatrz na mnie!

Spojrzała na niego oczami pełnymi gniewu i bólu.

- Chcesz, żebym przez to trafił do więzienia? - zapytał.

Zmarszczyła brwi.

- Bo pójdę do więzienia, jeśli powiesz komuś, co tu się stało. Creighton może zostać stracony jako morderca. Nie chcesz zabić swojego wujka, prawda, dziecko?

Przełknęła ślinę.

- Nie...

- Zostanie stracony, a ja pójdę do więzienia jako współwinny. Musisz zapamiętać, że to był wypadek, i jeśli powiesz o tym komuś, ja i wujek możemy za to zapłacić swoim życiem albo wolnością. - Puścił jej lewą dłoń, a podniósł w górę prawą. Wskazał na pierścionek z aleksandrytem, który dał jej wcześniej. - Ty też za to zapłacisz. To piękny pierścionek. Prawdziwe dzieło sztuki. Kochasz piękno i kochasz swoją mamę. Wszyscy stracimy swoje pieniądze. Pieniądze, których potrzebowałaś, żeby zapłacić za lekcje muzyki, za steinwaya, za naukę w Juilliard, za mieszkanie przy Park Avenue i za ten piękny pierścionek, za wszystko, co posiada twoja rodzina. Nie będziecie miały z matką za co się utrzymać. Wszyscy stracimy wszystko, i to będzie twoja wina. - Jego twarz była jak maska. - Musisz zapomnieć, co tu się wydarzyło. Nic dobrego nie przyjdzie z tego, że o tym opowiesz. Przyrzeknij mi, że zapomnisz o tym.

Patrzył na nią wielkimi, przenikliwymi oczami. Zobaczyła w nich swoje własne cierpienie i swój żal. Nie żyje jej ojciec, a jego syn. W ciemnych oczach dziadka zobaczyła łzy. Nigdy nie widziała, żeby jej dziadek był tak ludzki, żeby okazywał uczucia. Widziała, że on też jest głęboko zraniony. Prosił ją, żeby zrobiła to, co uważał za słuszne.

- Obiecuj mi to, Julio. Wszystko jest w twoich rękach - powiedział łagodnym głosem.

Poczula, że to jej wina. Powoli kiwnęła głową.

- Dobra dziewczynka. Jestem z ciebie dumny. Kiedy obudzisz się rano, to wszystko będzie ci się wydawało złym snem. Idź do łóżka. Pamiętaj, nikomu nie wolno ci powiedzieć. Nigdy. Musisz zapomnieć.

Wstała z kanapy jak automat. Jeszcze raz spojrzała na ciało ojca i przeszła przez duże pomieszczenie. Za plecami słyszała rozmowę.

- Będzie cicho? - zapytał Creighton drżącym głosem.

- Lepiej, żeby tak było - powiedział dziadek. - Nie ma potrzeby mówić o tym Lyle'owi. To go tylko przygnębi. Sami się tym zajmijmy. Masz jakiś pomysł?

- Wypadek samochodowy. - Creighton powiedział przejęty. - Weźmiemy mój samochód i samochód Jonathana. Rozbijemy jego samochód na drodze, a potem ja zawiozę cię do domu, do Southampton. Będziemy z powrotem, zanim ktoś się obudzi.

- To dobry pomysł. Dorastasz. Nadszedł chyba czas, żebym ci coś pokazał.

Słyszała, jak przemierzają podłogę. Otworzyła już drzwi prowadzące na zewnątrz, kiedy zza pleców dobiegło ją skrzywienie i miała wrażenie, że dokoła zrobiło się jaśniej. Spojrzała na swój nowy pierścionek. Diamenciki odbijały ciepłe światło zza pleców. Miała ochotę zdjąć go, ale nie chciała już nikogo ranić, nawet dziadka. Ten pierścionek został kupiony za pieniądze, które dziadek ukradł. Miała wrażenie, że wokół jej palca owinał się wąż i nagle poczuła, że palec ją boli.

Bała się. To, co stało się z jej ojcem, może się stać z nią. Jej mama może nie mieć pieniędzy. Wszyscy mogą trafić do więzienia. Straci nawet swój fortepian i lekcje, których wciąż potrzebowała. Chciała być wielką pianistką.

Ze łzami w oczach zamknęła za sobą drzwi. Wiatr wciąż wiał, wzdychał i jęczał. Niebo było czarne, gwiazdy ukryły się za chmurami. Płakała i drżała, idąc do domu. Dziadek i wuj mieli upozorować wypadek samochodowy, żeby zatrzeć ślady swojej winy... i jej winy.

59.

16.34

Sam jechał jak oszalały z powrotem w kierunku zabudowań. Postawił samochód tam, skąd odjechali. Otarł twarz z krwi, otrzepał sutannę z piasku i pospiesznie ruszył w stronę, gdzie Maya Stern prowadziła Julię.

16.35

Creighton spojrzął na Julię i zobaczył, że coś się w niej zmieniło. Stała w pokoju w przebraniu zakonnicy, jej błękitne oczy i jej owalna twarz wyrażały najwyższe napięcie. Poczerwieniała. Oczekiwałby raczej, że powinna być przerażona...

- Nie masz nawet na tyle odwagi, żeby samemu wykonać brudną robotę, Creighton - odezwał się klęczący staruszek. Strzelaj, bo zaraz się zmęczysz i ten przekłety pistolet wypadnie ci z ręki!

Julię przeszedł dreszcz. Otrząsnęła się z transu i wróciła myślami do chwili obecnej. Zobaczyła Creightona i nic innego nie miało dla niej znaczenia.

415

- Zabijeś mojego ojca! - Zatrzęsła się ze złości. Wypluła z ust watę i odepchnęła od siebie Mayę Stern. Podeszła do Creightona. - Ty potworze, twoja chciwość i chora ambicja doprowadziły do śmierci mojej matki. Ale mojego ojca zabijeś sam, własnymi rękami! Widziałam to! Dlatego straciłam wzrok. Widziałam, jak zabijeś tatę, i pozwoliłam dziadkowi Austrianowi wmówić sobie, że powinnam milczeć. Zatarliście ślady morderstwa i przez tyle lat kłamaliście. Ty razem z dziadkiem Austrianem!

Teraz wiedziała, co Orion Grapolis miał na myśli, kiedy mówił, że to, co się wydarzyło, tak bardzo ją poruszyło, że nie chciała patrzeć na ten świat. Najpierw była świadkiem morderstwa ukochanego ojca, zabitego przez kochanego wuja. A potem kochany dziadek kazał jej kłamać, żeby uratować im życie. Znieść konflikt - walczyć o honor ojca czy ocalić rodzinę - to było ponad jej siły. Poza tym miała poczucie winy. Gdyby była mądrzejsza, szybsza, miała lepsze serce, może udałoby się jej nie dopuścić do tej walki. Czy za bardzo chciała zachować swój fortepian i dobrobyt? Powstał w niej nie uraz, ale piramida urazów.

- Jesteś chora psychicznie - krzyknął Creighton. Przypomniało się jej. - Stern, trzymaj ją.

Maya Stern złapała ją w stalowe kleszcze swoich rąk. Julia zaczęła się szamać.

- To się stało tutaj. W tym pokoju. Ty i tata klóciliście się, bo ktoś napisał do was obu listy o skarbie nazistów. Ojciec chciał, żeby dziadek zgłosił to władzom. Uderzyłeś go. Kilka razy. Potem okłamaliście mnie z dziadkiem, zastraszyliście mnie, kazaliście mi przysiąc, że nikomu nic nie powiem. Kazaliście mi zapomnieć o wszystkim, a ja straciłam wzrok, żeby tego nie pamiętać.

Wszystko, co jej powiedzieli, było kłamstwem, łącznie z tym, że Creighton mógłby zostać stracony, a dziadek poszedłby do więzienia. Przestępstwa dokonano w Nowym Jorku, a w tym stanie nie było kary śmierci. Dziadek w ogóle nie zostałby uznany za winnego.

David i Brice słuchali. Zdawało się, że się wahają. Wstali z kanapy bladzi i niepewni, co zrobić.

- Zabijeś Jonathana? - David był wstrząśnięty. - To nie był wypadek samochodowy?

- Dlaczego nam nie powiedziałaś? - zapytał Brice. - Do cholery, czego jeszcze się tu dowiemy?

Vince stanął przy ojcu.

- To nie ma znaczenia. Najważniejsze, że nikt więcej o tym nie wie...

Oburzony Creighton podniósł sigsauera i wycelował w Julię.

- Zamknij się, Vince. Trzymaj ją, Stern. - Podeszedł do Julii. - To wszystko twoja wina. Wszystko, co się tu dzieje. Gdybyś nie postradała rozumu po śmierci Marguerite, to wszystko by się nie stało. Jutro zostanę prezydentem i nie

powstrzymasz mnie. Ani ty, ani ojciec. Nikt. Stern, puść ją - powiedział, nie spuszczać wzroku z Julii. - Vince, ty pilnuj starego. Odsuń się od niej, Stern. Już!

Pożądanie władzy może stać się narkotykiem. Tylko jedno się wtedy widzi, i to ostro, jak cięte diamentem. To uczucie silne i otumaniające jak narkotyk. Może dać siłę do wszystkiego, do największych osiągnięć albo do największych zniszczeń.

Julia widziała - jakby patrzyła z boku - jak Creighton się do niej zbliża. Z idealnie przyczesanymi szpakowatymi włosami, z których żaden nie odstawał. W swoim smokingu od któregoś ze słynnych projektantów, z szerokimi ramionami i wąskimi biodrami. Jego twarz przypominająca orła nie była już wykrzywiona wściekłością. Teraz malowała się na niej bezwzględność. Resztki hamulców ulotniły się. Siły scalające jego osobowość przestały istnieć. Jeśli miał kiedyś jakieś dobre chęci, zapomniał o nich.

Nic się nie liczyło. Chciał ją zabić. Stała mu na drodze. To proste i oczywiste.

Vince postąpił krok do przodu. W rękę trzymał małego mausera. Oślaniał ojca. Maya Stern uśmiechała się chłodno. Jej szacunek dla Creightona rósł. Odsunęła się od Julii, żeby nie stać na linii strzału.

16.38

Na zewnątrz Sam stanął pod oknami. Słońce padało pod właściwym kątem, żeby mógł widzieć długie cienie osób znajdujących się w pokoju. Maya Stern pierwsza zobaczyła postać Sama. Wskoczyła między Creightona i ścianę okien. Najlepszym celem dla Sama był Vince, który trzymał na muszce staruszka.

Sam nie miał czasu na zastanawianie się i wahanie. Musiał odwrócić ich uwagę. Strzelił przez szyby i zobaczył, że Vince pada. Sam skulił szerokie ramiona, schylił głowę i wskoczył do środka przez wybitą szybę.

Okazało się, że nie chybił. Vince leżał na ziemi martwy.

Wszystko działo się w ułamkach sekund.

Julia odskoczyła w lewo. Creighton strzelił, ale chybił. Za drugim strzałem znowu chybił.

Maya Stern odwróciła się i oddała strzał. Jej kula utkwiała w lewym ramieniu Sama, który natychmiast schował się za fotelami.

Brice i David rzucili się za kanapę.

Lyle siedział na ziemi w miejscu, gdzie przedtem klęczał. Przetarł oczy i spojrział wyzywająco, gotowy stawić czoło każdemu, kto chciałby go zabić.

417

Julia z przerażeniem przeczołgała się w miejsce, gdzie leżał malutki pistolet, który wypadł z rąk Vince'a. Podniosła go. Trzymając pistolet obiema rękami, wstała z kucek.

Maya Stern po postrzeleniu Sama cofnęła się i wycelowała w Julię. Jej czarne oczy świeciły z radości, że wreszcie zabije tę kobietę, nad którą tyle czasu pracowała.

A Julia przypomniała sobie słowa Sama: „Proszę patrzeć na cel i myśleć o pistolecie jako o przedłużeniu pani ręki. Oczy i ramiona pracują harmonijnie. Tam, gdzie pani spojrzy, tam znajdzie się kula. Oddychać. I strzelić”.

I wtedy nagle poczuła falę ciepła. Zdażyła się odwrócić, żeby zobaczyć Mayę Stern, która trzymała ją na muszce. Julia w tym momencie przestała myśleć. Pociągnęła za cyngiel.

Dokładnie w chwili, kiedy Maya Stern wypaliła, kula z pistoletu Julii utkwiała jej w szyi, rozrywając aortę. Kula wystrzelona przez Stern wbiła się w drewnianą podłogę za plecami Julii. Z gardła Stern wystrzelił gejzer krwi. W jej oczach pojawiło się dziecięce zdziwienie, niedowierzanie. Przegrać - to niemożliwe! Maya Stern nigdy nie przegrywa. A potem przerażenie. W końcu nic już nie dało się z nich wyczytać.

Po drugiej stronie pokoju Sam z lewą ręką zalaną krwią próbował podnieść się z ziemi.

Creighton Redmond spojrział na martwego syna, na konającą Mayę Stern i na struchlałych braci. Krzyknął z wściekłości i nienawiści i zwrócił lufę sigsaura w jedyne widoczne wroga - Sama, który właśnie próbował wstać.

- Creighton! - krzyknął Lyle. - Nie! Nie rób tego! To już nic...

Kiedy Creighton położył palec na spuście, Julia wiedziała, że nie ma wyboru. Nie pozwoli, żeby Sam został zabity. Wycelowała, zaczerpnęła powietrza i strzeliła.

Szkarłatna krew bryzgnęła na białą koszulę z zakładkami z przodu. Creighton upadł plecami na biurko z rozpostartymi rękami. Krew sączyła się z jego piersi i zalewała jakieś papiery. Głowa opadła bezwładnie. Nie żył.

Julia patrzyła w jego niewierzące oczy i przypomniała jej się chwila śmierci matki i jej potworne cierpienie. W sercu poczuła dawny ból. Creighton był odpowiedzialny za tyle morderstw, a ona czuła ciężar tego wszystkiego. Wszystko, co zrobił Creighton, od zabicia jej ojca, przez wysłanie jej do przepukionego psychiatry, który pilnował, żeby niczego sobie nie przypomniała, do planu, który miał go zaprowadzić do prezydentury za wszelką cenę... nawet za cenę śmierci jej matki...

- Julio! - Sam podszedł do niej i objął ją zdrowym ramieniem. Czuł, że spłynął na niego jakiś błogi spokój. Serce skakało mu z radości. To musi być miłość. Zerwał jej z głowy czepek zakonnicy i zaczął głaskać po włosach szepcząc coś do ucha.

Lyle Redmond podszedł do ciała Creightona. Westchnął ciężko.

- Przepraszam cię, synu - powiedział drżącym głosem-

Nagle drzwi się otworzyły. Do środka ostrożnie weszło czterech agentów służb specjalnych z karabinami maszynowymi i rozstawili się po pokoju gotowi w każdej chwili oddać strzał.

Sam podniósł w górę zdrową rękę ze swoją plakietką CIA i krzyknął.

- CIA! Nie strzelać!

Kiedy agenci w milczeniu zabezpieczali pokój, dowódca grupy przyglądał się Creightonowi. Spojrzał na Sama, szukając wyjaśnienia.

- To długa historia - powiedział Sam - ale na wszystko są świadkowie. Są tu bracia i ojciec kandydata.

Zza kanapy wstali Brice i David, byli bladzi i drżący. Lyle spojrzał na nich piorunującym wzrokiem.

- Tchórze! Zaczynjcie mówić. Tyle przynajmniej możecie zrobić!

Brice i David nagle zaczęli pospiesznie wyjaśniać sytuację, a Lyle im pomagał. Julia i Sam dołączyli się ze swoją historią. Usiedli, a agenci zarzucili ich pytaniami. Pojawiła się policja. I sanitariusze. Powiadomiono FBI. Agenci służb specjalnych zamknęli posiadłość i nikt, łącznie z gośćmi balu, nie mógł opuścić terenu. Wielu dygnitarzy, łącznie z kardynałem próbowało protestować, ale na próżno. W końcu David oświadczył:

- To wszystko. Zanim powiem coś jeszcze, proszę o adwokata.

Wszyscy w chacie rozprawiali, a Julia milczała. Wciąż rozpamiętywała tragiczną śmierć ojca, jakby coś jeszcze ją dręczyło. Jeszcze raz przypomniała sobie wszystko po kolei. Kłótnia, dziadek przemawiający do niej i moment, kiedy wychodziła z chaty, złota łuna za plecami... Chyba wiedziała, co to było.

Wstała i zbliżyła się do Lyle'a.

- Gdzie ona jest, dziadku?

Podniósł na nią wzrok, zdziwiony.

- Widziałam bijące od niej światło tamtej nocy. A ty nie mogłeś wiedzieć, że Creighton i wujowie będą tu mieli spotkanie. Przyszedłeś tu z innego powodu. Musisz ją nam pokazać. Wszystkim. Teraz.

Staruszek powoli zamrugnął oczami. Pokiwał głową.

- Masz rację. Przez to wszystko... - wskazał ze smutną miną na pokój. - Omal bym zapomniał. - Powoli podniósł się i podszedł do biurka. Otworzył najwyższą szufladę i włożył do niej głęboko rękę. Julia usłyszała odgłos przekręcanego włącznika. Dziadek odwrócił się twarzą do kilkunastu ludzi, którzy znajdowali się w przestronnym pomieszczeniu. - To najlepsza pora dnia. Zobaczcie, jak przenikają światło. - Kiwnął głową. - Zobaczycie.

Sam był podniecony. Słyszał dźwięk poruszających się bloków. Rozglądał się po pokoju w najwyższym napięciu.

Rozległo się skrzypnięcie. Julia przypomniała sobie ten dźwięk. Patrzyła, jak trzy drewniane ściany podnoszą się do góry. Złoty blask nagle pojawił się u podstaw, gdzie ukryte ściany były odsłonięte. W pokoju panowała całkowita cisza. Horyzontalne drewniane listwy podnosiły się, składając się pomiędzy sufitem i miejscem, gdzie zaczynał się spadzisty dach.

Ktoś westchnął z zachwytu. Promienie zachodzącego słońca wpadały do środka pokoju, powietrze tańczyło złotą poświatą. Sam podskoczył podniecony. Oddychał nerwowo. Wybiegł na środek. Znajdował się w samym centrum tego dziwnego i wspaniałego dzieła, które pojawiło im się przed oczami.

Drewniane ściany znikły pod sufitem, a Sam, trzymając się za zabandażowane ramię, zaczął mówić. Głos i twarz miał uroczyste.

- Każdy z paneli składa się z tysiąca ręcznie rzeźbionych fragmentów, tworzących ślimacznice, elementy heraldyki, ozdobne popiersia, królewskie herby. To wszystko zostało przymocowane do masywnego drewnianego tła. Czasami, kiedy artysta rzeźbił w jasnym kawałku bursztynu, pokrywał swoje dzieło warstwą złota, żeby jego fragment bardziej się wyróżniał. Niektóre elementy są tak małe, że trzeba się im przyglądać przez szkło powiększające, żeby zrozumieć, co przedstawiają. - Odwrócił się i pokazał ręką. - To są złożone kandelabry na wykładanych lustrami pilastrach. To jest ręcznie rzeźbiony fryz, otaczający całe pomieszczenie.

- Odnowiłem panele - powiedział Lyle z płonącymi oczami, upajając się tym widokiem.

- Bursztynowa Komnata - powiedziała Julia nabożnie.

Samowi brakło tchu, kiedy karmił wzrok tym pięknem. Całe życie czekał na ten moment i była to chwila tak wzniosła, jak to sobie wyobrażał.

- Nigdy nie stworzono niczego podobnego. Ludzie z całego świata przyjeżdżali oglądać komnatę w czasach, kiedy było to prawie niemożliwe. Poeci pisali o niej wiersze. To coś więcej niż legenda. To był... to jest ósmy cud świata.

Komnata była skąpana w migoczącym świetle. Promienie słoneczne zatrzymały się, pochwycone przez ogromne bursztynowe panele. Sprawily, że bursztyn błyszczał, jak gdyby ożył. Światło odbijało się jak muzyka, jak echo. Nawet gdyby ktoś zechciał wycenić komnatę, nie mógłby tego zrobić ze względu na to magiczne piękno, które zamykało ludzi w niemal mistycznym kręgu.

Oczy Julii pochłaniały widok, każdy jego szczegół. Pomyślała, że to ogromne szczęście móc widzieć.

- To wspaniałe, Sam. Dokładnie tak, jak mówiłeś. Niezwykłe, nieporównywalne dzieło.

- Jak się panu udało przewieźć ją tutaj? - Sam zapytał staruszka.

- Dan i ja długo się sprzeczailiśmy o komnatę. - Głos Lyle'a Redmonda był odległy, jakby sobie to przypominał. - On chciał ją mieć ze względu na jej wartość artystyczną, mnie chodziło o to, żeby ją posiadać. Ja wygrałem, ale uzgodniliśmy, że ma prawo odwiedzać ją, kiedy zechce. W zamian za komnatę przez dwadzieścia lat płaciłem mu procent od dochodów naszej spółki. Kiedy kupiłem Arbor Knoll, na Governors Island wciąż trzymano jeńców wojennych z Włoch. Zwalniano ich warunkowo, żeby pracowali dla Amerykanów. Wynająłem złożoną z więźniów ekipę, która wykopała tunel i wybudowała moją drewnianą chatę. Jeńcy potem wrócili do Włoch z kieszeniami pełnymi zielonych, za które kupiłem ich milczenie.

Brice rozejrzał się dokoła.

- Mała, skromna drewniana chatka - mruknął.

Staruszek uśmiechnął się przebiegle.

- Do diaska, miałem tu pałac królewski, mój własny, i nikt o tym nie wiedział. - Potem westchnął. - Kiedy postanowiłem założyć fundację, miałem zamiar nie ujawniać tego, że mam komnatę. Zbłądziłem. Spieprzyłem wszystko. - Rozejrzał się po rozświetlonych ścianach, potem spojrzął na Julię i na Sama i jeszcze raz objął wzrokiem olśniewającą Bursztynową Komnatę. Z powagą pokiwiał głową. - Oddaję ją Rosjanom. Nigdy do mnie nie należała. Chciałem ją zobaczyć ostatni raz. Grzech człowieka słabego.

Sam patrzył na Julię. Ujął ją za rękę i ścisnął. Bursztynowa Komnata znaczyła dla niego wiele, ale przecież nie mogła się równać z Julią. Pocałował ją we włosy.

- Już po wszystkim, Julio - szepnął.

Julia odchyliła do tyłu głowę i uśmiechnęła się do niego. Myślała o tylu rzeczach. Patrzyła na jego szczękę.

- Nie, kochanie, to jeszcze nie koniec.

60.

21.04

OYSTER BAY, NOWY JORK

Po złożeniu zeznań wszyscy obecni, poza Davidem i Brice'em, zostali zwolnieni z Arbor Knoll. David i Brice trafili do więzienia jako współwinnicy morderstwa. Żadnego żyjącego czyściciela nie znaleziono. Limuzyny, luksusowe i sportowe samochody wywozły zszokowanych gości z terenu posiadłości.

Hałaśliwy tłum dziennikarzy czuwał pod bramą. Lyle Redmond skierował do nich kwieciste przemówienie, w którym wyjaśnił, dzięki jakim podstępom Creighton chciał zostać prezydentem. Apelował, żeby ludzie głosowali na Douglasa Powersa, nie na listę wyborczą Redmonda i Friedmana. Zgodnie z procedurą prawną wciąż istniała możliwość, że jutro Creighton zostanie wybrany na prezydenta i wtedy wyznaczony przez niego wiceprezydent automatycznie przejąłby władzę. A stary Lyle był zdania, że to nie najlepsze dla kraju rozwiązanie.

- Doug Powers będzie dobrym prezydentem. Głosujcie na niego. - Kamery telewizyjne nagrywały wystąpienie Lyle'a.

Julia próbowała przekonać dziadka, żeby wyjechał z nimi. On był uparty.

- Zamierzam sprzedać posiadłość i będę musiał zacumować tu na kilka noczy. Zobaczę, czy uda mi się tu odnaleźć jakieś dobre wspomnienia. Powiniennem znaleźć parę koszul w szafie. Po Reillym i jego przeklętych piżamach marzę o prawdziwym ubraniu.

Julia chciała, żeby w drodze powrotnej wpadli jeszcze na plebanię kościoła świętego Dominika. Sam zaparkował na tyłach budynku. W oknie pokoju, gdzie wcześniej rozmawiali, paliło się światło. Przy żółtym świetle lampy na biurku siedział franciszkanin i coś pisał.

Otworzył im drzwi uradowany i skinął głową na powitanie.

- Czekałem na was, moje dzieci. Słuchałem wiadomości. Wszystkie stacje o tym mówią. Przykro mi z powodu śmierci wuja, Julio. To straszne, że musieliście go zabić. - Ojciec Michael czuł się już stary. Na jego okrągłej twarzy widać było zmęczenie. Ale promieniował dobrocią i troską i Julia poczuła się wzruszona.

Zaprowadził ich do pokoju, zamknął za sobą drzwi i poprosił, żeby opowiedzieli mu dokładnie, co się wydarzyło. Usiedli i zaczęli mu opowiadać, a zakonnik schylił głowę. Wyglądał, jakby się modlił.

- Dziadek prosił, żeby przekazać ojcu, że wpadnie jutro po głosowaniu. Powiedział, że zrobił to, co musiał, a teraz chce się wypowiadać. Powiedział, że to będzie bardzo długa spowiedź, więc niech się ojciec przygotuje.

Mnich podniósł głowę. Uśmiechnął się.

- To wspaniałe. Kolejny krok w kierunku zbawienia. Dla niego to była ciężka droga. Wiem, że musi być zmęczony. Ale to człowiek o ogromnej sile, a teraz, kiedy poprosi Boga, żeby mu towarzyszył, nie będzie czuł się tak samotny.

Sam uśmiechnął się.

- Klnie się na Boga, że już nie będzie kłął.

Franciszkanin się roześmiał.

- To dobrze. - Oparł się na fotelu. Brązowy habit zamiatał podłogę.

Jego twarz przybrała ponury wyraz. Spojrzał na Julię pytająco. - Julio, chcesz mnie o coś zapytać?

Julia kiwnęła głową.

- Powiedział ojciec coś, co nie daje mi spokoju: „Powiedziałeś im, że Selvester Maas zamierzał oddać skarby prawowitym właścicielom?”. A dziadek nie wiedział, o co ojcu chodzi. Twierdził, że musiał zapomnieć, ale ja nie byłabym taka pewna... Zastanawiam się, czy ojciec nie wiedział, co się wydarzyło w Zurychu zaraz po wojnie, zanim powiedział ojcu o tym dziadek. - Przerwała. - Myślę, że to ojciec był tym małym chłopcem, którego dziadek widział wybiegającego z magazynu, dziadek Austrian zabił Maasa.

Pamiętam, co mówił Sam o Maasie. Bankier miał syna, tylko on przeżył. Ale Sam nie trafił na żaden ślad prowadzący do syna. Zaczęłam się zastanawiać. Może ten syn wcale nie znikł. Może poczuł powołanie i jeździł po całym świecie, nawracając ludzi. Ojciec ma niemiecki akcent, a w Zurychu mówi się po niemiecku... Czy ojciec nazywa się Maas? Czy to prawda, co ojciec powiedział o zamiarach swojego ojca?

Mnich zamknął oczy. Jego twarz wyrażała cierpienie. Ale kiedy znowu je otworzył, jego spojrzenie było łagodne i czyste.

- To wszystko prawda - powiedział. Mój ojciec był grzesznikiem, ale w końcu zdał sobie sprawę ze znaczenia tego, co robi, i zmienił zdanie. Chciał zwrócić „drugi skarb Himmlera” Związkowi Radzieckiemu, bo stamtąd pochodziły te przedmioty. Himmler był wcielonym diabłem. Ojciec nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Sam opowiedział ojcu Michaelowi swoją teorię, w jaki sposób Himmler przewiózł łup z Królewca do Zurychu. Zakonnik pokiwał głową.

- Z tego, co wiem od ojca, masz rację. To była długa i ciężka podróż. Mój ojciec pojechał do Niemiec, żeby pilnować transportu do Szwajcarii. Matka błagała mnie, żebym nikomu nie wspominał o tym, że widziałem, jak ojciec został zamordowany i o skarbach Himmlera. Prawdopodobnie ojciec wcześniej ukradł coś z wojennych depozytów i matka bała się, że rząd szwajcarski skonfiskuje jej majątek. Więc milczałem. Żeby uspokoić sumienie i odpokutować za ten grzech, zostałem zakonnikiem. - Uśmiechnął się smutno do Julii. - Nie różnimy się tak bardzo, ty i ja. Jest takie stare powiedzenie: „Dzieci są skazane na problemy nierozwiązane przez rodziców”.

- Czy to ojciec, dziesięć lat temu wysłał listy do mojego ojca i do Creightona z opowieścią o tym, co zrobili moi dziadkowie? - zapytała Julia. - To był powód kłótni w noc mojego debiutu...

Na twarzy ojca Michaela pojawiło się przerażenie.

- Więc to ja jestem odpowiedzialny za śmierć twojego ojca? Mój Boże... Nie zdawałem sobie sprawy...

- Ale jest ojciec również odpowiedzialny za nawrócenie mojego dziadka. - Julia uśmiechnęła się smutno. - Próbował ojciec zrobić to, co należało. To ojciec

puścił całą maszynę w ruch. Od tamtej pory ludzie zamieszani w tę sprawę musieli podejmować decyzje na własną odpowiedzialność. Nie może się ojciec o nic obwiniać. Jestem ojcu wdzięczna. Gdyby ojciec nie doprowadził do nawrócenia dziadka, Creighton z pewnością skończyłby jako prezydent.

Franciszkanin długo milczał. W końcu pokiwał głową.

- Twoje słowa to dla mnie wielki dar. Dziękuję.

Sam i Julia wsiedli do wynajętego mustanga, którego zostawili na parkingu za kościołem. Księżyc stał już wysoko na niebie, było bezwietrznie. W powietrzu unosił się zapach mającego niebawem spaść śniegu. Jasne chmury rozciągnięte na czarnym niebie mogły przynieść zmianę pogody. Sam i Julia znów mieli na sobie ubrania, które Sam kupił na Manhattanie. Sama bolało ramię, ale dzięki środkom uśmierzającym ból jakoś to znosił. Przytulili się do siebie.

- Wrócisz ze mną do Nowego Jorku? - zapytała. - To blisko. Tak będzie najwygodniej. Lodówkę mam pełną.

Zachichotał. Położył rękę na jej policzku i odwrócił jej twarz do światła.

- Masz taką delikatną skórę. - Palcem przesunął po jej szyi. - Wierzysz w miłość?

- Zabawne, że o to pytasz. Ostatnio dużo o tym myślałam. Ale jeśli miałabym powiedzieć, że tak, to musiałabym zaprzeczyć temu, co mówiłam wcześniej.

Pocałował ją, a ona przytuliła się do niego. Trzymał ją mocno, przyciskając zdrowym ramieniem. Czuł wdzięczność. Pocałował ją. Odsunął się od niej odrobinę i spojrzał w lazurowe oczy.

- Jeśli chodzi o mnie, jestem gotów zmienić zdanie w kilku kwestiach.

Wsunęła dłoń pod jego sweter i przyłożyła ją do serca. Poczowała, jak mocno bije, i wzbudziło to w niej falę pożądania. Uwielbiała jego zapach, wygląd, to, w jaki sposób ze sobą rozmawiali, sposób, w jaki się kochali.

- Kocham twój sposób myślenia - powiedziała Julia.

- A ja kocham ciebie - szepnęła.

Julia pomyślała o matce i o tym, ile razy Marguerite mówiła jej, że ma nadzieję, że Julia spotka mężczyznę, którego pokocha. Była szczęśliwa, ale jednocześnie zasmucona, bo brakowało jej matki, żalowała, że matka nie może poznać Sama i cieszyć się nim razem z nią. Ojcu też by się spodobał. Łączyłyby ich zainteresowania - sztuka, muzyka, nauka. Patrzyłaby na nich, jak siedzą razem i prowadzą niekończące się dyskusje...

Nie ma już rodziców i zawsze będzie ich jej brak. Ale przynajmniej udało się jej dopaść ich morderców. A teraz miała Sama. Sam nie zastąpi jej rodziców, zresztą nie chciała tego. Poczowała radość.

- Ja też cię kocham, kochanie. - Razem zbudują nowe życie. Całowali się długo w cichym wnętrzu samochodu.

ROK PÓŹNIEJ, GRUDZIEŃ NOWY JORK

Padający śnieg sprawiał, że miasto spowijała biała mgła. Sklepy, latarnie i pas pośrodku Park Avenue ozdobione były czerwonymi wstążkami, łańcuchami z sosnowych gałązek i kolorowymi lampkami. Miasto żyło radością zbliżających się świąt. Zwykły hałas uliczny był ściszony dzięki leżącej wszędzie kołderce śniegu. Biała pokrywa była świeża i czysta. Leżała na samochodach, hydrantach i dachach budynków. Julia i Sam szli w rześkim, mroźnym powietrzu, trzymając się za ręce. Było dużo ludzi zadowolonych z ładnej pogody i nadchodzących świąt. Słuchać było szelest reklamówek ze świątecznymi zakupami i ludzi składających sobie życzenia.

- Jak to jest być tu z powrotem? - zapytał Sam. Przyglądał się jej, zastanawiając się, czy Julia rzeczywiście jest szczęśliwa w Waszyngtonie. Kupili tam dom na Dupont Circle, ale to Nowy Jork był jej domem. Przyjechali tu pierwszy raz od wielu miesięcy...

- Zawsze będę kochała to miasto. - Uśmiechnęła się. - Ale ciebie kocham bardziej.

- W takim razie to dobrze, że zainwestowałem w obrączkę.
Roześmiała się.

Po wydarzeniach w Arbor Knoll dyrektor CIA zaproponował Samowi powrót do służby czynnej, wszystko, czego tylko chce. Sam jednak wiedział, że Rubikon został przekroczony. Znienawidził kłamstwa, udawanie, przemoc i śmierć. Cieszył się z pracy w dziale analiz. Nawet gdyby żyła Irini, i tak w końcu przeszedłby do pracy za biurkiem.

Został szefem swojego działu. Zajął stanowisko Vince'a. Powoli przywykł do niedogodności wiążących się z kierowniczą funkcją. Tęsknił za Julią, kiedy wyjeżdżała na tournée, ale lubił swoją pracę. Kiedy zaś Julia wracała, jego życie stawało się pełne.

Pink wrócił do pracy. W dniu wyborów prezydenckich był w Bośni i kiedy tylko usłyszał w wiadomościach, że nie tylko Sam miał rację, ale Vince był przestępca, poprosił o urlop i przyleciał do Stanów. Męczył Sama tak długo, aż ten mu wybaczył. Trwało to trochę. Teraz Pink był w Europie Wschodniej i Sam wiedział, że gdy tylko przyjaciel będzie w kraju, pojawi się u niego z zaproszeniem, żeby razem coś zjeść, poćwiczyć, pójść do kina, żeby odnowić ich przyjaźń.

Sam i Julia szli na wschód Sześćdziesiątą Pierwszą ulicą. Weszli do środka smętnego czteropiętrowego budynku z piaskowca, który zajmowała duża firma

prawnicza. Usiedli w wyłożonym orzechem pomieszczeniu i chwilę czekali, zanim pojawił się Lyle Redmond.

Dziadek wszedł do środka razem z falą mroźnego powietrza. Klasnął, po czym ściągnął rękawiczki.

Julia cmoknęła go w policzek.

- Cześć, dziadku. Wszystkiego dobrego z okazji świąt.

Ścisnął ją przez chwilę.

- Wszystkiego dobrego, Julio.

- Wesołych Świąt, dziadku - odezwał się Sam.

Lyle zmarszczył brwi.

- Mów mi po imieniu.

- Bardziej podoba mi się „dziadku”.

- Nie wątpię - powiedział z przekąsem, ale w głębi duszy się cieszył. Wjechali windą na najwyższe piętro. Julia nie widziała dziadka od dnia ślubu. Wyglądał dobrze. Miał zaróżowioną skórę, a na szerokiej, kościstej twarzy pojawił się uśmiech. To miał być wielki dzień.

Przez dłuższy czas Julię nękały bolesne wspomnienia ludzi, których zabiła. Wciąż zastanawiała się, czy postąpiła słusznie. W snach widziała twarze rodziców i zadreślała się pytaniem, czy mogła zrobić coś, co by ich uratowało. Pamiętała, że tak bardzo chciała zabić Mayę Stern i Creightona, ale kiedy to się stało, wiedziała, że gdyby było jakieś inne rozwiązanie, na pewno by ich nie zabiła. Po jakimś czasie wszystkie wątpliwości i wyrzuty sumienia zamieniła w muzykę, a odpowiedzi na dręczące pytania znalazła w miłości, jaką otoczył ją Sam. Miłość jest lekarstwem, jak twierdzą ludzie, i dzięki miłości Julia zdrowiała. A dziś, za chwilę, ona i dziadek podpiszą swój pakt z przyszłością.

- Dzieci, musicie mnie kiedyś odwiedzić - powiedział staruszek. - W domu opieki zaprowadziłem nowy porządek. Wszyscy chodzą w normalnych ubraniach, popcorn robi się z masłem, wychodzimy i wracamy, kiedy chcemy. No i... mamy filmy dla dorosłych! - John Reilly i jego strażnicy siedzieli w więzieniu i czekali na rozprawę. Całą resztę personelu Lyle zwolnił.

- No, to jak macie takie filmy - zdecydował Sam - to musimy dziadka odwiedzić.

- Dziadku, nie tęsknisz za Arbor Knoll? - zapytała Julia.

Staruszek pokręcił białą głową.

- Do diaska, nie. No, może troszkę. Lubilem, jak ktoś na mnie czeka w domu. Muszę to przyznać. Podobała mi się Bursztynowa Komnata, ale Rosjanie zrobią z niej lepszy użytek. Teraz, kiedy dostali ją z powrotem, i wszystkie obrazy moje i Dana, chyba trzeba będzie się tam wybrać w odwiedziny.

Sekretarka zaprosiła ich do biura prawnika. zaproponowała kawę albo herbatę.

- Napiłbym się brandy - zdecydował staruszek. - Proszę przynieść dla wszystkich. To jest uroczysta chwila. I nie żadne gówno, tylko dobry alkohol. Sekretarka wyszła, a Lyle spojrzął na Julię. - Myślisz, że to grzech mówić „gówno”? Ostatnio się nad tym zastanawiałem.

- Dziadku, myślę, że jak od czasu do czasu powiesz „gówno”, to nie przeszkodzi ci to znaleźć się w niebie.

- Na pewno nie - powiedział z przekonaniem Sam. - Ja bym raczej zastanowił się nad filmami dla dorosłych.

Lyle się uśmiechnął.

- Mam tam też dwoje sprytnych usteczek.

Powoli znikwały konsekwencje potwornych czynów Creightona Redmonda. Douglas Powers został wybrany absolutną większością głosów, a w sądzie wciąż ciągnęła się sprawa Davida i Brice'a oskarżonych o współudział w morderstwie. Staruszek przejął z powrotem kontrolę nad majątkiem, a Julia rozporządzała spadkiem po matce.

W eleganckim biurze w rogu budynku adwokat miał doprowadzić sprawę do końca. Adwokat, Joseph Kattleman, był dostojnym mężczyzną. Jak na prawnika przystało, mówił powoli i dobitnie. Jeszcze raz przeczytał wszystkie punkty dokumentu.

- Czy rozumie pan, że przekazuje pan wszystkie swoje aktywa na rzecz fundacji, panie Redmond? Będzie się pan utrzymywał tylko z ubezpieczenia społecznego.

- O to właśnie mi chodzi. - Staruszek kiwnął głową. - Świetnie sobie radzę. Jestem właścicielem domu opieki, więc nie będę musiał płacić za mieszkanie. Myślę, że to był genialny pomysł, przebłysk geniuszu, żeby zamienić ten zwiariowany ośrodek w pensjonat. - Obrócił w dłoni kieliszek brandy i napił się. - Doskonała brandy - zawyrokował.

Ojciec Michael towarzyszył Redmondowi w podróży do Szwajcarii, gdzie mnich złożył zeznania w sprawie o morderstwo ojca. Sąd szwajcarski - niechętnie, bo nie chciał przypominać o skandalicznym zachowaniu kraju podczas wojny - nałożył na Lyle'a Redmonda karę pół miliona dolarów i ze względu na zaawansowany wiek winnego, puścił go wolno. W Stanach Zjednoczonych Lyle musiał zapłacić osiemset milionów dolarów zaległych podatków oraz karę za zagrabienie dóbr i nielegalne sprowadzenie do kraju skradzionych dzieł sztuki.

Lyle sam był zdziwiony, że zapłacił wszystko bez utyskiwania. Zajmowały go sprawy donioślejsze, naprawienie grzechów i zadośćuczynienie. Odwiedził wszystkich ludzi, których kiedyś skrzywdził. Było to upokarzające doświadczenie i nie chciał o tym nikomu opowiadać. Wiedział, że ci ludzie mają prawo czuć gniew i złość. Kiedy zdarzyło się, że któraś z jego ofiar mówiła „dziękuję” za przeprosiny i czeki, które zostawił, staruszek czuł, że to, co robi, ma sens.

Została jeszcze sprawa Davida i Brice'a. David w ogóle nie chciał ojca widzieć, natomiast Brice był zainteresowany odwiedzinami, pod warunkiem że ojciec nie będzie próbował go nawracać. Lyle odwiedzał go raz w tygodniu i rozmawiali. Ścieżka, którą Lyle wybrał na starość, była trudna i wyboista. Pielęgnowane przez całe życie demony domagały się, żeby poświęcić im więcej uwagi. Jednak dzięki uporowi, który zawsze stanowił jego siłę i słabość równocześnie, staruszek nie poddawał się im.

Adwokat spojrział na Julię.

- A pani, pani Austrian, przekazuje swój spadek, na który składają się pieniądze pochodzące ze sprzedaży mieszkania i domu wraz z wyposażeniem na Manhattanie i w Southhampton.

- Zgadza się. Bez trudu potrafimy z Samem utrzymać się z pracy własnych rąk. - W ciągu roku Julia dała bardzo dużo koncertów. Kupili piękny stary dom, który odnawiali. Julia zostawiła sobie kilka drobiazgów, które wiele dla niej znaczyły, między innymi rzeźbę Rodina i osobiste rzeczy matki i ojca. Uśmiechnęła się. - Mamy wszystko, czego trzeba do życia, a poza tym jesteśmy szczęśliwi.

- Doskonale. - Adwokat otworzył drzwi i zaprosił dwoje młodych asystentów. Asystenci usiedli z Julią i z Lyle'em i po kolei strona po stronie przedstawiali umowę. Każda strona musiała być parafowana. Pili brandy i dyskutowali o kilku punktach. Godzinę później było po wszystkim. Cała trójka wstała i udała się do wyjścia.

- To przełomowy moment - powiedział Lyle podniosłym tonem. - Właśnie założyliśmy największą na świecie fundację, wartą blisko dwadzieścia jeden miliardów dolarów. Fundacja Austriana i Redmonda na rzecz Ofiar Holokaustu i Ich Potomków, która ma pomóc w poprawie sytuacji na świecie. To zaszczyt móc zrobić coś takiego.

Pożegnali się i wyszli do windy.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Lyle zwrócił się do Julii.

- Żałujesz, że to zrobiłaś? To dużo pieniędzy.

- Do cholery, nie. A ty?

- Do diaska, nie. - Lyle uśmiechnął się. Zatrzymał się na chodniku i zamachał na taksówkę. Usiadł na tylnym siedzeniu i odwrócił się do nich. Nagle poczuł, że jest wzruszony. - Do widzenia, dzieci. Kocham was. - Pomachał im zza szyby, a oni patrzyli, jak taksówka znika za ośnieżonym rogiem budynku.

Julia i Sam szli na zachód, trzymając się za ręce. W powietrzu wirowały płatki śniegu. W słońcu wyglądały jak srebrne monety sypiące się na ziemię. Julia poczuła, że jest szczęśliwa. Nie tylko z powodu Sama, ale także dlatego, że widzi. Popatrzyła na śnieg, na samochody, twarze ludzi i uśmiechnęła się.

- O czym myślisz? - zapytał Sam.

- Dziadek po raz pierwszy powiedział, że mnie kocha. Sam objął ją w pasie. Wyrównali krok i poszli dalej.

FRAGMENT PAMIĘTNIKA

Minął ponad rok od śmierci Creightona Redmonda i ludzi, którzy zabijali na jego rozkaz. Stary Lyle i ja razem znaleźliśmy drogę do zbawienia. To dla mnie ogromne szczęście, zwłaszcza gdy przeglądam stare zapiski.

Przez długi czas przeżywałem bolesny kryzys. Byłem opętany nienawiścią. Chciałem zabić Daniela Austriana i Lyle 'a Redmonda. Chciałem, żeby oni i ich rodziny, cierpieli tak, jak cierpiałem ja i moja rodzina. Szatan może przybierać różne postaci, ale dzięki temu, że pomogłem Lyle'owi odwrócić się od grzechu, pomogłem również sobie. Modłę się za jego duszę i wiem, że on modli się za mnie.

Jestem teraz w Rzymie. Miasto przygotowuje się na święta Bożego Narodzenia. W Watykanie słychać modlitwy i pieśni. Brukowane ulice pełne są ludzi szlachetnych i tych skazanych na potępienie. Szukam grzeszników. Zrobiłem w życiu coś dobrego i jestem szczęśliwy.

Podziękowania

Ciekawość to źródło mojej radości, a zarazem przyczyna zguby. Kiedy rozpoczęłam pisanie tej powieści, musiałam wiele się nauczyć. Kilka osób pomogło mi szczególnie, dzieląc się ze mną swoją wiedzą już na wczesnym etapie pracy nad projektem książki. Ich pomoc była tak wielka, że zechciały nawet przeczytać i sprawdzić większe partie rękopisu. Dziękuję:

Dr. psychologii Lucy Jo Palladino, uhonorowanej licznymi nagrodami patolog klinicznej i autorce wielu książek, która podzieliła się ze mną wiedzą o zaburzeniu zastąpienia, hipnozie naturalistycznej i niuansach sugestii terapeutycznej.

Dr. Alexandrowi Sherdinsky'emu, konserwatorowi sztuki i profesorowi chemii, który jest ekspertem w sprawach dotyczących Bursztynowej Komnaty. Jeśli ten temat Państwa interesuje i chcieliby się Państwo przyczynić do odtworzenia komnaty, proszę skontaktować się z panem Ivanem Sautovem, dyrektorem pałacu Katarzyny, gdzie zabytkami opiekuje się Alexander Sherdinsky. Oto adres: Conservation Center of the Institute of Fine Arts, New York University, 14 East Seventyeight Street, New York, NY 10021.

Pisarzowi i byłemu agentowi wywiadu Philipowi Sheltonowi, który jak zawsze sprawdził, czy przedstawione przeze mnie działania wywiadu są prawdopodobne.

Dennisowi Schwendtnerowi, niewidomemu pianiście, który był dla mnie inspiracją. Dennis stanowi dowód na to, że życie można przeżyć na wiele różnych sposobów.

Felietoniście i byłemu wydawcy Fredowi Kleinowi, który powiedział mi nie tylko, co jest w powieści złe, ale też co jest dobre, żebym mogła wykorzystać to później.

Dennisowi Lyndsowi, mojemu drogiemu mężowi i pisarzowi, który dyskutował ze mną, w nieskończoność czytał to, co napisałam, potem znów czytał po poprawkach, redagował, dzielił się sugestiami, które nieodmiennie były słuszne.

Jestem również ogromnie wdzięczna mojemu wspaniałemu agentowi Henry'emu Morrisonowi nie tylko za pomoc w szybkim wydaniu tej książki, ale również za to, że polecił mnie nowym wydawcom:

Tris Coburn jest wymarzonym redaktorem - inteligentny, pomocny, cierpliwy i chętny do walki o to, w co wierzy. Dyrektor redakcji Emily Bestler kocha dobre pisanie i bardzo pomogła mi dzięki swojemu wyczuciu i sugestiom. Do efektu końcowego bardzo przyczyniła się Gina Centrello, wydawca, na każdym

etapie publikacji dzieląc się swoim doświadczeniem. Art director Paolo Pepe słynie ze swoich wyjątkowych okładek i jestem mu wdzięczna za projekt do tej książki. To przyjemność pracować z ludźmi, którzy taką miłością darzą książki.

Dotyczy to również mojego międzynarodowego agenta Danny'ego Barora. Jego telefon potrafi rozjaśnić pochmurny dzień. To agent o magicznym wyczuciu.

Nasze dzieci pomagały mi stale: Julii Stone dziękuję za zdjęcia i szczególne notatki robione podczas naszych wycieczek po Nowym Jorku; Paulowi Stone'owi za kwestie prawne, Deirdre Lynds za muzykę, Kate Lynds i Julii Fasick za cytaty, Katrinie Baum za komentarze do niekończących się wersji.

Wreszcie pragnę wyrazić wdzięczność za rady i wsparcie Carmen Bree, magistrowi farmacji Arthurowi Cormanowi, Julii Cunningham, Nancy Giuliani, Gary'emu Gulbransenowi, Susan Miles Gulbransen, Kay Hurlbert, komisarz okręgowej Kąty Jacobson, Randi Kennedy, dr, nauk med. Wendellowi Klossnerowi, Christine McNaught, Lisie Merkl, Ericowi Mukogawa, Gene Riehlowi, Brianowi Robertsonowi, Elaine Russel, Jimowi Stevensowi, Ami Stochamer, Mary Ellen Strange oraz Chuckowi Warrenowi.